

**Maria Siemionowa**

**WILCZARZ**

*Samotny ptak nad ugorem krąży.  
Słońce dogorywa, już się zaraz skryje.  
Jeśli sierść masz szarą i zęby jak noże,  
nie nazywaj mnie wilkiem, co do lasu dąży.*

*Kłapouchy szczeniaczek tak lubi smak mleka,  
a nie krwi, która płynie z rozerwanych żył.  
Jeśli widzisz zmierzwioną sierść i zębiska straszne,  
nie sądź mnie, lecz spytaj, jakem wcześniej żył.*

*Jam w ciemnościach nocy niczym w bagnie tonął,  
nie widziałem słońca, nie widziałem nieba.  
Jam się i krwi własnej do obłądu opił,  
a dopiero potem cudzej było trzeba.*

*Zznałem niewoli, znałem i wnyków,  
Lecz nie chciałem jarzma już na swoim grzbiecie.  
Jeśli łańcuch ciąży - zerwę pęk łańcuchów,  
i obrożę z szyi zerwę, jeśli chcecie.*

*Nie ma w świecie ścieżki, która się nie kończy,  
ani śladów, które skryły złe ciemności.  
I jeszcze mogę dogonić każdego,  
co pełza i biega, i gniazdo swe mości.*

*Odwyłem od strachu przed błękitem klingi,  
przed strzały furkotem spuszczonej z cięciwy.  
A boję się tylko, że zginę, nim skoczę,  
nim trzask kości wroga usłyszę szczęśliwy.*

*O, gdyby gdzieś w domu ogieniek migotał  
i ktoś na mnie czekał, i się mną kłopotał,  
nie szczyrzyłbym zębów, lecz siedział jak trusia  
i skrycie bym głaskał po buzi dzidziusia.*

*I wiernie bym służył, i strzegł, i pilnował,  
po prostu za miłość, która się uśmiecha.*

*Ale teraz tylko wyję do księżycyca,  
bo znów jestem sam i nikt, nikt nie czeka.*

## **Rozdział 1**

### **Zamek ludojada**

Na niebie zgasły już ostatnie zorze i pełnia księżycyca skapała las zielonkawym srebrem poświaty. Człowiek, którego zwali Wilczarz, szedł przez las. Pokonywał wzgórze za wzgórzem, nie szukał ścieżek ani dróg. Kroczył śmiało, stawiając wielkie, równe kroki, jak gdyby nie znał zmęczenia. Nie chował się. Nie chronił się pod drzewami, nie omijał zalanych światłem polanek, nie patrzył pod nogi. Bose stopy niosły go tak jak dawniej bezszelestnie. Związane rzemieniami buty przewiesił przez ramię. Na drugim ramieniu, wczepiony weń ostrymi pazurkami, siedział czarny zwierzak o wielkich uszach. Kiedy Wilczarz przeskakiwał przez kupki chrustu lub schylał się, przechodząc pod gałęziami drzew, zwierzak rozpościerał skrzydła, by utrzymać równowagę. Wtedy dopiero było widać, że to nietoperz i że jedno skrzydło ma rozerwane.

Wilczarz znał te miejsca doskonale na pamięć, jak własną rękę. Wiedział, że dotrze do celu, nim minie północ. W dłoni trzymał kopię, której ostrze pobłyskiwało w świetle księżycyca. To była krótka kopia, z drewnianą rękojeścią i szerokim, ostro zakończonym grotem z poprzecznym wrębem, broń na grubego zwierza.

Zatrzymał się tylko dwa razy. Pierwszy raz przy niewielkiej zeszcłej osice, która rosła u zbiegu dwóch zapomnianych leśnych dróg. Wyjął nóż, nakłuł nim palec i krwią narysował na obnażonym, pozbawionym kory pniu drzewa święty Znak Ognia - koło z trzema promieniami zagiętymi ku słońcu. Krew wydawała się czarna w zimnym, martwym świetle księżycowej nocy. Wilczarz objął pień drzewa obiema dłońmi i przylgnął doń czołem. I tak stał przez jakiś czas. Poruszał wargami, szepcząc czyjeś imiona. Potem zdjął worek, który niósł na ramieniu, położył kopię i posadził Nielota Gacka na gładkiej rękojeści, ostrożnie odczepiając od koszuli jego pazurki. Ale zwierzak nie miał najmniejszej ochoty na rozstanie. Podskoczył i czepiając się odzieży, błyskawicznie wdrapał się na swoje miejsce i rozsiadł na ramieniu Wilczarza. Wpił się zębami w grubą lnianą materię, na wypadek gdyby człowiek znów chciał go oderwać. Wilczarz popatrzył na niego z ukosa i w milczeniu zaczął się wspinać po pniu drzewa.

Sięgnąwszy pierwszej gałęzi, podciągnął się na rękach, po czym zaczął się huścić. Konar nie wytrzymał jego ciężaru i złamał się z traskiem. Wilczarz, zwinny jak zwierzę, spadł na miękką leśną trawę. Przyłożył gałąź do kolana i połamał ją na kilka części. Nie dbał o to, że ktoś mógłby usłyszeć dźwięk łamanego drewna. Znów wyciągnął z pochwy wielki nóż i jął ciąć gałąź na mniejsze szczapki. Powstał całkiem spory pęk łuczywa. Każdy kawałek z osobna Wilczarz umazał krwią z palca, po czym schował łuczywo do maleńkiego woreczka przy pasie. Wstał, pokłonił się drzewu i poszedł dalej.

Po raz drugi zatrzymał się, kiedy za wysokim stromym wzgórzem zobaczył wioskę. Momentalnie odszukał wzrokiem jeden z domów o niskim, pokrytym ziemią dachu. Nad belką wieńczącą dach widać było otwór, przez który ulatywał dym. Kiedyś, bardzo dawno temu, w tej

zagrodzie mieszkał chłopiec z rodu Szarego Psa. Mieszkał od dnia urodzin do dwunastego roku życia. Na dwunastą wiosnę mężczyźni z tego rodu mieli zaprowadzić go do domu mężów na próbę dorosłości, mieli po raz pierwszy nazwać go mężczyzną i po odprawieniu obrzędów nadać mu nowe imię. Dziecięce przydomko z domu miało odejść do przeszłości, to miało być prawdziwe imię, którego nigdy nie będzie mógł wyjawić obcym. Będą je znać tylko najbliżsi.

I żona, kiedy będzie już mógł zaślubić kobietę. Przed wyprawą do lasu miała się odbyć uczta, na której miejsce musiało się znaleźć dla wszystkich: i dla rodziny, i dla sąsiadów, a może nawet dla cudzoziemców - Segwanów kunsza Winitariusza, którzy osiedlili się za zakolem rzeki...

Ale chłopcu nie nadano imienia. W przeddzień święta najemni wojowie kunsza Winitariusza przypięli miecze do pasów i napadli na wioskę nocą, niczym złodzieje. Jak powiadali, napadli nie dla jeńców ani bogactw - nie, chcieli przywłaszczyć sobie ziemie uprawne i siał postrach wśród plemion żyjących opodal. Winitariusz przybył w te strony jak gość, ale okazało się, że zostać ma tu na długo...

Chłopiec walczył jak mężczyzna. Pozostał przy życiu z powodu głupiego kaprysu zwycięzców. Poszczuto go psami, ale rozwścieczone bestie, choć ludzie Winitariusza kilka razy napuszczali je na chłopca, nie rozerwały go na strzępy. Podbiegały, obwąchiwały i odchodziły... Potem było jeszcze gorzej. Uciekał osiem razy, cztery razy wystawiano go na targu niewolników, był ciągle poniżany. Wreszcie niepokorny szczeniak z rodu Szarego Psa trafił do straszliwych podziemnych kopalni w Górach Szmaragdowych...

Ktoś otworzył drzwi domostwa. Wilczarz zobaczył dziewczynę, która poszła ścieżką prowadzącą ku rzece, gdzie pomimo późnej pory przy brzegu unosił się dym nad stojącą tam kuźnią i dźwięczały równe uderzenia młota. Wilczarz mógłby przysiąc, że dziewczka niesie kolację dla kowala, który jeszcze nie skończył pracy.

Jego matka też kiedyś nosiła jedzenie ojcu...

Co za ludzie mieszkali teraz w jego chacie? Do kogo tak biegła dziewczeczka - do rodzica, brata, narzeczonego?

Wilczarz nagle przysiadł nisko przy ziemi, zadrżał na całym ciele, objął rękami kolana i złożył na nich głowę. Nielot Gacek wczuł się pod rękę, naprężył całe swoje ciało i polizał maleńkim języczkiem jego policzek. Wilczarz wzdrygnął się, szeroką dłonią pogładził zwierzę po miękkiej sierści. Potem się wyprostował. Na jego połatanych skórzanych pludrach pozostały dwa wilgotne ślady.

Poprawił worek na plecach, wziął kopię i zaczął schodzić w dół zbocza.

Kowal ledwie zdążył wziąć w ręce koszyk przyniesiony przez młodziutką narzeczoną, kiedy drzwi ponownie skrzyknęły. Obejrzał się z niedowierzaniem - kogo przyniosło w tak nieodpowiednim momencie? Ujrawszy przybysza, w jednej chwili chwycił za młot, a narzeczoną odepchnął w głąb kuźni, zasłaniając swoim ciałem.

Człowiek, który stanął w drzwiach, musiał zgiąć kark, by się zmieścić. Gęste rude włosy, gdzieniegdzie poprzątkane siwizną, opadały mu poniżej ramion, czoło miał przewiązane

rzemykiem podtrzymującym kędziory. Na chudym, pooranym jak jodłowa kora obliczu złym blaskiem lśniły szarozielone oczy. Płonęły, jak się zdawało kowalowi, piekielnym ogniem. Przybysz miał złamany nos, a przez lewy policzek od powieki do szczęki biegła wielka szrama, której koniec zniknął pod brodą. Grabieżca, gwałcieciel, zabójca?

Nieproszony gość omiół wzrokiem całą kuźnię, zdawało się, że nie od razu zauważył młodzieńca i dziewczynę. Wreszcie jego spojrzenie padło na uniesiony młot. Niezależnie od tego, jakie początkowo miał plany, teraz najwidoczniej o nich zapomniał. Powoli wyciągnął rękę.

- Dawaj no tu.

Niski, tubalny głos mógł przyprawić o dreszcze każdego. Jak zachowałby się kowal, gdyby spotkał się z Wilczarzem sam na sam, nie wiadomo. Ale teraz miał za plecami pochlipującą od czasu do czasu ze strachu piegowatą narzeczoną. Mocniej zacisnął dłoń na dębowym stylisku młota.

- Wynoś się stąd!

- Dawaj - powtórzył Wilczarz w języku Segwanów, nie ruszając się z miejsca. - To nie twoje.

- Wynoś się, pókim dobry! - zawołał kowal, który otrząsnął się z pierwszego wrażenia. Zdażył już zauważyć, że do kuźni nie wtargnął ani sługa kunsza, ani żaden najemnik spośród tych, którzy wędrowali od zamku do zamku, nie gardząc łatwym łupem, kiedy tylko nadarzała im się okazja. Poza tym nocny gość zapewne był sam. Kowal, pierwszy chwyt w osadzie, nabrał śmiałości. Da radę, obroni i siebie, i dziewczynę.

Ale Wilczarz zrobił krok do przodu i kowal poleciał na bok, nie zdołał nawet się zorientować, skąd spadł cios, który go obalił. Dziewczyna krzyknęła, przyskoczyła i go objęła, próbując obronić ukochanego przed niechybną śmiercią. Jednak Wilczarz już nie patrzył w stronę kowala i jego dziewczyny. Schylił się i podniósł młot, którym jego ojciec przez wiele lat wykuwał lemiesz i sierpy. Na kowadle i teraz leżał niedokończony sierp. Wilczarz odsunął go na bok, położył na kowadle swoją włócznię i zamierzył się młotem na błyszczący grot. Nawet się nie obejrzał, kiedy kowal poruszył się pod ścianą, a potem, trzymając za rękę narzeczoną, wyskoczył z kuźni.

Po jakimś czasie pod kuźnią z widłami i toporami zgromadziła się połowa osady. Z uzbrojonymi mieszkańcami przybył też czarownik, który zabrał ze sobą garniec pełen żywych węgli i pęk ziół, które tak kochają bogowie. Miał nimi odczynić uroki i wygnać złego ducha, jeżeli nieproszony gość rzeczywiście takowym się okaże.

Już nie było słycać uderzeń młota, tylko brzęk metalu - najwidoczniej przybysz przebierał w narzędziach. Ludzie jęli spoglądać po sobie, przyjrzeni się też szczęce kowala, która dosłownie puchła w oczach, i jakoś nikt nie rwał się wchodzić do kuźni. Nagle drzwi się rozwarły i w progu stanął Wilczarz - czarna sylwetka wyraźnie rysowała się na tle rozpalonego paleniska. Księżyc świecił trochę z boku, przeto nie oświetlał jego twarzy, jedynie zapalił blade ogniki w jego oczach. Ludzie zaczęli szeptać. Wilczarz powoli omiół ich spojrzeniem i nagle spytał w języku Segwanów:

- Kto mieszka w zamku za zakolem rzeki?

Niektórzy z obecnych później przysięgali, że jego głos dudnił i odbijał się echem. Przez kilka

chwil trwała cisza, a potem ktoś odpowiedział:

- Szlachetny kuns Winitariusz...

Zza pleców zebranych doniósł się rezolutny chłopięcy głosik:

- Ludojad!

Wiadomo przecież, że małych chłopców żadna siła w domu nie zatrzyma, kiedy ich ojcowie i bracia wyprawiają się gdzieś z bronią w rękę. I żadna siła nie zabroni im po raz kolejny wykrzyknąć przezwiska okrutnego kunsza, za które - jeśliby tylko usłyszeli strażnicy - w najlepszym razie groziła straszna chłosta.

Ogień buchnął większym płomieniem za plecami Wilczarza. Na trawie zamajaczył jakiś cień, w ciemności błysnęły oczy. Ludzie odstąpili krok w tył. Kiedy Nielot Gacek po włosach wspiał się Wilczarzowi na czubek głowy, groźnie rozprostował skrzydła i zasyczał - wioska rzuciła się do ucieczki. Zniknął nawet czarownik. Był mądrzejszy od innych i w lot pojął, że przeciwko mocy tego ducha nie pomogą żadne węgielki ani święte zioła.

Jakiś czas potem młody kowal mimo wszystko powrócił do pustej kuźni, rozpałił palenisko i obejrzał swój dobytek. Wszystko było na miejscu. Brakowało tylko stareńkiego młota. Długo zastanawiali się z narzeczoną, cóż takiego mogło to oznaczać.

\*

*Kuns Winitariusz pojawił się u Szarych Psów pod koniec lata. Przyplłynął na zniszczonej łodzi bojowej i zszedł na brzeg na czele trzech dziesiątków surowych, owianych morskimi wiatrami żeglarzy. Opowiedział Szarym Psom, że przybył w pokojowych zamiarach. Szukał nowego miejsca dla swojego plemienia. Na wyspie, gdzie mieszkali z dziada pradziada, już nie dało się żyć - lodowiec nacierał powoli, ale nieubłaganie.*

*Szarych Psów nie zdziwiły opowieści Winitariusza. Wenowie wiedzieli, że Segwanom z wysp przez ostatnie sto lat było coraz trudniej. Toteż nie dziwota, że coraz więcej wyspiarzy przenosiło się na stały ląd. To źle, jeśli wnuk osiada nie tam, gdzie pochowany jest dziad! Po naradzie Szare Psy wskazały jasnowłosemu kunsowi ziemię na drugim brzegu rzeki Świątyni. Kraj Wenów tu się kończył, a do krainy Solwenów na zachodzie było jeszcze daleko.*

*Winitariusz serdecznie podziękował za łaskawe przyjęcie.*

*Skąd Szare Psy miały wiedzieć, że wyspiarskie plemię już dawno przeważało swojego zapobiegliwego wodza Ludojadem...*

Wilczarz stał w cieniu gęstych iw i patrzył na zamek wznoszący się na przeciwnym brzegu rzeki, stromym i urwistym. Widział jak na dłoni komesów - zaciężnych wojów Ludojada - którzy przechadzali się po umocnionym drewnianymi balami wale obronnym. Oni go dojrzeć nie mogli. Widział też, że pan jest w zamku. Nad spiczasto zakończonym dachem leniwie powiewała chorągiew. Ta sama chorągiew, która przez długie jedenaście lat śniła mu się po nocach.

Zdjął z pleców worek i położył na ziemi. Nielot Gacek mu już nie towarzyszył. Jakiś czas temu Wilczarz pozostawił go przy wejściu do pieczary, w której gnieździli się jego pobratymcy. Zwierzak

rozpaczliwie pisał i próbował dogonić człowieka, przy którym czuł się bezpiecznie, ale Wilczarz odszedł, nie oglądając się za siebie. Może nietoperz nadal pełził jego śladem, niezbornie przedzierając się przez trawy. Wilczarz odegnał tę myśl.

Sięgnął do worka, wyciągnął placek, zamachnął się i wrzucił go do wody. Jeśli strażnicy dosłyszają plusk, pomyślą, że to ryby wyskakują ponad powierzchnię wody. Ród Szarego Psa szanował Świątynię, pramatkę rzekę, zawsze składał jej ofiary. A już szczególnie przed ważnymi wydarzeniami. Wilczarz zdjął koszulę, ułożył ją na worku i pozostawił. Może się komuś przyda. Przywiązał włócznię do nadgarstka, żeby nie zgubić. Bezszelestnie wszedł do wody i zanurzył się, nim ktokolwiek mógł go dostrzec z wałów.

Płynął pod wodą, tylko od czasu do czasu wystawiał głowę, by nabrać powietrza. Świątynia mu pomagała - marszczyła małe falki, wśród zalanych bladą poświatą księżycową wód nie sposób było rozróżnić, co jest grzbietem fali, a co głową płynącego...

Wilczarz musiał mieć się na baczności, przeto płynął powoli. Wreszcie dopłynął do wysokiego urwiska, które skryło go przed wzrokiem strażników. Wtedy wynurzył się i bezgłośnie ruszył wzdłuż brzegu. W każdym grodzie leżącym w pobliżu jeziora lub rzeki jest tajne ujęcie wody. Tak być musi, w przeciwnym bowiem razie nie byłoby powodu, by gród szturmować - wystarczyłoby go otoczyć, a oblężeni wcześniej czy później zmuszeni byłiby się poddać, nie wytrzymawszy pragnienia.

Wilczarz wiedział, gdzie znajduje się ujęcie wody i dukt wodny prowadzący do wnętrza grodu. Jeśli człowiek chce się czegoś dowiedzieć, to się dowie. To tylko kwestia czasu.

Odszukał charakterystyczne kamienne rumowisko na brzegu. Zanurkował. Za piątym czy szóstym razem zdołał wreszcie namacać koniec podziemnego akweduktu. Wynurzył się, kilkakrotnie głęboko odetchnął. Wreszcie napełnił płuca powietrzem i ponownie zanurzył się w wodach rzeki.

\*

*- Mamo, uciekaj! - Szary Pies, który właśnie skończył dwanaście lat, podniósł z ziemi porzuconą przez kogoś krótką włócznię i skoczył w stronę komesa, który wybiegł zza spichlerza. - Mamo, uciekaj!*

*Zaprawiony w bojach woj od niechcenia machnął okrwawionym mieczem. Jednak młokos okazał się bardzo zwinny. Miecz świsnął nad jego rudą głową, z której nie spadł ani jeden włos. Chłopiec dał nura pod ramię Segwana i cienkie jak żądło ostrze włóczni utkwilo w twarzy komesa, pod brwiami.*

*- Mamo, uciekaj!*

*Kiedy go pojmano, brat zabitego komesa osobiście szczał chłopca psami. I zajadłe klócił się ze swoim wodzem, ale Winitariusz pozostał niewzruszony i nie pozwolił dobić pobitego jeńca. Na szczęście, powiedział. Na szczęście.*

\*

Zamek Ludojada zbudowali znakomici mistrzowie. Nie można było mieć nadziei, że przepłynie



się cały kanał i nie napotka przeszkody. I rzeczywiście niebawem ręce Wilczarza natrafiły na żelazną kratę - między jej prętami nie miał szans się precyzyjnie przesuwać. Szarpnął za kratę. Nawet nie drgnęła. Na chybił trafił chwycił ręką środkowy pręt, zaparł się nogami i zwałił się na niego całym ciężarem. W kopalni miał za zadanie obracać ciężkie koło, którym nabierano wodę z podziemnej rzeki, więc umiał korzystać ze swej siły. Teraz od uderzenia stracił resztkę powietrza z płuc, ale pręt ustąpił i ze zgrzytem się obłuzował - najpierw z gniazda wyszedł jeden koniec, a potem drugi. Droga była wolna, lecz Wilczarz obrócił się i co sił popłynął z powrotem, by zaczerpnąć powietrza. W tunelu mógł spotkać jeszcze niejedną kratę lub inne równie nieprzyjemne niespodzianki. Nie było sensu ryzykować.

Kilka razy odetchnął pełną piersią, ponownie zanurkował, wyminął kratę, szybko i zarazem ostrożnie popłynął dalej, dotykając ręką kamiennych płyt nad głową. Kiedy według szacunków znalazł się już w obrębie zamku, zaczął wyglądać słabego światełka, które by oznaczało, że studnia jest już niedaleko. Zamek nie należał do wielkich, ale światełka ciągle nie było widać. Wilczarz nie mógł opędzić się od myśli o setkach pechowych mścicieli, którzy w różnym czasie złożyli głowy - jedni już na początku wyprawy, z dala od celu, inni tuż przed szczęśliwym finałem. Ilu takich nieszczęśników przypadało na szczęśliwców, o których zemście potem układano legendy? A przecież wszyscy mieli nadzieję, że im nic złego się nie przytrafi, im nic złego stać się nie może...

Płuca zaczęły trawić ogień. Wilczarz zrozumiał, że nie da rady wrócić do rzeki, by znowu nabrać powietrza. Pomyślał, że tak czy inaczej zostanie tutaj - wtedy chociaż jego martwe ciało zatruje Ludojadowi studnię. Zaczął jeszcze prędzej przebierać nogami - przecież ten tunel nie mógł ciągnąć się w nieskończoność. Nagle jego ręka nieoczekiwanie przebiła powierzchnię wody. Momentalnie ją cofnął. Bliskość powietrza sprawiła, że duszności stały się nie do wytrzymania. Ostatkiem sił podpłynął do powierzchni i powoli, bardzo powoli wystawił głowę nad lustro wody.

Doskonale widział w ciemnościach. W kopalni nikt nie dbał o to, by pracujący pod ziemią niewolnicy mieli dość światła. Bez trudu dostrzegł kamienne stopnie i wał z ciężkim, zardzewiałym łańcuchem, którego końce umocowane były w jakiejś rurce. Zrozumiał, dokąd dopłynął.

Niewiele jest wart zamek, który nie ma tajnego przejścia, a najlepiej kilku. Łańcuch namotany na wał najprawdopodobniej podnosił kratę. A tunel był dokładnie takiej długości, by człowiek dał radę go przepłynąć i nie udusił się z braku powietrza po drodze. A więc dukt mógł być wykorzystany przez gońca, a w razie czego miał uratować drogocenne życie pana zamku. Ciekawe. Na pewno nie wszyscy mieszkańcy znali to tajne przejście. Wiedzieli o nim tylko najbardziej zaufani ludzie pana.

Tunel biegł dalej, zapewne do samej studni, ale Wilczarz nie zanurkował ponownie. Studnią wyszedłby na dziedziniec, a miał więcej szans dostać się do zamku niezauważonym, poruszając się podziemnymi korytarzami. Każde podziemia wcześniej czy później ktoś otworzy. Jeśli nie tej nocy, to następnej. Albo za tydzień. On poczeka. Umie czekać.

Wyszedł z wody, starannie wyjął włosy i spodnie, aby nie pozostawiać mokrych śladów ani

odgłosem padających kropeł nie zdradzić swojej obecności. Odwiązał przytroczoną do nadgarstka włócznię i ruszył przed siebie kamiennym korytarzem.

Dość szybko na jego drodze wyrosły wielkie dębowe drzwi. Okazały się zamknięte. No oczywiście, tajne przejście powinno od pozostałych części piwnic być odgródzone niewyróżniającymi się niczym szczególnym, ale mocnymi drzwiami. Jeżeli nie uda mu się ich otworzyć, powróci do tunelu i spróbuje dostać się do zamku przez studnię. Lepiej byłoby jednak sforsować tę przeszkodę.

W drzwiach nie było ani klamki, ani dziurki od klucza. Nic dziwnego. W zamieszaniu podczas ucieczki na pewno nikt nie zawracałby sobie głowy poszukiwaniem klucza do tych drzwi. I można przypuszczać, że na tej drodze raczej nie spotka wielu ludzi.

Ale jak tam wejść?

W grubych deskach tkwiło mnóstwo wykonanych z brązu nitów. Trzy pod silnym naciskiem palców zdawały się ciut ustępować. Wilczarz przystawił ucho do drzwi. Za nimi panowała cisza. Zaczął naciskać nity po kolei, w różnej kolejności. Nic to nie dało. Wtedy dwa z nich nacisnął rękami, a trzeci głową. W murze dał się słyszeć odgłos wody napelniającej jakieś naczynie. Drzwi drgnęły i ustąpiły. Najprawdopodobniej nie otwierano ich od długiego czasu, bo w lochach rozległ się straszliwy zgrzyt. Wilczarzowi zdawało się, że na ten dźwięk powinna się tu zbiec co najmniej połowa komesów. Ale kiedy ze wzniesioną kopią zajrzał do sąsiedniego korytarza, nie zastał tam żywej duszy. Tylko gdzieś za zakrętem kopcila pochodnia wstawiona w kabłąk na ścianie.

Drzwi za plecami Wilczarza zaczęły się powoli zamykać. Tajne przejście samo pilnowało swoich sekretów. Nie chciał tracić czasu na ustalenie, które nity otwierają drzwi z tej strony. Przecież nie będzie wracał.

Najpierw poczuł trupi odór. Tak mógłby cuchnąć człowiek, który przeleżał dziesięć lat w grobie, a na dodatek trapiiony był niezliczonymi chorobami i cielesnymi potrzebami. Skoro tak, snuł dalej swój wywód Wilczarz, smród musiał pochodzić jednak od żywej istoty. Najwidoczniej za zakrętem korytarza znajdował się więzień. I ominąć się go nie da.

To na pewno jakiś biedak, któremu długie przebywanie w lochach pomieszało zmysły. Na widok niespodziewanego gościa zacznie wrzeszczeć, jakby go ze skóry obdzierali, zbiegną się strażę, które cudem przegapiły zgrzyt otwieranych drzwi...

Życie dawno już nauczyło Wilczarza, że nie należy się zastanawiać nad takimi przeszkodami. Jeżeli wariat otworzy usta do krzyku, trzeba go ogłuszyć wcześniej, niż zdoła wydobyć dźwięk z gardła. A jeśli nie będzie innego wyjścia, to go udusić. Niewielka strata dla nieszczęśnika. Zrobił krok w kierunku zakrętu...

Budowniczy, który wznosił zamek i tak wspaniale zadbał o jego bezpieczeństwo, nie wiedząc czemu nie zbudował w nim porządnym kazamatów i sal tortur. Ludojad musiał potem naprędce przystosować do tych celów zwyczajne piwnice. Pod ścianą stała żelazna klatka, która służyła, jak się zdaje, i do przetrzymywania więźniów, i do torturowania. W klatce leżał nieprawdopodobnie chudy człowiek zakuty w łańcuchy. Patrzył prosto w oczy Wilczarzowi, który natychmiast pojął, że

to nie wariat. W pobliżu klatki znajdowały się drzwi. Ślady wokół świadczyły o tym, że prowadziły na zewnątrz. Wtem więzień się odezwał słabym głosem:

- Szanowny panie... - Mówił po segwańsku. Wilczarz zrozumiał, że więzień musi być ślepy, w przeciwnym bowiem razie nie odezwałby się do niego w tym języku. - Przekradasz się jak kot, a więc nie jesteś gońcem, którego oczekuje Winitariusz - ciągnął więzień. - Powiedz mi, młodzieńcze, jaka jest teraz pora roku?

- Wiosna - nieoczekiwanie dla samego siebie odpowiedział Wilczarz. Więzień bezbłędnie rozpoznał ledwie uchwytny obcy akcent i przeszedł na jego język ojczysty, język Wenów.

- Wiosna... - powtórzył i westchnął. - Pewnie czeremcha kwitnie.

Jego ciało było jedną wielką raną, gdzieniegdzie okrywały je cuchnące szmaty. Pod pokrytą wrzodami skórą sterczały żebra. W zapadniętej klatce piersiowej widać było drgania serca.

- Uczyń mi łaskę, młodzieńcze. Dobij mnie. Nie sprawi ci to trudu.

Wilczarz wiele razy widział zranionych wojów, którzy błagali towarzyszy, by skrócili ich męki. Jednego przez dwa dni niósł na własnych ramionach, nie słuchając jego wyrzeknięć i prośb.

Zauważył, że coś ślepcza zaniepokoilo. Chwilę potem sam usłyszał niespieszne szuranie cizem. Potem ktoś z tamtej strony wsunął do zamka klucz. Wilczarz wycofał się za załom, zanim drzwi zaczęły się otwierać. Czy więzień go wyda? Wilczarz wolałby nie podnosić larum aż do ostatniej chwili.

A co będzie, jeśli do podziemi zszedł sam Ludojad?

Nie, nie można na to liczyć, to głupie nadzieje, tyle szczęścia naraz po prostu nigdy się nie zdarza. Poza tym Ludojad nie zjawiłby się tu sam. Chociaż...

- Pan kazał spytać cię jeszcze raz - postyszał zza węgła. To nie był głos Ludojada. Mówiący te słowa raczej nie należał do tych, którzy lubią długie rozmowy. Natomiast na pewno nieobce mu było picie i tłuste, obfite jedło. Drzwi zaskrzypiały przeciągle, gdy się zamykały.

- Który to raz przychodzisz tutaj? - Człowiek w klatce wypowiedział te słowa ze śmiertelnym znużeniem. - Mogłeś już na pamięć nauczyć się mojej odpowiedzi. Zawsze brzmi tak samo.

Coś głucho stuknęło o podłogę i człowiek, który wszedł do lochu, burknął:

- Z wami, czarownikami, nigdy nic nie wiadomo.

Wilczarz bezgłośnie wyszedł zza węgła. Na niskiej ławeczce stojącej pod ścianą obok klatki przysiadł właśnie człowiek w kapturze naciągniętym na oczy. Wiązadła skórzanego fartucha ledwie starczały, by opasać jego mięsiste plecy. Pochylił się, by wyjąć z drewnianej skrzyni narzędzia pracy. Z przestraczem odskoczył dopiero wtedy, kiedy Wilczarz lekko uderzył grotem włóczni o kamień. Ród Szarego Psa uważał za hańbę zadawanie ciosów w plecy. Nawet jeśli chodziło o ludojadów. Albo katów.

Kat miał przy pasie wielki tasak, narzędzie rzeźników. Sięgnął doń muskularną ręką, ale za późno. Palce Wilczarza oplotły i zgniotły mu gardło. Kat zapomniał o tasaku i próbował się bronić, lecz po chwili zwiśł bezwładnie. Wilczarz rozprostował ręce. Ciężkie ciało jak worek opadło na podłogę, nieruchomo leżało w dziwnej pozie z nienaturalnie wykręconą szyją. Wilczarz pochylił się

i odciął trupowi od pasa wielki pęk kluczy.

- Jeśli chcesz, powiem ci, jak dostać się do skarbcza - dał się słyszeć głos dobiegający z klatki. - Tylko zaklinam cię na wszystkich twoich bogów, młodzieńcze, spełnij moją prośbę. Po jego karku moja szyja nie wyda ci się zbyt potężna...

Wilczarz przykucnął przy drzwiczkach klatki i zaczął sprawdzać, który klucz może je otworzyć.

- Lepiej mi powiedz - warknął - gdzie szukać Ludojada.

Nie spodziewał się sensownej odpowiedzi, tymczasem więzień odparł:

- Znajdziesz go na samej górze, w komnatach, gdzie odpoczywa... jeśli oczywiście zdołasz się tam dostać. Dzisiaj otrzymał w darze nową niewolnicę, zapewne skończył już biesiadę.

Trzeci lub czwarty z kolei klucz obrócił się w zamku. Drzwiczki zawisły na przerdzewiałych zawiasach, których nikt od nowości ani razu nie naoliwił.

- Nie kłamiesz? - burknął Wilczarz. - Skąd wiesz?

- Mówię prawdę - odpowiedział więzień i odrzucił do tyłu głowę, wystawiając cienką, pokrytą strupami, brudną szyję. Wilczarz spojrzał na nią przelotnie, zobaczył, jak pod skórą pulsują nabrzmiałe żyły. Jego naród uważał śmierć przez uduszenie za nieczystą. Biedak, widocznie został doprowadzony do ostateczności, skoro zgadzał się nawet na tak podły koniec. Wilczarz w milczeniu wziął suchą rękę więźnia - który odsunął się, najwidoczniej nie spodziewał się dotknięcia - i otworzył kajdany. Pasował do nich pierwszy z wybranych przezeń kluczy. Wilczarz doskonale wiedział, jakich kluczy używano do kajdan. Jeżeli mogło go coś zadziwić, to jedynie piękny kształt dłoni i długie palce ślepcy. Palce z wyrwanymi paznokciami.

- Dzięki ci, młodzieńcze - wyszeptał więzień głosem pełnym wzruszenia. - A więc nie umrę w kajdanach.

Najwidoczniej nie spodziewał się takiego obrotu spraw.

- W tamtej części korytarza są drzwi - powiedział Wilczarz. - Starczy ci zapewne rozumu, żeby znaleźć nity, które je otwierają. Dalej będą stopnie i tunel z wodą. Nabierz powietrza w płuca, zanurz się i pływaj w lewo. W tunelu jest krata, ale wyłamałem środkowy pręt, więc da się przepłynąć. Zaraz za kratą jest już rzeka. Jeśli chcesz żyć, dasz radę.

To była jak na niego bardzo długa przemowa. Wstał, wziął do ręki włócznię i otworzył drzwi, którymi wszedł tutaj kat. Nie słyszał już, jak więzień, dotykając bezwładną ręką drzwiczek klatki, wyszeptał:

- Wiem... Przecież zbudowałem ten zamek...

\*

Wilczarz przekradał się korytarzami i zastanawiał się, dlaczego oprawcy ze wszystkich znanych mu krajów czynili swą powinność i męczyli ofiary właśnie nocą. Zapewne by jasne słońce, Oko Bogów, nie dostrzegło tej niegodziwości skrywanej za grubymi kamiennymi murami. Jeszcze nigdy nie spotkał kata, który nie byłby tchórzem.

W domu Ludojada z kamienia zbudowano tylko podziemia, fundamenty wałów obronnych i dolną kondygnację. Resztę wzniesiono z drewna solidnych dębów, które niegdyś były ozdobą

sąsiednich wzgórz w rodzinnych stronach Wilczarza.

Niebawem już skończy się ich długa trudna służba... Od czasu do czasu Wilczarz wyciągał z woreczka przy pasie łuczywka i wtykał je w szpary pomiędzy bierwionami. Łuczywka były mokre, ślady krwi się rozmyły, prawie nie było ich widać. To nic. Nie przeszkodzi im to uczynić tego, co do nich należy.

Nikt nie stanął mu na drodze. Kilku wojów napotkał, wchodząc na górę. Trzech z nich było Segwanami, rodakami Ludojada, pozostali należeli do grupy najemników, którzy dawno już zapomnieli, jakież to naród powinien się za nich wstydzić. Wilczarz pomyślał sobie, że nie schować się przed nimi mógłby tylko noworodek. Tymczasem on miał za sobą jedenaście lat nieustannego ukrywania się - tylu wrogów na niego polowało...

Dwukrotnie minął coś w rodzaju świetlicy, gdzie martwym snem spali spici wojowie. Ledwie opanował pokusę, by lampę oliwną albo pochodnię umieścić tak, żeby ogień zajął ciężkie materie wiszące na ścianach. Brał się jednak w garść i szedł dalej, bezgłośnie przemykając pustymi korytarzami. Przedwcześnie podniesiony alarm nie byłby jego sojusznikiem.

Jeszcze raz pomyślał o tym, dlaczego kat nazwał więźnia czarnoksiężnikiem. Jeżeli dobrze rozumiał, to porządny czarodziej nie powinien być mieć żadnych trudności, by uciec na drugi koniec świata, porachowawszy się uprzednio z tym, który go skrzywdził, i obróciwszy zamek w perzynę. Chociaż kto to wie, może od razu nałożono mu kajdany, a poza tym przez długi czas nie dawano wody? Nie da się sprawić wielkich czarów, kiedy jesteś skuty i umierasz z pragnienia.

Najwidoczniej czarownikom też od czasu do czasu zdarza się popadać w tarapaty. Tak samo jak zwykłym ludziom. Nie czarami zapewne ujarzmił go Ludojad...

Uwolniony z klatki czarodziej zapewne już dotarł do rzeki. Wody ma w bród...

A jeżeli Ludojad parał się czarną magią? Jeżeli od samego początku wiedział, że Szary Pies się zjawi, i pozwolił mu wejść do zamku tylko po to, by schwytać go na progu?

Wilczarz zabronił sobie myśleć w ten sposób. Tak jak myśliwy, który wybrał się do lasu, wszelkimi siłami odgania od siebie myśl o niedźwiedziu.

Wyjął z woreczka ostatni pęczek łuczywa i włożył go pomiędzy najniższy rząd bierwion. Cokolwiek się teraz stanie, tej siły Ludojad nie zdoła pokonać. Przed nią nie ma ratunku, nie ma ucieczki. Tylko bogowie mogą ją okiełznać, nikt więcej. Więc jeśli kuns Winitariusz jeszcze nie nauczył się latać...

Wilczarz miał przed sobą spiralne schody prowadzące na górę. Zapamiętał wysokość wieżycy, kiedy przyglądał się zamkowi z drugiego brzegu rzeki. Czarownik powiedział: "Ludojad będzie na górze". Jednego można być pewnym - przy drzwiach komnaty czuwa strażnik.

Rozległ się przerażający krzyk dziewczyny i niemal jednoczesny odgłos czyichś kroków po skrzypiącej podłodze.

Nawet jeśli Ludojad naprawdę posiadał sztukę magii, to teraz przecież jest zajęty czymś innym.

Wilczarz zaczął wchodzić po schodkach. Wiedział, jak postępować ze stopniami, by nie skrzypiały. Miał sposób nawet na te najbardziej niepokorne.

\*

Dziewczyna na górze znowu zaczęła krzyczeć - jej krzyk był przeciągły i pełen rozpacz. Wilczarz niejednokrotnie słyszał taki krzyk. Ale szedł dalej i wchodził coraz wyżej. Bardzo chciał strażnika zaskoczyć. Schylony pokonał ostatni zakręt na schodkach i dopiero wtedy się wyprostował.

Przed nim w odległości dziesięciu metrów zamajaczyły szerokie plecy strażnika obciążone skórzaną kurtką. Spod kurtki wystawała kolczuga. Strażnik całym ciałem przylgnął do drzwi - chciał najwidoczniej podpatrzeć lub podsłuchać, jak się jego pan zabawia.

Wilczarz cicho zastukał zgiętym palcem w zewnętrzną część muru. Strażnik wzdrygnął się i obejrzał. Nawet nie próbował chwycić za miecz, był pewien, że to któryś z dowódców przytapał go na gorącym uczynku i za chwilę zbeszta go na czym świat stoi.

Ciężki nóż świsnął w powietrzu i po rękojeść wbił mu się w oko.

Wilczarz doskoczył, złapał osuwające się na ziemię ciało, położył je na podłodze i wyjął nóż. Potem ostrożnie sprawdził ramieniem drzwi. Jak należało się tego spodziewać - były zamknięte.

\*

Kuns Winitariusz, postawny mężczyzna o długiej jasnej brodzie, stał obok łoża, motając sobie na pięć kosmyk gęstych, jedwabistych włosów koloru smoły. U jego nóg wiała się na podłodze naga niewolnica - piętnastoletnia piękność o smukłym ciele i zwinności kotki. Winitariusz butem naciskał jej talię, a jednocześnie ciągnął za włosy, zmuszając ją do wygięcia się w pałąk. Pożerał ją wzrokiem, patrzył na nią jak na smakowite danie, które właśnie postawiono na stole.

Ten wyraz nie od razu zniknął z jego oblicza, kiedy drzwi zatrzeszczały i runęły, wpadając do środka komnaty. Otworzyły się nagle, niespodziewanie - gdyby z zewnątrz doleciał go szczęk broni czy odgłosy bójk, na pewno by je usłyszał.

Mógłby przysiąc, że nigdy wcześniej nie widział stojącego w drzwiach mężczyzny. Wydał mu się podobny do zdziczałego, wściekłego psa, który nie ustąpi nawet całemu stadu wilków. Przybysz trzymał w ręku krótką włócznię z szerokim, ostro zakończonym grotem. Z lewego ramienia ciekła mu krew - rozbił je o drzwi.

- Ktoś ty?! - wrzasnął kuns. Kątem oka zauważył buciory strażnika leżące koło drzwi i w tym momencie zrozumiał, że przybysz zajrzał tu nie przypadkiem. Przez chwilę Winitariusz zaczął się nawet przysłuchiwać, czy ktoś nie szturmuje zamku. Ale nie. Człowiek z włócznią był sam. Bogowie jeno wiedzą, jak pokonał wały, jak zdołał wyminąć czujne straże, jak bez jednego odgłosu rozprawił się ze strażnikiem czuwającym u drzwi komnaty. Tak czy inaczej był bardzo, ale to bardzo niebezpieczny. A drużyna, choćby wzywana wniebogłosy, nie zdąży przyjąć z pomocą.

Ludojad nie był tchórzem.

- Ktoś ty? - powtórzył, próbując zyskać na czasie.

Wilczarz w milczeniu przeszedł po monomatańskich dywanach, kiedyś wspaniałych, a dziś mocno zniszczonych. Nie przypomniał kunsowi o rodzie Szarego Psa i o chłopcu, którego nie dobił swego czasu, rzucając wyzwanie losowi. Zacząć rozmowę z wrogiem to znaczy przeciągnąć

niewidzialną, ale bardzo mocną nić, która czyni zabójstwo niemożliwym. Nie zaproponował też Winitariuszowi pojedynku. Nie chciał prosić bogów o sprawiedliwość. Przeszedł zabić Ludojada. Boży sąd nie był mu do tego potrzebny.

Winitariusz wypuścił z rąk włosy dziewczyny. Niewolnica błyskawicznie przeturlała się w kąt, uklękła i zapominając o swojej nagości, z zaciekawieniem przyglądała się temu, co dzieje się pomiędzy dwoma mężczyznami. W jednym z nich nagle dostrzegła swego wybawcę.

Kuns był doświadczonym wojownikiem i nie stracił dawnej sprawności, choć ostatnio znacznie przytył. Skoczył w stronę broni, która wisiała na ścianie, z zadziwiającą szybkością, której na pierwszy rzut oka trudno się było po nim spodziewać. Ale Wilczarz w tym właśnie momencie rzucił włócznią. Przeszyła brzuch Ludojada, odrzuciła go do tyłu, ze straszną siłą wbijając się w ścianę, i na dobre utknęła.

Nie minie celu cios, do którego ktoś szykował się przez jedenaście lat. A jeśli minie - to znaczy, że nie Wilczarz go wymierzył.

Przez kilka chwil Ludojad patrzył zdumiony na swój brzuch, na poprzeczne wzmocnienie grotu włóczni, które przygwoździło go do ściany. Potem chwycił za rękojeść i krzyknął. To był straszny, odarty z myśli krzyk śmiertelnie rannego zwierza.

\*

Wrzask Ludojada nappełnił cały zamek - tylko głuchy albo martwy mógł go nie usłyszeć.

Ale Wilczarz wiedział, że strażnicy nie przybiegną.

Bosymi nogami wyczuł drgnienie przebiegające przez dębowe ściany i grube dywany. Potem posłyszał przerażone głosy. Gdzieś na dole poruszały się bierwiona, trzęsły powały, podnosiły podłogi, ze strasliwym traskiem pękały ściany. Żadna siła nie powstrzyma nieokiełznanej siły drzewa, które wyrosło na skrzyżowaniu leśnych dróg i tam uszło. Tylko bogowie mogliby ją powstrzymać. Ale bogowie nie zechcą się do tego mieszać. Tego Wilczarz był pewien.

Przygwożdżony Ludojad ciągle jeszcze się ruszał i chrypiał, cały czas próbując, nie wiedzieć po co, wyciągnąć sobie kopię z rany. Na dywanie pod nim rozlewała się coraz większa ciemna kałuża. Wilczarz patrzył w drugą stronę - na południe, tam gdzie przebiegał trakt życiodajnego Słońca, gdzie rosło Wieczne Drzewo tworzące światy, gdzie w niebiańskim oceanie zieleniła się Wyspa Życia, święta Siedziba Bogów. Tam, na wyspę, odeszły dzieci Szarego Psa.. Tylko Wilczarz przeżył wszystkich, aby powrócić i zemścić się za wytracony ród, za zhańbiony dom, za zbezczeszczone ogniska. I oto zemsta się dokonała. Co jeszcze pozostało do zrobienia? Już niewiele. Zaśpiewać Pieśń Śmierci i wyjść na spotkanie praszczurów z grzebalnego stosu, w który za chwilę zamieni się zamek Ludojada...

Wilczarz zamknął oczy, opuścił ręce i zaśpiewał.

Tą pieśnią jego przodkowie żegnali zmarłych. Te słowa wypowiadali wojowie wywodzący się z jego plemienia, kiedy przyszło im stawać w pojedynkę przeciwko setkom wrogów. Wilczarz tylko dwa razy słyszał Pieśń Śmierci: na pogrzebie prababki, a potem dziadka. Doskonała pamięć dziecka chwyciła wszystko w lot. A potem miał długie jedenaście lat, aby nauczyć się każdego

słowa. Żeby sto razy powtórzyć tę pieśń dla każdego oddzielnie i dla wszystkich razem.

*Już się spieszy czas, przepływa jak piasek,  
choć nikt Jej nie prosił, Ona jednak przyszła.  
Mróz zdziera z drzew stroje - pełen liści lasek,  
lecz młode listeczki znowu z pąków wyrzają.  
Do innych już będzie uśmiechać się zorza,  
Nieproszonaś przyszła, lecz się nie ciesz, podła!  
Bo właśnie z ustami stykają się usta,  
i Życia pokonać nie zdołasz, nie zdołasz!*

Czy pieśń tę znała dziś jeszcze choć jedna żywa dusza? A może stara pieśń rozbrzmiewa po raz ostatni? Szaremu Psu nie urodzą się wszak szczenięta...

*Nieproszonaś przyszła, lecz na polu boju pokona cię siła, której nie znasz, marna. Niektórzy śnić będą twoje wieczne sny, lecz dożyją wiosny krzepko śpiące ziarna.*

Podłoga zaczęła drżeć coraz mocniej. Tłusty dym pożaru drapał w gardle, wpełzając przez otwarte drzwi. Dusze pomszczonych znowu będą mogły wcielić się w nowych ludzi i żyć na ziemi.

Wilczarzowi przemknęła przez głowę myśl: Czy uda mi się dośpiewać pieśń do końca?...

Nie udało się.

Do jego kolan ktoś przypadł. Ktoś drżący. Łkający. Niechętnie otworzył oczy, spojrzał w dół i rozpoznał niewolnicę. Patrzyła na niego z trwogą i nadzieją. Po jej delikatnych dziecięcych policzkach spływały łzy, oczami błagała o ratunek. Przed zakusami Ludojada, który jeszcze chrypiał pod ścianą. Przed wyuzdanymi najemnikami, którym miała się dostać nazajutrz. I w końcu przed zamkiem, który lada moment miał się rozpaść na kawałki...

W tym momencie od strony otwartego okna-strzelnicy doleciał ich przenikliwy pisk. Wilczarz odwrócił głowę i zobaczył, jak do komnaty wpadły - machając z całych sił błoniastymi skrzydłami - dwa wielkie nietoperze. Trzymały w łapkach długi kij, a pośrodku tego kija łapkami do góry wisiał Nielot Gacek. Ujrawszy Wilczarza, radośnie zapiszczał. Nietoperze wzleciały pod powałę, Gacek puścił kij i spadł wprost na głowę przyjaciela.

- Zgiń, przepadnij! - krzyknął Wilczarz. Usiłował wyplątać z włosów niesfornego zwierzaka, posadzić go znów na kij i wyprawić precz.

Nielot Gacek ugryzł go boleśnie w palec, piszcząc coś do swoich pobratymców, jak gdyby chciał im podziękować. Nietoperze cisnęły kij i wyleciały przez okno.

- Niech ci będzie - wymamrotał Wilczarz. Zaczęło do niego docierać, że nie dane mu będzie umrzeć tak, jak sobie życzył. Dwie niewinne ofiary na jego stosie pogrzebowym - to za wiele. Schylił się, przeciął nożem powróż, którym związane były ręce niewolnicy. Zdjął z łoża narzutę, wyciął w środku otwór i włożył dziewczynie przez głowę. Pobiegli w dół po schodach.

Wilczarz nigdy nie zapominał miejsca, w którym był choć raz. Mknął znaną już drogą z



pewnością gończego psa, który zwęszył świeży trop. Doskonale pamiętał, gdzie wetknął swoje łuczywka, gdzie widział pochodnie i gdzie stały kaganki, od których zajęły się bierwiona. Kiedy ogień przegrodził mu wreszcie drogę, zawahał się tylko przez chwilę, czy zdoła dostać się do następnych drzwi. W tej właśnie chwili z ognia wyskoczył z krzykiem przerażony do obłędu strażnik. Wilczarz usunął mu się z drogi, a strażnik, nie patrząc, pobiegł dalej. Płonęło na nim całe ubranie, ciągnął za sobą smugi dymu. Dziewczyna zaczęła wrzeszczeć ze strachu. Wilczarz objął ją ramieniem i pochylony rzucił się w środek płomieni.

Wilgotne włosy i skórzane pludry tylko częściowo chroniły go przed żarem. Zdało mu się, że z obnażonego torsu i bosych nóg ktoś mu zdiera skórę. Zasłonił przedramieniem oczy i jak strzała przebiegł dziesięć kroków. Już wybiegał po drugiej stronie zasłony ognia, kiedy ściana z prawej strony osunęła się z bolesnym jękiem. Płonące, zwęglone bierwiono oderwało się, opisało krąg w rozpalonym powietrzu korytarza i padając, uderzyło Wilczarza w bok. Upadł na podłogę, ale natychmiast się podniósł. Półprzytomny wiedział tylko, że żyje i że jeszcze ma siłę uciekać. Drugie schody były na wprost przed nim, jak zapamiętał. Rzucił się ku nim, przeskakiwał po cztery stopnie. Gdzieś daleko na górze dało się słyszeć wycie Ludojada. Wycie było tak głośnie, że słychać je było przez trzask płonącego zamku i krzyki miotających się na wszystkie strony ludzi. Zapewne ogień dotarł do komnaty kunsa. Potem wycie ustało. Już na zawsze.

\*

Wilczarz jeszcze kilka razy trafił na wojów. W ogóle nie zwracali na niego uwagi - zajęci byli poszukiwaniem drogi ucieczki. Jeden tylko zatrzymał się i podejrzliwie popatrzył na półnagiego, osmalonego nieznajomego, który włókł za sobą zapłakaną dziewczynę. Najemnik chciał nawet chwycić za miecz, ale Wilczarz, niewiele się namyślając, kopnął go w krocze. Żołdak zgiął się wpół i jak ryba chwycił powietrze pomieszane z dymem. Wilczarz wyminął go i pognął w stronę drzwi prowadzących w dół, do lochów. Zatrzasnął je, a na wszelki wypadek przekręcił klucz, który nadal tkwił w zamku od wewnątrz.

Po podziemiach snuły się siwe warkocze gryzącego dymu, ale najwidoczniej nikomu nie przyszło do głowy, żeby się tam zapuszczać. Nie było czym oddychać, naścienna pochodnia dogasała, z trzaskiem plując naokoło błękitnymi jęczyczkami. Dziewczyna cicho krzyknęła na widok martwego kata. Potem jeszcze raz, kiedy dostrzegła klatkę. Wyzwolony przezeń więzień nie zdołał nawet wypełznąć przez otwarte drzwiczki klatki. Sił wystarczyło mu tylko na to, by precyzyjnie głowę i ramiona. Leżał twarzą w dół, omdlałe ręce poruszały się leniwie, jak gdyby zbierały siły, by podjąć jeszcze jedną próbę.

Wilczarz szpetnie zaklął i nie zwalniając kroku, pochwyił więźnia wolną ręką. Kościste, potwornie brudne ciało zdało mu się lekkie jak piórko. Więzień poruszył się, westchnął, niewyraźnie wymamrotał "dziękuję" i zwisał jak mokra, cuchnąca szmata. Jeszcze kilka chwil i Wilczarz stanął przed drzwiami prowadzącymi do tajnego przejścia. Sprawdził nity - może któryś się podda i otworzy drzwi.

Był pewien, że zdoła je wyważyć, nawet gdyby nie udało mu się uruchomić ukrytych sprężyn.

- Pozwól, że ja spróbuję, młodzieńcze... - wyszeptał więzień. - Ja wiem...

Wilczarz nie zamierzał się spierać. Chwytał więźnia pod pachy i uniósł go przed sobą w górę, twarzą do drzwi. Przecież ten człowiek wskazał mu drogę do Ludojada, może nie łąze i teraz.

Lewą ręką Wilczarz czuł opętańczy stukot serca, które tłuło się w wątlutkiej piersi. Długie palce przebiegły po gładkich, oheblowanych deskach, znalazły jeden z nitów i - ku pewnemu zdziwieniu Wilczarza - wystukały na niej skomplikowany rytm. Dał się słyszeć w ścianie plusk wody, po czym rozległ się znany skrzyp i drzwi rozsunęły się na boki.

Dokładnie w tym momencie rozległ się straszliwy, przeciągły łomot. Zamek Ludojada zamieniał się w ogarnięte płomieniem ruiny. Ziemia się zatrzęsła, od ściany odpadła kamienna płyta, z hałasem osypał się piasek i drobne kamyczki. Pochodnia zasyczała i zgasła, uciekinierów ze wszech stron otoczyły ciemności. Ale najgorsze było to, że drzwi, które rozsunęły się na odległość trzech dłoni, zatrzymały się. Wilczarz naparł na nie z całej siły, chciał je rozhuścić i ruszyć z miejsca. Na nic.

Nie musiał mierzyć szczeliny, aby zdać sobie sprawę z tego, że dla niego jednego z ich trójki otwór jest zbyt wąski. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się po raz pierwszy od długiego, bardzo długiego czasu. A więc może zaśpiewać Pieśń Śmierci do samego końca. Teraz będzie miał na to czasu aż nadto. Ciekawe tylko, po co Pani Ludzkich Losów zechciała zatrzasnąć pułapkę akurat teraz, kiedy właśnie na serio zaczął mieć nadzieję na przeżycie.

Dlaczego nie było mu dane zginąć z honorem, błyskawiczną śmiercią w rozpadającym się zamku? Teraz będzie powoli umierał zamknięty w śmierdzącym podziemnym korytarzu jak szczur, w pobliżu trupa zaduszonego przez siebie kata.

A może bogowie dali mu jeszcze kilka chwil życia, by uratował tych dwoje? Co teraz ich czeka?

A może trzymanego w klatce więźnia nie bez kozery nazywano czarownikiem? Bo może zdołał splamić się służbą siłom Zła na tyle, że ten, co go wypuścił, musi zająć jego miejsce i sam przejść wszystkie męki, których jemu udało się uniknąć?

Wilczarz wydarł z włosów Gacka, który wiercił się niespokojnie i gryzł mu palce. Zawinał zwiernaka w rąbek tkaniny, którą miała na sobie dziewczyna. Nie chciał, żeby podrapał jej ręce. Podprowadził ją do drzwi - dziewczyna nic nie widziała w ciemnościach i przestraszona tuliła się do niego. Wypchnął ją na zewnątrz. Giętkie ciało bez trudu przecisnęło się przez szczelinę.

- Tam zaraz będą schodki, uważaj, nie przewróć się - powiedział do niej. Pochylił się nad bezwładnym ciałem czarownika i wyprawił go w ślad za dziewczyną. - Wejdz do wody i płyń na lewo, do tunelu. Nie bój się kraty, wyłamałem ją. Spróbuj też uratować Gacka, jeśli dasz radę. No, ruszaj.

Był zaskoczony tym, co stało się chwilę później. Dziewczyna rozpaczliwie zaszlochała, przecisnęła się z powrotem przez szczelinę i niezgrabnie go objęła, wtuliwszy mokrą twarz w jego nagi tors. Wilczarz zamarł oszołomiony, przez jakiś czas stał jak słup. Potem oderwał ją od siebie i ponownie wypchnął przez szczelinę. Wymierzył jej solidnego klapsa poniżej pleców.

- Idź już, do kogo mówię!

Przez głowę przemknęła mu przewrotna myśl: A może by tak spróbować wyjść przez drzwi, którymi weszli do podziemi? Przejście jest pewnie zasypane, ale może zdołałby się wydostać...

Po co tych dwoje - i Gacek - na nowo rozbudzili w nim pragnienie życia, skoro wszystko ma się tak skończyć?

- Moje dziecko - usłyszał cichy głos czarownika. Pomyślał z nadzieją, że może czarownik osiągnie prośbę to, czego on nie umiał wymóc groźbą. Ale czarownik miał na myśli coś innego. - Moje dziecko, może dosięgniesz do trzeciego od góry kamienia w tamtej ścianie, w kącie, naprzeciwko drzwi?

- Po co? - spytała dziewczyna, pochlipując.

- Widzisz, chodzi o to - gasnącym głosem zaczął wyjaśnienia czarownik - żeby nasz serdeczny przyjaciel mógł wyjść stąd razem z nami... Jeśli dosięgniesz, naciśnij ten kamień w dolnym rogu...

Człowiek obdarzony wzrostem Wilczarza z łatwością dosięgnąłby do trzeciego kamienia od góry, i to nawet bez wspinania się na palce, ale niewolnica była o dwie głowy niższa. Dotknęła ściany i zaczęła podskakiwać - w milczeniu, z uporem, raz za razem próbowała uderzyć piąstką we wskazane miejsce. Wilczarz zmęczony i zrezygnowany usiadł na ziemi. Starał się nie myśleć o tym, jak w porywie rozpaczki dziewczyna przywarła do niego taka szczuplutki, drżąca. Podniecenie wywołane walką z wolną w nim przygasało, do poparzonej skóry nie mógł się dotknąć, w prawym boku, który zaczął puchnąć, wzbierała fala bólu.

- Trzeba mi było inaczej rozmieścić czujniki - wymamrotał czarownik. - Chociaż...

Wilczarz nie zrozumiał uczonego słowa. Ale nie zapytał, co ono znaczy.

- Dość już tego! - krzyknął co sił w piersiach. - Uciekajcie! Jego okrzyki nie wywarły żadnego skutku.

- Dziecko - zaskakująco spokojnie powiedział czarownik. - Podejdź tutaj. Usiądź. O tak. Podaj mi rękę... Wiem, że teraz na pewno dasz radę. Na pewno. Spróbuj.

I dziewczyna rzeczywiście tym razem dosięgła. To był może sto pierwszy, a może dwieście pierwszy raz. Silne nogi uniosły ku górze lekkie ciało, a rozbita do krwi piąstka uderzyła kamień - trzeci od góry w przyległej ścianie. Z początku nic nadzwyczajnego się nie stało. Ale potem jakaś nieludzka siła naparła na drzwi, bez trudu rozwalając zarówno drewniane części z mocnego dębu, jak i wielkie brązowe nity. Wilczarz wstał i otworzył oczy. Widział w ciemnościach, więc natychmiast dostrzegł, że kamienny strop zaczął się powoli obniżyć. Usłyszał krzyk czarownika ugodzonego kawałkiem kamienia. Strop obniżył się mniej więcej do połowy wysokości korytarza, drzwi były niemal całkowicie zgniecione. Maszyneria nagle się zatrzymała. Wilczarz wybił nogą resztki drzwi i żwawo przeskoczył na drugą stronę. Znowu wziął czarownika na rękę i w milczeniu ruszył przed siebie w stronę schodów. Wiedział, że za chwilę zanurzy się w chłodnej wodzie podziemnego tunelu, za którym czeka go wolność.

\*

Słońce sięgało zenitu, zbliżało się południe. Wilczarz siedział na brzegu rzecznej zatoczki, objął ramionami kolana i nie myślał o niczym.

Wczoraj chciał z własnej woli zakończyć życie. Taki zamysł nigdy nie przemija bez echa, nawet jeśli pragnienie śmierci było chwilowym porywem. A dla Wilczarza to był cel, do którego dążył jedenaście lat. Dla którego żył. Dla którego mnóstwo razy udawało mu się przeżyć. Nigdy się nie zastanawiał, co będzie potem. Potem? Po co? Dla kogo i dla czego? "Potem" po prostu nie istniało.

Wczoraj życie się skończyło. Dalej...

Siedział nieruchomo i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Głowę miał pustą jak rozkopany grób, do którego zapomniano złożyć zmarłego.

Nieopodal czarownik wystawiał swoją ślepą, ale pełną szczęścia twarz na pieszczotę promieni słońca. Leżał wymyty do czysta, na dziurawym prześcieradle, częściowo w nie zakutany. Nielot Gacek, który nie ufał obcym, rozsiadł się na jego brzuchu i nie sprzeciwiał się głaskaniu - palce czarownika z uwagą obmacywały porwane skrzydło.

Wilczarzowi na dobrą sprawę było wszystko jedno, kim jest ten człowiek. Lecz na dnie duszy tlił się maleńki ognek zwyczajnej ciekawości. Wczoraj był przekonany, że wyniósł z podziemi wiekowego starca, ale bardzo się mylił. Poplątane, pozbawione koloru włosy, brudne i zawszystone, po zaznajomieniu się z korzeniem mydlinicy i kościanym grzebieniem, który Wilczarz odnalazł w swojej sakwie, zamieniły się w puszyste popielate kędziory sięgające czarownikowi niżej pasa. Urosły tak przez lata spędzone w lochach i teraz prosił, żeby mu je przystrzyc jak najkrócej, ale Wilczarz stanowczo odmówił. Najwidoczniej w klatce zgłupiał - można to zrozumieć. Ale może nie do tego stopnia. Ledwie wyszedł na wolność, a już chce rzucić swe włosy na pastwę sił nieczystych i złych czarowników! Jeszcze tego brakowało!

Czarownik miał niezwykle oczy. Takich Wilczarz nigdy w życiu nie widział: ciemnofioletowe, nieco jaśniejsze przy źrenicach. Kiedy się uśmiechał - a uśmiechał się często - w oczach zaczynały mu tańczyć złote słoneczne ogniki. A jeśli chodzi o ciało, to - pomimo straszliwego wychudzenia - wcale nie było ciałem starca.

Wilczarz nie zamierzał go o nic wypytywać.

Dziewczyna brodziła w wodzie po kolana. Miała na sobie zapasową koszulę Wilczarza ze zbyt długimi jak dla niej rękawami. Palcami nóg z wprawą odnajdywała na dnie zeszłoroczne wodne orzechy i składała je na brzegu, żeby wyschły. Orzechy nadawały się do jedzenia, nawet były dość smaczne, a ich sok uważano za leczniczy. Tym sokiem wraz z Wilczarzem już kilkakrotnie obmyli od stóp do głów bez protestu poddającego się ich zabiegom czarownika. Potem Wilczarz natarł nim swoje oparzenia. Dziewczyna chciała mu pomóc, ale nie pozwolił.

Powiedzieć, że była piękna, to nic nie powiedzieć. Zresztą wśród piętnastoletnich dziewcząt nie spotyka się brzydkich, chyba że los się z nimi obchodzi niełaskawie. Ale ona była niewiarygodnie, po prostu bezczelnie piękna. Wilczarz co rusz popatrywał na nią. Taką dziewczynę łatwo sobie wyobrazić, jak prowadzi na jedwabnej wstążce kozicę. A może i królewskiego lamparta.

Żeby chcieć zniszczyć takie piękno, trzeba rzeczywiście być Ludojadem...

I pomyśleć, co by się stało, gdyby wczoraj nie udało mu się wyłamać prętów z kraty

przegradzającej podziemny tunel. Albo otworzyć drzwi prowadzących do lochów. Albo gdyby strażnicy byli mniej pijani i złapali go w drodze do komnaty. Albo gdyby chybił, rzucając włócznią... chociaż nie, akurat to się nie mogło wydarzyć.

I pomyśleć, że ona szamotałaby się teraz w łapach rechoczących zwyrodnialców. Albo półżywa, zwinięta w kłębek dogorywałaby gdzieś w komórce...

- Co tu tak pachnie? - nieoczekiwanie odezwał się czarownik. - To jakiś znajomy zapach...

Wilczarz długo nie odpowiadał. Wreszcie rzekł:

- Czeremcha kwitnie.

Nie lubił mówić. Na dodatek mówienie sprawiało mu ból - potłuczone żebra czuł przy każdym ruchu, przy każdym oddechu.

- Czeremcha - powtórzył czarownik i błogo się uśmiechnął. Dziewczyna rzuciła na brzeg jeszcze jeden orzech i wyszła z wody.

- Narwać ci, panie?

- Skądże znowu - wystraszył się ślepiec. - Niech sobie żyje, niech sobie rośnie.

Mówili w języku Wenów. Czarownik czysto, dziewczyna - z silnym południowym akcentem. Wilczarza drażniły te pogaduszki. Odwrócił się, ale zdążył jeszcze kątem oka zauważyć, jak dziewczyna przysiadła obok czarownika, wyjęła grzebień i zaczęła rozczesywać jego długą brodę.

Wczoraj wielki i silny mężczyzna omal nie pozostał w lochach na pewną śmierć - jakże w takiej sytuacji mogła nie przytulić się do niego z płaczem? Za to dzisiaj pomocy i pieśczoły potrzebuje ten drugi, który na dodatek jest miły i skłonny do rozmowy.

- Wilczarz ma rację, a Ludojad nie - znowu nieoczekiwanie odezwał się czarownik.

Zwracał się zapewne do dziewczyny, ale Wilczarz drgnął ze zdumienia, a potem - z powodu bólu w boku. -Co? Był pewien, że nie powiedział im, jakie nosi imię.

- Nic - z nieudawanym zdumieniem odpowiedział czarownik. - Wybacz, jeśli cię obraziłem. Przypomniałem po prostu stare przysłowie twojego narodu, jedyne, w którym wymienia się imię Ludojada... Kim jesteś, młodzieńcze?

Żaden człowiek obdarzony wzrokiem nie nazwałby tak Wilczarza. Ciekawe, co powiedziałby czarownik, gdyby mógł zobaczyć jego szramy, siwe kosmyki we włosach i złamany nos. Wilczarz nie chciał odpowiadać na to pytanie. Milczał. Ale więzień, który w podziemiach przez długi czas nie miał z kim rozmawiać, nie dał się tak łatwo zniechęcić.

- Początkowo myślałem - kontynuował - że jesteś grabieżcą. Kiedy powróciłeś z dziewczyną, pomyślałem, że jesteś jej krewnym. Ale wywodzicie się z różnych plemion, a ty nie jesteś jej narzeczonym. Wybacz mi moją ciekawość i powiedz, kim jesteś, młodzieńcze.

Wilczarz nadal milczał. Wiele by oddał za to, by znowu być sam.

- A ty, dziecino, jak masz na imię? - spytał czarownik. Wilczarz nadstawił ucha.

- Neelith, panie...

Wilczarz pomyślał w głębi duszy, że to imię wyjątkowo dobrze do niej pasowało. Jak dzwoneczki w polu poruszane wiatrem nad wieczorem. Neelith...

- Skąd jesteś?

- Z Sakkarem, panie... Jestem sierotą.

To niemożliwe, pomyślał Wilczarz. Sierotą jest ten, kto nie ma nikogo, żadnych krewnych, ani dalekich, ani bliskich, ani ze strony matki, ani ze strony ojca... kiedy nie ma kto wystąpić w twojej obronie.

- Moi rodzice zmarli w czasie zarazy... niech krótka będzie ich droga i szeroki most - mówiła cicho dalej. - Wychowywali mnie wuj i ciotka. Byli dla mnie bardzo dobrzy. Chcieli mnie sprzedać za żonę sąsiadowi. Ale potem przyjechali handlarze niewolnic i wujostwo sprzedali mnie im...

Plemię Wilczarza od dawien dawna uważało mieszkańców Sakkarem za lud rozpustny i pozbawiony honoru, niegodny szczodrego słońca, bogatej ziemi i wielu innych niepomiernych dóbr, które dostały się im niezasłużenie, zapewne przez nieuwagę bogów. Ale żeby do tego stopnia! Żeby sprzedać swoje dziecko! Najświętsze, co jest na świecie!

Taką rodzinę trzeba by zatłuc.

- Chciałabyś tam wrócić, Neelith? - zapytał czarownik.

- Nie, nie! - wyrwało jej się. - Chcę być z tobą, panie... i z tobą, panie - zwróciła się do Wilczarza, a na jego wargach pojawił się krzywy uśmiešek. - Niech deszcz omywa wasze stopy...

- Ładni z nas panowie! - Czarownik roześmiał się z cicha i natychmiast się poprawił: - W każdym razie mówię o sobie. Mam na imię Tilorn.

Wilczarz początkowo nie uwierzył własnym uszom, a potem uznał, że ten człowiek od długiego siedzenia w klatce rzeczywiście postradał zmysły. Sam Wilczarz w ogóle nie miał ludzkiego imienia, ale nawet swojego przezwiska nie wypowiedziałby na głos przy obcych. Wróg może pozbawić życia tylko ciało, a zły czarodziej może sprowadzić przekleństwo na duszę. Nie wytrzymał i rzekł:

- Pewnie jesteś z bogów! Słyszałem, że oni nie boją się wypowiadać swojego imienia na głos!

- Z bogów? - W niewidzących oczach rozbłysły słoneczne iskry. - Nie, skądże znowu. Nawet nie jestem czarownikiem, chociaż niektórzy tak na mnie mówią. Po prostu moja wiara uczy, że brud nie ima się tego, co czyste, nawet jeśli ktoś pozna moje imię.

I ta twoja wiara doprowadziła cię do klatki, chciał powiedzieć mu Wilczarz, ale nie powiedział. Po pierwsze, obca wiara to rzecz bardzo złożona i delikatna, dotknąć jej to grzech. Po drugie, z bogami jego własnego narodu zdarzały się gorsze rzeczy niż z tym Tilornem. Po trzecie, Tilorna brud zaiste się nie imał.

Zresztą wszystko to było Wilczarzowi głęboko obojętne.

- A ty co, odważne serduszko? - mówił dalej Tilorn, drapiąc mrużącego oczy Gacka pod brodą. - Mógłbym wyleczyć twoje skrzydełko. Potrzebny mi tylko ostry nóż, igła z jedwabną nitką i mocna gorzałka, żeby zdezynfekować...

W tym momencie obojętność Wilczarza gdzieś się ulotniła, jak mgła, którą rozwiał wiatr. -Co?

- Zdezynfekować - wyraźnie powtórzył Tilorn. - Bo widzisz, przyjacielu, infekcja zaraża rany, rany ropieją i gniją. A mocna gorzałka zabija infekcję. Dezynfekcja to...

- Pytam, czy naprawdę możesz to zrobić, czy tylko tak gadasz - przerwał mu Wilczarz. - Przecież jesteś ślepy. Co się stanie, jeżeli Gacek będzie chciał uciec? To zwierzę nie wytrzyma bólu przy zszywaniu.

Tilorn lekko wzruszył kościstymi ramionami.

- Zdobądź to, o co cię proszę, a sam się przekonasz. - Po chwili namysłu z westchnieniem dodał: - Mógłbyś mi pomóc wstać, młodzieńcze? Nogi niestety odmawiają mi posłuszeństwa, a nie chciałbym pokalać prześcieradła, którym z taką troską mnie owinęliście...

Wilczarz schylił się i wziął go na ręce jak dziecko. Żebra zareagowały dzikim bólem, przed oczami zatańczyły zielone kręgi. Nic to, nie pierwszy raz. I widzą bogowie, nie po raz ostatni. Czuł się tak, jak gdyby stopniowo budził się z długiego, bardzo długiego snu. Wiatr był ciepły i rzeczywiście pachniała czeremcha. Gacek musi znowu latać. Trzeba kupić mocną gorzałkę i jedwabne nici. Trzeba przyodziać dziewczynę o imieniu Neelith i wystarać się dla niej o jakieś korale na szyję. Jakiegokolwiek - choćby z kolorowych szkiełek, które wędrowni handlarze próbują sprzedawać jako halisuńskie szafiry. No i jeszcze trzeba trochę odkarmić tego Tilorna, dusza ledwie się w nim kołacze...

Pustka, którą widział przed sobą, powoli się zapełniała.

Zaniósł chorego mędrca za krzaki, pomógł mu się wyprostować i wymamrotał:

- Zwą mnie Wilczarz.

*Możesz wyprawiać się w dalekie kraje,  
możesz miecz szczybić lub zboże młócić,  
możesz z rozstajów iść na rozstaje,  
jeżeli tylko masz dokąd wrócić.*

*Możesz postawić żagle dumne,  
możesz żeglować na świata skraj,  
jeżeli tylko masz dokąd wracać,  
jeżeli czeka na ciebie kraj.*

*Możesz stawać na ubitej ziemi  
i z mieczem w ręku bronić honoru,  
jeżeli wiesz, że ktoś na ciebie czeka,  
jeżeli wiesz, że cię wygląda z okna domu.*

*A kiedy już zarośnie ścieżka  
i nie będzie końca rozłące,  
nagle dreszcz przebiegnie ci plecy.  
"Po co?".  
I opuścisz ręce.*



## **Rozdział 2**

### **Koralik z kryształu**

*Pieczara. Pochodnie kopcą. Skrzydlate cienie błędzą po sklepieniu.*

*Krew na ścianach.*

*Rosły, kościsty chłopak leży twarzą do ziemi. Ręce i nogi ma zakute w dyby. Wilk, który go pilnuje, odrzuca zakrwawiony bicz, bierze pełną garść gruboziarnistej soli i posypuje obnażone plecy leżącego. Skuty młodzian wije się, ale milczy. Pod jego ramieniem, przyłgnąwszy do ciała człowieka, pochlipuje ze strachu i bólu wielkouchy czarny zwierzaczek, jego skrzydło zwisa bezwładnie, rozcięte uderzeniem bicza.*

*Dyby w kopalni są kamienne, wypolerowane ciałami niezliczonych, pozbawionych imienia niewolników...*

\*

Wilczarz zadrżał na całym ciele, obudził się i wyczuł coś niepokojącego.

Ponad wzgórzami wstawał chmurny świt. Krople deszczu zsuwały się po skraju tkaniny i z chlupotem wpadały do kałuży, z której sterczały mokre głownie. A jak cudownie ogrzewały go swoim ciepłem wczoraj wieczorem. Teraz nic już nie przypominało o ciepłe.

Na całym świecie nie było już ciepła oprócz tych kilku maleńkich okruszków, które znalazły schronienie pod starym płaszczem... W każdym razie z tej strony, gdzie ramię Wilczarza stykało się z kościstymi plecami Tilorna.

W piersiach i na plecach czuł dreszcze, bąble popękały i pokryły się cienką warstewką strupów. Siwy świt wydawał się oślepiająco jasny, boleśnie, do łez, raził w oczy. Budziła się pamięć ciała, jak zawsze wtedy, kiedy z Wilczarzem było naprawdę źle. Prawy bok spuchł jak bania i potwornie bolał.

Neelith spała po drugiej stronie Tilorna. Jej czarne kędziory, splotły z jego popielatymi włosami. Wilczarz ostrożnie odsunął się, usiadł, krzywiąc się z bólu, i okrył ich wystrzępioną wełnianą tkaniną - niech nie marzną.

Nielot Gacek - jak to miał w zwyczaju - wisiał na rozpórce podtrzymującej materię, służącą im za osłonę.

Niedługo będziesz znowu latał, obiecał mu Wilczarz w myślach. Zwierzak w tym momencie otworzył ślepką podobną do lśniących czarnych paciorków, słodko ziewnął i znowu schował wielkouchy łebek pod skrzydło. Już dawno temu porzucił nocny tryb życia, nauczył się spać o każdej porze dnia i nocy, kiedy tylko nie działo się nic ciekawego. Wilczarz wygramolił się spod osłony i wystawił twarz na drobne kropelki chłodnego deszczu. Najpierw obejrzał dokładnie krąg, którym obwiodł wczoraj wieczorem swoje małe obozowisko. Nocą nikt się tu nie zbliżył, nikt nie naruszył wyznaczonej przestrzeni. Wilczarz zerknął na drewnianą rozpórkę, policzył nacięcia. Dwa nacięcia - dwa dni. Dzisiaj będzie trzeci.

Wiedział, że nocą znacznie padać, zawczasu przygotował więc suche drwa. Chłód mu bardzo doskwierał, coś piekielnie nieprzyjemnego uciskało w piersiach i przeszkadzało oddychać. Znowu rozpałił ognisko, przyniósł wody i powiesił nad ogniem kociołek. Jeszcze raz wyszedł poza krąg i schylił się, by nazrywać młodziutkich listków poziomki.

\*

*Kiedys dawno, bardzo dawno temu mały chłopiec z rodu Szarego Psa zobaczył człowieka, który z workiem na plecach przyszedł pod wioskę na nartach. Na plecach miał worek. Człowiek ów usiadł na śniegu przy opłotkach i czekał. Z nikim nie rozmawiał, nie podnosił wzroku. Wreszcie z domu wspólnoty wyszła po niego starsza, chwilę porozmawiali, a potem kobieta otworzyła przed nim bramę.*

*- Kto to? - spytał chłopiec matkę.*

*- Sierota - odpowiedziała matka. - Pochodzi z plemienia Welchów. Nie ma żadnych krewnych, a wszystko, co do niego należy, ma ze sobą w worku.*

*Przez cały dzień chłopiec miał ogromną ochotę, by pójść do domu wspólnoty i z bliska przyjrzeć się temu dziwnemu człowiekowi, który nie ma -jak to możliwe?! - ani krewnych, ani swojej chaty. Sierota, a więc człowiek wolny. Rób, co chcesz, i tak nikt cię nie spyta, co robisz i dlaczego. Ale każdy może cię skrzywdzić, nie lękając się zemsty, dlatego że nie będzie się miał kto za ciebie mścić...*

*I chłopiec zaczął zastanawiać się nad tym, jak to ciekawie jest być sierotą, lecz potem przypomniał sobie, jak po raz pierwszy sam poszedł na polowanie - i zrobiło mu się jakoś strasznie. Zrozumiał, że sieroty nikt się tutaj nie spodziewał, nikt nie wyglądał go, zmarzniętego i zmęczonego długą wędrówką przez zimowy las, nikt nie czekał nań w ciepłe domostwa z miską kapuśniaku.*

*Kilka miesięcy później, kiedy chłopiec miał otrzymać imię, sierota z plemienia Welchów walczył za siedmiu i przez cały czas śpiewał jakąś pieśń w swoim języku - śpiewał, aż został powalony i zarąbany.*

*Widocznie Welchowcie też mieli swoją Pieśń Śmierci.*

\*

Woda zaczęła wrzeć. Wilczarz zdjął kociołek z ognia, wrzucił garść słodko pachnących liści, przykrył i poszedł się umyć do strumienia.

Wspaniały zapach wnet obudził Neelith. Wilczarz zobaczył, że dziewczyna otworzyła oczy, wzięła nóż i zrobił na rozpórce jeszcze jedno nacięcie. I pomyślał, że dzisiaj można by zapleść włosy. Synowie Szarego Psa rozpuszczali włosy tylko z jakichś ważnych okazji, kiedy trzeba było wzmocnić ducha. Na przykład przed polowaniem na niedźwiedzia.

Albo przed zemstą...

Neelith obciągnęła koszulę, wysunęła się spod płaszcza i pokłoniła Wilczarzowi. Chwilę potem zniknęła w mokrych krzakach. Wilczarz rozczesał włosy, zaplótł dwa warkocze, przewlekając kosmyki z dołu do góry na znak, że wielka sprawa się dokonała. Dziewiątego dnia zaplecie je

inaczej, oddając tym samym wielką sprawę we władanie przeszłości.

- Panie, jesteś chory - powiedziała Neelith, kiedy wróciła z nad strumienia.

Z niechęcią pomyślał, że nie udało mu się skryć dreszczy, które wstrząsały jego ciałem. Podniósł głowę, a dziewczyna pospiesznie wyciągnęła rękę, by dotknąć jego czoła. Wilczarz nie znosił troski innych. Ledwie się opanował, by jej nie odepchnąć. Palce Neelith okazały się lekkie i chłodne - nie zimne, lecz kojąco chłodne. Chęć, by ją odepchnąć, jakoś wyparowała.

- Masz gorączkę, panie - powiedziała dziewczyna i cofnęła rękę. Kiwnął głową w milczeniu. Wielkie rzeczy, sam doskonale wiedział, że

ma gorączkę. Też mi temat do rozmowy. Jak gdyby od gadania mogło mu się poprawić. Albo miała mu przejść ochota, żeby iść przed siebie.

- Gdybym był choć trochę silniejszy, mógłbym... - odezwał się Tilorn. Wilczarz nie zaszczycił go odpowiedzią. Tilorn podniósł dłoń do twarzy, nie wiedząc czemu przesunął nią kilka razy przed oczami i z westchnieniem schował rękę pod płaszcz.

Mieli kilka pieczonych ryb. Pierwszego dnia, jeszcze jak byli nad rzeką, Neelith poprosiła Wilczarza, żeby jej zrobił oszczep z gałęzi leszczyny. Zdziwił się, ale prośbę spełnił. I Neelith, wychowana nad rozlewiskami Sakkarem, zaczęła z niezwykłą wprawą wyławiać karpie, które przyływały na żer do zatoczki, a potem zapiekła zdobycz w węgielkach, pomazawszy rybę łuski gliną.

Kiedy Wilczarz pomagał kalece w myciu, Neelith wyjęła tłustą rybę i zaczęła ją czyścić. Wilczarzowi zakręciło się w głowie od samego zapachu jedzenia. Neelith podała mu spory kawałek karpia na liściu łopianu. W milczeniu pokręcił głową i odwrócił się. Dziewczyna nie miała śmiałości, by namawiać go do jedzenia, i odeszła nakarmić Tilorna. Wilczarz obojętnie słuchał, jak chwali on i strawę, i tę, która ją przygotowała. Nielot Gacek opuścił swoje miejsce na rozpórce i teraz pracownicy pożerał pęcherz i mięsisty ogon ryby.

Wyszczerbiony gliniany kubek służył całej trójce. Wilczarz jako ostatni pociągnął tęgi łyk wystygłego naparu. Z obrzydzeniem przełknął napój i wypluł resztki listka, które pływały w wywarze. Jeszcze raz popatrzył na trzecie nacięcie, wstał i poszedł do lasu. Wrócił po jakimś czasie z cienką, równą tyczką z osiny zaostrzoną na jednym końcu. Opalił ją nad ogniem i podał Neelith.

- Trzymaj!

Zalał ognisko wodą. Bóg Ognia, jak wiadomo, czuje się śmiertelnie obrażony, jeśli ognisko zdeptuje się nogami. Węgielki zasyczały - najpierw gniewnie, potem żałośnie. Kiedy ucichły, Wilczarz zakrył je przyniesioną wczoraj darnią. Niewprawne oko nie zauważy śladów ich noclegu.

Obok namiotu stał wielki kosz. Wilczarz uplótł go jeszcze nad rzeką, kiedy Neelith łowiła karpie. W koszu posadził Tilorna, zawiniętego dla ochrony przed deszczem w narzutę, a on z przyzwyczajenia zgiął kolana i podciągnął je pod brodę. Wilczarz wsunął ręce w uplecione ze sznurka szelki, wziął worek i skinął na Neelith.

- Idziemy.

\*

- Wstyd mi, że jestem ci ciężarem - powiedział Tilorn. - Ale skoro tak już jest, powiedz nam, dokąd idziemy.

Wilczarz nie wiedząc czemu przypomniał sobie, jak z Neelith dopiero co pomagali kalekiemu mędrcomu sprawiać zwykłą potrzebę fizjologiczną, a potem obmywali jego bezradne nagie ciało i opatrywali niezliczone rany. Tilorn tylko im dziękował, z bólu zdychał i zawstydzony starał się obracać wszystko w żart. Żeby tak przyjmować pomoc, też trzeba było znaleźć w sobie wiele męstwa. Wilczarz coś o tym wiedział.

- Idziemy w stronę kupieckiego traktu - powiedział. - Niedaleko jest wioska... Nazywa się Wielki Pohost. Tam zatrzymują się kupcy, którzy udają się do Haliradu.

- Halirad... - powtórzył Tilorn, jak gdyby mgliście coś sobie przypominał. - To w krainie Solwenów?

Kosz się zakołysał. Nielot Gacek drzemał na ramieniu Wilczarza, Neelith szła obok, niosła obie włócznie - leszczynową i osinową.

- Tak, to tam - powiedział Wilczarz. I po raz pierwszy bez dodatkowych pytań sam zaczął mówić. - Najlepiej byłoby nad Świątynią, ale jeżeli ktokolwiek będzie nas szukał, to przede wszystkim nad rzeką.

- Chcesz przystać do kupców? - zainteresował się Tilorn.

- Nie przystać - mruknął Wilczarz. - Najmę się. Ludziom, którzy parają się handlem, często przydają się ci, którzy parają się bronią... żeby chronić towary. Jak dojdziemy do Haliradu, zobaczymy, co robić dalej.

\*

Szli przez cały dzień, prawie nie przystając - Wilczarz nie chciał tracić czasu po próżnicy. Urządził tylko jedną przerwę na odpoczynek, przy maleńkim źródełku. Neelith, Tilorn i Nielot Gacek dojedli karpia. Wilczarz znowu odmówił strawy.

- Panie... - z żalem w głosie zaczęła Neelith, ale długie palce Tilorna dotknęły jej dłoni.

- Nie trzeba, dziecino - powiedział cicho. - Nasz wybawca na pewno wie, co robi.

Wilczarz ukląkł przy źródle i długo, z rozkoszą pił. Kiedy wstał, pokłonił się źródłu jak szczodrej gospodyni, która hojnie ugościła wędrowca.

Słońce pod wieczór wyjrzało zza chmur, osiadało już na szczytach odległych wzgórz. Wilczarz zaczął rozglądać się za miejscem na nocleg. Tego wieczoru wybierał miejsce ze szczególną uwagą. Obojętnie minął kilka wspaniałych na pierwszy rzut oka zakątków, gdzie było pod dostatkiem wody i gdzie wiał wietrzyk, który rozgoniłby komary. Wreszcie zatrzymał się w miejscu oddalonym od strumyka o dobre dwieście kroków, pod wielkim starym dębem o rozłożystych konarach. Postawił kosz przy samych korzeniach drzewa, rozgrzebał stare liście i położył tam Tilorna. Kaleka uśmiechnął się z wdzięcznością i westchnął, z przyjemnością wyciągając przed siebie chude nogi.

Zachodzące słońce zniknęło za przezroczystą zasłoną deszczu. Pół nieba płonęło chłodnym

purpurowym płomieniem, a na wschodzie zza wzgórza wylaniała się niewielka tęcza o czerwonym odcieniu.

Wilczarz przywłókł skądś gruby konar i długo odzierał go z kory, aż wreszcie dotarł do suchego białego drewna. Rozpalił ognisko z dala od dębu, aby nie niepokoić i nie obrażać wspaniałego drzewa. Kiedy słońce w połowie schowało się za chmurami, zakreślił krąg wokół ogniska, namiotu i drzewa, pod którym się schronili. Tyle że tym razem kreślił krąg nie nożem, lecz ojcowskim młotem, wlokąc go po ziemi.

Nadal miał dreszcze, długo nie mógł się rozgrzać i zasnąć. Ale wreszcie pod szerokim starym płaszczem, który wystarczał całej trójce, zrodziła się odrobinka ciepła. Słyszał równy oddech Neelith i myślał o zgrzybiałych starcach, którzy biorą do swego łoża młode dziewczyny - nie dla uciech, o żadnych uciechach nie może być mowy, ale dla ciepła, które tak szybko ucieka ze starczej, ściętej jesiennym przymrozkiem krwi... A potem jakoś udało mu się zasnąć.

Ogień powoli trawił długi konar, oświetlając zakreślony krąg.

Ostry, rozpaczliwy pisk rozległ się gdzieś w pobliżu. W jednej chwili Wilczarz stał wyprostowany i ścisnął w rękę nóż, wyjęty naprędce z pochwy. Przez ten nagły ruch w boku odezwał się dziki ból, który przeszył go niczym grot strzały. Kątem oka zauważył, że miejsce Neelith na ich postaniu jest puste. Dostrzegł osinowy kołek oparty o drzewo... A potem zobaczył samą Neelith.

Od razu zrozumiał, co się stało. W ciągu dnia mijali torfowisko i dziewczyna zebrała tam kilka garści zeszlórocznych żurawin - dorodnych, ciemnoczerwonych, na długich zeszlých łodyżkach. Żurawinę wieczorem wsypali do kociołka. Napój wyszedł doskonały. Neelith piła i piła, nie mogła się oderwać, sama spożyła co najmniej pół kociołka. Nic dziwnego, że nocą musiała pobiec w krzaki. I zapewne półsenna zapomniała o srogim nakazie Wilczarza, aby nie wychodzić poza krąg...

Za to teraz...

Krzycząc wniebogłosy, mknęła przez polanę w stronę ogniska. A za nią...

Za nią stapał Ludojad. Ciężko stawiał krok za krokiem, z ledwością przebierając dręt看ymi nogami. Ale Wilczarz od razu zrozumiał, że Neelith nie zdoła przed nim uciec.

A zatem jeszcze raz Ludojad... - pomyślał, sadząc półtorametrowymi skokami naprzód. Nie, potwór, który szedł ku niemu, nie był żywym Ludojadem, któremu udało się wydostać z płonących ruin i cudem wyleczyć ranę. Był nieżywy. Oczy miał szkliste, twarz zastygła w grymasie konania, a dół jego koszuli, buty i spodnie pokrywała czarna maź. Ten, kto zabił, jest nieczysty, i to przyciąga duchy zabitych, pomaga im przybrać coś na podobieństwo ciała.

Martwy przyszedł za żywymi...

Siły i rozum opuściły Neelith jednocześnie - upadła i leżała nieruchomo, nie mogąc się podnieść. Wilczarz przeskoczył nad nią i starł się z potworem.

Ręce i nogi wszystko zrobiły same. Chwycił Ludojada i przygiął go do ziemi, przytrzymując za wykręconą do tyłu rękę. Teraz trzeba tylko odciąć mu głowę i...

Ludojad zaczął się prostować.

Żywy człowiek nie mógłby tego dokonać. A martwy mógł.

Pod palcami Wena zatrzeszczały ścięgna i stawy. Ludojad obojętnie łamał własne ciało. Wtedy Wilczarz się przestraszył. Naprawdę się przestraszył. Wzdragając się z obrzydzenia, zaczął kłuć nożem zimne, dotknięte rozkładem ciało. Żeby tylko zdążyć! Zgodnie z wiarą Segwanów trupowi, który ożywa, należy odciąć głowę i przyłożyć ją do pośladków. Według wiary Wenów...

Neelith odzyskała przytomność i znowu krzyknęła. W tym momencie Wilczarz usłyszał nieoczekiwanie donośny głos Tilorna:

- Kołkiem go, dziewczyno! Osinowym!

Zadawane nożem rany nie spływały krwią, Wilczarz kroił na paski martwe ciało. A Ludojad nadal podnosił się z ziemi. Siły go nie opuszczą dopóty, dopóki głowę z tułowiem łączy choć najmniejszy strzępek. Zdaje się, że Tilorn coś jeszcze krzyczał, ale Wilczarz - napięty i przerażony - już nic nie słyszał.

Potem coś przemknęło obok jego lewego ramienia i wbiło się w trupa.. Osinowy kołek! Ludojad zaczął machać rękami, próbując wyrzeć tę straszną broń, ale Wilczarz rzucił nóż i schwyciwszy osinową tyczkę, wbijał ją coraz głębiej, aż wreszcie sięgnęła ziemi.

I wtedy... Wenowi zdało się, że pomięta trawa się rozstała, a trup nagle przyszedł do ziemi i nie mógł oderwać od niej ani ręki, ani nogi.

Potem ziemia zaczęła pochłaniać próbującego się wyrwać Ludojada, wsysając go głębiej i głębiej, aż wreszcie zasklepiła się nad jego łokciami, nad kolanami, nad twarzą...

Wilczarz wypuścił kołek z rąk dopiero wtedy, kiedy na powierzchni ziemi nie pozostało już nic. Tylko zdeptana trawa, która natychmiast zaczęła się rozprostowywać. Kołek też zniknął pod ziemią, aż wreszcie i on zapadł się cały.

To już koniec. Teraz Ludojad nie powróci.

Wilczarz podniósł z ziemi zabrudzony nóż i starannie go wytarł. Ręce mu się trzęsły. Trzeba będzie pamiętać, żeby opalić ostrze nad ogniem, pozbyć się resztek paskudztwa.

Neelith szlochała, zakrywając twarz rękami.

- Panie... - próbowała coś powiedzieć. - Panie...

Wilczarz schylił się i wziął ją na ręce. Wydawało mu się, że w chorym boku utkwiono naraz kilka strzał. Dziewczyna kurczowo trzymała się jego szyi, koszula na piersiach wkrótce stała się mokra od łez.

- Ech ty, kotku - powiedział cicho. Włożył w te słowa tyle czułości, na ile było go stać. I zaniósł Neelith z powrotem do ogniska.

\*

Kiedy Wilczarz rzucił się w stronę strasznego gościa, Nielot Gacek w tym samym momencie puścił się pędem za nim. Na swoich krótkich łapkach nie był w stanie poruszać się szybko i zdołał dotrzeć tylko do granicy naruszonego kręgu. Teraz błyskawicznie wspiał się wracającemu Wilczarzowi na ramię i ugryzł go w ucho, wyrażając tym swoje niezadowolenie, że nie mógł wziąć udziału w walce z potworem.

Tilorn czekał na nich, wspierając się na łokciu. W słabych palcach z całych sił ścisnął leszczynowy oszczep.

W razie czego i leszczyna mogła być pomocna, pomyślał Wilczarz. Jest święta. Ale osinowy kołek mimo wszystko pewniejszy.

- Co to było? - zapytał szeptem Tilorn, kiedy Wilczarz z trudem oderwał od siebie ręce Neelith i zmusił ją, by położyła się i przykryła płaszczem. W ten wyjął z worka młot i ponownie obrysował krąg. Potem usiadł po drugiej stronie Neelith i powiedział:

- Wracają ci, których zabiłem trzy dni temu.

W tym momencie poczuł w prawym nozdrzu znajomą wilgoć i pospiesznie przeciągnął ręką po wąsach. Sprawdzał, czy nie leci mu krew. Często się to zdarzało, od kiedy złamano mu nos na katordze. Ale tym razem przeszło.

- Panie... - Neelith znowu zaczęła szlochać, tuląc się do jego kolan.

- Daj spokój, ja też jestem winien - burknął Wilczarz i niezgrabnie pogładził ją po głowie. Miała miękkie włosy, gęste i jedwabiste. Gdyby wysypać na nie kosz leśnych jabłek, do ziemi ani jedno nie doleci, przemknęło mu przez głowę. - Nie chciałem cię niepotrzebnie straszyć. Gdyby krąg... - zaczął, ale machnął ręką i odstąpił od wyjaśniania takich trudnych spraw. Długo by trzeba opowiadać, że wojownik, który zabił wroga, powinien co najmniej przez trzy dni się oczyszczać, pocić w łaźni, pościć, nie dotykać stopami ziemi, nie pokazywać się słońcu i, rzecz oczywista, z nikim nie rozmawiać. A wszystko po to, aby mściwe dusze ofiar nie mogły go odnaleźć.

Ale mówić Wilczarz nie potrafił. I nie lubił.

- Może jeszcze ktoś się zjawi - odezwał się wreszcie. - Nic to, nie dadzą rady.

\*

Trochę później przyszedł kat - straszliwie spuchnięty, przez co wydawał się jeszcze grubszy, niż był za życia.. Głowa w kapturze dyndała na skręconej szyi. Wtedy w lochu Wilczarz nie zobaczył jego twarzy. A teraz miał jeszcze mniejszą ochotę, by patrzeć na to oblicze.

Kat natknął się na krąg, podniósł ręce i badał niewidzialną przeszkodę. Potem ustawił się bokiem i pokuśtykał wzdłuż rowka, poszukując w nim wyrwy. Wreszcie spróbował wejść pod dąb, ale natychmiast odskoczył, jakby się sparzył.

Neelith cichutko zajęczała i z głową ukryła się pod płaszczem. Wilczarz pomyślał, że można się położyć i pospać spokojnie do rana - i zabity kat, i wszyscy, kogo jeszcze tu przyniesie, będą tak samo bezskutecznie błąkać się na granicy świętego kręgu jak łajno, które wpadło do przerębła. A o świcie i tak znikną. Ale Neelith, zdjeta przerażeniem, drżała między nim i Tilornem. Odgłosy kroków dochodzące zza kręgu mogły ją przyprawić o utratę zmysłów. Tilorn milczał, jednak wystarczyło jedno spojrzenie na nieszczęsnego czarodzieja: i on czuł się niepewnie. Cedząc przez zęby jakieś niezrozumiałe słowa, Wilczarz podniósł się, znowu sięgnął po młot i odwróciwszy się w stronę trupa, nakreślił w powietrzu Znak Pioruna - sześć ostro zakończonych listków, tworzących krąg.

- Imieniem Burzy wzywam cię - odejdz!

Liliowy płomień zstąpił czy to z dębowych gałęzi, czy z samego nieba. Trup zajął się od płomienia. Zaczął się skręcać jak rozpinany na łożu tortur. Miłosierna ziemia pochwyciła jego nogi i wchłonęła go momentalnie. Matka Ziemia zawsze lituje się nad swymi dziećmi, nawet tymi najbardziej niegodziwymi.

Wen wrócił pod dąb i położył się, bezskutecznie starając się oszczędzać chory bok. Tilorn gładził po głowie leżącą między nimi Neelith, powtarzając w kółko:

- Nie płacz, maleńka... Już dobrze... Nie płacz...

Wilczarz przypomniał sobie ciężki jedwab jej włosów pod swoimi palcami i to, jak wtulała się w niego przez te kilka chwil, kiedy niósł ją na rękach... Nielot Gacek błyskał czarnymi koralikami swoich oczek, zwisając z drewnianej rozpórki łebkiem w dół. Neelith wreszcie się rozgrzała, przestała pochlipywać i zasnęła, zwinęta w kłębuszek.

Przed świtem Wilczarza obudził cichy, ale pełen krwiożerczej wściekłości syk Gacka. Wilczarz otworzył oczy i zobaczył, że nad linią kręgu, bezmyślnie dżgając pustkę przed sobą, stoją dwie zjawy. Jeden upiór w miejscu prawego oka miał wielką nieforemną dziurę, drugi cały był okopcony i prawie goły, jeśli nie liczyć kilku skrawków nadpalonego przyodziewku. Wilczarz nie chciał czekać, aż Neelith się obudzi i znowu przestraszy. Uniósł głowę i szeptem wypowiedział kilka najgorszych przekleństw, jakie znał. Widma natychmiast zbladły i rozplynęły się w gęstej zimnej mgle...

\*

Wielki Pohost - rdzenne ziemie Solwenów.

Kiedyś była tu najzwyczajniejsza wioska, w której, jak to w takich osadach bywa, żył tylko jeden ród. Na szerokiej polanie w lesie stał dom wspólnoty, dokoła niego - mniejsze domostwa. W domach tych mieszkali mężczyźni i kobiety, którzy kazali się zwać Słowikami. Miejscowa klechda powiadała, że na samym początku czasu prarodzicielka plemienia zasłuchiwała się w słowicze trele i oddała swe serce przepięknemu młodzieńcowi, w którego zamienił się niepozorny z wyglądu śpiewak. Inne słowiki zapamiętały tę pieśń zaśpiewaną dla ukochanej. Nauczyły się jej i od tej pory na wiosnę wypełniała lasy ożywione zapachem kwitnącej czeremchy. A starsi pamiętali, jak w księżycowe noce młode dziewczyny wychodziły nago do zagajnika, marząc o tym, by spodobać się zaklętemu w słowika pięknemu młodzieńcowi. No cóż, po nocy spędzonej nago w lesie niektórym dziewczynom rzeczywiście zaczynały wkrótce rosnać brzuchy...

Ciekawy wszystkiego Tilorn słowo po słowie wyciągnął z milczącego Wena tę opowieść, kiedy tak razem wędrowali. Wilczarz na pytania odpowiadał niechętnie, monosylabami, urywkami. Kiedy Tilorn próbował dowiedzieć się czegokolwiek o jego rodzie - nie odzywał się przez pół dnia. Inna sprawa, że Tilorn miał i dużo czasu, i cierpliwości. Do wioski Wielki Pohost szli jeszcze cztery dni.

Wilczarz, odmierzając równe kroki, początkowo z niepokojem spoglądał na Neelith. Bał się, że dziewczyna nie wytrzyma trudów marszu. Ale ona niezmiernie tupiała bosymi piętami i nawet udawało jej się po drodze narwać szczawiu albo innych roślin dobrych do kociołka.

Po bitwie z widmami zepsuły się wszystkie ryby. Wilczarz zaczął rozmyślać, czy nie wykraść



zapasów z zapomnianej spiżarni wiewiórki. Tymczasem wieczorem zatrzymali się nad jeziorem i Neelith w mgnieniu oka nałapała mnóstwo żabek, które, jak się okazało, umiała bardzo smacznie przyrządzić.

- To żaby, panie - nieśmiało zwróciła się do ślepcy. - U nas jedzą żaby. Jeśli twoja wiara pozwala...

- Pozwala - uśmiechnął się Tilorn. - Choć, jeśli mam być szczery, mój lud od dawna już nie zabija żywych stworzeń, aby zapełnić żołądek.

Gorączka minęła i Wilczarz nareszcie wyciągnął rękę po jedzenie. Wiara Tilorna wydała mu się dziwna, ale w swoim życiu widywał dziwniejsze. Tak. Kiedy był na katordze, łapał szczury w podziemiach. I zjadał je na surowo. A przecież byli wśród więźniów i tacy, którzy woleli umrzeć z głodu, niż sprzeniewierzyć się nakazom swej religii, zakazującej spożywania nieczystej strawy...

Schrupał udko i wyciągnął rękę po następne.

\*

W ciągu ostatnich stu lat w plemienu Słowików zaszło wiele zmian.

Ród, który mieszkał w niedostępnym borze i nie wędrował po świecie, ród, który nie znał nikogo oprócz najbliższych sąsiadów, raptem nieoczekiwanie dla siebie znalazł się na ożywionym trakcie handlowym. W wiosce zaczęli coraz częściej zatrzymywać się goście, a maleńka, bezimienna osada zyskała nazwę: Wielki Pohost. Niektóre pisklęta z rodu Słowika, widziane to rzeczy, wyfrunęły z gniazda moszczonego przez wiele, wiele pokoleń przodków i poleciały nie wiadomo dokąd, by tam uwić gniazda nowe. Za to w pobliżu starych gniazd zaczęli osiedlać się nowi ludzie, obcy. Pojawili się nawet tacy, którzy nie polowali i nie uprawiali roli. Niektórzy, jakże tak można, prowadzili zajazdy, gotowali i warzyli piwo dla gości, przygotowywali im posiłki i z tego żyli od wiosny do wiosny. A najbardziej zadziwiające, że żyło im się nieźle...

Jeszcze trochę i z Haliradu przyjedzie tu pan jaki z drużyną wojów, zbuduje zamek i pocznie z kupców myto brać...

Wioska nosząca nazwę Wielki Pohost już dawno przestała być wścibska, wszyscy zdążyli się już napatrzeć na najdziwniejsze typy ludzkie. Tutaj nawet się ludziska nie dziwią czarnoskóremu z Monomatany, przyodzianemu jedynie w przepaskę biodrową z pstrej skóry pytona. Włóczęga z plemienia Wenów, który dźwiga na plecach długowłosego kalekę w koszu, to nie był widok niezwykły. Jeśli ktokolwiek z ich trójki przyciągał spojrzenia, to piękna Neelith, lękliwie trzymająca za rękę Wilczarza i ubrana - tfu, bezwstydnica! - w męską koszulę.

\*

Nad bramą oberży skrzypiał miotany wiatrem szyld - wspaniały koń ciągnący wyładowane sianie. Konia ktoś pomalował kiedyś na biało i farba jeszcze nie całkiem oblażała.

- "Pod Białym Koniem" - płynnie odczytała Neelith. Wilczarz popatrzył na nią z ukosa. Czarodziej i przepiękna dziewczyna, która umie czytać. No, nieźle.

Zajazd okazał się prawie pusty, jeśli nie liczyć kilku rosnących śniadych Halisuńczyków, którzy prowadzili ożywioną rozmowę, pakując sakwy na solidną furę na wysokich kołach. Wilczarz skinął

głową, jak przystoi człowiekowi grzecznemu. Halisuńczycy na moment przerwali pakowanie i odpowiedzieli kiwnięciem głowy.

Drzwi były gościnnie otwarte. Wilczarz podniósł pstrą zasłonę i wszedł do środka.

Dopiero minęło południe i karczma nie mogła się pochwalić licznymi gośćmi. Służąca przecierała stoły, a na ustanej słomą podłodze siedział młody posługacz. Starannie strugał nową nogę do długiej ławy.

Wilczarz zdjął z barków kosz, wyjął zeń Tilorna i posadził na ławie przy drzwiach. Neelith natychmiast zajęła miejsce obok niego, by go podtrzymać. Tilorn, jak małe dziecko, musiał się od nowa uczyć siedzieć o własnych siłach. Uśmiechnął się do Neelith i westchnął z poczuciem winy.

Wen podszedł do szynkwasu. Karczmarz, który wycierał gliniane naczynka wyszywany ręcznikiem, w tej chwili zostawił swoje zajęcie i zwrócił się w stronę gości, wprost promieniając radością. Pochodził ze wschodnich Welchów, co Wilczarz poznał po jego haftowanej przepasce na czole.

- Pokój tobie, dobry gospodarzu, i temu domowi - zwrócił się do Welcha w jego języku. - Czy dobre piwo uwarzyłeś w swoich kadziach?

- Dzięki bogom, w naszym domu wszystko jest w porządku - odpowiedział karczmarz i opuścił dłoń na drewniany kontuar, chroniąc się w ten sposób od złego uroku. - Jęczmień latoś obrodził z woli Trójroga, z jego też woli wiele mamy siodu. - Obrzucił rosnącego Wena wnikliwym spojrzeniem. - O czym, mój panie, sam się przekonasz, jeżeli zechcesz odświeżyć się po długiej drodze. Poza tym mamy wspaniałe pieczone prosięta, strawę dla wojowników. Jest i kasza, mleko, ser dla chorego oraz słodkości dla pięknej pani. Co każesz podać, panie?

Wilczarz z uśmiechem poklepał się po niezbyt okazałym trzosie przywiązanym do pasa. Brzęk monet od uderzeń ręki dał się słyszeć nie od razu: trzem miedziakom potrzeba było dużo czasu, aby spotkać się w jednym miejscu.

- Nie szukam pieczonych prosiąt, ale pracy - powiedział Wilczarz. - Może podpowiesz mi, szanowny panie, czy któremuś z kupców jadących do Haliradu przydałby się ochroniarz?

- Myślę, że dzisiaj niczym cię nie uraduję - odrzekł Welch. - Ale jutro ma tu przybyć dostojny Fitela. On zawsze zatrzymuje się u mnie, z czego jestem zaiste wielce dumny. Spróbuj szczęścia u niego. Tylko muszę cię uprzedzić, że jego tabory zawsze są doskonale strzeżone. Jeśli chcesz, mam na górze pokój, możecie przenocować...

- Weszliśmy do domu wielce zacnego człowieka. - Wilczarz pokłonił się ceremonialnie. - Przenocujemy nad jeziorem. A rano, jeśli nie będziesz miał nic przeciwko temu, znowu tu zajrzemy.

I odwrócił się, by odejść, ale gospodarz przechylił się przez szynk- was i ostrożnie chwycił go za rękaw.

- Nie ma potrzeby nocować nad jeziorem, jeśli można pod dachem. Nie wezmę od ciebie zapłaty.

Szczerze mówiąc, pokoić nie należał do zbyt dobrych. Ale stało w nim łóżko - najprawdziwsze drewniane łożo, na którym leżały kołdra, poduszki i czyste, choć niewybielone, płócienne prześcieradła.

- Może Neelith... - niezbyt pewnym głosem zaczął Tilorn, ale Wilczarz bez słowa położył go na łożku i okrył kołdrą. - Oszaleć można - wyszeptał uczonek, gładząc miękką, dobrze wyprawioną owczą skórę. - Już zapomniałem, jak to wszystko wygląda...

Ja też, pomyślał Wilczarz, ale oczywiście nic nie powiedział. Miedziaki znowu zabręczały, przypadkowo zetknąwszy się w trzosie. A może by tak rzeczywiście kupić słodkości dla Neelith? Nie, co za bzdury. Lepiej kubek mleka i kawałek białego chleba dla Tilorna...

W tym momencie ktoś zastukał. Wilczarz skinął głową i Neelith, która stała przy wejściu, otworzyła drzwi.

Próg przestąpił karczmarz, w rękach trzymał tacę z plecionki. Na tacy stała drewniana misa z pokąsnym kawałkiem pieczonej wieprzowiny, kufel piwa, chleb i kilka pierników. Karczmarz uśmiechnął się, patrząc na Wilczarza.

- Pomyślałem, że raczej nie zaszkodzi wam odrobina jedzenia - rzekł.

- Gość nie powinien być głodny, skoro już znalazł się pod moim dachem.

- Nie będziesz stratny, zacny gospodarzu? - posępnie zapytał Wilczarz, nie spiesząc się z przyjmowaniem darów. - Nikt nie wie, czy prędko będę mógł zwrócić ci dług...

- Ani czy w ogóle będziesz mógł - podchwycił myśl karczmarz i postawił jedzenie pod oknem. Odłamał kawałek chleba, umoczył go w tłuszczu i poczęstował Gacka. Czarny zwierzak najpierw groźnie rozpostarł skrzydła, ale potem się rozmyślił, wziął chleb i z apetytem zaczął jeść.

- Żyję na świecie już nie pierwszy rok, mieszkam tu od dawna - mówił dalej karczmarz. - Znam twój lud i doskonale wiem, że Wenowie nigdy nie zapominają o długach... - Jak gdyby przypadkiem musnął spojrzeniem warkocze Wilczarza, których splot mówił o dokonanej niedawno zemście.

- A poza tym, mój panie, ludzie mają oczy i wszystko widzą. Teraz cała okolica usłyszy o tym, że karczmarz Ire-Donn nie odmówił noclegu i strawy bohaterowi z plemienia Wenów, który dokonał szlachetnych czynów i z tego powodu bieduje. Gdybyś żył tyle co ja na takim rozstaju dróg...

Nie dokończył, znów się uśmiechnął, wyszedł i bezszelestnie zamknął za sobą drzwi.

- Dzięki ci, dobry człowieku imieniem Ire-Donn - ponieważś odezwał się Tilorn.

Nielot Gacek zjadł chleb i połaskotał Wilczarza skrzydłem, prosząc o dokładkę.

\*

Wieczorem Wilczarz wyszedł odetchnąć świeżym powietrzem. Nieopodal ganku rośla stara jabłoń. Delikatne różowe kwiatuszki okrywa ją niczym mgiełka od dołu do góry, ale pocięty, pełen węzłów chropawy pień i wykoślawione konary mówiły o pełnym trudów życiu.

Bywa, że niemłoda kobieta wyjmie ze skrzyni czerwono-białą ślubną sukienkę, przyłoży do piersi - i zamyśli się, i znów jest podobna do tamtej młodej pięknej dziewczyny, którą wtenczas była...

- Hej! - W wysokim oknie pojawił się chłopak i najwidoczniej chcąc się popisać przed

nieznajomym, jednym skokiem znalazł się na drzewie. Wzbiły się w powietrze oberwane płatki, żałośnie jęknęły stu letnie gałęzie. Wielki konar nie wytrzymał naporu, trzasnął. Pomiedzy nim a pniem powstało białe pęknięcie.

Wilczarz za ucho ściągnął skoczka na dół.

- Natychmiast przynieś tu smołę i sznurek!

- A po co? - zdziwił się dotknięty do żywego łapserdak, kiedy od biegł parę kroków. - Ona już od dawna jabłek nie rodzi!

- Skoro pan kazał przynieść, to znaczy, że masz przynieść - z surowością w głosie odezwał się Ire-Donn, który pojawił się na ganku. - Słuchaj, co starsi mówią! - A kiedy chłopak uciekł, wyjaśnił Wilcza- rzowi: - To mój syn. Urwis, siły do niego nie mam. A jabłoń, zacny panie, rzeczywiście nie daje już jabłek. Kwiaty są puste. Od paru lat się zbieram, żeby ją ściąć, ale jak patrzę na nią, kiedy kwitnie, przechodzi mi ochota. Gdyby jeszcze zechciała rodzić owoce...

Chłopiec jednak przyniósł smoły i sznurki z łyka. Ire-Donn zaraz zabrał go do domu - syn zbierał ze stołu puste naczynia i pomagał je zmywać. Wilczarz został sam. Podwiązał złamaną gałąź i pokrył smołą ranę, żeby nie wdała się pleśń. Potem usiadł na ziemi i oparł się plecami o koślawy pień.

Przez podwórze przechodzili ludzie, z karczmy dobiegał przygluszony gwar. Kwiaty jabłoni rumieniły się nad głową Wilczarza rozświetlone chylącym się ku zachodowi słońcem.

Takie same jabłonie rosły u niego w domu...

Jak zawsze, kiedy zaczynał myśleć o domu, coś ciężko i głucho jęknęło w piersi. Zamknął oczy, odrzucił głowę do tyłu i przylgnął do drzewa. W ich wspólnej piwniczce jabłka zimowały w wielkich plecionych koszach do następnych zbiorów. Jakież były dorodne - rumiane, soczyste bryłki błogosławionego słońca... Jak pachniało w tej piwniczce. Wchodzisz i czujesz się tak, jak gdyby cię matka pocałowała w policzek... Nikt z rodu Szarego Psa nie ośmieliłby się obrazić starej jabłoni. To tak jakby obrazić kobietę, która z wiekiem straciła zdolność rodzenia i zamieniła rogaty wyszywany czepiec na skromną chustę...

Kto teraz pełnymi wiadrami rozrzuczał pod jabłoniami nawóz, kto podpierał żerdkami ciężkie, pochylające się gałęzie, kto dziękował za dobro?

Stare, mądre drzewo z troską i czułością się chyliło nad głupiutkim młokosem...

\*

Już dawno się nie zdarzyło, by ktoś podszedł do Wilczarza niezauważony. A teraz - coś takiego! - nie usłyszał kroków. Choć może dlatego ich nie usłyszał, że nie było w tych krokach ani zła, ani zagrożenia. Mięciutkie paluszki pogładziły jego rękę, a on nagle poderwał się, otwierając oczy. Stała przed nim dziewczynka, może dziesięcioletnia. Stała i patrzyła na niego bez strachu. Wokół nie było wszakże dorosłych, którzy mogliby jej wytłumaczyć, że potężni mężczyźni ze złamanym nosem i długim na łokieć nożem bywają bardzo niebezpieczni. Miała na sobie długą, sięgającą jej do pięt lnianą koszulinę bez paska, przerobioną zapewne z ojcowskiej. Takie koszule noszą wszystkie dzieci Wenów, dopóki nie wejdą w odpowiedni wiek. Rzadziutkie jasne włoski opadały jej

na ramiona, wymykały się spod przepaski, którą nosiła na czole. O tym, że jest dziewczynką, a nie chłopcem, zaświadczał jeden jedyny koraliczek zawieszony na szyi.

- Witaj, Szary Psie - powiedziała dziewczynka. - Czemu tutaj siedzisz taki smutny?

- I ty witaj - powoli wypowiedział pozdrowienie Wilczarz. Rzeczywiście czuł się jak olbrzymi zły pies, którego ni z tego, ni z owego opadły, figlując, głupie małe szczeniaki. I tak jak pies zamarł, nie śmiał się poruszyć, aby nie przestraszyć ich, nie odepchnąć od siebie... A w głowie kołatała mu ciągle ta sama myśl: Gdybyś miał dom, miał byś i córeczkę...

- To źle, że chodzisz sama - rzekł wreszcie. - Ludzie... są różni...

Dziewczynka przechyliła główkę i nieśmiało się do niego uśmiechnęła. Może i są, zdawała się mówić, ale ja wiem, że ty nie jesteś taki. Wilczarz też się do niej niezbornie uśmiechnął i zaraz przypomniał sobie o swoich szramach i o tym, że nie ma zęba na przedzie. Uśmiech nie dodawał mu urody. Ale czarująca mała istotka patrzyła na niego jasnymi szarymi oczami i wcale nie zamierzała się bać.

- Dam ci koralik. Chcesz?

Wilczarz zrozumiał, że zasnął pod jabłonią i śni mu się bajka. Kobiety Wenów obdarowywały koralami swoich narzeczonych i mężów.

Mężczyźni nanizywali je na rzemienie, którymi wiązali warkocze. Jeśli ludzie widzieli nieozdobione niczym rzemienie, od razu poznawali, że mają do czynienia z wdowcem albo takim, któremu kobieta jeszcze nie okazała względów. Wilczarz zapomniał języka w gębie i tylko zdołał lekko skinąć głową. Dziewczynka pospiesznie rozwiązała nitkę i nałożyła szlifowany kryształowy paciorek na jego rzemień, zawiązała supeł. I zaśmiała się, zachwycona swoim sprytem.

- A ludzie mi mówili, że ode mnie, takiej brzyduli, nikt nie będzie chciał koralii!

- Jak dorośniesz - wyszeptał Wilczarz - to jeszcze się zobaczy.

I gorzko pożałował, że zostawił najedzonego do rozpuku Gacka śpiącego na wbitym w ścianę drewnianym gwoździu. Ileż byłoby radości, gdyby dziewczynka mogła pogłaskać zwierzątko...

- Gdzie mieszkasz? - zapytał, wstając. - Odprowadzę cię. Matka na pewno umiera z niepokoju o ciebie.

Teraz dopiero zauważył, że dziewczynka jest chudziutka i malutka. Dopóki siedział, patrzyli sobie w oczy, ale kiedy wstał, okazało się, że główką sięga mu do pasa. Ostrożnie ujął ciepłą, ufną rączkę i wyprowadził dziewczynkę z podwórca.

Okazało się, że jej rodzice - tak jak i Wilczarz ze swoją kompanią - byli tu przejazdem. Zatrzymali się na drugim końcu Wielkiego Pohostu, u dalekich krewnych. Kiedy Wilczarz z dziewczynką zbliżali się do ich zagrody, zza bramy wybiegła im naprzeciw ładna kobieta o pełnych kształtach. Zobaczyła ich, klasnęła w dłonie i stanęła w miejscu. Wilczarzowi wystarczyło jedno spojrzenie, żeby po jej wyszywanym czepcu i czerwono-granatowej spódnicy przetykanej białą nicią po znać, że jest córą Plamistych Jeleni. A męża wzięła z rodu Borsuka.

- Witaj, Borsukowa żono - pokłonił się Wilczarz.

- I ty witaj... - zająknęła się i zaczęła mu się przyglądać, by po znakach na koszuli lub pasie

określić jego przynależność rodową. Teraz miała jednak co innego na głowie. Postąpiła krok naprzód i złapała córkę za rękę. - Dzięki ci, dobry człowieku, żeś tu przyprowadził tę powsinogę! Co za utrapienie z tą dziewczyną...

W tym momencie na domiar złego dostrzegła lśniący koralik wpleciony we włosy Wilczarza.

- Ach, ty bezwstydnico!

Matka ma prawo zrobić wszystko ze swą latoroślą, jeśli zechce - ukarze albo i przeklnie, tu nawet bogowie nie mogą się mieszać. Zamierzała wymierzyć córce policzek, ale Wilczarz nadstawił dłoń.

- Uderz mnie - powiedział spokojnie.

Zwabiony głosami, zza wrót wyjrzał postawny mężczyzna w dobrych butach, z posrebrzaną grzywną na szyi. Zauważywszy koło swoich rostełgo nieznajomego, podszedł do nich spieszonym krokiem.

- Czyżbyś, dobry człowieku, czegoś tu zapomniał? - spytał, zasłaniając ciałem żonę. Splot warkoczy niedawnego zabójcy nie uszedł jego uwagi.

Wilczarz popatrzył na dziewczynkę. Stała, spuściwszy główkę, a na przydrożny kurz koło jej bosych stóp kapały łzy. Nie zwracając uwagi na rozgniewanych rodziców, Wilczarz ukląkł przed nią.

- Nie wspominaj mnie źle, moja miła - rzekł cicho. - Słuchaj matki. Dziękuję za zaszczyt, jaki mi uczyniłaś.

Wyprostował się i odszedł ku sztyldowi karczmy Ire-Donna, który ledwie majaczył w zapadającym już zmroku. Za jego plecami kobieta tłumaczyła mężowi, że dziki z wyglądu chwatał nic nie zrobił ani jej, ani dziecku. Małżonek podkręcał węża i w milczeniu rozmyślał, czy to jednak nie był zbój z grasującej w okolicy Wielkiego Pohostu watahy Żadoby.

- A z jakiego rodzaju? - spytała kobieta. - Nie widziałeś, czyj on jest?

- Szary Pies - odrzekł mąż, skupiony na swoich myślach. Kobieta nie uwierzyła.

- Już dwunasty rok, jak nie ma nikogo z tego rodzaju. Wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że jest.

Kilka dni później dowiedzą się o tym, że nad Świątynią spłonął zamek kunsza Winitariusza, zwanego Ludojadem, przypomną sobie warkocze Wilczarza i sami nie będą wiedzieć, czy się z tego powodu cieszyć, czy raczej bać.

*Po co nam ginąć w bitwach,  
kiedy wilgocią pachnie zaorana ziemia,  
O, jakże łaskawe niebo mamy nad głowami,  
czemu pod takim niebem pokoju wciąż nie ma?*

*Nad koroną jabłoni słyhać pszczół brzęczenie,  
tam - gromadka dzieci śmieje się i gada.  
To kraj, w którym nie walczą mężczyźni,  
w którym tylko dobro wszystkim włada.*

*W którym każdą cnotę ceni się jak złoto,  
gdzie kobiety mają twarze jak tarcza księżycy...  
Mnie ten kraj po nocach śnić się będzie zawsze,  
kraj najświętszej ciszy, kraj pięknego życia.*

*Będę szedł przed siebie dniami i nocami,  
będę znosił głód i pragnienie czuł,  
ale muszę kiedyś jeszcze tutaj dotrzeć  
i nogi rzemykiem przewiązać jak swój.*

*Ruszaj, choć droga daleka i wrogi zawzięte,  
a siłę powstrzymać może tylko siła,  
do Krainy Ciszy wejdiesz przez kałuże krwi,  
z mieczem w dłoni, która też krwawiła.*

## **Rozdział 3**

### ***Kupiec jedzie do miasta***

Fitela pochodził z Segwanów mieszkających na wybrzeżu. Był to dobrze zbudowany mężczyzna o mądrym, subtelnym obliczu i wypielęgnowanych dłoniach, które nawykły do obchodzenia się z piórem i atramentem. Osiem wozów, wypakowanych jego towarami, wjechało na podwórzec zajazdu Ire-Donna, jak przewidywał karczmarz, następnego dnia rano. Obok wozów na małych wytrzymałych konikach jechała ochrona - czternastu chwatów, jeden w drugiego. Wilczarz policzył, ilu ich było, i zasępił się. Ze smutkiem w sercu pomyślał, że przekonać Fitelę, aby zabrał jeszcze jednego strażnika dobytku, będzie niełatwo. Doskonale wiedział, że plemię Segwanów poważało cyfrę siedem. A kupiec musiał wierzyć w szczęśliwe liczby szczególnie mocno!

Ale Wilczarz mimo wszystko postanowił spróbować. I to nie tylko spróbować, ale dopiąć swego.

Kiedy Fitela skończył śniadanie i z dużym upodobaniem smakował wino z Sakkarem, które Ire-Donn postawił przed swoim drogim gościem, podszedł do niego rosły Wen.

- Niech twa droga będzie usłana różami, wielce szanowny panie.

- Witaj, synu szlachetnej matki - odparł kupiec uprzejmie. U Segwanów ważna była przynależność rodowa po mieczu, ale Fitela wiedział, jak rozmawiać z Wenem.

- Ludzie powiadają, że w tutejszych lasach znowu jest bardzo nie spokojnie.

Czarne włosy Fiteli ściągnięte były cienką srebrną obręczą, pośrodku czoła w tę obręcz wprawiony był nieduży szmaragd. Szmaragd zamigotał, kiedy Fitela pokręcił głową.

- Nie najmuję nowych ludzi na dziesięć dni drogi, jakie nam zostały do Haliradu.

Wilczarz uśmiechnął się.

- Mądry Chramn odradzał zdejmowanie kolczugi zaraz po bitwie. Wróg mógł się jeszcze czaić w krzakach.

Jeżeli Fitela znowu odmówi, nie pozostanie mu nic innego jak odejść. Ale Segwan popatrzył na niego z ciekawością.

- Mądrość Chramna góruje nad skromnymi umysłami zwykłych śmiertelników - powiedział i wypił łyk wina. - Może i masz rację. Lecz nie masz przy sobie broni, jaką noszą najemnicy, a moi ludzie nie zauważyli w stajni rumaka bojowego.

- Żywię nadzieję, że broń i konia dostanę od ciebie. Potrzebuję jeszcze trochę miejsca na jednym z wozów, jest ze mną młoda dziewczyna i chory przyjaciel.

- A to dobre! - Fitela nie mógł wyjść ze zdziwienia. Odstawił puchar na stół. Dwóch najemników, siedzących obok nad piwem, zaczęło rechotać. - Powiedz mi, dobry Wenie, po co miałbym płacić jeszcze jednemu, niepotrzebnemu wojowi.

Wilczarz wzruszył ramionami.

- Skoro jestem niepotrzebny, każ tym, którym płacisz, wyrzucić mnie stąd.



To był stary chwyt, który do tej pory zawsze działał. Dwaj krzepcy młodzieńcy, którzy pociągali z kufli, należeli zapewne do najlepszych i najważniejszych w straży, w przeciwnym razie nie siedzieliby w pobliżu kupca. Obaj nosili włosy związane w koński ogon z tyłu głowy.

Wilczarz rozpoznał ich plemię. Segwani z wysp. Kątem oka dostrzegł zatroskane spojrzenie Ire-Donna. Karczmarz widział, na co się zanosi, w myślach obliczał, ile może go kosztować ta zabawa dziarskich zuchów.

- Jak byś zgadł, właśnie że każę cię wyrzucić - wesoło odrzekł ku piec. - Audyka! - zawołał.

Młody chwyt odstawił pękaty kufelek, wziął w rękę opartą o ścianę włócznię i podszedł do kupca.

- Tak, panie?

- Wyrzuć stąd tego człowieka.

- W tej chwili.

I Audyka podszedł do Wilczarza, trzymając kopię trzonkiem naprzód. Wilczarz miał tylko nóż. Niewielki to honor używać ostrza przeciwko takiemu przeciwnikowi. Audyka był młodszy od Wena i trochę niższy, ale barczysty, mocny i każdy by rozpoznał, że nie jest nowicjuszem i niejedną raz brał udział w bijatykach.

- Wynoś się stąd! - powiedział i zamachnął się kopią.

Wilczarz nie ruszył się z miejsca. Kiedy Audyka uderzył go - a trzeba dodać, że nie z całej siły - Wilczarz wyciągnął rękę i trzonek włóczni po zetknięciu z nią odskoczył.

- A więc to tak! - warknął młody woj. W jednej chwili przerzucił kopię w rękach z jej grotem groźnie wycelowanym w brzuch Wilczarza, postąpił krok do przodu...

Co było dalej, nieliczni świadkowie tego widowiska zapamiętali różnie. Jedni przysięgali, że Wilczarz błyskawicznie pochylił się i złapał młodzieńca pod kolana. Inni twierdzili, że wziął go za rękę, pociągnął ku sobie i rzucił przez ramię. Tymczasem tak naprawdę Wen nie zrobił ani tak, jak mówili pierwsi, ani tak, jak powiadali drudzy, ale nie ma co wdawać się w szczegóły. Dość że buty Audyki znalazły się gdzieś wysoko w powietrzu. Młody Segwan przekoziołkował i z hukiem padł na podłogę tuż przy progu. A Wilczarz stał na swoim miejscu i trzymał w rękach jego kopię.

- Ilu twoich wartowników mam pobić, żebyś przyjął mnie na służbę i przestał uważać za zbędne obciążenie, zacny kupcze? - zapytał z ci cha, próbując zapanować nad bólem, który wzbierał w prawym boku.

- Myślę, że dwóch wystarczy. - Fitela był bardzo poważny. Członkowie jego drużyny jeden za drugim wbiegali do izby, zwabieni hałasem i stawali jak wryci, nie mogąc pojąć, co się tu dzieje. - Aptachar, do mnie!

Aptachar był przysadzisty i barczysty, w jego kędzierzawej brodzie połyskiwały srebrne nitki. Nie był gibki i zrywny jak młodzieniec, ale szerokie dłonie i byczy kark mówiły same za siebie.

I znów niewielu z obecnych zdołało się zorientować, co się stało. Wyglądało na to, że Aptachar zaczął i pchnął Wena w pierś, a Wen niby to zachwiał się od uderzenia. Ale potem Aptachar, rzecz niesłychana, nie wiedzieć czemu stracił równowagę. Kilka chwil później leżał jak długi na podłodze,

a Wilczarz, siedząc na nim okrakiem, lekko przytrzymał jego prawą rękę. Aptachar ani drgnął, był potulny jak baranek - gdyby się ruszył, jego łokieć trzasnąłby jak złamana gałąź. Wilczarz puścił go i wstał. Robiło mu się słabo. Ból w prawym boku dawał mu się we znaki, po skroniach spływał pot. Pozostało tylko mieć nadzieję, że oni tego nie zauważą. Na szczęście karczma nie należała do dobrze oświetlonych...

Audyka, który pozbiierał się z podłogi, stał przed kupcem ze zwieszoną w pokorze głową.

- No i co powiesz? - spytał go Fitela. - Czy mam podzielić wasz zarobek na piętnaście, a nie na czternaście części? Czy może nie?

Czerwone plamy wystąpiły na twarzy młodego zucha, ale odpowiedział uczciwie:

- Ten człowiek mógł mnie okaleczyć, panie.

- Mógł. - Fitela kiwnął głową i zwrócił się do drugiego wartownika. - A ty co powiesz?

Aptachar widocznie nie musiał obawiać się o swoją reputację. Kilka razy zgiął i rozprostował łokieć, wreszcie wydusił:

- Nie mam pojęcia, kto go nauczył tak się bić, ale po mojemu lepiej już mu dać tę przeklętą piętnastą dolę, bo inaczej zaraz nie u nas będzie, tylko w bandzie Żadoby.

Fitela dokończył wino, postawił puchar na stole i obtarł usta obszytą koronkami chusteczką.

- A na co choruje twój przyjaciel? - zapytał Wilczarza. - Mam na dzieję, że to nie zaraza..

\*

Nieduży konik o włochatych nogach biegł równym klusem koło wozu, którym jechali Neelith i Tilorn. Neelith trzymała wodze. Woźnica, bardzo zadowolony z nieoczekiwanej pomocy, drzemał oparty o obciążone skórą pakunki. Co było w tych tobołach, Wilczarz nie wiedział i wiedzieć nie chciał.

Fitela dał nowemu ochroniarzowi trzy srebrne monety, ale Ire-Donn nie chciał wziąć od Wilczarza zapłaty za gościnę.

- Kiedy indziej mi zapłacisz - powiedział. - Gdy naprawdę będziesz bogaty.

Wilczarzowi nie pozostało nic innego, jak zdobyć trochę białej farby i odmalować szyld. Nie można przecież odejść z domu i nie odwdziżyć się za dobro. A farba trafiła się wyborna - do tej pory nie mógł zmyć jej z rąk i wydłubać zza paznokci. Za to pieniędzy starczyło na to, żeby kupić Neelith porządne giezło z cienkiego lnu, wełnianą solweńską kamizelkę, pasek z wielobarwnej plecionki i skórzane ciżemki. Przydałby się jeszcze i płaszcz, ale zakup płaszcza, podobnie jak niebieskich szklanych paciorków, trzeba było odłożyć na później. Pozostałe pieniądze Wilczarz po głębokim namyśle wydał na obszerne giezło dla Tilorna i jeszcze wytargował parę cienkich wypranych skrawków na opatrunki. Ropnie i rany, które mędrzec zawdzięczał długiemu pobytowi w lochu, wcale nie chciały się goić.

Tilorn ucieszył się z nowych rzeczy prawie tak bardzo jak dziewczyna. Wilczarz zauważył, jak były więzień potrafił się zachwycać każdym drobiazgiem mówiącym o powrocie do godnego ludzkiego życia. Ale czemuż się tu dziwić. O wiele dziwniejsze natomiast było coś innego.

Wilczarz, obdarowawszy tymi kilkoma niewyszukanymi podarunkami Tilorna i Neelith, złapał się na tym, że również sam ma ochotę uśmiechać się - ot tak, bez powodu.

- A sobie, panie, kupisz coś? - spytała Neelith nieśmiało. Wzruszył ramionami.

- Ja wszystko mam.

Naprawdę niczego nie potrzebował. Jego ubrania były całe i nie zanosił się, że prędko popękają, a broń otrzymał od Fiteli. Sam wybrał mocną włócznię o dobrze zaostrzonym grocie, potężny weński łuk opleciony korą brzozy i dwa topory. Jeden, na długim stylisku, służył do walki wręcz, a drugi, na krótkim trzonku, do rzucania. Przydałby się i miecz, ale miecz to broń wyjątkowa. Tak sobie nie można ani dać, ani wziąć miecza.

\*

*Kiedyś, dawno, dawno temu mały chłopiec z rodu Szarego Psa po raz pierwszy pomyślał o tym, jak to smutno i strasznie jest być bezdomnym sierotą, którego cały dobytek z powodzeniem mieści się w jednym, niezbyt wypchanym worku. A teraz sam od dwunastu lat pędzi taki żywot i innego życia nie zna. A czy pozna - nawet nie ma kogo spytać...*

\*

Jadąc na posłusznym koniku, Wilczarz przytrzymał włócznię prawą ręką, drzewce oparł o strzemię i przemyślał o tym, by na najbliższym postoju zrobić sobie pętlę na podobieństwo tych, jakie mieli pozostali. Łuk schowany w pochwie miarowo kiwał się przytroczony przy siodle, z prawej strony wisiał brzozowy kołczan, z którego sterczały dwie dziesiątki strzał.

Dzień minął bez żadnych perypetii. Nie stanęły im na przeszkodzie ani rzeki, ani powalone przez burzę drzewa. Droga wiała się pomiędzy piaszczystymi wzgórkami, które porastały piękne sosny. Wiatr poruszał puszystymi gałęziami, plamy światła i cienia tańczyły na leśnej trawie, na ładunkach wiezionych na wozach, przemykały przez twarz Tilorna. Przez jakiś czas mędrzec był naburmuszony, a potem z nagłą oświadczył pełen radości:

- Już zaczynam rozróżniać, kiedy jest cień, a kiedy światło! Czasem nawet widzę zarysy!

- A ja myślałem, że cię oślepił - rzekł Wilczarz. Tilorn się uśmiechnął.

- Nie. To przez podłe jedzenie i... hm... przeżycia. A ty, mój przyjacielu, karmisz mnie tak niezasłużenie dobrze, że ja, oby tak było, nie tylko znów przejrzę na oczy, ale i roztyję się...

Wilczarz poczuł się tak, jak gdyby to on, a nie Tilorn miał za chwilę odzyskać wzrok. Niezwykłe uczucie oładnęło jego duszą. I do samego wieczora, kiedy to wjechali na szeroką polanę nad jeziorem i Aptachar zarządził postój, Wilczarza cały czas coś nurtowało - przemyślał, cóż by zrobić, aby Tilorn co prędzej odzyskał wzrok. Szkoda, że on, stary pies, niczego się w życiu nie nauczył.

\*

Na nocleg wozy ustawiono w krąg, na każdym od zewnętrznej strony zawieszono po dwie tarcze. W samym środku kręgu stanął namiot Fiteli. Zapłonęło ognisko, a nad nim zawisł żelazny kocioł. Wilczarz nie był bardzo zdziwiony, kiedy Neelith wzięła wielką drewnianą chochlę i zaczęła krzątać się przy kociołku.

Rozstawił swój namiot przy kole jednego z wozów, podścielił płaszcz, a potem wziął leżącego na furze Tilorna na ręce i wyniósł poza krąg.

- Nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać - mówił kaleka, sprawiwszy swoje potrzeby i próbując obciągnąć długie giezło. Wilczarz trzymał go pod pachy. - Nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać - powtórzył Tilorn i westchnął zakłopotany. - Kiedy leżę albo kiedy mnie tak podtrzymujesz, wydaje mi się, że zaraz będę w stanie góry przenosić. A jak tylko spróbuję... Postaw mnie, proszę, na ziemi, mój przyjacielu Wilczarzu.

Wilczarz przez chwilę zastanowił się, po czym odrobinę rozwarł dłonie. Przez jakiś czas Tilorn rzeczywiście stał, chwiejąc się na boki i poruszając rękami. Potem jednak słabe kolana ugięły się pod nim. Wilczarz nie pozwolił mu upaść - złapał i zaniósł z powrotem do ogniska.

- Nie spiesz się - poradził Tilornowi. - Dokąd ci tak spieszno?

- Wstyd mi, że jestem ci brzemieniem - odpowiedział kaleka. - Nie mam pojęcia, co byśmy bez ciebie poczęli, przyjacielu! Chociaż na początku, muszę przyznać, bardzo się obawiałem o dziewczynę...

Wilczarz omal się nie przewrócił. Poczuł się, jak gdyby ktoś mu chlusnął w twarz wodą - zimną i brudną.

- Co takiego? - spytał w nadziei, że się przesłyszał.

- Uraziłem cię? - szczerze przeraził się Tilorn. I pospiesznie zaczął się tłumaczyć: - Ja... To znaczy... Sam przecież jesteś... Jesteś młodym, silnym mężczyzną, a Neelith, o ile się nie mylę, jest bardzo piękna... Przecież wcale cię nie znałem... Bałem się, że ty... Przyjacielu, czyżbym cię uraził?

Wilczarz w milczeniu wszedł w krąg wozów, ułożył uczonego w namiocie, okrył wełnianym płaszczem. Tilorn ciągle jeszcze próbował mówić coś i nawet złapał go za rękę. W ten wyswobodził dłoń z jego dłoni i nic przed sobą nie widząc, odszedł na drugą stronę obozowiska, nad brzeg jeziora, gdzie pasły się spętane konie. Tam długo stał bez ruchu, wpatrując się w lekką mgiełkę, która zaczęła kłaść się na tafłę wody.

Daleko za jeziorem, za lasami pod kołpakiem przezroczystego powietrza jarzyły się czerwienią pokryte śniegiem szczyty gór. Igrały na nich jeszcze promienie słońca, które już skryło się za horyzontem. Wilczarz doskonale pamiętał, jak z pieczary wypchnięto go - całkiem odwykłego od światła, w łachmanach, z wieloletnimi szramami od łańcuchów na szyi, nadgarstkach i kostkach nóg - na błękitny garb lodowca, pod bezlitosne mroźne słońce. Usłyszał: "Masz swoją wolność! Idź!". Poszedł więc, chwiejąc się, ślizgając bosymi stopami po twardym śniegu, przyciskając dłonią ranę w boku...

Za plecami posłyszał kroki. Rozpoznał Audykę po chodzie, postanowił się nie odwracać.

- Pokłóciłeś się z dziewczyną? - zapytał młody Segwan i kiwnął głową ze zrozumieniem. - Bywa.

- Bywa - odrzekł Wilczarz.

- Słuchaj, Wenie... - Audyka zamilkł, odwrócił oczy, wreszcie się zdecydował. - Wiesz co, do dziś nie mogę pojąć, jak tyś mnie wtenczas obalił w karczmie Ire-Donna. Może mi pokażesz?

Chyba że nie uchodzi prosić o takie rzeczy.

Wilczarz wzruszył ramionami. Mógł pokazać, dlaczego nie. Ten chwyt nie zaliczał się do zakazanych, których nie wolno prezentować obcemu. Nielota Gacka przesadził na swojego konia, który w pobliżu szczypał trawę. Koń odwrócił łeb, bez złych zamiarów obwąchał nietoperza, którego już zdążył poznać, potem parsknął i znów opuścił Pysk ku trawie. Gacek wspiął się wyżej, wczepił pazurkami w grzywę i jął zlizywać sól.

Audyka podniósł włócznię i - podobnie jak wtedy w karczmie - ustawił grotem w stronę Wilczarza. Wenowi nie wiedzieć czemu nagle przypomniał się komes, którego zabił jedenaście lat temu... Jakieś podobieństwo... Chodziło zapewne o jasne włosy i sposób ich zaczesywania.

- Patrz - zaczął pokaz. - Lewą przesuwasz grot, o tak. A prawą łapiesz drzewce...

Włócznia znowu zaczęła niepowstrzymanie wysuwać się z rąk młodego Segwana. Audyka próbował temu zaradzić, ale musiał ulec sile Wilczarza. Potem nogi odmówiły mu posłuszeństwa. "Huragan podrywa z ziemi i unosi słomy źdźbło". Audyka leżał na ziemi jak długi, śmiejąc się i klnąc na trójgraniasty krzemień Tunworna.

- Jak to zrobiłeś? Pokaż jeszcze raz, dobrze?

Wilczarzowi zdało się, że na skraju polany zatrzymał się mały szary osiołek, a z wyszywanego siodła bystrym okiem popatrzyła na nich smagła, siwowłosa staruszka.

*Kankiro weddaardi lurgwa*, zwrócił się do niej w myślach Wilczarz. W imię Bogini niech światem rządzi Miłość. Widzisz, Matko Kendarat, teraz i ja mam ucznia...

\*

Kiedy Neelith zawołała ich na posiłek, Wilczarz zjawił się przy ognisku - po strawę dla Tilorna. Młoda kuchareczka uwarzyła gęstą polewkę z jęczmienia, zaprawioną słoniną, smażoną cebulą i czymś cudownie pachnącym - tak gotowano w Sakkarem. Dziewczynie pozwolono rozporządzać zapasami jedzenia wedle woli. Wyglądało na to, że nikt nie będzie tego żałował.

Kupiec Fitela, jak przystało wodzowi, pierwszy popróbował przygotowanego jadła, za nim Aptachar. Fitela nic nie powiedział, tylko się uśmiechnął i kiwnął z zadowoleniem głową. Aptachar wydał z siebie okrzyk, obtarł ręką wąsiska i poklepał Neelith po ramieniu.

- Trzeci rok ci służę, Fitela, i ani razu nie kładłem się spać głodny, ale na płodne łono Rodany, takiego jedzenia do tej pory nie zazналиśmy!

- Uważaj, rozpieścisz moich zuchów - rzekł kupiec, zwracając się do Neelith. - Jeszcze trochę i zaczną się ode mnie domagać smakołyków, jesiotrów i solonych orzeszków.

Neelith zaczęła się niespokojnie wiercić na swoim miejscu, mrugała oczami z zakłopotaniem i lekką obawą. Jak należało zrozumieć te słowa - czy to pochwała, czy przygana? Wojowie, śmiejąc się i przekomarzając, rozsiedli się wokół ognia i jeden po drugim, wedle starszeństwa, jęli zanurzać łyżki w kotle. Kiedy nadeszła kolej Wilczarza, nappełnił swój kociołek i zaniósł Tilornowi.

- Przyjacielu... - zaczął mędrzec z bólem w głosie, ale odpowiedzi nie usłyszał. Wilczarz posadził go, wręczył łyżkę, kociołek i odszedł, nie wypowiedziawszy ani słowa. Usiadł na swoim miejscu i zabrał się do jedzenia. Możliwe, że polewka była zawiesista i smaczna. Ale on nie poczuł

żadnego smaku.

Kiedy Fitela rozdawał chleb, Wilczarzowi dostała się wielka przylepka. Rozłamał ją, zjadł połówkę, a drugą odłożył. Po wieczerzy razem z Neelith poszli myć pusty kocioł. Wilczarz zamachnął się i niemal do połowy jeziora dorzucił odłożony kawałek chleba - to była jego podzięką za doznane łaski.

- Wykap się, jeśli chcesz. Popilnuję - zaofiarował się.

W miejscu, gdzie spadł chleb, nad tafelę wody wyskoczyła wielka ryba. I znowu wszystko ucichło. Mieszkańcy jeziora przyjęli ofiarę i obiecali, że nie wystraszą Neelith.

- Dzięki, panie - cicho podziękowała i poszła za krzaki rozebrać się. Wilczarz siadł plecami do jeziora, objął rękami kolana i wbił wzrok w gęstniejące ciemności.

Bogowie widzieli - cieszył się jak ostatni szczeniak, cieszył się z tego, że ocalał... z tego, że nagle nie był sam...

Za jego plecami Neelith pluskała się w wodzie. Pływała jak maleńka żabka, nie czując lęku przed czarną wodą z jej zimnymi wirami i stworzeniami mieszkającymi w głębinie. Nie było się czego bać, kiedy Wilczarz siedział na brzegu.

\*

Wieczór był ciepły, cichy, wojowie siedzieli przy ognisku do późna. Audyka pogrzebał w swoim dobytku i wyciągnął lirę. Okazało się, że nieźle poczyniła sobie, grając na pięciu strunach, a do tego jeszcze znał mnóstwo pieśni - od sławiących bohaterskie czyny po śmieszne i nieprzystojne. Śpiewali prawie wszyscy, nie wyłączając samego Fiteli, nawet w Wilczarzu wzbierała czasem ochota, by dołączyć do chóru. Z niejakim zdziwieniem odkrył w sobie tę chęć, a także własne niezdecydowanie. Nie umiał się cieszyć.

Audyka zaczął welską balladę żalobną z czasów Ostatniej Wojny:

*We śnie Komgałowi objawił się  
wielki i groźny, zdobny mądrością Bóg...*

Mimowolnie Wilczarz zaczął przypominać sobie pieśni, które mogłyby zadziwić niejednego z obecnych, ale jedna z nich przebijiała wszystkie inne. Ułożyli ją niewolnicy pracujący w Górach Szmaragdowych. Była to Pieśń Rozpaczy. Pierwsze jej słowa brzmiały tak: "O czym zaśpiewasz teraz, złota struno?". Skazani na katorgę, którzy przez lata pracowali pod ziemią, nie mieli żadnych strun. Ale w pieśni struna musiała być, i to złota. Bo inaczej po co w ogóle śpiewać?

*O czym zaśpiewasz teraz, złota struno?  
Tu kamienie chłodne, ślepe i bezgłose.  
Tutaj wieczna noc, tutaj nie ma łuny,  
Tutaj pochowane nadzieje me bosc...*

Wen przypominał sobie słowa starej pieśni, którymi odprowadzano w ostatnią drogę setki ludzi. W Górach Szmaragdowych żywi mieszkali w ciemnym grobowcu, a zmarli - przeciwnie - wychodzili na światło. Tylko zmarli. I tylko on, Wilczarz, jeden jedyny ze wszystkich. Czarny mrok sztolni i kosmate szaroniebieskie słońce wiszące nad samym wejściem do pieczary...

*W kopalni gdzieś droga twa się skończy,  
gdzie zmarli śnią swój ostatni sen,  
i słońce nad górami, bezlitosne słońce  
w ślepawe oczy zajrzy twe.*

Wyrwał się stamtąd, ale od siebie samego nie sposób uciec. Dusza człowieka, który przez siedem lat śpiewał Pieśń Rozpaczki i Pieśń Śmierci, zamienia się w bryłę lodu. Może zdarzają się i tacy, którzy nawet z takiego miejsca wynoszą w sercu radość i dobroć. Nie tyczyło to Wilczarza. Przez cztery lata po tych siedmiu dusił w sobie ludzkie uczucia. Musiał być wojownikiem. Musiał zabić Ludojada. I umrzeć. Chociaż Matka Kendarat przemawiała doń i obdarzała ciepłem, nic jej z tego nie wyszło. Teraz... teraz na pewno było już za późno.

\*

Jego warta przypadła na godziny po północy, kiedy akurat najbardziej chce się spać.

Wilczarz się nie kładł. Wiosenna noc była jasna dla jego oczu przywykłych do kopalnianego mroku. Najpierw wykonał kilka ćwiczeń z łukiem, odciągnął cięciwę do prawego ucha najpierw czterema palcami, potem trzema i wreszcie dwoma. Zrobiony z brzozy, jałowca i ścięgien łosia łuk był bardzo mocny. Gdy naciągało się cięciwę, jego rogi wyginały się do przodu. Wilczarz ustawił na kępcę trawy kilka gałązek, po czym strzelił do nich z łuku. Jeśli teraz dojdzie do jakiejś potyczki, będzie czuł się pewniej - sprawdził broń. Schował łuk i zajął się toporem - tym na krótkim stylisku. Kiedy podrzucany do góry topór wracał już pewnie rękojeścią w dłoń, Wilczarz kilkakrotnie rzucił nim w kikuty gałęzi sterczących z kępki traw. Audyka długo przypatrywał się jego poczynaniom, wsparty na łokciu. Wilczarz nie zwracał na niego uwagi.

Nie bardzo się zdziwił, kiedy się okazało, że Fitela dał mu do pary Aptachara. Kupiec nie miał powodów, aby od razu zawierzać wszystko nowemu najemnikowi. Na dodatek Wenowi. Segwani nie zawsze żyli w zgodzie z Wenami.

- Nie lubię waszego plemienia - zrzędliwie ozwał się Aptachar.

- Wam, Wenom, mam co nieco do zarzucenia!

Wilczarz uśmiechnął się sam do siebie. W jego domu uważano za szczyt nieuprzejmości zwątpić w człowieka, z którym zdarzyło się dzielić nocleg i jadło. Chleb jest święty. Ci, którzy jedli jeden chleb, są jak rodzina. Czym czasami kończyło się owo zaufanie, Wilczarz wiedział aż nadto dobrze. Ale nie zamierzał opowiadać Aptacharowi o tym, co sam kiedyś myślał o Segwanach.

- Ale dziewczynę masz... - odezwał się znów Aptachar, kiedy kilka razy obeszli wspólnie wozy. - Ładna!

- Może i ładna - odparł Wilczarz.

- Jakoś nie zauważyłem, żebyś się z nią pieścił. - Aptachar nie dał się zniechęcić. - Ustąp mi ją dla syna. Audyka oczu od niej oderwać nie może. Potrafilibyśmy się odwdziżyć. Dwa konie srebrem. Dobra cena?

- Ona nie jest niewolnicą, żebym miał ją sprzedawać, a ty kupować

- spokojnie odpowiedział Wilczarz. - Sama wie, z kim ma się pieścić.

- Nie chciał mówić o brudnej śmierci człowieka, który nastawał na cześć Neelith. - Twój syn będzie znakomitym wojownikiem - dodał po namyśle. - Poprosił mnie, bym pokazał mu chwyt, którym go powaliłem.

Aptachar nie bez dumy rozprostował palcem wąsy.

- I dzięki temu chwytowi obali cię, kiedy staniecie przeciw sobie, walcząc o dziewczynę.

- Może i tak - powiedział Wilczarz - potem mnie poprosi, bym na uczył go jeszcze jednego i jeszcze jednego...

Aptachar najpierw się nabzdyczył, potem już miał gruchnąć śmiechem, kiedy zdał sobie sprawę, że wzbudzi popłoch w całym oddziale.

Ograniczył się do szerokiego uśmiechu i dobrodusznego kuksańca w niezgojone żebra Wilczarza.

Kiedy Aptachar obudził kolejnych dwóch strażników na wartę, Wilczarz nie poszedł do swojego namiotu. Położył się przy wygasłym ognisku, przytulił się rannym bokiem do ziemi i zamknął oczy. Już zasypiał, kiedy jego ramienia dotknęła maleńka rączka. Neelith klęczała tuż obok niego.

- Panie - wyszeptała. - Chodźmy, panie!

W milczeniu patrzył na nią, ale nie wstawał. Neelith pociągnęła go za rękę.

- Tilorn prosi, byś mu wybaczył, panie... Mam też imię, pomyślał Wilczarz.

- Nie wiem, o jakim Tilornie mówisz - rzekł.

Neelith chlipnęła, przycisnęła twarz do jego dłoni i zaczęła go przekonywać, cała drżąc i zachłystując się od szlochu:

- Panie, jest nam bez ciebie zimno, panie...

Wilczarz musiał więc wstać i pójść z nią, choć nie miał na to najmniejszej ochoty. Dobrze, że Tilornowi starczyło rozumu, by nie podejmować z nim rozmowy. Zapewne zrozumiał, że wszystko zostało już powiedziane. Tylko tęskno westchnął, kiedy Wilczarz położył się na swoim miejscu i odwrócił do niego plecami, starając się przy tym nie stykać z nim ani ramieniem, ani kolanem.

Różowy odbłask zorzy powoli pełzł po północnym skraju nieba. Nielot Gacek siedział na wozie, na najwyższym pakunku. Prostował skrzydła, odwracał się to w lewo, to w prawo i po cichu piszczął, a potem nastawiał ucha, czy nie słyhać jakiegoś popiskiwania w odpowiedzi. Wiedział, że gdzieś tu niedaleko w lesie gnieźdzą się jego pobratymcy, i z niepokojem czekał, czy na jego zew nie przyleci jakaś miła nietoperzyczka.

Rankiem Wilczarz podszedł do Aptachara, trzymając na ręce Nielota Gacka.

- O co chodzi? - gniewnie burknął Aptachar. Ci, którzy go dobrze znali, żartowali, że o poranku



lepiej się do niego nie zbliżać. Aptachar całą noc potrafił się bawić, a potem śpił i do południa.

- Gacek jest zaniepokojony - powiedział Wilczarz. Rzeczywiście czarny zwierzączek nie mógł usiedzieć mu na ręce, rozglądał się na wszystkie strony i posykiwał, prostując skrzydła..

- No i co z tego? - zapytał rozdrażniony Aptachar.

- Odwiedziły go dzikie nietoperze. Pewnie widziały kogoś w lesie.

- Włożyć kolczugi? - zapytał Audyka. Wilczarz pomyślał sobie, że młodzieniec nie miałby pewnie nic przeciwko temu, by się z nim zaprzyjaźnić. Nie inaczej jak z powodu Neelith. A może z powodu kankiro.

- Wracaj na swoje miejsce, Wenie - rozkazał Aptachar. Nie miał najmniejszego zamiaru słuchać nowicjusza tylko dlatego, że zdarzyło im się razem trzymać wartę. Wilczarz wzruszył ramionami i odszedł. Jednak zdążył dosłyszeć, jak Fitela, wsiadając na konia, mówi:

- Pamiętaj, Aptacharze, że płacę ci za to, by towar dojechał do celu, a nie za to, by oszczędzać kolczugi.

Przez dłuższą chwilę Aptachar, cały purpurowy na twarzy, w milczeniu motał na palec długi, na poły siwy wąs. Potem krzyknął:

- Włożyć pancerze!

\*

Nieduży konik o włochatych nogach biegł równym kłusem koło wozu. Dziś Wilczarz jechał zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia: nie po tej stronie, gdzie leżał Tilorn, tylko po przeciwnej. Słoneczko znowu przeświecało przez korony drzew, lecz uczoney tym razem nie starał się podążać za nim wzrokiem, nie cieszył z tego, że znowu zaczyna rozróżniać światło i cień, i nie zasypywał Wilczarza pytaniami o mijane po drodze miejsca czy o zwyczaje mieszkańców tutejszych lasów... Neelith trzymała wodze, niby też tak samo jak wczoraj, a jednak nie nuciła sobie pod nosem piosenek z Sakkarem. Wilczarz patrzył na twarde, łukowate trawy porastające płytkie zagłębienia na drodze i próbował sam siebie przekonać, że nie miał racji.

Gdyby była tu Matka Kendarat, na pewno wkropiłaby głuptasowi...

No bo rzeczywiście, skąd Tilorn mógł wiedzieć, że jego słowa były największą obrazą dla mężczyzny z rodu Szarego Psa? Że Prawda Wenów nakazywała ohydnemu gwałcicielowi zmierzyć krokami własne kiszki? Że ten, którego oszczerco oskarżono o przemoc w stosunku do kobiety, nie mógł przyjąć odpłaty od oszczercy ani w złocie, ani w srebrze? Tą monetą mogło być tylko życie.

Tilorn mówił w języku Wenów gładko, bez zajknięcia, może nawet lepiej od samego Wilczarza. Więc wiedział o tym wszystkim. Musiał wiedzieć. A skoro wiedział - to dlaczego? Za co? I jak się wystraszył, kiedy zmiarkował, że powiedział coś niewłaściwego. Na pewno nie udawał. A może jednak to było udawanie?

Przecież z kaleką nie stanie na ubitej ziemi, by wyrównać rachunki. Nadal obmywał go i karmił, i zanosił, gdy była taka potrzeba, za krzaki lub drzewo. Koniec końców bez Tilorna nie wy dostałby się z lochów spalonego zamku. I - co jeszcze ważniejsze - nie odnalazłby Ludojada. Takich

przysług Wenowie też nie zapominają.

Wilczarz doskonale wiedział, czym są krzywda i zemsta, czym jest dług krwi. Ale obraza... Obrazić może tylko przyjaciel. Obraza jest wtedy, kiedy śmiertelnie zrani cię ktoś, do kogo już zdążyłeś się przywiązać...

Coś podobnego zdarzyło mu się po raz pierwszy w życiu.

\*

W słoneczny dzień strażnikom było gorąco w pancerzach i hełmach nałożonych na futrzane podkładki. Podśmiewali się teraz z Wilczarza. Wszyscy byli zgodni co do tego, że wystraszył się cienia. Pół biedy, jeśli swego, a tu się okazuje, że gackowego. Powinien był odpowiedzieć żartem na żart. Prawdziwy wojownik nigdy nie będzie się gniewał za kpinki pod swoim adresem, co najwyżej może odpowiedzieć prześmiewcy podobną kpina, wywołując ogólny śmiech kompanii. Ale tej umiejętności Wilczarz nie posiadał. Dlatego milczał.

Dwie gęste choinki zaczęły osuwać się równocześnie: jedna upadła tuż przed pierwszym z wozów, druga - za ostatnim. I natychmiast posypały się strzały, z bezpośredniej bliskości, z obu stron drogi.

Strażnicy Fiteli nie działaliby wiele, gdyby byli bez kolczug. Na ich szczęście napastnicy tego nie przewidzieli i zaatakowali głównie zrzynkami - strzałami zakończonymi szerokimi grotami. Taka strzała może przebić pierś człowieka i popuścić krwi koniowi, lecz kolczugi nie przebije. Wojowie zsiadli z koni, błyskawicznie przerzucili tarcze do lewej ręki i klnąc pod nosem, zaczęli strzelać.

Wilczarz w mgnieniu oka wyciągnął z pochwy łuk i nie patrząc, wyrwał z brzozowego kołczanu strzałę. Chwilę później strzała śmignęła w miejsce, gdzie pomiędzy drzewami nad ziemią mignęło coś żywego. Z gaju doniósł się krzyk.

Wen nie miał hełmu. Nielot Gacek opuścił swe stałe miejsce na ramieniu, wdrapał się wyżej i z całej siły wczepiwszy się w zarzucone do tyłu warkocze, zawisł nieruchomo głową w dół. Przeżywał to już nieraz.

O ile Wilczarz mógł się zorientować, napastników było mniej więcej tylu, ilu wojowników w drużynie Fiteli. Wynik bitwy zależał więc od tego, ile mieli strzał. Jeśli rozbójnicy wzięli ze sobą po dwa kołczany - szanse są niewielkie.

Strzały zaczęły się kończyć i jednym, i drugim. W tym momencie w gaju zatrąbił róg i rozbójnicy z wrzaskiem wysypali się na drogę. Twarze mieli zasłonięte okropnymi maskami z brzozowej kory. Byli zadziwiająco dobrze uzbrojeni. Jeden z trzech, którzy runęli na wóz Wilczarza, wymachiwał nawet mieczem. Drugi miał włócznię, a trzeci właśnie wyciągał rękę po topór tkwiący w przytroczonym do pasa pokrowcu. Biegając, zastanawiał się, czy będzie w ogóle musiał walczyć z samotnym strażnikiem, czy od razu może wyciągnąć rękę po worki. Jego towarzysz zaatakował Wena włócznią. Wilczarz przyjął cios na tarczę, odskoczył na bok i z całej siły pchnął trzeciego napastnika, który już chwycił za burtę wozu. Usłyszał, jak zachrząściły kości, rozbójnik z krzykiem zwałił się na ziemię. Ciekawe, czy da radę się podnieść. Na wąskiej drożynce nie było miejsca, żeby się obrócić, krzaki przeszkadzały przeciwnikom Wilczarza w jednoczesnym ataku. Udało mu

się ująć przed ciosem miecza, zdążył zauważyć niebezpieczny wymach ramienia trzymającego kopię i w tym momencie bez zastanowienia sam uderzył. Zdarzało mu się już przecinać kolczugi jednym ciosem, ale teraz bok bolał go wprost niemiłosiernie i dlatego wołał wycelować w gardło. Szeroki, dobrze zaostrzony grot rozplątał szyję rozbójnika. Ciężkie ciało zważyło się bez życia, łamiąc krzewy. Wilczarz wyciągnął włócznię i natychmiast odskoczył do tyłu, ku wozowi. Jeśli będzie miał szczęście, napastnik sieknie mieczem, trafi w drewnianą burtę wozu, przez chwilę koniec miecza utkwi w wozie, a wtedy...

Tymczasem zabójca nieoczekiwanie zatrzymał się o jakieś pięć kroków od wozu, tak że Wilczarz nie mógł go sięgnąć włócznią.

- Słuchaj, Wenie - rzekł. Poprawił przekrzywioną maskę i trochę opuścił tarczę, chcąc się zabezpieczyć na wypadek podstępnego uderzenia w podbrzusze. - Rozejrzyj się dokoła, waszych już dobijają. A ty, jak widzę, nieźle umiesz się bić. Po co taki dzielny wojak miałby ginąć za bezdurno? Szepnę o tobie słówko naszemu Żadobie. Nie pożałujesz!

W tym momencie z drugiej strony wozu rozległ się okrzyk Tilorna i rozpaczliwy wrzask Neelith.

Wilczarz skoczył do przodu jak ryś i kopnął nogą w dolną część tarczy rozbójnika. Przed takim ciosem nie było obrony. Zbójcę odrzuciło do tyłu, umarł, zanim opadł na ziemię. Mogło się wydawać, że otworzył usta od ucha do ucha i gryzie własną tarczę, ale Wilczarz już tego nie widział. Nie obiegił wozu wokół. Chwytał za burtę i przeskoczył górą, ponad pakunkami, z których w wielkiej obfitości sterczały strzały.

Zdołał obrzucić spojrzeniem pole bitwy, dostrzegł, że walka toczy się jeszcze gdzieś przy wozach, zobaczył Fitełę, który sprawnie szermował długim, cienkim mieczem. Jego wzrok padł na Tilorna zakrywającego dłońmi zakrwawioną twarz. I na jeźdźca, który już zniknął pomiędzy choinami. Przed nim przewieszona przez konia Neelith krzyczała i próbowała się uwolnić.

Wilczarz pochwycił topór - ten o krótszym stylisku. Rzucił.

Topór ze świstem obrócił się w locie... ale koń w tym momencie poderwał się do góry, przeskakując stos chrustu. Ciężki tasak, wycelowany pomiędzy łopatki jeźdźcy, trafił konia w zad.

Zwierzę zarżało i łomotnęło z impetem o ziemię. Wilczarz przeskoczył nad zwiniętym w kłębek Tilornem, jakimś rozbójnikiem i którymś z ochroniarzy - zdaje się, Audyką - którzy walczyli, wczepiwszy się sobie wzajem gdzieś pod kołami wozu. Miękka leśna ziemia z westchnieniem przyjęła jego ciężar. Wilczarz momentalnie wyprostował się i pomknął w stronę, skąd dochodziło dzikie rżenie konia, który bezładnie bił kopytami ziemię. Rozbójnik nie ucierpiał. Pozbierał się i uciekał w las, ciągnąc za sobą Neelith. Dziewczyna w wielkiej desperacji stawiała opór, próbowała chwytać gałęzie, ugryźć rękę prześladowcy.

I wzywała go na pomoc:

- Wilczarzu! Wilczarzu!

- Krzycz głośniej - doradził jej porywacz. Ale potem obejrzał się i zobaczył Wena. - Aha, twój przyjaciel nas goni.

Dostrzegł kryształowy koralik zdobiący włosy Wilczarza.

Wilczarz najbardziej bał się tego, że rozbójnik ze strachu zacznie się zasłaniać dziewczyną. To znaczy Wilczarzowi by to nie przeszkodziło, ale Neelith dość najadła się strachu, nie można jej było już bardziej straszyc... Bogowie nie okazywali litości. Neelith wykorzystała moment nieuwagi napastnika i wbiła ostre zęby głęboko w jego nadgarstek.

- Gryzie, suczka!

Rękojeść miecza uderzyła w czarnowłose ciemność. Nie za mocno, nie na śmierć - tylko tyle, żeby poleżała sobie spokojnie, kiedy on będzie załatwiał jej przyjaciela.

Wilczarz toporem osłonił się przed ciosem miecza. Na mieczu była krew. Czyją głowę zdołał rozplatać? Tilorna?

- Ty północne ścierwo! - odezwał się rozbójnik w języku Solwenów. Nie było najmniejszych wątpliwości, że to jego ojczysty język. - Depczesz nasze ziemie razem z Welchami i Segwanami. A więc zdechniesz razem z nimi!

Wilczarz nie odpowiedział. Długi miecz znowu przeciął powietrze, tym razem zbójca chciał podciąć mu nogi. Wilczarz z łatwością uniknął ciosu, podskakując nad śmigłym ostrzem. Miecz był wspaniały. Ktoś, kto trzymał go w ręku, powinien znać sztukę posługiwania się tak doskonałą bronią lepiej niż ten Solwen. Neelith odzyskała przytomność i cisnęła w porywacza szyszka, która wpadła jej w ręce. Szyszka bezradnie odskoczyła od chronionego kolczugą ramienia.

Wen zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z doświadczonym wojownikiem. Doświadczonym i okrutnym. Ale wyniosłym. Takim, który przywykł, że zwycięża od razu. A zatem można spróbować wy- wieść go w pole.

Parując kolejny cios, Wilczarz zaplątał się w klęczka jałowca i upadł na kolano, omal nie wypuszczając topora z rąk. Jego przeciwnik jednym ruchem uniósł miecz i z głośnym okrzykiem uderzył z całej siły. Neelith rozdzierająco wrzasnęła. Rozbójnik już widział przed sobą rozplataną na pół ciało, ale zamiast na rudowłosą głowę miecz z brzękiem i łomotem trafił na gruby, kuty obuch. Ostrze siekiery w tym samym momencie runęło naprzód, rozbójnik zawył strasznym głosem - jego miecz i dwa palce prawej ręki upadły na trawę.

Miał na tyle rozumu, by natychmiast się rzucić do ucieczki. Wijąc się z bólu, wpadł pomiędzy okazałe choinki, skrył się w gęstej olszynie. Wilczarz mógłby bez trudu dogonić go albo wysledzić, dokąd uchodzi, po śladach krwi ciekącej z rany. Nawet zrobił krok naprzód, ale się zatrzymał. Nie godziło się porzucać przerażonej dziewczyny samej. Jest żywa, cała.. No i dobrze.

I Neelith zawisła mu na szyi. Nie płakała, tylko drżała na całym ciele. Wilczarz gładził roztrzepane czarne kędziory i myślał, że na pewno znajdzie dla niej dom, w którym już nigdy więcej nie wczepi się w te włosy niczyja brudna łapa. A jeśli takiego domu nie ma jeszcze na ziemi, to on go zbuduje.

Podniósł z ziemi miecz rozbójnika i poszedł z powrotem, w stronę drogi. Skoro jeździec pochwyił dziewczynę i uciekał, to oznaczało, że o zwycięstwie nie mogło być mowy. I rzeczywiście - dały się słyszeć głosy strażników. Atak został odparty.

Wilczarzowi wydawało się w ferworze pogoni, że odbiegł od drogi na jakieś dziesięć kroków. Naprawdę przebiegł co najmniej setkę.

Neelith ledwie mogła mu dotrzymać kroku, potykając się o wrzosa. Cały czas próbowała chwycić go za pas, ale palce się jej ześlizgiwały.

Jeśli ten bandzior zrobił coś Tilornowi, myślał Wilczarz, to go wyśledzę i kiszki z niego wypuszczę.

Jeszcze raz przystanął koło leżącego konia. Zobaczywszy ludzi, koń podniósł łeb, żałośnie zarżał i próbował wstać. Ale nie miał siły. Tylne nogi miał bezwładne.

Jak na złość, koń był cały biały, bez jednej łatki. Wenowie wierzyli, że takie konie ciągnęły po niebie rydwan Słońca. Wilczarz przykląkł obok zwierzęcia, zdjął mu z grzbietu siodło i poluzował uzdę ozdobioną kutym we wzory srebrem. Uwolnił go w ten sposób.

- Biegnij do Nieba, koniku - westchnął cicho, gładząc miękkie nozdrza. - Przeskocz wieczne Drzewo i wzbij się w niebiosy, za błękitny Ocean, na srebrne łąki. Tam ci Matki utkają nowe ciało, skroją piękniejszą skórę od tej, którą masz. Znowu będziesz żrebaczkiem, znów przyjdiesz na świat. Powiedz Staremu Koniowi, że zły człowiek przywiódł cię na męki, a Szary Pies uwolnił.

Neelith nie zauważyła, kiedy wyciągnął nóż. Koń wzdrygnął się na całym ciele i ucichł. Konwulsyjnie drgający bok opadł ostatni raz...

Neelith odskoczyła, zaszlochotała i pobiegła w stronę drogi. Wilczarz zabrał miecz, siodło i uzdę i poszedł za nią.

\*

Tilorn żył. Co więcej - po raz pierwszy bez pomocy zdołał usiąść na wozie. Wilczarzowi kamień spadł z serca. Kaleka próbował zetrzeć krew z twarzy, ale tylko coraz bardziej ją rozmazywał. Neelith starała się go opatrzyć, wodą z bukłaka polewała szmatkę.

Wilczarz podszedł do wozu i zrzucił zdobycz na ziemię. Odepchnął od siebie ręce uczonego i sam zaczął ostrożnie i szybko badać dotykiem jego głowę. Dziesięć długich palców z delikatnymi zawiązkami paznokci oplotło jego nadgarstki i Wilczarz zauważył, że w uścisku uczonego pojawiło się coś na podobieństwo siły.

- Wilczarzu! - jęknął Tilorn głosem pełnym rozpacz. Rozbite wargi nie chciały go słuchać. - Obedrzyj mnie ze skóry, zasłużyłem na to! Nie znam waszych obyczajów i sam nie wiem, co bajdurzy mój wstrętny język. No, uderz mnie! Przeklnij! Tylko nie odchodź!

Wilczarz przypomniał sobie, jak ten człowiek rozmawiał z katem, i nie mógł wyjść ze zdziwienia. Ale najbardziej zadziwiające było to, że poczuł ścisnienie w gardle.

- A zmiataj... - burknął wreszcie. Zostawił z nim Neelith, która cały czas wycierała śączącą się z nosa Tilorna krew, obszedł wóz i zaczął zdejmować ubranie i broń z trzech rozbójników, których ciała leżały pod kołami.

\*

Kilku strażników odniosło rany w walce, ale to były jedyne straty, jeśli nie liczyć paru rozprutych

sakw. Wieczorem przy ognisku Wilczarz czyścił miecz odebrany rozbójnikowi. Słuchał, jak Fitela planuje, że na następną wyprawę zabierze kilka czujnych psów.

- Teraz wystarczył nam Wilczarz. - Audyka odsłonił w uśmiechu mocne zęby. Strażnicy roześmiali się tak głośno, że Aptachar nawet szturchnął syna łokciem i rzucił pospieszne spojrzenie na Wena. Ale Wilczarz nie czuł się urażony. Jego praprzodek był psem, który uratował pramatkę plemienia od krwiożerczych wilków, a potem, jak to bywa, zamienił się w przystojnego mężczyznę. Czemu miałby się poczuć urażony?

Miękką szmatką po raz setny przecierał spoczywającą na kolanach klingę. To był miecz Wenów. Stara robota. Nieznany mistrz długo musiał warzyć czyste żelazo z tłustym czarnym kamieniem dobytym z ziemi, potem cierpliwie studzić, nie przyspieszając stygnięcia ani zimnym powiewem wiatru, ani chłodną wodą. Wygładził, wypieścił młotem na kowadle, aż wreszcie obmył specjalnym siarczystym płynem, od którego na klindze pojawiły się wzory - buro-srebrzyste pasy szerokie na palec, sprytnie skręcone i wiele razy przechodzące od rękojeści po sam koniuszek. Wilczarz nie znalazł na mieczu żadnego znaku. Człowiek, który miał choć jako takie rozeznanie, wiedział, co to mogło znaczyć. Wilczarz słyszał od ojca, że wielcy mistrzowie w dawnych czasach nie pozostawiali na klingach żadnych znaków, wierzyli, że ludzie i tak będą wiedzieli, czyja to robota. Kątem oka pochwycił zazdrosne spojrzenia innych wojowników. Wszyscy dostrzegli, że na stylisku jego siekiery dumnie błyszczą okazały karby, a ostrze pozostało bez skazy. Za takie miecze na targu trzeba zapłacić równo wagę złota i nikt się nie skarży na drożyznę.

Trzeba będzie sprawić tej klindze porządną pochwę...

- Neelith powiedziała mi - cicho ozwał się Tilorn - że musiałeś dobić konia.

- Musiałem - odparł Wilczarz i leciutko trącił paznokciem ostrze. Dźwięk był wysoki i czysty.

- Nie można go było uratować? - spytał Tilorn. - Gdyby miał złamaną nogę, mógłbym spróbować...

Wilczarz odwrócił się w jego stronę. Uczony leżał na brzuchu, podpartszy pięścią podbródek, palcem czochrał Nielota Gacka baraszkującego w jego brodzie.

- Miał złamaną kręgosłup - powiedział Wilczarz. - Celowałem w jeźdźca, ale chybiłem.

Tilorn westchnął.

- Mnie nie chciałeś dobić.

- A trzeba było - warknął Wilczarz. Ułożył miecz na głowie, napiął się i przygiął ku ramionom rękojeść i ślepą część ostrza. Klinga wyprostowała się jak sprężyna. Taki miecz można wstawić pomiędzy kamienie i zwiesić się całym ciałem - nie złamie się. Teraz Wilczarz miał pewność, że wzór na klindze to nie podróbka, że miecz przetnie i gwóźdź, i piórko, które spadnie na ostrze.

Tilorn długo się zbierał, by coś powiedzieć, wreszcie wydusił:

- Nie gniewaj się już na mnie, proszę. Nic nie wiem, trzeba mnie uczyć i uczyć. Bądź tak dobry i wytłumacz mi, czym cię obraziłem.

- Nazwałeś mnie Ludojadem, oto czym mnie obraziłeś - odrzekł Wilczarz.

- Jak? - przeraził się Tilorn. - Ja...

Wilczarz oparł się o miecz łokciami. Długo się nie odzywał. Jak ma wyjaśnić temu obcemu, że tam, na górze, jest Wielka Odwieczna Matka, która w czas wiosennej równonocy porodziła ten świat pospołu z bogami, ludźmi i dziewięcioma sferami niebieskimi? Jak mu opowiedzieć, że Pani Ludzkich Losów, Bogini Prawa i Prawdy to kobieta? I jeszcze o tym, jak z innego świata przyleciała płonąca góra, a Ojciec Niebo zastonił sobą Matkę Ziemię?

Później ciekawski Tilorn zada mu jeszcze mnóstwo pytań i w końcu dowie się wszystkiego. Na przykład tego, że ani jeden Wen nigdy nie położyłby się na ziemi, przytulając się do niej jak do żony, przed obrzędem zasiewu pól. Można się tak kłaść tylko na wojnie albo na polowaniu, kiedy inaczej się nie da. Ale do takich opowieści było jeszcze daleko i Wilczarz milczał pogrążony w ponurych myślach, szukając odpowiednich słów wyjaśnienia.

- Kobiety są święte! - wypowiedział wreszcie. I nic już więcej nie dodał.

\*

Okazało się, że wataha Fiteli miała zwyczaj nagradzać szczególnie odznaczonych w boju strażników - najwaleczniejsi nie musieli trzymać nocą straży. Ale kiedy opatrzyli rannych, stało się jasne, że Wilczarzowi nie będzie dane zażywać zasłużonego snu.

W milczeniu wzruszył ramionami, wszedł do swego namiotu. Trudno, niech obudzą, kiedy przyjdzie jego kolej.

- O ile się nie mylę, dzisiaj kogoś zabiłeś... - ostrożnie odezwał się do niego Tilorn.

- Zabiłem - odparł Wilczarz, nie bardzo rozumiejąc intencje uczonego.

- A to znaczy, że gdy nastanie trzecia noc, upiór zjawi się tutaj - ciągnął kaleka.

Wilczarzowi się zdało, że Neelith przestała oddychać w ciemności, że raz jeszcze przeżywa tamten nocny koszmar i boi się usłyszeć z jego ust twierdzącą odpowiedź.

- Nie zjawi się - powiedział.

- Bo zabiłeś w boju? Czy twoja wiara odróżnia śmierć w walce od zabójstwa?

- Nie o to chodzi - warknął Wilczarz. - Nocą będzie burza. Nikt nie przychodzi po burzy.

- Wybacz mi moją ciekawość - odezwał się uczonego po chwili milczenia. - Tam, pod dębem...

Kiedy ty osinowym kołkiem... Co to było?

- Dusze - odparł Wilczarz.

- A mnie się wydawało, że walczyłeś z czymś materialnym... cielesnym... Wilczarz długo się namyślał, zanim odpowiedział.

- Dusze bywają różne. Dusza człowieka sprawiedliwego jest jak jasny obłok... Bogowie ją wzywają i ona ulatuje ku nim. A tacy jak Ludojad czy tamten kat mają dusze jak trupy.

\*

Pszczółki pochowały się w dziuplach, konie parskały, czując w powietrzu dziwne zapachy, a Gacek pchał się za pazuchę. To były znaki nadchodzącej burzy. I rzeczywiście głęboką nocą, kiedy Wilczarz z Aptacharem obchodzili wozy, z zachodu, od strony Morza Zachodzącego Słońca nadeszła chmura. Potężna, skłębiona, a w niej bezdźwięcznie rozbłyskiwały czerwone błyskawice. Potem zaczęły dochodzić głuche odgłosy piorunów. Strażnicy się pobudzili, z głęboką

czcią i bo- jaźnią wpatrywali się w płomieniste niebo. Kreślili rękami w powietrzu rozdzielony na dwoje krąg. Neelith zwinęła się w kłębuszek i coś szeptała, zamknawszy oczy i zatkawszy uszy rękoma. Jej naród uważał burzę za przejaw niełaski Wielkiej Bogini.

Kiedy zaczął padać deszcz, Aptachar wcisnął się pod wóz i zawołał Wilczarza. Ale Wen się nie schował. Wyszedł poza krąg wozów, podniósł głowę ku rozstępującym się niebiosom i zaczął się cicho modlić:

- Panie mój, Władco Burzy! Ty, który pokonałeś zimnego Węża złotym swym toporem... Martwa jest dusza moja, Panie, w piersi jest pusto... Czemu ja? Dlaczegoś mnie do siebie nie zabrał?

Strumienie deszczu omywały szramy na zwróconej ku niebu twarzy, ściekały po policzkach, spływały w dół po brodzie i mocno splecionych warkoczach. Błyskawice rozpały ogniki w kryształowym koraliczku nanizanym na rzemyk. Pioruny waliły wokół. W pewnej chwili pomarszczone i rozrywane wiatrem chmury ułożyły się w rysunek surowego męskiego oblicza w ramie czarnych włosów przetykanych siwizną i ognistej złotej brody. W niebieskich oczach płonął niebieski ogień.

- IDŹ - powiedział grom. - IDŹ, A PRZYJDZIESZ.

Nazajutrz po drodze coraz częściej widywali wioski. Oddech zachodniego wiatru stawał się coraz bardziej słony. Potem skończył się las i wozy wyjechały na gościniec, po którym jeździły zaprzęgi i chodzili ludzie. Około południa za dalekim horyzontem ukazało się bezkresne błękitne morze, a z przodu wyrosły wieże stołecznego Haliradu.



*“ Wilkołaku, wilkołaku o szarej sierści!  
Czemu, czemu znowu chcesz unikać ludzi?”.*  
*“Ludzie miękko ścielą, ale śpi się twardo.  
Zamerdasz ogonem - bieda się obudzi”.*  
*“ Wilkołaku, wilkołaku, nie wszyscy to wilki,  
są we wsi gościnne i miłe zagrody”.*  
*“ Może i są, ale szukać trzeba ich długo,  
a i tam ze strachu chwycą za topory”.*  
*“ Wilkołaku, wilkołaku, miękkie masz futerko,  
co poczniesz ty zimą na śniegu i lodzie?”.*  
*“Nie przepadnę, dopóki mam ostre zębiska.  
A nawet przepadnę - nikt płakać nie będzie”.*  
*“Wilkołaku, wilkołaku, a jeśli myśliwy  
wyśledzi cię w gąszczu i wrazi ostrze w bok?”.*  
*“Bez cienia litości przegryzę mu gardło  
i rzucę na pastwę złych kruków i wron”.*  
*“ Wilkołaku, wilkołaku, leśny zbawco mój!  
Zginął w ciemnym gaju gad, zginął węży rój.  
Czemuś mnie obronił - czyżbyś nie dostrzegął,  
że ja sama z ludzi wywodzę ród swój?  
Wilkołaku, wilkołaku, pozwól głaskać uszy!  
Więc nie jest ci wstrętna kobieca ręka?  
Kiedy ci się przyjrzeć, nie jesteś tak straszny.  
Połóż się przy ogniu, naleję ci mleka. Zostań tu”...*  
*...a szara sierść powoli złazi  
i oto nie ma już straszliwego zwierza...*  
*“Jakim teraz mam wołać cię imieniem?”.*

## **Rozdział 4**

### **Stary mistrz**

Wilczarz szedł ulicą, pod pachą niósł miecz zawinięty w kawał materiału. Miecz jak i wprzód nie miał pochwy, ale czyż godzi się przechadzać po mieście z obnażoną klingą? Aptachar polecił pewien warsztat i Wilczarz wyprawiał się na poszukiwania, pozostawiwszy swoich w zajeździe i surowo zakazując Neelith samej wysunąć nos za bramę. Za izbę w zajeździe zapłacił na siedmiodzień z góry. Na szczęście Fitela nie oszukał - rozliczył się uczciwie.

Miasto się Wilczarzowi nie podobało. Za wiele hałasu, za wiele biegających to tu, to tam ludzi, a pod nogami zamiast miękkiej leśnej trawy - drewniany chodnik, na dwa łokcie usłany łupinami orzechów. Boso nie da rady chodzić. Prażone orzeszki cieszyły się tutaj wielkim wzięciem i u małych, i u dużych - u kobiet, mężczyzn i dzieciarni. Wilczarz początkowo z niechęcią spozierał na smakołyki, a potem nagle zmiękł i postanowił kupić garstkę - niech Neelith się ucieszy.

Ludzie oglądali się za nim, mylili się, sądząc, że on nie zauważa ich spojrzeń. Solwenowie uważali Wenów za dzikusów i trochę nimi pogardzali w głębi duszy, a jednak ździebko się ich bali. Poza oczy gadali, co im ślina na język przyniesie, lecz otwarcie nie mieli odwagi wysmiewać. Dobrze i to. Wenowie uważali Solwenów za flejtuchów i bezwstydników, którzy sprzeniewierzyli się prawom przodków.

Ciekawe było jeszcze i to, że żaden Solwen by nie ścierpiał, gdyby w jego obecności jakiś Segwan śmiał przyganiać Wenom. I Wen oberwałby wasy każdemu obcemu, który poważiłby się obrazić Solwenów. Oba plemiona pamiętały o więzach krwi i cokolwiek by się działo między nimi, to ich sprawy - swoje psy się gryzą, niech obcy się nie wtrąca.

Język Wenów i Solwenów był niemal identyczny. Tylko tutaj, w Haliradzie na schody mówili schodki, na koguta - kur, a na kołczan - sak.

Jakoś tak dziwnie, ale zrozumieć można. Gorzej, że wspólne słowa wymawiali inaczej, miękko. "Mleko" mówili albo "czisto" i marszczyli brwi, kiedy słyszeli twardą wymowę Wenów. Wilczarz za swój sposób mówienia poszedłby na katorgę jeszcze raz.

Miasto położone było pomiędzy zatoczką, do której przytuliła się hałaśliwa przystań, i kamienistym wzgórzem, na którym wznosił się zamek, zwany ustroniem. W zamku mieszkał wraz ze swą drużyną kneź Gluzd. Poza kneziem w mieście była jeszcze rada starców. Radzie podlegała straż, która pilnowała porządku w Haliradzie.

Ulice biegły ku niebieskiemu morzu, leniwie kołyszącemu się w rytm fal. W oddali majaczyły skąpane w lekkiej mgłę lesiste garby wysepek. Te najdalsze wyglądały tak, jak gdyby wisiały nad wodą, nie dotykając własnego odbicia. Miejscowi czarownicy tłumaczyli ten widok raz jako dobry, a raz jako zły omen - w zależności od pozycji gwiazd na niebie. Od morza niesło zapach wodorostów, ryb i smolnych szczap... i jeszcze czegoś, co kazało myśleć o dalekich krainach i obcym niebie. Wilczarz lubił morze. Bardziej niż morze kochał tylko lasy w swych rodzinnych

stronach.

Im bliżej przystani, tym więcej typów ludzkich mijał na swej drodze. Niektórych rozpoznawał od razu po kolorze skóry, języku i ubiorach, innych widział po raz pierwszy w życiu. Tutaj, przy ujściu Świątyni, gdzie spotykają się szlaki, handel zawsze kwitł - powiadają, że od początku świata.

W dolnym mieście ulice były wymoszczone o wiele lepiej od tych na skraju miasta. Na ciasno ubitych odrzynkach położono gładkie deski. Nie było też łupin - tu ulice zamiatano. Wilczarz niewzruszenie szedł przed siebie, stąpając przez rozkrzyczane ludzkie morze złożone z wielu plemion, mówiące wieloma językami. Teraz marzył o tym, żeby znaleźć się gdzieś na brzegu leśnego jeziora i grzać ręce przy ciepłym ogniu. Tam przynajmniej nikt nie wrzeszczałby mu prosto w ucho, zachwalając swój towar...

Kramy, karczmy i warsztaty stały ciasno jeden obok drugiego. Wilczarz popatrywał na sklepiki i rozmyślał, dlaczego Aptachar wysłał go w takie miejsce - to jasne, że rzemieślnicy na przedmieściach policzyliby za robotę o wiele taniej... Segwan szczegółowo objaśnił mu, jak dojść, ale Wilczarz, który nie lubił miast, czuł się tu niepewnie. I prędzej by zawrócił, niż zaczął rozpytywać ludzi o drogę. Jeszcze tego brakowało, żeby jakiś Solwen z uśmiechem na licu zaczął tłumaczyć jak wiejskiemu matołkowi, gdzie znajduje się pracownia starego Warocha.

Wreszcie z wielką ulgą wśród otaczającej go pstrokacizny dostrzegł poszukiwany szyld - czerwona tarcza i pusta pochwa obok niej. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Ileż trudu go kosztowało, by nauczyć się wchodzić pod dach obcych ludzi ot tak, jak teraz - bez zaproszenia przestępować świętą granicę progę. Cóż, życie nauczyło...

Gdzieś w środku domostwa odezwał się dzwoneczek, na spotkanie gościa wyszedł, lekko utykając, gospodarz - ponury stary Segwan. Wilczarzowi wystarczyło jedno spojrzenie, by odgadnąć, że jest wdowcem. Zza pleców mistrza wyglądał ciekawski bystrooki chłopaczek.

Wnuczek, orzekł w myślach Wilczarz. Albo najmłodszy późny synek, ukochana pamiątka po zmarłej towarzysze życia...

- Dzień dobry, zacny panie - powiedział, składając ukłon. - Czy wiele masz teraz pracy?

Zdołał się zorientować, że pracownia najlepsze czasy ma już za sobą. Może to i lepiej, tacy nie zedrą z ciebie skóry za usługę.

- Chramn łaskaw, nie skarżymy się - krótko odparł gospodarz. - Szanowny witeź zapewne chciałby pochwę na miecz?

Wilczarz powstrzymał się, by nie poprawić starca. Nie był członkiem drużyny, nie należał mu się zatem tytuł witezia. Ale potem pomyślał sobie, że rzemieślnik i chłopca nazwie mężczyzną, żeby tylko sprzedać mu towar. Dziwne zwyczaje mają ci ludzie z miasta, że tak od razu przechodzą do sedna sprawy, miast powolutku zagłębiać się w rozmowę. Co innego u Ire-Donna, "Pod Białym Koniem". Wilczarz wyjął miecz z pokrowca.

- Nie znajdziesz dlań pochwy, zacny człowieku?

Piękna klinga przyciągała wzrok, jak gdyby przykazywała obejrzeć miecz od rękojeści po sam koniuszek... Wilczarz patrzył na miecz, więc nie zobaczył, że staremu mistrzowi zadrżała broda.

Podniósł oczy, dopiero kiedy usłyszał:

- Chować twój miecz do przypadkowej pochwy to tak jak piękną dziewczynę przyodziać w stare łachy... Nie obrażaj miecza, witeziu. Pozwól, że zdejmę miarę, jutro wieczorem pochwa będzie gotowa.

Wilczarz zamyślił się, słuchając słów starego mistrza. W głębi duszy był pewien, że miecz wszystko zrozumie i nie będzie miał mu za złe... jednak z drugiej strony piękna klinga miała swoje wymagania. Może mu odpłacić. Ale najbardziej trafiło Wilczarzowi do przekonania to, że starzec doskonale znał swoje rzemiosło i nie próbował go nabierać. Mówił szczerze, wołał już nawet stracić jedyne, być może, klienta, który zajrzał do jego warsztatu.

- A ile weźmiesz? - spytał po dłuższej chwili.

- Zależy, jaką skórę wybierzesz, jakie ozdoby... - zaczął starzec, ale zaraz zamilkł, a potem wypalił niemal błagalnie: - Zrobię ci wspaniałą pochwę. Będzie cię kosztowała tyle, ile w innym miejscu wzięliby za gotową: ćwierć konia srebrem.

Wilczarz wiele razy bywał w dużych miastach, ale za każdym razem szedł prosto do pierwszego kramiku, nie sprawdzwszy uprzednio, jak się sprawy mają w sąsiednim. A wyjść nic nie kupiwszy, kiedy się już wszczęło z kupcem rozmowę - tego sumienie Wena by nie zniosło. Może dlatego wśród Wenów rzadko zdarzali się kupcy.

- Zgoda, zacny człowieku - powiedział Wilczarz i zaczął odliczać zadatek. - Bierz miarę.

Nie wiadomo, dlaczego mistrz postanowił zacząć nie od miecza, ale od Wilczarza.

- Jak będziesz go nosić? Na biodrze czy za plecami?

- Za plecami.

- A z której strony rękojeść - z lewej czy z prawej?

- Z prawej.

Starzec wodził rysikiem po nawoskowanej deseczce i skrzętnie coś notował. Wilczarz zwrócił uwagę, że Nielot Gacek cały nastroszony rozglądał się niespokojnie, a kiedy mistrz wyciągnął sznurek z węzłkami i chciał zmierzyć Wilczarza przez ramię - zasyczał i omal nie capnął go za palec. Wilczarz musiał przytrzymać rozszluszczoną zwierzątko w rękach, a dziadek nieoczekiwanie zaczął strofować malca:

- Czemu przesiadujesz w pracowni? Leć no lepiej do wujka Brawlina, powiedz, żeby do nas zajrzał. Całkiem zapomniał o starym... Gdzie mam zrobić sprzączkę, szlachetny witeziu?

Wilczarz pokazał miejsce, gdzie miała być sprzączka. Zauważył, że chłopiec zniknął bezszelestnie i szybko - ani chybi dziadek posłał go w ważnej sprawie. Nielot Gacek pluł i syczał, próbując się uwolnić. A starzec tymczasem popatrzył w swoje zapiski, zasępił się, rozważył coś w myślach i poprosił Wilczarza, by odwrócił się do niego plecami.

- Lepiej zobaczyć, jak będzie leżał. Długi jest...

Wilczarz posłusznie się odwrócił, biorąc pod uwagę kalectwo starca, ale miecza nie zostawił na ladzie. I to go uratowało.

Kiedy drzwi otwały się z trzaskiem i przez próg z krzykiem "Bij złodzieja!" przewaliło się

czterech strażników, jednym skokiem znalazł się w pustym kącie, zanim w jego umyśle zdążyła zrodzić się myśl o niebezpieczeństwie. I tylko dzięki temu żyłaste ręce starego mistrza, wyciągnięte ku jego szyi, złapały pustkę.

Strażnicy z rozpędu omal nie przelecieli obok. Kiedy się odwrócili, Wilczarz stał w kącie, na lekko ugiętych nogach, w szerokim rozkroku, z mieczem w rękach. Gacek wspiął się na jego głowę i wojowniczo rozpostarł skrzydła.

- No? - zapytał Wilczarz i wyszczerzył się, pokazując szczerbę po wy bitym zębie. - Może chociaż powiecie, za co chcieliście mnie zarąbać.

Trzech chwatów zaczęło popatrywać po sobie niepewnie. Wiedzieli jedno: ten człowiek usiecze każdego, kto się przybliży. Czwarty strażnik był dobrze zbudowanym mężczyzną o siwych wąsach, z plecionym brązowym naszyjnikiem na szyi i oznaczającym starszeństwo pasem pokrytym srebrnymi blaszkami. Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale mistrz go uprzedził:

- Mogę nie pamiętać twarzy, ale nigdy nie pomyłę miecza. - Drżącą ręką przeciągnął po brodzie. Było widać, że na ten moment czekał od bardzo, bardzo dawna. - Tyś Żadoba! Sam nie jestem w stanie ze mścić się na tobie, ale w tym mieście, na szczęście, Prawda jeszcze coś znaczy...

- Nie jestem Żadoba! - powiedział Wilczarz.

- Łżesz! Niewielu ludzi zna twoją twarz, bo zakładasz maskę, kiedy idziesz gwałcić i rabować. Ale ja znam twój miecz i wiem, że nigdy za nic na świecie nie pozwolisz nikomu go tknąć. Z jakiegoś powodu przyszedłeś akurat do mojego warsztatu, choć ostatnio prawie nikt tu nie bywa...

- Nie jestem Żadoba! - ponuro powtórzył Wilczarz i w duchu któryś już raz przeklął rozbójników. Skoro nie dali mu rady wtedy na drodze, teraz chcieli wykończyć go tutaj, cudzymi rękami. Nawet jeśli po łoży trupem wszystkich czterech strażników, nie uda mu się ująć zbyt daleko.

Mocarz o siwych wąsach odezwał się w końcu:

- Gębę masz, powiem szczerze, jak u rozbójnika. Kto może po twierdzić, żeś nie Żadoba?

Wilczarz nareszcie usłyszał rozsądne słowa.

- W zajeździe "Pod Ukochanym Dzieckiem" mieszka Fitela, segwański kupiec. Jego ludzie powiedzą ci, kim jestem.

- Idź! - Dowódca skinął w stronę jednego ze swoich zuchów. Sam zajął jego miejsce, bacząc, by Wilczarz nie uciekł.

- Nie bój się, nie ucieknę - rzekł Wilczarz. - Tylko zbój ucieka!

\*

Myślał, iż zajęty swoimi sprawami kupiec przyśle co najwyżej Audykę. Jeśli miejski strażnik w ogóle będzie miał szczęście i zastanie kogokolwiek w zajeździe. Tymczasem Fitela pofatygował się osobiście, na dodatek wziął ze sobą Aptachara i... Neelith. Dziewczyna natychmiast podbiegła do Wilczarza. Strażnicy próbowali ją pochwycić, ale zwinna Neelith wywinęła się i stanęła obok Wena.

- Jeszcze i swoją dziwkę... - splunął starzec.

- Za te słowa, dziadku, brodę ci wydrę - pogroził mu Wilczarz. - Nie będę patrzył, że siwa. - I

wrzasnął na Neelith: - Mówiłem ci, żebyś siedziała w domu!

A w duchu przypomniał sobie, że nie kupił jej jeszcze szafirowych koralii. O sobie nie zapomniał, zaraz pomknął zamawiać pochwę...

- Witaj, szlachetny Brawlinie! - Fitela zwrócił się do dowódcy straży. Wilczarz najpierw się zdziwił, ale potem pomyślał, że kupiec był tu na pewno nie po raz pierwszy i znał pół miasta. - Co się tu wydarzyło? To mój człowiek.

- I ty witaj, Fitelo, bogaty gościu - odparł Brawlin. - I ty witaj, Aptacharze. Jeszcze nic się nie stało. Tylko mistrz Waroch rozpoznał miecz i powiada, że ten człowiek to Żadoba.

- Ładne rzeczy! - roześmiał się Aptachar i głośno klepnął w biodro szeroką dłońią. - Nie, przyjacielu, zacny Brawlinie. Żadobę pojmać to zaiste sprawa szlachetna, ale tym razem się omyliłeś.

- No chyba - potwierdził jego słowa kupiec.

- Co możecie o nim powiedzieć? - Brawlin wskazał głową Wilczarza.

- Same dobre rzeczy - odpowiedział Fitela bez namysłu. A Aptachar dodał:

- To Wen. Nazywamy go Wilczarz.

Brawlin z politowaniem popatrzył na Warocha, który zaczerwienił się po uszy.

- A czy dawno go znacie? Aptachar policzył na palcach.

- Od czternastu dni.

Fitela kiwnął głową na potwierdzenie słów Aptachara.

- A ja dużo dłużej! - zaperzył się starsuszek. Brawlin z głębokim westchnieniem rozłożył ręce.

- Nic nie poradzę, musimy iść do grodu. Niech knezinka rozsądzi.

- Knezinka? - zdziwił się Aptachar.

- No tak, knezinka Hellona. Knei wyjechał. - Brawlin odwrócił się w stronę Wilczarza. - A ty, młodzieńcze, podaj mi miecz. Jeżeli pani uzna cię za niewinnego, dostaniesz go z powrotem.

- Nie oddam! - powiedział Wilczarz.

Brawlin z ukosa popatrzył na swoich chwatów, lecz Aptachar pochwycił to spojrzenie.

- Nie radzę, zacny Brawlinie - rzekł spokojnie. - Widziałem go w boju. Chłopaków wytracisz, a jego żywego nie pojmasz. Może lepiej ja poręczę, że on nie ucieknie po drodze. Bo przecie nie uciekniesz, Wilczarzu?

- Tylko zbój ucieka! - powtórzył Wilczarz.

- Mój człowiek chce powiedzieć - wtrącił się Fitela - że dopóki nie został uznany za przestępcę, nie ma powodu, by uciekać ani oddawać broń. Rad będzie stanąć przed obliczem knezinki, poddać się jej mądrości i sprawiedliwemu osądowi. Ale przed osądem nikt nie ma władzy nad jego wolnością. Czy tak, Wilczarzu?

Wen skinął głową. A w głębi duszy już nie po raz pierwszy podziwiał zdolności ludzi uczonych do przyoblekania w składne słowa wszystkiego, nad czym on musiał rozmyślać pół dnia.

\*

Miejscową twierdzę nazywano ustroniem dlatego, że odgradzała najbardziej ustronną część

osady. A mówiono o niej też krzem, bo była zbudowana z twardego krzemienia i najlepszych gatunków drzew. Haliradzki krzem stał na skalistym wzgórzu, okolony fosą i solidnym wałem obronnym, nad którym wznosiły się ściany zbudowane z bierwion. Jeżeli jakiś wróg zechce zdobyć Halirad i przełamać zewnętrzne umocnienia, wielki krzem pomieści obrońców miasta i w razie czego pozwoli doczekać, aż gońcy rozniosą wici z wołaniem o pomoc. Wilczarz zdołał zauważyć, że fosa była doskonale utrzymana, a usypany z ziemi wał - pokryty gliną i wypalony. Knezia nie bez kozery nazywano Gluzdem, czyli Człkiem Rozumnym. Ciekawe, czy córka odziedziczyła tę cechę po ojcu...

Gdyby sąd nad Wilczarzem miał sprawować, powiedzmy, knezicz -jakiś bezwąsy młokos, który mógłby mu być młodszym bratem - nie spodziewałby się po nim niczego dobrego. Młokos uwierzy we wszystko, co mu nabajdurzą, będzie chciał zażyć sławy pogromcy Żadoby... Knezinka to coś zupełnie innego. Sąd kobiety to święty sąd Pani Ludzkich Losów.

Długo czekali na dziedzicu, wreszcie Brawlinowi udało się odszukać dowódcę witezi. Z szacunkiem zdjął czapkę i wyłożył sprawę, z jaką tu przybyli. Potężny siwy bojar wysłuchał go i zniknął za drzwiami. Wilczarz spostrzegł, że przy bramie od razu pojawiło się kilku pachotków. Jeżeli knezinka orzeknie, że on jest Żadobą...

Potem słudzy rozłożyli na ganku puszysty kobierzec i ustawili na nim rzeźbiony drewniany tron. Wilczarz wolałby, żeby sądzono go tak, jak to było przyjęte u niego w domu - pod sprawiedliwym drzewem albo na brzegu świętej rzeki. Zasepił się. Solwenowie ze swoją Prawdą nie budzili w nim zaufania.

W tym momencie na ganku pojawiła się knezinka Hellona i Wilczarz natychmiast o wszystkim zapomniał.

Była piękna. Córki wodzów zawsze są piękne. To jasne jak słońce na niebie i pewne jak to, że Starsza jest mądra i sprawiedliwa, a jej mąż jest najlepszym myśliwym i najodważniejszym wojownikiem w całym rodzie. Wodzowie to najlepsi ludzie, jakich wydał naród, oni też stają w imieniu narodu przed bogami...

Knezinka wyglądała niemal jak rówieśnica Neelith. Miała rudy warkocz grubości ręki i oczy szare jak dwa leśne źródła. Jej jasne czoło zdobiła srebrna korona wysadzana zielonymi kamieniami dobranymi pod kolor szaty. Dziewicza uroda to cud nad cudy i dziw nad dziwy. Neelith bez trudu można było objąć w pasie palcami; a knezinka była pulchna. Neelith była dzikim koteczkiem, żywiołowym i zarazem płochliwym. Knezinka, otoczona szacunkiem i miłością, zdawała się białą łabędzią...

- Bądź pozdrowiona, pani. - Przybysze pokłonili się w pas.

- I wam niech się wiedzie, dobrzy ludzie - uprzejmie odpowiedziała, siadając na tronie. Jej spojrzenie przez moment zatrzymało się na twarzy Wilczarza. - Bojar Spryt, syn Milovana - skinęła na rosnącego wojownika o siwych włosach, który stał po jej prawej ręce - powiada mi, że jest tu człowiek, którego ktoś wziął za Żadobę.

- Prawdę rzekłaś, miłościwa pani - natychmiast odpowiedział Waroch. - To on. Żadoba. - I

wyciągnął żylastą rękę, wskazując Wilczarza. - Poznałem go po mieczu!

- Chcę zobaczyć ten miecz - powiedziała knezinka Hellona. Wilczarz w milczeniu rozwinął gałgan i podszedł do dziewczyny,

trzymając miecz na dłoniach. Dostrzegł, jak piękny młody bojar stojący po lewej stronie tronu sięgnął ku rękojeści miecza. Wilczarz nie raczył mu nawet poświęcić jednego spojrzenia, cofnął się, złożony wzorzystą klingę na kobiercu u stóp knezinki.

- Przyszedł do mnie, by zamówić pochwę - ciągnął stary mistrz. - Może myślał, że skoro interes mi nie idzie, to nie ma się czego bać! Rozpoznałem go od razu!

Wilczarz posępnie patrzył na swój miecz połyskujący na dywanie.

- A co powiedzą świadkowie? - Knezinka Hellona zwróciła się do Fiteli. - Wypowiedz swe słowo, zacny gościu.

Fitela pokłonił się i postąpił naprzód.

- Tego człowieka po raz pierwszy ujrzałem w Wielkim Pohoście, w karczmie Ire-Donna, dwa siedmiodnie temu. Przyszedł do mnie, chciał się nająć do ochrony...

- Był sam? - wtrąciła knezinka.

- Nie, pani, od razu mnie uprzedził, że ma dwoje towarzyszy: dziewczynę, którą tu widzisz, i chorego przyjaciela - ślepego, całego pokrytego wrzodami. Nająłem go i...

- W Wielkim Pohoście? Tak niedaleko Haliradu?

- Nie miałem zamiaru go najmować, pani, ale on zdołał mnie prze konać, że bardzo się przyda.

- Nieźle mi nakładł po karku - burknął Aptachar. - Wybacz, za cna panno knezinko.

- Czy miał już wtedy miecz? - pytała dalej knezinka Hellona.

- Nie, zdobył go dwa dni później, kiedy napadli na nas ludzie Żadoby.

- Co takiego?! - przerwał stary Waroch. - Na pewno sam ich sprowadził!

- Nie - odparł Fitela. - Wręcz przeciwnie, uprzedził nas.

- W jaki sposób? - Władczyni nachyliła głowę.

- On ma małego nietoperza. Siedzi mu teraz na ramieniu. Gacek był bardzo zaniepokojony, jakby chciał nam powiedzieć, że w lesie są zbójcy. Kazałem moim ludziom włożyć kolczugi i tylko dzięki temu rozbójnicy nas nie wystrzelali... Sam Wilczarz położył trupem trzech w walce wręcz i jeszcze jednego ustrzelił z łuku.

- Wilczarz? - powtórzyła knezinka.

- Tak go nazywamy... Właśnie w tej potyczce, pani, zdobył ów świetny miecz.

Tymczasem wokół zebrała się cała chmara ciekawskich - witezie z drużyny, miejscy strażnicy, zwykli mieszkańcy, którzy przyszli do twierdzy w swoich sprawach.

- Kto widział, jak on zdobył ten miecz? - spytała knezinka.

- Spotkał się ze swoimi, to mu miecz dali - powiedział Waroch.

- Ja nie widziałem. - Fitela rozłożył ręce.

- Ani ja. - Aptachar zmierzwił brodę.



- Jam widziała! - Neelith z nagłą rozpaczliwą śmiałością wysunęła się do przodu. - Niech deszcze omywają twe stopy, koronowana szaddaat...

- Czy dawno z nim jesteś, dziewico? - zwróciła się do niej knezinka. - Czy to twój koralik zdobi jego włosy?

- Nie, szlachetna szaddaat. Spotkałam go prawie miesiąc temu... uratował mnie z rąk gwałciciela i od tej pory traktuje jak siostrę. Tam, na drodze, jeden z napastników porwał mnie i chciał uprowadzić. Pan Wilczarz dogonił go, bili się... zranił rozbójnika w rękę, tamten upuścił miecz i uciekł. Przysięgam, że tak było, pani! Jeśli łżę, niech mnie... niech nigdy nie będę miała dzieci!

- Ej, chłopie - powiedział Aptachar. - Wychodzi na to, żeś samego Żadobę obłupił!

- Jak został ranny rozbójnik? - włączył się do rozmowy bojar stojący z prawej strony tronu.

Wilczarz bez słowa zgiął dwa palce prawej ręki - wskazujący i środkowy.

- A ja wam mówię, że to wszystko łgarstwo! - Stary Waroch zaczął tupać nogami. - Pozwól, pani, bym przyniósł żelazo! Pociągnę ich za język przed bogami, jak każe nasza Prawda!

- Pewnie - powiedział bojar z lewa. - Niech ich pociągnie, siostró. Od razu się dowiemy, kto jest winien, a jednocześnie się zabawim.

Siostrą, zakarbował sobie w pamięci Wilczarz.

- Poczekaj, starcze! - Nieoczekiwanie knezinka Hellona wstała z tronu. - Powiedzcie mi, zmyślni bojarzy, mego ojczulka wierni towarzysze! I wy, rozumni mieszkańcy grodu! Czy Żadoba był kiedyś więziony? Czy nosił kajdany?

- Nie, nie był więziony! - ozwało się jednocześnie kilka głosów.

- Nie był, wielmożna pani - powiedział bojar z prawa, a ten z lewa skinął głową na potwierdzenie.

Władczyni Hellona tymczasem uważnie przyglądała się Wilczarzowi, a on nie mógł zrozumieć, czemu się tak przygląda - czy koralikowi, czy może szczękającemu zębami Gackowi, czy może jego szyi... Już nawet chciał poprawić kołnierz swej koszuli, kiedy knezinka zwróciła się doń:

- Podejź tu, Wilczarzu. Podwiń rękawy i pokaż ręce. Podszedł, rozwiązując tasiemki związane na przegubach. Potem podwinął rękawy i wyciągnął ręce przed siebie. Ręce jak ręce: kościste, oplecione wypukłymi, ciemnymi żyłami, całe w odciskach, szramach i świeżych śladach po zagojonych wrzodach. Zaraz nad przegubami na skórze widać było dwie szerokie, jeszcze nie całkiem zgojone blizny. Wilczarz teraz dopiero rozumiał, czemu z taką uwagą przyglądała się mądra dziewczyna. Przecież na jego szyi widniała taka sama blizna. Od obroży.

- To nie jest Żadoba! - Knezinka Hellona głośno wypowiedziała swój wyrok. Nawet Waroch nie śmiał się odezwać. - A ty, mistrzu - zwróciła się do starca - nie masz powodu, by szukać z nim zwady. Oto moje słowo: zrób mu pochwę na miecz, tak jak się umawialiście, i za ustaloną cenę. A ty, Wilczarzu, masz prawo domagać się za zniewagę główczyzny ćwierć konia srebrem...

Wilczarz wzruszył ramionami. Pragnął tylko jednego - jak najszybciej iść stąd i porządnie się wymyć. Matka słusznie postępowała: kiedy ojciec sprzedał jabłka i miód i wracał z targu do domu,

nie od razu dopuszczała go do wspólnego stołu, dawała mu jeść z oddzielnej misy. Bo cóż poza brudem można przywieźć z miasta, gdzie gościa wstępującego pod dach oskarżają nie wiadomo o co i wzywają strażników?!

- Ale ja proszę cię, szlachetny Wenie, nie chowaj w sercu urazy na mistrza Warocha - mówiła tymczasem knezinka. - To prawda, że pokalał święte prawo gościny... lecz gdybyś wiedział o jego nieszczęściu, na pewno byś mu wybaczył...

Wilczarz pospiesznie kiwnął głową, chociaż o żadnym przebaczeniu jego zdaniem nie mogło być mowy. A knezinka Hellona ciągnęła dalej:

- Nie ośmieliłabym się go osądzać, bom sama nie doznała czegoś podobnego. Przyjmij więc głowczyznę z mych rąk! Niech wiedzą nasi bracia, odważni Wenowie, że w Haliradzie rządzi Prawda.

Bojar wręczył jej kilka bitych w Haliradzie srebrnych monet. Knezinka schyliła się i podniosła miecz.

- Wiem, że jeszcze nieraz usłyszę o tej klindze - rzekła, wręczając Wilczarzowi wzorzystą rękójcę. - Wiem, że znajduje się teraz w dobrych rękach.

\*

Brawlin odprowadził ich za bramę.

- Wiesz co, młody człowieku - zwrócił się do Wilczarza. - Jeżeli będziesz miał ochotę zarobić coś do jesieni, kiedy twój kupiec pojedzie z powrotem, przyjdź, spytaj o mnie. Będę ci rad.

- Wielcem wdzięczny. - Wilczarz skinął głową i pomyślał, że prędzej się udławi.

- Ja i Audyka zawsze się najmujemy - powiedział mu Aptachar.

- Dokąd teraz? Do domu? A może wejdziemy się czegoś napić? Po tym wszystkim...

Wilczarz popatrzył na słońce chylące się niespiesznie ku dalekim góróm.

- Nie, muszę jeszcze iść na targ. Chodźmy, Neelith.

- Pochwa będzie gotowa jutro - burknął mistrz Waroch, patrząc w drugą stronę. - Przyjdź wieczorem.

- Obejdę się bez twojej pochwy - rzekł Wilczarz.

- A ja bez twych pieniędzy! - wykrzyknął stary Segwan. Trzęsącą się ręką wyjął z torby zadatek i rzucił pod nogi Wilczarzowi, który bez słowa odwrócił się i odszedł z Neelith, lękliwie czepiającą się jego łokcia. Wnuczek mistrza zaczął zbierać rozsypane monety, za co dostał od dziadka kosturem przez plecy. Ale Wilczarz już tego nie widział.

\*

Plac targowy w Haliradzie znajdował się nad samym brzegiem morza. Rankiem do dębowych pomostów przypływały rybackie łódki z koszami wypełnionymi po brzegi żywym srebrem. Handel zaczynał się skoro świt i trwał do późna, a wiosną i latem, w czas białych nocy

- przez całą dobę. Wilczarz nie mógł tego pojąć. Stare prawo nie uznawało handlu po zachodzie słońca, bez dozoru sprawiedliwego Oka Bogów. Żaden Wen nie sprzedawałby ani nie kupował nocą, ale Solwenowie... Czego się spodziewać, już niedługo ten naród przestanie wydawać na

świat kobiety podobne knezince Helionie...

- Co chcesz kupić, panie? - zebrała się na odwagę Neelith. Wilczarz nie mógł rozgryźć, dlaczego dziewczyna, która cały czas przekomarzała się z Tilornem, w rozmowie z nim całkiem traciła rezon.

Na pewno jestem złym człowiekiem, pomyślał i uśmiechnął się sam do siebie. Dobrego człowieka ani kotek, ani dziewczyna by się nie bały...

- Chcę kupić korale - odburknął. - Dla takiej jednej niebieskookiej i czarnowłosej piękności z Sakkarem. Może mi poradzisz, w jakich będzie jej do twarzy?

Ze zdziwieniem zatrzymał się, kiedy Neelith zaniósła się płaczem.

- Panie... nie obrażaj mnie, panie...

Wilczarz zauważył kątem oka, że ludzie zaczęli się za nimi oglądać. A niech się oglądają. Złapał Neelith za ramiona i leciutko nią potrząsnął.

- O co chodzi, dziewczyno? Zakryła twarz rękami.

- Przecież ja prawdę powiedziałam o tobie, panie...

Wilczarz puścił jej ramiona i ledwie się powstrzymał, by nie splunąć na drewniany chodnik. Pomyślała najwidoczniej, że on chciał jej się odwdzińczyć za słowa prawdy na sądzie. Już dawno nie czuł się tak głupio. A żał mógł mieć tylko do siebie. Też sobie wybrał czas na kupowanie podarków.

Który to już raz żałował, że Pani Ludzkich Losów, dająca każdemu śmiertelnikowi to, co mu sązione, poskapiła mu zdolności mówienia pięknych słów. Oderwał dłonie Neelith od twarzy i powiedział:

- Od samego początku chciałem ci kupić korale. To niedobrze, jeśli dziewczyna nie ma korali. Zechcesz okazać życzliwość narzeczonemu, a nie będziesz miała mu co podarować... Chciałem przyjść tu z tobą jutro, popatrzeć... a dzisiaj strażnicy omal mnie nie zarąbali... u tego, jak mu tam... Więc sobie pomyślałem, że do jutra znowu coś mi może przeszkodzić...

Był w rozpacz przez ten swój koślawy język, ale Neelith patrzyła mu w oczy i zapewne zdołała wyczytać z nich wszystko to, co on na próżno starał się wyrazić słowami. Znowu chlipnęła, ale teraz z zupełnie innego powodu:

- Wybacz mi, panie...

Wilczarz przyciągnął ją do siebie i z poczuciem wielkiej ulgi obtarł dłonią spływające po gładkich policzkach łzy.

- Już dobrze, siostrzyczko... Chodź, wybierzemy jakieś korale...

- Chodźmy - wyszeptła Neelith, trzymając go za rękę. Po raz pierwszy zapomniała nazwać go panem.

Kramów i kramików, na których handlowano błyskotkami, było bez liku. Nawet dnia by nie starczyło, aby obejść wszystkie. Na niektórych drzwiach widniały wizerunki węży - albo narysowane, albo wyrzeźbione.

- Wiesz, po co to? - zapytał Wilczarz. Neelith pokręciła głową. - To znak dla złodziei. Że nocami

kramu pilnują jadowite węże, więc skoro tu wejdziecie, to samiście sobie winni - wyjaśnił.

Neelith roześmiała się, a Wilczarz złapał się na tym, że po raz pierwszy rozmawia z nią swobodnie i spokojnie. Zupełnie jak Tilorn.

- Chodźmy tam, gdzie nie ma węży - zaproponowała Neelith.

- Nie lubisz węży?

W błękitnych oczach Neelith błysnęła iskierka sprytu.

- Tam, gdzie nie ma węży, pewnie jest taniej... - Doskonale wie działa, że pieniędzy wystarczy mu tylko na szklane paciorki.

- Kiedyś kupię ci prawdziwe, z szafirów - powiedział Wilczarz. Nie wiedzieć czemu cała się nastroszyła. A potem zapytała:

- Lubisz szafiry?

Wilczarz wzruszył ramionami i szczerze odpowiedział:

- Nie było ich tam, gdzie mnie trzymali na łańcuchu.

W końcu spodobał im się stragan młodego Solwena, który z niewiadomego powodu miał na sobie strój mieszkańców Arrantiady.

- Witaj, zacny człeku - odezwał się doń Wilczarz.

- Błogostawiony niech będzie pył na drodze, która przywiodła cię tutaj, dzielny woju - odpowiedział ceremonialnie sprzedawca, starannie udając wymowę i styl Arrantów. Wilczarza bardzo to rozśmieszyło. Cóż, wytłumaczył sobie, wielu zapewne chętniej sięga po sakiewkę, kiedy myśli, że ma do czynienia z zamorskimi towarami. Nie wszyscy byli w stanie - jak on, od pierwszego wejrzenia - dostrzec, że baśniowe kamienie tak naprawdę pochodzą z warsztatu mieszczańskiego się za rogiem.

- Co chciałbyś podarować tej pięknej pani, wspaniały woju? - za pytał straganiarz. - Popatrz na precudny naszyjnik z czarnych diamentów monomatańskich. A to najczystszej wody szmaragdy z tajnych kopalni Wiecznego Stepu. Opowiedziałbym ci o zawiłych i zaiste niezwykłych drogach, jakimi trafiły do mnie te kamienie, ale obawiam się, że moja opowieść zatrzymałaby cię tu do rana...

Nielot Gacek tymczasem zszedł z ramienia swego pana na stragan i zaczął gryźć wielki przezroczyisty paciorek koloru dojrzałej wiśni. Uznał go widocznie za rzecz nadającą się do zjedzenia. Omal nie połamał ząbków, obrażony splunął i po ręce Wilczarza wspiął się na swoje zwykłe miejsce, już nie chcąc igrać z losem.

- Te kamienie - powiedział Wilczarz - o ile dobrze zrozumiałem, to prawdziwe halisuńskie szafiry?

- O tak! - Kupiec z nabożeństwem złożył ręce i tak się ucieszył z naiwności leśnego dzikusa, że nieomal zapomniał o obcym akcencie. - Szczęśliwi mieszkańcy Halisunu znajdują je na dnie głębokich jezior... Niektórzy uważają te klejnoty za łzy rajskich ptaków dręczonych tęsknotą. Na pewno wiesz, że kolor kamienia zależy od głębokości, na której się zrodził. Te jaśniejsze leżą na powierzchni, prawie nie można ich odróżnić od wody. Dlatego są najtańsze. Za to ciemne,

najpiękniejsze są dobywane z największych otchłani, każdy z nich ma w sobie krew poławiacza, gdyż w mrokach podwodnych pieczar gnieźdzą się szponiaste potwory...

Wilczarz cierpliwie słuchał gadaniny samozwańczego Arranta i kątem oka obserwował Neelith. Widział, jak pochyliła się nad sznurem drobnych ciemnoniebieskich koralów, odrobinę ciemniejszych od jej oczu. Dziewczyna miała znakomity gust. Już miała wziąć koral w rękę, ale ostatecznie słowa kupca sprawiły, że się zawahała. Z lękiem popatrzyła na Wilczarza - czyżby naprawdę zamierzał jej kupić prawdziwe kamienie?

- Może jednak poszukamy zwykłych szklanych? - zapytała szeptem. Wilczarz położył jej rękę na ramieniu i szerokim gestem pokazał cały kram:

- Wybierz takie, na jakie masz ochotę.

Lęk w oczach Neelith ustąpił miejsca prawdziwemu przerażeniu. W milczeniu wskazała najtańsze bladobłękitne, prawie pozbawione koloru paciorki o nieregularnych kształtach. Nawet nie zostały nanizane na nić.

- Na pewno nie - powiedział Wilczarz i zwrócił się do kupca: - Te ciemnoniebieskie po ile będą? Samozwańczy Arrant wznosił ręce ku niebu.

- Biada mi, biada! Niebawem muszę zbierać się w powrotną drogę i dlatego te skarby rozdaję za bezcen... Trzy ćwierci konia w srebrze. Stratny jestem...

Neelith, usłyszawszy niebotyczną cenę, krzyknęła i spróbowała się wyrwać spod ręki Wilczarza, choć jej się oczywiście nie udało. On tymczasem powolnym ruchem położył na straganie swój miecz i to w taki sposób, aby okrywająca go szmata odsłoniła co najmniej połowę klingi, i z namaszczeniem ją rozsupływać sakiewkę.

- My, Wenowie, wolimy kupować u zacnych ludzi - oznajmił z satysfakcją. - Gdybym tu rządził, kazałbym odrąbywać rękę wszystkim, którzy sprzedają podrabiane błyskotki. Sam kiedyś tak postąpiłem z człowiekiem, który sprzedał mi rzekomo złotą bransoletę z rubinami. Pół roku później dowiedziałem się, że zapłaciłem trzymiesięczny zarobek za marny mosiądz i zwyczajne szkielka. Długom szukał niegodziwca, ale kiedym go już dopadł...

Kupiec się zmieszał, słuchając jego słów. Wilczarz miał nadzieję, że sprytny oszust znajdzie jedyne słuszne wyjście z tej sytuacji. I się nie omylił. Straganiarz chwycił sznur koralów, który wybrała Neelith, i zaczął się weń wpatrywać, jak gdyby zobaczył go po raz pierwszy w życiu.

- Biada mi, biada! - znowu wykrzyknął wniebogłosy, tym razem nie udając. Wilczarz bardzo się ucieszył z takiego obrotu spraw. - Ten naszyjnik mam dopiero od wczoraj, nie zauważyłem, że jest tu rysa na jednym z kamieni, o tu - na samym koniuszku. W takim razie za te najczystszej wody przepiękne kamienie...

- ...zapłacę półtorej srebrnej monety, to będzie w sam raz. - Wilczarz wymienił odpowiednią cenę. I uśmiechnął się.

- Ach, prześwietny wojowniku! - westchnął samozwańczy Arrant i podał koral Wenowi. - Widzą bogowie, żem stratny...

Wilczarz zapłacił i zapiął na szyi Neelith maleńką sprzączkę. Popatrzył w jej roześmiane,

błyszczące oczy i sama ręka mu się wyciągnęła, by pogłodzić jej jedwabiste włosy, mocno splecione w gruby warkocz.

- Chodźmy - powiedział i zabrał miecz ze straganu. - Nasz mędrzec pewnie usycha z tęsknoty.

Na ostatek jeszcze skręcili ku przystani. Neelith, która wychowała się nad morzem, koniecznie chciała popatrzeć na żaglowce. Nielot Gacek wisiał na jej ręce. Jedną łapką trzymał się jej palca i pomagając sobie ruchami skrzydeł, wpychał sobie do pyszczka kiszzone jabłuszko, którym obdarowała go litościwa sklepikarka.

Po chwili zastanowienia Wilczarz kupił w najbliższym kramiku słodką chrupiącą bułkę dla Neelith.

- A ty? - natychmiast spytała dziewczyna.

- Nie jestem łasy na słodycze.

Neelith zaczęła go namawiać, aż wreszcie uległ i odłamał kawałeczek. Bułeczka zdała mu się słodka jak miód.

Czego tu nie było na targowisku! Gruszki i jabłka, troskliwie przechowane od zeszłorocznych zbiorów, które nie straciły ani na wyglądzie, ani na smaku. Wczesne warzywa, które szybko puściły soki w słonecznych zakątkach, osłoniętych od wiatru. Ryby w dziewięćdziesięciu dziewięciu gatunkach przyrządzone na tyleż różnych sposobów. Grzyby suszone na nitkach albo zamarynowane w beczkach. Pieczone gęsi i żywy drób w klatkach uplecionych z wierzbowych witek. Placki, które pachniały tak, że aż w głowie się kręciło...

Wilczarzowi marzyło się, żeby nakupić od razu wszystkiego i urządzić wspaniałą ucztę, dogodzić Tilornowi i Neelith. I sobie też... Jednak opuścił rękę, którą już sięgał po sakiewkę. Za wcześnie na dogadzanie sobie. Nazajutrz trzeba będzie iść popytać kowali, czy nie będą potrzebowali na czeladnika kogoś, kto dobrze bije młotem...

Łodzie Solwenów i Segwanów stały na piasku, wyciągnięte poza linię przyboju spokojnie spoczywały na dębowych łożyskach. Dla ciężkich statków, które przyływały z Arrantiady, przeznaczone były cumowiska z prawdziwego zdarzenia, z wbitych w dno palików, wzmocnionych od góry solidnymi bierwionami. Arranckich okrętów było niemało. Wdzięczni żeglarze nawet wzniesli brązową statuę swojego boga. Potężny chłop, potargany i goły, deptał granitowy głaz, gniewnie wznosząc harpun zaciśnięty w silnej dłoni. Kiedy solweńscy kupcy kłócili się z arranckimi, Miedzianemu Bogu zakładali worek na głowę. A zdarzało się, że polerowali pewien anatomiczny szczegół figury, aż lśnił wesoło słonecznym blaskiem.

Dzisiaj pod Miedzianym Bogiem słychać było głośny stuk siekier. Cieśle budowali pośrodku głównego placu targowego drewniany podest.

Neelith nie mogła się napatrzeć na żaglowce, bezbłędnie odgadywała, skąd przypląnęły. Dwa czy trzy z nich nawet widziała kiedyś w domu i teraz cieszyła się, jak gdyby spotkała starych znajomych.

Wilczarz zwrócił uwagę na jeden statek, który niedawno przybił do brzegu. Załoga zdejmowała i zwijała żagle, przy burcie krzątali się tragarze, po trapie schodziło kilku mężczyzn w długich

kaftanach zszytych z dwóch połówek: po prawej stronie tkanina mieniła się czerwienią, po lewej - zielenią. Ci, którzy szli na przedzie, mieli szaty o kolorach jaskrawszych. Ci, którzy trzymali się z tyłu - w barwach nieco przygaszonych.

- To są ludzie z wyspy Tolmi - powiedziała Neelith. - Tam mieszkają kapłani Bliźniaczych Bogów.

\*

*...Pewnego razu, kiedy Wilczarz był małym chłopczykiem, do ich wsi zawitał wysoki srebrnobrody starzec, który powiedział, że jest Uczniem Bliźniąt. Chciał, by mu pozwolono zamieszkać w pobliżu.*

*- Starzy ludzie nie powinni mieszkać sami - orzekła starsza plemienia. - Jak to się stało, żeś stał się samotnym sierotą?*

*Przybysz objaśnił, że tak nakazywała mu żyć jego wiara. Zamierzał zbudować w lesie szałas i wykopać na brzegu Świątyni pieczarę. Ale nazajutrz zaczął kaszleć i chcąc nie chcąc pozostał we wspólnym domu, gdzie doglądały go staruchy i dzieciaki. Kiedy wyzdrowiał, nastąpiła zima i kapłana znowu zatrzymano. Widziane to rzeczy - pozwolić gościowi iść w zadymkę i mróz na pewną śmierć?*

*Wilczarz doskonale pamiętał jego pomarszczone ręce, dobre oczy i długą, gęstą brodę. Ile było włosków w tej brodzie, tyle opowieści o Bliźniętach żyło w pamięci starca. Szare Psy słuchały go zaciekawione, opowieści skracały im czas spędzany na pracach domowych w zimowe wieczory. A czasami było na odwrót - starzec prosił, by opowiadali mu o swoich wierzeniach. Pewnego razu poprosił chłopców, żeby zrobili mu pisadlo z kości i zdarli trochę gładkiej kory z brzoźowych polan przygotowanych do spalania.*

*- Po co ci to? - pytali.*

*- Zapiszę wasze podania - odpowiedział.*

*Co się stało z brzoźowymi zwiłkami pokrytymi cudzoziemskimi hieroglifami? Tej nocy, kiedy najechano wioskę, stary mędrzec błagał o litość, kreślił w powietrzu święte znaki i próbował zakryć własnym ciałem rannych i dzieci. Aż jeden z komesów Ludojada mimochodem ściął mu siwą głowę...*

Wilczarz nie powiedział o nim Neelith ani słowa.

\*

*...Słodka bułeczka jednak mu zaszkodziła. A przecież mógłby się już nauczyć, że jak tylko przygłodzi na karku szczecinę, zaraz musi się coś zdarzyć. Coś niedobrego.*

Był w tak nieprzyzwoicie doskonałym nastroju, że ujrawszy przed sobą grupkę chłopaczków, którzy z zacięciem rzucali kamienie do wody, nie od razu zrozumiał, czym tak naprawdę są pochłonięci.

Dopiero kiedy z wody doleciał go cienki, żaloszny pisk, na powrót stał się czujny. Zachodzące słońce raziło w oczy, ale mimo to zobaczył, co tam się działo: w odległości jakichś dziesięciu

kroków od przystani zasypywany gradem kamieni szamotał się szczeniak o wielkich uszach.

Dalej wydarzenia potoczyły się dużo szybciej, niż można to opowiedzieć. Wilczarz wręczył Neelith zawinięty w gałgan miecz i bez słowa skoczył naprzód. Nielot Gacek zadławił się jabłkiem, wypuścił je z pyszczką, rozłożył skrzydła i próbował zeskoczyć z ręki Neelith, ale rozdartą błoną kolejny raz nie pozwoliła mu wzlecieć. Spadł na drewniany chodnik i przeraźliwie krzyknął, przeklinając swe kalectwo.

Tymczasem na przystani podniósł się rozdzierający wrzask. Wilczarz bez litości poodrzucał na boki małych oprawców, a rękę miał ciężką jak żelazo. Rozpędziwszy chłopaków, popatrzył w dół. Leniwe fale kołysały się pomiędzy oślizgłymi palami. Tam, gdzie dopiero co przebierał łapkami nieszczęsny szczeniak, teraz powoli rozchodziły się po wodzie kręgi.

Wilczarz bez namysłu wskoczył do zimnej wody.

Promienie słońca padały pod takim kątem, że odbijały się od powierzchni i nie rozświetlały głębin, ale on dokładnie odmierzył odległość. Niemal natychmiast namacał miękkie, jeszcze poruszające się ciało. Odepchnąwszy się nogami od kamienistego dna, wynurzył się, schwycił psiaka za tylne łapki i mocno nim potrząsnął. Szczeniak, który napił się wody, zakrzuszył się i zapłakał. Wilczarz podpłynął do brzegu. Miał szczęście - był przyływ. Wybił się do góry, uchwycił się wolną ręką za skraj pomostu, podciągnął i wyszedł z wody.

- Hej, ty! Daj no tego szczeniaka!

Ku niemu zmierzał barczysty ojczulek jednego z urwisów. Syn trwoźnie chował się za plecami rozgniewanego rodzica. Lewe oko miał podpuchnięte, za to prawe patrzyło na Wilczarza z nieskrywaną złością. Groźny ojciec nierzadko okładał potomka pasem, ale za jego plecami można się było niczego nie bać. I nikogo.

Dwóch strażników zjawiło się w gęstniejącym tłumie i zaczęło się przyglądać.

Wilczarz oddał szczeniaka w ręce Neelith i zaczął spokojnie wyżymać podolek koszuli.

- Za wiele sobie pozwalasz, Wenie! - ryknął mężczyzna, czerwieniejąc na twarzy. Szarpnął go za ramię, chcąc zmusić, by się odwrócił. - Nie jesteś u siebie w lesie! To nie twój psiak, więc niech cię nie obchodzi! Daj go tu, powiadam!

Wilczarz patrzył na niego bez słowa przez dosyć długi czas. Potem się uśmiechnął. Wiedział, jakie wrażenie robi jego uśmiech. Niektórzy ludzie w takiej chwili zaczynali się zastanawiać, czy jest sens rozmawiać z nim dalej.

- Swojego syna - rzekł do nastroszonego Solwena - wychowałeś tak, że teraz męczy słabszych. Więc niech się nie obraża, jeśli ktoś obejdzie się z nim tak samo.

Mokra koszula oblepiała mu ramiona. Nie musiał strącać ręki, która na nich spoczęła - Solwen sam ją zabrał. Rozszczekany podwórkowy bryś, przywykły do tego, że ujada na każdego przechodnia, który pojawi się koło jego obejścia, jak zwykle wyskoczył z zębami i natrafił na milczącego Wilczarza.. Tak. Z powodu parszywego szczeniaka wchodzić w spór z dzikim Wenem, całym w szramach i na dodatek zdolnym złamać w dłoniach podkowy... Urażona duma jednak wzięła górę nad lękiem.



- Nie masz prawa rozkazywać mojemu synowi!

- Tak patrzę i myślę sobie, że to rzeczywiście twój nieodrodny syn - rzekł Wilczarz. - Skóra zdarta z ojca. Na pewno zechcesz wyzwać mnie na pojedynek.

I zerknął na Neelith, która tuliła mokrego szczeniaczka. Dziewczyna trzymała też pod pachą jego miecz.

Ale Solwen nie pałał ochotą do pojedynku. Odwrócił się na pięcie i odszedł, próbując zachować resztki godności, odprowadzany zdziwionym spojrzeniem synka, który nie mógł zrozumieć, dlaczego jacyś łajdacy mogą go bezkarnie obrażać w obecności rodzica.

Nie ulegało wątpliwości, że z każdym krokiem poczucie obrażonej dumy szeptało do ucha Solwena coraz donośniej, a ostrożność - coraz ciszej. Kiedy odszedł dobre dziesięć kroków, odwrócił się.

- Takich jak ty trzeba by trzymać w Górach Szmaragdowych... Świadkowie zdarzenia twierdzili potem, że Wen jednym zwierzęcym skokiem pokonał dzielącą ich odległość.

- Oooch! - westchnął czerwonolicy ze zdziwieniem i przeleciawszy w powietrzu plecami do przodu co najmniej półtora sążnia, z pluskiem zwał się do wody.

Strażnicy podbiegli do Wilczarza, ale kiedy byli już blisko, zatrzymali się. Wilczarz nie zamierzał uciekać, stał spokojnie, opuściwszy ręce. Solwen chwycił się śliskich pali, prychnąc głośno. Bywało, że brał udział w bitkach na pięści, miał jako takie pojęcie o sztuce walki i teraz doskonale zdawał sobie sprawę, że powinien błogosławić wszystkich bogów naraz.

- Za co poturbowałeś tego dobrego człowieka? - zapytał Wilczarza dowódca strażników. - Co on ci takiego powiedział?

- Ten dobry człowiek powiedział, że takich jak ja należy trzymać w Górach Szmaragdowych - odparł Wilczarz spokojnie.

Strażnik zwrócił się do tłumu gapiów:

- Czy tak było, ludzie?

- Tak było - odezwało się kilka osób jednocześnie. Nie było wątpliwości, że zdarzało im się oberwać od krewkiego jegomościa o czerwonym obliczu.

Wilczarzowi wydawało się, że strażnik odetchnął z ulgą. Z całą pewnością nie należał do ludzi, którzy szukali kłopotów.

- Idź, młodzieńcze, w pokoju - rzekł. Cios pięścią za podobne powiedzenie był faktycznie niezbyt wielką karą.

Neelith oddała Gackowi jabłko podniesione z chodnika i podstawiła mu dłoń, ale zwierzak nie zechciał się na nią wspiąć - jeszcze tego brakowało, żeby Wilczarz mógł dokonać czegoś bez jego udziału. Biedny szczeniak popiskiwał w ramionach dziewczyny. Wilczarz zabrał jej miecz i szybkim krokiem, już bez zatrzymywania się po drodze udali się do zajazdu "Pod Ukochanym Dzieckiem".

Uśmiechający się pod wąsem przyjaciele wyciągnęli czerwonolicego z wody. Ten, niewiele się namyślając, wyładował złość na synu: wymierzył mu drugi policzek.

Wilczarz wiedział, że tracąc nad sobą panowanie, okrył się sromem. Wiedział, że wystarczyłoby po prostu rozgonić urwipolciów, niekoniecznie trzeba było rzucać się z pięściami. Ale nic nie mógł na to poradzić.

Dla kogo w wieku jedenastu lat nic nie znaczy płacz szczeniaka, kto może wesoło rzucać weń kamieniami...

\*

*Dzieci. Głodne, zawszone, oberwane, pełzające na czworakach po oblodzonej górskiej drodze. Poranionymi rękami sprawdzają każdy okruszek, który spadł z taczek czy wypadł z koszy dorosłych niewolników. A nuż znalazłby się kawałek szmaragdu, a nuż przylepiłaby się do czegoś kruszynka złota...*

*I inne dzieci. Całkiem inne. Syte, silne, z policzkami rumianymi od mrozu. W butach wyłożonych futrem, z długimi pejcami w rękach. Tacy sami niewolnicy jak ci zawszeni. Każdy z młodych nadzorców wie, że za najłżejsze przewinienie może się znaleźć w grupie oberwańców. I ci najpewniej już pierwszej nocy wydrapią mu oczy. Każdy z tych na pół gołych wie, że jeśli będzie się bardzo starać, zasłuży na futrzane buty i pejcz. Jeśli go przyjmą ci, którzy już mają pejcz...*

*Niewielu chce przebijać się na szczyty: jedni stają się ośpiali, jak bydło jest im wszystko jedno, co się dzieje, drugich powstrzymuje strach, trzecich - bezsilność, czwartych - duma i wściekłość...*

*Tej jesieni, akurat tuż przed tym, jak śnieg zasypał przełęcz, handlarz niewolników przywiózł do kopalni dwóch weńskich chłopców, rówieśników, którzy w drodze próbowali razem uciec. Jeden z nich stał się nadzorcą, zyskał miano Wilka. Drugi siedem lat później otrzymał imię Wilczarz...*

\*

Wilczarz postawił nogę na pierwszym stopniu schodów i zamarł. W ich pokoju coś się działo. Przez szczelinę pod drzwiami widać było światło nie wiadomo przez kogo zapalonego łuczywa i cień osoby, która poruszała się w środku. Czuły słuch Wilczarza wychwycił jakieś jęki...

W sali przy solidnych drewnianych stołach biesiadowali w najlepsze goście zajazdu i miejscowi, którzy przyszli coś zjeść. Było tam też trzech ochroniarzy Fiteli. Wilczarz doskonale wiedział, jak to niewiele znaczy - nawet w wielkim rozbawionym tłumie można bezkarnie porwać i zabić człowieka, jeśli tylko znajdzie się odpowiedni sposób. Nikt nawet nie zwróci uwagi...

Zatrzymał Neelith i gestem nakazał jej zostać na dole, a sam wszedł na górę po schodkach - bez pośpiechu, bezszelestnie. Nie niepokoił zawiniętego w szmatkę miecza, ale kiedy nagłym ruchem otworzył niezaryglowane drzwi, jego prawa ręka spoczywała na rękojeści noża.

I palce, gotowe wyciągnąć broń, natychmiast się wyprostowały, a Nielot Gacek, siedzący w wojowniczej pozycji na ramieniu Wena, rozczarowany opuścił łebek i zaczął lizać chore skrzydło.

Na środku izby, twarzą do drzwi, stał imponujący srebrnowłosy mędrzec. Kędziory koloru popiołu, które zdawały się siwe w słabym świetle łuczywa, opadały mu na plecy i ramiona, piersi przesłaniała puszysta broda. Białe Iniane gieżło sięgało mu do pięt. Ciemnofioletowe oczy w przerażeniu wpatrywały się w Wilczarza...

- A więc wstałeś - burknął Wilczarz i zdjął rękę z noża.

- Przyjacielu! A więc to ty! - westchnął Tilorn i postąpił ku nie mu, wyciągając przed siebie ręce. - Mój przyjacielu! Czy dasz wiarę, że dziś ostatecznie odzyskałem wzrok...

Wilczarz ponieważświe uświadomił sobie, że Tilorn przez cały ten czas, który spędzili razem, znał tylko jego głos. I dlatego śmiertelnie przestraszył się na widok groźnego nieznanego, który nagle pojawił się w drzwiach. Był tak przerażony, że nie zauważył nawet siedzącego na ramieniu przybysza Nielota Gacka.

- Mój przyjacielu - powtórzył Tilorn i pochyliwszy się ku Wilczarzowi, objął go. - Jakże się o ciebie niepokoiłem...

- I o dziewczynę - mruknął Wen.

Tilorn podniósł podejrzenie błyszczące oczy.

- Tak, o dziewczynę też... Jesteś cały mokry! Jak to się stało?

Westchnął z cicha, kiedy Neelith wynurzyła się zza pleców Wilczarza i pokazała mu ledwie ruszającego się szczeniaka. Dwie głowy, popielata i czarna, pochylili się nad nieszczęsnym malcem.

Wilczarz złożył miecz na półce i poszedł na dół. Kuchnia, gdzie gotowano, smażyono i pieczono strawę dla gości, zużywała niesamowite ilości drewna, a służby było tyle co kot napłakał. Toteż zmęczeni bieganiem pracownicy zawsze wielce byli radzi gościowi, który zechciałby narąbać drewno, właścicielka zajazdu "Pod Ukochanym Dzieckiem" sama wynagradzała chętnego do pomocy solidną misą jadła. A była to, ma się rozumieć, całkiem niezła zapłata...

Wen miarowo wznosił nad głową ciężką siekierę do rąbania drewna i myślał o domu, którego nie miał. Dopiero po zabiciu Ludojada zaczął myśleć o tym, że teraz mógłby mieć znowu dom. Widział go przed sobą wyraźnie. Kwitnące jabłonie chylące różowe gałęzie na dach kryty darnią. Puszysty szary pies śpiący na zalanym przedwieczornym słońcem ganku. Ścieżynka pomiędzy krzakami malin, wydeptana bosymi nóżkami dzieci. Kobieta wychodzi z domu na ganek. Kobieta przepiękna. Dlatego że jest kochana. Wyciera mokre ręce haftowanym ręcznikiem i woła na kolację mężczyznę, który rąba drewno...

Wilczarz westchnął. Jakiś czas temu zaczęło mu się wydawać, że ta kobieta ma czarne włosy i niebieskie oczy, ale teraz widział, że jednak się pomylił. Neelith będzie wychodziła z całkiem innego domu i zawoła na posiłek zupełnie innego mężczyznę. A ten najpewniej odłoży nie siekierę do rąbania drewna, lecz pióro i kałamarz...

Neelith kilka razy przebiegła obok niego - kierowała swoje kroki do łaźni, najwidoczniej prała w niej szmatki umazane krwią szczeniaka.

Nie przeżyje, pomyślał Wilczarz, uderzając siekierą w krzywe, sękaty pnie, które, jak podejrzewał, pracownicy już od kilku dni odkładali na bok. Proszę mi nie mówić o bezgrzesznych dzieciach, które nie wiedzą, co to zło, a co dobro, i nie mają w wieku lat jedenastu pojęcia, że kiedy się kogoś bije, to go to boli. Tylko kiedy sam oberwie, to od razu doń dociera. Może musi się wyszumieć, musi nawygłupiać za młodu? Może i tak. Widzieliśmy i takich. I widzieliśmy takich, którym skręcono kark...

Rozrąbane siekierą smoliste polana miarowo uderzały o bierwiona, z których zbudowany był płot. Tilorn, którego torturował w lochu tłusty oprawca, przynajmniej wiedział, za co cierpiał. A ten malec, zamęczony przez młodocianych gnojków dla zabawy? Co on powie Staremu Psu, kiedy zaszumi nad nim korona wiecznego Drzewa?

\*

Wilczarz wchodził po schodach, rękawy naciągnął na dłonie, żeby pękata misa po brzegi wypełniona duszonym grochem z wieprzowiną nie parzyła mu palców. Nie zdziwiłby się, gdyby zza drzwi dobiegł go cichy szloch Neelith... Ale kiedy posłyszał radosne szczenięce popiskiwanie, a potem równie radosny śmiech, omal nie upuścił misy na ziemię. Jak na złość drzwi otwierały się na zewnątrz. Wilczarz, nie zważając na gorąco, przycisnął misę do piersi, a wolną ręką otworzył drzwi.

Neelith i Tilorn siedzieli obok siebie na drewnianym łożku, a na podłodze u ich nóg bawiły się ze sobą Nielot Gacek i szczeniak. Bez troski psiak przypadał na przednie łapki i wesoło podskakiwał, starając się chwycić Gacka zębami. A nietoperz, doświadczony w niezliczonych bójkach, syczał i okładał szczeniaka zdrowym skrzydłem, po czym odskakiwał w bok.

Na miękkiej sierści szczeniaka nie było widać ran, co więcej - nie było ani śladu krwi.

- Czy wiesz, za co go chcieli utopić? - spytał Tilorn. - Miał słaby brzusek, cały czas brudził. Ale teraz już nie będzie.

- Tak - powiedział Wilczarz. Postawił misę na stoliku przy oknie.

- A więc rzeczywiście jesteś czarownikiem.

- Jaki tam ze mnie...

- To dlaczego trzęsą ci się ręce? - zapytał Wilczarz. Rzeczywiście uczoney wyglądał tak, jak gdyby to on, a nie Wilczarz narąbał całą górę drzew.

- Ja... - Tilorn się speszył. - Bo widzisz, leczenie... hm... wymagało ode mnie pewnego wysiłku. A że nie jestem jeszcze w pełni...

- No to jedz - rzekł Wilczarz i położył na stole łyżki. Potem skinął głową w stronę Gacka. - Jego też chcesz tak samo?

- Z nim sprawa nie jest taka prosta - poważnie odpowiedział Tilorn. - Tę ranę odniósł dawno...

- Minęło pięć lat.

- Ze starymi ranami zawsze jest gorzej - westchnął Tilorn. - Trze ba będzie zszywać. Nie, nie, to nie będzie go bolało, obiecuję! Jak to się stało, że skrzydło zostało rozerwane? A może znalazłeś go rannego?

- To od pejcza - burknął Wilczarz.

- Nigdy bym nie pomyślał. - Tilorn nie mógł wyjść ze zdziwienia.

- Nietoperze są takie zwawe i sprytne...

Na znak szacunku dla swojego obrońcy i karmiciela jedli według wieńskiego obyczaju: po kolei czerpali z misy, a potem odkładali łyżki czaszą w dół, aby nie pokalało ich żadne plugastwo.

- Chciał mnie obronić, za to dostał - powiedział Wilczarz. Zaraz pożałował tych słów, które

wyrwały mu się przez nieuwagę.

Tilorn i Neelith koniecznie chcieli się dowiedzieć, jak to było. A Wilczarz nie umiał opowiadać. I nie lubił. Ale Tilorn najwidoczniej potrafił dobrze usposobić do rozmowy nawet pień. Albo Wena, co było zadaniem jeszcze trudniejszym. Misa została opróżniona ledwie do połowy, kiedy Wilczarz ku swemu zdziwieniu w paru składnych słowach opowiedział o tym, jak w kopalniach obracał kołowrót, który czerpał wodę z podziemnej rzeki. A że wody do płukania rudy potrzeba było dużo, kołowroty pracowały dzień i noc, zagłuszając pisk gnieźdzących się u pułapu nietoperzy. Pewnego razu w sąsiedniej jaskini oberwała się wielka bryła, wstrząs był tak wielki, że w ich pieczarze osunął się spory kawał stropu, a wraz z nim gniazdo z nowo narodzonymi nietoperzami - prosto w zęby kołowrotu. Rozpędzone koło zatrzymać było bardzo trudno, ale Wilczarz to zrobił. I powstrzymał mechanizm dopóty, dopóki nietoperze nie przeniosły swoich dzieci w bezpieczne miejsce. Pierwszy do pieczary wpadł dozorca, którego zwali Wilk...

- Ten dureń kręcił się tam cały czas, kiedy okładali mnie batogami - ciągnął Wilczarz. - No i jemu też się dostało.

- Dopiero dziś się dowiedziałem, że byłeś na katordze - powiedział Tilorn po chwili milczenia.

Wilczarz wzruszył ramionami.

- Nie było się czym chwalić...

Odłożył łyżkę i podsunął misę Tilornowi i Neelith, żeby skończyli.

- Trudno mi sobie wyobrazić, że popełniłeś jakąś zbrodnię - ode zwał się Tilorn nieśmiało.

- Bo i nie popełniłem - odparł Wilczarz.

Uczony nie zadawał mu więcej pytań. Pomyślał pewnie, że zostałem wzięty do niewoli podczas bitwy, w duchu rozsądził Wilczarz. I nie chce mi przypominać tej chwili niesławy...

Postanowił nie wyprowadzać Tilorna z błędu. Niby po co miałby mu wszystko opowiadać?

\*

*Deszcz zacinał z ukosa, goniony ostrym wiatrem, siekł w ciemnościach mokre łąki, szeptał nad cichym cmentarzem okolonym wielkimi pniami brzoź i polewał obficie darniowe dachy domów w maleńkiej leśnej wiosce. W wiosce żyli Wenowie z rodu Plamistych Jeleni.*

*Tuż przed świtem, o głuchoj, zaspanej godzinie pod naporem czyichś ramion otworzyły się drzwi domu dla gości. Zza nich, oglądając się jak złodzieje na wszystkie strony, wyjrzeli dwaj ludzie. Ani żywej duszy! Wyszli z domu i ostrożnie ruszyli wzdłuż ściany. Nic nie zwiastowało niepowodzenia: nim zacznie świtać, ufnie Wenowie z rodu Plamistych Jeleni nie znajdą nawet śladu gości, wpuszczonych tu na noc. Potem może ktoś wpadnie na to, by zajrzeć do komory. I znajdzie tam opróżnione skrzynie. Ludzie, którzy na własne oczy widzieli rękodzieło Wenów, ich słynne wyszywanki, twierdzili, że są na wagę złota. Tyle że kupić te wyszywane paciorkami cudeńka było równie trudno co dziewczyny na niewolnice.*

*W komorze spało chyba któreś z dzieci gospodarzy. Ale co to za przeszkoda! Dzieci nawet pisnąć nie zdążą...*

*Złodziejom jednak nie udało się dotrzeć do celu. Przednimi w ciemnościach zapaliły się nagle dwa zielonkawe ogniki, to nie był dobry znak. Potem niebo przecięła pierwsza tej nocy błyskawica. Przed drzwiami komory stał pies, wyglądał tak, jak gdyby kogoś sobą ostaniał. Pies był ogromny jak dorodny wilk. Mocny, o szerokiej piersi. I przerażający. Nie szczekał, nawet nie warczał, ale jego szorstka szczecina była groźnie nastroszona, w świetle martwej poświaty błyskawic błyszcząły jego obnażone kły, mocne jak sztylety.*

*Dwaj rośli, nieustraszeni mężczyźni, którzy z niejednego pieca chleb jedli, nie pamiętali, jak wrócili tam, skąd przyszedli, jak mokrymi, trzęsącymi się ze strachu rękami zasunęli za sobą antabę w drzwiach. Kiedy serca przestały im wreszcie wyrwać się z piersi, próbowali sobie przypomnieć, czego się tak przestraszyli. Wielkie rzeczy -pies! Potem uświadomili sobie, co to było. I znów zadrżeli. OCZY. To nie był zwykły pies. Ten straszny szary zwierz miał LUDZKIE OCZY.*

\*

Nocą zbudził się, gdy wiecznie zmarznięta Neelith, której zimno było nawet pod kołdrą, przycisnęła się w poszukiwaniu ciepła do jego boku. Wcześniej i ona się wtedy budziła, strasznie się peszyła i mrużąc przeprosiny, odsuwała się. A potem się przyzwyczaiła, budził się już tylko Wilczarz.

Tak. A przecież na samym początku zaczął nawet marzyć...

Neelith nie rozstawała się z koralami, nawet w nich spała. Wen już wiedział, że bezwiednie sprawił dziewczynie ogromną radość. W jej rodzinie z pokolenia na pokolenie przekazywano przepiękny szafirowy naszyjnik. Umierająca matka zostawiła go Neelith. Teraz nosiła go córka krewnego, który sprzedał Neelith w niewolę.

Wilczarz uniósł głowę i spojrzał na pasmo mętnego błękitnego światła sączącego się przez okiennice. Nad Haliradem powoli płynęła blada letnia noc.

Chciałbym wiedzieć, czy tej nocy przyśniły się komuś tak samo dziwne sny, pomyślał. Czy ktoś jeszcze był we śnie psem, który broni wejścia do komory?

Z uwagą wpatrywał się w wyrazisty profil śpiącego Tilorna i po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że mędrzec jest piękny. Mądrość, odwaga, piękno... I takiego człowieka Ludojad trzymał w klatce i torturami próbował zmusić... do czego? Żeby mu diamenty wytapiał z gnoju?

Zbuduję dom, myślał Wilczarz. Dla niego i Neelith. Pójdziemy w górę Świątyni, tam gdzie jest ojczyzna Wenów... I tam zbuduję dom.

Czy jest takie miejsce na świecie, gdzie można wznieść dom, a mężczyzna, opuszczając go, nie będzie się obawiać, że pod jego nieobecność dom ograbią i spalą wrogowie? Czy jest takie miejsce, gdzie nie rzucają kamieniami w szczeniaka, a piękna dziewczyna, która spotka w lesie nieznanomego mężczyznę, może mu bez obawy powiedzieć "witaj"? Czy jest takie miejsce, gdzie kwitną jabłonie i dojrzewają maliny, gdzie szumi wiekowy bór, a zimne jak lód strumienie spływają ze skał, wydając kryształowo czysty dźwięk?

Wilczarz pomyślał o bogach. Tylko oni znali odpowiedź. IDŹ - powiedzieli mu - IDŹ, A PRZYJDZIESZ...

A potem przypomniał sobie kapłanów spotkanych na przystani.

\*

Pewnego razu do kopalni przyjechał *Uczeń Bliźniąt*. Przybył, by wykupić niewolników i zwrócić im wolność. Właściciele kopalni w Górach Szmaragdowych niełatwo było omamić złotem i drogimi kamieniami, toteż kapłan przywiózł ze sobą coś o wiele cenniejszego: na pierwszy rzut oka niepozorne, drobniotkie szare kryształy. Bywali ludzie rozpuszczali je w wielkich pucharach wina i na dzień, dwa popadali w błogostan.

Słuch o kapłanie momentalnie rozniósł się po całym podziemiu. Kiedy niewolnicy się dowiedzieli, że wykupywał tylko ludzi swojej wiary, wszyscy starali się jak najwięcej dowiedzieć o Bliźniątach. Niektórzy bezinteresownie uczyli przyjaciół świętych znaków swej wiary i tego, jak należy odpowiadać na pytanie: "Dlaczego, uznając Jedność, modlimy się do Bliźniąt?". Inni - wręcz przeciwnie - milczeli jak zakłęci. Bali się, że kapłan wykupi tych, którzy podszywają się pod wyznawców Bliźniąt, a prawdziwie wierzących nie będzie już mógł wyswobodzić.

Szary Pies nie miał pojęcia o tym, jakie poruszenie zapanowało w podziemiu. Balansował na granicy życia i śmierci, dozorca zastanawiał się, czy należy tracić dlań codzienną porcję wody.

Kapłan przyszedł w towarzystwie Wilka, który miał za zadanie oprowadzić gościa po pieczarach. Szary Pies nie od razu ich zauważył, gdyż tuż przed nim kroczyły w korowodzie całe zastępy ciemnopurpurowych cieni, które majestatycznie zapadały się w połyskliwą ciemno- purpurową czeluść. Wilk trącił go trzonkiem kopii i niewolnik powoli odwrócił głowę.

Kapłan wydawał się zadziwiająco młody. Miał wtenczas mniej więcej tyle samo lat co Wilczarz teraz. Choć był młody, jego dwukolorowe szaty mieniły się wspaniałymi barwami, co świadczyło o wysokiej pozycji w hierarchii. Uważnie przyjrzał się niewolnikowi. Nie miał wątpliwości - niewolnik był Wenem, świadczyły o tym jego długie włosy splecione w coś w rodzaju warkoczy ściągniętych skrawkami szmatek. Pochodnia oślepiła niewolnika, jego zmęczone powieki opadły. Kapłanowi zdało się przez moment, że koło pokrytego strupami ramienia poruszyły się łachmany, a zza nich wyrzały dwa maleńkie świecące oczka. Nie, niemożliwe, zapewne tak błysnęły w świetle pochodni kawałeczki rudy...

- Niech pozdrowione będą Bliźnięta czczone przez trzy światy - cedząc każdą sylabę, wolno powiedział kapłan. Wilk mówił mu, że na wpół żywy niewolnik był dzikim poganinem. Szary Pies rzeczywiście przez długi czas milczał. Potem jednak odpowiedział:

- Ojciec Ich, Przedwieczny i Nieurodzony.

Doskonale pamiętał nauki starego kapłana i wiedział, jak pozdrawiali się Uczniowie Bliźniąt. Starzec zawsze bardzo się cieszył, kiedy weńskie dzieci tak go witały.

Wilk w milczeniu stał za plecami kapłana, uderzając zwiniętym biczem o dłoń.

- Nie ma innych bogów poza Bliźniętami i Ojcem Ich, Przedwiecznym i Nieurodzonym! - zawołał kapłan.

Szary Pies nic nie wiedział o wykupywaniu z niewoli, ale nieomylny instynkt podpowiadał mu, że od jego odpowiedzi na pytanie kapłana zależy coś bardzo ważnego. Może nawet, wolność. I życie.

*Wiele lat później niechętnie, ze wstydem wspominał pokusę i wahanie, które trwały może jedno mgnienie oka, ale przecież pojawiły się w jego głowie.*

*- Modłę się do swoich bogów - wydusił wreszcie. I zakaszłał, przywierając twarzą do podłogi.*

*- To gnij tu w upodleniu, marny poganinie! - Kapłan dłonią nakreślił między nimi w powietrzu święty znak, Rozdzielony Krąg. Dozorcy widzieli, jak wyzwolonym wyznawcom swojej wiary przemywał ropiejące wrzody i opatrywał rany, ale poganina zostawił samemu sobie, z obrzydzeniem unosząc poły swej długiej dwukolorowej szaty. Wilk w milczeniu poszedł za nim.*

*Skąd mógł wiedzieć Szary Pies, że bogowie, których się wtedy nie zaparł, rok później wywiodą go z mroku podziemia...*

\*

Na dworze się rozwidniało. Za oknem przejechał wóz z wodą, rozległ się stukot niespiesznych końskich kopyt. Potem zaskrzypiała furtka, wpuszczając kogoś do środka. Wilczarz posłyszał, jak wściekle zawarczała suka pilnująca obejścia, ale warczenie niemal natychmiast zamieniło się w przymilne popiskiwanie. Zapewne przyszedł ktoś znajomy. Dość już tego przewracania się z boku na bok, przykazał sobie Wilczarz. Niektórzy mieli tu szukać pracy. Niczego sobie pracownik, który śpi do obiadu...

Podniósł się bezszelestnie, okrył swoją kołdrą zwiniętą w kłębek Neelith i cicho podszedł do drzwi. Nielot Gacek natychmiast otworzył oczy i ruszył w jego stronę, opuszczając swoje siedlisko na kołku. Wczoraj po raz kolejny się przekonał, że nie może zostawiać Wilczarza ani na chwilę bez opieki, i nie zamierzał powtarzać tamtego błędu. A niech tylko spróbuje go zostawić, to rozbudzi cały dom, będzie darł się jak opętany. Wilczarz podstawił mu rękę, potem się pochylił i poczochrął po łebku szczeniaka. Z kim jak z kim, ale z psami Wilczarz był w doskonałej komitywie. I to wiele lepszej niż z ludźmi.

Śpij! - nakazał szczeniakowi w myślach.

Puszysty ogonek zamerdał i senny maluch znowu opuścił łebek na łapy. Wilczarz wziął w ręce swoje buty, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Z ganku zobaczył, kogo tak przyjaźnie powitała swoją skrzypiącą piosenką furtka. Na grubym bierwionie, leżącym pod płotem specjalnie dla gości, siedział i grzał się w promieniach łagodnego słońca stary Waroch. Wnuczek, ułożywszy się u jego nóg, głaskał psa i wyjmował mu z kosmatego ucha tłustego, opitego krwią kleszcza. Na kolanach starca leżało zawinięte coś długiego i cienkiego. Wilczarz w mig odgadł, co ukrywa od złego uroku mocna rogoża..

Zatrzymał się na najwyższym schodku ganku. Nie wiedział, jak ma postąpić. Tymczasem starzec otworzył oczy i spojrzał na niego.

- Witaj, mistrzu - niezbyt ochoczo powitał przybysza Wilczarz. Gdyby Segwan był młodszy, w ogóle by się doń nie odezwał.

- Witaj - odparł Waroch. Po chwili dodał: - Podejdz, chłopcze. Miej szacunek dla moich siwych włosów.

Cóż było robić, Wilczarz podszedł.



- Usiądź - powiedział mistrz i zachęcająco poklepał gładki pieńek obok siebie. - Chciałbym ci opowiedzieć wszystko, jak było...

Wilczarz usiadł, z ukosa popatrzył na wnuczka, który tymczasem wsiadł na sukę i targał ją za długą sierść, ponaglając, by wstała i przewiozła go po podwórku. Suka nie chciała wstać i tylko bez złości marszczyła nos.

- Na pewno zauważyłeś, że moja pracownia najlepsze lata ma już za sobą - zaczął opowieść stary Segwan. - Kiedyś razem ze mną pracowali moi dwaj synowie. Nawet witezie z zamku przychodzili do nas, zamawiali tarcze i pochwy na miecze...

Wilczarz w milczeniu słuchał, popatrując na błyski, jakie od czasu do czasu było widać spomiędzy nie zawsze ściśle przylegających nitek rogoży.

- Przybyłem tu do Haliradu jeszcze przed bitwą na Trzech Wzgórzach, która położyła kres chciwości kunsów z wyspy - ciągnął mistrz. - Ty, młodzieńcze, pewnie brałeś udział w tej bitwie?

- Nie - rzekł Wilczarz.

- Ja też nie walczyłem - westchnął starzec. - Moi synowie byli w połowie Solwenami, a i ja uważałem, że skoro ze swej wyspy przy byliśmy na ten brzeg, to trzeba zachowywać się przyzwoicie... - Znowu westchnął, potarł dłonią kolano i nagle powiedział: - A o Żadobie to pewnikiem wszystko wiesz...

Wilczarz pokręcił głową.

- Skąd niby miałbym wiedzieć. Wiem tylko tyle, że pochodzi ze znakomitego rodu... i że was, Segwanów, nie cierpi.

- Nie cierpi - uśmiechnął się starzec. Nielot Gacek, który przysiadł na bierwionie, z zaciekawieniem obwąchiwał jego rękę, tym razem przyjaźnie i bez strachu. - Nie cierpi - powtórzył Waroch. - Jego ojciec należał do tych, którzy po bitwie na Trzech Wzgórzach gardło wali za tym, byśmy wszyscy powrócili za morze. Ale nic z tego nie wyszło, więc wybrał las i zaczął wojaczkę na własną rękę... Ojczulek nas nienawidził, a synalek wszystkich bez dania racji zaczął wyrzynać...

Sękatymi palcami Waroch miarowo uderzał o rogoże.

- Pewnego razu pojechaliśmy na jarmark do zachodnich Welchów - ciągnął ponuro. - Mieliśmy trzy wozy, synowie wzięli żony, dzieci, chcieli się zabawić... A przecież nie sami jechaliśmy, wielu nas tam było, dużym taborem wyruszyliśmy... Któż z nas mógł wiedzieć, że połowa naszej ochrony to zabójcy... Żadoba... Mnie i wnuczka uznali za zabitych, rzucili po drodze zwierzętom na pożarcie...

Starzec nie dokończył opowieści, głos mu się załamał. Wilczarz milczał.

- Teraz rozumiesz, dlaczego wczoraj tak chciałem, żebyś okazał się Żadobą - podjął stary Segwan, kiedy już się opanował. - Wybacz mi, młodzieńcze. To dla ciebie.

Zdjął rogoże. Na jego kolanach leżała piękna pochwa miecza koloru starego drewna, przetykana długim rzemieniem.

- Pracowałem całą noc - powiedział starzec nie bez dumy. - Bałem się, że pójdziesz do kogoś innego. Bądź łaskaw przyjąć to ode mnie... Nie rób mi przykrości...

- Zaraz przyniosę miecz - powiedział Wilczarz.

\*

Tilorn, którego wyleczenie szczeniaka rzeczywiście musiało sporo kosztować, nadal mocno spał. Neelith zaplatała warkocz, siedząc na brzeжку drewnianego łóżka u jego nóg. Uśmiechnęła się do Wilczarza i pokłoniła mu się, a po chwili z przerażeniem odskoczyła, kiedy spostrzegła, że wyciągnął rękę po leżący na półce miecz.

Wilczarz położył palec na ustach i zamachał rękami, by ją uspokoić, że nie ma się czego bać. Zabrał miecz, sakiewkę z pieniędzmi i powrócił na dwór.

Wzorzysta klinga zanurzyła się w pochwie jak noga w dobrze znanym bucie. Ani o źdźbło za duża, ani o włosik za mała. Krzyżak leciutko zadźwięczał, uderzając o wyprofilowane okucie zakończone uszkiem dla "rzemyczka szlachetnych zamiarów". Wilczarz przekręcił pokrowiec i kilkakrotnie mocno nim potrząsnął. Miecz ani drgnął. Wilczarz przerzucił bandolet przez ramię i zapiął klamrę. Potem podniósł rękę, dłoń trafiła na rękojeść - wszystko było na swoim miejscu. Wyciągnął miecz. Klinga wyszła z pochwy bez oporu, płynnie, jednym ruchem, który mógł oznaczać tylko jedno - zaraz będzie cięcie. Wilczarz uśmiechnął się i z powrotem włożył miecz do pochwy, bez najmniejszego trudu trafiając we wlot koniuszkiem ostrza.

- Jesteś prawdziwym mistrzem, Warochu - powiedział z atencją.

- Chociaż czekaj! Przecież wczoraj zdążyłeś obmierzyć tylko mnie, miecza, o ile pamiętam...

Chromy Segwan uśmiechnął się w odpowiedzi i pokiwał siwą głową. - Po co miałbym mierzyć? Wystarczy, że raz rzucę okiem... Wilczarz rozwiązał sakiewkę.

- Pół ćwierci srebrem?

Mistrz zwawo podniósł się i przytrzymał jego rękę.

- Nie rób mi przykrości, młodzieńcze - wypowiedział te słowa cichym głosem. - Zarąbałeś trzech rozbójników i jednego, powiadają, przeszyłeś strzałą, a Żadobie odebrałeś miecz i pokaleczyłeś mu prawą rękę, którą on... Za to powinienem ci oddać nie tylko tę pochwę, ale całą moją pracownię...

- Dzięki za dobre słowo, zacny człowieku - powiedział Wilczarz.

- Ale zapłatę mimo wszystko przyjmij. Masz na wychowaniu wnuczka, a i sam musisz jeść i pić. Jak nie weźmiesz, to wyjdzie, że Żadoba znowu cię ograbił.

Odliczył monety i mimo sprzeciwów Warocha wsypał mu je w dłoń. Stary Segwan długo wpatrywał się w błyszczące srebro, a biała broda trzęsła mu się coraz bardziej. Potem nagle podszedł do Wilczarza i objął go.

- Przyjdź do nas, synku - powiedział i odetchnął, tłumiąc szloch i próbując ukryć łzy, które napłynęły mu do oczu. - Koniecznie przyjdź. Twojej dziewczynie zrobimy pasek... taki pleciony... z klamerkami...

*W niewoli stracili nadzieję, że zobaczą słońce.  
Już dusza zamiera, serce milknie w piersi i stygnie jak strawa.  
I ktoś szepcze: "Nie ma, nie ma wybawienia".  
Tych, co zmarli w ciemnicy strwożeni, sądzić nie masz prawa.*

*I nie sądz tych, bracie, którzy sił nie mieli by dźwigać łańcuchy,  
co ratunku nie znali, choć katom chcieli dopiec,  
rachunki wyrównali jednego z tych smutnych dni...  
I kajdany, i życie w jeden z legną kopiec.*

*I nie mów, że trzeba im było postąpić inaczej,  
że mogli być tacy jak ty, choć tobie być nimi nawet się nie śniło.  
Wypróbuj na własnej skórze, jak ciężą kajdany,  
choć nikomu nie życzę, by to się spełniło.*

*Znałem też i takich, którzy kajdan nie zauważali,  
w ciemnościach kopalni linijka za linijką pisali  
traktat o miłości i bitwie o noc i o dzień.  
Tacy ludzie i w mroku świecą jak pochodnie.*

*A ja byłem inny. Byłem zły i rozpaczliwie hardy.  
Wiedziałem, że bogowie przed śmiercią uchronią.  
Musiałem wpierw się zemścić za zdradę, za strasliwą stratę,  
Wszak dopiero wtedy przodki przyjmą mnie z wyciągniętą dłonią.*

*Śmiercią za śmierć zapłaciłem i krwią za krew.  
Za wszystkich, którzy tak wcześnie odeszli do krainy cieni.  
Za wszystkich, którzy zmienili się w splot pazurów i kłów,  
choć nikomu nie życzę, że mu się to spełni.*

## **Rozdział 5**

### **Wygrać spór z kapłanem**

Miecz spoczywał na jego plecach, przymocowany do pokrowca "rzemyczką dobrych zamiarów". Nielot Gacek zdążył już dokładnie zbadać pochwę, uznał, że wprawdzie nie nadaje się do jedzenia, za to znakomicie się po niej łązi tam i z powrotem.

Wilczarz bez pośpiechu szedł ulicą, nastrój miał podobny do wiszących nad jego głową chmur, które zasnuły całe niebo. Przez bite trzy dni bez skutku obchodził warsztaty rzemieślników. Kowale, garbarze i brukarze, układający drewniane bierwiona, z szacunkiem popatrywali na jego szerokie ramiona i spracowane dłonie. Ale gęba rozbójnika, jak określił ją Brawlin, a także szramy po cięciu miecza i ślady po kajdanach robiły swoje. Nikt nie chciał zatrudniać byłego katorznika, człowieka najpewniej niespokojnego, może nawet niebezpiecznego... a do tego Wena. Wilczarz wiedział, że zawsze może się zwrócić do siwowąsego dowódcy straży. Brawlin na pewno mu pomoże. Obiecał. Ale na samą myśl o tym, że miałby gdzieś biec i na rozkaz Brawlina bić się z jakimś "złodziejem", który -jak się potem może okazać -jest niewinny... Nie, to nie dla niego.

Kroczył ulicą i myślał o lasach wokół swej rodzinnej wioski. I robiło mu się jeszcze smutniej. W domu wystarczyłby mu zwykły nóż przytroczony do paska, no, może jeszcze łuk ze strzałami - na polowanie. Miecz to broń prawdziwych wojowników, w lesie nie byłby mu do niczego potrzebny. A tutaj? Po przygodzie w pracowni Warocha bez miecza nie wychodził za bramę zajazdu. I rzemyk, owinięty wokół rękojeści, założony był tak, by w razie czego można było błyskawicznie dobyć broń.

Myślał jeszcze i o tym, jak dobrze byłoby nie wydawać wszystkich pieniędzy - kupiłby łódkę z żaglem i popłynął nią w górę Świątyni, do wenskich ziem... gdyby nie zamek Ludojada, którego zwęglone ruiny kalaty brzeg już na samym początku szlaku.

Gdyby tak jak wcześniej był sam, mógłby obejść zamek lasami. Ale z Tilornem i Neelith będzie musiał doczekać jesieni, kiedy kupcy wybiorą się z Haliradu w drogę powrotną.

Nie, bogom niech będzie chwała, że nie jest już sam...

Czasem mu się wydawało, że nie będzie mu już dane znaleźć wyjścia z sytuacji. Ale czasem nadzieja jednak się pojawia - trzeba tylko trochę poczekać.

Dziś rano Tilorn po raz kolejny obejrzał skrzydło Gacka i kazał Wilczarzowi kupić mocnej gorzałki, która zabija zarazę. Krocząc przed siebie, Wen niespiesznie rozglądał się za jakąś w miarę czystą karczma, bo przy tych, które mijał, robiło mu się trochę niedobrze. Jak gdyby zakup gorzałki był czymś nieodwracalnym, niby pierwsze cięcie nożem. Tilorn obiecał, że Gacek nie będzie cierpieł. Ale kto mógłby przysiąc, że na pewno tak będzie?

Nielot Gacek wyczuł jego niepokój. Nie rozumiał przyczyny, lecz na wszelki wypadek przymilał się do niego. Z tego powodu sumienie dręczyło Wilczarza jeszcze bardziej. Wreszcie spodobały mu się drzwi, zza których doszedł go smakowity zapach świeżych pasztecików. Pochylił głowę i przestąpił próg.

Od razu zauważył strażników - było ich ze dwudziestu z Brawlinem, zajmowali stół przy drzwiach. Młodzi strażnicy zabawiali się siłowaniem na rękę. Zakasywali rękawy, stawiali łokcie na stole i mierzyli siły, śmiejąc się przy tym i przedrzeźniając.

Jak mały chłopiec Wilczarz miał ogromną ochotę popatrzeć na mocujących się mężczyzn, ale najpierw postanowił spełnić swoją powinność. Ukłonił się Brawlinowi i podszedł do szynkwasu.

Karczmarz mu się nie spodobał. Już od pierwszego wejrzenia zrozumiał, że do Ire-Donna temu typowi daleko. Zdarza się, że człowiek, który ma do czynienia głównie z cudzoziemcami, rozmyśla o tym, jaki świat jest wielki, i nabiera mądrości, a wraz z nią dobroci. Ale bywa i odwrotnie: taki człowiek zaczyna zadzierać nosa i nawet z czasem wypiera się swoich bliskich. Z takim nie pogadasz, podróżnego, któremu przytrafiło się nieszczęście, nie przyjmie bez zapłaty, udławi się, a nie przyjmie...

- Co podać, zacny człowieku? - zagadnął Wilczarz.

Spytał grzecznie, ale takim tonem, że Wen od razu sobie przypomniał, że ma na sobie koszulę załataną na łokciach, szpetną szramę na lewym policzku i zakurzone buty.

- Małą flaszczykę przezroczystej gorzałki. Bardzo mocnej. Takiej, żeby paliła.

Karczmarz lekko uniósł brwi. Czy prośba Wilczarza wydała mu się cokolwiek dziwna, czy też tak go razila wymowa Wena - dość że skinał głową i zniknął w niziutkich drzwiach za szynkwasem.

- ...kapłani Bliźniaczych Bogów - dobiegł uszu Wilczarza strzępek czyjejś rozmowy. - Rozłożyli się na rynku. Może byśmy poszli, posłuchali, co mówią.

Wilczarz odwrócił się plecami do szynkwasu, wsparł na łokciach i zaczął się przyglądać rywalizacji strażników, którzy nadal mocowali się na rękę. Prym wiódł jasnowłosy dryblas, którego szerokie bary nie we wszystkie drzwi by się mieściły. Potężni młodzieńcy głośno zachęcali do walki przyjaciół, którzy zwarli się w pojedynku. Ktoś w ferworze stawiał na jednego z siłaczy wyjęty z ucha kolczyk...

Siwowąsy Brawlin pochwycił wzrok Wilczarza i wyglądało na to, że chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył. Powrócił karczmarz i lekko stukając o kontuar, postawił zgrabniutką flaszczykę, w której kołysała się miarka bezbarwnego płynu. Wilczarz wyciągnął korek i powąchał. Właśnie o to chodziło. Ciekawski Gacek też wsunął nos w szyjkę buteleczki, kichnął i z odrazą się wycofał.

- Ile płacę? - spytał Wilczarz.

- Sześć miedziaków. Mam nadzieję, że potrafisz zliczyć do sześciu - odpowiedział karczmarz odrobinę głośniejszym, niż było trzeba. Wilczarz dostrzegł kątem oka, jak głowy gości zaczęły się odwracać w ich stronę. - Ale ja - ciągnął właściciel karczmy - chętnie oddam ci za darmo tę flaszkę, jeśli pokażesz nam tutaj, jak się pije gorzałkę w waszych wieńskich lasach. Zaiste tylko gardło takiego dzikusy może...

- Może bym i pokazał, lecz ta gorzałka nie jest do picia - powoli i bardzo spokojnie powiedział Wilczarz. - Jesteś świątym człowiekiem, więc zapewne wiesz, co to znaczy zdezynfekować... - Rozwiązał tasemki przy sakiewce i zaczął odliczać monety.

Karczmarz spodziewał się raczej, że mieszkaniec lasu podniesie gwałt, gruchnie flaszką o

podłogę. Dziesięciu strażników przecie uspokoiłoby go w mig. Albo że naprawdę spróbuje pociągnąć z butelki, by zabawić gości...

- A jak nie wiesz, to poczytaj sobie książkę. - Wilczarz kiwnął głową zadowolony z siebie.

Starannie ułożył na kontuarze jedną obok drugiej sześć miedzianych monet, wziął flaszkę i skierował się w stronę drzwi.

Tym razem nie mógł pokonać pokusy i zatrzymał się przy stole, przy którym tłoczyli się strażnicy. Jeden z młodych wojów natychmiast zauważył:

- Zobaczcie, jaki piękny miecz ma ten Wen. Ciekawe, czy potrafi nim walczyć.

Długie języki w jednej chwili zaczęły się obracać:

- Raczej nie. Jak wszyscy Wenowie, jest jak pień...

- Pewnie dlatego nos mu ktoś przestawił... Brawlin uznał za stosowne przestrzec swoich zuchów.

- Ciszej, chłopcy. Po co się wadzić po próżnicy.

Wilczarz w milczeniu odwrócił się i odszedł, a Nielot Gacek pogardliwie splunął w stronę tych, co śmieli obrazić jego pana.

- Hej, Wenie! - zaraz rozległo się z tyłu. - Dokąd to? Wilczarz stanął. Potem niespiesznie odwrócił się do nich twarzą.

- Na razie niby nie mam powodu, żeby wam gęby obić - powiedział w zadumie, wzruszając ramionami. - Tyle że słuchać, co wygadujecie...

Jeden ze strażników zachichotał, chociaż - według Wilczarza - w jego słowach nie było nic śmiesznego. Inny dorzucił wesoło:

- A czego się spodziewacie, jak tam baby u nich rządzą. Zgodny śmiech skwitował ostatnią wypowiedź. Wilczarza opadły wątpliwości, czy nie pospieszył się nadto, mówiąc, że nie ma powodu, by obić im gęby.

- Podejdz no, młodzieńcze - zwrócił się do niego Brawlin. - Pokaż tym cymbałom, jakich mężczyzn rodzą wasze kobiety.

Teraz już Wilczarz nie mógł odejść. Zasepił się i zrobił kilka kroków z powrotem w stronę stołu.

Wenowie nie poważali takich walk, twierdzili, że to okazja, by kogoś niepotrzebnie obrazić. "Jeśli cię pokonam, obrazisz się na mnie. A jeśli ty mnie pokonasz, mnie będzie przykro. Po co to wszystko?". Sam Wilczarz przez pewien czas zarabiał na życie, wynajmując się albo jako strażnik, albo ochroniarz, albo wykidajło w karczmie. Nie trzeba chyba dodawać, że każdy następny chlebodawca najpierw mu odmawiał i nie chciał przyjmować do pracy. Ponadto Wilczarz miał przeciwko sobie pracującego już siłacza.

Zdesperowany miał się wtedy starego jak świat podstęp, który dobrze sprawdził się ostatnio w Wielkim Pohoście. Zaczął proponować, by najemnik i on zmierzili swoje siły i zręczność. Ma się rozumieć, na oczach pana. Nikt mu nie odmówił. Początkowo Wilczarz często obrywał. I to bez litości. Ale się nie poddawał. Był cierpliwy. Uczył się, a Matka Kendarat na szczęście była z nim jeszcze wtedy. Wiedział, że musi się wiele nauczyć, jeśli naprawdę chce wrócić do domu i

odszukać Ludojada...

Brawlin zrobił mu miejsce obok siebie. Wilczarz poprawił spoczywający na plecach miecz i usiadł na ławie. Naprzeciw uśmiechał się jasnowłosy dryblas. Dłonie miał jak patelnie, prawy rękaw zawinięty powyżej łokcia. Gdyby rozebrać obu, wyglądałby znacznie bardziej imponująco niż Wilczarz. Wen też rozplatał tasiemki wokół nadgarstka. Ukazały się blizny po kajdanach, co wywołało okrzyki uznania. Wilczarza to zawsze irytowało. Młodzi, którzy mleko jeszcze mieli pod nosem, którzy nigdy nawet z daleka nie powąchali zapachu niewoli, nie wiedzieć czemu lubili się popisywać znanstwem, dawać do zrozumienia, że wiedzą, o co chodzi. Durnie. Szczeniaki bez pojęcia.

Postawili łokcie na stole i szczepili się dłońmi. Wolną ręką Wilczarz na wszelki wypadek nakrył Gacka, który niespokojnie kręcił się na jego ramieniu. Skąd miał wiedzieć malutki zwierzątek, na co się tu zanosi - czy to tylko niewinna zabawa, czy poważny pojedynek? Jeszcze z tego wszystkiego kogoś pogryzie.

Rywal Wilczarza zadziwiająco długo szykował się do walki, przymierzał się i szukał odpowiedniego ułożenia. Dopiero kiedy rumieniec na jego obliczu ustąpił miejsca purpurze i kiedy ciężko dysząc, przypadł do rantu stołu, Wen poniewczasie zrozumiał, że młody strażnik już od dawna walczy na poważnie. Po prostu młokos nawet z daleka nie widział Gór Szmaragdowych. Nie mówiąc już o tym, że nigdy nie podnosił tam olbrzymich brył, które wydawały się nie do uniesienia. A co najważniejsze, nie miał pojęcia, do czego zdolni są ludzie, którym już dawno zatarta się różnica między życiem a śmiercią. Wilczarz westchnął. Nie chciał upokarzać młodzieńca.

- Koniec - oznajmił i rozprostował palce.

Jeszcze przez chwilę rywal nacierał ze wszystkich sił. Wreszcie do niego dotarło. Jego dłoń zwiotczała. Odetchnął głęboko. Jak się zdawało Wilczarzowi - z ulgą.

Na widok takiego cudu połowa strażników zamilkła w zadumie. Druga połowa przeciwnie - zaczęła krzyżeć, porwała się z miejsc, każdy chciał zmierzyć swoje siły z Wenem.

Wilczarz wstał od stołu.

- Poczekaj, człowieku - odezwał się Brawlin. Wilczarz pokręcił głową.

- Już dość. Czas na mnie. Obowiązki wzywają.

Teraz nikt nie wygłaszał zjadliwych uwag pod jego adresem i nie wyśmiewał mężczyzn, którzy dają posłuch kobietom. Ale Wilczarz i tak czuł coś w rodzaju wstydu. Honoru plemienia nie broni się w głupich walkach na ręce, prowadzonych za stołem w karczmie. A jeśli ktoś naprawdę ma siłę, to przecież nie trzeba jej tracić na byle głupstwa. Nie pozostało mu nic innego, jak pocieszać się, że koniec końcem nie napraszał się.

I mieć nadzieję, że przez to, co się stało, gorzałka nie straci swojej leczniczej mocy...

Wychodząc, Wilczarz dostrzegł kątem oka, że Brawlin też wstał od stołu i ruszył jego śladem.

\*

Nogi same zaniósły go na rynek, pod posąg Miedzianego Boga. Mimo wszystko często

powracały doń wspomnienia o siwobrodym kapłanie, z którym los złączył go w dzieciństwie. Kiedy się słuchało opowieści starca, wydawało się, że w żadnej z dziewięciu niebieskich sfer nie było nikogo bardziej wielkodusznego, miłosiernego i mądrego niż jego Bliźnięta. Mówił o nich jak ojciec o swoich ukochanych, przedwcześnie zmarłych synach. Od jedenastu lat Wilczarz usiłował zrozumieć, co bogowie starca mieli wspólnego z tymi pełnymi złości i żądzdy odwetu stworzeniami, którymi straszili ludzi inni nosiciele dwukolorowych szat...

Tłum gapiów wypełniał plac po brzegi. Ale wysoki wzrost, który pozwalał patrzeć Wilczarzowi ponad głowami ludzi, i tym razem mu pomógł.

Przed podestem stali strażnicy, a za ich plecami, w otoczeniu ojcowskiej drużyny, na rzeźbionym drewnianym tronie siedziała knezinka Hellona. Zaprowadzanie nowej wiary często zaczyna się od rządzących. Jaką religię przyjmie wódz - taką wcześniej czy później przyjmie jego lud. A poza tym, uznał Wilczarz, w obecności knezinki wzburzeni ludzie nie rzucą się na kapłanów i nie zepchną ich do wody, jak to mieli w zwyczaju mieszkańcy Haliradu.

Na podium stało kilku kapłanów, ale nie na nich patrzył. Jego uwagę przyciągnął wojownik stojący za plecami kapłanów i jak gdyby oczekujący, aż przyjdzie jego kolej. Był gigantycznego wzrostu. Miał na sobie dwukolorowy pancerz. Twarz zakrywała mu kuta maska, odwzorowująca rysy wąsatego człowieka, też pomalowana dwoma kolorami. Wilczarz wiedział, że Uczniowie Bliźniąt starannie dobierali wojów godnych nosić dwukolorowe zbroje. A mieli z kogo wybierać. Najemnicy zlatywali się do nich jak muchy do miodu. Jakżeby inaczej. Kapłani płacili sownie, poza tym wystarczyło włożyć na siebie poświęconą kolczugę, a każde uderzenie pięści stawało się bohaterskim czynem w świętej wojnie za wiarę.

Co on tutaj robi? - zastanowił się Wilczarz. Pilnuje bezpieczeństwa kapłanów?

Chwilę potem dostrzegł na podwyższeniu jeszcze jednego człowieka. Był ubrany w arranckim stylu - w sandały i cienkie lniane giezło bez rękawów, sięgające do kolan. Człowiek ten lat miał mniej więcej tyle co Wilczarz, ale w przeciwieństwie do niego był bardzo przystojny. Tylko wyglądał na wyczerpanego i zagłodzonego; miał posiniaczone nogi i podejrzone plamy na brudnej koszuli. Nisko opuścił kędzierzawą głowę, do piersi przyciskał kilka grubych podniszczonych ksiąg...

Z przodu podestu stał kaznodzieja. Ciężko oddychał, najwidoczniej przed chwilą skończył przemawiać. Wilczarz z żalem skonstatował, że się spóźnił. Ale zaraz pomyślał, że ci ludzie nie przybyli tutaj tylko po to, by wygłosić ledwie jedną mowę. A więc zapewne wszyscy będą mieli okazję usłyszeć coś jeszcze.

- Wyjaśnij mi, szanowny Uczniu - odezwała się Hellona - bo chyba się przesłyszałam. Mówiłeś, że twój bóg jest jeden. To dlaczego czcicie Bliźnięta?

- Z powodu ułomności mego umysłu nie wyraziłem się zbyt jasno, pani - odrzekł kapłan, składając niski pokłon. - Kiedy bóg objawił się ludziom, zbadał ludzkie ciało i orzekł, że to zbyt kruche naczynie, by mogło pomieścić Jego ducha. Wybrano więc brzemienną kobietę, która miała powić bliźnięta. I zajaśniało nad nią...

Dalej Wilczarz już nie słuchał. Poczuł, jak nad górną wargą wystąpił mu kroplisty pot,



pospiesznie przetarł ręką wąsy. Nigdy nie zapominał miejsc, które widział choć raz w życiu. Pamięci do ludzkich twarzy nie miał. Ale ten głos utkwiał mu w głowie na zawsze. "Gnij tu w upodleniu, marny poganinie!".

Nielot Gacek nastroszył czarną sierść i po cichu, ale wyraźnie zasyczał. Każdy, kto zechce skrzywdzić Wilczarza, niech wie, że najpierw będzie miał do czynienia z nim!

Wilczarz znowu spojrzął na Arranta. Młodzieniec nagle podniósł jasnowłosą głowę i przez chwilę spotkali się spojrzeniem. Wilczarza przeszedł dreszcz. W zielonych oczach dostrzegł niemy krzyk rozpacz: "Pomóż mi!". Ale ten okrzyk młodzian zaraz stłumił. Wiedział, że ratowanie go teraz było zbyt niebezpieczne.

Wilczarz zastanawiał się przez chwilę, po czym zaczął przeciskać się do przodu.

Po jakimś czasie przysła kolej na młodzieńca z księgami. Od tyłu ktoś go mocno popchnął, a on postąpił krok do przodu i znalazł się obok kapłana.

- Oto żywe świadectwo tego, jak nisko może upaść ktoś, kto odrzucił święte prawdy Bliźniąt - oznajmił kapłan, wskazując Arranta. - Ten człowiek próbował uratować przed oczyszczającym ogniem księgi fałszywych proroków i fałszywych nauczycieli, aby sprowadzać na manowce i wodzić na pokuszenie umysły i dusze nieświadomych... - Kaznodzieja uczynił znak Rozdzielonego Kręgu. - Oto te księgi. Nosi je sam, gdyż ludziom bogobojnym nie wolno ich nawet dotykać...

- Każda wiedza jest cenna! - nieoczekiwanie głośno i przekonująco przerwał kapłanowi więzień. W jego zielonych oczach rozbłyły iskry nieposłuszeństwa. - Jeśli zostaną zniszczone, świat będzie uboższy!

- Wiedza, której bronisz, o nierozumny, warta jest tyle co brud na nogach! - Kapłan pokiwał głową z politowaniem. - Trudno nie ubrudzić nóg, kiedy idziesz drogą. Ale przed przestąpieniem progu domu, w którym leżą piękne dywany, brud należy zmyć.

- Nazywasz brudem złoty pył, z namaszczeniem zbierany przez ludzką mądrość - nie poddawał się Arrant.

- Od kiedy to boskie prawdy zbierane są przez nasz umysł, ciemny i ubogi? - spytał kapłan.

Wilczarz, który zdążył przecisnąć się na sam przód, tylko westchnął.

Gdy w grę wchodziła jakaś beznadziejna, niewykonalna sprawa, której cel był nieosiągalny, Wenowie stwierdzali, że lepiej już czerpać wodę sitem, Segwani - że lepiej osuszyć morze, a Arranci - wygrać spór z kapłanem. Młodzian najwidoczniej zapomniał o starym porzekadle. Lub nie miał już nic do stracenia...

Kaznodzieja popatrywał na miłośnika ksiąg z głębokim żalem i litością, jak na zarażonego groźną chorobą.

- Jeżeli ktoś próbuje pojąć boskie objawienie ubogim swym rozumem, to znaczy, że i wobec niego można się uciec do tak samo ubogich metod, można użyć siły... Ośmielę się stwierdzić, że to ostatnie jest nawet ze wszech miar pożądane, jako że wszechmocni bogowie zwycięstwo przyznają nie mocniejszemu cieleśnie, lecz temu, za kim stoi prawda. Oto ten, który będzie walczył za prawdę...

Ręka w czerwonym rękawie wyciągnęła się w stronę zakutego w stal draba.

Ma rację, pomyślał Wilczarz. Bogowi są wszechmocni i sprawiedliwi, ale jednak lepiej, jeśli ten, kto walczy o tę prawdę, jest sprawny, syty i silny.

- Na jego szlachetnej klindze spoczywa błogosławieństwo Bliźniąt - ciągnął kapłan. - Wiem, że wasze plemię z należną czcią odnosi się do pojedynku. Czy znajdzie się ktoś, kto się ośmieli...

- Tak, znajdzie się! - niemal natychmiast ozwał się głos w tłumie zgromadzonych. Ku podestowi przeciskał się jasnowłosy dryblas w ciężkiej solweńskiej kolczudze. Niewiele ustępował dwukolorowemu zbrojnemu.

- Nie chciałabym, by dzisiejsze święto zostało zbezczeszczone przez laną krew, mój dobry Uczniu - rzekła knezinka.

- Byliśmy już w siedmiu miastach, pani - odparł kapłan, składając pokłon. - Nasz zbrojny tylko pozwoli twoim poddanym przekonać się o potędze prawdziwej wiary. Nie musi przy tym odbierać nikomu życia.

Jasnowłosy minął strażników i wdrapał się na podwyższenie. Rozplątał pasek i wyjął z pochwy długi prosty miecz.

Niewiele umie, zmartwił się Wilczarz. Młodzieniec miał miecz z dobrej narlackiej szkoły, piękny i drogi, z dwoma czerwonymi kamieniami wprawionymi w rękojeść.

- Twoje Bliźnięta nie są warte jednego dobrego słowa! - bezczelnie rzucił w stronę kapłana.

- Zobaczymy, jak tego dowiedziesz... - rzekł kapłan z uśmiechem i odszedł, by pobłogosławić swego woja na bój w słusznej sprawie.

Wilczarz popatrzył na haliradzkich kapłanów siedzących za rzeźbionym tronem knezinki Heliony. Mędracy słuchali w milczeniu, ich twarze nie zdradzały uczuć. Nie wtrącali się do sporu. W Haliradzie przebywali wyznawcy różnych religii - kupcy zjeżdżali się tu z wielu krajów z całego zaiste świata, a każdy wierzył po swojemu. I nikt nie zamierzał wyganiać czy obalać cudzych bóstw, nawet Miedziany Bóg, arrancki Władca Mór, cierpliwie znosił to, że nie zawsze okazywano mu należyty szacunek.

Już pierwsze chwile pojedynku pozwoliły Wilczarzowi ocenić, że przeciwnicy są sobie godni. Ciężkie miecze obracali w mocnych rękach bez szczególnego wysiłku, klingi błyszcząły jak srebrnołuskie rybki wyskakujące ponad lustro wody w stawie. Słyszał, jak za jego plecami szeptały coś dwie dziewczyny. Obie pragnęły, by Solwen okazał się sprytniejszy i zdołał zrzucić dwubarwnemu wojowi hełm z głowy. Były ciekawe, czy jest przystojny.

Wilczarz uważnie przyglądał się pojedynkowi. Jedną ręką przytrzymał sakiewkę z pieniędzmi - zawsze trzeba być ostrożnym w tłumie

Tymczasem to, co działo się na podeście, podobało mu się coraz mniej. Początkowo nie rozumiał dlaczego. A potem pojął. I znowu zaczął przeciskać się do przodu.

Walka była ułożona. Ułożona od początku do końca. Ale ułożona doskonale. Wilczarz domyślił się wszystkiego tylko dlatego, że sam przez bite cztery lata oglądał wyłącznie walki i pojedynki.

Jeszcze zmagał się z tą myślą, kiedy olbrzym uderzył. Choć rosły i obdarzony potężnym ciałem,

był szybki. Bardzo szybki. Za to Solwen jak gdyby w ogóle nie zauważył grożącego mu niebezpieczeństwa. Wilczarz, który mnóstwo razy w podobnych sytuacjach wiele zawdzięczał swej zwinności, rozpoznał śmiertelny cios w zarodku. Widział błysk wzniesionego miecza w promieniach słońca, widział, jak ostrze zatoczyło w powietrzu majestatyczną pętlę. I widział, jak to ostrze w ostatnim momencie płazowało i cios, który powinien był rozrąbać bluźniercę kalającego imię Bliźniąt na dwie części, tylko obalił go na kolana.

Zrobiło się cicho. Nie było słyhać ani szczęku oręża, ani okrzyków gawiedzi. Solwen jęknął, wypuścił miecz z rąk, schylił głowę i trwał na czworakach w pozie pokory. Bliźniaczy Bogowie odnieśli zwycięstwo.

- Tylko czysta wiara uświęca miecz woja i przynosi mu wygraną - uroczyście ogłosił kapłan. - Niech ten człowiek odejdzie w pokoju. Nie szukamy ludzkiej zguby, chcemy jedynie, by nas zrozumiano. Czy ktoś ze zgromadzonych znajdzie w sobie śmiałość, by stanąć do walki ze zbrojnym, oświeconym...

- Tak, znajdzie się - burknął Wilczarz. Roztrącił ramieniem strażników i stanął przed kapłanem, który z niezmaconą pogardą patrzył na niego z wysokości podestu.

- Kim jesteś, który chcesz stawić czoło Tym, czyje imiona czczone są przez trzy światy?

Nie poznał mnie, przemknęło przez myśl Wilczarzowi.

Miał wielką ochotę zapytać, czemu kapłan nie raczył zadać tego pytania pierwszemu uczestnikowi pojedynku. Potem jednak się rozmyślił - czyż to nie wszystko jedno?

- Modłę się do swoich bogów i nie sprzeciwiam się obcym - odpowiedział ponuro. Potem wskazał na Arranta. - Powiedz mi lepiej, czy oddasz mi go, jeśli pobiję twojego woja?

Kapłan przyjrzał mu się uważnie.

- Nie jesteś zbyt pewny siebie, poganinie?

Wilczarz nic nie odpowiedział.

- Nie uda ci się zwyciężyć - rzekł kapłan. - Chociaż... czy ja, marny proch, mogę coś wiedzieć o zamiarach Bliźniąt? Jeśli zwyciężysz - uśmiechnął się - będziesz mógł zrobić z nim, co zechcesz.

Wilczarz skinął głową. Rozpiął sprzączkę na piersiach i zdjął bandolet z mieczem. Podeszedł do knezinki, złożył pokłon i wyciągnął w jej stronę rękojeść.

- Racz, pani, rozwiązać rzemyk.

Knezinka Hellona rozwiązała węzeł i cicho rzekła:

- Uważaj na siebie, Wilczarzu.

Zapamiętała moje imię, zdziwił się i ucieszył w duchu.

- Los pokaże, pani - rzekł.

Potem popatrzył na to miejsce w tłumie, gdzie jeszcze niedawno stał sam, i nie był bardzo zdziwiony, gdy zobaczył tam Brawlina. Podał mu pochwę i flaszeczkę z gorzałką.

- Potrzyмай!

Flaszeczka mogła się rozbić, a do nowej pochwy nie zdążył się jeszcze po prostu przyzwyczaić i bał się, że będzie mu zawadzała. Brawlin wziął w ręce jedno i drugie i niepewnie wyciągnął dłoń

w stronę Gacka.

- A zwierzączek?

Gacek głośno szczęknął zębami i siwowąsy dowódca straży spiesznie cofnął rękę. Stojący wokół roześmiali się z ulgą. Brawlin najpierw się naburmuszył i poczerwieniał na twarzy, ale po chwili pogładził wąsy i też się uśmiechnął.

- Do boju, młodzieńcze! - zwrócił się do Wilczarza. - I nie okryj się sromem!

Wen szedł już w stronę podium, a przywykły do takich sytuacji Gacek przepelzył z jego ramienia na kark i mocno wczepił się w warkocze.

Na pomoście Wilczarz całym jestestwem poczuł, że gapi się na niego pół miasta. Nie mógłby powiedzieć, że to wspaniale odczucie. Co ci ludzie sobie myślą? Dzięki Wen, który jak zwykle pakuje nos w nie swoje sprawy. Zasepił się i przegnał te myśli.

Z przytroczonej do pasa małej sakwy wyjął przepaskę i obwiązał nią głowę, aby pot nie zalewał mu oczu i nie przeszkadzał w walce. Zbrojny w dwukolorowych szatach przykląkł, a kapłan, coś szepcząc, nakreślił w powietrzu Rozdzielony Krąg. Wilczarz obrócił się w stronę słońca, które właśnie wychynęło zza postrzępionych chmur.

- Oko Bogów, Ty, które dajesz nam wszystko co dobre, o, jasne Słońce! - zwrócił się do niebieskiego bóstwa. Niech Bliźnięta w pokoju kierują losami tych, którzy w nie wierzą. Ale dlaczego ten człowiek mówi mi, że Ciebie nie ma?

Ludzie podobno potem gadali, że srebrzysty wzór na jego mieczu błyszczał nadzwyczaj jasno.

- Módl się, módl do swoich bożków! - krzyknął kapłan szyderczo. Tłum odpowiedział pomrukiem niezadowolenia, a knezinka Hellona posmutniała i zwróciła się do bojarów stojących obok jej tronu z lewa i z prawa, jak gdyby chciała spytać, czy nie pora przypomnieć przyjeźdnemu kaznodziei, że powinien wyrażać się nieco uprzejmiej.

- Pobłogosław mój miecz, dobre, stare Słońce. - Wilczarz nie chciał zniżać się do połajanek z kapłanem i dalej ciągnął swą modlitwę. - Chcę wyzwolić tego młodzieńca, bo czyż dobre jest to, by siłą zmuszać ludzi do wiary w bogów...

- On ci nie przeszkadzał, gdy zwracałeś się do Bliźnięt - odważnie ozwał się Arrant.

- Kiedy rozmawia się z prawdziwymi bogami, nic nie jest w stanie przeszkodzić - odparł kapłan i odstąpił kilka kroków do tyłu, robiąc miejsce dla pojedynku.

Nie da się wygrać sporu z kapłanem, ze złością pomyślał Wilczarz i odwrócił się twarzą do przeciwnika. Człowieka, który zgodził się wziąć udział w ustawionej walce, nie darzył ani zaufaniem, ani szacunkiem. Ale z nim przynajmniej można było się zmierzyć i rozstrzygnąć spór znanymi mu metodami, bez pokrętnych słów i zawitych wywodów.

Pozdrowili się wzajem wzniesionymi mieczami, a chwilę potem zwarli w walce. Tłuszcza na rynku znowu wydała z siebie głuchy pomruk. Zbrojny w dwukolorowych szatach był tak potężnie zbudowany, że żyłasty jak rzemień Wilczarz wydawał się przy nim szczuplutkim młodzieniaszkiem.

- Gdzie mu do niego - podniosły się głosy w tłumie. - Ten pasiasty żywcem go pożre!

- Czy to widziane, żeby się mierzyć z taką siłą...

Młody Arrant ze smutkiem pokiwał głową i mocniej przytulił do siebie księgi.

Jest syty i silny, myślał Wilczarz, parując cios za ciosem. Bardzo silny. I zawsze był syty. Z tym że użytek ze swojej mocy z czasem zaczął robić tylko w walce z ludźmi, którzy nie mogli dać mu odporu. Z takimi jak ten miłośnik ksiąg. A kiedyś musiał być doprawdy znakomitym wojownikiem.

Wilczarz powoli odstępował wzdłuż krańca podestu, próbował wyczuć rywala, oceniał jego możliwości i oswajał się z nim. Ludzie na placu za jego plecami dawali wyraz swemu rozczarowaniu. Bo też rzeczywiście - widziane to rzeczy... Wilczarz wiedział doskonale, że z punktu widzenia zwykłego człowieka wyglądał na znacznie mniej zdatnego do walki niż jasnowłose Solwen. Dlatego że tamten wiedział, jaki będzie każdy kolejny cios, a Wilczarz walczył, jak mu dusza nakaże. Poza tym pasiasty był rywalem jakich mało. I tylko stojący w tłumie doświadczeni rębacze i nieliczni Wenowie przyglądali się pojedynekowi w milczeniu. Widzieli, że dwukolorowy złości się i wkłada w swe ciosy coraz więcej siły, uderza coraz gwałtowniej i coraz groźniej. Lecz jego ciosy nie wiedzieć czemu nie sięgają celu.

Potem Wilczarz usłyszał dźwięczny głos Brawlina, który zwrócił się do kogoś w tłumie:

- O ile zakład, że Wen wygra?

- Czyżbyś chciał wyrzucać pieniądze w błoto? - odpowiedziano pytaniem na pytanie.

Wilczarz nie miał czasu, aby przyrzeć się, z kim próbował czynić zakłady jego znajomek.

- Wczoraj dostałem żołąd za dwa siedmiodnie - uśmiechnął się Brawlin.

Rozmówcy zaczęli ustalać stawkę, stanęło na półtorej ćwierci konia srebra. Wilczarz pomyślał, że tutejszym stróżom porządku musi się nieźle powodzić. Albo Brawlin był pewien, że nie przegra zakładu...

Tymczasem dwukolorowy był coraz bardziej rozjuszony. Skąd się wziął ten opętany Wen z takim wspaniałym mieczem? Pasiasty znał swoje możliwości. Na dodatek zawczasu nauczył się ciosów, które lubili stosować witezie z Haliradu. Dlatego był w stanie nawet jeśli nie z łatwością zwyciężyć, to w każdym razie bić się jak równy z równym z tutejszymi wojami. Jasnowłosego Pliszkę pokonałby nawet w równym boju. Co za licho przyniosło tu tego Wena? Bił się tak, jak gdyby bluźnierca był mu rodzonym bratem. I bił się jak mistrz! Cały wysiłek giganta szedł na marne, trafiał w pustkę, tylko na mieczu pojawiały się coraz to nowe szczyrby.

Dwie ciężkie klingi wznosiły się w górę, obracały i błyskawicznie tkwały w powietrzu misterną pajęczynę. A potem wszystko nagle się skończyło.

Pasiasty był coraz bardziej rozeźlony, tracił cierpliwość i stawał się coraz mniej przezorny. Za każdym razem, gdy ścierał się z klingą Wilczarza, jego miecz odmawiał posłuszeństwa i wbrew własnej woli kreślił w powietrzu zawile pętelki. Ledwie udawało się utrzymać go w ręce. Zbrojny występujący w imieniu kapłana gotów był pożreć Wena żywcem. Dawno już zdążył zapomnieć o wszystkich obietnicach, że nie dopuści do rozlewu krwi. Zabije tego dzikusa, który tak upokarza go swoim mistrzostwem.

Tyle że po każdym wypadzie musiał szukać Wena wzrokiem - bo wiadomym tylko sobie sposobem przeciwnik znikał mu z pola widzenia. Jeszcze nigdy dwukolorowy woj nie doznał

porażki w pojedynku. Oczy zaczęła mu przesłaniać purpurowa zasłona wściekłości. Kolejny wymierzony cios ze świstem trafił w pustkę, a pasiasty obrócił się wokół własnej osi. Tuż przed sobą ujrzał przerażone oczy miłośnika ksiąg, który z uwagą przyglądał się walce. Spod pomalowanej maski dobył się zduszony ryk. Wojownik wzniosł nad głowę miecz w krwiożerczym zamiarze...

Wilczarz pojawił się między nim a Arrantem jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Miecz w srebrzyste wzory sparował śmiertelny cios przeciwnika.

Weński mistrz kowalski, który żył dawno, dawno temu, nie zawiódł późnego wnuka. Rozległ się szcęk i chrzęst. W rękach dwubarwnego woja pozostała rękojeść ze sterczącym z niej kawałkiem klingi, nie dłuższym niżli pół piędzi. Pozbawiony oręża woj nie zauważył tego w ferworze walki i próbował jeszcze zadać cios złamanym mieczem. Potem z głośnym przekleństwem cisnął bezużyteczną broń Wilczarzowi w twarz.

Wzorzysty miecz przejął ją w locie - lichy nie śpi, kogoś mogła trafić. Wilczarz odrzucił złamany miecz przeciwnika trzy kroki od podestu, jak wąż przesmyknął się ku przodowi, uniósł misiurkę zwieszającą się spod maski na pierś zbrojnego i ścisnął zapięty pod brodą pasek przytrzymujący hełm.

- Zdejmij rękawice - powiedział cicho. Koszulę miał mokrą od potu. Ciężko oddychał, ale starał się mówić wyraźnie. Nikt nie powinien mieć wątpliwości, kto zwyciężył w tym pojedynku.

Dwukolorowy, trzeba mu oddać sprawiedliwość, zawahał się... Ale gdy miecz Wilczarza dotknął delikatnej odsłoniętej skóry, w błękitnych oczach patrzących z wycięć w masce wściekłość i krnąbrność ustąpiły miejsca uczuciu żalu nad samym sobą.

Dziwna rzecz, przemknęło przez myśl Wilczarzowi, jak bardzo boją się o swoje życie ludzie, którzy z taką łatwością odbierają je innym...

Dwukolorowy z wolna zdjął jedną rękawicę, potem drugą. Cisnął je na podest.

- A teraz hełm - nakazał Wilczarz.

Spod hełmu wysypały się pozlepiane potem, gęste czarne kędziory i ukazały się sumiaste wąsiska. Pokonany był rzeczywiście przystojnym mężczyzną. Pewnie mógł się dziewczętom podobać. Wilczarz odsunął miecz od jego szyi i zwrócił się do kaznodziei. Nielot Gacek zdążył już powrócić na ramię i dumnie wypinał puszystą pierś. Zwycięstwo przynajmniej w połowie przypisywał sobie.

- Zabieram tego człowieka - rzekł Wilczarz, wskazując na Arranta, który patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Ciągle nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

Wilczarz nisko pokłonił się knezince, zeskoczył z podestu i podszedł do Brawlina po pochwę i flaszkę. Strażnik powitał go szerokim uśmiechem - półtorej ćwierci konia srebrem to była spora sumka. Arrant bojaźliwie obejrzał się na swoich niedawnych prześladowców, potem z drzeniem przycisnął do piersi księgi i niezgrabnie zszedł na ziemię w ślad za Wilczarzem.

Tłum falował wesoło, przerzucając się nieprzystojnymi żarcikami na temat Bliźniaczych Bogów i ich sług. Kapłan wygłosił dosyć groźne kazanie. A ludzie zawsze są radzi pośmiać się z tego, czym

próbują się ich nastraszyć.

Jednak świat zapewne przewróciłby się do góry nogami, gdyby Uczeń Bogów pozwolił komukolwiek mieć ostatnie słowo. Teraz też uroczyście wznosił ręce ku niebu i jego głos, przywykły do przekrzykiwania hałasu w świątyniach, słychać było na całym placu.

- Błogosławiona niechaj będzie wielka mądrość Bliźniąt, czczonych przez trzy światy, i Ojca ich, Przedwiecznego i Nieurodzonego. Posłuchajcie i zrozumcie, ludzie małej wiary, jaką karę przewidzieli Oni dla tych, którzy wybrali mrok wyrzeczenia się prawdy, a odrzucili światło prawdziwej wiary. Oto uczynili go niewolnikiem dzikiego barbarzyńcy, poganina. Czy coś gorszego może spotkać heretyka, który mieni się oświeconym?

Tak! - sam do siebie powiedział zmęczony Wilczarz, zapinając klamrę na piersiach i chowając do sakwy kruchą flaszeczkę. Nie da się wygrać sporu z kapłanem!

\*

Szli ulicą.

- Dokąd idziemy? - spytał Arrant. Wilczarz odpowiedział nie od razu i młodzieniec, rzuciwszy na groźnego wybawiciela pełne obaw spojrzenie, poprawił się skruszony: - To znaczy, dokąd mnie prowadzisz, panie?

- Do zajazdu - odburknął Wilczarz. - Umyjesz się, zjesz, a potem sam zobaczysz, czy zostaniesz tam, czy pójdziesz w swoją stronę. Ja cię nie trzymam.

Arrant potrzebował trochę czasu, aby zrozumieć sens słów wypowiedzianych przez Wilczarza. Potem zaczął niepewnym głosem:

- Brat Chronomer oddał mnie tobie jako... - głos mu zadrżał. Brat Chronomer, powtórzył w myślach Wilczarz.

- Zwał mnie Eurych - powiedział młodzieniec po chwili milczenia. - A ciebie, o ile dobrze usłyszałem, knezinka nazwała Wilczarzem...

- Może i nazwała - burknął Wilczarz. Gdyby Eurych sam nie powie dział, jak się nazywa, za nic na świecie nie zaczęłyby go wypytywać o imię. Po co mu znać miano człowieka, z którym na zawsze pożegna się nazajutrz rano. I na pewno nie miał zamiaru mówić mu, jak sam się zowie...

- Dziękuję - ciągnął Eurych. - Widocznie są jeszcze na świecie szlachetni ludzie...

Zamilcz wreszcie, pomyślał Wilczarz.

Potem wiele razy zadawał sobie pytanie, czy jego złość zgubiła Eurycha. Byli już od dwa kroki od zajazdu "Pod Ukochanym Dzieckiem", kiedy na ich drodze pojawił się przechodzień, człowiek średniego wzrostu, o wyglądzie zadziwiająco niezapadającym w pamięć, jakich w każdym tłumie znajdziesz bez liku. Wyminął ich z tej strony, z której ze swoimi księgami pod pachą kroczył Eurych...

Początkowo Wilczarzowi się zdało, że Arrant zatrzymał się, potknął o coś. Nachylił się więc w stronę niezgrabnego towarzysza, który w tym momencie zwał się nań całym ciężarem. Niepozornego przechodnia nigdzie nie było. A Eurych patrzył na Wilczarza nieruchomym wzrokiem, jak gdyby widział coś, co jest za jego plecami. Na twarzy młodzieńca malowało się

zdziwienie pomieszane z jakimś dziecinnyim poczuciem krzywdy. Powoli pochylał się do przodu, leżąc na samym wierzchu książka zsuwała się coraz niżej i niżej. A spod jego krótkiego giezła wartko wypływała i skapywała na drewniany chodnik gęsta szkarłatna krew.

Wszędobylscy chłopcy podskakiwali w miejscu i pokazywali palcem za róg.

- Tędy, tędy pobiegł!

Muszę go dogonić! - myśl jak błyskawica przecięła głowę Wilczarza. I zabić!

Tak, musi dogonić mordercę. Niech pożałuje, że się urodził. Ale wtedy Arrant wykrwawi się na śmierć.

Eurych już miał upaść, ale Wilczarz pochwycił go na ręce. Umierający cicho zajęczał i ucichł. Krew buchała z szerokiej rany w dole brzucha. Księgi w ciężkich skórzanych półskórkach rozsypały się po chodniku...

- Pozbierajcie! - krzyknął Wilczarz do chłopców i na złamanie kar ku rzucił się biegiem w otwarte wrota zajazdu. Jednym skokiem po konał podwórze. Goście, których mijał w pędzie, przerażeni ustępowali mu z drogi.

Przeskakiwał po kilka schodków, z rozpędu kopniakiem otworzył drzwi i wpadł do izby. Tilorn stojący przy oknie, przez które wpadał snop słonecznego światła, odwrócił się przestraszony.

- Ratuj go, jeśli możesz - wyrzucił z siebie Wilczarz, dysząc ciężko. W drzwiach pojawiła się Neelith, która próbowała go dogonić. Już

drugi dzień pracowała w kuchni, pomagała to kucharce, to pomywaczce. Kiedy zobaczyła biegnącego przez podwórko Wilczarza, porzuciła swe zajęcia i pomknęła za nim. Teraz złapała narzutę - tę wyniesioną z zamku Ludojada - i błyskawicznie rozścieliła na podłodze. Wilczarz położył na niej umierającego. Twarz Eurycha zdawała się przezroczysta, wargi poszarzały, lecz na szyi widać było jeszcze pulsującą tętnicę.

Tilorn przykląkł obok niego. Długimi palcami dotknął czoła Arranta - bladego i pokrytego kroplistym potem.

- Można go uratować, tylko boję się, że nie dam sobie rady sam - powiedział. - Pomóżcie mi, przyjaciele...

- Co mamy robić? - wychrypiął Wilczarz.

- Obejmijcie mnie. I pod żadnym pozorem nie rozluźniajcie uścisku... Wilczarz i Neelith przycupnęli na podłodze i obłapili go z obu

stron. Dłonie Tilorna spoczęły na zakrwawionym brzuchu Eurycha, po prawej i po lewej stronie rany.

Teraz zacznijcie się modlić, pomyślał Wilczarz. Wezwie kogoś na pomoc.

Pomylił się. Tilorn nie pogrążył się w modlitwie, w każdym razie nie wypowiadał jej słów na głos. Za to Wilczarzowi przed oczami zatańczyły ogniki. Tak jak wtedy, kiedy długo się siedzi w kucki, a potem szybko wstanie. Poczuł, jak jego uszy i nos stają się coraz zimniejsze. Tilorn odbierał mu część życiowych sił, aby wlać je sobie tylko znanym sposobem w ciało Eurycha. Zapewne podobnie uleczył szczeniaka. Tyle że psie dziecko mieściło się w dłoniach, a teraz Tilornowi



przyszło ratować człowieka.

Wilczarz chciał odepchnąć Neelith, ale w tym celu musiałby wyswobodzić przynajmniej jedną rękę, a na to się nie odważył.

Wirujących przed oczami ogników ciągle przybywało.

To niemożliwe, pomyślał Wilczarz, zaciskając zęby. Czuł, jak po skroniach spływa mu pot. A spróbuj mi umrzeć! Tylko tego brakowało. Po com cię z niewoli od kapłanów wybawiał? Gdzie wasza prawda, bogowie? Dlaczego każdy zafajdaniec, który włoży kapłańskie szaty, może w waszym imieniu...

- Skończyłem - słabym i nieskończenie zmęczonym głosem odezwał się Tilorn. - Jeśli to nie pomogło... Neelith, moje dziecko, popatrz...

Wilczarz otworzył oczy. Ku jego przerażeniu ręka uczonego umazana zakrzepłą krwią bezradnie zawisała w powietrzu. Neelith pochwyciła ją w swoje dłonie.

- Popatrz, co z nim - poprosił ją Tilorn.

- Ty... - chciała coś powiedzieć, ale Tilorn jej przerwał:

- Nic mi nie będzie. Spójrz, co z jego raną.

Neelith pochyliła się nad Eurychem. Pospołu z Wilczarzem zdjęli gieźło z bezwolnego ciała. Wilczarz dostrzegł, że Eurych oddycha pełną piersią, miarowo, usta ma już nie szare, tylko po prostu blade. Wyglądał na zmęczonego i osłabionego, ale na pewno nie na umierającego. Wilczarz się zasępił. Może z powodu napięcia teraz nie panował nad zmysłami i widział tylko to, co chciał zobaczyć? Neelith sprawnym ruchem rozwiązała przepaskę biodrową Arranta. Nagość chorego mężczyzny wcale jej nie speszyła.

Szeroka rana, przez którą jeszcze chwilę temu rwała rzeka krwi, teraz prawie się zabiżniła. Głęboka szrama, z której jeszcze wycieka surowica - nic więcej. Jeśli nie liczyć śladów dłoni Tilorna, które na bladej skórze młodzieńca wyglądały jak dwa czerwone słońca.

Skóra mu tu pewnie zejdzie, orzekł w duchu Wilczarz.

Odwrócił się w stronę uczonego. W samą porę - Tilorn właśnie osuwał się na podłogę. Wilczarz zgarnął go w ramiona, poczuł pokusę, by wlepić temu czarodziejowi od siedmiu boleści porządne klapsa. Choć to, co uczynił Tilorn, było dlań nie bardzo zrozumiałe, wiedział jedno: nim zaczął czerpać życiowe siły z ciała przyjaciół, mędrzec swoje siły wyczerpał niemal do cna.

- Coś ty ze sobą zrobił?! - ryknął Wilczarz. Widzą bogowie, gdy by on był choć w połowie tak rozeźlony podczas pojedynku, dwukolorowy leżałby na podeście porąbany na czterdzieści dziewięć kawałków. - Pytam cię! Znowu oślepieś?!

- Za kilka dni będzie dobrze... - usprawiedliwiał się Tilorn.

- Natychmiast - wysyczał Wilczarz przez zęby. - Odzyskasz wzrok natychmiast.

Najbardziej bał się tego, że Tilorn odmówi i na tym wszystko się skończy. Tilorn nie należy do tych, których można do czegokolwiek zmusić.

- Potem - błagalnie odpowiedział uczone, bez powodzenia próbując rozewrzeć palce Wilczarza zaciśnięte na jego ramieniu. - Potem... Kiedy się wyśpisz i porządnie najesz...

- Powiedziałem, teraz. - Wilczarz wiedział, że to, co robi, nie jest najmądrzejsze, że Tilorn ma rację, że takimi rzeczami lepiej się zajmować, kiedy jesteś silny i najedzony... ale nic nie mógł poradzić. Nie mógł pozwolić na to, by Tilorna, który właśnie zaczynał wracać do życia, znowu dopadła straszna słabość, ślepotą. - Teraz!

Trochę znał się na ludziach i wiedział, że Tilornowi zrobiło się wstyd, bo przecież nie powinien zmuszać przyjaciół, by się nim stale zajmowali. Słabe palce oplotły nadgarstki Wilczarza... Kiedyś na rękach Szarego Psa umierał człowiek, którego Wen uważał za przyjaciela. Też był Arrantem. Umierał, umęczony pracą ponad siły, kaszlem, którego nabawił się w kopalni i przez który wypłuł płuca. Szary Pies wznosił modły do bogów, aby wzięli część jego sił i oddali temu dwudziestoletniemu staruszkowi, któremu przed śmiercią nie było dane popatrzeć na słońce... On sam też pokastywał po tym, jak go skatowali, ale umierać nie miał najmniejszego zamiaru. No i do tej pory nie umiał ani leczyć ludzi czarodziejską mocą, ani rozmawiać z niebem. Ale dopuścić, żeby Tilorn... żeby znowu...

Tym razem nie przymknął oczu i zobaczył, jak na blade policzki Tilorna powoli zaczęły powracać rumieńce, a oczy rozblęskły znowu żywym blaskiem. Sam nie odczuwał nic szczególnego poza narastającym odczuciem słabości i dziwnym chłodem w krzyżu. Tilorn najwidoczniej panicznie bał się zrobić mu krzywdę. Zaraz otworzył usta i powie: "Wystarczy, to już wszystko". Wilczarz wyczuł to i w jednej chwili mocniej ścisnął nadgarstki Tilorna, starając się całym wysiłkiem woli przelać w jego ciało... coś... nie wiadomo co...

- Wystarczy - cicho odezwał się Tilorn. - Nie jestem wampirem. I puścił rękę.

- Wstawaj - nakazał Wilczarz. - Przejdź się.

Tilorn posłusznie podniósł się, zrobił kilka kroków w kierunku okna i zawrócił.

- Od początku tak mogłeś? - zapytał Wilczarz, siedząc na podłodze. Nie chciało mu się wstawać. - Czemu więc od razu nie...?

- Ja... - Mędrzec się stropił. - Nie uznałem za stosowne.

- Uznałeś, że lepiej będzie, jeśli będę cię nosił na rękach - mruknął Wilczarz.

Tilorn najpierw się zmieszał i poczerwieniał na twarzy, ale zaraz pokręcił głową.

- Myślę, mój przyjacielu - powiedział - że to kosztowałoby cię o wiele więcej sił niż ciężar mojego mizernego ciała.

Wilczarz z pogardą skrzywił usta. Nadal nie chciało mu się wstawać z podłogi. A tak naprawdę to nie miał pewności, czy zdoła się podnieść. Podobnie się czuł, kiedy wydostał się z zamku Ludojada - z potłuczonymi żebrami, cały w pęcherzach od poparzeń. Wtedy też pragnął tylko jednego: zamknąć oczy i spać, spać...

Nagle przez głowę przemknęła mu myśl: skoro on odczuwa takie osłabienie, to co musi dziać się z Neelith? Z trudem otworzył klejące się powieki. Ku jego zdziwieniu Neelith była na nogach i dziarsko krzątała się po izbie. Usłyszał pukanie. Neelith uchyliła drzwi. W szczelinie pojawiły się od razu trzy chłopięce twarzyczki, lecz malująca się na nich ciekawość natychmiast ustąpiła przerażeniu. Dzieci lubią straszne bajki, lubią trochę się bać. Ale kiedy coś straszniejszego przydarza

się w życiu... Książki ciężko uderzyły o podłogę, tupot bosych stóp na korytarzu stopniowo ucichł. Potem dał się słyszeć głos Audyki. Młody Segwan pomógł Neelith zebrać książki i wniósł je do izby. Wnętrze bardziej przypominało pobożowisko, lecz Audyka nie okazał zdziwienia. Neelith złapała szmatę i znikła za drzwiami.

Pewnie pobiegła wytrzeć krew, pomyślał Wilczarz. Przecież pełno jej wszędzie, na schodach, na podwórku i na chodniku...

Zobaczył jeszcze, że Audyka odprowadza dziewczynę wzrokiem, i usłyszał głos Tilorna:

- Nic takiego. Teraz tylko obaj muszą się porządnie wyspać.

\*

*We śnie wszystko przyjmujesz za prawdę. Dlatego Wilczarz nie bardzo się zdziwił, kiedy zobaczył samego siebie. Dopiero potem dostrzegł, że tamten drugi miał strasznie śmieszne ubranie: całe ze skóry, nierozdzielone na spodnie i koszulę, na dodatek niczym nieprzepasane.*

*- No - mruknął tajemniczy gość. - Poznajesz mnie?*

*Wilczarz w milczeniu patrzył na niego i nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie wiedział nawet, czy w ogóle odpowiadać.*

*Tamten westchnął, wykonał jakiś ruch... i przed Wilczarzem spoczął jego miecz wsadzony w nowiutki skórzany pokrowiec.*

*- Teraz poznajesz? - dopytywał się miecz, znów stając się człowiekiem. Wilczarz był w stanie tylko zapytać:*

*- Dlaczego jesteś tak podobny do mnie?*

*- A do kogo miałbym być podobny? Do Żadoby? Jeśli chcesz wiedzieć, naprawdę mamy wiele wspólnego. Ja też kiedyś żyłem pod ziemią.*

*- Złożyli cię do grobu? - odgadł Wilczarz. - Do kogo należałeś? Miecz skrzyżował nogi, przyjmując wygodniejszą pozę.*

*- Był synem starszej rodu Jeża. Kiedy skończył dwanaście lat, nada no mu imię. Razem z ojcem pojechał do rodu Szczygła, aby poprosić o paciorki od córki tamtejszej władczyni. Dziewczyna właśnie weszła w odpowiedni wiek i zaczęła nosić spódnice z samodiała...*

*Wilczarz przypomniał sobie bladziutką dziewczynkę, która obdarowała go maleńkim kryształowym koralikiem wielkości ziarnka grochu. Uśmiechnął się. Kruszynka ma jeszcze sporo czasu do utkania spódnicy z samodiała, najmarniej ze trzy latka. Wtedy i na nią przyjdzie czas, aby obdarowała jasnym paciorkiem kogoś, kto jest tego godzien. Czy przypomni sobie przypadkowe spotkanie w zajeździe "Pod Białym Koniem"? A może posłucha matki, która na pewno powie jej, że tamten podarowany kiedyś koralik się nie liczy? A może jednak nie zapomni starej jabłoni i Szarego Psa, którego nie trzeba było się bać?*

*Kiedyś ją odszuka...*

*- Mały Jeżyk spodobał się Szczygliczce - ciągnął swą opowieść miecz. - Szczygły okazały gościnnieść. Ale trzeciego dnia ich pobytu na wieś napadł wściekły wilk. Jeżyk był młodzieńcem silnym i odważnym. Obronił dziewczynę, wraził wilkowi nóż, ale bestia zdołała go przedtem ugryźć.*

*Wilczarz kiwnął głową w milczeniu. Widział wściekłego wilka i pamiętał, jakomal na ten widok nie umarł ze strachu.*

*~ Jeżyk umarł, a Szczygliczka wzięła za męża jego brata - opowiadał dalej miecz. ~ W rodzie Szczygła wszyscy wiedzieli, jacy są ludzie z rodu Jeża. Ale najpierw oba rody poszły po wielkiego kowala i poprosiły, by wykuł miecz, którego nawet kneź by się nie powstydział.*

*Najlepszymi kowalami byliśmy zawsze my, Szare Psy, pomyślał Wilczarz.*

*- Najlepszymi kowalami były wówczas Szare Psy - powiedział miecz.*

*- Nie stawiali nawet na mieczach swojego znaku, i tak wszyscy wiedzieli, kto je wykuł. Tak to pojawiłem się na świecie. Pogrzebali mnie razem z Jeżykiem. Przeleżałem pod ziemią dwieście lat. Grób ograbił Żadoba, w jego ręce po raz pierwszy popróbowalem, czym jest krew.*

*Wypowiedział te słowa z taką odrazą, że Wilczarz nie wytrzymał.*

*- Wszystkie miecze przelewają krew - powiedział.*

*- Miecze czynią swą powinność ~ usłyszał w odpowiedzi. - Ja zostałem wykuty po to, by odganiać zło.*

*- I ja walczyłem tobą - zauważył Wilczarz. - Może powinienem odnieść cię z powrotem?*

*- Ten kurhan jest dla mnie tym, czym dla ciebie twój dawny dom*

*- odpowiedział miecz. - Przecież już nigdy w nim nie zamieszkasz... Szkoda, że to nie ja obciąłem palce grabieżcy grobów - dodał, wzdychając. - No dobrze, i tak wdzięczny jestem naszym stwórcom, że bić umiesz się nie gorzej od innych...*

*Wilczarz milczał*

*- My, miecze, nie lubimy rąk łotrów - powiedział jego zadziwiający rozmówca. I znów przybrał swój zwyczajny wygląd, ale głos, dźwięczny głos wzorzystej stali nadal rozbrzmiewał. - Sam widziałeś, jak porzuciłem Żadobę. A ciebie nie porzucę dopóty, dopóki nie zaczniesz mnie hańbić...*

*Wszystko się rozplynęło. Wilczarz przekręcił się na drugi bok i żadne sny już go więcej nie nawiedziły.*

\*

Zanim rozbudził się na dobre, zrozumiał, że jest w izbie sam. I że godzina już późna. Pachniało strawą, słyhać było skrzypienie podłogi, jakieś głosy, czyjś śmiech, od czasu do czasu szczekanie psa i pianie koguta. Życie zajazdu toczyło się ustalonym trybem.

Wstawać się Wilczarzowi nie chciało w żadnym razie, postanowił sobie pozwolić na smakowanie tych kilku chwil między snem a jawą...

I w tym momencie złapał go atak kaszlu.

Usiadł, spiesznie unióśł dłonie ku twarzy. Od razu pojawiła się myśl, że drogo przyjdzie mu zapłacić za wczorajszą butę. To nie był kaszel, który przychodzi na człowieka zwyczajnie zaziębnionego. To odezwały się wilgoć i ciemności kopalni. Wilczarz doskonale wiedział, że gdyby przyszło mu spędzić jeszcze rok, dwa na katordze, leżałby teraz gdzieś w podziemnych korytarzach, na wiecznym mrozie wysokich gór. Miał szczęście, bogowie dali mu wolność. Ale ci, czyj kunszt odegnał od niego śmierć, ostrzegali, jak knezinka Hellona: Uważaj na siebie,

Wilczarzu! On tylko kiwał głową. Pozostało mu niewiele do zrobienia. Musiał tylko nauczyć się walczyć. I znaleźć Ludojada. A potem...

Przeciągnął dłonią po wargach i popatrzył na palce. Nic na nich nie było. Na razie.

Wczoraj podjął wysiłek ponad siły. A to wszystko z głupoty. Najpierw walczył w pojedynku. Potem pomagał czarownikowi wyciągnąć rannego Arranta z tamtego świata. A potem jeszcze przywracał czarownikowi wzrok. I to wszystko w jeden poranek. Pretensji nie mógł mieć do nikogo - tylko do samego siebie.

Nielot Gacek zeskoczył ze swego stanowiska na wbitym w ścianę drewnianym gwoździu i żałośnie zapiszczał, przypadając do piersi Wilczarza. Wen uśmiechnął się i pogładził zwierzątko, który próbował ogrzać go swoim wątlwym ciałkiem. Zupełnie jak w dawnych czasach.

- No widzisz - powiedział Gackowi. - Trzeba ci będzie jak najszybciej skrzydełko wyleczyć.

\*

Tak jak się spodziewał, Tilorn z Eurychem i Neelith byli na dole. Rozmawiali przy stoliku koło okna, otwartego na oścież na zalane słońcem podwórko. Szczeniak leżał na podłodze u stóp Neelith, Wilczarz kiwnął im głową i wyszedł na zewnątrz.

Mył się jak w transie, raz po raz polewał się zimną wodą ze studni i nacierał ostrym ręcznikiem, aż skóra zrobiła się czerwona, a nawet gdzieś podrapana. Potem wrócił do oberży.

- Jedliście? - spytał swoich, zatrzymując się przy stole.

- Dziękuję - chórem odezwali się Neelith i Tilorn. Eurych uśmiechnął się niepewnie. Jeszcze nie wiedział, jak ma się wobec Wilczarza zachowywać.

Wen posadził Gacka na stole i podszedł do szynkwasu. Kiedyś długo się namyślał, czy można sadzać zwierzątko na stole, który jest czczony przez jego lud jako Dłoń Boża, czy też należałoby karmić zwierzę na podłodze. Potem napatrzył się, jak w przydrożnych karczmach ową Dłoń traktowali pijani goście - uderzali pięścią, dźgali nożem albo jeszcze inaczej bezcześcili. I stwierdził, że czyściutki malutki Gacek na pewno nie będzie obrazą dla stołu. A poza tym - przecież z Dłoni Bożej jadło wszelkie stworzenie...

Służąca za ladą stała do niego plecami, oparłszy się łokciami o gładką woskowaną deskę, rozmawiała z pomywaczką, która zrobiła sobie chwilę odpoczynku.

- Drzewo przywieźli z Zielonych Jezior - opowiadała przyjaciółce, zapewne powtarzając to, co zasłyszała od gości. - Powiadają, że hulają aż strach! Żeby tylko nas ominęli. Tamtejsi woźnice...

Wilczarz sięgnął po kiesę i cicho powiedział:

- Bądź tak miła, ślicznotko, i daj mi jeść.

- Nie pokazywał się pan od przedwczoraj. - Młoda służąca o różowych policzkach zachichotała kokieteryjnie. Wilczarz poniewczasie uświadomił sobie, że przespał prawie dwie doby. - Pan pewnie był czymś zajęty... Pewnie się zmęczył...

- Daj dzban mleka, jeśli masz - powiedział Wilczarz. - I jeszcze kawałek chleba i talerzyk.

- A może jajecznicę na słoninie? - zapytała służąca.

Na samą myśl o chrupiących skwareczkach podskakujących na patelni i usmażonych na nich

jajkach Wilczarzowi aż ślinka pociekła. W myślach przeliczył zawartość sakiewki. Pieniądze, które wypłacił mu Fitela, rozptywały się powoli, ale nieubłaganie.

- Mleka i chleba - powtórzył. - Za dwa miedziaki.

Nielot Gacek, trzymając się skraju stołu wystającymi ze skrzydeł pazurkami, nachylił się nad talerzykiem i zjadał ulubione danie: chleb rozmoczony w mleku. Wilczarz żuł swoją pajdę i pociągał z dzbanka. Bardzo lubił mleko. Zawsze wspominał, jak po raz pierwszy napił się go do woli, kiedy wyszedł z kopalni. Mleko było pyszne, z cudownych górskich łąk - pachnące, zdrowe, tłuste. Ale co się potem działo w jego brzuchu, który odwykł od normalnego jedzenia!

- Jak się czujesz? - spytał Tilorn.

Wilczarz nie musiał patrzeć w lustro. I tak doskonale wiedział, że wygląda okropnie. Wzruszył ramionami. Kłamać nie potrafił, a zatem trzeba było zmienić temat rozmowy. Nachylił palcem talerzyk, żeby Gackowi wygodniej było jeść, i powiedział:

- Igłę z nitką kupiłem, gorzałkę przyniosłem. Kiedy będziesz zszywał?

Tilorn pogłaskał się dłonią po brodzie i Wilczarz zauważył, że paznokcie już prawie całkiem mu odrosły. Mędrzec zastanowił się chwilę, wreszcie skinął głową.

- Choćby i dziś.

Wilczarz w milczeniu także skinął głową. Nie mógł się przecież przyznać, że w środku zrobiło mu się pusto i zimno.

- Pozwól zapytać... - nieśmiało zakasłał Eurych. - O jakim szyciu mówicie?

- Mówimy o tym, żeby ten mały śmiełek znowu mógł latać - od parł Tilorn. - Jeśli zauważyłeś, ma rozdarte skrzydło. Jak dokończy, to ci pokażę.

Gacek nie znosił, kiedy ktoś mu przeszkadzał w jedzeniu. Ale właśnie z talerzyka zniknęła ostatnia kropelka i zwierzak łaskawie pozwolił uczonemu rozciągnąć na stole okaleczone skrzydło. Tilorn zaczął wodzić palcem po rozerwanej błonie, objaśniał Eurychowi, jak zamierza przeciąć, a potem z powrotem połączyć kawałki skóry. Eurych słuchał uważnie, widać było, że zna się na rzeczy. Od czasu do czasu w napięciu marszczył złociste brwi.

- Uczony Adelan radzi, aby smarować rany miodem, bo szybciej się goją - wtrącił.

- Szczególnie takie, które nie chcą się goić - nagle odezwała się Neelith. Z powodu zdenerwowania jej sakkaremski akcent był wyraźniejszy niż zwykle. - Bo na świeże rany Selchat z Melsy radzi przykładac wątróbkę, aby po żyłach gorączka nie rozprzestrzeniła się na całe ciało...

Wyrzuciła to z siebie jednym tchem i zarumieniła się zmieszana. Wilczarz popatrzył na Eurycha i spostrzegł, że jego twarz wykrzywił lekki grymas niezadowolenia. Jeszcze tego brakowało, żeby jakaś smarkata dziewczyna wtrącała się do rozmowy dwóch uczonych. Dziewczyny powinny być piękne. I tyle.

Potem jednak rozdrażnienie gdzieś przepadło, a jego miejsce zajęło zdziwienie i ciekawość.

- Znasz imię wielkiego Selchata, moje dziecko? A skąd? Neelith oblała się rumieńcem jeszcze bardziej niż przedtem i nawet przysunęła się bliżej Tilorna, obok którego siedziała.

Nie do mnie, pomyślał Wilczarz, siedzący z jej drugiej strony. Do Tilorna. A gdyby tak miała do

czynienia nie z niegroźnym uczonym, z którym wiedzie spór, lecz z prawdziwym niebezpieczeństwem?

Coś szeptało Wilczarzowi, że w takim wypadku też przysunęłaby się do Tilorna. Tylko Tilorn zapewne by na to nie pozwolił. Mędrzec objął dziewczynę ramieniem. Tego gestu nikt nie nazwałby czysto ojcowskim.

- Czytałam księgi szlachetnego Selchata... - powiedziała Neelith głosem tak cichym, że ledwie było ją słychać.

- Zapewne coś z "Uzdrowicielskiego Zdroju"? - chciał uściślić Eurych.

- Tak, tę księgę też znam...

Tilorn uśmiechał się z taką dumą, jak gdyby to on nauczył Neelith czytać i pisać i zaszczerpił jej miłość do ksiąg.

Księgi... - pomyślał Wilczarz, w milczeniu przysłuchując się, z jakim zacięciem rozprawiało troje uratowanych przez niego ludzi. Sam nie przeczytał w życiu ani jednej książki. A oni? Każde z nich na pewno co najmniej po dziesięć. Może i więcej. Z grzeczności mówili po solweńsku, ale Wilczarz, znający ten język nie gorzej od swojego ojczystego, szybko się pogubił i w ogóle przestał rozumieć, o czym rozmawiają.

Gdzieś głęboko obudziło się w nim coś jak drapieżny sum pod pnem zatopionego drzewa. Poczł się dotknięty. Tak musi się czuć młody chłopak, kiedy wielki woj, który brał udział w stu bitwach, od niechcienia wybija mu z dłoni miecz i spieszy, by stanąć do pokazowego pojedynku z godnym siebie rywalem, który może dorównać mu kunsztem walki.

Nielot Gacek leżał do góry brzuszkiem i rozkoszował się miłym dotykiem delikatnych ludzkich dłoni. Wilczarz odstawił dzban i wyszedł na ganek. Dziwne. Nigdy nie zazdrościł bogaczom i wielmożom, u których dane mu było służyć. Za to tym trojgu, których, szczerze mówiąc, odziewał i karmił... Człł do nich urazę, że rozprawiali o czymś, co dla niego było całkowicie niedostępne...

Po jakimś czasie z tyłu zaskrzypiały drzwi, a na ganku pojawił się Eurych.

- Gdzie się podziewasz, szlachetny barbarzyńco? - spytał z uśmiechem. - Nasza rozmowa musiała ci się wydać nieciekawa.

Wilczarz nie odpowiedział, ale na tej jego połowie, która uważała się za psa, sierść nastroszyła się na karku. Eurych głęboko, z widoczną przyjemnością zaczerpnął powietrza i przysiadł obok niego na ciepłych, zadziwiająco gościnnych deskach.

- Co za człowiek! - wykrzyknął i położył Wilczarzowi rękę na kolanie. - Gdybyś tylko wiedział, barbarzyńco, jakiemu luminarzowi nauk masz szczęście służyć! Podobne umysły zdarzają się raz na pięćset lat, aby uzasadnić istnienie tego świata...

Wilczarz nadal milczał, z niechęcią popatrując na rękę Eurycha na swoim kolanie. Arrant nic nie widział, nic nie zauważał. Mówił jak w natchnieniu.

- Takiego człowieka ten podły dzikus trzymał w klatce i dręczył. Mój drogi przyjacielu barbarzyńco, nie masz pojęcia, czym jest nie wola i tortury. Módl się do swoich bogów, żebyś nigdy nie...

- Czemu nazywasz mnie barbarzyńcą? - ponuro spyta! Wilczarz. Eurych zamilkł stropiony.

- Uwierz mi, nie chciałem nic złego... - zmieszał się, na policzki wypełził mu rumieniec. - Jestem Arrantem, a u nas przyjęte jest określać tym słowem wszystkich, którzy nie należą...

- No tak - powiedział Wilczarz w języku Arrantów. Mówił ze stołecznym akcentem. - A także tych, którzy należą, ale nadają się tylko do tego, żeby się bić, pić w karczmie i biegać za kobietami.

Mam rację?

- Gdzie nauczyłeś się naszej boskiej mowy? - z niekłamanym zdziwieniem spytał Eurych.

Wilczarz nie odpowiedział.

Eurych pokręcił się na miejscu, milczał przez chwilę, wreszcie zaproponował pojednawczo:

- Jeśli chcesz, nauczę cię czytać.

- Nie! - uciął Wilczarz. Eurych nawet nie raczył go wpierw zapytać, czy umie czytać. Zresztą ani Neelith, ani Tilornowi też o tym nie mówił.

Eurych ciężko westchnął, znowu milczał przez jakiś czas, a potem wstał.

- Nadużyłem twej gościnności, szlachetny wojowniku - rzekł cicho. - Mam nadzieję, że pozwolisz mi zabrać moje książki...

Wilczarz podniósł głowę i zmierzył go z góry na dół posępnym spojrzeniem.

- A daleko się wybierasz? Do pierwszego rogu? Czy do drugiego?

- Uczyłem się sztuki walki - odparł Eurych nieco urażony. - Umiem...

Wilczarz niespiesznie wstał i otrzepał skórzane pludry.

- Chodź - powiedział - pokaż, co potrafisz. Jeśli cię brzuch nie boli. Jeśli dasz radę przejść koło mnie i zejść z ganku - puszczę cię.

No, chodź, chodź! - myślał, przyglądając się Arrantowi, który sposobił się do walki. W niewoli u kapłanów trochę zmizerniał i na pewno jest słaby, lecz zbudowany wspaniale. Od razu widać, że ten naród nie tylko przez pokolenia opiewał piękno ludzkiego ciała, ale starał się odwdziżyć za dary natury...

W myślach porównał siebie i Eurycha. I doszedł do wniosku, że różnili się od siebie jak jego ulubiony nietoperz i wściekła bestia trzymana na łańcuchu, której boi się nawet jej pan. Białutkiemu pieskowi o delikatnej sierści też może się przytrafić jakieś nieszczęście, może być wychudzony, zawszony. Ale jak tylko się go trochę odkarmi, uczesze, przyhołubi - znowu jest taki jak dawniej. A przecież, zdawałoby się, zęby ma mocne...

Eurych niepewnie ruszył w dół po schodkach, pokonał pierwszy stopień i chciał odepchnąć stojącego mu na drodze Wilczarza. W ten machnął ręką, jego palce ostrożnie dotknęły szyi Eurycha po obu stronach gardła.

- Nigdzie nie pójdziesz - powiedział obojętnym tonem. - Właśnie zostałeś zabity.

Koło ganku stało już kilku gapiów, zawsze skorych pooglądać za darmo, jak się biją.

- Jak to zabity? - zachnął się Arrant.

Wilczarz wzruszył ramionami, ale ręce trzymał nadal na szyi młodzieńca.

- A co się stanie, jeśli zacisnę dłonie? A potem pociągnę ku sobie? Eurych z lekka pozieleniał i



próbował rozprostować jego palce.

Z równym powodzeniem mógłby napierać na ścianę.

- To nieuczciwie - obraził się - nie zdążyłem... Wilczarz kiwnął głową.

- Powiedz to samo zabójcy, który tam na ciebie czeka.

Eurych zagryzł wargę. Wen miał rację, ale chłopak nie miał najmniejszego zamiaru się poddawać. A poza tym naprawdę znał kilka chwytów.

Gdyby na moim miejscu stał chochoł, przeszło przez myśl Wilczarzowi, to los chochoła byłby nie do pozazdroszczenia.

Złapał Eurycha za rękę, zacisnął wokół niej palce i lekko obrócił ją do wewnątrz. Arrant cicho jęknął i zgiął się wpół, złożony głowę w zgięciu wolnej ręki Wilczarza.

- Znowu zostałeś zabity - rzekł Wen. W prawdziwym boju Eurych miałby już pogruchotany kark. Wilczarz puścił go i uśmiechnął się. - Żebyś chociaż próbował przeskoczyć przez barierkę, a ty się pchasz schodami jak...

Prawdę mówiąc, nie bardzo liczył na to, że Eurych zechce natychmiast skorzystać z jego rady. Ale on w tej samej chwili strzelił oczami w bok i tym samym wydał swój zamiar.

Młodziutka służąca, która wyrzała z domu, najpierw bardzo się przestraszyła, a potem parsknęła śmiechem. Piękny młody Arrant zastygł w niezgrabnej pozie, przygwożdżony do rzeźbionych balasków balustrady bezlitosnym kolanem Wilczarza. Wen odstąpił, ustępując z drogi dziewczynie, i powoli uwolnił Eurycha.

Chłopak omal się nie rozplakał z bezsilnej złości i upokorzenia.

- Starczy ci? - spytał Wilczarz. - Czy nadal się dokądś wybierasz?

- Ty... - Eurych nie mógł złapać tchu. - No tak, jesteś silniejszy... I myślisz, że dzięki temu...

Silniejszy, pomyślał Wilczarz. Owszem, o wiele silniejszy. I jeszcze jestem szybszy od ciebie. I bardziej wytrzymały. I wiem, jak się bić. I właśnie dlatego oni ci się do skóry nie dobiorą...

- Idź do gospodyni, narąb jej drzewa - powiedział. Dobrze jest na męczyć się przy pracy, a potem najeść do syta. To wszystko, czego we dług Wilczarza potrzeba było Arrantowi.

Eurych głosem nabrzmiałym nienawiścią wykrzyknął mu w twarz:

- Nie pójdę!

Odwrócił się na pięcie i wbiegł do domu.

Wilczarz westchnął i sam poszedł narąbać drewno. Czy lubili się nawzajem z Eurychem, czy nie - jeszcze jedną gębę trzeba będzie wyżywić.

Ustawił się tak, by widzieć jednocześnie i bramę, i drzwi. I zabrał się do roboty. Nikt nie wejdzie na podwórzec niezauważony. I nie wyjdzie. Jeszcze tego brakowało, żeby Arrant, obrażony, rzeczywiście uciekł. A potem leżałby gdzieś pod płótnem, bo na pewno jeszcze raz dostałby nożem w brzuch. Albo strzałą w szyję...

O wyjście dla służby, prowadzące przez kuchnię, Wilczarz był spokojny. Podwórka z tyłu oberży dniem i nocą pilnowała zła i bardzo czujna suka. Zaprzyjaźnił się z nią od razu i na wieki. Potrafił - tak go nauczyli ludzie z jego rodu - w myślach przyoblekać się w szarą psią skórę. Dzięki tej

umiejętności nawet najbardziej wściekłe psy nie tylko się na niego nie rzucały, ale nawet nie ujadły. Uznawały go za przywódcę. Zdarzało się, że rozkazywał psom, a one go słuchały...

Może chciałem się na nim zemścić? - spytał sam siebie. Za to, że musiałem się nieźle natężyć, żeby mu życie uratować. Za to, że on umie czytać, a ja nie umiem. Że taki mądrała... I w ogóle nie zapominaj, bratku, że ja cię z niewoli kapłanów... pamiętaj, gdzie twoje miejsce...

Postawił kolejny kłoc na pień i zamachnął się siekierą.

A niech go! - pomyślał i w ostatniej chwili uchylił się, unikając zderzenia z nierówno uderzonym polanem. Niech sobie myśli, co chce. Nie będę tłumaczyć. Zresztą nic mu nie wytłumaczę. I tak nie zrozumie. Ja umiem przekonywać tylko w jeden sposób... Ale nicponia stąd nie wypuszczę. Nigdzie nie pójdzie.

Drzwi skrzypiały, otwierały się i zamykały, ludzie wchodzili i wychodzili. Kiedy na ganku pojawił się Eurych, Wilczarz nie przerwał pracy. Młody adept nauki nie trzymał w ręku ksiąg. A więc jednak postanowił zostać.

Wen trochę się zdziwił, kiedy Eurych podszedł wprost do niego. Wziął do ręki drugą siekierę i postawił polano na wolnym pniu. O ile Wilczarz potrafił odgadnąć nastrój młodzieńca, to Eurych był nieco zawstydzony. Kto mu opowiedział? Neelith, Tilorn, Audyka, a może sama gospodyni zajazdu, która właśnie wyjrzała z kuchni? Nie dociekał.

Eurych narąbał ze dwie dziesiątki polan i odłożył siekierę, z troską popatrzywszy na swoje ręce. Przysiadł, by odpocząć. Wilczarz nadal pracował. Od uścisku jego rąk prędzej powstałyby odciski na stylisku topora niż odwrotnie. Przez cały czas nie odezwali się do siebie ani słowem.

\*

W południe Tilorn poprosił Wilczarza o nóż, palcem sprawdził, czy jest dobrze naostrzony. Mocne nitki z halisunskiego jedwabiu razem z cieniutką igielką już pływały w maleńkiej czarce wypełnionej gorzałką. Tilorn usiadł wygodnie przy stoliku, posadził Nielota Gacka na dłoni i wbił badawcze spojrzenie w jego oczy, potem leciutko dmuchnął w pyszczek. Świecące ślepka natychmiast się zamknęły. Zwierzątko słodko ziewnęło, ale zamiast zwisnąć do góry łapkami i zakryć się skrzydłami, po prostu zamarło w dłoni Tilorna. Uczony położył Gacka na wytarty do czysta stół i rozprostował jego chore skrzydło. Kazał Eurychowi je przytrzymać, a sam zaczął przecierać błonkę miękkim gałgankiem zanurzonym w gorzałce...

Wilczarz myślał, że zdążył już w swoim życiu napatrzeć się dosłownie na wszystko. Zabijał. Ratował od śmierci. Zadawał ciosy i leczył rany. W tym na własnej skórze. Ale na samą myśl o tym, że teraz to ostrze rozetnie cienką błonkę Gacka...

- Czy ja... mógłbym coś? - zapytał zachrypniętym głosem. - Bo... kiedyś...

- Nie - odparł Tilorn. - Damy sobie radę. Przecież on jest maleńki. My? - pomyślał Tilorn.

- My, to znaczy Neelith i ja - powiedział Tilorn, jak gdyby czytał w jego myślach. I popatrzył na speszoną dziewczynę. - Gdybyś wie dział, jakimi mocami ona włada...

Wilczarz wyszedł z izby i zamknął za sobą drzwi.

Przez jakiś czas stał nieruchomo, przywarłszy mocno łopatkami do drzwi. I czekał, truchlejąc ze

strachu, że zaraz z izby dobiegnie go rozpaczliwy pisk Gacka. Jak wtedy, kiedy knut rozerwał mu skrzydło.

Lecz Gacek nie wydał z siebie żadnego dźwięku. W izbie panowała niemal niezmacona cisza, tylko od czasu do czasu odzywał się Tilorn. Wilczarz nie mógł rozróżnić słów. Żałował, że nie spytał mędrca, jak to długo wszystko może potrwać. Ale postanowił nie wchodzić do izby.

Tymczasem na dole, w karczmie, narastał podejrzany hałas. Wilczarz, chcąc nie chcąc, zaczął się przysłuchiwać. Hałas nie przypadł mu do gustu.

Trochę za wcześnie na wieczorne biesiady, pomyślał. A to może oznaczać jedno: że ktoś się komuś nie spodobał. Zdarza się. Żeby się pokłócić, na ogół nie trzeba wielkiego rozumu. Jeszcze trochę i lawy zaczną przewracać...

Na podłogę ciężko zwały się od razu dwie ławy. Służące zaczęły przenikliwie pisać, rozległ się męski ryk, a zaraz po nim dał się słyszeć odgłos, jaki wydaje pięść, która sięgnęła ciała przeciwnika. Wilczarz westchnął ponuro i zaczął schodzić w dół po schodach. Właścicielka karczmy zatrudniała dwóch potężnie zbudowanych parobków, ale ochrony z prawdziwego zdarzenia nie miała. Jej zajazd był znany i lubiany. Zatrzymywali się u niej i ludzie interesu, i watażkowie, którzy potrafili robić dobry użytek z broni. Przewidywała, że zawsze wśród nich znajdzie się ktoś, kto mógłby uspokoić zabijaków, wystawić za drzwi nazbyt rozbuchanych awanturników...

Wilczarz jeszcze nie zdążył zejść ze schodów, kiedy zobaczył służącą, która zawinawszy dół sukni, uciekała co sił w nogach. To była dziewczyna, która go namawiała, by zjadł jajecznicę na słońnie. Za dziewczyną, głośno przeklinając, gnał nieznany mężczyzna, potężny, siwobrody, co najmniej dwa razy starszy od Wilczarza.

- W starym piecu diabli palą - mruknął Wilczarz pod nosem. - Nastraszyłeś dziewczynę i starczy tego dobrego. Teraz, przyjacielu, mnie postrasza.

Na widok Wena służąca zapiszczała i schowała się za jego plecami. Jej prześladowca trzymał w ręku nóż, a u pasa zwisał mu zwinięty bat.

Pewnie woźnica, pomyślał Wilczarz. Z tych zawadiaków, o których gadali rano w karczmie.

Nie miał nic przeciwko zabawie i zbytkom, chociaż sam nigdy nie brał w nich udziału. Jeśli kogoś tak swędzą pięści, to nic nie stoi na przeszkodzie, by pocierać je o inne pięści. Ale po co łamać przy tym ławy i przewracać stoły, deptając na podłodze dobre jedzenie i strasząc ludzi? A uganianie się za dziewczyną z nożem - to już przechodziło wszelkie granice.

- Opanuj się - poradził staremu.

Nie łudził się, że ten człowiek go posłucha. Powiedział tak raczej po to, by dać znać, że nie ma zamiaru zabijać hulaki. Woźnica rzucił się na niego, grożąc nożem. Buhaj o potężnym karku nieźle sobie podochocił. Nic dziwnego, że dziewczyna na śmierć się go przeraziła. I Wilczarz by się go przestraszył. W dawnych czasach.

Nie, wcale nie zabrał się do bicia. Po prostu powolutku zrobił krok do tyłu i lekko dotknął rękawa awanturnika. To wystarczyło, żeby stary grzmotnął czołem o ścianę. Bierwiona okazały się

mocniejsze. Woźnica padł na podłogę i nic nie wskazywało na to, by miał zamiar się podnieść.

Czy dobry użytek robię z twoich nauk, Matko Kendarat? - zapytał Wilczarz w myślach. Podniósł nóż, który wypadł z dłoni zabijaki, zdjął zeń pas z przytroczoną pochwą i podał służącej.

- Schowaj to dla mnie.

Broń odebrana w walce według prawa przechodziła na własność tego, kto ją odebrał. Co na polu walki wzięte - to święte.

Okiełznawszy ogłuszonego woźnicę, Wilczarz sprytnie obwiązał mu nadgarstki długimi sznurówkami z jego własnych trzewików. Żeby nie mógł ani się wyswobodzić, ani wstać. Zostawił go na podłodze i zszedł na dół.

Od razu spostrzegł Audykę i Aptachara. Ojciec i syn stali koło szynkwasu, broniąc dostępu do kuchennych drzwi, za którymi - o czym wszyscy doskonale wiedzieli - znajdowały się zapasy jedzenia i mocnych napitków. I gdzie schowały się kuchareczki. Ruchy obu Segwanów były płynne i zręczne. Aż miło popatrzeć. Audyka zauważył Wilczarza i radośnie pomachał mu ręką. Ktoś na pewno już pobiegł po miejskich strażników, ale zanim przybędą, każda pomoc może się przydać.

Wilczarz po chwili zastanowienia zszedł na sam dół schodów, ale postanowił nie oddalać się od nich zbyt daleko. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby rozochoceni junacy wpadli na górę i tam zaczęli szaleć, siejąc strach wśród mieszkańców...

Tymczasem w stronę schodów ruszył potężnie zbudowany młodzieniec. Wzrostem nie ustępował Wilczarzowi. Chciał zapewne sprawdzić, co się stało z jego druhem, który pomknął za dziewczyną. A może po prostu, zobaczywszy nowego człowieka, uznał, że nie zawadzi rąbnąć go między oczy. Wilczarz wiedział, jak wygląda. Trzeźwi ludzie na ogół go unikali. Natomiast pijani - wręcz przeciwnie - zaczepiali go. W każdym razie kiedy widzieli go po raz pierwszy. Próbował zrozumieć, dlaczego tak jest, i w żaden sposób nie mógł.

Złapał rękę, która właśnie zmierzała w kierunku jego twarzy, i lekko popchnął dryblas do przodu. Młodzian stracił równowagę, wsparł się pachą o nadstawione ramię, wleciał w przejście między schodami a stołami i porządnie łomotnął o ziemię. Gdyby Wilczarz toczył prawdziwą walkę, pewnie pchnąłby chłopaka na stopnie i na pewno złamałby mu krzyż, ale to nie była prawdziwa walka - ot, zwykła bijatyka. Najmował się czasem jako wykidajło w przydrożnych zajazdach. Do miejscowych chłopców, którzy lubili bójkę, szybko docierało, że lepiej wymachiwać pięściami gdzie indziej. Chociaż nigdy nikomu nie złamał karku.

Pozostał przy schodach. Uznał, że lepiej będzie, jeśli przypilnuje tutaj przejścia. I miał rację. Po chwili obalony na podłogę młody woźnica zaczął się podnosić. I nie tylko podnosić. Ręką sięgał do pochwy przytroczonej do pasa.

Zadziwiająca sprawa, westchnął Wilczarz w duchu. Nie wiedzieć czemu wielu ludzi myśli, że staną się dwa razy ważniejsi i groźniejsi, jeśli złapią za nóż.

Kiedy młokos wstawał, zdążyłby zabić go trzydzieści trzy razy, i to gołymi rękami.

Niech spróbuje, skoro los poskąpił mu rozumu... - pomyślał.

I młodzian rzeczywiście spróbował. Klnąc na czym świat stoi i wymachując z góry na dół - w

swoim pojęciu nader zręcznie - całkiem pokaznym nożem, ruszył na Wilczarza. Chłopy jak dęby, a w pijanym widzie zachowują się jak barany. A kiedy zamroczenie alkoholem minie i przychodzi czas rozliczeń, łapią się za głowę, że też mogli się dopuścić takich niegodziwości. Na dodatek ani w ząb nie mogą sobie przypomnieć, że nabroili. Skłonny do przebaczenia ludek nawet łzę potrafi nad takim uronić i prosi sędziów, żeby w łaskowości swojej nie skazywali wyrośniętego "dzieciątka" na marnację, żeby wzgląd mieli na jego młodość, żeby oszczędzili ojcom siwizny.

Załóżmy, że ten, który teraz spokojnie leży na górze, zdążyłby capnąć służącą...

Wilczarz nie zrobił krzywdy nożownikowi, chociaż w głębi duszy uważał, że mu się należało. Odgiął się w bok, uchylając od ciosu (a gdyby nie był taki przewidujący, dostałby sześć werszków prosto w kiszki), po czym schwycił zucha za łokieć, wykręcił mu rękę i złapał nóż, który już spadał na podłogę. "Czarno-biała jaskółka wodę z górskiego potoku w locie pije". Woźnica zawył z bólu i chciał poczęstować Wena pięścią, ale i ta próba zakończyła się niepowodzeniem - znowu wyładował na podłodze. Teraz już na dobre.

Wen ściągnął z pokonanego wozaka pas i rzucił go na górę, skąd dochodziły ryki związanego zabijaki. Dostrzegł, jak z ciemnego korytarza wychynęła blada, potargana służąca i zabrała pas.

Ciekawe, ile jeszcze takich pasów przyjdzie jej dziś pozbierać, zanim nareszcie raczą się zjawić strażnicy, myślał. Bo widać nie wszędzie tak się spieszą, jak wtedy do warsztatu Warocha, żeby złapać rzekomego Żadobę.

Ale mylił się co do strażników. Właśnie z rumorem wpadli do środka kuchennymi drzwiami. Widocznie z ulicy, którą przybiegli, najkrótsza droga do karczmy prowadziła przez kuchnię. Było ich z dziesięciu, wszyscy młodzi, dobrze zbudowani i nastawieni bojowo. Pijanych wozaków wymiotło na podwórzec. Wilczarz odprowadził wzrokiem jednych i drugich i doszedł do wniosku, że teraz sprawy potoczą się w odpowiednim kierunku już bez jego udziału. Odwrócił się w stronę schodów i chciał wejść na górę, by się dowiedzieć, jak poczynają sobie trzej lekarze... I stanął jak wryty, porażony myślą, od której krew zmroziła mu się w żyłach: że kiedy on szarpał się tu z pijanymi wozakami, tam...

A może... może Gacka już nie...

W tym momencie z podwórca dobiegły go krzyki. Pobrzmiwały w nich złość i ból. Obejrzał się. We wrzaski wmieszał się jeszcze jeden charakterystyczny dźwięk - to mogły być tylko uderzenia biczem. I to biczem w rękę kogoś, kto dobrze umiał się z nim obchodzić. Wilczarz zmarkotniał. Potem zacisnął ponuro zęby i wyszedł na ganek. Bardzo nie lubił batogów. I nie lubił krzyku ludzi okładanych batem.

Na podwórku rzeczywiście jeden z pijaczków bronił się, używając bata. Został okrążony przez strażników, ale nie dopuszczał ich do siebie, odganiając uderzeniami długiego, ciężkiego pejcza, który nawet na tarczy zostawia głębokie wgniecenia. Pijany czy trzeźwy - władał biczem jak własną ręką. Strażnicy mogli go oczywiście łatwo pokonać, mieli przecież przewagę liczebną, ale ktoś musiał pierwszy podstawić się pod uderzenie batoga. I dać się pokaleczyć - zetknięcie z biczem groziło krwawą blizną przez cały brzuch albo utratą oka. Wszyscy doskonale zdawali sobie z tego

sprawę. I nikt nie chciał się narażać. Aptachar odskoczył w bok i zaraz ciężko siadł na ziemię, przeklinając po segwańsku i po solweńsku. Na jego spodniach koło kolana pojawiła się strużka krwi. Audyka też zaklął szpetnie na włochatych Hogów i rzucił się pomścić ranę ojca, ale twardy koniec knuta rozerwał mu koszulę na boku. Młody Segwan głośno wrzasnął, padł na ziemię i poturlał się na stronę. Wilczarz uważał Aptachara i Audykę za swoich przyjaciół. Nie bardzo bliskich, ale jednak przyjaciół. Dostrzegł kątem oka, jak jeden ze strażników podniósł z ziemi łuk i dobywa z kołczanu strzałę.

Bez słowa ruszył naprzód i strażnik opuścił łuk. Pozostali odwrócili się z ciekawością. Woźnica mógł z łatwością trafić muchę siedzącą na uchu któregoś z koni chodzących w jego zaprzęgu.

Ciekawe, czy kiedykolwiek okładał konie tym batem, pomyślał Wilczarz. Nie, raczej nie. Pewnie je lubi i dba o nie. Zdarzało się, że w Górach Szmaragdowych nadzorcy nawet hołubili stworzenia, które się tam przybłąkały...

Wilczarz poczuł, jak ogarnia go zwierzęca wściekłość. Wiedział, że zaraz zrobi coś głupiego, ale ta myśl przemknęła gdzieś bokiem, a nogi same niosły go naprzód, na spotkanie głośno strzelającego bicza. Bywało, że nadzorca stawał do pojedynku z niewolnikiem, za jedyną broń mając knut. I to zazwyczaj wystarczało. Gdyby wozak mniej wypił, może by się przyjrzał twarzy Wilczarza i uciekł, nie oglądając się za siebie. Ale był pijany i pewien siebie. Smagnął Wena biczem. A raczej to miejsce, w którym Wen był jeszcze przed chwilą. Wilczarz już skoczył w jego stronę. Lewą ręką, jak gdyby wyrzuconą w przód, mocno chwycił ramię. Prawą zacisnął w pięść i...

W myślach zobaczył maleńką staruszkę na ośle koloru szarej myszki. Srogo patrzyła na Wilczarza. Pogroziła mu palcem i pokręciła głową z niemym wyrzutem.

Opamiętał się. Zrozumiał, że o mały włos zabiłby człowieka. Tak jak wtedy na przystani. Albo i gorzej. Obudziło się w nim coś strasznego i chciało wyrwać, ale zatrzymało się w ostatniej chwili i znowu odpełzło w ciemne zakamarki jego duszy. Wstyd i hańba. I nauczka na przyszłość.

Woźnica nie rozumiał, co mu groziło, nie zauważył, że mógł zginąć. Co prawda nie miał zbyt wiele czasu na rozmyślenia. Wilczarz wprawdzie nie wymierzył mu ciosu pięścią, ale wystarczyło, że podciął mu kolana i obalił na ziemię. Strażnicy podskoczyli i w jednej chwili obezwładnili hulakę.

- A ty, Wenie, mógłbyś nawet zabić - rzekł dowódca strażników w zadumie. Wilczarz ponieważ zdążył sobie sprawę, że dyszy jak wyciągnięta z wody ryba, i zamyślił się nad sensem tych słów. Czy miała to być po chwala? A może przestroga? Ani jednego, ani drugiego nie potrzebował. Porządni ludzie nie bez kozery nie chcieli go najmować na służbę.

- Może i tak - wycedził przez zęby i chciał odejść.

- Poczekaj, Wenie - zatrzymał go dowódca.

Wen przystanął. Strażnik podał mu ściągnięty z wozaka pas.

- Masz. To ty go pobijeś, więc tobie się należy.

\*

Wilczarz mył podłogę. W ten sposób też mógł odplacić gospodyni za jadło i zajmowaną izbę.

Wiedział, że gospodyni doceni jego dobrowolną pracę i że to, co robi, nie pozostanie bez jej łaskawej uwagi. Wiedział i to, że wcześniej czy później rozlegną się wokół niego śmiechy i żarciki z mężczyzn, którzy tak nawykli do posłuchu wobec kobiet, że nawet babskich robót się imają. Ale uwagami na temat nieodpowiedniej pracy trudno było dopiec katorżnikowi, który niejedno przeżył. A jeśli ostre języki mimo wszystko zanadto sobie pozwalały, Wilczarz odwoływał się do wypróbowanej metody - prostej, acz skutecznej. Zwracał się twarzą w stronę żartownisia i wstawał. Skutkowało zawsze. W każdym razie w odniesieniu do trzeźwych.

Zdjął koszulę i podwinął pludry nad kolana. Wymiótł na zewnątrz słomę, którą solweńskim zwyczajem wymoszczona była podłoga. Zmoczył szmatę i zabrał się do mycia kątów pod jednym ze stołów. W tym momencie, zupełnie nie w porę, próg przestąpił pewien człowiek.

Wilczarz popatrzył spode łba i rozpoznał w nim jednego z wczorajszych rozrabiających wozaków. Tego potężnego chłopca, którego musiał uspokajać dwukrotnie. Dryblas miał wielki siniak pod okiem. Widać było też, że stara się nie poruszać szyją. Co tutaj zgubił? Przyszedł wyrównać rachunki? Wilczarz obojętnie się odwrócił i zabrał się do pracy.

Przez dłuższą chwilę woźnica w milczeniu przestępował z nogi na nogę, patrząc, jak równomiernie pracują mięśnie na plecach Wilczarza. Wreszcie odezwał się nieśmiało:

- Hej, Wenie...

Wilczarz powoli obrócił głowę. Młodzian ścisnął w dłoniach skórzaną czapkę, widać było, że jedna ręka boli go do tej pory. Nie wyglądał na zadowolonego. Wręcz przeciwnie - wszystko wskazywało na to, że chce o coś prosić. Na wszelki wypadek Wilczarz nie odpowiedział. Ale szmatę odłożył. Posłuchajmy, co młodzieniec ma do powiedzenia.

- Oddaj mi mój pas z nożem - poprosił chłopak, nie podnosząc oczu wbitych w ziemię.

Pod opalenizną zaczął mu się na policzkach rozlewać coraz wyraźniejszy rumieniec. Po chwili namysłu dodał bardzo cicho:

- Proszę...

Wilczarz ukucnął, złożył ręce na kolanach i spytał, mierząc go wzrokiem od góry do dołu:

- A niby dlaczego miałbym oddać?

Chłopak do tej pory nie miał odwagi spojrzeć mu prosto w oczy. Wilczarz pomyślał, że rumieniec się w ten sposób można tylko ze wstydu.

- Dostałem go... od ojca... - powiedział Solwen, patrząc gdzieś w bok.

Wilczarz na dnie swej sakwy przechowywał skarb: stary młot kowalski, który kiedyś służył do pracy jego ojcu. Jedyne dziedzictwo, które cudem ocalało. Prędzej kazałby odciąć sobie rękę, niż rozstałby się z nim. A ten dureń ma wrócić do domu. I tam musiałby opowiedzieć, jak dbał o ojcowski podarunek. Musiałby opowiedzieć, że stracił pas nie w szlachetnej walce, stając w obronie czyjegoś życia czy mienia, ale po pijanemu, z głupoty ruszył z drogocennym nożem na Wena, który pojawił się na jego drodze. A Wen, jak się okazało, niezłe umiał się bić...

Wilczarz chciał już powiedzieć junakowi, żeby po dobroci zabierał się z karczmy. Ale popatrzył jeszcze raz na purpurową gębę młodego Solwena i... rozmyślił się. Chłopak najwidoczniej jeszcze

nie zapomniał, czym jest poczucie wstydu. I Wilczarzowi, który nie należał do ludzi o gołęmbim sercu, coś drgnęło w duszy. Rzucił szmatę, wstał. Przy tym kątem oka zauważył, jak zabijaka od siedmiu boleści na wszelki wypadek się cofnął. Wszedł po schodach na górę. Dobrze przynajmniej, że pamiętał, który z trzech odebranych wczoraj pasów należał do tego młodzika.

Nielot Gacek spał na poduszce, zawinięty w czystą szmatkę. Wystawały spod niej tylko uszaty łebek i tylne łapki. Zaszycie skrzydła zostało uwieńczone wspaniałym sukcesem, ale Tilorn na wszelki wypadek prawie nie pozwalał zwierzakowi się budzić. Tylko po to, żeby mógł się posilić, a i to nie do końca. Gacek w półśnie połykał chleb z mlekiem i znów zapadał w słodki sen, nie zwracając najmniejszej uwagi na opatrunek. Wilczarz chciał pogłaskać palcem czarny pyszczek, ale się nie odważył. Wziął pas i wyszedł tak samo cicho, jak wszedł.

Przykre było to, że ten akurat nóż był o wiele lepszy od pozostałych dwóch - długi, z mocnym ostrzem, robota dobrego mistrza, z gładką kościaną rękojeścią. Rękojeść ta, prawdę mówiąc, wzbudziła w Wilczarzu pewne wątpliwości, bo nie wskazywała, że to odziedziczony po ojcu nóż, lecz zakup poczyniony na targu siedmiodzień temu. Jak gdyby wprawiono ją zamiast starej, pękniętej. Wilczarz przyjrzał się ostrzu. Doświadczony kowal wstawił między warstwy żelaza cienką płytkę stali, takie klingi się nie tępią. Tyle że ostrze wcale nie było starte ani wyrobione przy trzonku, jak to się dzieje ze starymi nożami.

Wilczarz wzruszył ramionami. Chłopak raczej nie skłamał. A jeśli skłamał, to albo sam był głupcem, albo jego uważał za beznadziejnego durnia. Ale nic nie wskazywało ani na jedno, ani na drugie. Najwidoczniej stary ojciec rzeczywiście podarował dziedzicowi nóż. Tylko nie taki, co to jest w rodzinie z dziada pradziada, lecz nowy, prosto z kowadła. W życiu różnie bywa, mogło być i tak. Wilczarz wziął pas i zszedł na dół.

Schodził i myślał, że powinien coś powiedzieć. Coś o tym, żeby młodzik na przyszłość nie okrywał się sromem. Ale wiedział, że nic nie powie. Bo żadnego pożytku z tego nie będzie. Głupiemu nic po słowach. A mądrej głowie dość po słowie.

Oddał nóż chłopakowi, który omal nie padł przed nim na kolana.

- Dziękci, Wenie...

Wilczarz odwrócił się do niego plecami i wyjął szmatę z wiadra.

\*

W maleńkiej izdebce, przeznaczonej dla jednego człowieka, tłoczyli się już we czworo. Pogoda była piękna i Wilczarz pomyślał, że ktoś powinien nocować na dworze. A jeszcze lepiej - dwie osoby. Postanowił, że jedną z tych osób będzie on, drugą... Zdjął z drewnianego gwoździa swój stary wełniany płaszcz.

- Chodźmy! - zawołał do Eurycha.

Młody Arrant posłusznie poszedł za nim, choć nie miał na to wielkiej ochoty. Ledwie zdążył zrobić krok, jak obok przecisnęła się Neelith.

- Lepiej będzie, jak ja... - Speszona omal się nie rozplakała, nisko spuściła puszystą główkę. Eurych spojrział na nią w niemym zadziwieniu. Wilczarz zerknął na powstrzymującego śmiech



Tilorna. Kiwnął głową i przewiesił płaszcz przez rękę.

Eurych odprowadził ich wzrokiem...

- Cóż to za skarb! - powiedział, kiedy był pewien, że Wilczarz nie może go już usłyszeć. - Skarb! I takiemu zwierzakowi się dostał!

Tilorn usiadł na łóżku i szeroko się uśmiechnął. W odróżnieniu od Eurycha znał sakkaremskie prawo, znał je też i Wilczarz. Dziewczyna pod żadnym pozorem nie może nocować sam na sam z człowiekiem, którego uważa za swego narzeczonego.

- Neelith to naprawdę istny skarb - odezwał się do Eurycha. - Ale co do reszty, to się mylisz. Nawet nie wiesz, jak bardzo!

\*

Wilczarz przyniósł kilka naręczy słomy, którą jutro miał rozrzucić w karczmie na podłodze. Neelith podścieliła stary ciepły płaszcz, zdjęła ciżmy i wkrótce zasnęła, jak zwykle zwijając się w kłębuszek. Leżał obok niej i patrzył na blade niebo, wsłuchiwał się w niewyraźne odgłosy zasypiającego miasta. Bokiem czuł pełne ufności ciepło jej ciała. Przypomniawszy sobie obrazek z dzieciństwa: olbrzymi groźny pies wyciągnął się na słoneczku pod gankiem, a maleńki trzykolorowy kociak, z króciutkim ogonkiem jak marcheweczka, leży tuż obok jego pyska, o włos od straszliwych kłów...

Potem nie wiedzieć który to już raz pomyślał o dziewczynce, która podarowała mu koralik. Uśmiechnął się. Musi ją odnaleźć. Za kilka lat, kiedy dziewczę osiągnie odpowiedni wiek. Jeśli go do tego czasu nie zabiją. Choć ona pewnie zapomni posępnego młodzieńca, który siedział pod różową jabłonią... A może jednak nie zapomni. Niech wszystko będzie tak, jak zdecyduje Pani Ludzkich Losów. Niech dziewczyna wyjdzie za męża, za kogo chce. Może za niego, a może nie za niego. Wiedział jedno: i tak będzie wdzięczny tej dziewczynce do końca swoich dni. Bo pokazała mu, że jest w nim życie. Przez jedenaście lat był martwy. Nawet więcej niż martwy. Jak można nazwać człowieka, który po tysiącuroć uchodzi śmierci tylko po to, aby zabić innego człowieka, a potem samemu umrzeć? Dopiero tamtego wieczoru po raz pierwszy drgnął w nim przemarznięty kawałek lodu, który inni ludzie nazywali duszą, po raz pierwszy zagościła w jego piersi maleńka cząsteczka ciepła...

Dwudziestotrzyletni mężczyzna, który przez siwiznę i liczne szramy na twarzy wyglądał na lat czterdzieści, rozpamiętywał spotkanie z maleńką dziewczynką, która dopiero miała stać się dziewczyną. Patrzył w niebo i uśmiechał się nie wiadomo do czego.

*Gdzieżeś Ty, Matko?  
Jak mam spotkać Cię, jak rozpoznać?  
Jak Twej miłości doznać?  
Dlaczego tak daleko jesteś od domu?  
Dlaczego nie pamiętam Twojej drogiej twarzy?  
Dlaczego nie mówię nic nikomu?  
Kto nas skazał na ten los?  
Gdzie jest nasz dom?  
Gwiazdy w rzece pod lodem toną.  
Za każdą chwilę płacę słono.  
Już od dawna nie Uczę strat.  
Po świecie błąkam się tyle lat.  
Kto nas postawił przed tym okrutnym sądem?  
Odezwij się!  
Może zrodziliśmy się z różnych plemion?  
Może praojce różnych bogów wezwali nas do boju?  
Do Ciebie tęsknię w zimnie i znoju.  
I tak Cię znajdę. Uklęknię przed Tobą.  
I powiem: " Witaj, Matko.  
Oto jestem. Oto moja ręka wesprzyj się".*

## **Rozdział 6**

### **Starzec i staruszka**

Wilczarzowi wiodło się nieźle.

Po pierwsze, skrzydełko Gacka goiło się świetnie i szybko, zanosiło się na to, że będzie jak nowe. Tilorn obiecywał, że niebawem pozdejmuje szwy i zwierczaczek znowu będzie mógł latać.

Po drugie, Wilczarz znalazł czas, aby odwiedzić pracownię Warocha. Przecież obiecywał staremu Segwanowi, że do niego zajdzie, a słowa trzeba dotrzymywać. Znalazł też dobry powód do odwiedzin: postanowił zamówić u mistrza specjalne siedzisko dla Gacka, które można by przymocować do pasa. Wyprawa do warsztatu zakończyła się tym, że Waroch nie tylko wykonał trójkątną pętelkę z twardego rzemienia, ale też poprosił Wilczarza, by u niego zamieszkał.

- Mam wielki dom, a rodzina - sam widzisz... tylko ja z wnuczkiem, tu jest jak w grobie...

Wilczarz po głębokim namyśle przyjął zaproszenie. Zdawał sobie sprawę, że starzec potrzebuje ich obecności bardziej niż oni dachu nad głową. Tego samego dnia pożegnał się z gościnną gospodynią zajazdu "Pod Ukochanym Dzieckiem", szczerze zasmuconą odejściem gości. Spakował swój dobytek, który nadal łatwo mieścił się w noszonej na ramieniu sakwie, i zaprowadził swoją rodzinę do domu Warocha.

Tilorn, dla którego był to pierwszy od długiego, długiego czasu spacer, cieszył się jak mały chłopiec. Ciekawość uczonego nie miała granic. Gdyby mu na to pozwolić, do pracowni Warocha dotarłby najwcześniej za miesiąc. Wilczarz widział, co się święci, i poganiał przyjaciela, nie pozwalając mu ani na rozmowę z ulicznym sprzedawcą prażonych orzeszków, ani z miedzianolicym jeźdźcem z Szo-Sitainu. Uwagi Wena nie uszło to, z jakim rozdrażnieniem popatrywał na niego Eurych. Widziane to rzeczy! Nieuk, niepiśmienny barbarzyńca, który poucza mędrca!

Ciekawe, myślał Wilczarz, jakim głosem będziesz śpiewać, kiedy znowu na drodze pojawi się ten zabójca z nożem. Chociaż nie, ty zapewne żadnym głosem nie zaśpiewasz. Nie zdążysz go nawet zobaczyć. A ja zdążę. Być może. Dlatego że ja - w odróżnieniu od ciebie - mam uszy i oczy otwarte...

Ku jego niewysłowionej uldze do warsztatu dotarli bez żadnych przygód. Waroch przyjął ich z otwartymi ramionami. I Wilczarz, któremu od czasu do czasu zdarzało się mieszkać u dobrych ludzi, po raz kolejny porównał w myślach życie w domu z życiem w gospodzie.

Gospoda to tylko gospoda, mówił do siebie w myślach. Jedni przyjeżdżają, drudzy odjeżdżają, nikogo nie obchodzi, co się dzieje z innymi. O ile ci inni go nie okradną czy nie oszukają. A dom to dom. Dom jest po to, żeby każdy się troszczył o wszystkich. I żeby wszyscy troszczyli się o każdego z osobna...

Neelith w mig wymiotła z kuchni panoszące się tam pająki. Wilczarz, pomagając jej w sprzątanii, po raz kolejny zamyślił się nad tym, jak szybko dziczeją mężczyźni pozbawieni mądrej

kobiecej ręki. Wkrótce dom, po raz pierwszy od bodaj półtora roku, wypełnił się zapachem naleśników. A Tilorn i Eurych po naradzie zaczęli namawiać gospodarza, by obok starego szyldu wywiesił nad wejściem nowy, mniejszy i skromniejszy, przedstawiający kałamarz i pióro. I już na drugi dzień mogli obsłużyć pierwszego interesanta - kupca, który chciał napisać list. Po jego wyjściu bez mała puścili się w tan, potrząsając dwiema wielkimi srebrnymi monetami.

W radosnym nastroju obaj zaczęli uczyć czytać i pisać małego wnuczka. Chłopak był bystry. Miał w swoich żyłach tylko jedną czwartą segwańskiej krwi, a nosił solweńskie imię Zujko.

- Nie wygonisz nas, jeśli i inne dzieci zaczną tu przychodzić? - spytał Warocha Tilorn.

Waroch, któremu samotność dokuczyła, nie miał nic przeciwko temu. Wilczarz popatrywał na bystrego Zujka, który szybko uczył się trudnej sztuki czytania, i zazdrościł mu w milczeniu. Chętnie sam usiadłby obok niego. Gdyby uczył go tylko sam Tilorn. Bez Eurycha. Bo Eurych zaraz palnie coś takiego, że nic tylko mu łeb urwać. Albo może i nic nie powie, ale cóż to za przyjemność cały czas siedzieć jak na szpilkach i czekać...

Szczęście nie opuszczało Wilczarza. Wkrótce udało mu się znaleźć płatnerza, który zgodził się zamienić dwie odebrane rozbójnikom kolczugi na jedną weńską, na jego wzrost.

Było tyle powodów do radości, tymczasem Wilczarz stawał się coraz bardziej posępny. Z własnego doświadczenia wiedział, że w jego przypadku to nie może skończyć się dobrze.

Od dnia potyczki na leśnej drodze nie wyjmował kolczug, które wtedy zdobył na zbójach. Teraz obejrzał je dokładnie. Na jednej zauważył ślady rdzy i zakrzepłej krwi. Kolczugi trzeba było dokładnie wyczyścić przed wizytą u płatnerza. Wrzucił do sakwy kredę i węgiel drzewny. Zamarzyło mu się, by pójść nad morze i tam rozpaść ognisko. Miasto bardzo go zmęczyło.

- Czy mogę iść z tobą? - poprosiła Neelith.

Wilczarz się nie sprzeciwiał. Cóż stało na przeszkodzie, by się rozerwała, przecież tak kocha morze.

Szli ulicą, przeciskając się w tłumie ludzi zajętych własnymi sprawami, biegających to tam, to sam, spieszących się dokądś, nie wiadomo dokąd. Wilczarz popatrywał na szyldy, których pełno było po obu stronach ulicy. Oto karczma, oto sklep żelazny, a tu piekarnia, gdzie można było się uraczyć świeżutkimi kołaczami. Wilczarz wciągnął nosem zapach pieczywa i westchnął. Jedno z weńskich przekleństw brzmiało: "Obyś całe życie jadł chleb z cudzego pieca".

Dawno już zauważył, że na niektórych szyldach poza pomalowanymi kolorowymi farbami ogólnie zrozumiałymi znakami i symbolami z drzewa czy kutej miedzi znajdowały się także litery. Przez głowę przemknęła mu pewna myśl. Przecież Neelith też umie czytać. I to nie tylko po sakkaremsku. Zajazd Ire-Donna "Pod Białym Koniem" stał już na solweńskiej ziemi, a to oznaczało, że napis na szyldzie był po solweńsku.

- Neelith, czy możesz odczytywać, co jest napisane na szyldach? - poprosił. - Tam gdzie są litery.

Dziewczyna była zdziwiona jego prośbą, ale posłusznie zaczęła odczytywać napisy. Wilczarz marszczył brwi, starał się zapamiętać. Okazało się, że trudno mu zapamiętywać te znaczki,

choć na pamięć nigdy się nie uskarżał. Litery to nie ślady w lesie ani nie sylwetki ptaków przelatujących nad głową. Nauka czytania i pisania bardziej przypominała mu poznawanie chwytów walki wręcz czy obchodzenie się z bronią, których ciało uczy się samo i samo sięga po odpowiednią umiejętność w odpowiednim momencie. Wilczarz widział, jak czytają ludzie uczeni w piśmie. Nie zatrzymują się nad każdym zawijaszem z osobna, od razu ogarniają pół strony. On w taki sam sposób odpierał wraży atak, z mieczem czy bez miecza, nie zastanawiając się nad każdym ruchem ręki czy nogi...

Ale najgorsze było to, że kształt solweńskich liter pozbawiony był całkowicie jakiegokolwiek sensu, który dałoby się zrozumieć. Wilczarz miał okazję widzieć różne pisma, w tym również takie, w których jeden znak oznaczał całe słowo. Myślał, że takie pismo byłoby mu łatwiej zapamiętać. A to tutaj...

- Ile jest wszystkich liter? - spytał Neelith.

- Solweńskich? Trzydzieści sześć.

Zastanowił się chwilę i zmienił zdanie. We wszystkich znanych mu językach było znacznie, znacznie więcej niż trzydzieści sześć słów. Zaczął obliczać, ile różnych słów można ułożyć z trzydziestu paru liter... ale od razu pojął, że tego nie uda mu się policzyć, nawet gdyby liczył do grobowej deski.

Neelith z ukosa popatrywała na swojego towarzysza i powoli, wyraźnie odczytywała coraz to nowe napisy na szyldach, dokładając szczególnych starań, kiedy wymowa różniła się od pisowni. Od razu się domyśliła, dlaczego ją o to poprosił. Początkowo omal nie palnęła głupoty - chciała mu poradzić, żeby się zwrócił z tym do Eurycha lub Tilorna, ale dzięki pomocy miłościwej bogini w porę ugryzła się w język. Wilczarz był dumny i bardzo uparty. Wiedziała o tym aż nadto dobrze. Jeśli ją poprosił, by go uczyła, to znaczy, że na pewno miał po temu jakieś ważne powody. Chciała go o to zapytać, ale nie miała śmiałości. Z Wilczarzem było bezpiecznie, można się było niczego nie bać - może tylko gromu z jasnego nieba, ale nie dało się z nim o wszystkim porozmawiać jak z Tilornem. Wilczarz przypominał jej sarsan, roślinę, która rosła w jej rodzinnych stronach. Dotyk powodował, że pływający po powierzchni wody liść natychmiast związał się w zieloną, najeżoną kolcami kulę...

Wilczarz nagle zatrzymał ją, chwyciwszy za ramię.

- Poczekaj, sam spróbuję.

Nie pobrażał sobie. Szyld nad drzwiami karczmy składał się z dwóch słów, rysunek przedstawiał potężnego chłopca z wielkim nożem, chwytającego za rogi opierającego się barana.

- "Pod Baranim Bokiem" - ostrożnie, jak gdyby idąc przez bagno, przeczytał Wilczarz. - Dobrze?

- Świetnie - z radością potwierdziła Neelith, zaglądając mu w oczy.

I dodała z całą szczerością: - Szybko się uczysz. Jesteś taki mądry!

Tylko nie mów o tym Eurychowi, pomyślał Wen. Bo padnie. Powodzenie dodało mu skrzydeł - przeczytał jeszcze dwa napisy na szyldach i ani razu się nie pomylił, chociaż w jednym natknął się na nieznaną literę. Poczł się tak wyczerpany, jakby pół dnia wiosłował, i to pod prąd. Przypomniał

sobie, jak Eurych rąbał drzewo i jak nabawił się odcisków na swoich delikatnych, nieprzywykłych do fizycznej pracy dłoniach. Okazuje się, że umysł też wymaga ćwiczeń.

- W wolnej chwili narysuj mi wszystkie litery, dobrze? - poprosił dziewczynę. - I po chwili zapytał: - A jak ty nauczyłaś się czytać?

Neelith nie wiedzieć czemu spuściła wzrok.

- Uczył mnie nasz zacny sąsiad, niech deszcze omyją jego nogi, o ile Lan Lama nie zabrał jeszcze jego duszy do nieba sprawiedliwych...

Wilczarz coś sobie przypomniał.

- Czy to ten, który chciał kupić cię za żonę? Dziewczyna w milczeniu skinęła głową.

Niczego sobie sąsiad, przemknęło przez myśl Wenowi. Neelith pewnego razu opowiedziała o biednym miasteczku między oceanem a rozlewiskami, w którym się wychowała. W podobnej dziurze za wielkiego uczonego może uchodzić każdy, kto potrafi choć jako tako naskrobać swoje imię. A uczyć kogoś... i to kogo - córkę sąsiadów! Wilczarz znał Sakkarem, kraj nieśmiałych kobiet i pyszałkowatych mężczyzn. Nie, w tym musiała kryć się jakaś tajemnica. Już wcześniej kilka razy nad tym przemyślał, tyle że najpierw było mu wszystko jedno, a później miał inne sprawy na głowie.

- Na pewno nieczęsto zdarzają się tacy sąsiedzi - zauważył ostrożnie. Sam nie znosił, kiedy ktoś kazał mu opowiadać o sobie, a więc i jej mogła nie spodobać się jego ciekawość.

- Był podobny do Tilorna - ze smutkiem w głosie odparła Neelith.

- Gdyby dane im było się spotkać, na pewno zostaliby przyjaciółmi. Nawet są do siebie trochę podobni... brody, włosy... Tylko Tilorn tak naprawdę jest młody, a nauczyciel był stary...

- I mimo to chciał cię kupić za żonę? - podejrzliwie spytał Wilczarz.

Neelith zarumieniła się, kiedy tak na nią patrzył.

- Bo wszystko wyglądało zupełnie inaczej, niż myślisz. Był zesłany. Nie miał nic poza swoją wiedzą. To jego słowa. Chciał mi tę wiedzę przekazać. A nie mógł tak po prostu zabrać mnie moim krewnym...

- Czy to nie on dawał ci do czytania książki? - zapytał Wilczarz.

- Tego wielkiego lekarza. Belchata... czy jakoś tak...

- Selchata - odparła Neelith. - Szlachetny Selchat też był zesłany do naszego miasteczka. Młody szad wygnał go z Melsy.

- Aha - mruknął Wilczarz. I na długo stracił ochotę do rozmowy.

\*

Mieszkańcy Haliradu, rozpieszczeni łaskami Władcy Mórz, z dawien dawna zapasy drewna uzupełniali sobie tym, co zebrali na brzegu. Po każdym sztormie fale pracowicie wyrzucały to pnie odarte z kory, to kawałki burt statków, to całe bierwiona. Wszystko do ostatniej szczapki zużywano na opał w żarłocznych paleniskach i piecach Haliradu. Dar morza był dla mieszkańców niezłym wsparciem. Drewno trzeba było przywozić do Haliradu z daleka, bo wyrębu lasów wokół miasta kapłani zabronili już dawno temu.

Miasto pamiętało jeszcze, jak przed pięciu laty w objęciach przybrzeżnych głazów utkwiał olbrzymi pień pokryty czarnymi strzępkami kory. Był tak ciężki, że nie dało się go wyciągnąć nawet zaprzęgowi potężnych koni. Wtedy pień postanowiono rozpiłować na mniejsze części, ale piły i siekiery nie dawały mu rady. Drewno było koloru jesiennego klonowego liścia. Gatunek drzewa rozpoznał czarnoskóry monomatański kupiec.

- To błogosławione drzewo marong. Drogocenne jak kość słoniowa. Nie gnije, prawie się nie pali i odpędza choroby. Jest czarne po wierzchu i czerwone w środku. Zupełnie jak człowiek. Ściąć je to tyle, co zabić człowieka. Ten, kto zetnie marong, rok musi mieszkać w oddzielnej chacie, nie może jadać przy wspólnym stole ani obcować z żoną...

Przez całe lato do jesieni cieśle obrabiali ogromny pień, jak wielorybnicy tuszę upolowanego wieloryba, kapłani zaś każdą deskę okrążali zgodnie z ruchem słońca, odganiając wszelkie zło. Nikt bowiem nie był do końca pewny, co pojawienie się drzewa marong oznacza.

Tego roku Halirad najadł się niemało strachu. Co stałoby się z miastem, gdyby wielka bitwa na Trzech Wzgórzach zakończyła się inaczej - tego nikt nie wiedział. Zapewne rządziłby tu jakiś segwański kuns przybyły z dalekiej wyspy. A rządziłby po swojemu, po segwańsku. Niektórzy po kątach szemrali, że może nie byłoby to takie najgorsze. Ale mogli sobie tak mówić teraz, kiedy strach minął i wszystko powoli odchodziło w niepamięć. Wiadomo, że po bijatyce każdy jest mądry, szczególnie jeśli sam nie oberwał. Ale wtedy - pięć lat temu - ci sami ludzie każdego woja gotowi byli nosić na rękach, nie mówiąc już o witeziach z drużyny knezia i o samym kneziu. Haliradzcy starcy po naradzie postanowili przewieźć drogocenny pień drzewa marong do twierdzy i złożyć w darze gospodarowi Gluzdowi, by mógł pięknie wyposażyć swe komnaty...

\*

W pobliżu miasta zapobiegliwi mieszkańcy Haliradu skrzętnie wymiatali wszystko z brzegu. Wilczarz i Neelith musieli dość długo iść nad wodą, nim znaleźli kilka jako tako obsuszonych deszczulek, z których mogliby rozpalić ognisko. Miejskie wieże było jeszcze stąd widać, ale mieszkańcy woleli się aż tak nie oddalać. Wilczarz wiedział dlaczego. Morze wbijało się tu w ląd, tworząc wąską zatoczkę; sto kroków od miejsca, w którym zatrzymał się teraz, przybrzeżne głazy przechodziły w prawdziwe skały. Im dalej w głąb zatoczki, tym wyższe i bardziej nieprzystępne stawały się porośnięte gęstym lasem stromizny. A na samym szczycie urwiska wznosił się gigantycznych rozmiarów kamienny palec, który wydawał się ogromny nawet na tle majestatycznych ośnieżonych wierzchołków gór. Powiadali, że w czasie sztormów fale przyływu sięgały strasznie wysoko. Wilczarz przyjrzał się - choć na błękitnym niebie świeciło jasne słońce, podstawę palca, w miejscu gdzie wyrastał ze skały, spowijały białutkie pasemka mgły. Mgły kłębiły się tam zawsze - nie bez kozery mieszkańcy Haliradu z dawien dawna nazywali goły kamienny monolit Zamgloną Skałą. I od niepamiętnych czasów uznawali to miejsce za dziwne. Też na pewno nie bez kozery. Już za czasów, które pamięta obecne pokolenie, dwóch ludzi przepadło tu bez śladu. Zanurzyli się we mgle i już nie wynurzyli. Choć inni ludzie przechodzili przez mgłę, nie ponosząc żadnego uszczerbku. Zdesperowani młodzieńcy dokładnie obejrzelili skałę od podstawy do samego

wierzchołka znikającego w chmurach, ale nie znaleźli w niej ani rozpadlin, ani głębokich pieczar. Kapłani mówili, że czują tu obecność mocy. A jeszcze mędracy powiadali, że pieczary nie zawsze są widoczne i nie wszyscy mogą je zobaczyć.

Jednym słowem, rozważni mieszkańcy Haliradu starali się omijać Zamgloną Skałę. I na pewno mieli rację. Są przecież święte miejsca. Są i groźne. A także takie, które są nie dla ludzi. I tyle.

Wilczarz opalał kolczugę nad ogniem i myślał o tym, że przecież z powodzeniem mógł to zrobić w domu. Na dobrą sprawę byłoby mu nawet łatwiej. Ale chciał się przejść. Natomiast Neelith upajała się swobodą. Rozebrała się za wielkim głazem i natychmiast weszła do wody. Wilczarz spod oka przyglądał się, jak w drobnych falach znikala i znów pojawiała się jej czarna główka. A znikala na długo: Neelith poczynała sobie zadziwiająco śmiało, nie bała się nurkować na głębokie. Morze nie było tak ciepłe jak w Sakkarem, ale i tak rozkoszowała się kąpielą. Zaraz pewnie nałowi rosgwiazd, będzie go przekonywać, że nadają się do jedzenia, i upiecze je nad ogniskiem. Wilczarz też pomyślał z przyjemnością o kąpeli. Ale najpierw musi skończyć robotę. Od razu zauważył jeźdźców, którzy wyjechali z lasu oddzielającego zatoczkę od miasta. Trzech mężczyzn na potężnych, dobrze wypasionych koniach. Obejrzał się na Neelith. Akurat wynurzyła się, trzymając w każdej ręce po podwójnej muszli wielkiej jak miska. Jeźdźcy jechali stępą. Zmierzali w ich stronę, ale widać było, że się nie spieszą. Ich twarze z tej odległości nie dało się jeszcze rozpoznać, Wilczarz przyjrzał się więc płaszczom.

To nie witezie. I nie straż miejska, pomyślał. Może to Żadoba z rozbójnikami? A może komesi Ludojada?

- Neelith! - zawołał cicho dziewczynę.

Stała zanurzona po szyję. Widział tylko jej głowę, białe ramiona, korale na szyi i ręce, w których trzymała muszle. Reszta ciała była niewyraźną plamą rozplywającą się w przeszywanej promieniami słońca wodzie.

- Weź ubranie - spokojnie powiedział Wilczarz. - I przepłynij na drugą stronę. Dasz radę?

Zatoczka miała jakieś pół wiorsty szerokości. W razie czego raczej nie dosięgną jej tam z łuków.

- Spróbuję wypłoszyć konie - odparła Neelith. - Tilorn mnie na uczył. Zobaczysz, uda się...

- Może się i uda, ale lepiej będzie, jak zrobisz to, o co proszę - rzekł Wilczarz. - Musimy się przekonać, co to za jedni.

Neelith rzuciła wyłowione muszle na brzeg.

- A może nie mają złych zamiarów?

- Może i nie mają - odparł Wilczarz. - Ale popłynij na tamtą stronę.

Neelith schowała się za głazem... Wen nawet nie bardzo się zdziwił, kiedy po chwili wyszła stamtąd w ubraniu. Miał ochotę wrzucić ją z powrotem do wody, ale wiedział, że to i tak nie ma najmniejszego sensu. Wierność jest czasem gorsza od największej zdrady. Neelith popatrzyła na niego z niemą prośbą w błękitnych oczach, w których malował się desperacki strach. Podniosła z brzegu muszle, zasiadła przy ognisku i zaczęła otwierać deszczułką mocno zaciśnięte połówki. Włosy miała mokre, więc pomiędzy chudziutkimi łopatkami rozplywała się na gnieźle szara plama.



Wilczarz podał dziewczynie nóż. W razie czego zawsze zdąży zań chwycić...

Tymczasem jeźdźcy byli coraz bliżej. Dwaj z nich, dobrze zbudowani mężczyźni, na pewno doskonale znali arkana władania bronią.

Trzeci, szczupły starzec, nie miał broni prócz krótkiego kindzalu przypiętego do pasa, który wydawał się raczej drogocenną zabawką niż orężem wojownika. Takie rzeczy nosi się nie po to, by walczyć. Wilczarz nieco się uspokoił. To zapewne jakiś wielmoża z dwoma przybocznymi. A jeżeli rzeczywiście tak było, trzeba się przygotować raczej na rozmowę niż walkę.

W każdym razie na wstępie...

Popatrywał na jeźdźców i nadal z niezmaconym spokojem czyścił nad ogniem kolczugę. Tylko przesiadł się na sam skraj kamienia i rozstawił nogi, by móc od razu wstać. Nieznajomi nie mieli łuków, a konie po takich kamieniach blisko nie podejną. Natomiast spieszonych zbrojnych w walce na miecze - tego się nie bał, nawet gdyby przyszło mu zmierzyć się ze wszystkimi trzema.

- Witaj, Wilczarzu - odezwał się z szacunkiem starzec, zatrzymując się w odległości dziesięciu kroków.

- I ty bądź pozdrowiony, dobry człowieku - odparł Wilczarz po chwili milczenia. - Wybacz, jakoś nie mogę sobie ciebie przypomnieć.

Neelith udało się otworzyć obie muszle. Kroiła sprężyste, bladoróżowe mięso i nadziewała kawałki na kijek.

- Ale ciebie, Wilczarzu, zna wielu ludzi - rzekł starzec z uśmiechem. - Rozniosła się już wieść o tym, jak sobie poczynalesz ze zbrojami Żadoby, a potem pokonałeś wojownika, którego wynajęli kapłani. Zapewne nie wiesz, ale zwolnili go ze służby i teraz poszukują kogoś lepszego na jego miejsce. Jeszcze się u ciebie nie zjawili z propozycją? Zresztą nie to jest ważne. Ważne, że niewielu może się z tobą równać w walce jeden na jednego, Wilczarzu.

- Dzięki za dobre słowo - powoli wycedził Wen. Ten szum wokół jego osoby nie bardzo mu się spodobał. Ale to przemyśli sobie później, kiedy będzie miał wolną chwilę.

Stary cap zapewne nie po to się tu fatygował, żeby wygłaszać pochwały pod moim adresem, pomyślał, próbując określić, do jakiego plemienia należy jego rozmówca. Starzec miał na sobie szerokie segwańskie spodnie, buty dobrej welskiej roboty, solweński bezrękawnik z farbowanego sukna, a na to drogi płaszcz utkany w warsztatach Arrantiady. Po weńsku mówił jak Wen. Ale włosy miał ostrzyżone. W wielkich miastach tak już bywa, że ludzie się w nich mieszają i na pierwszy rzut oka nie odgadniesz, co to za człowiek stoi przed tobą i skąd przybył. Bądź mądry i zgadnij, jak tu z takim rozmawiać. Oszaleć można.

- Wielu ludzi słyszało też o tym, że ludzie Żadoby proponowali ci, byś przeszedł na ich stronę, obiecali część zdobyczy, ale tyś odmówił - ciągnął tymczasem nieznajomy. - Wierność jest w cenie...

- Siądź przy ogniu - rzekł Wilczarz. - Częstuj się darami bogów, porozmawiajmy, jeśli będzie o czym...

Starzec z niepokojem zaczął kręcić się w siodle, niepewnie popatrując na ochroniarzy.

- Powiadasz, że coś o mnie słyszałeś - uśmiechnął się Wen.

Jeden z młodzieńców zsiadł z konia, by podtrzymać starcowi strzemień, a potem, kiedy jego pan usiadł przy ognisku, stanął mu za plecami. Wilczarz przyglądał się, jak potężny ochroniarz przeskakuje z kamienia na kamień, i stwierdził, że w razie czego będzie miał przeciwko sobie strasznego przeciwnika. Silny jak niedźwiedź, a przy tym zwinny jak kot.

- Znam twój naród - odezwał się nagle starzec. - Uważacie, że to niegrzeczne, jeśli ktoś przychodzi i od razu wyklada, z czym przyszedł, zamiast porozmawiać wpierw o tym i owym. Twój naród jest mądry, ale te zwyczaje są dobre, jeśli nie musisz się z niczym i nigdzie spieszyć, a nowego człowieka widzisz raz na pół roku...

Dobre sobie!, pomyślał Wilczarz. Raz na pół roku? Zdarza się raz w miesiącu albo częściej!

- Jakie życie, takie i zwyczaje - ciągnął starzec. - Ja codziennie spotykam nowych ludzi i z każdym muszę znaleźć porozumienie. Więc nie myśl o mnie źle... Przyjechałem, by powiedzieć ci, że w tym mieście są ludzie, którzy wiedzą, jak okuć złotem twój miecz.

- Co to za ludzie? - beznamiętnie zapytał Wilczarz. A w głębi duszy pomyślał: uczciwy człowiek, który potrzebuje, powiedzmy, kogoś do ochrony, mógłby przyjść do zajazdu albo do Warocha, otwarcie, a nie cichcem, jak ten.

- To ludzie, którzy mogą ciebie i innych ubogacić - odparł sta rzec. - Bardzo, bardzo mądrzy ludzie. - Po chwili milczenia dodał:

- Mam nadzieję, że nie przysięgałeś na wierność nikomu oprócz tej piękności?

Neelith uśmiechnęła się nieśmiało.

- Przysięgałem - odpowiedział Wilczarz. - Moim przyjacielom i człowiekowi, który dał mi dach nad głową.

- Posłuchaj mnie uważnie - rzekł nieznajomy i lekko pochylił się ku przodowi. - Na świecie jest wielu wpływowych i bogatych ludzi, którym wrogowie nie dają spokoju. Czy rozumiesz, o kim mówię?

- Rozumiem - spokojnie odpowiedział Wilczarz. Wiele razy zdarzyło mu się słyszeć, że gdyby wynajął się jako płatny zabójca, byłby wart góry złota.

- A poza tym jest wielu znawców sztuki walki, którzy gotowi są słono zapłacić za możliwość oglądania boju prawdziwych wojowników. Widzowie czynią zakłady, a uczestnicy pojedynku otrzymują szczodre nagrody. Szczególnie zaś zwycięzca...

- Wiem. - Wilczarz kiwnął głową. - Dziękuję i mam nadzieję, że niebawem znajdziesz wojowników, którzy zechcą ci służyć.

- Ale nie ty?

Dlatego że nie jest mi wszystko jedno, kogo zabiję, pomyślał Wilczarz. I dla kogo.

Już chciał odpowiedzieć: "Nie, nie ja" i nie wiadomo, jak dalej potoczyłaby się ta rozmowa, gdyby nie to, że poczuł w piersi znajome pieczenie. Chwilę potem zaniósł się niepowstrzymanym kaszlem, upuściwszy niedoczyszczoną kolczugę.

- Chciałbym jeszcze trochę pożyć w spokoju... - z trudem wypowiedział te kilka słów,

oddychając głęboko. Pomyślał, że ciężar kopalnianego życia choć raz przyniósł mu jakiś pożytek.

Nie uszło uwagi starca, że Wen popatrzył na dłoń, w którą wycierał usta. I to, z jakim przerażeniem przypadła do niego piękna dziewczyna. Wen nie udawał. Ten, który chciał go wynająć, natychmiast stracił zainteresowanie.

Z żalem wstał, a krzepki ochroniarz z troską otrzepał mu z tyłu wzorzysty płaszcz. Wilczarz znał się trochę na ludziach i po cichu się cieszył, że nie musiał starcowi odmawiać.

Wsiadając na konia, starzec wsunął dłoń w sakiewkę, którą miał przytroczoną do pasa, i wyjął to, co pierwsze napatoczyło mu się w rękę: wielką złotą monetę. Ciekawe, ile ich codziennie nosił przy sobie? I ile tu na miejscu otrzymałby Wilczarz, gdyby zechciał zostać jego najemnym wojownikiem? Albo może jeszcze kimś innym? Starzec, nie patrząc, rzucił monetę na kolana Neelith. Ściągnął wodze i kłusem ruszył przez piach.

Kiedy jeźdźcy zniknęli w lesie, Neelith oddała Wilczarzowi monetę i spytała nie wiedząc czemu szeptem:

- Jesteś chory?

- Nie - obojętnym tonem odparł Wilczarz, który znowu wziął się do czyszczenia kolczugi.

- Kto to był?

Wilczarz pokręcił głową.

- Nie wiem. Ale sądzę, że Żadoba mógłby być u niego co najwyżej chłopcem na posyłki.

\*

W drodze powrotnej, kiedy przechodzili przez plac targowy obok Miedzianego Boga i na poły rozebranego podestu, Wilczarz skręcił między kramy. Pamiętał, że widział tam człowieka, który sprzedawał książki.

Człowiek ten siedział na swoim miejscu. Różnił się od pozostałych kramarzy - nie zdierał gardła, nawołując kupujących, nie łapał przechodniów za rękawy i poły płaszczy. Siedział na rozkładanej, zgrabnie ociosanej ławeczce i podparłszy ręką podbródek, coś czytał. Sprzedawanie książek było dla niego nie tyle źródłem zarobku, ile przyjemnością. Ale jak w takim razie zarabiał na życie?

Wilczarz nie chciał od razu rozpoczynać rozmowy. Zaczął od oględzin straganu. Były w nim książki w różnych językach, prawie każda, jeśli brać pod uwagę jej wygląd, miała za sobą długie i pełne niebezpieczeństw życie. Omiótł wzrokiem opaste foliasty w drewnianych i skórzanych oprawkach, które najpewniej kosztowały majątek, i zainteresował się malutką szarą książeczką. Pomyślał, że najmniejsza ze wszystkich książczyna będzie i najtańsza. Złożył zamknięty worek z muszlami u stóp, wziął książkę w ręce i ostrożnie otworzył ją w środku. Chciał zobaczyć, czy uda mu się przeczytać choć jedno znajome słowo. Za samo patrzenie, jak wiadomo, zapłaty się nie bierze. Zdążył tylko stwierdzić, że litery w środku były solweńskie.

- Zaczny wojowniku, czyżbyś nie był obojętny na uroki poezji? - spytał nieoczekiwanie sprzedawca i Wilczarz, który zagapił się nie co, omal nie upuścił książki. A przecież tak trudno go było zaskoczyć. Oto co czyni z człowieka uczoność! Tymczasem sprzedawca ciągnął dalej: -

Widocha Bortnik różnie pisze, nie zawsze świetnie, ale niektóre wiersze są znakomite, nieprawdaż?

Wilczarz zastanawiał się, co odpowiedzieć, by nie stracić w oczach sprzedawcy, tymczasem wyręczyła go Neelith. Wenowi wystarczyło wiedzy tylko na tyle, żeby nie trzymać książki do góry nogami. A Neelith, wychyliwszy się spod jego łokcia, cichym głosem odczytała wiersz, śpiewnie rozciągając wyrazy.

*Kreśląc swój krąg, od wieków znany, Obsypuje Niebo Ziemię śniegiem,*

*Otula płaszczem ten kochany*

*Szarej Ziemi płat.*

*Czyż mogę ich porównać do staruszków pary,*

*którzy przez życie niosą swej miłości czarę?*

*Tak, tak, tak.*

Wilczarzowi zdarzało się słyszeć wędrownych bazarzy. Neelith mogłaby z powodzeniem zarabiać na życie, deklamując ludziom wiersze. Gotów był iść o zakład, że znała ich mnóstwo. A może i sama je układała. Tak czyta słowa pieśni tylko człowiek, który wie, jak posługiwać się językiem.

- A ja już myślałem, że w tych naszych marnych czasach nie ma uzdolnionych ludzi! - zachwycił się sprzedawca książek. - Prawdę mówiąc, nawet nie śmiałem żywić nadziei, że ostatnie dzieło ulubieńca bogów, Widochy, znajdzie tu wielbicieli... Kupisz tę książkę, zacny wojowniku? Wprawdzie jest w kiepskiej, nieodpowiedniej oprawie, ale za to kosztować cię będzie zaledwie półtora konia srebrem...

Wilczarz pokiwał głową, ale w środku aż mu coś głucho jęknęło. Jednak głośno zapytał ze spokojem:

- A czy nie masz, dobry człowieku, jakiejś prościutkiej książeczki? Z najprostszymi słowami...

- Coś dla kogoś, kto dopiero stara się opanować sztukę czytania?

- Właśnie.

Sprzedawca schylił się i otworzył obszarpane pudło z brzozonej kory. Wyjął stamtąd nawet nie książkę, lecz zwykły kajecik. Ot, kilka karteczek ze skóry zszytych grubymi, mocnymi nićmi. Podał ją Wilczarzowi. Na pierwszej stronie wypisane były solweńskie litery. Trzydzieści sześć znaków. W czterech słupkach, w każdym po dziewięć.

- Wirunta! - rzekł sprzedawca.

Wilczarz nie zrozumiał. Na wszelki wypadek nie zabierał głosu.

Na drugiej stronie wypisane były już słowa. Na górze kartki - krótkie, na dole - ciut dłuższe. Potem słowa, idące jedno za drugim jak konie ciągnące ciężary albo wozy w kupieckiej karawanie. Pod koniec książki było ich już tyle, że Wilczarzowi zaczęło mienić się w oczach.

- Szlachetny wojownik nie tylko ceni wiersze, ale jeszcze uczy syna czytać i pisać, tak?

Wilczarz zamknął skórzany zeszyt. Koniec końców Tilorn i Eurych naprawdę kształcili w sztuce czytania i pisania piegowatego Zujka, więc nie trzeba wymyślać jakichś specjalnych wykrętów...

- To ja sam nie umiem czytać - rzeki spokojnie. - I o twoim Widosze też słyszę po raz pierwszy w życiu. Ale chciałbym się uczyć. Ile chcesz za tę książkę?

- Trzy ćwierci konia srebrem - uśmiechnął się sprzedawca. - Wydatek opłaci się, zacny wojowniku, zapewniam.

- Pomyślę - odparł Wilczarz. - Dzięki, dobry człowieku.

\*

Kupili cukrowej cebuli, którą Neelith zamierzała podsmażyć na konopnym oleju razem z mięsem mięczaków, i poszli do domu. Wilczarz z posępnym uporem czytał napisy na wszystkich mijanych szyldach i oczywiście co rusz się mylił. Zamiast "Pod Rudym Kotem" odczytywał "Pod Radym Katem" albo jeszcze inaczej. I burczał na Neelith, kiedy próbowała mu pomagać.

- A co to jest ta wirunta? - zapytał, kiedy już zbliżali się do pracowni.

Neelith zastanowiła się przez chwilę, po czym powiedziała:

- Solwenowie tak nazywają swoje litery ułożone wedle porządku. Wirunta to pierwsze siedem liter.

Wilczarz nie wytrzymał:

- Też cię sąsiad tego nauczył? Chytrze zmrużyła niebieskie oczy.

- Nie, po prostu zobaczyłam je w tej książeczce. - Potem przestała się uśmiechać i rzekła: - A ty na pewno się przeziębiesz. Tak kasłałeś...

- Może i kasłałem - odparł Wilczarz. Neelith z wielką nieśmiałością zaproponowała:

- Moglibyśmy cię wyleczyć...

Nic nie odpowiedział. Neelith tylko westchnęła. Nie miała odwagi się napraszać.

Wilczarz odprowadził ją do domu, a sam poszedł do płatnerzy. Droga prowadziła przez okolice placu targowego, obok niezliczonych miejsc, gdzie można było się napić. Choć dzień był jeszcze młody, ledwie minęło południe, w tej okolicy można było nawet o tej porze spotkać podpitego zawadiakę. Wilczarz nie miał ochoty na takie spotkania i przyspieszył kroku.

Ale nie udało mu się szybko pokonać drogi. Ledwie skręcił za róg, kiedy zobaczył nadjeżdżających kłusem jeźdźców. Najprawdopodobniej jechali do zamku. W środku, na gniadym halisuńskim rumaku jechał piękny młody bojar. Wilczarz poznał go natychmiast - to ten, który stał po lewej stronie tronu, kiedy knezinka sądziła go z oskarżenia Warocha. Bojar miał na imię Promień, ale Wilczarz nazwał go w myślach Lewym. Bo bardzo na pokaz sięgał po miecz, kiedy knezinka kazała się Wilczarzowi zbliżyć do siebie. Za co miałby go lubić?

Wen przyjrzał się jeźdźcom i uśmiechnął pod wąsem. Z obu stron bojara jechało dwóch pachołków, a każdy trzymał w ręku oszczep. Nie znasz dnia ani godziny - a nuż ktoś zechce obrazić wielmożę! Choć ten zapewne od pieluch uczył się bić. Chłopcy pewnie nawet po cichu marzyli, żeby trafił im się ktoś niespełna rozumu. Chociażby jeden w całym Haliradzie. Już oni by go wtedy...

Wilczarz odstał krok do tyłu, stanął przy ścianie i pomyślał: Dobrze, że haliradzcy Solwenowie przynajmniej nie czapkowali, spotkawszy na ulicy witezi swojego knezia. Na razie nie czapkowali. Zapewne niebawem zaczną...

Dokładnie w tej samej chwili przemknęła obok niego jakaś nędznie odziana, zaniedbana starucha i z płaczem rzuciła się w stronę bojara, starając się chwycić go za strzemień.

Pewnie żebraczka, pomyślał Wilczarz. Szuka u bojara sprawiedliwości. A może chce, by wystąpił w jej obronie...

Młodzieńcy tymczasem postanowili się wykazać. Nie dali babce nie tylko dotknąć strzemienia, ale nawet zbliżyć się do ich pana. Pacholek z rozpędu odepchnął ją i przewrócił. Pochylił się w siodle i chciał jeszcze przyłożyć bezczelnej nędzarce drzewcem oszczepu... Ale nie przyłożył, dlatego że przy starej kobiecie znalazł się nagle rosły Wen z długą szramą biegnącą przez lewy policzek. Przyklął na jedno kolano. Nic nie powiedział, po prostu uniósł głowę i popatrzył takim wzrokiem, że młodzieniec w lot zrozumiał: jeszcze jeden ruch i koniec z nim. Przy czym koniec straszny. Pacholek uderzył konia piętami i ruszył za swoimi.

Wilczarz, upewniwszy się, że nikt nie ma zamiaru zawracać, podniósł staruszkę.

- Nie potłukłaś się, babciu?

Kobieta płakała, zakrywszy twarz rękami. Płakała tak, jak gdyby tylko co straciła rodzinę. Wilczarz poprawił czepek, który zsunął się z jej siwej głowy. Musiała pochodzić ze wschodnich Welchów, ale wiele czasu spędziła na obczyźnie. Z poprzedniego życia pozostał jej na brązowej, wyschniętej dłoni jedynie wymyślny wzorek zielonego tatuażu. Zamiast solweńskiej spódnicy z samodziału nosiła bekieszę zarzuconą na ramiona i spiętą tanią szpilką. Spłowiełe gieżło staruszki – na pewno przerobione z przyodziewku, który należał wcześniej do kogoś innego – było starannie zacerowane, a na łokciach miało doszyte dopasowane łąty.

Służąca, orzekł w myślach Wilczarz. A może nawet niewolnica.

- Uspokój się, waszmość - odezwał się Wilczarz w jej ojczystym języku. - Kto cię skrzywdził?

Staruszka na dźwięk mowy Welchów uniosła głowę, omiotła jego twarz spojrzeniem ciemnych, zapuchniętych oczu i chciała coś powiedzieć, ale lzy odebrały jej zdolność mówienia.

- Nad... mój Nad... Tyle zim... Wilczarz nie zdołał zrozumieć.

Rozejrzał się wokół. Ludzie przechodzili obok. Ci, którzy nie widzieli, co się stało przed chwilą, z zaciekawieniem przyglądali się starej kobiecie szlochającej w objęciach uzbrojonego mężczyzny. Matka spotkała syna. A może go odprowadza? Chociaż nie, raczej wita.

Wścibskie spojrzenia nie spodobały się Wilczarzowi. Poprowadził kobietę do gościnnie otwartych drzwi oberży. To była karczma "Pod Baranim Bokiem", jej szyld odczytywał rano. Przystał wysoki próg i niemal przeniósł nad nim staruszkę, która cały czas zakrywała twarz rękami i pokornie dawała się prowadzić. Nie miała najmniejszego powodu, by zaufać podobnemu do rozbójnika Wenowi, ale Wilczarz był pewien, że nie zdołała mu się przyjrzeć. Było jej po prostu wszystko jedno. Tak postępują ludzie zrozpaczeni, kiedy myślą, że nie mają po co dalej żyć. Doskonale znał ten stan ducha.

Oberża okazała się nadszpiewanie przestronna. Wilczarz na początku nie mógł się nadziwić, jak to jest w tych wielkich miastach: domy przylegały do siebie, bez mała włożyły jeden na drugi, żeby choć z boczku, choć na pół stopki, ale wysunąć się bliżej ulicy, żeby choć trochę było go widać. Kiedy wchodzisz do środka, myślisz sobie, że przyjdzie ci stać na jednej nodze, a patrzysz i oczom nie wierzysz - do szynkwasu jest dobrych dwadzieścia kroków...

Karczma była pełna. Zbliżyła się pora obiadu. Ludzie, którzy nie mieli w mieście swojego kąta, przychodzili przekąsić do gospody. Zresztą nie tylko - dobrą połowę gości stanowili ci, którzy z powodzeniem mogli zjeść w domu. Bo gospoda to nie po prostu kapuśniak, kasza i piwo. To i starzy przyjaciele, i nowe znajomości, nierzadko jakże przydatne dla tych, którzy prowadzą interesy. A czasem można spotkać jakichś nieznanym ludzi, ot po prostu porozmawiać z nimi, a czasem posłuchać ich historii dziwnych i ciekawych ze strach...

Wilczarz omiół karczmę wprawnym spojrzeniem i zatrzymał wzrok na długiej ławie, na której siedział samotny młodzieniec, z wyglądu czeladnik garbarski. Wen podprowadził tam staruszkę i posadził w drugim końcu ławy. Młodzieniec skoczył, pospiesznie przesuając się ku nim.

- Tu jest zajęte. Zaraz ludzie przyjdą.

Wilczarz miał ochotę wyrzucić garbarza won, a przedtem obić mu głowę, uderzając o gładko oheblowaną i ociosaną Dłoń Bożą. Ale powiedział tylko:

- Zmieszczą się.

- Mówiłem, że jest zajęte! - powtórzył czeladnik z niechęcią. Wilczarz też powtórzył, tym razem przez zęby:

- Zmieszczą się.

Czeladnik stracił ochotę na dalsze utarczki. Wilczarz zatrzymał przebiegającą obok ładniutką służącą.

- Przynieś, ślicznotko, chłodnej maślanki dla babci...

Wodę, mleko, maślankę, kwas, nawet piwo w haliradzkich karczmach podawali za darmo, ale tylko tym, którzy zamawiali coś do jedzenia. Dlatego Wilczarz wcisnął dziewczynie grosz, a ona skinęła głową i pobiegła.

Kiedy człowiek je lub pije, jego myśl odrywa się od cierpień i krzywd, co pomaga się uspokoić lub chociaż trochę opanować. Służąca wróciła z piwniczki i postawiła przed Wilczarzem dzban pełen zimnego napoju. Wilczarz podsunął go kobiecie.

- Napij się.

Staruszka obojętnie wzięła dzban i uniosła go do ust.

- ...i właśnie wtedy nasłatała na nas swoich Wenów - uszu Wilczarza dobiegł głośny, z lekka podpity młody głos, który słyhać było z drugiego końca oberży, gdzie nie docierało światło dzienne wpadające przez drzwi wejściowe i ciemności rozświetlały tylko żółte odblaski lampek oliwnych rozstawionych na długich żerdkach wzdłuż ścian. Wilczarz znał ten głos i od razu stał się czujny. Inna sprawa, że w ogóle nie dał tego po sobie poznać.

A młodzieniec w głębi oberży ciągnął swą opowieść:

- Pięć albo sześć ryjów, każdy po trzy arszyny wzrostu, a w barach po półtora. Niech mnie, jeśli kłamię! Gdzie ona takich znalazła! No, to znaczy, myśmy ich najpierw poturbowali, ale potem zaraz dwóch byków wzięto mnie za ręce, a trzeci prosto w oko, ja-ak...

To był jeden z wozaków. Ten, któremu Wilczarz oddał nóż. Dziwne. Dlaczego w ogóle chciał się chwalić tak niesławnie zakończoną bijatyką? Tym bardziej jeśli w pijanym widzie jednego przeciwnika wziął za pięciu. Ale żeby dwóch Wenów niby to trzymało go za ręce, a trzeci okładał bezbronnych pięściami...

Chłopak tymczasem jeszcze bardziej popuścił wodze wyobraźni.

- Właśnie wtedy zabrali mi nóż - poinformował słuchaczy. - Mężczyźni z nich wzrostu słusznego i potężni, ale i tak zdołałem wywieść ich w pole. Siła siłą, a rozum trzeba mieć. Przychodzę, znaczy się, następnego dnia, i idę do ichniego wodza. A powiedziec wam, czym on się tam zajmował? Plwociny nasze z podłogi ścierał...

Salwa śmiechu skwitowała słowa wozaka.

- No to podchodzę do niego, robię z siebie skromniejszą, i dalej mu wciskać ciemnotę: nóż, powiadam, ojcowy, dostałem go od rodziciela. Zlituj się, nie daj, powiadam, w sromocie zdychać. A on, prostaczek, zaraz się nade mną użalił i nożyk mi ze swojej nory wy niósł. Żeby się chociaż przyjrzał, ptasi mózdzek - przecie nóż nowusieńki...

Tym razem rechot nie był tak głośny. Nie wszyscy w Haliradzie zdążyli zapomnieć, że trzeba mieć poczucie wstydu przed rodzicami, więc nie wszyscy wybieg wozaka uznali za śmieszny. Inna sprawa - że była to jeszcze jedna miła okazja, żeby pośmiać się z Wenów.

Nie uszło uwagi Wilczarza, jak trwożne spojrzenie rzucił w jego stronę czeladnik. Wilczarz wskazał staruszkę i powiedział:

- Popilnuj jej tu, żeby od nikogo nie doznała krzywdy. A sam wstał i niespiesznie ruszył w stronę szynkwasu.

Wozaka dostrzegł niemal od razu. Siedział do niego plecami, stół przed nim zastawiony był pustymi dzbanami. Obok raczyło się piwem kilku miejscowych chłopców. Ktoś zaczął opowiadać kolejny dowcip z serii "przychodzi Wen do miasta", wszyscy się roześmiali. Wilczarz zbliżał się ku nim, wreszcie młody woźnica zauważył, że siedzący naprzeciw niego jeden po drugim milkną, patrząc gdzieś ponad jego głowę. Niezadowolony obejrzał się gniewnie...

Od góry do dołu mierzył go wzrokiem tamten Wen z zajazdu "Pod Ukochanym Dzieckiem". Patrzył i nawet powieka mu nie drgnęła. I milczał. I był bardzo podobny do tego, którego przed chwilą opisywał. Miał z sążeń wzrostu, cały jakby spleciony z żelaznych węzłowa- tych pasów. A nad ramieniem matowo połyskiwała mu ciężka rękojeść miecza. Wen cierpliwie czekał, aż przy stole całkiem się uciszy. I przy tym, i przy sąsiednich. Potem zaczął mówić. Nie bardzo głośno, ale było go dobrze słychać.

- Jeśli uważasz się za mężczyznę, wstań i odpowiedz za swoje słowa. A jeśli nie wstaniesz, to znaczy, żeś worek z łajnem. I nic więcej.

Znowu zrobiło się cicho. Przyglądała się im już cała oberża.



- Hej, folguj, Wenie! - burknął ktoś za plecami Wilczarza. Wilczarz nie odwrócił się i nie odpowiedział. Stał spokojnie, nieruchomo, z opuszczonymi rękami. Czekał. Patrzył na tego, który go obraził. I nie spuszczał wzroku.

Chłopak wprawdzie zdążył już wychylić kilka ładnych kufli piwa, ale nie był tak pijany jak w dniu bójki. Nie miał najmniejszego zamiaru umierać. Spuścił głowę, przygarbił się, odwracając oczy.

Wilczarz, widząc, że woźnica wcale nie zamierza wstawać, prędko nachylił się i szybkim ruchem, za którym mało kto nadażył wzrokiem, wyciągnął chłopakowi nóż z przytroczonej do pasa pochwy. Ten nóż. Pochwycił trzema palcami mocne ostrze i złamał je jak łuczywko. Cisnął na podłogę połamane części i w milczeniu, nie oglądając się za siebie, odszedł do stołu przy drzwiach, gdzie zostawił staruszkę. Wiedział, że usłyszy, jeśli woźnica mimo wszystko poważy się zrobić jakieś głupstwo. Albo ktoś inny. Ale nic takiego nie nastąpiło. Zanim doszedł do swojego stołu, oberzę już wypełniał zwykły gwar.

Choćby nie wiem jak wielki był smutek, nie można szlochać bez końca. Coś przelewa się w duszy i rozdzierająca rozpacz ustępuje miejsca tępej obojętności. Stara Welchinka, pochylona nad opróżnionym dzbanem, wycierała czerwone od łez oczy, ale już nie płakała.

Młody grabarz, który uważnie obserwował całe zajście, powitał Wilczarza z całym szacunkiem i nawet wskazał staruszkę, jak gdyby chciał powiedzieć, że się nią zajął. A kiedy po jakimś czasie hałaśliwą czeredą nadciągnęli jego kompani i zaczęli narzekać, że na ławie nie mają dość miejsca, pomachał w ich stronę ręką.

- Nic nie szkodzi, zmieście się jakoś...

- Opowiadaj, babciu, jeśli masz na to ochotę - rzekł Wilczarz.

*Na imię miała Kirena. Czterdzieści zim wstecz, kiedy była młodą dziewczyną, wstąpiła ze swym ukochanym na obyczajne małżeńskie łożo. Wesele wbrew wszelkim tradycjom urządzili nie jesienią, lecz pod koniec wiosny, bo sąsiedzi z Sakkarem grozili wojną i mężczyźni z ich plemienia, dzieci Srebrnego Obłoku, poszli na wojenną wyprawę. Starszyzna orzekła: niech pan młody pojmie ukochaną za żonę i choćby w potomstwie znajdzie swoje przedłużenie, jeśli sązione mu będzie zginąć.*

*I poszedł na wojnę jej ukochany. Jej Nad kland Ar-Katneil, zgrabny strzelisty jak topola, silny jak sto byków i rumiany jak jutrzienka. Poszedł by już nie powrócić...*

*Los okazał się niełaskaw i dla jego młodej żony. Bogowie nie zesłali jej dziedzica, a drugi raz za mąż nie poszła, wojownicy opowiedzieli jej bowiem, że Nada nie było wśród poległych. Pewnego dnia wyszła z domu i też nie wróciła. Wybrała, się do Sakkarem w nadziei, że tam odnajdzie męża. Nie odnalazła, sama popadła w niewolę. Długo miotano ją niby maleńką łupinką unoszoną przez nurt wielkiej rzeki. Wreszcie przybiła do brzegu i znalazła przystań: dziewięć zim wstecz tu, w Haliradzie, łaskawi krajanie Welchowcie wykupili ją z niewoli. Na szczęście za starą i bezzębną kobietę nie zażądano zbyt wygórowanej ceny. Została w tym mieście, zatrudniła się jako służąca u starej wdowy...*

*I właśnie dziś, kiedy poszła na targ po jarzyny na stół swej pani, zdarzyło się, że przechodziła*

*obok arranckiego statku ładowanego przed wypłynięciem w morze. I tam... koło pochylni z desek, po której włączano beczki pełne słynnych haliradzkich śledzi... stał... z rylcem i woskową tabliczką na piersi, zawieszoną na plecencie ze sznurka... z niewolniczą obrozą na szyi...*

- Nic się nie zmienił ten mój Nad... - Na oheblowaną Dłoń Bożą znowu spadły przezroczyste krople łez. - Jest tak samo piękny... tylko całkiem siwy...

*Kiedy ją zobaczył, złapał się za serce i omal nie umarł na miejscu. A potem rzucił się ku niej, ale wziąć jej na ręce - jak to drzewiej bywało - już nie mógł. Miał teraz tylko jedną rękę, drugą stracił jeszcze w młodości, w tej pierwszej bitwie. Ale objął ją tak samo mocno tą swoją jedyłą ręką!*

I tak stali, zapomniawszy o całym świecie. Aż srogie napomnienia nadzorczy przywołały ich do rzeczywistości i ściągnęły ze szczęśliwych niebios...

- I co potem? - spytał Wilczarz.

*A potem ona schodziła stare nogi, biegła po całym mieście, usiłowała zebrać wykup za męża. Statek ma dzisiaj wyruszyć w morze, a Darsjusz z Arrantiady pan Nada, wcale nie zamierzał czekać. Kirena obiegała wszystkich krewniaków Welchów, a potem pędem ruszyła na rynek, do dźwięcznego klonowego gongu, którym od wieków wzywali dobry lud skrzywdzeni i zrozpaczeni. Nie urodziła się w Haliradzie i nawet nie była Solwenką. Kto by mógł przypuszczać, że mieszkańcy miasta zechcą wysłuchać skargi potarganej staruchy? Tymczasem nie tylko jej wysłuchali, ale nawet zaczęli ciskać jej pod nogi pieniądze. Przeważnie, masie rozumieć, miedziaki, lecz trafiało się i srebro.*

*Zebrała dwa i pół konia.*

*Potrzebowała jeszcze cztery i pół...*

*Arrant albo się naigrawał, albo naprawdę niezmiernie wysoko cenił jednorękiego niewolnika, który potrafił zliczyć jego towary. Przy ludziach obiecał, że uwolni Nada za siedem koni srebrem. Nie więcej, ale i nie mniej: biada, jeśli zabraknie choć grosika. A kiedy znowu następnym razem zawita w Haliradzie - tego sam nie wiedział. Może już nigdy...*

- I właśnie wtedy, znaczy się, ty do bojara... - domyślił się Wilczarz.

Kirena skinęła głową. Czymże jest siedem koni dla bojara? Dla witezia z drużyny, bez miary obsypanego przez knezia wszelkim dobrem i łaskami? Srebrne oksydowane strzemię, od którego odepchnięto starą kobietę, samo to strzemię było więcej warte. Bojar Lewy. Od razu widać, że nieprawy. Na prawą stronę się nie odwróci. Może czujna ochrona towarzyszyła mu nie bez kozery. Niektórzy pewnie mieliby ochotę poderżnąć mu gardło...

- Chodźmy... - powiedział Wilczarz. Wstał i wziął Kirenę za ramię. - Chodźmy, waszmość, wykupimy twojego staruszka.

Nie wierząc własnym uszom, Welchinka przyjrzała się jego połatanej, wypranej koszuli, wytartym skórzanym pludrom i ledwie powstrzymała śmiech.

- Ale ty... ale ty sam, synku...

- Mam czym zapłacić - powiedział Wilczarz. Już nie mógł cofnąć tych słów. Poczł, jak ścisła mu się serce. - Chodźmy, zacna Kireno kland Ar-Katneil.

\*

Przyszli niemal w ostatniej chwili. Wielki, przysadzisty statek Arrantów jeszcze stał na przystani, ale przygotowania przed drogą dobiegały już końca. Lada moment na obu masztach załopocą pstre kwadratowe żagle, zaraz zostaną rzucone cumy i statek powoli popęźnie coraz dalej i dalej w morze, już po odbiciu od brzegu zostanie wciągnięta kotwica zawieszona na uplecionej z halisuńskiego konopnego włókna linie...

Wilczarz natychmiast zauważył jednorękiego Nada. Nieszczęsny starzec stał przy trapie i przestępował z nogi na nogę, wpatrując się w tłum. Rzeczywiście wysoki i barczysty, w młodości musiał być zaprawdę urodziwy. A na jego szyi dyndała obroża. Światli Arranci kazali swoim niewolnikom nosić obroże z mocnym uchwytem na łańcuch, żeby w razie nieposłuszeństwa łatwiej było przykuć niewolnika i przykładowo ukarać. Już Nad wypatrzył Kirenę, a potem dostrzegł idącego za nią rosnącego Wena... Wilczarz pojął, że początkowo Nad wziął go za syna starej kobiety. Może nawet za swego. Przecież nie mógł wiedzieć, w jakim plemienu wzrastał syn Kireny... Wkrótce jednak niewolnik zrozumiał, że się omylił, i tylko westchnął.

Tymczasem Kirenę i Wilczarza wyprzedził krępy, przysadzisty mężczyzna z rudą brodą, szybkim krokiem podszedł do trapu.

- Na statek! - władczo nakazał starcowi ruchem ręki. - W tej chwili odpływamy!

- Błagam cię, Nakarze... - Nieszczęsny niewolnik zgiął się w ukłonie. - Proszę, zawołaj pana...

- A może ci jeszcze tutaj przyprowadzić naszego Słonecznego Władcę? - odgryzł się Nakar. - Już, szybko, na górę, bo ci drugą rękę oberwę...

Wilczarz popatrywał na olbrzymią chmurę szczerzącą nad linią horyzontu śnieżnobiałe zęby. Żeglarze z Arrantiady lubili wypływać przed burzą. Trzeba było tylko o czasie minąć skaliste wysepki, a za nimi dmący w żagle wiatr pomagał szybko pokonać drogę do domu. Arranci byli wytrawnymi pogromcami mórz, nie bali się sztormu nawet na otwartym oceanie.

Stary Nad w rozpaczy odwrócił się do żony...

- Szanowna Kireno - odezwał się Wilczarz. - Powiedz temu rudobrodemu, że ja proszę, by zawołał tu pana.

Mało kogo nie znosił tak jak nadzorców.

- Pan położył się, odpoczywa - burknął Nakar, zanim kobieta zdążyła otworzyć usta. I znowu zwrócił się do Nada: - A ty mi się nie narażaj, Welchu...

- Szanowna Kireno - powoli, z ciężką nienawiścią powtórzył Wilczarz - niech ten człowiek, który hańbi swój ród, ten łajdak poczęty na kupie śmiecia przyprowadzi tu swojego pana. I powiedz mu tak, szanowna Kireno: jeśli jeszcze raz otworzy swoją śmierdzącą gębę, to udławi się własnymi kiszkaami.

Nakar, człowiek bywały, zrozumiał, dlaczego Wen wolał zwracać się doń za pośrednictwem starej kobiety. Pewnego siebie nadzorcę niełatwo było nastraszyć, ale tak naprawdę Wilczarz nie straszył. On go po prostu zamierzał zabić.

To podziałało lepiej niż jakiegokolwiek pogroźki. Mruczając coś pod nosem, Nakar wbiegł po trapie

na statek. Chciał znaleźć się jak najdalej od tego straszego Wena. Po jakimś czasie na pokładzie statku pojawił się Darsjusz, młody arrancki kupiec w skórzanych sandałach i w solidnym granatowym płaszczu zarzuconym na krótkie giezło z cienkiego złocistego jedwabiu. Taka sama złocista wstęga podtrzymywała nad czołem zadbane ciemne kędziory.

- O, Nad! - zdziwił się. - Czyżby rzeczywiście udało się zebrać za ciebie wykup?

Staruszek zadrżał i bezradnie obejrzał się na Wilczarza.

- Więc to ty - zwrócił się do kupca Wilczarz w języku Arrantów - obiecałeś przy świadkach uwolnić go za siedem koni wykupu?

Darsjusz przełożył nogę przez burtę i zaczął schodzić po trapie. Nakar szedł krok w krok za panem, spiesząc po drodze z ostrzeżeniem:

- Panie mój, to bardzo niebezpieczny łotr...

Kupiec uciszył go ruchem ręki. Poła płaszcza odwinęła się przy tym, ukazując krótki krzywy miecz zwisający przy lewym boku. Darsjusz najwidoczniej uważał, że włada nim po mistrzowsku. Zresztą może było tak naprawdę.

- W imię Pana Wszechrzeczy, barbarzyńco, jak wspaniale znasz mój język! - rzekł. - Kim jesteś? Jak na zwykłego najemnika mówisz zbyt gładko...

- Czy to ty obiecałeś uwolnić jednorękiego za siedem koni wykupu? - powtórzył Wilczarz.

- Tak. Nie zamierzam wypierać się własnych słów. Tylko widzisz, drogi barbarzyńco, wybacz, twój wygląd żadną miarą nie wskazuje, że w twojej sakiewce znaleźć można choć ćwierć konia, nie mówiąc już o siedmiu. Czyżbyś chciał zaproponować mi siebie zamiast niego?

Kirena wydała stłumiony okrzyk, a kupiec obrzucił Wilczarza z góry na dół taksującym spojrzeniem znawcy i pokręcił głową.

- Nie, wybawcie mnie Bogowie Niebiańskiej Góry od takich niewolników! No więc...

- Mam czym zapłacić - przerwał mu Wilczarz. Rozpiął na piersi nowiutką błyszczącą sprzączkę, wyciągnął z uszek długi pasek i zdjął miecz z pleców. Wydawało mu się, jakby plecy owiał mu lodowaty wiatr. Wziął pochwę w lewą rękę, a prawą wyciągnął z niej cudowną buro-srebrzystą klingę, zdając sobie sprawę, że robi to po raz ostatni w życiu.

- Weź - rzekł do Arranta.

Oczy Darsjusza zrobiły się okrągłe.

- Jesteś ich synem? - zapytał zdumiony. - Nie.

- Więc dlaczego to robisz?

- Przyniosłem ci wykup - rzekł Wilczarz. - Weź go.

Kupiec jak gdyby się ocknął i nie odrywając oczu od miecza, od niechcienia rzucił nadzorczy:

- Nakarze, zdejmij Nadowi obrozę, oddaję niewolnika temu człowiekowi.

Musiał nieźle znać się na broni i w lot pojął, jak drogocenna jest klinga. Wziął miecz, a Wilczarz niemal usłyszał głuchy jęk pełen złości i rozpacz, w piersi poczuł pustkę i chłód. Posępny Nakar skłonił się przed panem, wbiegł na statek i bardzo długo nie wracał. Widocznie klucza, którym rozpinał obrozę, nieczęsto używał, trzymał go zatem gdzieś głęboko schowany.

- Barbarzyńcy, plemię dzikie, a robią... taka perła do moich zbiorów - półgłosem mówił sam do siebie Darsjusz. Obracał i z wielkim upodobaniem gładził błyszczące ostrze. A Wilczarz w tym momencie zrozumiał, jak czuje się mężczyzna, na którego oczach ktoś zaczyna obłapiać jego żonę. - Ten miecz jest wart o wiele więcej niż siedem koni - odezwał się doń Darsjusz. - Poślę po płatnerza, by określił wartość tej broni. Wyplacę ci sumę powyżej kwoty siedmiu koni. Jakie chcesz monety? A może wolisz kamienie szlachetne? Mam kilka do rodnych szmaragdów z Gór Szmaragdowych...

- Nie chcę wymieniać go na srebro - rzekł Wilczarz. - A więc dajesz wolność temu niewolnikowi?  
- Oczywiście, ale...

Wilczarz skinął głową, w milczeniu wyminął go i podszedł do Nada. Na pewno powinien był poczekać, aż powróci Nakar i zgodnie z prawem rozepnie obrozę, którą starzec, nie wierząc własnemu szczęściu, powoli obracał zamkiem do przodu. Na pewno. Koło zamka przy obróźce znajdował się dobrze znany Wilczarzowi uchwyt na łańcuch. Wten złapał dwiema rękami obrozę, aż zazgrzytała, a potem pękła razem ze skórzaną podkładką. Rozgiął ją i wyrzucił do wody.

- Dobrze, że twój miecz jest taki cenny - wesoło roześmiał się Arrant i w żartach pogroził Wilczarzowi palcem. - Zniszczyłeś moją własność, barbarzyńco. Oddałem ci niewolnika, ale nie obrozę.

- Życzę ci szczęścia, kupcze - powiedział Wilczarz.

W tym momencie pomiędzy ludźmi z załogi, gapiącymi się na całą sytuację z pokładu, pojawił się rudobrody Nakar.

- Długo kazałeś na siebie czekać - machnął nań ręką Darsjusz, w drugiej ręce trzymał miecz Wilczarza. - Tobie też życzę szczęścia, barbarzyńco - powiedział, wchodząc na statek. Kiedy tylko znalazł się na pokładzie, potężnie zbudowani marynarze żywo wciągnęli trap, a pracownicy brzegowi zabrali się do odwiązywania lin. Jaskrawe kraciate żagle zatrzepotały na wietrze, poszybowały na maszty w rytm zgodnych okrzyków załogi. A wiatr wiał akurat taki jak trzeba, statek na pewno zdąży przed burzą minąć wyspy.

Wilczarz nie odprowadzał odpływającego żaglowca wzrokiem. Patrzył na obejmujących się i płaczących staruszków i zastanawiał się, czy będą mieli gdzie się podziać na noc i co powie Waroch, jeśli przyprowadzi mu jeszcze Nada z Kireną...

Zobaczył, że starzec chwieje się na nogach i osuwa na ziemię. Zdążył pomyśleć, że szczęście, które tak nieoczekiwanie na biedaka spadło, trzeba będzie jeszcze unieść... Pochwyił Nada, ułożył go twarzą do góry na zrobionym z okrągłych drewnianych kłoców pomoście, wygładzonym przez wiele setek nóg. Wiedział, jak pobudzić do działania serce, które przestało bić, jak na nowo rozpalić przygasły płomynek życia...

- Nie budź go - cicho powiedziała Kirena. - Niech śpi... Wilczarz chciał zaprzeczyć, ale się rozmyślił. Kirena siedziała obok męża i wodziła palcami po jego twarzy, z której już zaczynały zniknąć zmarszczki.

- Teraz już nigdy się nie rozstaniemy - powtarzała cicho. - Teraz już nigdy się nie rozstaniemy...

Zaczekaj na mnie, ja też.

Słońce nagle przygasło i Wilczarz mimowolnie odwrócił się w stronę morza. Chwilę potem usłyszał z tyłu ciche westchnienie i zobaczył, że Kirena już nie siedzi, leży obok męża, złożony głowę na jego piersi. Spotkali się, aby się już nigdy nie rozstać.

Burzowa chmura wspinała się coraz wyżej po nieboskłonie, wyglądała jak gigantyczna dłoń rozcapierzona nad horyzontem. Obiecywała arranckiemu statkowi dobry wiatr. Może błogosławiła, a może przeklinała... Wierzch chmury płonął białymi perłami, u dołu bezgłośnie rozbłyskiwały czerwone iskry. Słońce skryło się całe i liliowe kręgi obłoków zmieniły się w ciemnoszarą ścianę, która powoli opadała na miasto.

Dusze Kireny i Nada, objawszy się, na pewno już kroczyły razem po przezroczystych morskich falach w stronę zachodzącego słońca, tam gdzie jak szklana góra wznosiła się nad mgłami Wyspa Jabłek - welski raj Trójroga, Ojlen Ul...

Kupcy, spodziewając się rychłego nadejścia deszczu, zwijali stragany i kramiki, a kupujący spieszyli się, by nabyć to, po co przyszli na targ. Nie było już czasu na dobijanie ceny - i jedni, i drudzy skwapliwie wykorzystywali tę okazję. Ludzie popatrywali na leżących nieruchomo staruszków i klęczącego obok nich Wilczarza. Niektórzy kręcili głowami i szli dalej, niektórzy się zatrzymywali, szczególnie ci, którzy wcześniej wsparli Kirenę swoją miedzią i srebrem.

- Jednak wykupiła męża? - pytali Wilczarza. A on odpowiadał:

- Tak, wykupiła.

Tymczasem kłębiący się strzępek chmury zawisł już nad ich głowami, po powierzchni morza zaczęły się ślizgać ołowiane błyski. Plac szybko pustoszał, tylko arrancki Władca Mórz jak i wprzód groził komuś - nie wiadomo komu - swoim harpunem. Wilczarz spotkał się spojrzeniem z pięknym młodym Welchem, który najwyraźniej nie zamierzał odejść, i powiedział:

- Idź do waszego starosty, niech przyśle tu ludzi...

\*

Do domu wracał już w ulewnym deszczu. Powoli szedł pustymi ulicami, na których nie było widać nawet psa. Błyskawice z traskiem rozrywały mokre szare niebo, ale on się nie modlił. Władca Burzy i tak wiedział, co dzieje się w jego duszy. A zatem po co został mu powierzony ten prześwietny miecz, dziedzictwo starego kowala? Wilczarz wprawdzie przypomniał sobie co najmniej dwie dobre sprawy i troje ludzi. Miecz pomógł mu uwolnić Eurycha spod władzy kapłanów. Dzięki mieczowi małżeństwo staruszków zdążyło się objąć jeszcze tu, na ziemi, zanim posiadli się na wieki w niebiosach. Wilczarz znał wiarę Welchów. Ten, kto umarł jako niewolnik, i na Wyspie Jabłek będzie czyimś sługą. Nad i Kirena odeszli jako ludzie wolni. Odeszli, trzymając się za ręce. Może w przyszłym życiu nie będą musieli szukać się tak długo.

Powiadają, że wyruszać w podróż w deszczu to dobry omen...

Na wyspie Ojlen Ul Nad zbuduje dom dla ukochanej i będą tam szczęśliwi. Być może - kto to wie - znajdzie się młodzian, który zechce zostać ich synem. Zaprawdę warto było oddać za to miecz, nie ma czego żałować. Zresztą rozumna klinga nie pozostałaby długo w rękach człowieka,

który nie byłby wart - o czym Wilczarz był głęboko przekonany - dobrego słowa. To nie jest miecz, który potulnie wisi na ścianie. A może poweźmie zamiar, aby wraz ze statkiem zanurzyć się w zielone morskie głębiny, wypełniwszy wszystko, co było mu przeznaczone na ziemi?

Nie ma czego żałować.

Wilczarz przemókł do suchej nitki, woda strumieniami ciekła mu po włosach, twarzy i spływała w dół, już nie wsiąkając w przylepione do ciała ubranie. Kiedy Welchowie, zgodnie z tradycją, zabrali zmarłych do łodzi, jeszcze długo siedział na brzegu morza, wpatrując się w szarą ścianę deszczu, która zamykała się jakieś dziesięć kroków od niego. A potem wstał i ruszył przed siebie bez celu. Zmarzył, ale nie spieszył się do miejsc, gdzie mógłby się ogrzać. Było mu wszystko jedno.

Nie ma czego żałować. To dlaczego chciało mu się wyć, jak wyje głodny pies zostawiony na łańcuchu przez swego pana?

Dzień, przybity do ziemi bryłami chmur, przygaśł wcześniej, niż powinien. Wilczarz dotarł do pracowni Warocha o granatowym zmierzchu. Zatrzymał się pod dachem ganku, zdjął koszulę i zaczął ją wyżywać. Szczeniak wyczuł go pierwszy. Rozległo się głośne ujadanie, małe pazurki zaczęły drapać drzwi z tamtej strony. Malec zapewne stanął na tylnych łapkach i na całego merdał puszystym ogonkiem, witając Przewodnika. Wilczarz wyciągnął rękę, by otworzyć drzwi, ale w tym momencie same otworzyły się na powitanie.

Szczeniak z radosnym popiskiwaniem rzucił mu się do nóg, lecz Wilczarz zupełnie o nim zapomniał - jak oniemiały wpatrywał się w człowieka, który stał w progu.

Człowiek ten był podejrzanie podobny do Tilorna - tego samego wzrostu, tak samo chorobliwie chudy. Te same delikatne rysy bladej twarzy o zapadniętych policzkach. Te same ciemnofioletowe oczy, w których połyskiwały dobre iskierki śmiechu, zawsze skore rozbłysnąć. Ale to nie był Tilorn. Zamiast wspaniałego srebrnowłosego mędrca przed Wilczarzem stał całkiem młody mężczyzna o krótko ostrzyżonych włosach koloru popiołu, bez śladu zarostu. Miał na sobie nie białe giezło sięgające do pięt, lecz zwykły męski strój, który po prawdzie wisiał na nim jak worek.

- Widzisz, jak niebezpiecznie jest zostawiać mnie bez opieki - odezwał się ten człowiek głosem Tilorna. Było widać, że ma ochotę rozeźmiać się na cały głos, ale na widok oniemiałego Wilczarza stawał się coraz bardziej zmieszany. - Postąpiliśmy tak, jak nakazuje wasz oby czaj - pospiesznie zapewnił Wena. - Wszystko spaliliśmy, a to, co zostało, zakopaliśmy...

Mógłbyś nic nie mówić, z bezbrzeżnym zmęczeniem pomyślał Wilczarz i sam się nawet zdziwił swej obojętności. Ostrzygłeś się, no toś się ostrzygł. Jeśli, durniu, nie rozumiesz, że odciąłeś sobie połowę sił życiowych, to twoja sprawa. A co myślisz? Że nie dawałem ci podcinać brody z powodu zwykłej zachcianki?

Z głębi domu wychylił głowę Eurych i zaraz spytał:

- A gdzie twój miecz, Wilczarzu?

- Ano właśnie, gdzie? - zorientował się Tilorn.

Wilczarz w milczeniu wyminął ich i przeszedł przez pracownię, starając się nie pozostawić mokrych śladów. Wyszedł na tylny ganek, usiadł na mokrym od kropli stopniu i zaczął wsłuchiwać

się w szum deszczu. Tilorn został w domu i coś tłumaczył Eurychowi, ale Wilczarz nie natężył słuchu. Nie myślał o niczym, a w jego głowie panowała pustka jak w świeżo wykopanym grobie.

\*

*...Pieczara. Pochodnie kopcą. Skrzydlate cienie miotają się u góry. Kosmaty, pobrzękujący łańcuchami tłum...*

*Czasami nadzorcy chcieli się rozerwać. Wtedy któryś z nich proponował niewolnikom pojedynek, jako że dopiero pewna domieszka ryzyka nadaje przyjemności prawdziwy smak. Wyzwanemu na pojedynek niewolnikowi zdejmowano kajdany, mógł walczyć gołymi rękami albo kamieniem, jeśli zdołał go wyrwać spod nóg. Stawał do wałki z nadzorcą uzbrojonym w bicz i nóż, a czasem ubranym w kolczugę. Niemniej chętny do pojedynku zawsze się znajdował, gdyż temu, kto pokona nadzorcę, obiecywano wolność. To był pojedynek na śmierć i życie. Ten, któremu zdejmowano kajdany, wiedział, że tak czy inaczej więcej ich nie będzie dźwigać. Albo wyjdzie na wolność, albo zginie. Nadzorcy zawsze zwyciężali, w ten sposób w dziejach Gór Szmaragdowych wolności nie wywalczył sobie ani jeden niewolnik. Mimo to chętny do pojedynku zgłaszał się zawsze. Niektórzy myśleli, że ktoś kiedyś będzie wreszcie tym pierwszym - może to będę ja? Przecież ktoś powinien odwrócić zły los - czemu więc nie ja? A dla niektórych pojedynek był sposobem na samobójstwo...*

*I wreszcie nastał ten dzień - a może wcale nie był to dzień, któż w podziemiu rozróżni, czy to dzień, czy to noc - kiedy nadzorca Wilk wyszedł naprzód i rzekł:*

*- Hej, szczurojady! Jak tam, czy któryś z was chce wyjść na wolność?*

*-Ja- odezwał się natychmiast niski, przytłumiony głos. To powiedział młody niewolnik uważany za bardzo niebezpiecznego i zawsze wysyłany do robót, które trzeba było wykonywać w pojedynek. Skrócono mu łańcuchy przy kajdanach, żeby nie mógł się zamachnąć ani zrobić większego kroku. Teraz wyjątkowo znalazł się w jednej grupie ze wszystkimi, miał być przeprowadzony do pracy w innej części kopalni.*

*- Ty? - z udawanym zdziwieniem zapytał Wilk. - Jeszcześ nie zdechł? Szary Pies nie odpowiedział, jako że nie godzi się rozmawiać z wrogiem, którego masz zabić.*

*Zanosilo się na wyjątkowe widowisko. Obaj uczestnicy pojedynku byli Wenami, a Wenowie cieszyli się sławą jako niepokromieni wojownicy, którzy nawet gołymi rękami zdolni byli do wielkich czynów. Niektórzy wiedzieli, że tych dwóch swego czasu przywiózł do kopalni jeden handlarz niewolników i że chłopcy w drodze próbowali razem uciec. Potem ich ścieżki się rozeszły i teraz, po siedmiu latach, w kręgu pochodni stali naprzeciw siebie dwaj wrogowie. Dwóch młodych mężczyzn, obaj niewolnicy. Szary Pies, który rok temu został zamęczony prawie na śmierć, a jednak przeżył. I Wilk, jego oprawca...*

*Człowiek, który rozkuwał kajdany, popatrywał nań z lękiem. Najpierw uwolnił mu nogi, a potem wyciągnął rękę w stronę obroży, ale zaraz krzyknął i cofnął dłoń - Nielot Gacek ugryzł go w palec kłującymi jak igiełki zębami. Z tłumy niewolników dał się słyszeć złowrogi chichot i posypał się grad uwag w kilku językach.*



- Weź go ugryź w inne miejsce, nasz mały mścicielu.

- Nam piętna wypalał gorącym żelazem, a sam kwiczy jak niedorznięte prosię.

Ktoś jeszcze dodał:

- Pokaż mu, Szary Psie, pokaż!

Szary Pies przykrył dłonią złowrogo syczącego Gacka. Kopalniany posługacz, przez pomyłkę nazywany kowalem, mógł już bez przeszkód zdjąć mu obrozę, potem - dopiero w ostatniej kolejności - uwolnić ręce. I jak najszybciej odsunął się na bok, ssąc ugryziony palec. Szary Pies rozprostował ramiona, jak gdyby na nowo sprawdzał swoje własne ciało, które odwykło od swobodnych ruchów. I zrobił krok do przodu. Wilk czekał na niego, trzymając w prawej ręce bicz, a w lewej długi kindżał, którego zakrzywiona klinga była zakończona graniastokształtnym jak szydło szpikulcem. I jednym, i drugim narzędziem walki Wilk władał niezłe. Mogli się o tym wielokrotnie przekonać zarówno katorżnicy, jak i inni nadzorcy, wszyscy, którzy mieli w sobie dość śmiałości lub głupoty, aby z nim zadrzeć.

- No - powiedział, zamierzając się biczem. - Podejdź tu.

Był syty i silny, ten Wilk. Syty, silny, sprytny i pewny siebie. Szary Pies stał nieco pochylony i nie odrywał od niego oczu.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu: zaraz bicz Wilka smagnie Szarego Psa, niczym polujący drapieżny wąż uderzy przeciwnika po oczach... Ale stało się inaczej. Wilk wykonał szybki wypad do przodu, wysuwając nagłym ruchem przed siebie rękę, w której trzymał kindżał wycelowany w brzuch niewolnika.

Szary Pies błyskawicznie odskoczył do tyłu, unikając niechybnej śmierci.

Tłum skutych kajdanami widzów głucho zawył, zafalował. Przyciśnięci do ściany niewolnicy gramolili się na wystające kamienie. Niektórzy próbowali wesprzeć się na czyimś ramieniu, ktoś upadł, klnąc na czym świat stoi. Każdy chciał zobaczyć na własne oczy tę walkę, o której potem rzeczywistość krążyły legendy.

Dwaj przeciwnicy znów nieruchomo stali naprzeciw siebie i teraz już mało kto wątpił, że Wilk puści w ruch swój bicz. Znowu stało się inaczej. Wilk jeszcze raz zaatakował nożem - na pewno liczył na to, że Szary Pies nie będzie się spodziewał powtórnego ciosu.

Niewolnik znowu zdołał zrobić unik, w ten sposób ponownie uratował się od śmierci. Tym razem jednak wypad był w połowie zamarkowany - Wilk użył też bicza. Długi rzemień z sykiem przeleciał nad samą ziemią. Miał owinąć się wokół nogi Szarego Psa, pozbawić go równowagi. Niewolnik z wielkim trudem, ale jednak zdołał przeskoczyć nad wijącym się jak wąż pejczem. Tymczasem Wilk częściowo osiągnął cel. Lekki ruch łokcia i bicz, powracając, odbił się od ziemi i zdarł skórę z ramienia niewolnika. Szaremu Psu, jak potem opowiadano, nie drgnął w twarzy ani jeden mięsień. Zamiast niego jęknął tłum.

- Chodź tutaj - rzeki Wilk i głośno przeklął. - Chodź, tchórze!

Szary Pies nie dał po sobie poznać, że słyszał te słowa. Już od dawna nie nabierał się na takie wybiegi. Co to, to nie. Jeszcze zewrze się z Wilkiem pierś w pierś, lecz zrobi to po swojemu i

wtedy, kiedy sam uzna za stosowne. Ale nie wedle woli Wilka. Jeśli przyjdzie mu zginąć, będzie to śmierć godna wolnego człowieka. Bo walczyć będzie jak wolny człowiek, a nie jak zapędzony w kąt szczur...

Bicz Wilka świsnął tym razem górą - celował w twarz niewolnika, ale Szary Pies podniósł rękę i batog, rozdawszy skórę, owinął się wokół ręki i tam został. Teraz walczący byli związani ze sobą na śmierć i życie, gdyż Wilk nie miał zamiaru wypuszczać bicza z ręki. Ostrze kindżału rozcięło gęste zaprzęte powietrze. Rude odblaski pochodni ściekały zeń jak płynny ogień. Graniaste ostrze już miało uderzyć w pierś Szarego Psa, wycelowane akurat w dziurę w łachmanach, gdzie pod niemy tą skórą i naprężonymi strunami mięśni wyraźnie rysowały się żebra. Prawa ręka niewolnika poszybowała w górę i w bok, na ukos, zdążył... tak, zdążył chwycić i ścisnąć żyłasty nadgarstek nadzorcy, aż zachrzęściły kości.

Dużo bardziej doświadczony Wilk kopnął. Szary Pies jeszcze się nauczył odgadywać i uprzedzać najmniejsze ruchy rywala, a nawet kilku rywali, lecz na razie tego nie umiał i mało co mógł przeciwstawić dobrze zbudowanemu Wilkowi. Miał tylko zwierzęcą siłę i tak samo zwierzęcą wolę śmierci - ale przedtem musiał zabić. Po kopniaku w brzuch zgiął się wpół, kindżał z paskudnym chrzęstem wdarł się dokładnie w miejsce, w które chciał trafić Wilk. Szary Pies zrozumiał, że umiera.

Tak było rzeczywiście - kiedy próbował nabrać powietrza, z ust pociekła mu krew. Ale ciągle jeszcze żył. Na razie żył...

Wilk za późno pojął, że na własną zgubę zbyt się zbliżył do umierającego. Już cieszył się ze zwycięstwa i nie odskoczył od razu, kiedy powziął zamiar wbicia noża aż po rękę. Ten błąd kosztował go życie. Ręka Szarego Psa, drgająca przy przebitym boku, nagle wystrzeliła do przodu, rozcapierzone palce mknące w stronę oczu niby żelazne gwoździe były ostatnią rzeczą, jaką zobaczył Wilk. Zdążył wydać z siebie straszliwy okrzyk i podnieść ręce do twarzy, ale tylko pomógł Szaremu Psu unieść drugą rękę, albowiem bicz, owinięty wokół nadgarstka niewolnika niczym skórzana pętla, nadal wiązywał uczestników pojedynku jak nierozcięta pępowina. Szary Pies chwycił Wilka za gardło i wydusił z niego życie. Ciało martwego nadzorcy osunęło się jak bezkształtna masa. Dopiero wtedy z lewej ręki zwycięzcy zsunął się okręcony wokół nadgarstka rzemień bicza, pozostawiając ociekający szkarłatną krwią spiralny ślad.

- Wilczarz! Dusiciel wilków! Zadusił Wilka, zadławił go! - krzyknął z tłumu ktoś, kto wiedział, jak nazywa się rasa wielkich szarych psów polujących na wilki. Z bocznych tuneli, roztrącając rozkrzyczanych katorżników, przybiegli nadzorcy. Niebawym rezultatem pojedynku mógł zaowocować bunt.

Odgrodzony od współbraci zwartą ścianą pokrytych porzewiałymi kolczugami pleców, Wilczarz jeszcze przez jakiś czas trzymał się na nogach, uparcie nie chcąc upaść, choć wedle wszelkich prawideł dawno powinien runąć na ziemię i wyzionąć ducha. Przyciskał dłoń do rany, pomiędzy palców wydobywały się lepkie pęcherzyki. Wiedział, że ma jeszcze dość sił, aby dostać się do wrót, które prowadzą do wolności, choćby znajdowały się na końcu świata. Wiedział jeszcze jedno:

że nadzorcy otworzą wrota i wypuszczą go, nie dobiją po drodze, gdyż pozostali niewolnicy wcześniej czy później i tak by się dowiedzieli, a to by oznaczało, że już nigdy nie udałoby się znaleźć chętnych do pojedynków, które dla nadzorców stanowiły ich jedyną rozrywkę. Po co niewolnik miałby się zgłaszać do walki, skoro i tak nie będzie mógł wyjść na wolność?

...Niezbýt dobrze pamiętał chwile, kiedy go prowadzono przez kamienne korytarze. Świadomość mu się zacierała, ale nogi same go niosły krótkimi kroczkami - dokładnie takimi, na jakie pozwalał mu przez lata łańcuch skuwający kajdany. Robiło mu się coraz zimniej - czy to z tego powodu, że zbliżali się do wyjścia na powierzchnię wystudzoną wiecznym mrozem, czy to z powodu utraty krwi, która z każdym uderzeniem serca wypływała z rany i czarnymi kleksami znaczyła jego drogę. Prawie wszędzie kleksy te momentalnie znikną zdeptane setkami ciężko stąpających nóg - krew na kamieniach kopalni to widok zwyczajny. Ale gdzieś tam te plamy się zachowują i niewolnicy będą je pokazywać nowicjuszom na dowód, że legenda o niewolniku, który wywalczył sobie wolność, jest szczerą prawdą, nie żadnym wymysłem...

Szedł, podtrzymywany nie wiedząc jaką siłą, całą wolę natężył tylko po to, by zrobić jeszcze jeden kroczek i nie upaść. Przed oczami przepływały mu plamy czyichś twarzy, ale on nie mógł im się nawet przyjrzeć jak należy, a już tym bardziej rozpoznać. Krok. Trzymaj się, Wilczarzu, trzymaj się, nie umieraj! I jeszcze jeden krok. I jeszcze jeden.

...I uderzyła wielka światłość, która wypalała oczy nawet przez zaciśnięte powieki. To świeciło bezlitosne górskie słońce na szafirowym niebie nad samym wyjściem z pieczary. Jak tylko wyciągniesz rękę - zanurzy się w ogniu. Wilczarz usłyszał, jak wrzasnął przerażony Nielot Gacek, cudem ocalały w pojedynku. A potem rozległ się głos przypominający głos człowieka:

- Oto twoja wolność. Możesz iść...

Silny mróz na jakiś czas pobudził otumaniony bólem umysł i Wilczarz próbował coś zobaczyć, choć oczy nienawykłe do dziennego światła mrużyły się i łzawiły. Tuż przed nim połyskiwał na słońcu błękitem pocięty rozpadlinami garb lodowca ściśniętego z obu stron czarnymi skalami wąwozu. Wgramolił się na śnieg i ruszył przed siebie. Zdawał sobie sprawę, że niewolnicy pracujący na hałdach odprowadzają go wzrokiem. Muszą zapamiętać ten widok i powiedzieć innym, że ruszył w drogę. Na pewno padnie i umrze za pierwszą skałą, ale niech zapamiętają, że wyszedł na wolność. O własnych siłach.

Miał bajeczne szczęście - nie wpadł w żadną z rozpadlin i nie zamarzł z połamanymi nogami w krystalicznym, poprzecinanych słonecznymi promieniami słońca grobowcu. Bogowie mu sprzyjali. Szedł coraz dalej i dalej, od czasu do czasu otwierając oślepienie oczy, żeby zobaczyć, jak powoli przybliża się skała, za którą żaden z niewolników nie dostrzeże już jego upadku, skała, za którą na pewno przewróci się i umrze. Szedł do niej całą wieczność, a życia stałe w nim ubywało. Czepiając się oblodzonych kamieni, minął skałę i upadł, ale nie wiedząc czemu nie umarł od razu, tylko przestał widzieć, słyszeć i myśleć. Nielot Gacek usiadł na jego piersi, przytulił się, przywarł doń całym ciałkiem i żałośnie zapłakał.

Wilczarz już nie widział tego, jak bezszelestnie przepłynęły nad nim dwa skrzydlate cienie, a

*wkrótce potem ostrożnie przybliżyły się krule, wielkookie postacie, bardzo podobne do ludzi...*

\*

Wilczarz poczuł, że gdzieś w głębi piersi rozpała mu się powoli ogień bólu, jak zaszczute zwierzę rozejrzał się wokół i wtulił twarz w kolana. To był drugi tego dnia silny, bezlitosny atak kaszlu. Płuca miał jakby wysypane w środku pieprzem, najchętniej wyrzuciłby je na drugą stronę i wytrząsnąłby z nich wszystkie grudki i strzępki... Przeszły mu dreszcze, zaniósł się kaszlem i nie od razu poczuł na ramieniu czyjeś dłonie. To nie był dobry znak. Chciał je z siebie zrzucić, ale nie dał rady - ścisnęły mocno. Zmusiły go do tego, by się wyprostował, do jego gołej piersi przywarły dwie twarde, wąziutkie rączki. Neelith... Neelith? W tym momencie zrozumiał, że zacznie go leczyć czarami. Nie mógł dopuścić do takiego zgorzenia. Chciał się wyrwać, wstać, ale kaszel powalił go z nową siłą. Nie dał rady się przeciwstawić.

A krzepkie rączki ze znanstwem przesuwały się, gładziły jego ciało, aż wreszcie zielone kręgi, które wirowały mu przed oczami, powoli zaczęły blednąć. Z dłoni Neelith spływało cudowne złote ciepłko, które wyganiało, gasiło purpurowy płomień i uspokajało, uspokajało...

Odzyskał przytomność i otworzył oczy. Przez chwilę zdawało mu się, że z rąk Neelith naprawdę spływało słabe złote światełko. Ale to była tylko chwila.

- Już ci życie niemile? - spytał Wilczarz schrypniętym głosem. Otrząsnął się i zobaczył, że trzymali go, a właściwie podtrzymywali, we dwóch. Tilorn podpierał go od tyłu i wielce nieprzyzwoicie głaskał po mokrej głowie, a Eurych trzymał go za ramiona, zaglądał w oczy, na jego twarzy malowało się autentyczne współczucie. Nie wiedzieć czemu właśnie to ostatecznie rozeźliło Wilczarza, który postanowił im się wyrwać.

- Nie bój się o Neelith, przyjacielu - rzekł doń Tilorn. - Wiem, cze go się boisz, ale tak się nie stanie. Na tym świecie kobiety obdarowano szczodrzej niż nas. Jestem mężczyzną, jedyne, co potrafię, to od dać swoją siłę... albo kierować cudzą siłą, jeśli ktoś sam tego chce. Neelith natomiast potrafi przyzywać to, co twój naród nazywa Prawdą Bogów, a mój energią kosmosu...

Wilczarz słuchał z niedowierzaniem, lecz przypomniał sobie, że kiedy leczyli Eurycha, to on sam - przecież chłop na schwał, wojownik - był taki słaby, że nie miał siły nawet się podnieść, a potem przespał dwa dni z rzędu. Wtedy właśnie odezwał się ten kopalniany kaszel, który - jak mu się wcześniej zdawało - już nie miał prawa wrócić. Tymczasem Neelith jak gdyby nigdy nic krzątała się przy gospodarstwie, myła zakrwawioną podłogę...

Mieli rację. Tak, na pewno. A w każdym razie zdawali sobie sprawę z tego, co robili. Tyle że Wilczarz był zupełnie nieprzyzwyczajony do tego, że ktoś mu pomaga. W odróżnieniu od Tilorna w ogóle nie umiał przyjmować pomocy. A już zwłaszcza jeśli nosiła wszelkie znamiona poświęcenia. Otworzył usta, by podziękować Neelith, lecz w tym momencie odezwał się Eurych:

- Gdzieżeś się nabawił takiego kaszlu, barbarzyńco? Myślałem, że żaden deszcz ci niestraszny... - Wilczarz łypnął na niego ze złością i młody Arrant nieoczekiwanie się roześmiał. - O, widzę, że się gniewasz. Więc jeszcze nie jest z tobą aż tak źle, jak myśleliśmy...

Zaczęli go podnosić, ale bez trudu uwolnił się spod ich opieki i wstał o własnych siłach.

- Chodźmy do domu - rzekł Tilorn. - Dość się tu namarzłeś.

A Neelith po prostu wzięła Wilczarza za rękę i poprowadziła do drzwi wejściowych.

Po przestąpieniu progu Wilczarz od razu poczuł, że w domu płonie ogień - ogień, który chronił przed chłodną wilgocią, jaką ciągnęło na dworze. Zujko, dumny z tego, że powierzono mu ważne zadanie do wykonania, trzymał nad węglami miedziane naczynie na długiej drewnianej rączce. Nad kociołkiem unosił się zapach miodu, kwiatu lipy, wrzosu i czegoś jeszcze. Neelith wręczyła Wilczarzowi parującą czarkę i on wychylił zawartość bez słowa sprzeciwu. Neelith była jedyną osobą, której dałby posłuch. Nawet gdyby zechciała dotknąć jego czoła.

- Dziękuję - wypowiedział to słowo do wszystkich, nie wyszczególniając, do kogo kierował podziękę.

Najbardziej był im wdzięczny za to, że nie zaczęli go wypytywać, gdzie się podział jego miecz.

\*

Ranek nastał wietrzny, różowy i do czysta wymyty. Zaraz po wschodzie słońca do domu Warocha, człapiąc po jeszcze niewyschniętej po porannej ulewie ulicy, zawitał Brawlin, dowódca oddziału straży.

- Chodź ze mną, młodzieńcze - zwrócił się do Wilczarza, przywitawszy się uprzednio z gospodarzem i mieszkańcami.

- A to niby dokąd? - Podejrzliwy Wen się nastroszył.

- Do zamku. Knezinka, pani nasza, przysłała mnie tutaj, bo ja cię niby znam. Kazała, żebyś co prędzej przyszedł.

- Po co? - ponuro spytał Wilczarz, podnosząc się z miejsca.

- Strasznieś ciekawski, młodzieńcze - warknął Brawlin. - Jak przyjdziemy, to sam się wszystkiego dowiesz.

- Może i my byśmy poszli? - ostrożnie spytał Tilorn. Eurych i Neelith z niepokojem spojrzeli na Warocha, ale mistrz tylko wzruszył ramionami.

- Nie trzeba - burknął Wilczarz. I wyszedł z Brawlinem.

Ci, co żyją na obczyźnie, zawsze trzymają się razem z rodakami. Welchowie, którzy mieszkali w Haliradzie niemal od dnia powstania grodu, osiedlili się przy dwóch długich ulicach. Najbliższa droga do twierdzy prowadziła niedaleko ich domów i uszu Wilczarza dolatywały fragmenty pieśni i bezładne, ale uparte dudnienie welskich piobów - dud zasilanych powietrzem ze skórzanego worka. Wszystkie pieśni były pełne wigoru i radości. Wiara Welchów nakazywała, by zmarłych do samego pochówku nie zostawiać samych. Zabawiano ich tańcem i śpiewem, aby odlatujące dusze napęliły się wdzięcznością dla krewnych, którzy urządzili na ich cześć uroczystość, a przerażona Śmierć jak najdłużej trzymała się z dala od domu, gdzie obrażono ją i wyśmiano.

Dowódca straży i Wilczarz minęli zwodzony most, który mieszkańcy nieczęsto widzieli podniesiony, i weszli do zamku. Brawlin powiedział kilka słów pachołkowi przy bramie, młodzieniec skinął głową i gdzieś pobiegł. Wilczarz zwrócił uwagę, że na środku dziedzińca jest rozłożony kobierzec i stoi drewniany tron knezinki. Drużyna schodziła się powoli z różnych stron, każdy

zajmował swoje miejsce zgodnie z szarżą.

Zupełnie jak wtedy, pomyślał ze złością.

Nie lubił sytuacji, w których nie wiedział, co go czeka. Zwykle się źle dla niego kończyły. W środku był cały najeżony. Znowu sąd? Z jakiego tym razem powodu?

Na wszelki wypadek obrzucił uważnym spojrzeniem twarze bojarów. Promienia-Lewego nie było wśród zgromadzonych. Dobrze i to. Natomiast był obecny ten, którego Wilczarz w duchu nazwał Prawym - bojar Spryt, syn Milovana, siwy, odznaczający się niezwykłą siłą wojownik o kwadratowej twarzy i takich samych barach. Teraz też stanął po prawej stronie tronu, jeszcze pustego. Popatrywał na Wilczarza z posępnym zdziwieniem i niedowierzaniem. Wilczarz z jego wyrazu twarzy domyślił się, że witezie z drużyny knezia nie wiedzą dużo więcej niż on sam, czemuż to knezinka wezwała ich o tak nieprzyzwoicie wczesnej porze.

Młoda władczyni nie kazała im długo na siebie czekać. Jak tylko Brawlin doprowadził Wilczarza na koniec kobierca, drzwi prowadzące do komnat knezinki otworzyły się i Hellona, córka Gluzda, wyszła na ganek. Trzymała w rękach zwinięty ciemnoszary zamszowy płaszcz.

- Bądź pozdrowiona, pani nasza! - Wszyscy zebrani na dziedzińcu pochylili głowy.

- I wy bądźcie pozdrowieni, dobrzy ludzie - rzekła knezinka. Wyprostowawszy się, Wilczarz natychmiast napotkał jej spojrzenie, a potem gniewny wzrok Prawego. Stał się jeszcze bardziej czujny. Tymczasem knezinka usiadła na tronie. Wyczuła niezadowolenie bojarów, zarumieniła się i wyzywająco wysunęła podbródek.

- Podejdź do mnie, Wilczarzu! - rzekła.

Wilczarz ostrożnie wstąpił na puszysty kobierzec i zatrzymał się w odległości dwóch kroków od knezinki. Hellona też wstała. Sięgała mu do ramienia, chociaż przy tronie stał podnózek. Policzki młodej władczyni pałały rumieńcem, ale głos nie zdrzął jej ani razu. Dźwięcznie wypowiedziała zwyczajową formułę najmu na służbę ochroniarza.

- Chcę, byś bronił mnie uzbrojonym ramieniem. Osłoń mnie swym ciałem, kiedy ktoś zechce na mnie napaść!

Wilczarz nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Na moment dosłownie zamarł, speszony. Ale zaraz przykląkł przed knezinką i odparł zduszonym głosem:

- Póki żyw będę, żaden zły człowiek cię nie tknie, pani.

Kątem ucha dosłyszał szemranie niezadowolonej drużyny. I zrozumiał, że nie wyjdzie z tego nic dobrego.

- Chciałabym, byś przyjął to ode mnie...

Knezinką rozłożyła płaszcz podbity doskonale wyprawionym krótkim, ale bardzo gęstym i ciepłym futrem. Sam w sobie był wspaniałym darem, a przecież najpośledniejsza rogoża zdaje się drogocennym brokatem, kiedy daruje ci ją władca. Wilczarz od razu zauważył, że w fałdach płaszcza jest coś ukrytego. A potem dosłownie serce uwięzło mu w krtani. Knezinką wyciągnęła i podała mu jego miecz.

Najpierw uznał, że to mu się przywidziało. Ale nie. Ta sama pochwa koloru starego drzewa

obwiązana naramiennym paskiem z przytroczoną z boku twardą pętelką przeznaczoną dla Gacka. Ten sam błyszczący krzyżak i rękojeść, którą pamiętał do najmniejszego listeczka wymyślnego wzoru... Wziął miecz, poczuł w dłoniach dobrze znany ciężar i znowu pomyślał, że to jednak musi być sen.

Drużyna - oszołomiona i nadąsana - patrzyła na córkę swego wodza. Co też powie na to wszystko kneź, kiedy powróci? Pewnie wytarga córuchnę za uszko. Jaki ochroniarz? Po co? Przecież każdy z nich, doświadczonych wojowników, czułby się zaszczycony, gdyby mógł za nią umrzeć. Zresztą przed kim ten Wen miałby ją chronić? Mieszkańcy miasta noszą ją na rękach, zamorscy kupcy na wyprzodki biegną z najlepszymi towarami, by je złożyć u jej stóp... Po co wymyśliła sobie ochroniarza? I to komu siebie powierzyła? Obcemu człowiekowi, przybyszowi nie wiadomo skąd, katorżnikowi, który kajdany nosił za rozbój, nie inaczej. Zabójcy! Z obcego plemienia! Wenowi!

Wilczarz czuł na plecach te spojrzenia i doskonale zdawał sobie sprawę, co go czeka. Ale było mu wszystko jedno.

Później się dowie, że arrancki statek nie złapał w żagle wiatru, który miał zanieść go do domu, ale natrafił na wściekle dmący wiatr przeciwny. Przez całą noc błąkał się za pobliskimi wysepkami, próbując schronić się przed burzą. A kupcowi Darsjuszowi, który zdrzemnął się w swojej pańskiej kajutce, przyśnił się potężny, przyobleczony w straszliwe błyskawice, nieznany bóg. NATYCHMIAST ZAWRACAJ STATEK - miał powiedzieć ów bóg przerażonemu Arrantowi. - A MIECZ, PO KTÓRY ŚMIAŁEŚ WYCIĄGNAĆ RĘKĘ NIECH NAJDALEJ O ŚWICIE TRAFI DO KNEZINKI HELLONY W PRZECIWNYM RAZIE...

Chyba nie trzeba dodawać, że kupiec z krzykiem obudził się i natychmiast nakazał ustawić krótkie sztormowe żagle. A potem jeszcze - przerażać kotwiczną linę z drogiego halisuńskiego włókna konopnego, gdyż kotwica zaczepiła się o coś wystającego z morskiego dna. Kiedy nad miastem pokazały się pierwsze promienie porannej jutrzeńki, biegł mokrymi ulicami do zamku.

I Wilczarz poniewczasie z wdzięcznością przypomni sobie obietnicę złożoną przez miecz, że go nie opuści, dopóki sam go nie pohańbi niegodnym czynem.

Ale to wszystko wydarzy się potem, teraz Wilczarz klęczał, patrzył na knezinkę i nic nie mówił.

*Kiedy nad wszechświatem wstawał świt  
i boska siła tworzyła nasz świat z prochu,  
rozdzielono Siłę i Mądrość  
i ludziom dostało się równo, po trochu.*

*Mężczyźnie dostała się groźna Siła,  
mocne mięśnie z żelaza i oczy bez lęku,  
aby słabszych mógł bronić,  
jeśli tak się zdarzy - i bez broni w ręku.*

*A Mądrość najśluszej dostała się żonom,  
żeby przekazały przodków słowa  
Dzieciom, zrodzonym z miłości cudu,  
i blask, który wciąż świeci od nowa, od nowa...*

*Od tamtej pory, jeśli trzeba, mąż staje,  
by dom swój obronić przed wrogiem,  
A póki w czas pokoju płonie ogień zgody,  
żona dba o ciepło za domowym progiem.*

*Mąż nie powie żonie nigdy złego słowa,  
nawet jeśli głos podniesie na niego w swej złości.  
Bo nie dla męża wszelkie życiowe mądrości –  
Bitwa to rzecz straszna, ale w bitwie -prościej.*



## **Rozdział 7**

### **Nikt**

Wilczarz po jakimś czasie zaczął podejrzewać, a nieco później nabrał pewności, że jego młoda władczyni sama nie bardzo wiedziała, na co miałby jej się przydać osobisty ochroniarz. Kiedy knezinka udała się do komnat, a poirytowani witezie rozeszli do swoich spraw, do Wilczarza podszedł sługa zawiadujący ubiorami drużyny i członków rodziny samego knezia.

- Chodź ze mną, panie - zwrócił się do Wena. - Knezinka Hellona kazała mi wybrać dla ciebie piękny strój.

Gdzież mi tam strojne szaty! - pomyślał Wilczarz, przyciskając do piersi podarowany mu płaszcz. Ale na głos tego, oczywiście, nie wypowiedział i posłusznie podążył za majestatycznie kroczącym sługą. Po drodze zaczął zakładać naramienny pas od pochwy, ale pomiarkował się i zdjął go natychmiast, pewnie za chwilę znowu przyszloby mu go zdejmować.

Sługa miał siwą brodę, był postawny, pełen godności. Prawdziwy stary sługa z gatunku tych, którzy dbają o honor domu nie gorzej od samego pana. Przyprowadził Wilczarza do przestronnej komory, gdzie w skrzyniach leżały stroje. Na pierwszy rzut oka wydawały się odpowiednie dla wysokiego i silnego Wena. Wilczarz przejrzał je pobieżnie i zmartwił się - sługa najwyraźniej nie miał pojęcia, kim są ochroniarze i co należy do ich zadań. Zresztą skąd miałby wiedzieć? Większość mieszkańców zamku to byli wojownicy, którzy nie tylko nie wymagali ochrony, ale i sami mogli stanąć w obronie każdego, kto tego potrzebował. Po co u boku knezinki miał stanąć jeszcze jeden zbrojny? Może tylko po to, żeby ładnie wyglądało. Nie ma się co dziwić, że sługa rozłożył na kolorowych pokrywach skrzyń kilka sztywnych od haftu szat, a do nich dodał wąskie spodnie uszyte według ostatniej mody. W takim stroju można było od biedy stać albo siedzieć, ale spróbuj w czymś takim wskoczyć na konia - zaraz trzasną w kroku, a ty okryjesz się sromem.

Wilczarz bezgłośnie westchnął i zwrócił się do starca.

- Jak cię zwa, ojczy?

- Zyćko - odparł sługa.

- A jak po ojcu?

Sługa zdziwił się temu pytaniu, chwilę zwlekał z odpowiedzią, po czym wygładził brodę.

- Zyćko, syn Żivlaka.

- Więc chciałem cię spytać, Zyćku, synu Żivlaka, czy nie masz w swych skrzyniach miękkiego, skózanego wdianka? Takiego, które można włożyć na kolczugę?

Sługa skinął głową, odłożył połyskujące różnokolorowym jedwabiem, wzorzyste szaty i pewnym gestem otworzył jedną ze skrzyń. Chwilę potem Wilczarz już przymierzał cienkie, doskonale wyprawione brunatne wdianko. Sięgało mu do połowy bioder, a na rękach niemal do łokcia. Stary sługa miał doskonałe oko, Wilczarz poruszył ramionami, schylił się, przysiadł - teraz już wiedział,

że wdzianko dokładnie zakryje kolczugę i nie będzie mu przeszkadzać. Następnie sługa podał mu spodnie, podobne do tych, które Wilczarz miał na sobie, tylko nowe, i lekkie buty z wiązadełkami powyżej kostki. Wreszcie prostą, pozbawioną haftów koszulę z grubego płótna.

- Wybierasz się prosto na pole bitwy, zuchu? - spytał Zyćko. Wilczarz chciał jak zwykle odburknąć "Może się i wybieram", ale powstrzymał się i odparł:

- Moje zajęcie takie właśnie jest - nigdy nie wiesz, kiedy przyjdzie ci stanąć do walki. Dziękuję ci, Zyćku, synu Żivlaka.

Potem odszukał bojara Spryta. Stary wojownik był na drugim dziedzińcu. Poirytowany pomysłem młodej władczyni, wyżywał się teraz, pokrzykując na bezwąsych chłopaków ćwiczących się w fechtunku dębowymi atrapami mieczy. Jego ryk słyhać było w całej twierdzy.

Popatrzawszy na bojara Wilczarza, zawahał się, czy w ogóle powinien się doń odzywać. Imię Prawego - Spryt - przypominało raczej przezwisko, które zresztą doskonale do niego pasowało. A może i było to przezwisko, jako że prawdziwe imiona Solwenów znała tylko rodzina i najbliżsi pobratymcy. Półnaczy, lśniący od potu chłopcy robili uniki, podskakiwali i na wszystkie strony - od dołu i nad głową - wymachiwali drewnianymi mieczami, które musiały ważyć dobrych dwadzieścia pięć grzywien. Bojar chodził wśród ćwiczących młodzieńców jak niedźwiedź i rozdawał niezgułom ojcowskie kuksańce. On sam na pewno świetnie by sobie ze wszystkim poradził - lata go, siwowłosego, tak prędko nie dogonią. Dostrzegł obserwującego go Wilczarza, ale nie dał nic po sobie poznać, tylko jeszcze mocniej się zaczerwienił. W ten jednak nie odchodził, więc w końcu Prawy sam go zawołał.

- Hej, ty! Podejdź tutaj!

Wilczarz ostrożnie położył na ziemi okazały pakunek z nowymi strojami i podszedł.

- Dlaczego mam ci ufać? - spytał bojar, na wskroś go przesywając uważnym spojrzeniem małych szarych oczu.

Wilczarz uchwycił w jego głosie autentyczną gorycz. Milczał dłuższą chwilę, obmyślając odpowiedź, po czym spokojnie rzekł:

- Dlatego że pani mi ufa.

- To dla ciebie ona jest panią! - wrzasnął Prawy. - A dla mnie jest jak rodzona siostra! Skąd mam wiedzieć, że ty, łotrze, nie zrobisz jej krzywdy?

Wilczarz mimo woli porównał siebie i Spryta do narowistych, skorych do bitki zuchów, którzy obchodzą się nawzajem, trącają umięśnionymi ramionami i rozważają, czy już przyłożyć przeciwnikowi, czy jeszcze nie. Teraz nie mieli się o co bić. A to znaczyło, że ktoś powinien ustąpić.

- Wojewodo, czy ktoś zagraża knezince? - cicho spytał Wilczarz. - Czy może ktoś podrzucił jej jakieś listy z pogróżkami? Albo może ktoś zasłyszał czyjąś złą rozmowę?

- Nic takiego nie było - odburknął Spryt. Już trochę ostygł z emocji. - Na co ty się możesz jej przydać, oberwańcze?

- Nie wiem, czy się przydam, czy się nie przydam, to ani na mój, ani na twój rozum. Jak pani

kazała, tak służyć trzeba. Czy pani ma jeszcze jakichś innych ochroniarzy?

- Nie ma! - tak samo nieuprzejmie, ale już bez uprzedniej zapiekłej wrogości odparł bojar. - Do tej pory nie było i tobie też nie na długo służba pisana.

- Jak pani każe, tak się stanie - odrzekł Wilczarz. - Dzięki za naukę, wojewodo.

Tego dnia był w zamku niedługo, ale zdążył się nasłuchać najróżniejszych różności. Któryś z witezi zaczepił go i zapytał, czy zamierza cały czas sterczeć obok knezinki i odprowadzać ją nawet pod drzwi wychodka. Inni z kolei twierdzili, że Wen zajmie się polowaniem na pchły, jeżeli takowe wychyną z puchowych pierzyn i zaczną panience zagrażać. Jeszcze inni jadownie prorokowali, że nawet jeśli pchły rzeczywiście się pojawią, najpewniej przeskoczą z samego Wena - kto z kim przestaje, taki się staje. Wilczarz znosił docinki w milczeniu, tak jak gdyby w ogóle go nie dotyczyły. Zawsze tak postępował, kiedy był na służbie. Przywiązywał wagę tylko do tego, co mogło zaszkodzić pani. A o żarty pod jego adresem tyle dbał co o zeszłoroczny śnieg.

Knezinka Hellona nie wyszła już więcej ze swoich komnat. Czekala zapewne, aż ustanie gadanina. Tylko wysłała chłopca, który wręczył Wilczarzowi woreczek srebra i przekazał ustne polecenie: niech teraz idzie do domu, a jutro wcześniej rano przybędzie pod jej drzwi. Pani, znaczy knezinka, chce się wybrać na rynek, gdzie mają jej złożyć pokłon nowo przybyli kupcy.

- A dlaczego knezinka do nich, a nie oni do knezinki? - spytał Wilczarz.

- Taki u nas zwyczaj - odparł z dumą w głosie chłopiec. - Knezie nie powinni odgradzać się od dobrych ludzi. A Halirad z kupców słynie!

\*

W domu wszyscy czekali na Wilczarza z wielką niecierpliwością. Pod jego nieobecność do mistrza zajął znajomy młody Welch i opowiedział o wczorajszym zdarzeniu ze starcem i staruszką - opowiedział w typowy dla Welchów sposób, z mnóstwem ubarwiających opowieść szczegółów, za prawdziwość których sam by zapewne nie zaręczył, bo połowę z nich wymyślił w trakcie opowiadania. Kiedy Wilczarz powrócił z zamku, na dodatek z sakiewką pełną prawdziwego srebra i z okazałym węzłem w ręku, pytania podekscytowanych domowników posypały się nań jak grad.

- Jestem teraz osobistym ochroniarzem knezinki - złożył krótkie wyjaśnienie. - To ona oddała mi miecz.

Nie powiedział już ani słowa więcej, ale dla kogoś domyślnego wszystko było jasne: za samo to Wilczarz byłby gotów być ochroniarzem knezinki bez żadnej zapłaty. Od jutrzejszego ranka ma się zacząć jego prawdziwa służba, a dziś jeszcze raz obejrzał wyczyszczone rozbójnicze kolczugi, włożył je do worka i zaczął się znowu zbierać, by iść do płatnerza, do którego wczoraj nie udało mu się dotrzeć.

- Pójdę z tobą, dobrze? - zaoferował swe towarzystwo Tilorn. - Obiecuję, że będę szedł szybko, bez rozglądania się na boki. Słowo honoru.

Przechodząc obok oberży "Pod Baranim Bokiem", Wilczarz mimowolnie odszukał wzrokiem to miejsce, w którym przecięła mu drogę stara Kirena. Przebiegła, a po chwili przewróciła się na

drodze, nim zdołała dotknąć drogocennego strzemienia bojara.

- Tutaj spotkałem wczoraj tę kobietę - nieoczekiwanie nawet dla samego siebie rzekł Wen.

Tilorn, który dokładał wszelkich starań, żeby iść szybko, zapytał:

- Czy widziałeś potem tego wielmożę?

- Nie, nie widziałem. - Wilczarz pokręcił głową.

Taktowny Tilorn nie zaczął go wypytywać, co będzie, kiedy się spotkają.

Zapewne nic nie będzie, pomyślał Wilczarz. Choć szczerze mówiąc, rankiem w zamku w sporym napięciu oczekiwał momentu, kiedy piękny bojar pojawi się w drzwiach prowadzących na dziedziniec. Ale jeśli Promień zawsze stawał po lewej ręce knezinki, gdy młoda władczyni sądziła, rządziła albo kogoś przyjmowała, to oznaczało, że czy chce, czy nie chce, będzie się spotykać z nim łokieć w łokieć. Łokieć w łokieć... Wilczarz mimo woli się zastanawiał, co będzie nazajutrz, kiedy pojedzie z knezinką na plac targowy do kupców. Przypomniał sobie knezinkę siedzącą na tronie w czasie mów wygłaszanych przez kapłanów, przypomniał sobie bojarów stojących obok niej i zaczął rozmyślać, gdzie powinno być teraz jego miejsce. Najlepsze byłoby za tronem, za prawym ramieniem młodej pani. Aby w razie jakiegoś niebezpieczeństwa była przestrzeń do wyprowadzenia ciosu i wymachu prawą ręką. Ale jeśli stanie w tym miejscu, trafi nosem w siwą głowę Spryta. Wilczarz był od starego nieco wyższy, ale tylko nieco: znad jego głowy nic nie zobaczy. A gdyby się coś działo, ruszyć też się stamtąd nie da. A jeśli stanąłby z lewej strony... Obiema rękami władał bronią jednako dobrze, ale aż mu pociemniało w oczach na samą myśl o tym, że w takim razie na pewno spotka się z Promieniem łokieć w łokieć, a wielmoża zapewne zacznie się krzywić i powie, że ten niemyty Wen cuchnie psem...

Wilczarzowi zdarzało się już być ochroniarzem najróżniejszych ludzi - mężczyzn i kobiet, ale przeważnie wynajmowali go dla ochrony w drodze. A poza tym nigdy nie miał jeszcze do czynienia z kimś tak ważnym jak knezinką. Może powinien stanąć z przodu, koło podłokietnika tronu? Akurat mu dadzą. Prawy zapewne własnymi rękami go udusi. I weź tu wyjaśnij, że ci, co są na urzędzie, ochroniarzy traktują, no właśnie, traktują jak szarego obronnego psa, który, bywa, biegnie przed panem...

Do ulicy warsztatów płatnerskich Wilczarz i Tilorn dotarli bez problemów, jeśli nie liczyć tego, że wszyscy napotkani Welchowie kłaniali im się w pas.

- Witaj, zacny człowieku - rzekł Wilczarz, wchodząc do warsztatu.

- I ty bądź pozdrowiony, Wenie - odparł rudobrody, przysadzisty mistrz Pokrzywa. - Czekałem na ciebie wczoraj... Wiem, ludzie mi opowiedzieli. Twoje zamówienie czeka, nie sprzedałem. Chodźmy, obejrzysz.

I zaprowadził Wilczarza na podwórzec, na który w słoneczną pogodę wynoszono pancerze wystawione na sprzedaż. Haliradzcy mistrzowie wykonywali robotę na obstalunek, ale w obecnych czasach zdarzało się coraz częściej, że po prostu przeznaczali swoje wyroby na sprzedaż.

A ekwipunek wykonywano tu najprzeróżniejszy. Kolczugi o drobnych, grubych, płaskich i podwójnych splotach, a nawet takie nie z oddzielnych kólek, lecz uplecione z długiego drutu. Takie

kolczugi trudno było naprawiać, zresztą używano ich tylko dla parady. Na podwórku pracowni mistrza Pokrzywy były wystawione kolczugi z żelaznych płytek osadzonych na rzemyczkach i jeszcze inne - na litej skórze, do której płytki przyszywano lub przyklejano jednym brzeżkiem, ślicznie się układały, zachodząc jedna na drugą jak łuski na ciele ryby. Wielu wojów uważało, że takie chronią lepiej od tradycyjnych kolczug. Wilczarzowi swego czasu przyszło używać i jednych, i drugich. Zdarzyło mu się też walczyć z przeciwnikami przyobleczoneymi w najprzeróżniejsze pancerze i kolczugi. Gdyby miał wybierać, wzięłby pół- pudową weńską kolczugę z kołnierzem szerokim na dłoń i rękawami do łokcia. Taka kolczuga mogła obronić przed nieoczekiwanym, podstępny cios i nie krępowała ruchów. Bo przed bezpośrednim ciosem miecza, topora czy strzały nie obroni nawet lity ryngraf, podobny do tych, jakie od niedawna robią Segwani z wybrzeża, lubujący się w walce konno...

Wilczarz przyszedł po kolczugę, którą upatrzył sobie jeszcze po- zawczoraj. Obszedł wtenczas wszystkie pracownie i wypatrzył ją wreszcie. A kiedy już wypatrzył, nie mógł oderwać od niej wzroku. Poprosiwszy o zgodę, zaraz wciągnął przez głowę szeleszczącą, oksydowaną koronkę i wydawało mu się, że jego ramiona objęły ciężkie dłonie przyjaciela. Zapewne tak jego miecz czuł się w pochwie wykonanej przez starego Warocha. Z przodu kolczuga sięgała na jakieś półtorej piędzi poniżej krocza, z tyłu była ciut krótsza, żeby wygodniej było siedzieć w siodle. Dobrze będzie chronić! Wilczarz długo przyglądał się połyskującym pierścienkom przytwierdzonym oddzielnie lub połączonym maleńkimi nitami, gdzieniegdzie dostrzegł ślady mistrzowskiej naprawy. Stwierdził, że kolczuga jest pod każdym względem znakomita - i robota, i jakość metalu były doskonałe. Może przyśni mu się jak miecz, może coś opowie...

Nie żał było oddać za taką obie kolczugi zdarte z rozbójników, o rzadszym splocie i bez kołnierzy. Te mogły się przydać tylko, żeby wiejski ludek postraszyć i popędzać, iżby prędzej oddawał jado i dobytek.

Wyciągnął je z zawiniątka - połyskiwały srebrzyście, wyczyszczone, oskrobane z rdzawego nalotu i resztek zakrzepłej krwi. Mistrz Pokrzywa pobieżnie obrzucił je doświadczonym okiem i skinął głową z zadowoleniem. Przydadzą się jakiemuś kupcowi albo podróżnikowi na drogę.

- Zgoda? - spytał Wilczarz z bijącym sercem.

- Zgoda.

Wen potrzywał piękną kolczugę na dłoniach, nie spieszyło mu się, by chować ją do torby. Tilorn, który dopiero teraz dotarł do pracowni, podszedł doń i zaciekawiony wyciągnął rękę, by dotknąć nabytku. W ostatniej chwili cofnął palce.

- Można?

Wilczarz się uśmiechnął.

- Można, nie gryzie.

- Pomyślałem sobie, że może religia nie pozwala - wyjaśnił Tilorn, podziwiając niebieskawy odbłask na równych, wypolerowanych pierścieniach.

Pewne wierzenia rzeczywiście istniały na tę okoliczność, ale dobremu człowiekowi na wiele

można pozwolić.

Wilczarz spostrzegł, że zaraz za uczonym do pracowni wpadł bezwąsy czeladnik, odwołał mistrza Pokrzywę na stronę i zaczął mu coś opowiadać pełnym niepokoju szeptem. Wen natychmiast pożałował, że zostawił Tilorna samego bez opieki, i nadstawił ucha. Ale w tym momencie Pokrzywa odwrócił się do nich sam.

- Coś ty za jeden? - zwrócił się do Tilorna, groźnie zmarszczywszy brwi. - Dla kogo wyciągasz moje tajemnice?

- Ja? - zająknął się Tilorn. - Ależ nie wyciągałem z nikogo żadnych tajemnic. Po prostu spytałem tego miłego młodzieńca, jakim sposobem oksydujecie metale.

Wilczarz zapakował kolczugę i przewiesił torbę przez ramię. "Pasek dobrych zamiarów" zwiślał mu z pochwy, był rozwiązany; knezinka własnoręcznie rozwiązała go i podarowała mu drewnianą zawieszkę ze swoim godłem na znak, że nosi to z jej pozwolenia. Wilczarz, ma się rozumieć, nie miał najmniejszego zamiaru chwytać za miecz. Nawet nie ruszył się z miejsca, ale zaczął rozważać, jak będą się z Tilornem wycofywać, jeśli płatnerz zawoła swoich dobrze zbudowanych uczniów.

- W żabim mleku pieką! - burknął Solwen. - Tak przekaż swoim, nasłany białodupcu!

- Nie bez kozery nazwali cię Pokrzywą - odezwał się do mistrza Wilczarz, ukazując w uśmiechu szczerbę po wybitym zębie. - Jak nie będziesz ludzi lżył bez powodu, dłużej pożyjesz. Tego człowieka nikt tutaj nie nasłał. Książek przeczytał więcej, niż ty przez całe swoje życie naklepałeś ogniwek do kolczug. Porozmawiaj z nim, wiele się możesz od niego nauczyć, jak oksydować metale.

- Wyoście się stąd obaj! - Pokrzywa zrobił się purpurowy na twarzy. - Świętą prawdę mówią ludzie, że z Wenami nie da rady po dobroci.

- Mój znakomity przyjaciel w swej łaskawości wyolbrzymia moje zasoby wiedzy - ze spokojnym dostojeństwem odpowiedział Tilorn. - Ale co nieco znam się na metalach i może w rzeczy samej naprowadziłbym cię na jakąś przydatną myśl. Mój naród, dobry człowieku, mieszka daleko stąd, mamy takie porzekadło: jedna głowa to dobrze, a półtoej -jeszcze lepiej.

- Głowa? - Solwen ze zdziwienia zapomniał o swoim gniewie. - Jaka znowu głowa?

Na twarzy Tilorna zagościł wesoły uśmiech.

- A bo, widzisz, ludzie u nas przypuszczają, że człek myśli głową. Pokrzywa wydał wargi, nie mogąc się nadziwić, jak bardzo błędzą inne plemiona. On był święcie przekonany, że myśli i wiedza siedzą w piersi człowieka.

Tymczasem Tilorn, korzystając z chwili zamieszania, ze skupioną miną podszedł do drogiego, srebrnego pancerza, na który mógłby sobie pozwolić tylko witeź, przeciągnął długim palcem po lśniących płytkach i powiedział:

- Widzę, że pokrywacie zbroje srebrem, a rzadziej zapewne też i złotem. Jeśli chcesz, mistrzu Pokrzywo, pokazałbym ci inny sposób powlekania, który znacznie lepiej zabezpieczałby metal przed rdzą, a jest przy tym bardzo piękny. Powiedz, czy masz znajomych pośród garbarzy i

tkaczy?

- No... - zająknął się Pokrzywa. - Może by się ktoś znalazł, biorę od niektórych skórę...

- A zatem... tylko nie pomyśl sobie znowu, że cię o coś wypytuję! Czy farbują skórę i tkaniny tylko sokami wyciśniętymi z roślin, czy może stosują chemicz... inne substancje? Powiedzmy, czerwone lub żółte kryształy, które łatwo rozpuszczają się w wodzie i są trujące? Te substancje służą do garbowania skór i jeszcze do tego, żeby farba lepiej się trzymała. Szczególnie niebieska, szara, czarna.

- Czego to ludzie nie gadają - wymijająco odpowiedział Pokrzywa, ale nawet tych paru słów wystarczyło, by w oczach Tilorna rozbliły się iskry.

- Każ, dobry mistrzu, dostarczyć sobie takie kryształy, a potem zamów u szklarza kilka głębokich czasz z dobrego szkła, czystego i przezroczystego. Pokażę ci, jak nasycić powierzchnię żelaza innym metalem, który nie boi się nawet morskiej wody.

- Nasycić? - nie uwierzył płatnerz. - Przecież to żelazo. Nic tam nie da się wetrzeć. Deskę z drewna można nasycić woskiem.

Tilorn przystąpił do wykładu.

- Widzisz, żelazo, jak wszystkie ciała stałe, składa się z drobniuteńkich, niewidocznych gołym okiem cząsteczek. W odpowiednich warunkach można...

- Jesteś czarownikiem! - oznajmił Pokrzywa i uczynił nad sobą znak Ruchomego Krzyża, by odpędzić wszelką siłę nieczystą. - Zabieraj się stąd!

- Ależ on nie jest czarownikiem - rzekł Wilczarz. - Jest uczonym. Czy nie widziałeś, jak dotykał srebra? Jak patrzył na żelazo?

Pokrzywa milczał. Wilczarz poklepał Tilorna po ramieniu.

- Chodźmy. Chciałem jeszcze łuki obejrzeć.

- Poczekaj! - Mistrz nieoczekiwanie podniósł rękę. - No dobrze, postawiłem naczynia, kupiłem twoją truczkę. I co dalej?

Tilorn poprosił o duży kawałek brzozonej kory i zaczął na nim coś kreślić. A skończyło się na tym, że Pokrzywa zapewnił Wilczarza uroczyście, iż podejmie Tilorna wieczera, a potem każe dwóm swoim pomocnikom, aby całego i zdrowego odprowadzili mędrca do domu. Wilczarz udał się do mistrza łuczniaka. Po tych zapewnieniach wiedział, że spokojnie może zostawić przyjaciela samego u obcych. Pokrzywa zrobi wszystko zgodnie z umową i można było być pewnym, że nikt Tilorna nawet palcem nie tknie. Bo skrzywdzić człowieka znajdującego się pod kuratelą Wena to tyle, co nago wskoczyć zimą do przerębli na Świątyni. Z wielkim kamieniem u szyi.

\*

Nastał poranek. Wilczarz zjawił się w zamku, kiedy słońce ledwie pokazało zza nieboskłonu swoją ognistą grzywę. Ziewający pachotkowie przy bramie przepuścili go, o nic nie pytając. Najwidoczniej byli uprzedzeni.

Wilczarz ubrał się w nowy strój, nałożył też kolczugę, która trochę wystawała spod rękawów wdzianka. Chłopcy za jego plecami popatrzyli na siebie znacząco. Byli przekonani, że on tego nie

zauważy. Nie obejrzał się za siebie.

Dziedziniec był jeszcze pusty, tylko z kuchni dobiegał dźwięczny śmiech kucharek, które śmiały się nie wiadomo z czego, a z przegrody, gdzie stał piec chlebowy, cudownie pachniało pieczywem. Wilczarz przeciął dziedziniec, chwilę postął pod znanym mu już ganeczkiem, a potem przysiadł na stopniu.

Nie było mu radośnie na duszy. Wczoraj Tilorn wybudził wreszcie Gacka ze śpiączki i uroczyście oznajmił, że zwierzak znowu może latać. Przy czym użył jeszcze jednego niezrozumiałego słowa: "technicznie". Wilczarz spytał, co to miałoby znaczyć. Tilorn wyjaśnił: skrzydło już się całkowicie wygoiło, wszystkie kosteczki się zrosły, nie pozostała ani jedna blizna. Nawet mięśnie nie były zwiotczałe, bo Gacek był bardzo ruchliwy, zawadiacki i cały czas próbował wzbić się w powietrze...

Tyle że sam Gacek uparcie nie chciał zrozumieć, że jest już zdrowy. O ile wcześniej za nic na świecie nie chciał być uznany za kalekę, bez końca zrywał się do lotu, rozbijał się i rozpaczliwie pisał, to teraz zachowywał się, jak gdyby go ktoś podmienił. Od razu dał nura Wilczarzowi za pazuchę i długo tam siedział, szlochając lękliwie. Kiedy się nareszcie ośmielił i wylazł na wierzch, Wilczarz strząsnął go z dłoni nad miękką pościelą.

- Leć, głuptasie.

Gacek upadł, nawet nie spróbował rozłożyć skrzydeł. I załkał tak, że szczeniak podkuł ogonek, skamłając żałośnie. Tilorn pokręcił głową, powiedział coś w nieznanym języku, wziął Gacka na rękę i uczynił cud. Popatrzył zwierzakowi prosto w oczy, świecące koraliczki wnet zmętniały jak oczy pijanych ludzi. Gacek zaczął ziewać, ale nie zasnął. Tilorn leciutko pchnął go palcem.

- Leć.

Gacek natychmiast poleciał. Odwykł od takich ruchów, niezgrabnie poszybował pod powałę i zawrócił.

- Może latać - rzekł Tilorn. - Ale nie chce. Boi się. Zmusiłem go na chwilę, by zapomniał o strachu, wtedy poleciał. Ale żeby całkiem przestał się bać, trzeba będzie nad nim jeszcze popracować...

To po co było go kroić? - pomyślał Wilczarz. Jakoś przeżyłby do końca życia.

- Może trzeba go wyrzucić przez okno - doradził Eurych. - Żeby nie miał wyboru.

Neelith wydała stłumiony okrzyk, a Wilczarz ponuro ostrzegł:

- Ciebie bym wyrzucił. Może też się nauczysz latać.

A teraz tak wyszło, że musiał zostawić Gacka w domu. Nie wiadomo, co stworzonko wymyśli w najmniej odpowiednim momencie. Gacek nie chciał zostawać i Tilorn był zmuszony znowu sprawić, by pogrążył się w półśnie...

\*

Zawiasy w drzwiach były dobrze nasmarowane, ale Wilczarz zawczasu usłyszał i rozpoznał kroki stawiane przez stare nogi i szuranie miotły. Podniósł głowę, wiedział, że w drzwiach nie pojawi się teraz knezinka. Na ganek wyszła wysuszona, pomarszczona staruszka, która mogłaby



być matką chromego Warocha.

- Witaj, babciu - powiedział Wilczarz.

Staruszka obrzuciła go zaskakująco bystrym, podejrzliwym spojrzeniem i wycedziła, grożąc mu miotłą:

- Widzicie go, jak się rozsiadł, bezwstydnik! Już mi stąd! Chodzą tu tacy...

Posłusznie wstał i zszedł ze schodków. Babka pokropiła wodą deski i jęła zamiatać ganek, który i bez tego był czysty. Szczególnie dużo trudu w zmiatanie włożyła, czyszcząc to miejsce, na którym dopiero co siedział Wilczarz.

Niewolnica? - zgadywał. Ale wokół takiej niewolnicy jej właściciele chodzą cichutko na paluszkach. A może piastunka. Nie inaczej, panienkę knezinkę w kolebce kołysała, a może i samego knezia. Albo jego małżonkę...

- Tyś pewnie naszej dziewczeczki ochroniarz? - upewniła się staruszka.

- Ano tak. - Skinął głową. - Powiedz mi...

Chciał zapytać, czy panienka prędko wstanie, pilno mu było wiedzieć, czy zdoła zamienić słówko z bojarem Sprytem. Ale staruszka z wysiłkiem rozprostowała zgięty grzbiet, żeby mu znowu pogrozić miotłą.

- A niech cię... - i z tymi słowy skryła się w sieni.

Wilczarz w zadumie podrapał się po głowie i znowu usiadł na czerwonym schodku z marongowego drzewa.

Po jakimś czasie znów posłyszał kroki. Jakiś mężczyzna szedł zza rogu, od strony domu, w którym mieszkali członkowie drużyny. Wilczarzowi coś wybitnie nie spodobało się w jego sposobie chodzenia, ale nim zdążył nazwać to, co właściwie mu się nie spodobało, przy ganku stanął Promień.

Był akurat ostatnim człowiekiem, którego Wilczarz chciał widzieć.

- Jakież łotry się tu do nas pchają - powiedział Lewy na widok Wilczarza.

Wen nie odezwał się słowem. Tylko obojętnie popatrzył na bojara i znów skierował spojrzenie pod własne nogi. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby odpowiadać.

- Wstań, psie, kiedy witeż z tobą rozmawia! - Promień podniósł głos. W całym Haliradzie nie znaleziono by zapewne dziesięciu ludzi, którzy potrafiliby rozróżnić rodowe znaki Wenów, a młody bojar z pewnością się do nich nie zaliczał. W przeciwnym bowiem razie, chcąc obrazić Wilczarza, na pewno nie nazwałby go psem. Wilczarz w cichości ducha nawet się zaśmiał, znowu nic nie odpowiedział. I, ma się rozumieć, nie ruszył się z miejsca.

Rozmowa mogła ich zaprowadzić za daleko, lecz tym razem obu się poszczęściło. Na progu stanęła knezinka Hellona.

Wilczarz natychmiast zerwał się i pokłonił władczyni. Lewy nie złożył pokłonu, tylko patrzył na Wilczarza, a w jego oczach czaiła się śmierć.

- Spokojnie, Promieniu - odezwała się knezinka. - To mój ochroniarz. Siedzi tu dlatego, że ja mu kazałam.

Lewy opuścił długie rzęsy, a kiedy znowu je podniósł, na jego twarzy malował się już całkiem inny wyraz. Pogardliwy i pełen wyższości.

- A więc to tak... Nie wiedziałem o tym, siostró. I tak sobie myślałem, po co ten łotrzyk tutaj sterczy? Jeszcze coś ukradnie...

Knezinka rzuciła w stronę Wilczarza szybkie, pełne lęku spojrzenie. Wen stał jak głuchy, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Nie obrażaj go, nie zasłużył na takie traktowanie - zwróciła się do Promienia. Potem obróciła się do swego ochroniarza. - A ty cze mu milczysz?

Wilczarz wzruszył ramionami.

- Przecież jestem na służbie. Mam strzec ciebie, pani, nie siebie przed jakimś gadułą...

Lewy, który zapewne w życiu nie słyszał, by ktokolwiek tak go określił, na moment zaniemówił. I Wilczarz ku swej wielkiej radości dokończył:

- Gdyby zaczął nastawać na ciebie, od razu głowę bym mu urwał. Pięść bojara wystrzeliła w stronę jego podbródka, ale podstawiona dłoń sparowała cios. Wilczarz doskonale władał sztuką doprowadzania przeciwnika do szału - nie robiąc mu krzywdy, a jednak nie pozwalając się tknąć. Promień usiłował dosięgnąć go i lewą ręką, ale Wen odepchnął dłoń bojara, a potem złapał go za łokcie i przycisnął je do boków. Znał setki chwytów, które pozwoliłyby mu wykręcić rękę Lewego i unieruchomić go o wiele pewniej i łatwiej, ale specjalnie wybrał najmniej efektowny. Jeszcze tego brakowało, żeby od razu pokazać pyszałkowi wszystko, co umie. Niech Promień pokaże. Jeśli potrafi. A zapewne potrafi. A poza tym - czy to rozsądnie upokarzać go w obecności "siostry"?...

Promień rzeczywiście nieźle radził sobie w sztuce walki. Wen od razu poznał, na jakiego trafił przeciwnika. Witeź to nie miejski strażnik, wczorajszy piekarz, wprawny w wyrabianiu ciasta, który jeszcze nie zdążył zmyć z siebie mąki. Promień to wojownik. I od kołyski przez wojowników chowany. Toż to samego knezia przybrany syn ulubiony, a może i pobratymiec. Woj z wojów, przyuczony do wszelkich rodzajów walki. Promień był dobrze zbudowany i silny... Tylko czemu ruszał się, jak gdyby cierpiał z ciężkiego przepicia? Bojar jęknął i chciał się wyrwać. Wilczarz go przytrzymał, nie uciekając się do żadnych forteli, choć musiał w to włożyć trochę wysiłku.

Na szczęście walka trwała ledwie parę chwil. Knezinka Hellona nieustraszenie zbiegła do nich z ganku.

Żeby gryzące się psy rozdzielić... - przemknęło przez myśl Wilczarzowi.

Odepchnął bojara i sam cofnął się o krok, ciężko dysząc. Teraz knezinka na pewno każe mu zabierać się stąd i zniknąć jej z oczu. I będzie miała rację. Przecież widziała go wszystkiego trzy razy w życiu. A Lewy mówi do niej "siostró". Wilczarz nie zamierzał opowiadać jej o starej Welhince.

- Odejdź, Promieniu - powiedziała nieoczekiwanie młoda władczyni. - Zajmij się swoimi sprawami.

I bojar odszedł. Trząśnięty ze złości, oglądał za siebie na każdym kroku, ale nie powiedział ani słowa więcej.

Wilczarz wpatrywał się w plecy knezinki i też milczał, oczekując zasłużonej reprimendy. Tymczasem... poczuł w jednym nozdrzu dobrze znaną wilgoć. Podniósł rękę, zobaczył na palcu jaskrawoszkarałą kropkę i zrozumiał, że Lewy bezwiednie jednak się na nim zemścił. Krótkie, ale bardzo intensywne napięcie dało o sobie znać. To się zdarzało dość często od czasu, kiedy w kamieniołomie uszkodzono mu nos. I zawsze kapało mu z nosa w najmniej odpowiednim momencie. Przeklinając się w myślach, wyjął z woreczka przy pasie szmatkę, którą zawsze tam trzymał na wszelki wypadek, i zaczął wpychać ją sobie do nozdrza. Dobrze, że się w porę spostrzegł i nie poplamiał krwią ganku czy nowiutkich podarowanych przez knezinkę ubrań.

Hellona odwróciła się i jej oczy zrobiły się okrągłe.

- Wybacz, pani - odezwał się Wilczarz tonem pełnym skruchy. Gotów był ze wstydu zapaść się pod ziemię.

Dziewczyna szybko obrzuciła spojrzeniem dziedziniec - czy nikt tego nie widzi - i zdecydowanym gestem chwyciła go za rękę.

- Chodźmy!

Jej palce nie zetknęły się, kiedy objęła jego nadgarstek, ale uścisk był mocny. Zaprowadziła Wena na ganek, a potem do komnat.

- Nianiu! - zawołała już od progu. - Przyniesź zimnej wody! A ty siadaj! - To odnosiło się do Wilczarza, więc posłusznie usiadł na ławie stojącej przy wejściu.

Z drugiej komnaty wyrzała staruszka, popatrzyła na niego, znowu zniknęła, po czym zjawiła się z pękatym glinianym dzbanem i wielką glinianą misą.

- Niczego sobie obrońca.... - gderła pod nosem, na tyle głośno, by słyszał jej słowa. - Samemu nianka by się zdała...

- Pochyl głowę - nakazała knezinka Wilczarzowi.

- Ty już idź, dziecinko - odpędziła ją staruszka. - Idź, nie kręć mi się tutaj pod nogami.

Postawiła mu misę na kolanach, opryskała go lodowatą wodą, pociągnęła za włosy, żeby pochylił się jeszcze niżej, zmoczyła gałganek i przyłożyła mu do przegrody nosowej. Potem chwyciła go za środkowy palec i mocno przeciągnęła nitką po dolnym skraju paznokcia.

- Dzięki, babciu - wymamrotał przez nos.

Człowiek, któremu leci krew z nosa, jest żaloszny i bardzo brzydki. Wygna mnie! - rozpaczał w myślach Wilczarz, patrząc, jak do misy skapują szkarłatne krople. Na szczęście skąpy wały coraz rzadziej. Ani chybi mnie wygna. I dobrze zrobi. Wierną drużynę obraziłem, z bojarem się powadziłem, a teraz jeszcze okryłem się sromem, czyniąc z siebie widowisko. Na co jej...

- Jak się czujesz?- spytała knezinka. Wilczarz podniósł oczy. Patrzyła na niego z niekłamanym współczuciem. - Już ci lepiej? Co się stało?

- Miałem złamany nos. Od tamtej pory to mi się czasem przytrafia - odpowiedział bez specjalnej ochoty.

- Młódź bezwstydną - zaczęła burczeć staruszka. - Tylko by po karczmach chodzili i pięściami się okładali... A w domu nie ma kto siedzieć, ojcu, matce oko cieszyć...

Wilczarz nic nie mówił. Krew wreszcie przestała lecieć. Ostrożnie oczyścił nozdrze, po czym na wszelki wypadek włożył jeszcze jedną świeżą szmatkę. Jeżeli nie będą mu się przyglądać, może nikt nie zauważy. Piastunka zabrała misę i ręcznik. Wilczarz wstał. Wtedy knezinka dostrzegła kolczugę wystającą spod wdzianka.

- Po co ci to? - zdziwiła się. - Od kogo masz? Zdejmij to. Dobrzy ludzie cię wyśmieją. Pomyślą, że całkiem zbzikowałam.

Mówiąc te słowa, lekko się zarumieniła i Wilczarz zrozumiał, że czcza gadanina mimo wszystko jej dopiekała. Bo też rzeczywiście znani z ostrego języka mieszkańcy Haliradu będą sobie używać ile wlezie, zobaczywszy przy boku knezinki ochroniarza Wena wyposażonego jak na wojnę. Pewnie mu ze śmiechem doradzą, żeby jeszcze hełm na głowę włożył. Myślałby kto, że trzy razy dziennie ją napadają!

Wilczarz rozpiął pas, zdjął wdzianko, a potem kolczugę.

- Połóż to tutaj - powiedziała knezinka. - Jak wrócimy, zabierzesz.

- Masz przeze mnie same nieprzyjemności, pani - rzekł Wilczarz. Knezinka machnęła ręką.

- Idź do stajni. Wydałam dyspozycje koniuszemu, żeby ci wybrał konia.

Wilczarz złożył pokłon i wyszedł.

Kiedy zaczęła zbierać się świta, zauważył wśród rudowłosych Solwenów smagłego czarniawego Halisuńczyka, pulchnego i ubranego zupełnie inaczej niż reszta wojów. Chciał się dowiedzieć, kim jest ten człowiek, ale właśnie w tym momencie pojawił się Spryt i Wen od razu podszedł do niego.

- Witaj, wojewodo! Musimy zamienić parę słów.

- A to niby o czym? - spytał Spryt, wyraźnie niezadowolony. Wilczarz odwołał go na stronę i rzekł:

- Chciałbym poprosić. Kiedy staniesz obok tronu pani, stań o krok dalej niż zwykle.

- Co takiego?! - ryknął Prawy, a krew nabiegła mu do twarzy.

- Nie gniewaj się. - Wilczarz podniósł dłoń na znak zgody. A potem zaczął rysować czubkiem buta na ziemi. - Popatrz. Tu stoi tron naszej władczyni. Ja stanę tutaj, żeby wszystko widzieć, ale też nie rzucać się w oczy. Jeżeli odrobinę przesuniesz się w prawo, będzie mi wygodniej.

Bojarowi aż zadrżały wąsy.

- Poszedł won, darmożjadzie!

Wilczarz przypomniał sobie niedawne porównanie, które wydało mu się odpowiednie do jego sytuacji.

- Jestem tylko psem obronnym, wojewodo. Nieważne, gdzie będę stał czy leżał, najważniejsze, żebym pilnie strzegł.

Ostatnie słowa wypowiedział już do pleców wielmoży.

Gruby Halisuńczyk Iliad okazał się lekarzem. Mieszkał w twierdzy w czasach, kiedy knezinka była dzieckiem i często niedomagała. Teraz bywał tu w miarę potrzeby i uważał za swój święty obowiązek towarzyszyć Helionie, córce Gluzda, we wszystkich wyjazdach, takich jak ten

dzisiejszy.

- Czy pani jest chora? - zaniepokoił się Wilczarz. - Jeśli knezinka jest chora, muszę o tym wiedzieć. Odpowiadam za jej bezpieczeństwo.

- Pani cieszy się dobrym zdrowiem i Księżycowe Niebo łaskawie pozwoli jej cieszyć się takowym do dziewięćdziesięciu dziewięciu lat - odparł Halisuńczyk, wydymając wargi.

- W takim razie po co... - bez zastanowienia zaczął Wilczarz, ale zniecierpliwiony medyk przesunął z miejsca na miejsce malowany kuferek ze skóry i przerwał mu:

- Po to, po co i ty. Tylko ja, w przeciwieństwie do ciebie, czasem jestem przydatny!

Koniuszy Spiel przygotował dla Wilczarza dobrego konia. Był to silny szary wałach segwańskiej rasy bojowej. Konie tej rasy miały owłosione pęciny i były niesłychanie spokojne - wydawały się powolne i ociężałe, ale mogły na pierwszy znak ruszyć z kopyta galopem, a na dodatek służyły ze swej pojętności. Dobrze ułożony konik szczytnął mu z dłoni przylepkę, którą Wilczarz zachował specjalnie na tę okazję, owionął mu twarz ciepłym oddechem i potarł łbem o ramię. Tak się poznali i zawarli przymierze. Wilczarz poklepał konia po mocnej, umięśnionej szyi, wziął go za uzdę i wyprowadził na dwór, żegnany pełnym aprobaty spojrzeniem sługi.

Kiedy wsiadali na koń, Wilczarz chciał pomóc knezince Helionie - władczyni, przyobleczonej w długą suknię, jeździła konno bokiem, opierając obie nogi na specjalnej podpórce - lecz bojar Spryt podskoczył, niemal odepchnął ochroniarza i sam posadził "córuchnę" w siodle. Wilczarz zezłościł się i poprzysiągł sobie, że po przybyciu na plac targowy stanie tam, gdzie uzna za stosowne, i niech Prawy wystawia się na pośmiewisko, skoro tak bardzo tego pragnie. Stary bojar, lekko wskoczywszy na swego gniadosza, z wściekłością obejrzał się na ochroniarza, następnie jednak spiął piętami konia, zmuszając go, by odsunął się od białej klaczy knezinki, i Wilczarzowi zrobiło się źzej na sercu.

Stare nawyki przypomniały mu się od razu. Jak tylko wyjechali za bramę, omiół uważnym spojrzeniem wszystkie dachy i zwieńczenia drewnianych ogrodzeń, a także twarze mieszkańców Haliradu, którzy wyszli powitać władczynię i oddać jej cześć. Choć wszyscy go przekonywali, że ani nikt obcy, ani tym bardziej swój nie podniesie na nią ręki, Wilczarz był czujny. Bez kolczugi czuł się nagi.

Kiedyś uważnie się przyglądał, jak inni zachowywali się w eskorcie ważnych ludzi w wielkich miastach Halisunu czy Sakkarem. Jeśli władcom zdarzało się spotykać z ludem, na wszystkich dachach rozstawiano łuczników, którzy potrafili z odległości dwustu kroków trafić strzałą w środek pierścionka. Łucznicy mieli za zadanie przy najmniejszym podejrzanym ruchu spuszczać cięciwę bez namysłu. A i wśród sług dobrą połowę stanowili przebrani strażnicy. Lud o tym wiedział i uważał, że tak właśnie ma być. Tu było zupełnie inaczej. Gdyby tutaj tak postępowano, mieszkańcy miasta poczuliby się śmiertelnie urażeni. Jednego ochroniarza może wybaczą...

A teraz myśl, ochroniarzu, jak masz się zachować, żeby i knezinkę odgrodzić, i z miastem nie zdrzeć...

Na placu Wilczarz rzucił wodze stłudze (który odruchowo pochwycił je, a dopiero potem zadał

sobie pytanie, dlaczego Wen sam nie odprowadził swego konia, a przy okazji wierzchowców wielmoży) i od razu stanął koło knezinki, za jej prawym ramieniem. Bojar Spryt, sapiąc i podgryzając siwe wąsy, ustawił się bardziej z przodu i o krok na prawo. Wilczarz z wdzięcznością zauważył, że stary woj miał baczenie na tę część, której on nie widzi. Promień-Lewy kroczył z drugiej strony. Zdawało się, że postanowił traktować Wilczarza w jedyny sposób, jaki mu pozostał - w ogóle go nie zauważał. W każdym razie przy ludziach.

Knezinka Hellona pokłoniła się ludowi i zasiadła na starym tronie. Zabrział srebrny róg. Wilczarz wpił się spojrzeniem w pierwszego nadchodzącego kupca. Był to rosty, potężnie zbudowany czarny jak sadza Monomataniin, należące doń trzciniowe statki przybyły do portu przed świtem. Kupiec miał na sobie długą żółto-czerwoną szatę obszytą cętkowanym futrem; w jego ojczyźnie zimą było o wiele cieplej niż w Haliradzie latem. Mówił po solweńsku doskonale, nie potrzebował tłumacza. Przywiózł na sprzedaż drewno - czarne, żółte i barwione - a także kość słoniową i dwadzieścia trzy czarne diamenty. Dwa leżały w pięknych drewnianych szkatułkach, które niósł w darze knezinie. Hellona już wyciągnęła okrągłą drewnianą odznakę będącą znakiem kneziowskiej zgody na handel, kiedy Monomataniin głośno klasnął w różowe dłonie i dwoje sług ostrożnie wniosło wysoki kosz upleciony z tamtejszej grubej trzciny. Kupiec rozpląnął się w uśmiechu, błyskając śnieżnobiałymi zębami, zdjął pasiastą pokrywkę i zanurzył w koszu swe długie ręce. Potem wyprostował się i podał knezinie gliniane naczynie. W naczyniu znajdował się niepozorny krzaczek obsypany białymi śnieżynkami drobnych kwiatusków. Pod tutejszym słońcem roślince na pewno było za zimno, toteż zakryto ją szklanym kloszem wykonanym niechybnie specjalnie do tego właśnie celu. Monomataniin cieszyli się zasłużoną sławą doskonałych mistrzów szklarskich.

Władczyni wielkiego i bogatego miasta momentalnie zapomniała o należytej powadze. Zerwała się z tronu jak najzwyczajniejsza na świecie dziewczynka, którą dobry przyjaciel poczęstował makowym pierniczkiem.

- Oj, *Szanaka-sao! Sanibakati larimba...*

Co znaczyło: "Jakże mi się to podoba, co za wspaniały dar!". Okazało się, że knezinka mówiła po monomatańsku nie gorzej niż kupiec Szanaka po solweńsku. I zapewne miała ogródek, w którym hodowała różne zamorskie roślinki. Stojący nieruchomo Wilczarz wyteżył uwagę, kiedy olbrzymi czarnoskóry kupiec przekazał naczynie z krzaczkiem sługom i przyjaźnie objął knezinkę.

- Hellono, córko Gluzda, mój syn specjalnie dla ciebie wyszukał tę roślinę. Przez dwa dni wędrował! Uśmiech Gór lubi dużo, dużo słońca i... eee... tego, co ptakom wypada spod ogona.

Głos miał tubalny. W tłumie, który schodził się, by popatrzeć na hołd kupców, dało się słyszeć śmiech.

Po Monomataniinie na rozestłanym kobiercu pojawił się Wen z rodu Sikory. Wilczarz obrzucił go takim samym uważnym spojrzeniem, jak wszystkich pozostałych. Wen przyniósł knezinie w darze czarne sobole, srebrne lisy i wielką kadź z ogórkami, które jego plemię potrafiło kwasić w bardzo szczególny sposób, ku zazdrości wszystkich sąsiadów. Wilczarz uznał, że kadź rozsiewa cudowny

zapach. Kątem oka zauważył, jak Promień zmarszczył wydelikacowany nos.

Uroczystość trwała w najlepsze. Zamorscy kupcy przychodzili jeden po drugim i odchodzili, dumnie dzierżąc wręczone im odznaki. Knezinka Hellona dla każdego znajdowała dobre słowo. Z wieloma - nie tylko z Szanaką - prowadziła rozmowę w ich ojczystych językach. A nie ma co ukrywać, to bardzo schlebiało kupcom. Skłaniało też ich, by przyjechali po raz kolejny i namówili do przyjazdu innych.

Jaskrawe poranne słońce świeciło Wilczarzowi prosto w prawe oko. Od długiego stania w jednej pozycji zdrętwiały mu nogi. Zaczął się nieznacznie kołysać, przestępując z pięty na palce, by pobudzić krew. Widział, że knezince sprawiają przyjemność bogate dary. Podarunki zostaną dostarczone do zamku, jedne trafią do skarbcza, drugie - do kuchni, a jeszcze inne zostaną wykorzystane na zapłatę i nagrody dla dzielnej drużyny, na naprawę murów twierdzy, na broń i ekwipunek dla ochotników z miasta, gdyby zaszła potrzeba powołania ich pod broń...

Zbliżało się południe. Wilczarz po raz nie wiadomo który pozazdrościł miejscowej gawiedzi - gapie mogli sobie przyjść i odejść o dowolnej porze. Ucieszył się, kiedy zobaczył, że korowód kupców się kończy.

Przedostatni przyszedł ukłonić się knezince pochodzący z dalekiego Szo-Sitainu młody człowiek o obliczu koloru miedzi, z długim warkoczem jasnych jak len włosów i skośnymi niebieskimi oczami. Jego kraj leżał za morzem, jeszcze dalej niż Arrantiada, słynął z tabunów cudownych koni pasących się na niezmiernych stepach. W Szo-Sitainie nie budowano statków, a tego kupca, jednego z pierwszych w Haliradzie, przywiózł tutaj zuchwały solweński żeglarz. Wilczarz spostrzegł, że knezinka zanotowała coś na woskowej tabliczce. Na pewno postanowiła nagrodzić przedsiębiorczego Solwena.

Tabliczka knezinki zrobiona była z jałowca, z pięknym rzeźbionym wzorem ukazującym splecione gałązki na odwrocie. Wilczarz mógł się jej dokładnie przyjrzeć, bo knezinka trzymała tabliczkę na kolanach odwróconą, aby słońce nie rozpuściło wosku. Na jedwabnym plecionym sznureczku przywiązany był do tabliczki kościany rylec, z trzonkiem w kształcie maleńkiej łopatkii do ścierania niepotrzebnych liter.

Kupiec z Szo-Sitainu *oczywiście* nie znał języka, pomagał mu wynajęty tłumacz. Na szczęście w Haliradzie było aż nadto ludzi, którzy potrafili wypowiedzieć się we wszystkich możliwych narzeczach i z tego uczynili swoje źródło utrzymania. Ledwie siedmiodzień temu, kiedy poszukiwał pracy, Wilczarz sam w rozpaczę przemyślał, czy się nie najać jako tłumacz, ale prędko zarzucił tę myśl. Gębę ma nie taką, jak trzeba - wyjaśnili mu dobrzy ludzie.

Nie wiedzieć czemu, jego wzrok nieustannie powracał do tłumacza. Był to człowiek, jakich w każdym zgromadzeniu znajdziesz bez liku - niewysoki, rudawy, w wieku nieokreślonym (od trzydziestu do pięćdziesięciu lat), z rysami twarzy, których nie sposób zapamiętać. Taki ktoś z równym powodzeniem mógłby zostać uznany za Segwana, Welcha czy Solwena. Może właśnie dlatego Wilczarz, który lubił wiedzieć, z kim ma do czynienia, przyjrzał mu się uważniej. Coś go w tym człowieku niepokoiło. Ale co? Jego ubiór? Napatrzwszy się na noszących różnobarwne szaty

mieszkańców Haliradu, szczególnie po spotkaniu z tamtym starcem na brzegu morza, Wilczarz nie dziwiłby się ani sakkaremskim pluderkom, ani monomatańskim sandałom. Nie, to nie to. Rudawy człowieczek był ubrany zgodnie z segwańskim obyczajem...

I wreszcie go olśniło. Wzór na koszuli wskazywał na przynależność tłumacza do jednego określonego plemienia, błękitne frędzle przy butach - do drugiego!

A więc ten człowiek udaje kogoś innego!

Zmęczenie i senność zniknęły jak ręką odjął. Wilczarz cały się spiął, gotów do natychmiastowego działania. Chciał porwać knezinkę na ręce i zakryć ją swoim ciałem. Nie, tak nie wolno.

- Na grzbietach jego koni, które ciągną wozy, spoczywa siła wpędzająca wrogów w strach - spokojnie i składnie mówił tymczasem tłumacz, a kupiec z Szo-Sitainu popatrywał na niego z wdzięcznością. Wilczarz żywo wyobraził sobie gromki śmiech i urąganie mieszkańców miasta, oburzenie knezinki i całkowitą niewinność Segwana, który w pośpiechu kupił dobre buty i nie zdążył zmienić przy nich frędzli. Jeszcze raz obrzucił go spojrzeniem, ale nie zauważył żadnej broni.

Niemniej nie wiedzieć czemu gdzieś w ciemnych zakamarkach duszy coś nadal biło na trwogę, jak gdyby wzywało do gaszenia pożaru.

- Pozwól, pani, bym ci przekazał skarby naszych błogosławionych stepów, trzy białe jak mleko wierzchowce, które nigdy nie słyszały głośniego krzyku ani świstu bata...

Kupiec zrobił krok do tyłu, odwrócił się i ręką dał znak sługom, by przyprowadzili strzygące uszami trzy piękne koniki - ogiera i dwie klaczki. Tłum zafalował, dały się słyszeć pełne zachwytu pochwały, rumaki rzeczywiście zasługiwały na najwyższe uznanie. Jak się wydaje, Wilczarz był jedynym człowiekiem, który nawet nie spojrzał na siwki. Patrzył na tłumacza. A ten, podobnie jak kupiec, cofnął się o krok. Z tym że w stronę przeciwną niż kupiec. Prawdziwy tłumacz nigdy by tak nie postąpił. A potem, nadal się uśmiechając, nagle wsunął obie ręce w rękawy. Jego spojrzenie stało się zimne jak stal. W tym właśnie ułamku sekundy Wilczarz uświadomił sobie, że widział wcześniej tego człowieka, i zrozumiał, dlaczego zabójca ubrał się w strój Segwanów. Z uwagi na szerokie rękawy, których nie pętały żadne tasiemki...

Później wszystko wydarzyło się jednocześnie. Knezinka Hellona nie zdążyła się przestraszyć. Coś odrzuciło ją razem z tronem - wprost na bojara Promienia, a pochylony Wilczarz jak sprężyna z miejsca skoczył na tłumacza, stojącego w odległości czterech kroków od niego. Już w powietrzu dogonił go krzyk knezinki. Zdawało mu się, że o coś się otarł - coś prześliznęło się po jego piersi i po lewym boku. Prawie nie poczuł bólu. A więc jednak się nie omylił. Jak zawsze w takich razach, czas zwolnił bieg. Wilczarz zobaczył, jak złość z powodu udaremnionego rzutu ustąpiła na twarzy zabójcy strachowi i przeczuciu, że za chwilę zginie. Potem ujrzał tuż przed sobą twarz tłumacza wykrzywioną grymasem i jego ręce trzymające gotową do rzutu drugą parę noży. Noże nie wymierzyły ciosu. Cios wymierzył Wilczarz. Pięścią. W podbródek. I usłyszał krótki chrzęst - jaki wydaje złamany kręgosłup.



Przewrócił się w kurzawę tuż obok bezwładnego ciała zabójcy.

I czas znowu ruszył swoim tempem. Jak zawsze.

\*

Jego pierwszą myślą było: odgrodzić panią. Ale drużyna o wszystko się już zatroszczyła. Wojowie zastłonili knezinkę swymi potężnymi plecami, dającymi poczucie bezpieczeństwa. Wilczarz słyszał jej głos - przerażony, niedowierzający temu, co się stało. Podniósł się również Promień, którego obalił ciężki tron. Nie posiadał się ze złości. Wskazywał palcem Wilczarza i wrzeszczał:

- Łotr!

Na szczęście dla Wena ludzie uznali, że bojar ma na myśli zabitego. Przestraszone konie głośno rżały i próbowały wierzgać. Słudzy wieszali się im na uzdach, z trudem utrzymując potężne zwierzęta. Kupcowi z Szos-Sitainu już ktoś wykręcił ręce, a nad tłumem coraz głośniej powtarzano wezwanie, które rozchodziło się jak kręgi od wrzuconego w wodę kamienia: "Bij Segwanów!".

- To nie Segwan! - z całych sił zakrzyknął Wilczarz, próbując od należć wzrokiem bojara Spryta.

Prawy nie odezwał się słowem i Wen uświadomił sobie, że będzie musiał działać sam. Kiedyś, bardzo daleko stąd, widział, jak z jednego wielkiego miasta wypędzano całe plemię, ludzi innej wiary, na których zwalono winę za kradzież przetykanych złotem materii z miejscowej świątyni. Wyobraził sobie, jak dobrzy mieszkańcy Haliradu, rzucając kamieniami i wymachując kijami, wyganiają za bramy miasta Fitełę, Audykę, Aptachara, rozwalają i tak biedną pracownię chromego Warocha... A jak sami będą żyć po czymś takim? Wilczarz wstał i w tym momencie bogowie przyszedli mu z pomocą: z tłumu gapiów wyłonił się strażnik - ten sam jasnowłosy osiłek, który kiedyś w karczmie próbował z nim swoich sił w walce na ręce.

Wilczarz ścisnął go za ramię.

- To nie Segwan, chłopcze! Słyszysz? Powiedz Brawlinowi...

- Zranił cię - zauważył strażnik.

Po koszuli Wena, na piersi i lewym boku rzeczywiście rozplywały się dwie ciemne plamy. Wilczarz machnął ręką.

- Powiedz wszystkim, że ten zabójca nie jest Segwanem! Zrozumiałeś? Do dzieła!

Jasnowłosy okazał się pojętym młodzieńcem. Skinął głową i zaczął przebijać się przez tłum jak dzik przez zarośla. Wkrótce pośród gawiedzi zjawili się więcej strażników i bójki, do jakich doszło tu i ówdzie, zakończyły się na sam ich widok. Ucichły też okrzyki i wezwania do zemsty na Segwanach.

Natomiast do Wilczarza podeszło aż czterech witezi ze Sprytem na czele. Jednym z tej czwórki był Promień.

- Łotr! - rzekł prędko Lewy, patrząc Wenowi prosto w oczy. Teraz już nie mogło być wątpliwości, kogo wskazywał palcem.

Wilczarz się nie odezwał.

- Promieniu, dopilnuj, żeby kupca zaprowadzono do zamku, ale niech nikt nie robi mu krzywdy.

Najpierw trzeba wszystko wyjaśnić - ponuro powiedział Prawy. - I żeby nie trzeba było potem winy zacierać. A ty, młodzieńcze...

- Zmówił się, łotr! - powtórzył Promień. - Sam rozbójnik, to i najał drugiego rozbójnika! Chciał się zasłużyć! A kark koleżce złamał, żeby mu nie płacić za usługę...

- Co na to powiesz, młodzieńcze? - spytał Spryt Wilczarza.

- Czy pani nic się nie stało?

- Nie, nic się nie stało. Słyszałeś, co powiedział bojar? Jak udowodnisz, że jesteś czysty?

W tym momencie podszedł do nich jeszcze jeden witeź.

- Patrzcie, tu są nożyki - rzekł, pokazując na wyciągniętej dłoni szerokie jak łyżki klingi bez rękojeści. - Jeden trafił w oparcie tronu, ledwieśmy go wyjęli, a drugi... jeszcze trochę i trafiłby nie w sprzączkę mojego pasa, lecz w brzuch.

Bojar Spryt przyjrzał się świecącemu ostrzu i znowu zwrócił się do Wilczarza.

- Jak udowodnisz, żeś czysty?

Wilczarz nagle zjeżył się cały i wyszczerzył zęby jak pies na łańcuchu, który ma ochotę zrzucić z siebie obrozę.

- A choćby tym mieczem! U nas za oszczerstwo tak się płaci. Nie, nie bez kozery kneź Gluzd spokojnie mógł zostawić miasto pod rządami córki. Młoda knezinka podeszła, zmuszając drużynę, by się rozstała, i po raz drugi tego dnia bez cienia strachu rozdzieliła mężczyzn gotowych się pozabijać.

- Hej tam! - zabrzmiał jej dźwięczny głos. - Zawołajcie medyka! Gdzie Iliad?

- Każ, pani, aby nikt nie skrzywdził Segwanów - rzekł Wilczarz. - To nie Segwan chciał cię zabić.

- A kto? - spytał Spryt.

- Nikt - odparł Wilczarz. - Oni tak właśnie o sobie mówią: "Nikt". Obejrzyj ciało, a gdzieś w utajonym miejscu znajdziesz znak... Znak Ognia, tylko odwrócony.

- Tfu! - splunął Lewy. - Trzeba mu było nie łamać karku, byśmy go o wszystko wy pytali...

Wilczarz nie odpowiedział.

- Bojar mówi do ciebie - rzekł Spryt.

Wilczarz uśmiechnął się tylko jednym kącikiem ust, nieprzyjemnie i złośliwie.

- Szczęśliwa ziemia, która nie zna tych zabójców...

- A ty skąd wiesz? Też mi znawca się znalazł!

- O właśnie, skąd wiesz? - włączył się Promień.

Wilczarz puścił tę uwagę mimo uszu. Odpowiedział Sprytowi:

- Już ze trzydzieści trzy razy nazwałeś mnie łotrem, komu jak nie mnie znać się z zabójcami...

- Dość tego! - Knezinka Hellona tupnęła nóżką obutą w zdobny trzewiczek. - Idź, Promieniu. Zajmij się kupcem, tylko pamiętaj, że by mu włos z głowy nie spadł... Hej, gdzie jesteś, Iliadzie? A ty, Wilczarzu, mów po kolei. Jacy znowu zabójcy?

- Mają swoją wiarę, pani - odparł Wen. - Czczą Moranę Śmierć i wierzą, że zabijając za

pieniądze, spełniają dobry uczynek. On nie odpowiedziałby na przesłuchaniu na żadne z pytań, cały czas sławiłby tylko swoją boginię za mężkę...

Knezinka nie słuchała jego wywodu.

- Iliad! Gdzie Iliad? - Obejrzała się za siebie. Stało się jasne, że przez cały ten czas mało co ją obchodzi, widzi tylko plamy na jego koszuli. - Jesteś ranny!

Wilczarz wzruszył ramionami.

- To nie są rany, które mogłyby mi przeszkodzić w służeniu ci, pani. To przede mną, było wypisane na jej twarzy. To wszystko przede mną. To we mnie wycelowane były noże! A gdybym nie kazała ci zostawić kolczugi w domu...

Jak się okazało, Iliad zdążył się słodko zdrzemnąć na swoim skórzanym kufereku. Przespał szczęśliwie i zamach, i ogólne zamieszanie. Przerażony obudził się dopiero wtedy, kiedy jeden z wojów wziął go za ramiona i porządnie potrząsnął. Niezgrabnie podbiegł do knezinki, przestępując z nogi na nogę i posapując.

- Co z tobą, pani?

- Mnie nic się nie stało - odparła. - Mój ochroniarz został raniony. Musisz go opatrzeć.

Wilczarz na szczęście nie był ciężko ranny. Noże, które były przeznaczone dla knezinki, tylko go drasnęły, pozostawiając dwie głębokie bruzdy. Cięcia bardzo go bolały i krwawiły, ale o żadnym zagrożeniu dla życia nie mogło być mowy. Gdyby ktoś spytał Wilczarza, jak można mu pomóc, powiedziałby, że wystarczy tylko przetrzeć te miejsca jakąś czystą szmatką, a potem, w zamku albo w domu, przemyć je, może zaszyć. Ale nikt go o zdanie nie pytał. Knezinka uważała, że ucierpiał nie tylko z jej powodu, ale także z jej winy. I jedynie to się liczyło. Handlarz przypraw korzennych, którego stragan znajdował się w pobliżu, wprowadził Wilczarza i Iliada pod płócienny daszek i zostawił samych.

Namiat pachniał pieprzem, cynamonem i tysiącem innych przypraw. Iliad otworzył swój kuferek, zaczął zeń dobywać puzdereczka i naczynek, starając się nie odwracać do Wilczarza plecami. Jego ruchy wydały się Wenowi niezupełnie pewne.

Jeszcze tego brakowało, pomyślał ochroniarz knezinki. Lekarz domowy, który przyzwyczajony jest do tego, że wszyscy są zdrowi, leczy ich czasem co najwyżej z przeziębień albo skutków przejedzenia...

I nagle jemu, takiemu wydelikacjonemu, każą rany zaszywać, podczas gdy on ledwie oczy ze snu przeciera. I to czyje rany! Wściekłego Wena o niewiadomej przeszłości, może nawet całkiem ciemnej!

Wilczarz złożył na ziemi pas i pochwę z mieczem. Rozebrał się do pasa. Koszulę trzeba było oddzielać od ciała w tych miejscach, gdzie krew już zdążyła zakrzepnąć. Na szczęście noże były dobrze naostrzone i rozcięły koszulę jak brzytwy. Jeżeli uda się ją ostrożnie uprać i zszyć, to jeszcze mu trochę posłuży...

Iliad znalazł wreszcie to, czego szukał, i odwrócił się do cierpliwie czekającego Wilczarza, trzymając w ręku maleńką czarkę i szklany flakonik. Popatrzył i zastygł, wytrzeszczając oczy.

Wilczarz nie wiedział, co takiego szczególnego dostrzegł w nim lekarz. Tymczasem Halisuńczyk nagle wybiegł z namiotu z największą prędkością, na jaką stać było jego krótkie nogi.

- Pani! - doleciał przez cienką przezroczystą ściankę jego przerażony głos. - W imię Księżykowego Nieba zaklinam cię, natychmiast oddal od siebie tego człowieka!

- Dlaczego tak krzyczysz, Iliadzie? - zdziwiła się knezinka.

- To bardzo niebezpieczny człowiek, pani! - zachłystywał się lekarz. - Może cię skrzywdzić!

Wilczarz zaczął się domyślać, o co chodzi lekarzowi. Schylił się, wyjął ze skózanego kuferka kawałek białego jedwabiu i postanowił sam zrobić sobie opatrunek, bo krew ściekała po brzuchu i lewym boku i mogła poplamiać piękne skórzane spodnie.

- Mów, o co chodzi! - krzyknął bojar Spryt, najwyraźniej rozdrażniony sytuacją.

- Ten Wen jest katorżnikiem, pani. Ma piętno - pospiesznie wyjaśnił Halisuńczyk. - Był w rękach kata, przeszedł straszne tortury! To przestępca! To...

- Iliadzie! - przerwała mu knezinka.

- Pani, ja...

- Wróć tam i pomóż mu, Iliadzie - rzekła knezinka. Wilczarz po myślał, że srebrny dzwoneczek jej głosu potrafi mieć także stalowe tony. - Słyszałeś?

Wilczarzowi zdawało się, że z piersi nieszczęsnego lekarza dobył się szloch.

Znowu poruszyła się zasłona przy wejściu. Powracający Iliad napotkał wrogie spojrzenie szarzielonych oczu i najwidoczniej dopiero teraz zdał sobie sprawę, że ochroniarz słyszał każde słowo. Ręce zaczęły mu drżeć. Przestępca z piętnem katorżnika najwyraźniej miał zamiar go zarżnąć. A knezinka, ta knezinka, którą kiedyś zawiniętą w pieluszki trzymał na kolanach...

Knezinka Hellona zdecydowanym gestem odgarnęła zasłonę przy wejściu i weszła do środka.

- Ten człowiek uratował mi życie, Iliadzie! - powiedziała ostrym tonem. - Rób to, co należy!

Zaraz za nią, w pośpiechu omal nie przewracając słupka, na którym wspierał się namiot, wpadł Spryt. Nie mógł w żadnym razie zostawić "córeczki" temu wściektemu Wenowi na pożarcie.

- Rozkaż, pani, aby nikt nie zrobił krzywdy Segwanom - powtórzył Wilczarz.

- Rozkażę. - Niecierpliwie kiwnęła głową.

- Zrób to zaraz, póki lekarz mnie opatruje - rzekł Wilczarz, patrząc jej prosto w oczy. - Żeby nie doszło do jakiegoś nieszczęścia.

- Nikt cię nie pytał o zdanie - mruknął Spryt.

Knezinka wzruszyła ramionami, odwróciła się i wyszła. Bojar pozostał w namiocie, a Wilczarz znowu zaczął się niepokoić, by nic się pani nie stało. Uspokoił się, zobaczywszy na ścianie namiotu cienie witezi, którzy otoczyli dziewczynę. Bojar podchwycił jego spojrzenie.

Tymczasem na biednego Iliada żal było patrzeć. Wyciągnął z kuferka jeszcze jeden flakonik. O ile można było cokolwiek wyczuć w tym pełnym zapachów straganie, w pierwszym flakoniku był sok z krwawnika, pomagający krzepnąć krwi, a w drugim - ostra, z żółcią nalewka na mocnej gorzałce. Taką nalewką przypiekają małe zadrapania albo siniaki, żeby szybciej się goiły, a jeśli chodzi o otwarte rany - smarują nią tylko ich okolice.

- Za co trafiłeś na katorgę, Wenie? - spytał Spryt.

Wen nie miał zamiaru o tym opowiadać. Już odwrócił głowę, by warknąć: "Za nic", ale w tym momencie medyk, który całkowicie stracił panowanie nad tym, co robi, pomylił buteleczki i poleł mu ranę nalewką, która doskonale nadawałaby się do wypalania wzorków na klindze.

Wilczarz zasyczał od tego nieoczekiwanego bólu i odskoczył. Rozcięcie na piersi stanęło w ogniu, oczy mu zbieleły i na kilka chwil całe ciało przestało się go słuchać. Iliad też się cofnął, nie rozumiejąc, o co chodzi. Potem zauważył, który flakonik trzyma w ręku, i złapał się za głowę.

- Ładne rzeczy! Idź już stąd, bo dojdzie do nieszczęścia... - Bojar Spryt wziął medyka za pulchne ramię i lekko go popchnął w stronę wyjścia. - Sam wszystko zrobię! A ty, Wenie, odwróć się. Podnieś rękę.

Wilczarz trochę oprzytomniał. Zaraz też zdał sobie sprawę, że stary witeź - jak przystało wojowi - doskonale zna się na ranach.

- Jak się domyśliłeś, że to nie tłumacz, lecz zabójca? - spytał zrzędlawie Spryt, nawlekając zagiętą w kształt półksiężyca igłę i z wprawą zaciągając supel.

Bolało nieludzko, ale Wilczarzowi zdarzało się cierpieć większy ból. Wyjaśnił Sprytowi, że porównał buty i koszulę.

- A kiedy sięgnął do rękawów, po prostu go rozpoznałem - dodał. - Próbował tu zabić jednego chłopca, którego uwolniłem spod władzy kapłanów. Ktoś go opłaca, a kupiec, jak sądzę, nic nie wiedział...

Prawy zawiązał jeszcze jeden supel i zapytał, nie mogąc ukryć pewnego rozżalenia:

- Dlaczego akurat ty wszystko to widziałeś? I zdążyłeś obronić dziewczeczkę, a my, drużyna...

Wilczarz zastanawiał się przez chwilę.

- Wy, drużyna, przywykliście do otwartej walki. A ja przez cztery lata tylko tym się zajmowałem, że wszelakich złoczyńców zza węgła wypatrywałem.

Bojar ściągnął brzegi drugiej rany, kazał mu przytrzymać i zaczął Iliada kląć na czym świat stoi. Najłagodniejsze określenie, jakie dostało się medykowi, to "konował".

- Jakoś nie udało mu się jeszcze mnie powalić - uśmiechnął się Wilczarz. Po namyśle rzekł do Spryta: - Ktoś chce, żeby pani umarła. Nie mogę być razem z nią przez całą dobę, wojewodo. Potrzebnych jest jeszcze co najmniej dwóch ludzi. Najlepiej by było, żebyś sam ich wybrał, po kneziu tyś tu wszystkim ojciec. A ja nauczę ich wszystkiego, co potrafię...

- Też mi mistrz! - burknął Spryt wzburzony. - Powiedz no lepiej, dlaczegoś kolczugi nie założył?

- Nie pomyślałem - odparł Wilczarz.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, okrywając na poły gołe ciało pożyczonym od bojara płaszczem, posłyszał z drugiej strony namiotu jakieś dziwne dźwięki. Odszukał wzrokiem knezinkę, stwierdził, że jest pod dobrą opieką, i poszedł sprawdzić, co się dzieje.

Nie bardzo się zdziwił, znalazłszy za namiotem Halisuńczyka. Gruby Iliad gorzko płakał, ukrywając się przed ludźmi pod płachtą namiotu. Wen podszedł doń bezszelestnie. Medyk go nie zauważył. Przez pewien czas Wen stał obok nieruchomo i posępnie przyglądał się Halisuńczykowi.

Pewnie jest dobrym medykiem, myślał. Bardzo dobrym. Też zapewne książki czytał i o Selchacie z Melsy słyszał. Bodaj siedemdziesiąt siedem chorób rozpozna na oko, a jeszcze trzydzieści trzy, jeśli zbada rękami. I za co go takie rzeczy spotykają? Jakieś zamachy, zabójstwa... A ci ochroniarze są jeszcze gorsi od morderców... W takiej sytuacji nie tylko ze strachu flakoniki można pomylić, ale i zapomnieć, jak się nazywasz. Po co się teraz znęcać nad nim za niedbalstwo?

Przykucnął obok i dotknął kolana medyka. Iliad zobaczył go i zasłonił twarz rękami. Wen rozchylił poły płaszcz.

- Popatrz, czy wszystko dobrze zrobił.

Iliad pospiesznie wytarł nos i obejrzał tors Wilczarza.

- Spaliłem ci ranę, ochroniarzu. Na pewno zostanie blizna. Wilczarz wzruszył ramionami. Jedna mniej, jedna więcej...

- Wiesz co - zwrócił się do Halisuńczyka. - Ktoś chce zabić panią. Dzisiaj rzucali nożami, a jutro może zechcą ją otruć.

- Noże! - Iliad klasnął w dłoń. - A może i te noże też były zatrute?

- Gdyby na ostrzu była trucizna - powiedział Wilczarz - nie rozmawiałbym tu z tobą.

Wyznawcy Śmierci najbardziej lubowali się w szybkich truciznach - wystarczyło, że kropla trującego ziała trafiła na odsłoniętą skórę, a człowiek konał, zanim medyk zdążył podać antidotum. To była znakomita broń przeciwko władcom, którzy czymś narazili się Moranie.

Iliad wstał z ziemi i uciekł, zapomniawszy nawet otrząsnąć z siebie brud. Wilczarz pomyślał, że każdy zabójca miał swoje zwyczaje. Ten najwidoczniej zasłynął jako niedościgniony nożownik, który nie musi stosować trucizny. W każdym razie Eurycha ciął z wielką wprawą. I czystym nożem. Ale spodziewać się można wszystkiego. Trucizny też przecież bywają różne. A może krew właśnie roznosi po jego ciele jakiś straszny jad, którego nie zna nikt? Gdzieś w brzuchu poczuł zimny ucisk. Jeżeli Iliad zdoła znaleźć truciznę i rozpoznać ją, jeszcze będzie można mieć nadzieję...

Wilczarz poprawił naramiennik, podszedł do knezinki i w milczeniu stanął za jej plecami.

\*

W drodze powrotnej do zamku jechał, jak i wprzódy, po prawej stronie pani, trzymając się trochę z tyłu. Nikt już nie próbował kwestionować jego pozycji.

Miasto zdążyło dowiedzieć się o zamachu. Ludzie wyszli z domów i warsztatów, tłum stał wzdłuż ulic. Każdy chciał się przekonać na własne oczy, że ukochana władczyni jest żywa i zdrowa.

Konie stąpały powoli, knezinka Hellona pozdrawiała mieszkańców miasta, machając ręką. Wilczarz wiedział, jak czuje się człowiek, którego właśnie próbowano zabić. Dzieweczce na pewno się zdawało, że za każdym rogiem czyha na nią kolejny nożownik, i chciała tylko jednego - jak najszybciej dotrzeć do domu, schować się pod koldrę i przez trzy dni nie wychylać nosa za próg. Może tak właśnie robi. Należało tylko podziwiać opanowanie młodej władczyni, która potrafiła pokonać strach i pozwalała ludowi patrzeć na siebie do woli...

Po drodze zdarzyła się tylko jedna nieoczekiwana rzecz. Kiedy przejeżdżali koło warsztatu Warocha, Wilczarz, omiatając spojrzeniem zgromadzonych, nagle dostrzegł swoją "rodzinkę", która wypadła z zaułka. Byli wszyscy: i Tilorn, i Eurych, i Neelith, i Zujko. Nawet stary mistrz kuśtykał co sił w nogach, z wprawą podpierając się kosturem. Wszyscy mieli straszne miny: jakby, nie przymierzając, przed chwilą stracili kogoś najbliższego. Gdy go zobaczyli, stanęli jak wryci. Potem Neelith rzuciła się Tilornowi na szyję i zaczęła płakać, a Eurych złapał na rękę Warochowego wnuczka i podrzucił go kilka razy pod niebo. Wilczarz chciał pomachać im, ale się rozmyślił i tylko kiwnął głową. Wieczorem po powrocie do domu dowiedział się, że do pracowni Warocha przybiegli sąsiedzi Solwenowie. Przynieśli wieść o zamachu i zaczęli szykować dom do obrony przed grabieżcami, albowiem chodziły słuchy, że Segwanów czeka wygnanie. Potem do dorosłych dołączyła dzieciarnia - przyjaciele Zujka z ulicy - i opowieści z rynku zaczęły obrastać coraz to nowymi szczegółami jak śnieżna kula tocząca się po zboczu góry. Ludzie powiadali, że na placu doszło do prawdziwej bitwy, a ochroniarz Wen zakrył knezinkę swoim ciałem i, oczywiście, zginął. Przed śmiercią podobno zdołał wypowiedzieć jakieś słowa, które przekazywano sobie z ust do ust w kilku wariantach. Niektórzy twierdzili, że oddając ducha, wyznawał Helionie, córce Gluzda, miłość, a może - wręcz przeciwnie - jakieś straszne grzechy. Inni przysięgali, że słyszeli, jak kazał zostawić swe ciało pod Zamgloną Skalą. Jeszcze inni wspominali coś o prorocत्वach niby to o końcu świata, które miał przekazać umierający...

Wilczarz przyjechał do domu na dobrym koniu, w nowiutkiej koszuli, którą - dumny z tego, że dostąpił takiego honoru - podarował mu jeden z kupców z placu targowego. Po ulicy biegła za nim grupka chłopców. A niektórzy pytali, czy nie widział Wena, który oddał życie za knezinkę. Zapewne nie tak często widzieli w swoim mieście Wenów, dlatego nie potrafili rozpoznać go po warkoczach zaplecionych, jak przystoi zabójcy.

Wilczarz nie miał najmniejszego zamiaru opowiadać w domu o swoich ranach, zresztą jego zdaniem rany nie zasługiwały na to, by stać się przedmiotem rozmowy. Ale Tilorn i Neelith natychmiast wszystkiego się domyślili i kiedy rozeszli się uspokojeni sąsiedzi, przy stąpili do leczenia go za pomocą czarów. Wilczarz nie był zachwycony z tego powodu, ale musiał ustąpić.

- Medyk szukał na nożach trucizny - na wszelki wypadek wyznał Tilornowi.

Dłoń uczonego momentalnie znalazła się na jego piersi. Tilorn badał go powoli, w skupieniu, ze zmarszczonymi brwiami, jak gdyby przysłuchiwał się temu, co dzieje się w środku. W końcu z pewnością w głosie oznajmił:

- Nie ma żadnej trucizny.

Potem wzięła się za niego Neelith - zaczęła wodzić po jego ciele rękami, końcami palców muskała szwy. Tilorn śledził jej ruchy, czasem coś podpowiadał, ale przeważnie z aprobatą kiwał głową. Wilczarzowi wydawało się, że pod opatrunkiem widać drobniutkie gorące iskry.

- Teraz nie będę mógł być cały czas w domu - zwrócił się do Eurycha, który siedział opodal i z zainteresowaniem przyglądał się zabiegom. - Musisz nauczyć się bronić. Nigdy nic nie wiadomo...

- Ja też potrafię się bronić - odezwał się nagle Tilorn. Akurat! - pomyślał Wilczarz. Ale na głos

powiedział:

- Pokaż więc.
- Eurychu, stań, proszę, koło drzwi... - zaczął mędrzec.
- Spróbuj ze mną. - Wilczarz zdecydowanym ruchem podniósł do góry rękę.
- Przecież jesteś ranny!
- To nic.

- W takim razie spróbuj podejść do mnie od strony drzwi. Wilczarz stanął koło drzwi. Tilorn rozstawił nogi, przysiadł, wystawił ręce dłońmi do przodu i kilka razy głęboko odetchnął.

- Kiedy przygotowujesz się do odparcia ataku... - mruknął Wilczarz, już chciał dodać "siedem razy cię zarżną", ale w tym momencie Tilornowi oczy zapaliły się jak dwa ametysty i z krótkim okrzykiem "ha!" skoczył i gwałtownie rozepchnął powietrze wysuniętymi naprzód dłońmi.

Wilczarz się zachwiał. Nie spodziewał się takiego obrotu spraw. To przypominało uderzenie w głowę, tyle że cios zadano z odległości kilku kroków i na dodatek nie dotykając. To był cios niewidoczną pięścią. Ale dotkliwie odczuwalny. Jednocześnie wydawało mu się, że Tilorn jakby urósł, stał się potężniejszy w ramionach i poza tym... gdzie się podział ten pełen pokory mędrzec? Przed nim stał nieznający litości, rozjuszony wojownik, który mógłby - coś szeptało do ucha Wilczarzowi, że tak właśnie może być - następnym ciosem pozbawić go życia. W ten ze zdziwieniem usłyszał w środku swego ciała głos, który namawiał go, by wycofał się i ratował głowę...

Wilczarz pochylił się, jak gdyby szedł pod silny wiatr, i ruszył na Tilorna. Następne "ha!" uczonego już nie przygięło go do ziemi, szedł dalej. Jeśli coś naprawdę umiał, to odpowiadać wściekłością na wściekłość. I bezwzględnością na bezwzględność. Życie go tego nauczyło. Tilorn nie zdążył wydać z siebie trzeciego okrzyku. Wilczarz wyskoczył do przodu, jednym ruchem obalił Tilorna i przycisnął do podłogi. Groźny wojownik w jednej chwili zniknął, rozpląnął się w powietrzu jak miraż, do którego podchodzi się nazbyt blisko. Wilczarza od stóp do głów mierzył wzrokiem tamten poprzedni Tilorn, uśmiechnięty, spocony i pełen winy.

Wilczarz zwolnił uścisk i powiedział:

- A jednak jesteś czarownikiem.
- Spodziewałem się, że tak właśnie pomyślisz - rzekł Tilorn z urazą i zaczął się usprawiedliwiać:
- To takie same sposoby walki, jakimi i ty potrafisz się posługiwać. Tylko oparte są nie na sprawności ciała... chociaż i na niej także... ale jeszcze na umiejętności koncentrowania myśli, która pozwala wymierzyć cios mentalny...

Wilczarz obejrzał się i spojrzał na Neelith:

- Więc tak chciałaś straszyć konie. Neelith w milczeniu skinęła głową.
- Te sposoby pozwalają człowiekowi bronić się przed zwierzętami - ciągnął Tilorn. - Można też przegnać złego człowieka...
- Mnie jakoś nie bardzo udało ci się przegnać - zauważył Wilczarz.
- Uważałem - dumnie oznajmił Tilorn. - Jesteś moim przyjacielem i jesteś ranny. Nie wiem, czy



zauważyłeś, ale nie biłem cię w zranione miejsca. Poza tym sam jeszcze nie jestem w pełni... - zaciął się, poczerwieniał i dodał uczciwie: - Ale nawet gdybym był, pewnie i tak bym ci nie poradził.

- Jesteś bardzo silny - potwierdził Eurych.

Tilorn pokręcił głową.

- Nie o to chodzi...

- Jak to się stało, że ty, taki mądry i sprytny, trafiłeś do klatki Ludojada? - zapytał Wilczarz.

Tilorn wyjaśnił, że człowieka, który posługuje się metodami czarodziejskiej walki, też można osłabić, stosując czary albo dążąc do wyczerpania jego sił magicznych. Tak właśnie jego pokonano. Wilczarz postanowił i tym razem zastosować swoją dawną zasadę: przyswoić każdą metodę walki, z jaką przyszło mu się zetknąć, nawet najbardziej niezręczną. Poprosił Tilorna, żeby mu wszystko pokazał. Mędrzec postawił na ławie polano i długo wyjaśniał Wenowi, jak wyzwalać w sobie nienawiść, jak przekształcać ją w siłę i następnie miotać nią w przeciwnika. I rzeczywiście na ruch jego dłoni drewno wlatywało jakby niesione podmuchem wiatru i głośno odbijało się od ściany. Wilczarz długo próbował, lecz ani razu nie udało mu się poruszyć polana. Na pewno nie miał takiego daru jak Tilorn. Umiał tylko gasić łuczywo, na odległość zwracając w jego stronę otwartą dłoń. Wenowie w taki sposób sprawdzali przed pojedynkiem, czy osiągnęli stan wewnętrznej równowagi. Nic nie powiedział, ale czuł się dotknięty do żywego.

Przez trzy dni w domu nie siadał do wspólnego stołu z domownikami i nocował na dworze, koło maleńkiego ogniska, wewnątrz kręgu narysowanego na ziemi. Trzeciej nocy nie zmrużył oka. Ale nikt nie przyszedł.

Pewnikiem Morana Śmierć od razu zabrała swego czciciela do siebie, pomyślał Wen.

\*

Tak jak przewidywał, knezinka Hellona przez kilka dni rzeczywiście nie wychodziła z zamku, nawet swe komnaty opuszczała bardzo rzadko. Ale potem wszystko wróciło do ustalonego wcześniej porządku. Z tą tylko różnicą, że nikt nie prychał i nikt nie śmiał się z obecności ochroniarza Wena. Wilczarz nieporuszony stał obok tronu władczyni, za jej prawym ramieniem, z pozoru tylko spokojnie splótłszy ramiona na piersi. Ponad łokciami z rękawów skórzanego wdzianka wystawała kolczuga. Teraz już nawet nie próbował jej ukryć.

Raz na targu zawołał go pewien kupiec i chciał mu wręczyć podarunek: piękny drogi nóż. Kupiec zapewniał, że nie zabiega o żadne łaski knezinki. Wilczarz podziękował, lecz prezentu nie przyjął.

Tilorn jak wprzód przepadał całymi dniami w pracowni mistrza Pokrzywy. Potężnie zbudowani pomocnicy odprowadzali uczonego w jedną i w drugą stronę. We dwóch z Pokrzywą odwiedzili szklarza Osteja i zamówili puchary, przy czym powtórzyła się niemal ta sama historia co w pracowni płatnerza. Ciekawski Tilorn zaczął zadawać pytania i natychmiast został wzięty za kogoś przysłanego na przespiegi. A potem oskarżony o czarnoksiężstwo. Skończyło się tym, że Ostej i Pokrzywa omal nie zaczęli się targać za brody, kłócąc się, do którego z nich przyjdzie mędrzec następnego dnia.

Pocziwy płatnerz był strasznie dumny z tego, że sam ochroniarz knezinki przyoblókł się w kolczugę, którą kupił w jego warsztacie. I puszył się jak paw, dopóki któryś z sąsiadów nie sprowadził go na ziemię słuszną uwagą.

- Miałbyś się czym chwalić, gdyby o twoją kolczugę stępiły się te noże. A tak...

*U twego wezłowia bezszelestnie staną cienie,  
I zaczną rozważać, co tobie sądzone:  
Kogo na tej ziemi obdarzysz miłością.  
I jaka gwiazda nad twoją miłością zapłonie.*

*A ty, ukojona cichym oddechem nocy,  
Jak dziecko uśmiechniesz się przez miły sen,  
Nie wiedząc, nie czując, co ci prorokują,  
te cienie, co tak władczo sądzą młodą wiosnę.*

*I taki bezbronny, taki ufny będzie uśmiech twój,  
A sen - taki piękny, że nikt cię nie zbudzi,  
Nawet królowe północy zastygną na chwilę,  
Nie będą się spieszyć, by ująć ci złudzeń.*

*A z czystego nieba miesiąc zsyła blask srebrzysty,  
Snopy i naręcza, i garście promieni,  
Czeremcha chyli ku tobie swoje wonne kwiaty,  
I dźwięcznie się śmieją wesole strumienie.*

*I powiew wiatru muśnie ich skupione twarze,  
I w miękkim świetle cudu ciemność się rozjaśni,  
I najmądrzejsza z nich powie: "Siostrzyce, na nas czas,  
niech sama wybierze swego księcia z baśni".*

## **Rozdział 8**

### **Przejażdżki**

Wilczarz stał na wewnętrznym dziedzińcu zamkowym, w miejscu przeznaczonym do ćwiczeń w strzelaniu z łuku i mierzył do celu. Jeżeli przestajesz ćwiczyć, wychodzisz z wprawy, zapominasz. Strzelał na różne sposoby: po prostu w pozycji stojącej i leżącej, i z nagłego obrotu, i koziołkując w przód, i z konia, siedząc na oklep. Jednocześnie uczył Siarka słuchać się tylko kolan, głosu i gwizdu, bez wodzy.

Zobaczywszy zbliżającą się knezinkę, opuścił łuk i się skłonił.

- Witaj, pani.

- Jak twoje rany? - spytała. - Goją się?

- Na mnie wszystko szybko się goi, pani.

- Dobrze strzelasz - pochwaliła go władczyni i wyciągnęła rękę po łuk. - Pokaż mi go.

To był mocny weński łuk, sięgał roslemu mężowi do piersi. Mistrz zrobił go z jałowca i brzozy, okleił ścięgnami i rogiem, potem owinął go jeszcze brzożową korą. Łuk mógł strzelać i w srogi mróz, i w deszcz. Knezinka zważyła go na dłoni, dotknęła nawoskowanej skórzanej cięciwy. Cięciwa wydała z siebie cichy dźwięk. Straszna broń. Strzała wypuszczona z takiego łuku może z dwustu kroków przebić dębową deskę.

Dziewczyna uważnie i ze znanstwem obejrzała łuk. Nie znalazła na nim imienia knezia. Całe wyposażenie Wilczarz kupił sam, za swoje pieniądze.

- Dlaczego nie wzięłeś łuku z zamkowej zbrojowni? Żadnej broni nie wzięłeś - zauważyła knezinka. - Czy coś jest nie tak?

- Nie jestem witeziem, pani - odparł. - Nie powinienem być zależny od wodza.

Knezinka popatrzyła na jego ręce i spytała:

- Nie nosisz żadnych osłon ani rękawic... Nie boisz się poranić?

Niewprawnie spuszczone cięciwa rzeczywiście mogła pokaleczyć ręce.

- W mojej robocie nie ma czasu na takie przygotowania, pani. Hellona chciała naciągnąć łuk i odrobinę napięła cięciwę. Żeby utrzymać ją w odpowiedniej pozycji koło ucha, trzeba było przyłożyć siłę równą wadze dorosłego człowieka. Uśmiechnęła się trochę zawiedziona i spytała:

- A umiesz rzucać nożem?

- Umiem, pani.

- Pokaż.

Wen wyjął z pochwy ciężki nóż do walki i nie celując, jednym wymachem ramienia cisnął go w drewniany słup, cały w śladach po ćwiczeniach poprzedników. Nóż obrócił się w powietrzu i wbił w słup na dwa werszki. Wilczarz poszedł po nóż, wrócił i schował broń do pochwy. Knezinka w zadumie mu się przyglądała.

- Nie chcę, byś wadził się z Promieniem - powiedziała po chwili milczenia.

- Nie wadzę się z twoim bratem, pani - odparł Wilczarz.

- Naucz mnie władać bronią - poprosiła nieoczekiwanie. Zastanawiał się przez chwilę, po czym ostrożnie spytał:

- Wybacz, pani, ale przecież wychowałaś się przy drużynie. Jak to się stało, że nie umiesz władać bronią?

Hellona nie odpowiedziała, tylko z niewiadomego powodu oblała się rumieńcem, odwróciła i odeszła.

Wilczarz wybrał odpowiedni moment, by zapytać o to później Prawego. Bojar srogo nań popatrzył - a cóż to za ciekawość? - ale potem najwidoczniej uznał, że ochroniarz nie pytałby o takie rzeczy dla pustej zabawy. I opowiedział Wenowi, że matka knezinki była znakomitą wojowniczką; gospodar Gluzd początkowo był u niej zwykłym wojewodą. Poległa w bitwie z morskimi Segwanami, a Gluzd, który zajął się wychowaniem maleńkiej córeczki, poprzysiągł, że nie dopuści, by spotkał ją taki sam los.

- Kneź nie uczył jej władania bronią i nam zabronił - uprzedził Wilczarza bojar Prawy.

- Dziękuję za naukę, panie... - Ochroniarz kiwnął głową.

\*

Mrukliwy Spryt powierzył mu dwóch młodzieńców – Dobrosława i Dobrobora. Pochodzili z niezbyt znakomitego rodu, toteż przyjęcie do stanu witezi raczej im nie groziło. Bliźniaków wszyscy nazywali "bracia Dobrzy". Rzeczywiście dobrzy byli z nich chłopcy. Zgodnie nie cierpieli Promienia, przeto nowe zajęcie bardzo im się spodobało. A jakże - żaden z członków drużyny nie mógł im teraz rozkazywać! Nawet bojarzy!

- Tylko ja! - powiedział Wilczarz. Chłopcy nie zamierzali się z nim spierać. - I knezinka - dodał zaraz - ale tylko w tych sprawach, które nie mają nic wspólnego z ochranianiem jej.

O wiele trudniejsza zdała się braciom inna lekcja: mają zwracać uwagę tylko na to, co mogłoby w jakikolwiek sposób mieć związek z panią, a puszczać mimo uszu wszystkie kpiny, nawet wypowiedzi czy czyny, które mogłyby ich obrazić.

Każdego ranka poczciwy koń Siarko przywoził Wilczarza do twierdzy i Wen wyciskał z młodzieńców siódme poty. Początkowo patrzyli spode łba, ale potem przyzwyczaili się do niego, zaczęli go szanować i nawet naopowiadali mu niemało ciekawych rzeczy. Nie wiedzieć czemu poczuł pewną ulgę, dowiedziawszy się, że Promień wcale nie był bratem knezinki - ani rodzonym, ani nawet ciotecznym. Jej prababka była dla jego dziada teściową. Promień przy każdej nadarzającej się okazji zwracał się do knezinki "siostrze", natomiast ona nigdy nie mówiła mu "bracie". Młody bojar miał jeszcze jeden dziwny zwyczaj. Od czasu do czasu zamykał się u siebie i nie pokazywał przez cały dzień albo i dwa. Wymawiał się niezbyt dobrym stanem zdrowia, ale to była tylko wymówka - krzepy miał w sobie za trzech.

Kiedy bliźniacy opowiedzieli mu o tych dziwnych dniach spędzanych przez Promienia w odosobnieniu, coś poruszyło się w pamięci Wilczarza jak struna samostrzału zastawionego na grubego zwierza. Od razu przypomniał sobie szczególny sposób, w jaki Promień poruszał się w

dniu zamachu. Jego kroki bardzo mu się wtedy nie spodobały.

- A czy zdarza się, że bojar przed tymi dniami samotności jest rozdrażniony i zły?

Bracia wymienili spojrzenia i jednocześnie przytaknęli kędzierzawymi głowami.

- Jeszcze jak!

Wtedy Wilczarz doszedł do przekonania, że Lewy musi zażywać szarych kryształów, które dają poczucie szczęścia, wspaniałe sny na jawie, ale po przebudzeniu chodzi się niepewnie, szurając nogami. Jeszcze w Górach Szmaragdowych napatrzył się na miłośników słodkiej trucizny. I doskonale wiedział, co potrafi ona uczynić z ludźmi. Nic nie powiedział młodzieńcom i równie szczegółowo wypytał ich o innych mieszkańców twierdzy, z ostatnimi koniuchami i niewolnikami włącznie. Dobry ochroniarz powinien wiedzieć wszystko. I o młodej czarnulce, która zesłała się z witeziem, i o skrzywdzonym słudze, który może nosi w sercu chęć zemsty. I o tym, w jakich miejscach knezinka lubi zbierać grzyby. I o bojarze, który tylko patrzeć, jak stanie się niewolnikiem szarego proszku, a zatem także ludzi, którzy mu go dostarczają...

Wieczorami Neelith leczyła go swoimi czarami i po jakimś czasie ze zdziwieniem stwierdził, że przestał kaszleć.

Wkrótce Pani Ludzkich Losów znów zderzyła go z Promieniem.

Któregoś dnia o poranku na wewnętrznym dziedzińcu zamku uczył braci Dobrych sztuki niespodziewanego ataku: stoi sobie człowiek najspokojniej na świecie i nagle zamienia się w młyn wymierzający niszczycielskie i błyskawiczne ciosy. Młodzieńcy nigdy w życiu nie widzieli czegoś podobnego. W drużynach podchodzono do takich metod walki z pogardą. Bracia Dobrzy też początkowo marszczyli nosy, ale wkrótce przestali. To witeź ma szlachetnie stawać w polu bitwy pierś w pierś albo kruszyć kopie w honorowych pojedynkach. Ochroniarz to zupełnie inna sprawa. Do jego zadań należy bronić tego, za którego bezpieczeństwo odpowiada - musi dbać, by zachować go przy życiu i w dobrym zdrowiu. A honoru niech bronią inni, dla nich też sława...

Gacek, który siedział na ramieniu Wilczarza, nagle zaczął się niepokoić i syczeć. Wen obejrzał się i zobaczył idącego w ich stronę Promienia. Za młodym bojarem podążało dwóch młodych mężczyzn, których natychmiast rozpoznał, a rozpoznawszy - cały się nastroszył. Jednym z nich był czarnowłosy woj, który służył kapłanom. Kapłani zapewne zwolnili nieudacznika ze służby, odarli go z dwukolorowego pancerza. A drugim... drugim był jego ówczesny przeciwnik Solwen.

- To będą dwaj nowi ochroniarze dla mojej siostry - rzekł Promień, zwracając się do Prawego, który rzadko odmawiał sobie przyjemności obserwowania lekcji Wilczarza. - Wojownicy co się zowie, a poza tym mieszkańcy Haliradu. Na pewno nie będą tu, w mieście, spiskować.

Spryt zasępił się i spytał czarnowłosego woja:

- Jak się zwiesz? Dlaczego nie odpłynąłeś z kaznodziejami za morze?

- Zwał mnie Kanaon, syn Kautyna, pochodzę z rodu wojowników - odparł woj. Sądząc po akcencie, jego ojczyzną był Narlak, położony na północny zachód od Halisunu, za górami, które Solwenowie na zywali Zamkowymi, a Wenowie Żelaznymi. - Kaznodzieje zwolnili mnie ze służby - ciągnął Kanaon. Wyglądało na to, że jest na nich zły.

- W siedmiu miastach służyłem ich wierze swoim mieczem i byłem im miły. Wystarczyło, bym raz się nie sprawił... - Popatrzył na Wilczarza i odwrócił oczy.

- A ty? - Prawy zwrócił się do Solwena.

Chłopak nosił ptasie imię - zwali go Pliszka. Według jego słów był sierotą, wychował się u Segwana uprawiającego rolę, był u niego parobkiem, a potem uciekł i stał się najemnikiem. Już będzie siedem lat, jak wędruje po świecie i zarabia mieczem. Uczniowie Bliźniąt musieli przyczynić mu wiele nieprzyjemności, bo wtedy na placu postanowił dać im do wiwatu, ale mu się nie udało. A kiedy kaznodzieje odjechali, zobaczył Kanaona, który siedział w karczmie bliski placu. Byli przeciwnicy napili się piwka i postanowili trzymać razem. I tak we dwóch zgłosili się do bojara Promienia, gdyż usłyszeli, że panience knezince mogą przydać się najemni ochroniarze...

Składnie, pomyślał Wilczarz. Składnie i wspaniale. O prośbę, Prawy już przestał marszczyć brwi. Tak. Było sobie dwóch chobrych wojów i ucziwie ze sobą walczyli, a potem wzięli i się pobratali. Wszystko jasne!

Spryt zwrócił się w jego stronę.

- A co ty powiesz, Wenie?

Wilczarz wzruszył ramionami, głaszcząc Gacka zwisającego mu z koszuli łebkiem w dół.

- Powiem tylko tyle - odparł obojętnym tonem - że póki ja jestem przy knezince, dla tych dwóch miejsca nie ma.

Pliszka i Kanaon spojrzeli po sobie z niepokojem. Zapewne nie spodziewali się czegoś podobnego. Ręka Promienia spoczęła na mieczu.

- Nie za wiele chcesz na siebie wziąć, Wenie? - burknął Spryt.

- Pytałeś, więc odpowiedziałem - spokojnie rzekł Wilczarz.

- Czego się boisz?

- Boi się, że knezinka bardziej nas polubi - mruknął Pliszka. Kanaon uśmiechnął się - męska, smagła, opalona twarz, niebieskie oczy, białe zęby błyskające spod czarnych wąsów. Przystojny, co tu dużo mówić. A i Pliszka też był niczego sobie.

- Jeden z nich pobił drugiego, a ja pobiłem zwycięzcę - rzekł Wilczarz.

- No i co z tego? - parsknął Spryt. - Skoro ich pokonałeś, to uważasz, że źle się biją? Tych młokosów ćwiczysz na wszystkie strony...

- Może i potrafią się dobrze bić. Ale do pani, póki żyję, ich nie dopuszczę.

- Obrażasz nas, Wenie. - Pliszka pokręcił głową. - Uważaj, żebyś nas nie musiał przeproszać.

- A ty zamilcz, gamoni! - zagrzmiał nagle Prawy. - Znalazł się wymowny!

Kanaon wymamrotał po solweńsku coś niezbyt przyjemnego o trzewikach i przepasce babki Wilczarza. Za podobne słowa Wenowie wyzywali na pojedynki i wszyscy doskonale o tym wiedzieli. Bracia Dobrzy oczu nie odrywali od swego nauczyciela. Wilczarz stał głuchy jak kamień.

Promień słuchał ich rozmowy i wzbierała w nim wściekłość. Jego ręka tańczyła wokół rękojeści miecza, ale na razie nic więcej się nie stało. Wszak jemu, wojowi z drużyny, nie przystoi przy ludziach wadzić się z byłym niewolnikiem...

- Chodźmy! - krótko rzucił w stronę najemników. Obaj odeszli w ślad za nim, popatrując na Wilczarza wrogo. Kiedy zniknęli im z oczu, Spryt natarł na Wena z pytaniami:

- A teraz, młodzieńcze, opowiedz wszystko po porządku! Czemuś obraził dobrych ludzi? - I wściekłym wzrokiem obejrzał się na bliźniaków, którzy zamarli opodal. - Już mi stąd!

Dobrobor i Dobrosław wpierv ruszyli z miejsca, ale potem spojrzeli po sobie - i zostali. Bojar, widząc takie nieposłuszeństwo, już zaczął bulgotać ze złości i otworzył usta, by wydać straszny okrzyk... Ale Wilczarz go uprzędził.

- Idźcie. - Kiwnął na chłopców. Bracia zniknęli.

- No, chłopcze! - Spryt nie wiedział, czy ma się na niego gniewać, czy pokładać ze śmiechu. Poczochrał palcami brodę. - Przecież nie zamieniłeś z tymi dwoma ani słowa, a ja was, Wenów, znam jak zły szeląg. Wiem, rozmyślałeś, czy nie przyjdzie ci walczyć na śmierć i życie... Dlaczego?

- Dlatego że kłamali - odparł Wilczarz. - Od dawna się znają. Tamta walka była ustawiona. Ja do takich ludzi zaufania nie mam...

Ani do takich, którzy swojej siostrze przyprowadzają takich ochroniarzy, dodał w myślach.

- A mnie się zdaje, że nie patrzysz dalej swojego nosa - mruknął bojar. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- Jam stary wyga, wojewodo. - Wilczarz się uśmiechnął. - Mam oczy i patrzę... Kiedy się bili wtedy, Pliszka unikał ciosów, których nie da się uniknąć. A potem niby to nie zauważył bardzo prostego ciosu, którym Narlak go powalił...

Spryt, który miał w pogardzie drewniane miecze, wyciągnął z pochwy swój miecz bojowy i zażądał:

- Pokaż!

Wilczarz pokazał, jak było. Nie udało mu się tknąć bojara, ale nie o to chodziło.

- Odbijasz je, jak ja wtedy - tłumaczył. - A Pliszka bronił się tak, jak gdyby wiedział zawczasu.

Bojar opuścił miecz i spytał:

- He masz lat?

- Dwadzieścia trzy.

- Od jak dawna walczysz?

- Cztery lata...

- A ja od czwartego roku życia - z jakąś chłopięcą zajadłością oświadczył Spryt. - Wtedy, czyja wiem, może twój ojciec się urodził... Dlaczego od razu dostrzegłeś to, co ja zrozumiałem dopiero teraz?

- Zapewne miałeś zawsze do czynienia ze szlachetnymi wojownikami mi, wojewodo. Nie tak jak ja - z łotrami.

\*

Następny dzień był ciepły i słoneczny. Młoda knezinka wyraziła ochotę przejechania się konno. Kazała Wilczarzowi się zbierać.

Bojar Spryt wezwał jednego z młodszych witezi i zaczął wydawać mu polecenia, każąc siodłać



konie dla dziesięciu zbrojnych, ale Hellona go powstrzymała:

- Pojadę sama z ochroniarzem. Nikogo więcej nie trzeba.

- Jak to tak? - Stary bojar klasnął w dłonie. - A jeśli złych ludzi spotkasz na swej drodze? Nigdy nic nie wiadomo.

Knezinka, która wbiegła już na ganek, zmierzyła go wzrokiem.

- A wtedy jak było? Czy dziesięciu zbrojnych stanęło w mojej obronie, czy on jeden mnie uratował?

I zniknęła za drzwiami, by ubrać się do konnej jazdy. Bojar, pozbawiony możliwości udzielenia jej reprimendy, zamierzał wylać całe swoje niezadowolenie na Wilczarza.

- No, Wenie...

Wilczarz popatrzył mu w oczy i rzekł:

- Ja też uważam, że z dziesięcioma zbrojnymi byłoby o wiele bezpieczniej. Ale pani tak kazała, więc nam nie pozostaje nic innego, jak uczynić wedle jej słowa. A my musimy teraz zadbać, by nikt jej nie skrzywdził...

Bracia Dobrzy z zazdrością patrzyli na plecy odjeżdżającego u boku knezinki Wilczarza. Doskonale wiedzieli, że nieprędko dochrapią się takich honorów.

Siarko wyginał potężną szyję, równomiernie uderzając kopytami o wyłożoną drewnianymi kłocami ulicę. Gdyby każdy jeździec galopował po mieście co koń wyskoczy, mistrzowie nie nadążyliby wstawiać coraz to nowych rozbitych bierwion, a mieszkańcy miasta poszliby z torbami, wечно wydając pieniądze na naprawę ulicy za swoim plotem. Dlatego też w mieście z dawien dawna zabroniona była szybka konna jazda. Pozwalano na to tylko witezom i gońcom wiozącym pilne wiadomości. Wilczarz widział, jak leciały drzazgi spod kopyt, kiedy Promień mknął przez miasto ze swą świtą. Knezinka, szanując nakaz pradziada, jechała stępa.

Poczcivi mieszkańcy Haliradu pozdrawiali swoją panią, kłaniali się jej, ustępowali z drogi, machali na pożegnanie. Swoją porcję uwagi otrzymał też Wilczarz. Nie miał czasu na rozdawanie grzecznych ukłonów w odpowiedzi, tak jak to czyniła knezinka. Ani nawet na wspomnianie, jak ci sami ludzie jeszcze niedawno z ironicznym uśmieszkiem oglądali się za nim, kiedy szedł zamówić sobie pochwę do miecza. Siedział w siodle jak kot przed mysią dziurą, na jego ramionach pod skórzanym wdziankiem cichutko poskrzypywała kolczuga. Wilczarz patrzył na miejski ludek, trzymając dłonie na wysokości pasa. Ręce mu mimowolnie podskoczyły, kiedy w stronę knezinki ruszył młody syn piekarza. Z ramienia chłopczyny zwiśla szeroka taśma, do której przymocowany był przenośny kramik pełen wspaniale pachnących ciasteczek i pasztecików. Knezinka wzięła jeden z pasztecików i coś powiedziała gołowasowi, wskazując ochroniarza. Chłopiec cofnął się, przepuszczając srebrzystą klacz, i wyciągnął kosz w stronę Wilczarza. Wen wziął maleńką bułeczkę z makiem i rzucił sprzedawcy grosik. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby się częstował i nie płacił. Chłopiec lekko złapał monetę w locie i popędził dalej, a duma go rozpierała. Nie bez powodu. Najdalej jutro cała ulica się zbiegnie, żeby kupić chałkę z pieca, z którego sama knezinka raczyła skosztować pieczywa! I nigdy się nie dowiedział, że zbyt gwałtowny ruch w stronę knezinki

mógł go kosztować życie.

Wilczarz odgryzł kawałek bułki i podał Gackowi.

Czasami w środku lata Halirad nawiedzały duszne upały, ale ten dzień był inny. Lekki wietrzyk gonił po niebie małe białe obłoczki. Latające cienie ślizgały się po pełnych kwieciami łąkach, leciutko przebiegały nad wodami Świątyni i spieszyły gdzieś w dal, głaszcząc korony drzew w lasach na drugim brzegu rzeki. Takie dni same zapadają w pamięć, a potem wspomina się je jako błogosławieństwo bogów.

- Dokąd chcesz pojechać, pani? - spytał Wilczarz, kiedy bramy miasta i gościniec zapchany wyładowanymi wozami zostały z tyłu.

- Pod Zamgloną Skalę! - odparła knezinka. - A wiesz dlaczego? Bo stamtąd widać morze, wyspy i całe miasto. Dawno tam nie byłam.

Wilczarz złapał się na myśli, że patrzy na nią z zachwytem. Siedziała w siodle pewnie, trzymała się prosto, miała błyszczące oczy, delikatne policzki zarumienione od słońca i świeżego wiatru, maleńkie dłonie, którymi mocno trzymała wodze szybkoconej klaczy... Można było sobie wyobrazić, jaka była jej matka wojowniczką. Wilczarz pokręcił głową.

- Nie, pani. Za daleko, a miejsce odludne - powiedział.

Gładkie czoło knezinki przecięła zmarszczka. Jej ochroniarz odmawia wykonania polecenia! Widocznie zdarza się i tak. W szarych oczach nagle pojawiła się iskra hazardu.

- Moja Śnieżynka jest szybsza. Nie dogonisz mnie! Wilczarz patrzył na nią bez uśmiechu.

- Może i jest szybsza, pani - powiedział wreszcie.

Knezinka spojrzała z ukosa na arkan wiszący przy jego siodle. Widziała, jak nim rzuca.

- Najwidoczniej życie mi uratowałeś po to, mój Wilczarzu, bym się nim sama zadławiła... Dobrze, tam dalej nad rzeką jest piękna zatoczka, a miasto też widać...

Wen skinął głową i popędził piętami swego rumaka.

Miejsce okazało się rzeczywiście piękne. Porośniętą trawą polankę na wysokim brzegu rzeki okalały potężne, stare sosny, które rozrosły się na tym przestworzu nie na wysokość, lecz na szerokość. Tak, wspaniałe miejsce. Nikt nie podejdzie tu niezauważony ani z oddali nikt nie wystrzeli.

Za wąskim pasem drobnego piasku rozpościerała się spora zatoka, jej wody ledwie muskał wietrzyk, a długi przylądek, porośnięty równym szeregiem jednakowych drzew, odgradzał zatokę od głównego nurtu rzeki. Na ciemnej tafli wody, w której odbijało się błękitne niebo, spoczywały białe gwiazdy lili wodnych. A w oddali rzeczywiście widać było wieże strażnicze stołecznego Haliradu.

Wilczarz zsiadł z konia i zdjął z siodła knezinkę. Przez chwilę trzymał ją na rękach.

Wcale nie jest taka ciężka, kiedy trzyma się ją na rękach, a wydaje się, że ma dość obfite kształty, zdążył pomyśleć.

- Nie przywiązuj Śnieżynki - nakazała Hellona. - Ona i tak nigdzie się beze mnie nie ruszy.

Łagodna klacz z ufnością mu się poddała, kiedy chwycił za uzdę. Wilczarz mimo wszystko

przywiązał ją, ale na długim powrozie, żeby mogła wejść do wody, wytarzać się albo poszczypać sobie trawę. Siarko nie miał tyle swobody. Piękny rumak już zaczął się popisywać przed cienkonogą Śnieżynką. Niech ochłonie. Wilczarz zaprowadził go na drugi koniec polany i zostawił tam, na pocieszenie częstując kawałkiem chleba z solą. Przypomniało mu się, że Wenowie zawsze zostawiali ogiera i klacz obok komory, do której udawali się nowożeńcy. Specjalnie po to, żeby konie rżały i miały się ku sobie, żeby w ten sposób większy ogień miłości ogarniał ludzi...

- Po co to robisz? - zapytała knezinka, już siedząca na rozesłanej derce. - Mówiłam ci, że ona się beze mnie nigdzie nie ruszy.

Wilczarz spodziewał się, że knezinka wstanie i sama pospieszy wyswobodzić swoją ulubienicę, ale nie wstała.

- Może i tak, pani - powiedział. - Ale ktoś może ją wystraszyć. Albo ukraść.

Knezinka westchnęła, lekko naburmuszona, odwróciła się i zapatrzyła na rzekę i miasto.

Nie godzi się tak, posępnie rozmyślał Wilczarz, obiegając czujnym spojrzeniem rzadko rosnące sosny, zatokę i drzewa na przylądku. Zaprosiłaby przyjaciółki, córki bojarów albo choćby piastunkę. Miałyby z kim porozmawiać, zabawić się albo i wstyd osłonić, jeśli zechce się wykąpać... (Wenowie od dawien dawna wchodzili do rzeki pospołu - mężczyźni i kobiety, i nic nieprzystojnego w tym nie widzieli, ale Wilczarz wiedział, że Solwenowie uważają inaczej). A tych dziesięciu zuchów z zamku stałoby między sosnami, żeby nikt z niecznym zamiarem się nie zakradł...

- Czy zawsze jesteś napięty jak łuk? - spytała nagle knezinka. Okazało się, że przyglądała mu się, kiedy penetrował wzrokiem okolice.

- Zawsze, pani, kiedy kogoś pilnuję - odparł. Uderzyła dłonią w derkę, na której siedziała.

- Czemu stoisz? Usiądź!

Wilczarz usiadł. Nie obok, lecz naprzeciwko - plecami do rzeki, twarzą do lasu. Z wody raczej nikt z nagła nie wyskoczy. Gacek opuścił stanowisko na ramieniu i zagłębił się w leśnej murawie.

- A potrafisz normalnie się bić? - spytała knezinka Hellona. - Bez broni? Gołymi rękami?

- Potrafię, pani. - Skinął głową. - Przecież widziałaś. Knezinka popatrzyła mu prosto w oczy.

- Naucz mnie, Wilczarzu.

O masz, znowu swoje! - westchnął w myślach. Wcale mu się nie uśmiechało wpaść między żarna jak ziarenko zboża we młynie.

- Kobiety nie zostały stworzone do walki, pani - powiedział głośno. - Mężczyźni powinni występować w ich obronie.

Patrzyła na niego wzrokiem rozsierzonego małego sokolika.

- A jeśli nie będzie obok mężczyzny? Albo będzie ranny, albo - niech bogowie mają go w opiece - zostanie zabity? Wtedy też nie można się obronić? Tylko płakać? Błagać? Jednej takiej posłuchali!

Wilczarz odwrócił wzrok. Knezinka miała rację. A jednak...

- Jeśli chcesz, pani, pokażę ci, jak się wyrwać napastnikowi - powiedział niechętnie.

Słowo się rzekło.

- Pokaż!

Wilczarz objął prawą ręką swój lewy nadgarstek.

- Kiedy ktoś zaatakuje, ludzie na ogół wrywają się o tak... - przy ciągnął rękę ku sobie - ...a trzeba tak.

Zwiniętą pięść odpychał od siebie, pokonując w ten sposób opór jednego palca zamiast czterech.

Knezinka Hellona spróbowała tego chwytu i w mig pojęła, na czym polega.

- Chwyć mnie, a ja zacznę się wrywać!

Wilczarz ujął ją za rękę. Knezinka wyswobodziła się jednym zwinnym ruchem, nieomylnie powtarzając chwyt. Potem popatrzyła na swoją rękę i zasępiła się. Wen nie wiedział, o czym myślała. A myślała o tym, że ostrożne palce ochroniarza mogły w jednej chwili zgnieść jej rękę na miazgę. I nie uratowałyby jej przed tym nawet srebrna bransoleta gruba na trzecią część werszka, którą nosiła na przegubie.

- A jeśli nie zdołam się wyrwać? Co wtedy? - spytała.

- Jeżeli masz wolną drugą rękę, pani, bez wahania atakuj oczy. Wytłumaczył jej, jak można okaleczyć, a nawet zabić człowieka.

I mówił o tym spokojniej niż inni ludzie, kiedy opowiadają, jak się przyrządza krwiste kotlety. Knezinkę mimo woli przeszedł dreszcz.

- Spróbuj, pani - zaproponował.

Jej chęci do nauki samoobrony topniały jak śnieg na wiosnę. Podniosła nawet rękę, ale zaraz ją opuściła i pokręciła głową. \_ Nie mogę. Boję się. To straszne.

- Owszem, to straszne - zgodził się Wilczarz. - Musisz się prze móc, pani. Jeśli będziesz działać zbyt wolno, może cię to wiele kosztować.

Knezinka przygryzła wargę i spróbowała. Wen lekko odchylił głowę w tył.

- Czegoś podobnego nikt się nie spodziewa. Raczej krzyku i łez.

- A jeśli będę miała skrępowane obie ręce?

- Wtenczas uderzaj kolaniem w pachwinę, pani. To bardzo boli. A jeśli złapią cię od tyłu, próbuj uderzyć w twarz głową. Albo stopą w goleń. Bij z całej siły. Skoro już walczysz, to walcz. I nie czekaj - bij od razu.

Widział, jak przerażało ją krwawe okrucieństwo sposobów walki, o których jej opowiadał. Miała nadzieję, że po prostu się nauczy, jak powstrzymać napastnika, odepchnąć go i uciec. Tymczasem okazało się, że brutalności nie da się pokonać bez brutalności, a okrucieństwa - bez jeszcze większego okrucieństwa... Jak je w sobie znaleźć?

Spoglądała na ponurego brodatego młodzieńca, który siedział naprzeciw niej. Nagle ochroniarz Wen zdał jej się przybyszem z jakiegoś innego świata. Zimnego i straszego. To był świat, który ona, wychowana w ciepłe, wśród dobrych ludzi, za dębowymi ścianami zamku, za tarczami ojcowskiej drużyny, ledwie знаła, tylko ze słyszenia. A teraz rozmyślała, jakież musiało być życie

tego człowieka. Co uczyniło go takim, jaki jest.

- Czy mógłbyś zabić kobietę, Wilczarzu? - zapytała. Odpowiedział od razu, bez namysłu.

- Mógłbym, pani.

Wzdrygnęła się. Wiedziała, jak szanował kobiety jego naród.

- Wyobrażam sobie, coż to by musiał być za babsztyl, jeśli ty, Wenie...

Wilczarz obrzucił ją szybkim spojrzeniem, odwrócił oczy i powoli pokręcił głową.

- Nawet nie próbuj sobie wyobrażać, pani.

*Gdzie teraz jest ta... która hańbą okryła kobiecy ród... ta, której bez zbędnych słów urwałby łeb, gdyby tylko miał pewność, że to ona... Może nadal jest tam, w Górach Szmaragdowych. A może i nie.*

- A dziecko? - spytała knezinka. - Czy mógłbyś zabić dziecko? Wilczarz się zamyślił.

- Teraz nie wiem. Kiedyś mogłem - odpowiedział. Powiedziawszy to, zauważył, że knezinka uczyniła wysiłek, aby się od niego nie odsunąć. Skąd miała wiedzieć, że w tym momencie przypomniał sobie trakt wiodący do kopalni. I dzieci na drodze.

*Karmili je tak: Przywozili kosz suszonych ryb (skąd brali suszone ryby w górach?). Ilu wyrostków - tyle rybek. Wszystko wywalali na ziemię, na jedną kupę. Kto się ośmielił, ten miał co jeść. Szary Pies miał trzynaście lat, kiedy jeden z piętnastolatków postanowił powalczyć o to, by zostać nadzorcą. I zaczął swe starania od tego, że zabierał jedzenie innym, słabszym. Pewnego razu, gdy używając pięści, zabierał innym trzecią już z kolei rybkę, Szary Pies podszedł do niego i złapał za ramię. Potrafił już wtedy chwycić tak, że nie każdemu udawało się wyrwać. Chłopak się odwrócił, a Szary Pies, nie wypowiedziawszy ani słowa, rozwalił mu głowę kamieniem.*

Wilczarz przypomniał sobie jeszcze tych małych złoczyńców, których pobił na przystani. Chociaż z drugiej strony doskonale zdawał sobie sprawę, że nie było najmniejszego powodu, by sobie teraz o nich przypominać, a już tym bardziej opowiadać knezince.

- Wy, Wenowie, jesteście bardzo rodzinni - nieoczekiwanie stwierdziła knezinka. Po czym spytała: - Jak to się stało, że nie żyjesz w rodzinie?

Zapewne przypuszczała, że został wygnany z domu za jakąś zbrodnię. Wilczarz długo milczał. Ta rozmowa podobała mu się coraz mniej.

- Nie mam rodziny, pani.

Popatrzyła na koralik mieniący się w jego rudych włosach.

- Ale ktoś cię kocha - pochwaliła się znajomością obyczajów Wenów. - Czy to podarunek narzeczonej?

Wilczarz uśmiechnął się. Knezinka jeszcze nigdy nie widziała, by tak się uśmiechał.

- Ta, która mnie obdarzyła tym koralikiem, ma zaledwie dziesięć lat, pani.

Hellona, córka Gluzda, rozsiadła się wygodniej i poprosiła:

- Opowiedz mi o sobie, Wilczarzu.

Nie miał na to najmniejszej ochoty. Znowu zaczął rozglądać się wokół i milczał tak długo, że dziewczyna nie wytrzymała.

- Nie ma tu nikogo. Jesteśmy tylko ty i ja. Czy przyjechałabym tu z tobą, gdybym ci nie ufała?

Pomyślał, że też jej całkowicie ufa i nie ma najmniejszego zamiaru jej obrazić. Tylko uważał, że im mniej chlebodawca wie o swoim ochroniarzu, tym lepiej. Poza tym nie posiadał sztuki pięknego i składowego mówienia.

- Nie umiem ładnie opowiadać, pani...

W tym momencie zza krzaka wyleciał wielki ciemny ptak, słychać było głośny trzepot skrzydeł. Wilczarz błyskawicznie przycisnął knezinkę do ziemi, jednocześnie chwytając łuk. Położył strzałę na cięciwie i napiął ją. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że był to tylko nieszkodliwy głuszec, który ledwo co zmienił upierzenie i chciał przesiedzieć w krzakach ten trudny czas. Tymczasem zza krzaków wypełził na polanę Gacek i Wilczarz zdał sobie sprawę, kogo należało winić za zamieszanie. Rozluźnił cięciwę, głęboko westchnął i pozwolił się knezince wyprostować.

- Aleś mnie przestraszył... - wyszeptwała. Głos jej drżał.

Biedna dziewczyna! Jak ona musi się bać! - olśniło nagle Wilczarza. Udaje odważną, domaga się, żeby ją uczyć obchodzenia się z bronią albo walki wręcz... rwie się, by jechać w odludne miejsce bez obstawy... a przy najmniejszym szmerze serduszko w niej zamiera i trzęsie się jak owczy ogonek. Ale ze mnie toporny kloc, skórom tego od razu nie zauważył...

Postanowił dodać jej odwagi.

- Też się wystraszyłem, pani.

Jej usta zadrżały jak u małej dziewczynki.

- Boję się, Wilczarzu... Tak strasznie się boję. Chciałabym, żeby ojciec przyjechał jak najszybciej... Cały czas ktoś się podkrada, nocą, kiedy jest ciemno...

Zakryła twarz dłońmi i rzewnie zapłakała.

Wilczarz siadł nieco bliżej i objął ją ramieniem. Nie przestawał przy tym obserwować okolicy. Dumna knezinka tuliła się do niego i płakała coraz bardziej rozpaczliwie. Czuł, jak kołacze się jej serce.

- Niczego się nie bój, pani - powiedział cichutko. Po chwili milczenia dodał: - Lepiej pomyśl, jak ten głuszec musiał się przestraszyć.

Knezinka podniosła głowę i starała się uśmiechnąć przez łzy.

Ile ona ma lat? - myślał Wilczarz. Szesnaście? Siedemnaście? Najwyższy czas, żeby wezwać swatów i dobrego kandydata na męża wybierać. Takiego, przy którego boku nikt by się po ciemku nie zakradał, a nawet złe sny omijałyby jej główkę szerokim łukiem...

- Nie płacz, pani. Jak chcesz, pojedziemy już do domu.

- Nie, poczekaj. - Otarła łzy.

Też prawda, rozmyślał Wilczarz, stąpając za nią ku brzegowi zatoczki. Jeżeli raz poddasz się strachowi, potem się nie uwolniesz.

Knezinka umyła się, przygładziła włosy. Wyglądała jak przedtem, tylko odrobinę opuchnięte

powieki i zaczerwieniony nos zdradzały, że płakała. Ale zanim dojedzie do miasta, i to minie.

- Ojciec powiada, że znam się na ludziach - schrypniętym głosem odezwała się do Wilczarza. - Ja będę zgadywać, a ty mnie poprawiaj. Dobrze?

- Jak każesz, pani - odpowiedział niechętnie.

- Umiesz się bić tak, że nawet wujaszek Spryt patrzy na ciebie z po dziwem. I jesteś honorowy. A zatem byłeś witeziem - zaczęła młoda władczyni z pewnością w głosie. - Na pewno zostałeś ranny podczas bitwy, trafiłeś do niewoli... - Wyczekująco popatrzyła na Wilczarza, ale on milczał. Zasepiła się. - Nie, musiało być inaczej. Spryt powiada, że ty walczysz od czterech lat. A jak to się stało, że nikt cię nie wykupił z niewoli?

- Było zupełnie inaczej, pani. - Wilczarz pokręcił głową.

Nic więcej nie powiedział. Knezinka zdała sobie sprawę, że nie wycisnie z niego ani słowa. A on siedział i tylko na nią patrzył. I milczał. Straszny człowiek. Niebezpieczny katorżnik, noszący piętno zabójcy. Knezinka nagle poczuła, że ufa temu straszному człowiekowi całkowicie, bez wahania, bez granic. Chciała mu o tym powiedzieć, ale nie znalazła słów. Przerwała w pół słowa, a potem nagle zapytała ni z tego, ni z owego:

- Dlaczego przyszedłeś do Haliradu, Wilczarzu? Wzruszył ramionami.

- Było mi wszystko jedno.

Gacek, którego zmęczyły wędrówki po polanie, wrócił do niego i mościł sobie miejsce do spania na skórzanej pętelce przytroczonej do pochwy miecza. Knezinka pomyślała, że człowiek z miasta, kiedy chce się ukryć, ucieka do lasu, bo myśli, że tam nikt go nie znajdzie. A mieszkaniec lasu - przeciwnie, uważa, że najlepiej się ukryć w ludnym mieście. Takich jak on zawsze widać. Tacy jak on rwą się wyzwalać skazanych heretyków, występują w obronie starych nędzarek i z posępną godnością oczekują wyroku, kiedy ktoś zaciągnie ich przed sąd, oskarżając niesłusznie.

Wilczarz znowu obrzucił spojrzeniem zalaną słońcem rzadką kępę drzew, dostrzegł przy tym, jak przesunęły się cienie. Ciekawski pełzacz zeskoczył na niższą gałązkę, tytnął na niego najpierw jednym oczkiem, potem drugim, a potem nagle odfrunął, by zapolować na komary.

- Mimo wszystko musisz nauczyć mnie walczyć - z determinacją w głosie oświadczyła knezinka.

- Jesteś moim przybocznym, a nie mego ojca. Musisz słuchać mnie, a nie jego.

Wen milczał.

- Ja nie mam zamiaru być wojowniczką jak moja matka - dodała, opuszczając głowę. - Ja po prostu nie chcę się już dłużej bać. - Podniosła wzrok, a w jej oczach znowu pojawiła się zادیorność. - Słyszałam, jak zabawiają się najlepsi wojowie z twojego plemienia. Ktoś rozpędza w ich kierunku trójkę koni, a oni ciosem w hołoble przewracają wszystkie konie. Czy ty też tak potrafisz?

- Nie wiem - odparł Wilczarz. - Nie próbowałem.

Knezinka przyjrzała mu się chytrze od stóp do głów i westchnęła.

- A zatem ludzie kłamią.

- Nie kłamią - rzekł Wilczarz.

- A ty widziałaś to kiedyś?

- Widziałem. Tylko to nie była zabawa.

- Więc co?

- Konie poniosły na jarmarku - odparł niechętnie. - Nas, dzieci, na pewno by stratowały, gdyby ojciec ich nie zatrzymał.

- Czy twój ojciec był wojownikiem? - spytała knezinka. Wilczarz pokręcił głową. Znowu milczał jak grób.

\*

Kilka dni później zdarzyło się to, czego spodziewał się od samego początku, a zwłaszcza po tym, jak Promień przyprowadził byłego kolorowego woja i Pliszkę. Trzeci pojawił się sam i pozostawało tylko się domyślać, czy podsłuchał czyjąś rozmowę na targu, czy sam zmiarkował. Był to młody, jasnowłosy Segwan, ale przy całej swej młodości segwańskiego miał w sobie o wiele mniej niż stara Kirena welskiego. Wilczarz doskonale znał tę rasę najemników, którzy wędrowali od kraju do kraju, tam gdzie toczyły się wojny, tam gdzie maszerowały wojska, a którzy już dawno zapomnieli, gdzie droga do domu. On sam nie wyobrażał sobie, by mógł stać się kimś takim - za żadne pieniądze. Choć miał takie propozycje. Ludzie zdzierali sobie gardła, by przekonać tępego Wena, że wojna to takie samo zajęcie jak każde inne...

Obserwował Segwana, który w bramie pytał o coś chłopców, a oni zaczęli mu coś objaśniać, pokazując w stronę komnat knezinki. Segwan wszedł na dziedziniec. Towarzyszył mu jeden z pacholków - zapewne nie po to, by wskazać drogę, bardziej dlatego że przybysz był uzbrojony i na pewno nie był nowicjuszem w sztuce walki.

Knezinka odpoczywała w swoich komnatach. Wilczarz siedział na ganeczku, a Nielot Gacek wygrzewał się na popołudniowym słończku, umościwszy sobie wygodne miejsce na jego kolanach. Nad schodkami ganku zabrzęczała wielka mucha; zwierzątek drapieżnie nastroszył uszy i nawet podjął próbę wzbicia się w powietrze. Ale była to próba nieudana.

- Ech, ty - odezwał się do Gacka Wilczarz.

Segwan podszedł i zatrzymał się kilka kroków od niego. Stał w niedbalej pozie, wybrał też takie miejsce, aby jego cień padał na nogi Wena. Gacek nieporzyjaźnie zasyczał i przeniósł się wyżej, groźnie się prężąc i rozkładając czarne skrzydła.

- Czy to ty jesteś Wilczarz? - spytał Segwan.

Przez jakiś czas Wen mu się przyglądał, mrużąc oślepienie słońcem oczy, i zastanawiał się, czy warto odpowiadać. Wreszcie zdecydował, że owszem, warto, i burknął:

- Może i ja.

- Pokonam, cię na miecze, na noże, jak chcesz! - nie tracąc czasu po próżnicy, wziął byka za rogi zdesperowany Segwan. - Będę ochraniał knezinkę zamiast ciebie, bo jestem lepszy w walce!

To było wyzwanie. Do pacholka, który przyprowadził Segwana, podszedł drugi, potem trzeci. Pojawili się bracia Dobrzy. Podjechało dwóch młodych witezów, stanęli nieopodal, udając, że to, co dzieje się przy ganku, w ogóle ich nie obchodzi.



- Jak cię zwa, śmiałku? - bez pośpiechu zapytał Wilczarz.

- Najpierw musisz mnie pokonać - odparł młodzieniec z drwiną - wtedy będziesz mógł mi zadawać pytania.

Wilczarz oparł się plecami o gładkie deski ganku, zajmując wygodniejszą pozycję?

- A więc jesteś tchórzem! - radośnie oznajmił mu Segwan. - Niech Hogg zeżre twoje kiszki! Prawdę ludzie powiadają: Wen z owcami by wojował, a przed wojem by się chował...

Wilczarz nic nie odpowiedział, nie ruszył się z miejsca. Rozczarowani widzowie zrozumieli, że nie zamierzał nawet wstać.

- Coś mi się wydaje, że ani w ząb nic nie potrafisz - nie poddawał się Segwan, ale już bez tego napięcia, które towarzyszyło mu na początku, za to z wyraźną pogardą. Wyciągnął miecz z pochwy, zakręcił nim młyńca nad głową i kilka razy przerzucił broń z ręki do ręki.

- A tak potrafisz? A tak?

- Potrafię - obojętnie odpowiedział Wilczarz. Doskonale zdawał sobie sprawę, po co przyszedł nieproszony gość. Tak ludzie zachowują się przed pojedyńkiem, starając się zbić przeciwnika z pantałyku, a jednocześnie siebie rozgrzać do czerwoności. Tymczasem on nie miał najmniejszego zamiaru dać się zbić z pantałyku. Zresztą bić się też. Młodzieniec zapewne rzeczywiście nieźle potrafił się bić, skoro nikt go jeszcze nie ukatrupił przy tej robocie. Bić się może i potrafił, ale rozumu za wiele nie miał. W przeciwnym bowiem razie z większą uwagą wysłuchałby tego, co ludzie w mieście mówili o knezince i jej ochroniarzach, i przyszedłby tu szukać roboty po dobroci. W każdym razie nie uważałby, że knezinka rada będzie nająć go na miejsce człowieka, który niedawno uratował jej życie.

Nie, pomyślał Wilczarz. Kiedy sam się trudniłem tym rzemiosłem, którym ty zajmujesz się teraz, zachowywałem się zgoła inaczej. I jeszcze zdawałem sobie sprawę, że córka władcy miasta to nie kupcowa, która boi się złodziejasków.

Tymczasem "Najpierw Musisz Mnie Pokonać" z głośnym stukiem wsadził miecz z powrotem do pochwy i wyjął błyszczący, okazały nóż długi na trzy piędzie. Wilczarz wiedział, że Segwani z wysp i Segwani z wybrzeża nawet woleli je od mieczy. I potrafili nimi znakomicie władać.

- A tak potrafisz?

Młodzieniec sprawnym ruchem rzucił nóż za plecami, nóż zakreślił po powietrzu pętlę nad jego lewym ramieniem i wpadł mu prosto w nadstawioną dłoń.

- Nie próbowałem - rzekł Wilczarz. - Niby po co?

- A po to!

Młody Segwan nagłym skokiem przesunął się o pół kroku do przodu, nachylił się nisko, a Wilczarz zdążył pomyśleć: Na pewno teraz rzuci nożem we mnie. Żeby tylko nie uszkodził zdobnych wzorów na pięknej ścianie z drzewa marongowego... Ale nie dane mu było przekonać się, jaki naprawdę zamiar powziął Segwan. A to dlatego że Gacek, i tak nastawiony nieprzyjaźnie i rozdrażniony, utwierdził się ostatecznie w przekonaniu, że na niego i Wilczarza ktoś zamierza napaść. Wydał z siebie wściekły okrzyk i odważnie ruszył na przeciwnika, zapominając, że bicz

nadzorcy kiedyś odebrał mu zdolność latania. I tak samo nie pamiętając, że czarodziej Tilorn zdolność tę mu przywrócił. Gacek Po prostu zatrzepotał skrzydłami i rzucił się na twarz Segwana...

Poleciał.

I nagle pojął, że leci.

Zamierzał ukąsić człowieka w nos, ale był tak zaskoczony, że chybił i tylko podrapał mu policzek. Okrzyk bojowy przeszedł w jęk bólu i rozpacz. Niezgrabnie balansując w powietrzu, zwierzaczek zwinął się w puszysty kłębuszek i z impetem dał nura Wilczarzowi za pazuchę.

Cały lot trwał nie dłużej niż mgnienie oka. Segwan, któremu nagle przed oczami mignęło coś czarnego, wydającego przerażające dźwięki i wściekle zgrzytającego zębami, upuścił nóż i odskoczył, zbyt późno podnosząc dłonie w obronnym geście. Potknął się, stracił równowagę, zamachał rękami i ciężko przysiadł na ziemi.

Chłopcy i młodzi witezie, którzy zebrali się wokół ganku, wybuchnęli zgodnym śmiechem. Dla kogoś, kto przyszedł, by skąpać się w promieniach sławy, taki śmiech gorszy jest od świszających strzał. Segwan zerwał się na równe nogi, tocząc wokół wściekłym spojrzeniem. Wilczarz żywił nadzieję, że młodzik będzie miał na tyle rozumu, by przemóc własną dumę i śmiać się razem ze wszystkimi. Ale okazało się, że rozumu mu nie starczyło. Pyszałek podniósł nóż i co sił w nogach rzucił się w stronę bramy. Oj, nie będziesz ty ochroniarzem knezinki, nie będziesz.

Wilczarz wyciągnął zza pazuchy nastroszonego, szczerzącego zęby Gacka i podrzucił go na dłoni. Gacek z przyzwyczajenia żałośnie zapiszczał, ale potem rozpostarł skrzydła i wylądował pełen godności.

- No widzisz, jużes dawno tak powinien - szepnął mu Wilczarz. - Dość tego, koniec udawania!

\*

Znowu byli na polanie przy zatoczce, tym razem Wilczarz zabrał jeszcze dwóch pozostałych ochroniarzy. Podjął się jednak uczenia młodej władczyni sztuki samoobrony. A przy okazji chciał, żeby otrzaskali się z rzemiosłem bracia Dobrzy. Pożytek jeszcze był taki, że miał kto obserwować okolicę, kiedy dwóch pozostałych ugniatało w potyczkach wyschnięte sosnowe igielki i szyszki, które boleśnie wbijały się w ciało...

Chrobra knezinka przywiozła na dnie przytroczonej do siodła sakwy męskie pludry, przebrała się za krzakiem i zażądała, aby jej nie oszczędzano.

- Jeśli ktoś na mnie napadnie, to litować się nie będzie...

- A jak nabijemy ci siniaka, pani? - zapytał Dobroślaw. O właśnie, pomyślał Wilczarz.

- Gdy piastunka zobaczy, to będzie się złościć - dodał Dobrobor.

- Niania o wszystkim wie! - oznajmiła knezinka, zdejmując z głowy srebrną przepaskę i za przykładem Wilczarza obwiązując sobie czoło szeroką wstążką.

Wen przyjrzał się jej - taka delikatna, domowa, kragła, stała teraz w tych niezgrabnych męskich portkach pomiędzy dwoma roslymi, zwinnymi, zaciętymi w walce młodzieńcami - i zrobiło mu się smutno.

Dlaczego silny człowiek przyznaje sobie jakieś prawa tylko dlatego, że jest silny? - po raz setny

spytał siebie. Siłę obowiązuje tylko jedno święte prawo -bronić tego, kto jest słaby. Kobiętę, dziecko, kalekę... Odpowiedz, sprawiedliwe Oko Bogów, czymże jest ten świat, w którym mądrzy i dobrzy ludzie muszą się uczyć okrucieństwa? W którym kobieta, stworzona do delikatności, rodzenia dzieci, gotowa jest zabijać i okaleczać innych? I musi uczyć się tego, aby przeżyć?

Zdołał już nauczyć całą trójkę tak przewracać się do przodu, do tyłu czy na bok, aby nie potłuc się i nie połamać rąk i nóg, a potem od razu się podnosić, bez słowa skargi i rozcierania obolałych boków. Teraz przyszedł czas na to, by poznać najprostszy chwyt.

- Trzymaj mnie za rękę, pani - rzekł. - Nie, nie tę, drugą. Mocniej. Przecież mnie atakujesz. Ja mam nóż, a ty mnie schwyciłaś. O tak.

Knezinka złapała go powyżej nadgarstka i mocno trzymała. Wilczarz zrobił krok w bok, leciutko przesunął dłoń, przysiadł, dał nura i ręka knezinki została w niesamowity sposób wykręcona. W ten sposób kolejne ruchy wykonywał specjalnie bardzo powoli i ostrożnie. To była przecież lekcja. Ale "atakującej" nie pozostało nic innego, jak tylko jęknąć i niezdarnie upaść. Ten chwyt nosił nazwę "Wdzięczność Ziemi". Knezinka wstała, przygryzając wargi. Zasępiła się.

- Teraz ty mnie obezwładnij, pani - powiedział Wilczarz. Bracia Dobrzy, stojący obok, próbowali powtarzać wszystkie ich ruchy.

Hellona poruszyła ręką zaciśniętą w jego dłoni i stropiona wyszeptwała:

- Przecie nawet nie dam rady ruszyć cię z miejsca...

- Dasz radę, pani - obiecał Wilczarz. - Jesteś ode mnie mniejsza, będzie ci łatwiej to zrobić.

Jak i w którą stronę się cofać, knezinka domyśliła się przy trzeciej lub czwartej próbie. Potem włączyła do akcji drugą rękę, ale zamiast wsunąć ją od dołu, sięgnęła od góry. Wilczarz zwrócił jej na to uwagę i zalecił, aby się nie spieszyła i starała się zwracać jednaką uwagę na ręce i na nogi. Knezinka spróbowała się pochylić, ale zrobiła to zbyt wcześnie. Wilczarz z łatwością dał jej odpór.

- Z tym poczekaj, bo cię przeciwnik powali.

Koniec końcem udało jej się zrobić wszystko jak należy, z całej siły wykręciła mu rękę i obaliła na ziemię. Bliźniacy, nawykli do bójek, zdołali nauczyć się tego chwytu znacznie wcześniej niż ona i na całego pokładali się wzajem na polanie, od czasu do czasu strząsając z siebie suche igielki, które przyklejały się do lśniących od potu grzbietów. Wilczarz jeszcze kilka razy pozwolił knezince się powalić, potem zawołał Dobroborę, a ćwiczenia z dziewczyną powierzył drugiemu z braci. I przekonał się natychmiast, że zanadto się pośpieszył. Pierwsze ćwiczenie zupełnie nie wyszło. Dobrze zbudowany młodzieniec był o wiele silniejszy od knezinki, lecz nie potrafił jeszcze radzić sobie z właściwym przyłożeniem siły; młoda władczyńca wysyczała coś przez zęby i z wściekłością rozcierała ściśniętą dłoń. Dobrosław przestraszony rzucił się ją podnosić. Knezinka usiadła, a łzy same popłynęły jej z oczu. Wycierała je w nogawice i gniewnie pociągała nosem. Chciała opanować ten wybuch płaczu, ale nie mogła. Wilczarz pamiętał, że kiedy był małym chłopcem, też mu się to zdarzało, i rozumiał, co knezinka teraz czuje. Po prostu żał było ciała, które za niewinność zostało ukarane nagłym i niezasłużonym bólem. Tak bywa, kiedy myjesz podłogę, chcesz się wyprostować i z rozpędu uderzasz głową o Dłoń Bożą. I wiedział jeszcze jedno: że

knezinka marzy teraz tylko o tym, by rzucić wszystko, wsiąść na konia i pojechać do domu. Do pokoju, w którym czeka na nią ława zasłana puchową pierzynką oraz miseczka pełna daktyli i umytych rodzynek na osłodę życia. I gdzie nikt się nie rwie, by jej poobrywać ręce i nogi... Po co cierpieć męki, niech sobie mężczyźni sami kości łamią. A ona powinna chuchać na siebie i dmuchać, przechadzać się po ogrodzie i zamorskimi roślinkami oko cieszyć...

Trzech mężczyzn przykucnęło wokół niej. Na wszelki wypadek nic nie mówili. Zapomnieli i o tym, że ochroniarze powinni mieć oczy naokoło głowy i obserwować okolicę. Pamiętał o tym tylko Wilczarz.

Knezinka wstała, porządnie wysmarkała nos i z całej siły wpiła się ręką w przegub Dobrosława.

- Atakuj!

- Pani, nie! - Młodzieniec stchórzył.

- Nacieraj - włączył się Wilczarz - ale... nie z całej siły, bo będziesz ze mną miał do czynienia.

Chłopak zawsze ma chęć jak najprędzej pochwalić się świeżo zdobytymi umiejętnościami, sprawdzić w działaniu to, czego się nauczył, szczególnie jeśli dotyczyło to sztuki walki... Wilczarz był starszy od braci o jakieś trzy lata, ale i tak czuł się niemal dziadkiem bliźniaków. Dobrosław ponieważ się zorientował, że i tutaj, podobnie jak w walce na miecze, nie od razu chwyta się za ostre metalowe klingi - najpierw początkujący ćwiczą drewnianymi. Nauczysz się podstawowych rzeczy, a przy tym nikogo nie zabijesz...

Obrócił się, zakręcił knezinka i powalił ją na kłującą trawkę, ale tym razem uważał, żeby nie zrobić jej krzywdy. Jeszcze będzie czas, żeby wykazać się w boju. Potem zamienili się miejscami i knezinka obaliła na ziemię chłopaka o głowę wyższego od siebie. Tupnęła nogą.

- Nie poddawaj się!

\*

W drodze do domu Wilczarz zauważył, że knezinka przygląda się swojej lewej ręce. Mocował się jak zwykle w myślach nad tym, jakie dobrać słowa, i dopiero gdy zamajaczyły przed nimi obwarowania miasta, zdecydował się wreszcie spytać:

- Czy naprawdę musisz się tak poświęcać, pani? Przecież nie ty nas, ale my ciebie bronić mamy...

Słowa dobrał jednak nie nazbyt rozumne. Jak tylko je wypowiedział, sam to zrozumiał i nie pozostało mu nic innego jak czekać. Teraz pani rozgniewa się i powie: "I bez ciebie wiem, co mi potrzebne, a co niepotrzebne". Knezinka zmarszczyła brwi i zaczęła poprawiać srebrne bransolety, choć purpurowe plamy występujących na skórze siniaków i tak były dokładnie schowane pod rękawami.

- Jestem córką władcy. Jeśli coś zaczęłam, nie mogę teraz tego zostawić.

Córka władcy, pomyślał Wilczarz. Najgorsze, że świetnie jej to wyszło. Rację mają ludzie, kiedy mówią: Jak się pan do czegoś weźmie, to lepiej mu wychodzi niż zwykłym ludziom. A sporzy mu się tak dlatego, że wie dobry wódz, kto przynosi narodowi powodzenie. Córki władców nie mają sobie równych ani pod względem urody, ani sprytu, ani rozumu. Ani pod względem twardości

charakteru...

I jeszcze ludzie powiadali, że knezinka Hellona ma rysy twarzy i sylwetkę wypisz wymaluj jak matka. Matka wojownicza. No i bądź tu mądry - czy to wyjdzie na dobre? Czy może nie?

\*

Lato miało się ku końcowi i w mieście słyszało się coraz częściej, że gospodar Gluzd niebawem powróci. Wilczarz nie próbował się dowiedzieć, dokąd wyjechał, ale i tak się dowiedział: kneż spędzał lato w wielkim i potężnym kraju - w Welimorze. Rozmawiał tam o handlu i o pomocy wojskowej, gdyby zaszła taka potrzeba. Nie, Haliradowi nikt nie zagrażał. Tym bardziej potężny Welimor był bezpieczny. Po prostu Solwenowie chcieli pozyskać silnego i wojowniczego sąsiada. A co do Welimoru, to i dla niego przyjaźń wielkiej północnej potęgi była nie do pogardzenia. Albowiem wszyscy doskonale wiedzieli, że Halirad jeszcze nikomu dotychczas nie pozwolił się pokrzywdzić...

Wilczarz nigdy nie był w Welimorze, znał ten kraj wyłącznie ze słyszenia. Leżał on, jak powiadali, w samym sercu Gór Zamkowych. Prowadziły doń nieliczne trakty, co do jednego przechodzące przez kręte, niedostępne wąwozy. Wąwozy te miały jedną wspólną cechę. W pewnej odległości od wejścia skały całkiem je zamykały, łącząc się nad głowami. Wszyscy, którym dane było bywać w Welimorze, jak jeden mąż twierdzili, że w tych kamiennych tunelach jest zadziwiająco nieprzytulnie. O wiele gorzej niż w zwykłych jarach, a nawet pieczarach. Ale wystarczyło wydostać się z tego przewężenia na jedną lub drugą stronę, a nieprzyjemne uczucie mijało jak ręką odjął...

Cudów Welimoru było więcej. Wysokie i niemal niedostępne były ośnieżone pasma Gór Zamkowych - nie bez kozery Solwenowie wywodzili ich nazwę od zamku, czy to takiego, który zamyka drzwi, czy to takiego, który broni dostępu do miasta; góry były wprawdzie niedostępne, ale nie takie, żeby nie można było ich zdobyć. Śmiali zdobywcy wspinali się na nieprzystępne stromizny, a nawet przecinali całą górską krainę, dzięki czemu trafiali z kraju Solwenów prosto do Narlaku. Tak więc wędrowcy, którzy gardzili wąwozami i wybierali inne drogi, nie znajdowali pomiędzy wielkimi szczytami żadnych oznak wielkiego i bogatego kraju. To znaczy w ogóle niczego poza wspaniałymi łąkami, oślepiająco białym śniegiem na wierzchołkach i nielicznymi plemionami, bezlitośnie wyrzynającymi się nawzajem. Bo trzeba też wiedzieć, że mieszkańcy śródgórskich dolin nigdy w życiu nie słyszeli o żadnym Welimorze.

Natomiast ci, którzy pochylali się, wciągając głowę w ramiona, i przechodzili pod przytłaczającymi skałami, opowiadali o miastach otoczonych gigantycznymi kamiennymi murami, o wspaniałych pałacach, obfitości towarów i o nieprzeliczonych zastępach niewolników, którzy dzień i noc pracowali na rosnący dostatek potężnego państwa...

Kiedy mieszkańców Welimoru pytano, dlaczego tak jest, odpowiadali, że bogowie strzegą ich kraju i nie wpuszczają ludzi. Dlatego niektórzy nazywali Welimor krajem odosobnionym, innymi słowy szczególnym, wydzielonym, do pozostałych niepodobnym. Welimorzanom taka nazwa nieszczególnie się podobała, woleli mówić o swoim kraju "ukryty".

Ale najbardziej zadziwiające było, zdaniem Wilczarza, coś innego. Zdarzało mu się mieć do czynienia z ludźmi pochodzącymi z Kraju Ukrytego i pewnego dnia ze zdumieniem odkrył, że w Welimorze nie było stałych, swoich, rdzennych mieszkańców. Mieszkali tam Segwani, Welchowie, Narlacy, Halisuńczycy, Solwenowie i nie wiedzieć kto tam jeszcze, ale nie mieli ani wspólnego języka, ani obyczajów, ani wiary. Ani chybi kiedyś odkryli tę pustą krainę i zasiedlili ludzie pochodzący z plemion żyjących wokół...

Naród Wilczarza z dawien dawna nieufnie się odnosił do Gór Zamkowych i do wszystkiego, co stamtąd pochodziło. Wenowie nazywali te góry Żelaznymi i twierdzili, że nimi - jak żelaznym zamkiem - Władca Burzy zamknął kiedyś Ciemnych Bogów oraz wszelakie siły nieczyste i zabronił im pokazywać się w dziennym świetle. Solwenowie też pamiętali co nieco ze starych legend. W ich języku słowo "odosobniony" wcale nie było słowem pochlebny. Współplemieńcy Wilczarza wyrażali się o Welimorze z jeszcze mniejszym szacunkiem. Nazywali go Krainą Oblazłą, co w starym ich języku znaczyło "taka, którą można obejść z daleka", a może nawet należy...

Z tych, którzy wierzyli w te powiastki, ludzie wykształceni i światli zgodnie się śmiali.

\*

Jak przewidywał Wilczarz, bojarowi Sprytowi strasznie się nie spodobały niekończące się samotne wyprawy młodej knezinki. Bo też widziane to rzeczy! Zamiast statecznie przechadzać się w okolicach zamku, prząść, zażywać wczasu w swych komnatach albo ostatecznie zajmować się kwiatami (wprawdzie to zajęcie dla kobiety z ludu, ale skoro ją to raduje, niech się tym trudzi...), jego "córeńka" wybierała się z trzema ochroniarzami nie wiadomo dokąd. Czasami zabierała ze sobą sokoła, mówiła, że jada na polowanie, ale nie wiedzieć czemu żadnej upolowanej zwierzyny ze sobą do zamku nie przywoziła. Tylko wyglądała potem na zmęczoną, jak gdyby uganiała się co najmniej za dzikiem.

Bojar rad byłby ją wypytać, a nawet i ojcowską ręką natrzeć jej uszu. Ale jak to uczynić, żeby przy tym wstydu knezince nie narobić?

Długo myślał i postanowił zacząć wyjaśnianie sprawy od popytania Wena. Wszakże tajemnicze wyprawy knezinki zaczęły się dokładnie wraz z jego pojawieniem się w zamku.

Pewnego razu zawołał ochroniarza na stronę i mocno złapał za rękaw.

- Dokąd prawie co dzień wozisz dziewczeczkę? - zahuczał groźnie.

- Dlaczego kiedy wraca z waszych przejażdżek, ledwie chodzi, jak gdy byście ją tam kijami okładali?

Wilczarz popatrzył na mocne guzowate palce trzymające go za rękaw. Mógłby się wyrwać, ale tego nie zrobił.

- Pani jeździ, gdzie ma ochotę - odpowiedział spokojnym tonem.

- A my jeździmy razem z nią. Kiedy się zatrzymujemy, pani robi to, co dusza zapragnie. A my pilnujemy, żeby jej nikt nie skrzywdził.

Znał się trochę na ludziach i zdawał sobie sprawę, że bojar ma teraz szczerą ochotę dać mu w nos. Ale Prawy jakoś zdołał się opanować. Nic z niego nie wytrząśnie, a potem się będzie musiał

tłumaczyć, może nawet okryje się sromem. Poza tym - czy warto było spierać się ze skazańcem, który mimo wszystko osłaniał "córeńkę" jak skała... I tak skończyła się rozmowa.

Po jakimś czasie bojar wziął na spytki braci Dobrych. Ale i tutaj nic nie udało mu się wskórać. Dwóch młodych niegodziwców wołało słuchać się we wszystkim swojego zwierzchnika, niż dogodzić wojewodzie. Milczeli jak zakłęci. Wtedy Spryt po długim zastanowieniu odważył się na ostateczne rozwiązanie. Przyszedł do komnat knezinki i zaczął z nią rozmawiać o dziewczęcym wstydzie i o tym, że ojczulek kneź, kiedy wróci, każe pasy zeń, siwobrodego, drzeć, usłyszawszy, że stary bojar, nedorajda, pozwalał gdzieś jeździć w nieznaną jego dziecięciu bez odpowiedniej świty. Sprytny wojewoda przygotował się do tej rozmowy zawczasu i najpierw ją namawiać knezinkę, by zabierała ze sobą na przejażdżki cały kurnik bojarskich cór i innych znamienitych dziewcz. Jak choćby siostrę Promienia, Waruszkę, piękną, ale niezbyt lotną i wiecznie zaspaną. Na myśl o tym, że Waruszka, a na dodatek dziesięć takich jak ona, miałyby jej towarzyszyć w czasie konnych wypraw, Hellona tak się przeraziła, że dość chętnie zgodziła się zabierać ze sobą przynajmniej starą piastunkę. A o to właśnie bojarowi chodziło. Był jednym z niewielu ludzi, których paskudna starucha nie wyganiała za próg jak ostatnie pomiotło, wręcz przeciwnie, bardzo go szanowała.

Następnego dnia Wilczarz siedział na ganku i słuchał przez uchylone drzwi, jak piastunka pakuje jedzenie do koszyka i napomina nieposłuszne dziecię, które nie chce siedzieć spokojnie w domu.

- Wyjmij miód, nianiu - poprosiła knezinka. - I pierniki też. Przynieś lepiej słoninę, chleb, wędzone mięso, a jeszcze o cebulce i główce czosnku nie zapomnij...

Stara kobieta przez jakiś czas obrażona milczała, a potem wymamrotała:

- Jabłek nie wyjmę, rób, co chcesz. I pierniki też zostawię. W wodzie rozmoczę, dla mnie, bezzębnej, w sam raz...

\*

Wilczarz wsadził knezinkę na konia i z ukosa popatrzył na braci Dobrych, którzy zamierzali pomóc piastunce przy wsiadaniu. Myślał, że dla starszej niewiasty koniuszy przyprowadzi osiołka albo w najlepszym razie posłusznego muła. Nic podobnego. Spiel przywiódł starej babce ciemnogniadego wałacha osiodłanego męskim siodłem. Bliźniacy podeszli, spoglądając po sobie niepewnie. Staruszka burknęła coś w ich stronę, jednym ruchem podwinęła bezkształtne czarne giezło, pod którym miała, jak się okazało, czarne szarawary, i wskoczyła na siodło tak, jak gdyby nigdy nie zsiadała z konia. Wilczarz tylko pokręcił głową. Piastunka wywodziła się z plemienia Iczendarów, które mieszkało w Górach Zamkowych.

Dojechali do polanki. Wilczarz wysłał bliźniaków, ażeby w lasku sprawdzili, czy nikt nie zauważył częstych przyjazdów knezinki i nie przygotował zasadzki. Potem pozwolił się młodej władczyni przebrać w męskie spodnie i zaczął tłumaczyć, co ma robić, kiedy ktoś ją złapie za obie ręce. Tymczasem piastunka wygodnie rozsiadła się na derce, rozłożyła jedzenie i wyjęła robótkę. Knezinka za jakiś czas też zrobi kilka ściegów. Żeby z czystym sercem móc na pytanie, czym się

zajmowali, odpowiedzieć: "Szyciem!".

- Nie próbuj robić tego siłą, pani - doradzał Wilczarz. - On i tak będzie od ciebie silniejszy. I nie spiesz się, samo potem przyjdzie...

Knezinka zmarszczyła brwi i w skupieniu zaczęła się wrywać. Wen trzymał ją powyżej przegubów, bardzo delikatnie, by nie wynagrodzić jej trudu siniakami, ale dziewczynie się wydawało, że ręce ma zakute w wyłożone twardą skórą dyby. Musi znaleźć słaby punkt. Ale gdzie on jest?

- Wam, mężczyznom, łatwo mówić o sile - powiedziała urażona kiedy po jakimś czasie nie udało jej się mimo wysiłków nic wskórać. - Samiście omal...

Stara kobieta odłożyła haft, a potem żwawo wstała i podeszła do nich.

- Natychmiast puść dziewczynę! - krzyknęła na Wilczarza. - I miej tu do takiego zaufanie! Ręce człowiekowi pourywa!

- Nianiu! - obruszyła się Hellona. Wilczarz puścił ją i odwrócił się do staruszki.

- Ja jej nie pourygam - rzekł. - Jestem tu po to, żeby nikt inny nic jej nie urwał. Jak chcesz, to się przekonaj, że pani nic nie grozi...

Wyciągnął rękę.

Brązowa, pomarszczona dłoń staruszki zadziwiająco prędko zniknęła pod czarnym jedwabnym gieźlem. A kiedy wynurzyła się z powrotem, drżała w niej ostra jak sztylet, długa szpilka. Błyszczące ostrze do połowy pokryte było żółtawą powłoką.

- Ja i siebie, i dziecinę moją jakoś obronię!

Wyglądało na to, że starucha rzeczywiście zna się na rzeczy i potrafi co nieco, choć minęło z pięćdziesiąt lat, kiedy posadzono ją nad kołyską matki knezinki. Czyż na darmo nosiła imię Hajgał - Rażąca Kopia? Tak. Wilczarz mógłby jednym prztyczkiem pozbyć się i szpilki, i staruchy. Zresztą nie tylko on, także choćby bracia Dobrzy, do których odwrócona była plecami...

- Groźna jesteś, babciu - rzekł pojednawczo. - Ciekawe, z czym na wroga ruszysz, skoroś mnie, ochroniarza, chciała uraczyć zatrutą szpilką.

- Nianiu! - powtórzyła knezinka Hellona.

Babka popatrzyła na nich spojrzeniem starych ciemnych oczu i wcale nie zamierzała się wycofać. Na pewno doskonale zdawała sobie sprawę, że choćby nie wiem jak się natężyła, młodzi, zwinni chłopcy obronią "dziecinę" o wiele lepiej niż ona. Ale nie miała zamiaru się do tego przyznawać. Bo w przeciwnym razie po cóż ona, stara, miałaby jeszcze żyć na tym świecie?

Wilczarz srogo popatrzył na podśmiewających się bliźniaków i zwrócił się do knezinki:

- Uspokój niańkę, pani, niech zobaczy, że sama też potrafisz się obronić.

Kiedy knezinka po raz trzeci obaliła go na ziemię, staruszka zaczęła się uśmiechać, a po siódmym razie schowała nareszcie swoją szpilkę. Przez ten czas Hellona dwukrotnie się omyliła - żelazny przeciwnik jest niegłupi, to da sobie z nią radę. Wilczarz kiedyś to knezince wyjaśni. Ale jeszcze nie teraz.

Piastunka się ostatecznie rozchmurzyła, kiedy nadeszła pora odpoczynku i jej dziewczynka,



obmywszy się w rzece, na równi z trzema żarłocznymi zuchami wzięła się świeżego chleba i pysznego mięska. Nikt nie musiał jej jak w domu namawiać, żeby łaskawie skosztowała choć kęsek...

Tego, co zdarzyło się później, ani Wilczarz, ani bliźniacy nie widzieli. Ale ktoś z wszędobylskich i wszechwiedzących sług podpatrzył, jak bojar Spryt wypytywał starą niewolnicę. O czym chciał się dowiedzieć - tego nie zdołał dowiedzieć się nikt. Ale jasne było jedno: nic z tego wypytywania nie wyszło. Babka tylko tajemniczo wywracała oczami...

\*

Pewnego wieczoru do zamku przyleciał zmęczony, szaroniebieski gołąbek. Dał nura do gołębnika, a tam zauważył go od razu młody syn niewolnicy, która zajmowała się ptactwem. Młodzieniec ostrożnie złapał gołębia i pobiegł z nim do bojara Spryta. Wojewoda zdjął z szyi ptaka maciupętki woreczek i delikatnie wydobyl zeń liścik napisany na cieniusieńkiej przezroczystej karteczce. Takie karteczki robiło się z miękkiego rdzenia monomatańskiej trzciny, rozciętej i suszonej na słońcu. Spryt przeczytał list i poszedł do knezinki Heliony.

Wilczarz wiedział tylko, że gołąb przyniósł posłanie od hospodara Gluzda. Ale o czym była mowa w liście - tego nikt ochroniarzowi nie powiedział, a on sam nie pytał. Widział tylko, że knezinka wpadła w zadumę, a nawet była chyba smutna. To go zdziwiło. Kochała ojca i niecierpliwie czekała jego powrotu. Zatem dlaczego? Wilczarz zaczął początkowo podejrzewać, że kneź zachorował i dlatego zatrzymał się jeszcze w Welimorze, ale potem zrozumiał, że musi chodzić o coś zupełnie innego. Gdyby kneź zaniemógł, Hellona rzuciłaby się zapewne biegiem w stronę świątyni - po radę i po to, by się modlić. Ale knezinka rozmawiała z kapłanami nie częściej niż zwykle. I w ogóle zachowywała się prawie tak samo jak zwykle. Wreszcie Wilczarz stwierdził, że to nie jego sprawa.

Miał, głupiec, nadzieję, że knezinka zadowoli się znajomością kilku niezbyt trudnych chwytów, które pozwolą jej się obronić przed atakiem jakiegoś zuchwalca. I że nie zdoła przemóc odrazy do okrutnego rzemiosła, które nie przystoi kobiecie. Ale tak się nie stało. Uczyła się rzucać nożem, przymierzała rękę do miecza i strzelała z samopalu. Broń tę ładowało się z pomocą dźwigni, dlatego nie wymagała takiej siły jak łuk.

Pewnego razu, kiedy konie już kłusowały w stronę domu, knezinka Hellona spytała Wilczarza, jak żenią się Wenowie.

- Kiedy dziewczyna dorasta, młodzieńcy przychodzą prosić ją o koralik - odparł. - Jeżeli matka na to pozwala. Potem ona jednego z nich wybiera...

Knezinka długo milczała w zadumie. Wilczarz widział, że chciała go jeszcze o coś zapytać, ale się nie odważyła. Kilka razy już decydowała się i otwierała usta, jednak w ostatniej chwili rezygnowała. W końcu spytała o coś zupełnie innego:

- A czy zdarza się, że dziewczynę wydają nie za tego, którego ona chce?

Wilczarz uważał się za człowieka, który niejedno w życiu przeżył i niejedno widział, ale do jednego nie mógł się przyzwyczaić: że większość narodów dziewczynę "wydawała". U Wen ów

dziewczyna brała sobie męża.

- Tak się zdarza, kiedy wymaga tego ród - odparł. - Ale częściej dzieje się to z młodzieńcem niż z dziewczyną.

- A czy zdarza się, że dziewczyna ucieka z tym, który jej się podoba?

- Owszem, zdarza się, pani - skinął głową Wilczarz. - Chociaż rzadko. I u nas ludzie nie uważają, że to dobrze.

Prawda Wenów składała się z wielu praw. Wśród nich było prawo przewidujące karę dla nazbyt srogich rodziców, którzy zmuszając dzieci do niechcianego małżeństwa, przyczynili się do ich samobójstwa. W rodzie Szarego Psa nigdy się to na szczęście nie wydarzyło. Wilczarz stwierdził zatem, że nic nie powie knezince na ten temat. Bo niby po co?

Ona tymczasem nagle zdecydowała się i odwracając wzrok, zadała to długo tłamszone w sobie pytanie:

- A czy wasza dziewczyna... sama może powiedzieć mężczyźnie, że on się jej podoba?

- Najczęściej tak właśnie się dzieje, pani - odparł Wilczarz. A po chwili namysłu dodał: - Ta, która obdarowała mnie koralikiem, sama do mnie podeszła...

- Ale to przecież jeszcze dziecko, które nic nie rozumie! - niespodziewanie rozgniewała się knezinka Hellona. - Na Złote Klucze! Dziesięć lat! I co, takie dziecko podarowało ci koralik, a ty teraz musisz się z nią ożenić?

- Ona dała, a ja wziąłem, pani - cierpliwie tłumaczył. - Mogłem nie wziąć. A ożenić się... Może ona znajdzie sobie kogoś lepszego... Albo matka jej kogoś wybierze...

Tym bardziej że matce to ja się za bardzo nie spodobałem, dodał w myślach.

Cóż, koralik wpleciony w jego włosy do niczego małej figlarki nie zobowiązywał. Według obyczaju Wenów tęczyowy paciorek noszony przez nieżonatego mężczyznę oznaczał tylko tyle, że to on zobowiązywał się dochowować wierności tej, która mu go dała. Do chwili, kiedy ona zechce go wziąć sobie za męża. Albo wybierze kogoś innego...

Knezinka najwyraźniej rozgniewała się z jakiegoś powodu na swojego ochroniarza i popędziła klacz. Wilczarz uderzył piętami boki Siarka. Wyszkolony rumak momentalnie przyspieszył i kilkoma skokami, z których słynęła jego rasa, dogonił Śnieżynkę, która jeszcze nie zdążyła się rozpędzić. Wilczarz chwycił klacz za uzdę i zatrzymał.

Spodziewał się, że władczyni zacznie go łącać za samowolę, ale nie, spuściła głowę i milczała. W jej milczeniu znać było smutek i rezygnację. Wilczarz też nic nie mówił. Wreszcie dogonili ich bracia Dobrzy, spoglądali po sobie pełni poczucia winy, zdawali sobie sprawę, że oni nie zdołaliby knezinki dogonić.

Hellona, córka Gluzda, westchnęła i posępnie ruszyła przed siebie wolnym tempem.

Już widać było przed nimi ostre haliradzkie wieże, kiedy na drodze pojawił się samotny jeździec. Wilczarz od razu rozpoznał bojara Spryta. Bez wątplenia tym razem Prawy postanowił dowiedzieć się wszystkiego, co - wedle jego zdania - powinien był wiedzieć. Pewnie dlatego nie zabrał ze sobą żadnych przybocznych. Na wypadek gdyby miało się stać coś haniebnego.

Zatrzymał swego gnadosza pośrodku drogi, zsiadł i zaplótł ręce na szerokiej piersi. Nawet gdyby ktoś chciał, nie mógłby go wyminąć. Zresztą kto chciałby sławnego wojewodę bez szacunku wymijać na drodze...

Wilczarz zatrzymał Siarka i zeskoczył na ziemię.

- Dokąd to dzień w dzień wałasasz się z knezinka? - ponuro zapytał Spryt. - Uratowałeś ją przed zakusami zabójcy i teraz myślisz sobie, że wszystko ci wolno? Odpowiadaj, kiedy pytam!

- Pani jeździ, dokąd chce i z kim chce. Ani ja, ani ty, wojewodo, nie możemy jej rozkazywać - odparł Wilczarz spokojnie.

Bojar poczerwieniał na twarzy i postąpił krok do przodu. Wilczarz nie ruszył się z miejsca. Nie zamierzał dobywać broni, ale wszystko się mogło zdarzyć.

Hellona nie chciała czekać, aż upór i wierność doprowadzą obu do jakiegoś nieszczęścia.

- Wilczarzu! - zawołała i wyciągnęła rękę. Wen pomógł jej zsiąść z konia. Knezinka podeszła do bojara. - Czy ty, Sprycie, synu Milovana, powzięłeś zamiar śledzić każdy mój krok?

Nie, knezinka nie wypowiedziała słowa, które mogłoby być trudne do przełknięcia dla wojewody. Nie spytała: Czemuż to, bojarze, wypytujesz mnie o to, co robię? Nie. Za bardzo kochała starego ojcowego towarzysza, by go obrażać.

- A i owszem, powzięłem - burknął Spryt. - Ojczulek twój wróci i co ja mu powiem? Że jego córka włóczy się z trzema zabijakami... a ja, stary dureń, siedzę spokojnie w domu?

- Z trzema ochroniarzami, wujaszku Sprycie - nadspodziewanie spokojnie odparła dziewczyna. Nie bez kozery mogła przewodniczyć sądom, przyjmować zamorskich kupców i rozmawiać z haliradzkim ludem. - Dwóch z nich sam mi, wujaszku, narałeś, a trzeci uratował mnie od niechybnej śmierci. Któremu z nich nie dowierzasz, bojarze?

Stara Hajgał w milczeniu siedziała na koniu. Odczuwała mściwą satysfakcję.

Spryt popatrzył na braci Dobrych, najpierw na jednego, potem na drugiego, a po Wilczarzu jego spojrzenie ledwie się prześlizgnęło i tym wyjawiał swoje myśli i zamiary. Wen westchnął. Przy okazji stwierdził, że bliźniacy nie zapomnieli, by penetrować wzrokiem pobliskie krzaki, pole i skraj odległego lasu. Jednak czegoś zdołał ich nauczyć.

Prawy jeszcze mocniej się zaczerwienił.

- Oj, dziewczyno, zaraz przez kolano przełożę i pokrzywę... Knezinka nie ustępowała, napierała na niego, była coraz bliżej.

- Któremu z nich nie wierzysz?

I wtedy Spryt popełnił błąd. Złapał Hellonę za rękę.

Wilczarz zrozumiał, co teraz uczyni knezinka, jeszcze zanim ona zdała sobie z tego sprawę. I oblał się zimnym potem. Z tym chwytem nie bardzo sobie radziła. A na pewno nie poradzi sobie z bojarem, który od urodzenia nosił miecz... Omylił się. Knezinka, dotknięta do żywego, wszystko wykonała bezbłędnie. Zdziwiająco szybko. Człowiek postronny nie zdołałby zapewne dostrzec, jak to zrobiła. Stał sobie ważny bojar i nagle, krzyżąc wniebogłosy, ciężko runął twarzą na ziemię. Knezinka momentalnie doń przyskoczyła.

- Wujaszku Sprycie, nic ci nie jest? - spytała, czerwieniąc się. Wilczarz widział, że jest jej niesporo. W końcu to wujaszek. Trzymał ją na kolanach, pieścił, kołysał sierotkę. Leżeć pobity na ziemi to zapewne ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzył. Tymczasem wcale nie spieszo mu było wstawać. Podparł się tylko na łokciu i, rozcierając żyłasty nadgarstek, popatrywał na wszystkich z dołu. Na speszoną knezinkę, ponurego Wena, zachwyconych bliźniaków i na starą kobietę siedzącą na koniu. Rażąca Kopia nie omieszkała pokazać mu języka.

- Chciałem, żeby pani sama potrafiła się obronić - rzekł Wilczarz. - Nawet jeśli wszystkich nas zabiją. I mnie, i ich - wskazał na braci. - I ciebie...

- A skoro tak, to nie musisz stawać w mej obronie! - wpadła mu w słowo knezinka. - Wcale nie ty chciałeś, tylko ja cię do tego zmusiłam!

- To jak, głupku siwobrody? - wtrąciła się niania. - Wszystko już wiesz? Zrozumiałeś, czym dziewczyna się zajmowała? Czy jeszcze trze ba ci tłumaczyć?

Prawy wreszcie podniósł się z ziemi i w milczeniu zaczął otrzepywać pludry. Knezinka podeszła, starając się zajrzeć mu w oczy. Chciała odgadnąć, czy się nie obraził. Wilczarz bez trudu przewidział, co się teraz stanie. Bojar złapał "córkę" w pasie błyskawicznym ruchem, którego dziewczyna najwyraźniej się nie spodziewała, przełożył młodą władczynię przez kolano i ojcowską dłonią wlepił jej kilka solidnych klapsów niżej pleców...

Wen nie zamierzał się do tego mieszać.

\*

Kilka dni później do twierdzy przyleciał jeszcze jeden gołąb i heroldzi roznieśli po mieście szczęśliwą nowinę: Kneź powraca z Welimoru! Kneź do domu ściąga! A co więcej, wiezie umowę o miłości i zgodzie z wielkim sąsiadem z południa. Radujcie się, ludzie!

I ludzie się radowali.

\*

Dzień, w którym kneź miał powrócić do miasta, był zimny i szary. Jesienny deszcz jeszcze w przeddzień zaczął wybijać o dachy swoje żałosne pieśni. Od czasu do czasu zmęczone płaczem niebo przestawało zalewać się łzami, ale tuż nad ziemią nadal wisiała ciężka mgła. Niespieszny wiatr przyprowadzał do brzegu łagodne, leniwe fale. Na ich grzbietach pełzały mokre kosmyki zwieszających się z nieba chmur. Miasto nastroszyło się, zmarkotniało i wyblakło, nawet zielona trawa na dachach utraciła barwy. W taką pogodę nie chciało się wysuwać nosa poza cztery ściany, najlepiej było oddać się domowym zajęciom i słuchać miłych dźwięków dochodzących z paleniska. I nie myśleć o wilgotnym półmroku na zewnątrz. Wilczarz nie pamiętał, aby kiedykolwiek udało mu się w taką pogodę przesiedzieć dzionek pod dachem. W jego domu było przyjęte, że kobieta i kot gospodarzą w domu, a mężczyzna i pies - poza domem. A potem przez długie siedem lat w ogóle nie widział ani deszczu, ani śniegu - i zapomniał, jak wyglądają niebo, słońce i chmury. Poprzedniego dnia wieczorem, przewidując długi czas niepogody, knezinka nakazała mu pozostać w domu, sama nie miała zamiaru wypuszczać się gdziekolwiek poza twierdzę. Ledwie o tym powiedziała, po rozmiękłym gościńcu, rozpryskując błoto na wszystkie strony, do miasta przybył

konny goniec i oznajmił, że następnego dnia przybędzie kneź. I oczywiście córka postanowiła wyjechać mu naprzeciw. Wilczarz wiedział, że jeśli nawet ktoś spróbuje ją od tego odwieść, ona i tak nie posłucha.

Kiedy chmury, bezlitośnie polewające ziemię deszczem, z czarnych jak atrament stały się granatowe, Wilczarz osiodłał Siarka, naciągnął na głowę kaptur burki i pojechał do zamku.

Jechał przez ciemną bezludną ulicę, na której rzadko pojawiali się nieliczni strażnicy. Rozmyślał o tym, że kiedy wyruszą, by powitać knezia, trzeba będzie zdjąć z głowy kaptur - spod niego niewiele widać. Deszcz na pewno zacznie ściekać za kołnierza i potnie wilgotnymi śladami zamszową kurtkę... Dobrze przynajmniej, że oksydowana kolczuga jest zabezpieczona przed rdzą...

Dopiero wczoraj zachwycony Tilorn pokazał mu to, nad czym pracowali z mistrzem Pokrzywą przez pół lata: żelazną łyżkę. Pokrywała ją błyszcząca jak powierzchnia zwierciadła warstewka metalu. Bez pokrycia pozostała tylko rączka, za którą przytrzymywali łyżkę podczas kąpieli w roztworze. Ale to dopiero pierwsza próba.

- Niebawem Pokrzywa będzie pokrywać tym roztworem kolczugi! - oznajmił uczoney. - Czy możecie sobie wyobrazić, ile Arranci zażądata za te swoje substancje, kiedy tylko się zwiedzą?

Łyżką uroczyście obdarowano Neelith. Dziewczyna natychmiast postanowiła ją wypróbować: mieszała nią zupę szczawiową, która bulgotała w garnku na glinianym piecu. Łyżka nagrzała się od gorącej stawy, parzyła palce i Neelith owinęła rączkę szmatką. Wilczarz przypomniał sobie, że kryształ, których używał Pokrzywa, uważano za truciznę, i spytał Tilorna, czy będzie można teraz zjeść zupę zamieszaną taką łyżką - uczeni nie zawsze pamiętają o takich przyziemnych rzeczach. Tilorn tylko zamachał rękami. Metalowe pokrycie łyżki było dlań tak samo ważnym powodem do zdenerwowania, jak dla Wilczarza swego czasu skrzydełko Gacka, kiedy uczoney zabrał się do jego wykurowania. Neelith przeżywała mocno i z powodu łyżki, i Tilorna, i zupy szczawiowej. W jej rodzinnych stronach takich potraw nie znano, przepis podał jej Wilczarz, przeto Neelith niczego nie mogła być pewna. Ciekawski Zujko (któremu kazano przysiąc strasznym zaklęciem - jedź ziemię! - że przenigdy i nikomu nie powie ani słowa o tym, co tu zobaczył) przyprowadził za rękę dziadka, a zaraz za dziadkiem zjawił się w kuchni Eurych, który pomagał woskować skóry. Niespokojny Gacek zeskoczył z ramienia Wena i zrobił kilka kótek pod powałą... Oto zebrała się cała rodzinka. Wreszcie łyżkę wyciągnięto z kociołka. Kiedy ostygła, Neelith dokładnie ją obmyła i zeszkrobała zeń resztki szczawiu... Cudowna warstewka metalu błyszczała jak i wprzódy. Tilorn złapał Neelith i puścił się z nią w tany wokół pieca.

- Trzeba zrobić dużo takich łyżek dla witeziów - poradził Wilczarz. - Bo zaraz skoczą sobie do oczu, kto ma jeść srebrną łyżką, a kto kościana...

...A teraz jechał do twierdzy. Wczesna poranna godzina jeszcze bardziej wzmagała uczucie chłodu, beznadziejna słota wydawała się jeszcze zimniejsza. Starał się myśleć o błyszczących jak wiosenne lodowe koronki kolczugach, które wkrótce mistrz Pokrzywa pokryje cudownym metalem. Na pewno stanie się dzięki nim sławny. W takich kolczugach wspaniale będzie nacierać na wroga,

atakować żelazną falą, wzbudzając strach gołymi pancerzami... Ale Wilczarz za nic na świecie nie zmieniłby swojej oksydowanej kolczugi. Zresztą także drewnianej łyżki nie oddałby za tę błyszczącą, której nie da się dotknąć bez owijania koniuszka w rękaw - rękę oparzy, a jeszcze gorzej, że usta spali...

Było zimno, nic nie wskazywało, że trwało w najlepsze lato. Pod kolczugę Wilczarz włożył dwie koszule, a pomiędzy nie jeszcze wełniany bezrękawnik, który potajemnie zrobiła mu Neelith. Bezrękawnik był z szarej psiej wełenki. Wilczarz, nienawykły do prezentów, najpierw się stropił, a potem, kiedy przyjrzał się robótce, cały się rozplątał.

- To po to, żebyś więcej nie kastał - wyjaśniła mu Neelith, strasznie speszona. Wen z wdzięcznością objął ją, a potem zapytał, dlaczego wybrała taki kolor. O nazwie swego rodu nie wspomniał nikomu ani słowem. Panna jeszcze bardziej się speszyla. -No bo wilczarze... te psy... mają szarą sierść...

Gdy dotarł do zamku, zaczynało się rozjaśniać i w ciemnościach można było rozróżnić kontury domów i wież. Knezinka jadła śniadanie, więc Wilczarz - jak to miał w zwyczaju - rozsiadł się na ganku. Doskonale wiedział, że czujna piastunka i tak nie wpuści go nawet do sieni. Co mi tutaj, powie, będziesz błoto nosił tymi swoimi brudnymi buciorami i deptał taką śliczną, taką czystą podłogę. Pogрузzył się w myślach, próbował wyobrazić sobie, jak to będzie, kiedy wyjadą na spotkanie knezia. Przypomnił sobie zasłyszane od bojara Spryta zdanie: "Hospodar początkowo był u nieboszczki władczyni naszej zwykłym wojewodą"...

I nagle przyszło mu do głowy ni z tego, ni z owego - kto zaręczy, czy za jakieś sto lat dobrzy ludzie z Haliradu nie będą wspominać jednego ze swoich poprzednich kneziów: początkowo był ówczesnej knezinki zwykłym ochroniarzem?

Gacek wysunął łebek zza pazuchy, wciągnął w nozdrza wilgotne powietrze i schował się znowu - tam gdzie ciepło, gdzie może sobie jeszcze pospać. Przy ganku stała wiata, aby w niepogodę można było suchą nogą wsiąść na koń. Wilczarz wytarł Siarka, który odwdzięczał mu się przymilnym parskaniem, i uśmiechnął się krzywo do tej bezwstydney myśli, która przyszła mu do głowy nie wiadomo skąd. Zachciało się psiej nodze latać w przestworzach...

Bracia Dobrzy bezszelestnie wychynęli zza węgła i po cichu podkradali się doń, chowając się w ciemnościach.

- Dzień dobry - powitał ich Wilczarz.

Z mroku doleciało jego uszu zgodne westchnienie. Bracia podeszli, już się nie skradając.

- Jak nas zauważyłeś? - zapytał Dobrosław. Rzadko się zdarzało, by nie witali ranka tym pytaniem. Zaskoczył go było ich skrytym marzeniem. Beznadziejnym, ale bracia nie tracili nadziei, że kiedyś im się uda.

- Widzę w ciemnościach - odparł Wen.

- Nauczysz nas? - od razu zapytał Dobrosław. Był starszym z bliźniąt i miał więcej śmiałości.

Rozsądnym Dobrobor dał bratu kuksańca w bok.

- Coś ty, z takim czymś to trzeba się urodzić...

- W kopalni się nauczyłem - rzekł Wilczarz. - Przyzwyczałem się do ciemności.

Ku jego przerażeniu bracia popatrzyli po sobie z zazdrością. Obaj się wystroili, a kiedy przyprowadzili konie, okazało się, że wyczyszczone są tak, jakby bracia mieli zadawać szyku na rynku, a nie galopować przez błoto. Ale pierwszy raz ma swoje prawa. Pierwsza miłość, pierwsza bitwa... pierwszy wyjazd w świcie knezinki... Chcesz czy nie chcesz - takie rzeczy pamięta się przez całe życie.

\*

Gościniec na podjeździe do miasta już od dawna mieli wymościć nie drewnianymi bierwionami, jak to było przyjęte u Solwenów, lecz kamieniami. Na narlacką modłę. Wszyscy zgadzali się co do tego, że kamień nieprędko zniszczy pod kołami wozów i podkutymi kopytami koni, a już na pewno każdą wiosną i jesienią nie będzie zamieniał się w nieprzebyte bagno. Nie było tylko zgody co do tego, kto miał szczerze uchylić sakiewki na to przedsięwzięcie. I dobra wspólna sprawa utknęła, jak to się mówi, w martwym punkcie.

Droga prowadziła najpierw wzdłuż Świątyni, a potem skręcała na południe, biegła pod Zamgloną Skalą, skąpaną w niskich chmurach. Kiedy ją minęli, konie z wyraźną ulgą poszły szybciej. Z welimorskiego traktu nie korzystało zbyt wielu podróżnych, toteż błota było mało. Na razie. Jeśli wszystko potoczy się tak, jak chciał kneź, drużyna i mądrzy haliradcy starcy - Halirad stanie się dla Welimoru jeszcze jednym oknem na świat. Wtedy wozy z towarami będą tym traktem jeździć jeden za drugim. I może wtedy znajdą się pieniądze na wyłożenie drogi kamieniem. O ile coś nie pokrzyżuje tych planów...

Knezinka Hellona niecierpliwie wpatrywała się w dal. Wilczarz widział, jak bardzo jest niespokojna. Jeszcze moment i z mgły wyłoni się znana chorągiew - biały ptak na szkarłatnym polu - i ojciec gospodar przytuli do serca swoją piękną córkę, która od zarania wiosny strzegła dla niego spokoju w mieście. Czemu mądra knezinka tak się trzęsa jak chłopczyna przed przyjęciem w stan męski? Czyżby bała się, że kneź jej nie pochwali? Czego się obawiała?

- Kiedy dostrzeżesz orszak, nie rzucaj się od razu sama naprzód, pani - uprzedził ją Wilczarz, kiedy wsiadali na koń. - Dopiero wtedy, kiedy będziesz pewna, że rozpoznajesz ojca. Nigdy nic nie wiadomo...

- O, jaki mądry, tylko by rozkazy wydawał. Wstydu nie ma! - osadziła go na miejscu Hajgał.

Wilczarz nic nie odpowiedział, a zresztą co można powiedzieć starej kobiecie obdarzonej tak ostrym językiem. Tymczasem knezinka odpowiedziała z nieoczekiwaną pokorą:

- Będzie, jak powiedziałaś...

Wraz z nią na spotkanie wodza wyruszał ze swymi przybocznymi także Promień. Przyboczni, którzy dosiedli mocnych, szybkich koni, szeroką ławą rozsypali się po drodze, wyprzedzwszy resztę orszaku, aby wypatrywać jeźdźców knezia. Sam Promień jechał tuż przy "siostrze". Na początku próbował zająć pozycję po prawej stronie, odpychając Wena łokciem, ale knezinka nakazała mu jechać po lewej i nie śmiał jej się sprzeciwić, choć nie ukrywał gniewu. Wilczarz natomiast tym razem ustawił się bardziej z przodu. Zdjął z głowy kaptur burki i czuł, jak wilgoć

wpełza mu pod ubranie. Nie patrzył w tył na bliźniaków, których konie klusowały za Śnieżynką. Każdy z ich trójki dokładnie wiedział, co ma robić, gdyby coś się stało.

Knezinka milczała, jechała skulona pod płaszczem z impregnowanej skóry.

Wygląda tak, jakby nie jechała na spotkanie ukochanego ojca, przemknęło przez myśl Wilczarzowi. Musi się spodziewać, że to spotkanie będzie oznaczało dla niej coś niezbyt radosnego. I nagle go oświeciło. Czyżby przemyślny rodziciel ją wyswatał? Dlatego wypytywała, jak to jest u Wenów i czy możliwe, by iść za niekochanego... Ani chybi wyswatał córkę. Zapewne za kogoś z mądrych panów Welimoru. Spraw, miłościwa Pani Ludzkich Losów, żeby nie był całkiem stary, zły i odpychający...

Wilczarzowi zrobiło się żal knezinki, której tym razem nie mógł wybawić z nieszczęścia, nawet żadnym rozsądnym słowem nie mógł pocieszyć. A jeszcze przyszło mu do głowy, kto do kogo się przeniesie. Knezinka do Welimoru? Czy może znakomity narzeczony do nowej rodziny i nowych sojuszników? A jeśli to knezince przyjdzie się przenosić - czy zechce wziąć jego, Wilczarza, ze sobą? I co wtedy z Tilornem, Neelith, Eurychem, dziadkiem Warochem i jego wnuczką?

No właśnie, ani oni beze mnie, ani ja bez nich. Rodzina. Moja rodzina.

W tym momencie zza szarej zasłony deszczu rozległ się daleki, ale jasny i dźwięczny głos rogu.

Hellona oczywiście zapomniała o obietnicach składanych Wilczarzowi i uderzyła piętami klacz. Wilczarz, specjalnie na tę okoliczność ustawiony nieco z przodu, złapał wodze Śnieżynki. I nie wypuścił ich nawet wtedy, kiedy z mokrej mgły wynurzył się potargany młodzik.

- Kneź, kneź jedzie! Sam widziałem! O, już ich widać!

W rzęsimym deszczu rzeczywiście było widać sylwetki jeźdźców, dobiegał śmiech i radosne okrzyki.

- Goń mnie, sestro! - Bojar Promień ponaglił swego rumaka i po gnał po trawiastej drodze.

- Czy słyszysz już głos ojca, pani? - spytał Wilczarz. Knezinka Hellona skinęła głową w odpowiedzi. Patrzyła na Wilczarza z ledwo maskowaną rozpaczą. Jak gdyby nie chciała, by ją puszczal. Wen zdjął rękę z wodzy.

- Jedźmy, pani - powiedział.

Śnieżynka zatańczyła pod nią, dopominała się, by ruszyć razem ze wszystkimi. Knezinka nagle podjęła decyzję, popuściła cugli i klacz momentalnie zerwała się do biegu.

\*

Hellona, córka Gluzda, musiała rzeczywiście bardzo przypominać matkę. Niewysoki, krępy mężczyzna, obejmujący ją po ojcowsku, był ciemnowłosy i kędzierzawy. Jedyne, co córka miała po nim, to szare oczy czyste jak wody górskiego strumienia. Knezinka szlochała i tuliła się do jego piersi, nie dbając o to, że jej skórzany płaszcz rozpiął się i zimny deszcz chłostuje zieloną kraciastą spódnicę.

- Aleś schudła, aleś schudła, sama skóra i kości! Pod nieobecność ojca całkiem przestałaś jeść? Myślałem, że tylko w Welimorze panny chcą być chude i blade, nasze dziewczki są mądrzejsze, a tu się okazuje, że nie! - łagodnie przemawiał do niej kneź, starając się ukryć drżenie



głosu. Potem popatrzył ponad głową córki i napotkał spojrzenie Wilczarza, który stał dwa kroki od nich. Wen pokłonił się w milczeniu. Gluzd, syn Nesmejana, uważnie przyjrzał się nowemu człowiekowi w drużynie i leciutko potrząsnął ramieniem córki. - Któż to taki? Ja koś nie mogę sobie przypomnieć...

- To jest, krewniaku, zbój z rodu Wenów - pospieszył z wyjaśnieniami Lewy, uśmiechając się pod nosem. - Twoja córka jest zbyt łaskawa, karmi twym chlebem różnych darmożjadów...

Knezinka podniosła głowę i popatrzyła na Promienia. Gdyby nie chodziło o piękną dziewczynę, Wilczarz powiedziałby, że jej spojrzenie pełne było wściekłości. Poza tym Promień najwidoczniej od dawna już zażywał halucynogennego proszku, który odebrał mu rozum. Ludzie przy zdrowych zmysłach tak się nie zachowują i nie popełniają kilka razy tego samego błędu.

- To mój ochroniarz! - dźwięcznym głosem odezwała się knezinka Hellona.

- Ach tak? - zdziwił się kneź. - A kogo jeszcze oprócz mnie potrzebujesz, by cię strzegł? - Dał Wilczarzowi znak ręką. - No dobrze, możesz teraz pojechać z całą resztą, a potem zobaczymy.

Wilczarz nie ruszył się z miejsca.

- Jeśli Wen milczy, to znaczy, że ma powody - powiedział kneź, a jego spojrzenie stało się bardzo przenikliwe. - Umiesz mówić, ochroniarzu?

- Dobrzy ludzie nos mu złamali, ale języka chyba jednak nie ucięli - mruknął Promień. - Choć akurat by się przydało...

- Wybacz, gospodarze - powiedział cicho Wilczarz. - Nie tobie służę, lecz twojej córce.

Witezie i słudzy towarzyszący panu w wyprawie do Welimoru popatrywali z zaciekawieniem na dziwnego jegomościa, którego nie wiedzieć czemu knezinka wybrała sobie za ochroniarza. Gluzd miał jednak w oczach coś w rodzaju aprobaty.

- I przed kim chcesz ją bronić, skoro ja jestem tuż obok? Sam swe dziecię obronię...

- Pani płaci mi, bym jej strzegł, więc jej strzegę, gospodarze.

W tym momencie do rozmowy ponownie włączyła się knezinka i zaczęła pospiesznie opowiadać ojcu, jak chciano ją zabić na rynku. W rozmowę wmieszał się również Promień. Jak i wprzód nie ukrywał swojej niechęci do niepokornego Wena, ale powstrzymał się od oskarżeń o to, że Wilczarz był w zмовie z zabójcą. Teraz - wedle jego słów - wychodziło na to, że to on najpierwszy ze wszystkich zauważył niebezpieczeństwo i na pewno byłby zasłonił Hellonę swym ciałem przed zakusami złoczyńcy, gdyby go nie obalił niezdarny ochroniarz.

Wilczarz jechał po prawej stronie knezinki, trzymał się z tyłu i milczał. Było mu wszystko jedno. Kilka razy poczuł na sobie badawcze spojrzenie knezia. A niech sobie patrzy! - myślał. Robił to, co do niego należało - strzegł, a rozmowa panów go nie dotyczyła.

Kiedy podjeżdżali do bram miasta, drogę przegrodzili im mieszczanie, którzy stęsknili się za swoim kneziem. Wyglądało na to, że Gluzda, syna Nesmejana, kochano w Haliradzie nie mniej niż jego mądrą córkę.

Szcześliwie miasto, rozmyślał Wilczarz. Kiedy ludzie przynoszą swe dzieci, by władca je pobłogosławił, to wiele znaczy.

Jego uszu dolatywały strzępki okrzyków, jakie wznosili mieszkańcy na powitanie knezia, spieszyli go zapewnić, że knezinka rządziła zaiste mądrze i sprawiedliwie. Wilczarzowi nie pozostawało nic innego, jak mieć nadzieję, że krzyki i hałas nie przeszkodzą mu w rozpoznaniu dźwięku dobywanego z pochwy miecza albo cichego skrzypu naciąganej cięciwy...

Jednak bogowie spoglądali na Halirad przychylnie i cały orszak dojechał do zamku bez najmniejszego uszczerbku.

Kneź zaraz po przybyciu do twierdzy zamknął się ze swoją drużyną i z córką. Najwidoczniej pewne sprawy wymagały natychmiastowego omówienia. Wilczarz odprowadził Siarka do stajni. Po drodze myślał o tym, że u Wenów podobna rzecz nie mogłaby się zdarzyć. Człowiek, który powrócił z dalekiej podróży, był u nich co najmniej przez trzy dzionki trzymany w oddzielnej komorze i nikomu się nie spieszyło, by go dopuszczać do życia całego domostwa. A jeśli wędrowiec z wyprawy przyniósł na sobie jakąś siłę nieczystą? A może wcale nie jest człowiekiem, tylko złym duchem, który przyoblekł się w ludzką postać?

Na pewno rację miał starzec, z którym miał okazję rozmawiać wtedy na brzegu. Jakie życie - takie i obyczaje. Co by się stało z wielkim kupieckim miastem, jeśli z taką surowością ludzie przestrzegaliby świętości progu domostwa, a knezia, który powrócił z dalekiej wyprawy, traktowali jak obcego?

Wilczarz miał ochotę powrócić do domu Warocha, najeść się do syta i wyspać w ciepłe, ale nie mógł na to liczyć. Po południu kneź zamierzał spotkać się z mieszkańcami miasta na placu targowym, zdać sprawozdanie z wyprawy - gdzie był i co przywiózł. Jeżeli tego nie zrobi, wieczorem całe miasto zacznie huczeć od plotek. Nie godzi się tak..

Kiedy Wilczarz wprowadził Siarka do stajni, koniuszy Spiel akurat podejmował gościa. Był nim Zyćko, syn Żivlaka. Obaj wygodnie rozsiedli się na słomie, rozłożyli jedzenie i picie i oddawali się przyjemnościom na okoliczność szczęśliwego powrotu znakomitego knezia.

Oto co cię czeka, jeśli masz zwyczaj wchodzić bez pukania, pomyślał Wilczarz.

Przecież nie miał tego w zamiarze, a wyszło tak, jak gdyby przyszedł nieproszony na poczęstunek.

- Do smaku wam chleb i sól! - powiedział, przechodząc z koniem obok nich. Nie zdziwiłby się i nie obraził, gdyby mu odpowiedzieli: "Nam, a nie tobie". Tymczasem słomianowłosa Spiel radośnie zamachał rękami i wskazał gliniane naczynie w plecionce.

- Siadaj z nami, Wilczarzu! Napij się za zdrowie knezia i knezinki... Dziwne, ale odludek ochroniarz od razu mu się spodobał. Może dlatego że sam potrafił zadbać o Siarka i nie zwał roboty na służbę.

- Dziękuję - odparł Wilczarz. - Chętnie zjem, ale się nie napiję, nie brudź naczynia. Muszę jeszcze z panienką na rynek pojechać...

Wziął zgrzebło i zaczął czyścić konia, który zanurzył łeb w żłobie pełnym siana.

- Widzicie go, piękna pani, jednej kropelki się boi lyknać. - Zyćko zaśmiał się cicho.

- A bo z niego piękna pani, tyle że wężata - chętnie zgodził się z nim Spiel. - Hej, Wenie, a

możesz się namyślił?

Wilczarz za takie niezłośliwe żarciki nie miał zwyczaju się obrażać, jeszcze tego by brakowało. Siarko obracał się, parskał, ocierał chrapami o jego ramię.

- Za naszą panią - rozległ się zza węgła głos Zyćka. Słysząc było bulgotanie nalewanego trunku. - Żal, ale co robić - ciągnął stary sługa. - Takie jest życie, na wszystko przychodzi czas...

Nie ma co, na pewno kneź wyswatał córuchnę, przemknęło przez głowę Wilczarzowi. Ładne rzeczy, dopiero miał się o tym dowiedzieć z orędzia lud w mieście, a tu już starzy słudzy o wszystkim wiedzieli.

Znowu słysząc było, jak wino bulgocze przy nalewaniu. Spiel potwierdził podejrzenia ochroniarza.

- Wypijmy za to, żeby naszej gołąbeczce w nowym gnieździe cieplej było niż w starym.

- Aleś powiedział - mruknął stary Zyćko. - Czy to możliwe, by w obcym domu słodziej komuś było niż u ojca, matki? Bywa to tak?

Wypili. W mocnych zębach Spięta zachrząścił ogóreczek kwaszony zgodnie ze słynną recepturą Wenów. Wilczarz zgasił w sobie ochotę, by w tym momencie zakończyć pracę. Szczotka znowu poszła w ruch.

- Za dobrego człowieka idzie za męża! - znowu powrócił do tematu koniuszy. - Jedno słowo: z Welimoru! Taki to jak obejmie, jak usta swe do jej ust przyciśnie... - I zachichotał.

- Ty urwisie! - burknął Zyćko, ale słysząc było, że staruszek się uśmiecha.

Wilczarz klepnął Siarko po gładkim zadzie i wyszedł z boksu. Nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, że słudzy już wszystko wiedzą o narzeczoną knezinki. I skąd pochodzi, z jakiego rodu, z jakiego plemienia, jak ma na imię i czy równać się może z knezinką młodością, urodą i urodzeniem. A skoro wiedzą, to zaraz mu wszystko powiedzą.

Spiel dostrzegł ochroniarza i poklepał dłonią słomę obok siebie.

- Chodź do nas, Wenie. Zakąska nam się kończy!

Ogóreczki wielkości palca jeszcze pływały w miseczce z pachnącym sokiem. Wilczarzowi pociekła ślinka. Usiadł, wziął jeden, podziękował i zaczął jeść.

- To powiadacie, że narzeczoną niegorszy? - spytał.

- Najlepszy, jaki może być! - odezwał się Zyćko. - Choć z Segwa- nów ród swój wywodzi, ale wielmoża nad wielmoże. Strażnik Bramy Północnej.

Wszyscy wiedzieli, że wśród strażników bram Welimoru zdarzali się ludzie, którzy nie pochodzili ze znamienitych rodów. Ale nigdy mierni ani nawet średni wojownicy. Wilczarz bardzo nie lubił wypytywać, lecz sprawa dotyczyła knezinki, więc nie wytrzymał i rzekł przekornie:

- Pewnie stary, łysy, bezzębny...

- Czy nasz gospodar wydałby za takiego swoją dziecinę? - oburzył się lekko wstawiony Spiel.

Jeszcze jak by wydał, gdyby ceną miał być Halirad! - pomyślał Wilczarz.

Tymczasem koniuszy zapalczywie opowiadał dalej:

- Knezia sługa, co mu strzemię trzyma, widział go i nam opowie dział. Młodych lat, ale spraw ma

na głowie tyle, że na siedmiu starców by wystarczyło. Gorłusza, to znaczy ten sługa od strzemięcia, przysięgał, że strzelisty jak topola, włosy jak czyste złoto, wąsy - o takie! A oczy mogłyby zaćmić blaskiem halisuńskie szafiry...

Dopiero co użalał się nad losem wydawanej za męża pani, a teraz już gotów był występować w obronie jej narzeczonego, jak gdyby Wilczarz go chciał pognębić.

- I z wielkiego rodu, chociaż Segwan. Sam kuns i syn kunsza, a imię ma takie, że nie wstyd by było największemu wodzowi nosić: Winitar!

Gdyby ktoś patrzył teraz na twarz Wilczarza, nie podejrzewałby, że to imię cokolwiek dlań znaczy. Tylko skinął głową, powoli kończąc chrupanie ogórka. Czekał, czy Spiel nie powie jeszcze czegoś; zajmującego. Potem niespiesznie zauważył:

- Słyszałem, że kiedyś był tu niedaleko kuns Winitariusz...

- Zgadza się, był. A ten młody to jego syn - z radością wyjaśnił Spiel. - Tatko tylko mu imię na arrancką modłę nieco przerobił. Ale syn woli się nazywać po segwańsku. No i dobrze robi.

Syn, pomyślał Wilczarz. Winitar, syn Winitariusza.

Tylko patrzeć, jak knezinka zostanie jego żoną. A on, Wilczarz, zapewne sam mu ją zawiezie. By z synem Ludojada łożę dzieliła. Za co? Za co spotyka ją taki los?

- Kiepsko jesz, mój drogi. - Zyczo, syn Żivlaka, częstował go razowym chlebem udekorowanym okazałym kawałkiem szynki z chrzanem. - Nad czym się tak zamyśliłeś? Ciebie to knezinka jak dwa razy dwa weźmie do swej świąty, może i tam cię przy sobie zostawi. A jak nie zostawi, to i tak sobie Welimor zwiedzisz, podobno cudna to kraina...

Wilczarz kiwał głową, słuchał go i nie słuchał, czuł, że w piersi zaczyna mu nabrzmiwać znany ból. Przez pełne cztery siedmiodnie nic mu już nie dolegało i on, dureń, zaczął mieć nadzieję, że jego znakomici lekarze wyleczyli tę dolegliwość... A jakże. Próbował się powstrzymać, ale to było ponad ludzkie siły. Kaszel zaczął wstrząsać całym jego ciałem, chleb z szynką spadł na słomę. Wilczarz bezradnie zwinął się, próbując wypluć płuca, które trawił żywy ogień. Gacek, który obwąchiwał coś na krokwiach, z żalnym piskiem przysiadł mu na ramieniu...

\*

*...Czasem do kamieniołomów przyprawiano niewolnice, by umiliły czas nadzorcom. Katorżnicy, którzy dawno zapomnieli, jak wyglądają żywe kobiety, długo potem komentowali takie wydarzenie. I tylko Szary Pies z ponurą wściekłością obracał swoim kołowrotem, uderzając kajdanami o kamienie. Nie mógł uwierzyć, że na te sprośności ziemia się nie rozstępuje, niebo nie spada i nie zgniata Gór Szmaragdowych...*

*Pewnego dnia minął go Wilk, niosąc na ramieniu szamoczącą się dziewczynę. Wtedy Szary Pies się przekonał, że nawet najtęższe łańcuchy można rozerwać. Nie udało mu się wtenczas ani złamać karku Wilkowi, ani uratować dziewczyny. Obalili go na ziemię, związali, zakuli w dyby. I wychłostali - nie pierwszy raz i nie ostatni - i to tak, że ktoś mniej odporny mógłby zemdlać. Ale najgorsze było to, co stało się potem. Gdy otworzył oczy, zobaczył nad sobą Wilka. A obok - tę dziewczynę. Wesolą i zadowoloną. Czego nauczyła się w objęciach Wilka i czy miała się czego*

*uczyć - tego Szary Pies nigdy się nie dowiedział. Dziewczyna uśmiechała się do Wilka i chichocząc, kokietowała kogoś jeszcze, kogo Szary Pies nie mógł zobaczyć ze swego miejsca. A potem wzięła pejcz Wilka i...*

*Potem Szary Pies się dowiedział, że z tym pejczem rzadko się potem rozstawała. I w gronie nadzorców nie miała sobie równych w okrucieństwie. Jeszcze powiadali, że urodziła dziecko Wilka (a może i nie Wilka), które wrzuciła wprost w głęboką szczelinę. Była piękna, bardzo piękna. Jeszcze później widywano ją z którymś z panów i niewolnicy musieli okazywać jej szacunek, nazywać panią...*

\*

Wilczarzowi zdawało się, że w jego klatce piersiowej coś napięto się do granic możliwości i pękło. A potem poczuł ulgę.

- ...młodzieź - doszło jego uszu burczenie Zyćka. - Myślą, że to wszystko nieważne. Nawet nie dbają o to, żeby się rozgrzać porządnie po takiej wyprawie na wietrze i chłodzie. Patrzcie go, jak się rozkaszał!

Stary człowiek przechylił flaszeczkę nad czarką w nadziei, że coś jeszcze z niej wypłynie, ale skapnęła tylko jedna jedyna kropelka.

- Już mi lepiej - wychrypiał Wilczarz.

Koniuszy Spiel podniósł chleb i strząsał zeń kawałki słomy, które przykleiły się do soczystej szynki. Wilczarz wziął chleb i kawałeczek wyciągnął w stronę Gacka, ale stworzonko wzgardziło poczęstunkiem. Wczepiło się pazurkami w skórzaną kurtkę, jak puszysta kulka zawisło mu na piersi i cicho popiskiwało, zaglądając w oczy. Wilczarz doskonale je rozumiał. Jemu też w końcu odechciało się jeść, lecz było już za późno, by odmawiać. Tylko wytarł usta wierzchem dłoni, poślinił je przy tym. W ustach czuł znajomy nieprzyjemny smak, ale nie chciał wierzyć. Potem w odpowiednim momencie niepostrzeżenie odwrócił wzrok i zobaczył na dłoni ślad krwi.

\*

Knezinka wyszła z sali z ojcem pod rękę. Kroczyła spokojnie, nic nie mówiła, ale kiedy Wilczarz popatrzył na nią, przyszło mu do głowy, że tak idą na ścięcie ludzie o mężnych sercach. Co się stało?

Chłopiec stajenny przyprowadził Śnieżynkę i Wilczarz podszedł, by jak zwykle pomóc knezince wsiąść. Chwycił dziewczynę wpół i posadził w siodle. W tym momencie Hellona, córka Gluzda, nagle pochwyciła jego ręce tak, jak gdyby tonęła w głębinie i nie było prócz niego nikogo, kto by mógł ją uratować. Wilczarz podniósł oczy i napotkał błagalne, pełne rozpaczny spojrzenie. Poczuł, jak jego serce ścisnęła koścista łapa. Ze wszystkich stron patrzyli wojowie, wielmoże i słudzy, nie mówiąc już o Welimorzanach. Po chwili knezinka puściła jego ręce i wzięła cugle. Wilczarz zasępił się, dosiadł Siarka i ustawił się za knezinka, nie wiedział bowiem, czy pani będzie jechała po prawej, czy po lewej stronie ojca.

Kiedy wyjechali z zamku, zdawało mu się, że ludzie od rana stali i czekali na ponowne ukazanie się knezia. Jak zwykle bacznie przyglądał się wszystkiemu, co działo się wokół. Myśl o knezince i

jej narzeczonemu doskwierała mu, nie mógł się skupić, toteż próbował odgonić kłębiące się złe myśli precz.

Właśnie dlatego ten, kto wynajmuje ochroniarza, nie powinien szukać z nim zbliżenia, rozważał. Nie powinien dzielić się swoimi przeżyciami i przejmować jego losem. Gdybym wtedy nad brzegiem rzeki uległ i odpowiedział knezince na jej wścibskie pytania, Hellona dowiedziałaby się, kto zatłukł tatkę jej przyszłego narzeczonego! I za co!

Nadal czuł na swoich rękach jej dłonie i nie mógł zrozumieć, dlaczego szła jak na ścięcie. Czyżby coś wiedziała o synu Ludojada? Raczej nie. Los miasta jest ważny, ale gdyby młodzieniec był rozpustnikiem albo złoczyńcą, kneź zapewne nie oddałby mu swej ukochanej córki...

Wilczarz widział, że knezinka opanowała się, spokojnie jechała przy boku ojca i nawet pozdrawiała ludzi uniesioną ręką. Gluzd, syn Nesmejana, objął ją, poczochnął pieszczotliwie po włosach, szepnął coś na ucho, a właściwie krzyknął, żeby mogła usłyszeć w tłumie. Hellona, córka Gluzda, podniosła głowę i uśmiechnęła się w odpowiedzi. Nie obejrzała się na ochroniarza, ale on wciąż pamiętał to bezradne, rozpaczliwe dotknięcie jej dłoni, jakby wołała: Obroń mnie!

Może kogoś innego nosi w swym sercu? - zastanawiał się, jadąc za kneziem i knezinka na plac targowy i czujnie spozierając na boki.

- Nie bój się, Wenie! Myśmy już uczeni, jak ktoś ze złym przybędzie zamiarem, sami mu łeb urwiemy! - doleciał jego uszu zadzierzasty okrzyk. Momentalnie spojrzął w tę stronę, skąd posłyszał te słowa, chciał mieć pewność, że ten, kto krzyczy, nie chce po prostu odwrócić jego uwagi. Kneź zsiadł z konia i sam postawił córkę na ziemi. Wilczarz też zsiadł z konia i dołączył do nich. W miejscach, gdzie było dużo ludzi, zsiadał z konia jako ostatni.

...Nie, nie miała nikogo, doszedł do wniosku. Wiedziałbym przecież. Jak się ma przyjaciela, to chce się z nim spotkać, pomówić, obdarzyć pieszczotą. A knezinka tylko z nami do lasu jeździła albo z bojarami o sprawach miasta radziła, albo szła na spotkania z mieszczanami, albo siedziała z nianią w swych komnatach. A może to ktoś, z kim knezinka spotykać się nie może, zakazali jej i nawet nie może o nim marzyć? Też nie - taką skrytą miłość widać jeszcze bardziej niż taką, której ukrywać nie trzeba...

\*

Czasy, kiedy miasto rzeczywiście mogło wysłać swego knezia z poselstwem, a potem z całą stanowczością domagać się sprawozdania, minęły dawno i -jak można było sądzić - bezpowrotnie. Ale mieszczanom podobało się to, że ich kneź, ledwie przyjechawszy do domu, zgodnie ze starą tradycją pierwsze kroki kierował na rynek, by spotkać się z ludem i zdać sprawę z tego, co zwojował na obczyźnie.

Przemawiał na stojąco, z wysokiego drewnianego podestu. Knezinka stała o stopień niżej niż ojciec, a jeszcze niżej -jak zwykle skrzyżowawszy ręce na piersi - stał Wilczarz. Już go sobie nie pokazywano palcami. Zacni mieszkańcy grodu zdążyli się przyzwyczaić, że ich ulubienicy od jakiegoś czasu wszędzie towarzyszy ponury ochroniarz. Wilczarz omiatał spojrzeniem zatłoczony plac targowy. Nadal czuł dotknięcie palców knezinki na swym przegubie. Jak piętno.

Gluzd przemawiał wspaniale. Nie nazbyt krótko, ale i niezbyt rozwlekle. Wszystko w jego mowie było w miarę. Wiedział, gdzie może pozwolić sobie na żarcik, a gdzie coś podkreślić z dumą. Haliradzcy starcy i święci mędrcy słuchali go z uwagą, siedząc na drewnianych krzesłach pod pstrym skórzanym baldachimem - darem od ulicy smolarzy. Wilczarz słuchał mowy piąte przez dziesiąte, nie oglądał się też na knezinkę. Cóż mógł teraz dla niej zrobić? Tylko jeszcze i jeszcze raz przyjrzeć się uważnie tłumowi baczyni, prawie niemrugającymi oczami...

\*

*Simurany to zadziwiające stworzenia, podobne do olbrzymich psów, ale mające skrzydła, na których unoszą się w przestworza. Skrzydła dał im Władca Burzy, dał im je za to, że ich przodkom udało się pewnego razu zmiękczyć jego gniew. Wiją gniazda wysoko w górach i nikt nie ma władzy nad nimi. Słuchają się tylko willijek - kruchych, wielkookich Władczyń Obłoków.*

*Mądrość Wenów mówi: nie krzycz "biada, biada!", dopóki nie zobaczysz martwego simurana.*

*Póki żyjesz, chcesz czy nie chcesz, w nieśmiertelność wierzysz, A jak życie się kończy - świat straty tej nie zauważy. Nie zatrząsą się księżyc, gwiazdy nie spadną z nieba... Jeden listek spada, ale zostaje cały las.*

*Kiedy jesteś małej, wydaje ci się, żeś pępkiem świata jest,  
zwieńczeniem, szczytem wszech pokoleń,  
jedynym "ja", dla którego powstał świat:  
Bo jeśli tylko znikniesz - i jego wszak nie stanie.  
Ale zaraz przed tobą drzwi ostatnie się otworzą,  
zagaśnie myśl w tobie.  
Lecz świat straty tej nie zauważy.  
Szalejesz z zazdrości, usta twe szepczą ukochane imię,  
Na cudzym weselu się bawisz pośród obcych gości,  
yle zajęć masz i marzeń tyle do spełnienia,  
O wczorajszym dniu rozmyślasz jak o czymś pewnym,  
jak gdyby cała wieczność leżała u twych stóp...  
A serce nagle - och! - potknęło się, leży.  
Bo komuś gdzieś tam, za korowodem gwiazd, za ostatnim brzegiem,  
znudziło się nizać na nitkę paciorki twych dni,  
To koniec. Pod nogami pustka, już nie możesz dalej biec.  
I nie ma człowieka. A był jakiś człowiek?  
I nie ma ani marzeń, ani nadziei, ani szaleństwa miłości.  
Ta jedna klęska zmiotła tamte zwycięstwa.  
Myślałeś: jeszcze tylko trochę i wzlecę w przestworza,  
dopiero pióra na skrzydłach wyrosły!  
A już skrzydła złamane - / świat straty tej nie zauważył.*



## **Rozdział 9**

### **Szara sierść**

*Bies zbudził się w lesie. We wspaniałym sosnowym lesie, z których sływały rdzenne ziemie Wenów. Bure pnie, szare przy ziemi, majestatycznie wznosiły się pod samą kopułę nieba, a tam, tak wysoko, że wzrok już nie sięga, puszyste niebieskawe korony lekko muskał wiatr. Na dole, pod osłoną tych gigantów stały kosmate jałowce jak zielone świece, pochylały kędzierzawe główki krzaczkę jagód, zieleniły się kobierce leśnych traw i mchów, wśród których od wiosny do późnej jesieni rosły nieprzebrane zastępy grzybów.*

*Pies wstał. Był potężny, dobrze wypasiony, miał długie szare łapy, ciało i puszysty, lekko zagięty ogon. Gęstą szczecinę na szyi rozdzielał mu skórzany pasek. Na obroży coś połyskiwało, jak kropla rosy, która pochwyciła promień słońca. Kątem oka pies widział tęczowy odbłask, ale nie mógł przekreślić łba tak, by zobaczyć, co się tam dzieje.*

*Nastawił ostro zakończone uszy, powęszył w powietrzu, wzdrygnął się i zrozumiał, że musi się spieszyć.*

*Ruszył z miejsca i pobiegł prowadzony sobie tylko znanymi zapachami. Najpierw biegł niezbyt szybko, a potem, kiedy po lewej stronie roztoczył się widok na nizinę i zamajaczyły gęste cienie świerków, zaczął sadzić wielkimi susami. Nie tropił zwierzyny ani nie krył się przed nikim, ale mocne łapy - przyzwyczał się do tego jeszcze w dawnych czasach - niosły go niemal bezszelestnie.*

\*

*Dziewczynka wyjęła z trawiastego gniazdka różową wełniankę, pocałowała okrągły aksamitny kapelusik i włożyła grzybek do koszyka. Koszyk od świtu zdążył się już napęcznieć. Kiedy dostrzegła kolejną 'odzinkę grzybów, stawiała kosz na ziemi i zbierała grzyby w rękę albo w podolek sukienki, a potem przesypywała je do koszyka.*

*Już od dawna prosiła, żeby jej zrobić brzozy kosz na plecy, taki, jaki nosiły do lasu trochę starsze dzieci, lecz nikt nie spełniał jej prośby. Mama uważała ją nie tylko za brzydulkę, ale jeszcze za chucherko: dasz takiemu dzieciątku wielką kobiałkę, zaraz się naderwie. A koszyk to koszyk - wiele się tam nie zmieści.*

*Dziewczynka wyprostowała się i przeciągnęła, potem przysiadła na kamieniu, który z jednej strony obrośnięty był żółto-czarnym pstrym porostem. Mama nie pozwalała jej siadać na kamieniu, twierdziła, że łatwo się można przeziębnić. Głaz rzeczywiście był zimny, ale dziewczynka - wbrew zakazowi - nadal siedziała. I tak w tym roku nie ma co liczyć na kobiałkę z brzozy. Dobre i to, że ją zabrali do lasu na grzyby, a nie -jak za karę - kazali paść gęsi i nie wręczyli jak zwykle kołowrotka z pokazną kądziela, by nie traciła czasu po próżnicy i pasąc gęsi, naprzędała lnianych nitok...*

*Dotknęła paznokciem zagłębienia pomiędzy obojczykami, gdzie kiedyś wisiał jasny koralik, i*

westchnęła. Przez ten koralik dostała wtedy wiosną porządne lanie, bolało ją tak, że nie mogła siedzieć. A potem przez długi czas wmawiali jej, że zhańbiła swój ród, niewdzięcznica. Kto by pomyślał! Oddać oznakę swojej przyszłej kobiecości przygodnie napotkanemu, którego widziała pierwszy i ostatni raz w życiu! I to bez matczynego pozwolenia! I to zanim zrobiły to starsze siostry! I żeby przynajmniej dała koralik komuś dobremu! Tymczasem ten jej wybrany to morda zakazana - z daleka widać, że łotr...

- Skoro nie umiałaś upilnować swego koralika - srogo orzekła mama - to znaczy, że na nowy nie zasłużyłaś, bezwstydnico. Nic nie dostaniesz, dopóki w dorosłe spódnice nie będziesz mogła się przyoblec...

Gdybym jego poprosiła, na pewno od razu by mi kobiałkę zrobił, pomyślała dziewczynka.

\*

Obcy pojawił się od strony świerkowego lasu. Dziewczynka zauważyła nieznanego i przerażona chwyciła rączkami kamień, na którym siedziała. Czarny las świerkowy pośrodku jasnego lasu to była jakby wyspa obcego, pozbawionego słońca, wrogiego świata. Nie rosły tam ani jagody, ani grzyby. Tylko trujące muchomory zdołały się przebić przez zalegające warstwy igieł - stały w martwej ciszy, bladoniebieskie, jak gdyby świecące ledwie dostrzegalnym blaskiem...

I ród Borsuków, i ród Płamistych Jeleni unikały tych świerkowych lasów. Dziewczynka też nigdy tam nie była, nie podeszła zbyt blisko i tym razem. Poszukiwanie grzybów zawiodło ją tylko na polanę, skąd widać było skraj ciemnego lasu. Ale najwidoczniej i to wystarczyło, by zetknąć się ze złem. Obcy się zbliżał.

Strach zacisnął jej gardło, palce czepiające się kamienia byty jak z waty. A tu trzeba uciekać. Mężczyzna zbliżał się do niej, stawiając szerokie, pewne kroki. Barczysty, w średnim wieku, ciemnobrody. Nie uda się przed takim uciec. A może nie ma złych zamiarów? Może pobłądził w zagajniku i chce spytać o drogę?

Ale człowiek ten nie miał na plecach ani kosza, ani kobiałki, ani węzełka. Uśmiechał się i przez to był jeszcze straszniejszy.

Dzieliło go od niej jakieś dziesięć kroków, kiedy wreszcie zerwała się z kamienia i pobiegła, upuszczając kosz. I zaraz usłyszała za plecami chrzęst deptanych wrzosów. Pędziła jak zajaczek, czując przez skórę, że jeszcze chwila i zostanie dogoniona. Wrzosa chrzęściły coraz bliżej, biegnący człowiek miotał pod nosem przekleństwami. Na pewno już się nie uśmiechał. Trzeba krzyczeć, wołać dorosłych, a gdy Wenowie zobaczą, że ktoś śmiało podnieść rękę na ich dziecko...

Już prawie dobiegła do niskich jałowców, które nie wiedzieć czemu zdawały się jej wybawieniem. Ale nie zdążyła dać nura w gęste zarośla. Przez krzaki przeskoczyło kosmate szare cielsko. Wielki pies stanął pomiędzy nią a jej prześladowcą. Na poły dziki, wściekły pies sławnej wieńskiej rasy. Taki poradzi sobie i ze stadem wilków. Takiego psa z daleka można wziąć za olbrzymiego wilka. Miał na szyi skórzaną obrozę, a na niej, jak drogocenny kamień, kryształowy paciorek.

Dziewczynka, której omal z impetem nie przewrócił, zachwiała się zaskoczona, przerażona

*jeszcze bardziej pojawieniem się psa, runęła jak długa na ziemię, ale natychmiast wstała i zaczęła się cofać, aż wreszcie oparła się plecami o drzewo. Nigdy wcześniej tego psa nie widziała. Kto go tu przysłał, by przyszedł jej z pomocą?*

*Pies nie szczekał, i nie warczał. Stał nieruchomo, miał zjeżoną sierść na grzbiecie i tylko wyszczerzył straszne dwuwerszkowe zębiska. Kiedy człowiek uczynił jeden krok naprzód, pies też zrobił krok.*

*Człowiek na pewno nie był tchórzem.*

*- Czyj ty jesteś, piesku? - spytał spokojnym głosem, pieszczotliwie, najwidoczniej pomyślał, że uda mu się uspokoić psa. Ale pies nie dał mu się zwieść i nadal szczерzył kły. Dziewczynka patrzyła na nich okrągłymi oczami i wtulała się w drzewo tak, jak gdyby miało się ono rozewrzeć i schować ją w swym wnętrzu. Widziała, że ręka mężczyzny powoli wędruje ku przytroczonemu do pasa nożowi.*

*Człowiek tymczasem nabrał pewności, że za psem nie przyjdzie równie jak on wściekły właściciel z plemienia Wenów. Szybko, bardzo szybko pochylił się, podniósł z ziemi obrośnięty mchem zgnity sęk i rzucił w psa. Chciał go jeszcze bardziej rozwścieczyć i sprowokować do skoku. W drugiej ręce obcego jak gdyby znikąd pojawił się długi na półtorej piędzi myśliwski nóż.*

*Pies rzeczywiście skoczył. Tylko nieco wcześniej. I o wiele szybciej, niż mógł przypuszczać człowiek. Mężczyzna chciał uderzyć psa po pysku, uniknąć spotkania z jego kłami i wrazić mu ostrze w bok. Tymczasem psie szczęki zamknęły się jak potrzask na jego uzbrojonej w nóż ręce. Człowiek zawył z bólu - obie kości poniżej łokcia zachrzęściły, jak jeszcze przed chwilą chrzęściły pod jego nogami wrzosy. Pies obalił go na ziemię niby szmacianą kukłę, rozwarł szczęki, wypuścił rękę, która nie mogła już uczynić mu nic złego, i nastąpił łapami na piersi.*

*Człowiek uwielbiał uczestniczyć w niebezpiecznych walkach, dawno już stracił rachubę, ile z nich wygrał, wychodząc obronną ręką z jeszcze gorszych opresji. Nie przestraszył się nawet wtedy, kiedy nad samym gardłem usłyszał kłapanie ostrych jak kindżały zębów. Przestraszył się dopiero wtedy, kiedy zobaczył OCZY. Przeszedł go dreszcz. Oczy były szarozielone, jakich nigdy wcześniej nie widział u psów. I to SPOJRZENIE. Spojrzenie, które nie może należeć do zwierzęcia.*

*Oblał się lepkim potem i zaczął krzyczeć z przerażenia. Zrozumiał, że ma do czynienia z wilkołakiem.*

*I umarł*

*Ze strachu.*

\*

*Pies nie rzucił się na martwe ciało, nie zaczął rwać go na kawałki. Tylko prychnął i zostawił je leżące na wznak z bezrozumnie wykrzywioną twarzą i wstydliwą mokrą plamą na farbowanych płóciennych pludrach. Dziewczynka nie miała siły się poruszyć. Pies powoli podszedł, popatrzył jej w oczy, zadrżał, a potem spuścił łeb i przytulił się do jej biodra. Dotyk silnego kosmatego ciała - choć może się to wydać dziwne - uspokoił ją. Nieśmiało wyciągnęła rękę, dotknęła ostro*

*zakończonych uszu i zobaczyła, jak odrobinę poruszył się w jedną i drugą stronę długi ogon. Ośmieliwszy się nieco bardziej, dziewczynka zaczęła głaskać szarego psa, do którego większość dorosłych nie odważyłaby się nawet podejść, a potem objęła go za szyję.*

*- Koralik! Zupełnie jak mój! - wykrzyknęła zdziwiona, popatrując na kryształowy paciorek wszyty w grubą skórę obroży. Na chwilę zapomniała nawet o trupie, który leżał w odległości dziesięciu kroków.*

*Pies ostrożnie wyswobodził się z jej objęć, odbiegł gdzieś i powrócił, trzymając w zębach koszyk z grzybami. Dziewczynka chwyciła za obrożę i zwierzę poprowadziło ją - omijając zarośla jałowca, jak najdalej od polany, jak najdalej od złowieszczonego świerkowego lasu - aż do miejsca, w którym, o czym dobrze wiedziała, zbierały grzyby jej dwie siostry, mama i starszy brat. I rzeczywiście wkrótce usłyszała ich nawoływania.*

*Mama stała na zarośniętej paprociami polance i niespokojnie rozglądała się wokół, mrużąc krótkowzroczne oczy i bijąc się z myślami, czy nie trzeba by pójść poszukać dziecka, które chyba zanadto się oddaliło. I nie to, żeby córka rodu Plamistych Jeleni mogła zgubić się w lesie. Po prostu zawsze dobrze jest mieć dziecko na oku. A zwłaszcza tak nieposłuszne.*

*Dziewczynka puściła obrożę psa i co sił w nogach pobiegła do matki - teraz wreszcie mogła wyplakać cały strach. Kiedy obejrzała się, żeby pokazać matce swojego obrońcę, jej koszyk stał w miękkiej leśnej murawie, a szarego psa nigdzie nie było widać. Tylko na rączce koszyka dostrzeżono potem ślady potężnych zębów. A jakieś pół wiorsty dalej, w pobliżu świerkowego lasu, mężczyźni z rodu Plamistych Jeleni znaleźli i zakopali ciało obcego człowieka, który umarł ze strachu.*

\*

Kilka dni po przyjeździe kneź Gluzd, syn Nesmejana, w obecności gości z Welimoru i starszych członków drużyny dopełnił nad córką obrzędu zakrywania twarzy.

Wilczarzowi nie podobał się ten obrzęd, jak i wszystkie solweńskie obrzędy mające związek z zaślubinami. U Wenów było inaczej. Narzeczonemu, kiedy stawał się mężem, przechodził do rodu żony. To było słuszne i rozumne. Ludzie żenią się, aby wychowywać dzieci, a do jakiego rodu ma należeć niemowlę, jeśli nie do rodu matki? A poza tym zmiany powinien dokonywać w sobie mężczyzna, a nie kobieta. To powinno być jasne dla każdego - wystarczy przecież popatrzeć najpierw na Matkę Ziemię, a potem na Ojca Niebo. Po niebie przepływają obłoki, gnają wichry, na niebie to gasną wieczorne zorze, to wstaje świt. Żeby dokonać zmian, które w niebie trwają dobę, ziemia potrzebuje roku. A jeśli oblicze ziemi zaczyna się marszczyć, tracąc lub zyskując nowe rzeki i góry - to znaczy, że z Matką Ziemią dzieje się coś niepokojącego...

Solwenowie, którzy zapomnieli o prawach ustanowionych przez przodków, a wraz z nimi o uczciwości i honorze, kobiety przekazywali z domu rodziców do rodu męża. A po to, by szanowanych praszczurów nie gorszyć swoją rozpustą, uciekali się do pewnego wybiegu: rzewnie oplakiwali narzeczoną, jak gdyby umarła dla swego rodu, wkładali żałobne stroje i nawet zakrywali twarz dziewczyny ciężkim, grubym welonem, którego nie zdejmowała aż do nocy poślubnej.

Albowiem "umarła" nie powinna widywać się z żywymi, rozmawiać z nimi, a tym bardziej jeść tego co oni...

Dla Wilczarza takie traktowanie kobiety było obce, mało tego - wydawało mu się wstrętne. Tyle że jakoś nikt nie pytał go o zdanie.

Obrzęd odbył się w piękny słoneczny dzień na dziedzińcu zamku. Dobre i to, że nie zapomniano o sprawiedliwym Słońcu, które z wyroku bogów miało pilnować ludzkiej Prawdy. Nawet Solwenom, którzy zapomnieli o dobrych obyczajach, starczyło rozumu, by nie chować obrzędu zakrywania twarzy pod dachem. Na środku dziedzińca rozścielono wielki monomatański dywan. Knezinka wstąpiła nań za ojcem: rzekomej zmarłej nie będzie wolno odtąd nie tylko wystawiać twarzy na światło dzienne, ale nawet stąpać po ziemi, po której chodzą żywi. Hellona uśmiechała się, domownikom na powitanie kiwała głową. W jej duszy mogły się dziać różne rzeczy, ale prawdziwych uczuć córki knezia nie mógł poznać nikt. Moment słabości, kiedy w rozpaczy pochwyciła rękę Wilczarza, zdarzył się, to prawda, ale już minął.

Jak przebiegała sama ceremonia, ochroniarz nie widział. Stał poza dywanem, przy jednym z jego rogów, ustawił się tak, by słońce go nie oślepiało. W dwóch innych rogach dywanu zamarli jak dwie identyczne figury bracia Dobrzy. Wilczarz nie musiał na nich patrzeć. I bez tego wiedział, że bliźniacy naśladowali i jego postawę, i sposób, w jaki poruszał głową, i sposób, w jaki patrzył, i nawet jego kamienną twarz.

Chłopcy, mali chłopcy, myślał. Czegóż od nich wymagać?

O wiele bardziej zadziwiający było co innego: przy czwartym rogu dywanu stał w pełnym ekwipunku bojowym bojar Spryt.

Wen słyszał, jak Gluzd, syn Nesmejana, wypowiadał uroczyste słowa, które Solwenowie przy takich okazjach uważali za nieodzowne. Potem sięgnął po ciężki, wzorzysty jedwab starej ciemnoczerwonej zasłony, którą w rodzie knezia przekazywano z pokolenia na pokolenie od dwóch stuleci. Zebrani jak na komendę ciężko westchnęli, a bojarskie córki stojące na ganku zaintonowały rzewną, chwytającą za serce piosnkę o rozstaniu z rodzinnym domem. Pieśń miała przekonać troskliwych przodków, że narzeczona z rodzinnego domu nie sama odchodzi, lecz zmuszają ją do tego siłą.

Kneź znowu wypowiedział parę słów i wziął córkę za rękę – przez zasłonę, by nie dotknąć jej skóry. Poseł z Welimoru nisko pokłonił się jemu i z szacunkiem przejął dłoń narzeczonej.

Tak oto oddali knezinkę.

W czasie, gdy szykowano orszak, Wilczarz miał niewiele do roboty. Knezinka - co zrozumiałe - nigdzie nie wyjeżdżała, nawet nosa nie wychylała ze swych komnat. Wilczarz w zasadzie mógłby siedzieć w domu, jeśli będzie potrzebny, to może dopiero przed samym wyjazdem do Welimoru. Jednak bardzo szybko się przekonał, że przez cały czas napotykać spojrzenia domowników wiedzących, za kogo knezinkę wydają za męża - to była nieznośna tortura. Kiedy próbował zachowywać się, jak gdyby nic się nie stało, było jeszcze gorzej. Przez trzy dni nosił wodę z

ulicznej studni, chodził razem z Neelith i Zujkiem na targ po zapasy żywności, miesił ciasto na chleb, urządzał piwniczkę. Ale na czwarty dzień znowu wybrał się do twierdzy i spędził tam cały dzień. I więcej już w domu nie zostawał.

Droga do Bramy Północnej Welimoru była daleka, różne trudy i niebezpieczeństwa mogły się przytrafić w podróży. Toteż Wilczarz od świtu do nocy albo wyciskał siódme poty z chłopaków, albo sam, zgrzytając zębami, obracał się, skakał, koziółkował z ciężkim grubym kijem zamiast miecza.

Czynności domowe nie wymagały takiego skupienia, dlatego nie pomagały pozbyć się niepotrzebnych myśli.

Wszystko przez to, że zabiłem Ludojada nocą... Przez to, że przyszedłem i zabiłem go ciemną nocą. Powinienem być to zrobić w ciągu dnia, kiedy patrzy na nas Oko Bogów. Powinienem być tak wszystko P<sup>z</sup>gotować, by spotkać go za dnia i wtedy zabić. I przy tym samemu nie zginąć. Ale bez świty Ludojad nigdzie się nie pokazywał, a zabić z oddalenia, strzałą wypuszczoną z łuku - to przecież żadna zemsta.

No tak, i wtenczas nie spaliłbym jego zamku, nie uwolniłbym ani Tilorna, ani Neelith...

Pewnego dnia na wewnętrzny dziedziniec przyszedł sam kneź i długo się przyglądał, jak chłopcy we dwóch starają się pochwycić Wilczarza, ale raz za razem sami padają w kurzawę podwórca. Wyglądało na to, że kneziowi w smak było to, co zobaczył. Rzucił słudze ciemnogrnatową pikowaną szatę i w samej koszuli podszedł do Wilczarza. Bliźniacy przezornie rozstąpili się na boki. Wilczarz, goły do pasa i porządnie spocony, stał bez ruchu pod taksującym spojrzeniem władcy.

- Moja córka mówiła, że uczyłeś ją walki - powiedział nagle kneź. Jego pięść wystrzeliła w stronę piersi Wilczarza bez żadnego ostrzeżenia.

Gluzdowi, synowi Nesmejana, niedawno stuknęła czterdziestka. Ludzie uważają, że z wiekiem prędkość ruchów stopniowo się zmniejsza, ale jeśli naprawdę tak jest, to patrząc na knezia, trudno było znaleźć potwierdzenie dla tych słów. Wilczarz uchylił się odrobinę, tylko tyle, aby nie pozwolić pięści knezia dotknąć swego ciała.

- Prawdę rzekła, gospodarze - odparł.

- A czy wiedziałeś o tym, że dopóki mam władzę nad moją córką, nie dopuszczę, by została wojowniczką?

Z tymi słowy kneź próbował zająć go z lewej strony. Nic nie wskazywało na to, by Wilczarz się poruszał, tymczasem Gluzdowi nie udawało się go zaskoczyć.

- Wiedziałem, gospodarze.

Kolejny cios był wymierzony w brzuch. Tym razem Wilczarz obrócił się na palcach, pochwycił uderzającą rękę, mocno złapał dłoń, przyciągnął ją do siebie, a potem wznosił w górę, na wysokość ramienia. Łokieć władcy wygiął się ku niebu i zastygł nieruchomo. Jeszcze chwila i ból stanie się nie do wytrzymania. Wilczarz doskonale wiedział, że unieruchomiony w ten sposób nie myśli już o tym, jak się wyswobodzić, uderzyć przeciwnika wolną ręką czy kopnąć. Wszystkie myśli skupiał na tym, aby nie wywichnąć wszystkich trzech stawów jednocześnie. Wilczarz puścił rękę

władcy i zrobił krok do tyłu.

Kneź rozmasował sobie ramię i zapytał:

- Moja córka też tak potrafi?

Na twarzy Wena po raz pierwszy od początku tego siedmiodnia można było zobaczyć coś w rodzaju uśmiechu.

- Niezupełnie, gospodarze. Tak nie potrafi.

Kątem oka widział, jak spojrzeli po sobie bliźniacy. Mógł się założyć o wszystko, że obu kusi, by podpowiedzieć kneziowi, aby sam sprawdził, co potrafi jego córka. A jeszcze lepiej spytać o to bojara Spryta. Ale pacholek to tylko pacholek i tak się zowie właśnie dlatego, że milczy, dopóki go nie pytają.

- Chciałem cię wyrzucić - powiedział kneź. - Ale moja córka twierdzi, że sama cię zmusiła, byś ją uczył. Czyżby moja córka próbowała cię osłaniać, Wenie?

- Nauczyłem panienkę tylko tego, czego mnie nauczyła kobieta - odparł Wilczarz.

Kneź wziął od sługi szatę, zawrócił i powiódł palcem po dwóch świeżych bliznach na ciele Wilczarza: na piersi i na lewym boku.

- Gdyby nie to, Wenie, już by cię tu nie było.

Możecie mnie ukarać za to, że zabiłem nocą, myślał Wilczarz, patrząc na oddalające się plecy wodza. Ale za co ją chcecie ukarać?

\*

Chwała wszystkim bogom, miał teraz jeszcze jedno zajęcie, i to takie, że tylko włosy rozpuszczać.

Zaczął chodzić do ogrodu, w którym knezinka hodowała różne egzotyczne kwiaty. W ogrodzie były pięknie ułożone kamienie przyniesione z nad morza, a między nimi wytyczona kręta ścieżynka. Brakowało tylko strumyczka, ale z powodzeniem go zastępował wkopany w ziemię cebrzyk, w którym zbierała się deszczówka. Po obu stronach ścieżynki jakimś cudownym sposobem rosły w pełnej zgodzie wszystkie możliwe rośliny, przywiezione - o ile Wilczarz wiedział - z bardzo dalekich stron. Od kosmatego siwego mchu, który rósł na segwańskich wyspach na samym skraju wiekowych lodowców, do monomatańskiego krzaczka wygrzewającego się na skąnym haliradzkim słończku pod zapotniałym szklanym kloszem. Tyle że w miejsce kwiatków krzaczek zdobiło teraz mnóstwo drobniutkich owoców pachnących jak poziomki.

Wilczarz przychodził do ogrodu, siadał na kamieniu i wyciągał drogocenny podarunek, którym obdarzyła go Neelith.

Było to płaskie pudełeczko wielkości dłoni wykonane z nawoskowanej skóry. Kiedy Wilczarz zobaczył je po raz pierwszy, był wstrząśnięty. Odczytał solweńskie litery, przepięknie wypisane na wieczku - to było jego imię! Jeszcze nigdy nie widział swego imienia napisanego. Powoli się z tym oswajał. Przeczytał je trzykrotnie i dopiero wtedy wyjął z pudełka zawartość.

Trzymał w rękach książeczkę zszytą z kawałków kory brzozonej. Na okładce było napisane "wirunta", przy każdej literze znajdował się objaśniający maleńki obrazek. Przy "u" - ul, przy "r" -

róża i tak dalej- Przy pierwszej literze stały dwie postaci, które opierały się o nią łokciem. Jedna postać wspierała się na kulach, druga miała włosy zaplecione w dwa warkocze. Inne figurki, też podobne do pewnych osób objaśniały litery "n", "t", "e" i "z", a na literze "g" siedział, liżąc sobie skrzydło, miniaturowy Gacek. Potem szły słowa, najpierw króciutkie, potem dłuższe...

Wilczarz złapał Neelith w objęcia, podniósł ją do góry i mocno ucałował w oba policzki. Teraz, kiedy czas mu na to pozwalał, znajdował jakieś spokojne miejsce i wodził palcem po linijkach, poruszając ustami i w napięciu marszcząc czoło. Do dalszych części książki umyślnie nie zaglądał. Założył, że najpierw biegle nauczy się czytać i przeczyta wszystko, co było napisane na pierwszej stronie, bezbłędnie i bez zaglądania do wiruny.

Właśnie tam, w ogrodzie knezinki, pewnego razu dopadła go dziwna senność. Początkowo nie zdawał sobie sprawy z tego, co ją spowodowało. Właściwie tak jak i wprzód doskonale wiedział, co się z nim dzieje, i na pewno mógłby stanąć do walki, gdyby ktoś na niego napadł. Ale jakaś część jego rozumu z niewiadomych powodów go opuściła. Z taką samą jasnością zobaczył siebie, ale jako wielkiego szarego psa, który biegnie przez sosnowy bór. Przez długi czas rozmyślał, czy to, co zdarzyło się potem, miało miejsce naprawdę. A może tylko mu się zdawało? Nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie. Postanowił, że zapyta o to małą dziewczynkę z rodu Plamistych Jeleni. Za jakieś pięć lat, kiedy już będzie mogła być narzeczoną i wybierze sobie narzeczonego.

Przypomniał sobie podobny sen, który przyśnił mu się latem. Wtenczas to był prawdziwy sen. A teraz to się działo jak gdyby na jawie.

Mój przodek, założyciel rodu, był psem, uzmysłowił sobie wreszcie. A ja jestem ostatni w moim rodzie. Nawet jeśli się ożenię, moje dzieci już nie będą Szarymi Psami. Może Pani Ludzkich Losów postanowiła, że stanę się znowu zwierzęciem. Być może zabijając Ludojada, wypełniłem wszystko, co miałem do zrobienia na ziemi. I teraz coraz częściej będzie mi się zdawało, że jestem psem, a moje ludzkie życie zacznie zasnuwać mgła, coraz bardziej będzie przypominało sen, aż wreszcie całkiem o nim zapomnę.

Przyjrzał się swoim rękom - czy zaczęła je już porastać gęsta gładka sierść? Nie, włosów na rękach na razie miał tyle, co i przedtem. Na razie?

Palec Wilczarza spoczął na przedostatnim wersie na stronie, kiedy na ścieżce zachrząściły kroki. Wen podniósł głowę. Zobaczył jasnowłosego młodzieńca, prawie dziecko - mógł mieć z piętnaście lat, nie więcej - ubranego w szaty, które noszą synowie wielmożów z plemienia morskich Segwanów. Wyglądało na to, że skradał się, aby podejść Wilczarza, i bardzo się obraził, kiedy mu się to nie udało.

Wen wiedział, kim ten chłopak jest. W bitwie, w której poległa matka knezinki, jej wojowie jednak zwyciężyli. Śmierć wodza to zły znak i zwykle wojowie tracą potem odwagę i chęć do walki. Tymczasem śmierć knezini tylko rozpałała bezrozumną wściekłość i pragnienie zemsty. Poza tym wojowie mieli jeszcze knezia. Wzięli do niewoli wodza wrogów - był bodaj jedynym ich jeńcem - i żywego przywieźli do Haliradu. Wtedy to Gluzd, syn Nesmejana, udowodnił, że w pełni zasługuje na przydomek Rozumny. Niepocieszony wdowiec znalazł w sobie dość hartu ducha, aby nie



wrzucić wziętego do niewoli kunsza na pogrzebowy stos ukochanej żony. Mało tego, zdołał zawrzeć z chrobrym wrogiem pakt o pokoju po wieczne czasy i nakazał przysyłać kupców. A rok później wypuścił jeńca na wolność. Z mocy umowy na dworze knezia Gluzda miał zamieszkać mały syn kunsza. Od tego dnia minęło dziesięć lat.

Wilczarz widywał takich zakładników, których los oderwał od łona rodziny i od plemienia. Jedni przyzwyczajali się jakoś do życia na obczyźnie i potrafili służyć narodowi, pośród którego przyszło im pędzić żywot. Dzięki szacunkowi, jakim się cieszyli, starali się jednać oba narody. Inni natomiast pełni żółci zamykali się w sobie, wszystko uważali za swą krzywdę, wszędzie węszyli intrygi i podstęp. Taki właśnie niestety był młody Segwan Attalik, który teraz powoli zbliżał się do Wilczarza ogrodową ścieżynką. I co najgorsze - był zakochany w knezince. Zakochany całą mocą pierwszego młodzieńczego uczucia. A knezinka nie poświęciła mu nawet spojrzenia. Wilczarz, który starał się dowiedzieć wszystkiego o każdym z mieszkańców zamku, znał i tę sprawę od podszewki.

Gacek, polujący na chrabąszcze, na widok Attalika na wszelki wypadek zawrócił i usiadł na ramieniu Wilczarza. Na brzozową korę spadł nakrapiany chitynowy pancerzyk wypluty przez nietoperza.

- Co za paskudne stworzenie! - Młody Segwan z obrzydzeniem zmarszczył nos, zatrzymując się o dwa kroki od Wilczarza. - A i ty, Wenie, przesiąkłeś zapachem nietoperzy. Może ty też śpisz, zwisając głową w dół?

Wilczarz nie odpowiedział. Kiedy miał piętnaście lat, został akurat przykuty do kopalnianego kołowrotu razem z wątłym Arrantem, byłym nauczycielem ze stolicy. Arrant ledwie mógł unieść kajdany, które skuwały mu nogi. Nie miał siły i bardzo szybko się męczył. Nie pomagał temu, który chodził z nim w zaprzęgu. Wręcz przeciwnie - przeszkadzał. Po jakimś czasie młody Wen zaczął go po prostu sadzać na wale obracającym kołowrót, a pracę wykonywał sam. Wdzięczny nauczyciel, próbując opanować kaszel, deklamował z pamięci klasyczne poematy, ucząc zmyślnego barbarzyńcę boskiego języka filozofów i poetów... A karmione przez nauczyciela paskudne stworzenia były im obu za jedynych przyjaciół...

Attalik, gdyby go postawić przy tym kołowrocie, oddałby duszę swoim bogom po paru godzinach. Tak. Jak ktoś za młodu nie był bity, potem każdy kuksaniec zda mu się śmiertelnym ciosem. Attalik zapowiadał się na rosnącego i przystojnego mężczyznę, ale na razie był kościstym wyrostkiem z lekkim meszkiem pod nosem, poczuciem wiecznej krzywdy w oczach i niedorzecznym pojęciem na temat honoru i męstwa.

Dostrzegł na kolanach Wilczarza książeczkę.

- Hej, Wenie, czytasz do góry nogami... - Był przekonany, że Wilczarz popatrzy teraz w dół, ale Wen nie sprawił mu takiej przyjemności. - A na cóż ci czytanie i pisanie, ochroniarzu? Może chcesz zostać liczygwiazdą? Będziesz liczyć gwiazdy, które posypią ci się z oczu.

Nawet nie potrafił złośliwie przyciąć. Wilczarz dosyć już miał bezczelnych uwag smarkacza, zwinął książkę, schował ją do futerału, wstał i w milczeniu chciał odejść. Attalik natychmiast go

dogonił i złapał za rękaw, odwracając do siebie twarzą. Ale złapał go nieumiejętnie - gdyby Wilczarz chciał się uwolnić, połamałby mu palce. Wen zatrzymał się, a Gacek rozprostował skrzydła i krwiożerczo zasyczał. Wilczarz nakrył zwierzaka dłonią; jeszcze podrapie chłopcu nos i potem trzeba się będzie gęsto tłumaczyć.

- O któregoś z nas jest na tym świecie za dużo, ochroniarzu! - cicho i złowieszczo powiedział Attalik. - Dlaczego knezinka jeździła na konne przejażdżki z tobą, a nie ze mną? Dlaczego ty, Wen niskiego urodzenia, zawieziesz ją teraz do narzeczonego i będziesz spać na jej progu, a ja zostanę tutaj? Niech długobrody Chramn rozsądzi, który z nas dwóch jest bardziej godny tej służby...

Wilczarz mógł bez zająknięcia wymienić wszystkich swoich przodków sześćset lat wstecz, do samego Psa. Chciał powiedzieć o tym Segwanowi, ale nieoczekiwanie pomyślał: Mój młodszy braciszek miałby tyle lat co on.

- Ziemia jest wielka, synu kunsu. Wystarczy miejsca i dla ciebie, i dla mnie - powiedział.

- Jesteś tchórzem! Boisz się!

Wilczarz wyrwał dzieciakowi z dłoni rękaw i odszedł, nie oglądając się za siebie.

\*

Ochrona knezinki powinna była (nie licząc Welimorzan) liczyć dwie chorągwie. Jedna - witezie z drużyny knezia z jednym z najznakomitszych bojarów na czele. Druga - miejski zaciąg, strażnicy starannie dobrani przez mądrych starców. Tak nakazywał obyczaj, to danina pamięci o czasach, kiedy kneziowie jeszcze nie byli władcami, lecz wodzami drużyn wojów zapraszanych przez miasto dla obrony przed nieprzyjacielem. A zatem teraz nie ojciec wydawał córkę za męża - cały Halirad chciał mieć w tym udział!

Strażnicy miejscy dzielił się na trzy oddziały, zgodnie z tym, ile było ziem w mieście: Solwenowie, Welchowie i Segwani. Wilczarz ogromnie się ucieszył, ujrzawszy wśród nich Aptachara. Doświadczony wojak nie po raz pierwszy przyjeżdżał tutaj z Fitelą i zawsze najmował się na służbę na całe lato - wszyscy go tu znali, szanowali i uważali za swego. Teraz doczekał się honorów: został mianowany dowódcą oddziału Segwanów, uroczyście przepasano go pasem nadającym mu godność starosty. Aptachar był tak dumny z tego wyróżnienia, że zdecydował się pożegnać z kupcem Fitelą nawet do przyszłego roku. Jak się uda, to przyszłą wiosną odszuka go na segwańskim brzegu, skąd zwykle kupcy zaczynali swój szlak do ziemi Solwenów. Jak się nie uda, to i tak spotka się z nim w Haliradzie. A co do zarobku, to nikt się nie spodziewał, że wyprawa do Welimoru przyniesie góry złota. Ale po prawdzie warto było ponieść uszczerbek w pieniądzu, iżby potem o tobie mówili: to ten, co towarzyszył knezince w drodze do narzeczonego!

- Mego syna też chcieli wziąć, ale go nie puścił - mówił Aptachar do Wilczarza. - Nigdy nic nie wiadomo, a ród musi trwać i mieć potomków! Audyka jest młody, jeszcze mu dalekie kraje zdążą się sprzykrzyć... Powiedz swojemu przyjacielowi, niech oka z dziewczyny nie spuszcza...

Audyka najwyraźniej nie do końca zgadzał się z ojcem, ale u Segwanów nie było przyjęte sprzeciwiać się woli rodziców. Chłopak tylko wzdychał i popatrywał na piękne nowe ubrania, które dla uczestników wyprawy szyli naumyślnie przysłani krawcy.

A jeszcze mieszkańcy miasta przynosili podarunki dla swojej knezinki. Wilczarzowi owe dary bardziej przypominały pożegnalne ofiary, które - według wierzeń jego ludu - członkowie rodziny i przyjaciele układali na stosie grzebalnym zmarłego. Myśl ta wcale mu się nie spodobała. Bieda w tym, że odganasz tę myśl, a ona sama znowu do głowy wchodzi.

Każda szanująca się pracownia uważała za święty obowiązek podarować knezince swoje wyroby. Niektóre przedmioty władczyni zabierze ze sobą, inne pozostaną w zamku, trafią do skarbcza, a potem może dostaną się jakiemuś zamorskiemu kupcowi w darze. Co za różnica. Byle zdążyć ze złożeniem podarunku, a co ważniejsze - usłyszeć z ust samego knezia: "Moja córka dziękuje ci, mistrzu".

Nie mówiąc już o tym, że spostrzegawczy i wścibski narodek zaraz będzie chciał mieć w swoim domu coś podobnego. Przynajmniej z tego samego warsztatu!

Mistrz szklarski Ostej złożył u stóp władcy korale, w których grały wszystkie barwy tęczy. Takich koralu jeszcze nigdy nie widziano w Haliradzie. Do koralu dodał niezwykle naczynia: czerpak, miskę, czarkę i łyżkę, a wszystko to ze szkła.

- Miło jest cieszyć oko taką piękną robotą, mistrzu Osteju - powie dział kneź siedzący na tronie pośrodku dziedzińca. - Tylko do czego to może służyć? Od gorącego pęknie, jak upuścisz - rozbije się...

Pocziwy Ostej wystąpił w obronie dzieła swoich rąk. Z kobierca zszedł na twarde dębowe deski, którymi wymoszczony był podwórzec, podniósł przezroczystą łyżeczkę nad głowę i upuścił. Kneź, który spodziewał się dźwięku tłuczonego szkła, zdążył się już nawet skrzywić, ale zaraz podniósł ze zdziwienia brwi. Łyżeczka sprężyste podskoczyła i opadła na deski cała i nieuszkodzona.

- O kamienie nią rzucałem! - z dumą oznajmił mistrz.

- Toż to czary! - rozległy się głosy w tłumie.

Mędrzec, który był obecny podczas ceremonii przyjmowania podarunków właśnie dla takich przypadków, wziął łyżeczkę w ręce i na cały głos oświadczył:

- To nie są żadne czary.

- Nauka! - Mistrz szklarski wzniosł do góry palec.

Wilczarz doszedł do wniosku, że tu nie mogło się obejść bez Tilorna.

Tymczasem Ostej schylił się, wziął czarkę i zażądał:

- Proszę mi przynieść wrzątek!

Młody syn niewolnicy pognął do kuchni i przyniósł wielkie wiadro wrzątku. Wrzątku starczyło, żeby napełnić i czarkę, i miskę, i czerpak. Cienkie szkło zapotniało, ale nic nie wskazywało na to, by miało zamiar pęknąć.

- Nauka! - powtórzył mistrz z naciskiem...

Na koniec, już ostatniego dnia, zjawił się z darem mistrz Pokrzywa. Kiedy rozwinął miękki zamsz, ludzie zaczęli się przepychać, żeby zobaczyć cudo, które przyniósł. Wszyscy byli zauroczeni, a wojowie aż cmokali z zachwytu i starali się precyzyjnie jak najbliższej. Na kobiercu pod

nogami knezia połyskiwała - odbijając w każdym pierścionku błękitne niebo - maleńka kolczuga. W sam raz na dziewczynę. A obok kolczugi spoczywały hełm, nagolenniki i naramienniki. Metal błyszczał jakoś inaczej niż srebro i inaczej niż stal, był inny, takiego jeszcze nikt nigdy nie widział.

Gluzd, syn Nesmejana, też się zdziwił, nawet zapomniał połać mistrza za to, że przyniósł jego córce wojenny ekwipunek wbrew obowiązującemu zakazowi. Sam wziął w ręce kolczugę, obejrzał ją dokładnie z wierzchu i od spodu, rozciągnął, poskrobał paznokciem ogniwo, chcąc sprawdzić, jak zostało umocowane, ale nie udało mu się odgadnąć, w jaki sposób ogniwo zostały ze sobą połączone.

- Ta kolczuga nie boi się ani soli, ani wilgoci, gospodarze - powiedział Pokrzywa. Mówił głośno, żeby wszyscy go słyszeli. - Wygotowaliśmy to w morskiej wodzie!

Wszyscy haliradzcy witezie wymieniali opinie na temat nowinki. Można było nie mieć wątpliwości, że do wieczora drzwi warsztatu Pokrzywy urwą się z zawiasów.

- Zabroniłem mojej córce parać się walką! - jednak upomniał mistrza kneź.

- Nigdy nic nie wiadomo, co człowieka czeka w drodze - śmiało sprzeciwił się płatnerz. - Straż strażą, a w kolczudze mimo wszystko jest bezpieczniej.

O tym, że żona welimorskiego Strażnika Bram powinna dobrze sobie radzić w wojennym rzemiośle, Pokrzywa na wszelki wypadek nie rzekł ani słowa. Przemilczał też i to, że teraz jego pracownia może się spodziewać zamówień z samego Welimoru - co było dla wszystkich jasne. Wilczarz popatrzył z ukosa na posła z Welimoru, który z uwagą Przyglądał się wyrobom płatnerza, a potem na umierających z zazdrości rzemieślników stojących opodal. Wykuli wiele wspaniałych mieczy. Nie tak wspaniałych jak wzorzysty miecz Wilczarza, ale naprawdę dobrych. Wszystkie klingi doskonale leżały w silnej męskiej dłoni. A teraz mistrzowie pluli sobie w brodę - żaden nie wpadł na to, by zrobić leciutki miecz z wymyślnymi ozdobami. Mogliby na dodatek sprytnie tłumaczyć, że to nie broń, tylko zabawka, może nada się dla syneczka którego knezinka wkrótce powije mężowi wojownikowi.

...Dowódcą oddziału witezi uczyniono bojara Promienia. Kneź miał swoje powody by tak postanowić. Promień był wprawdzie dalekim ale jednak krewnym knezinki. Młody, silny, doskonale władał bronią, w walce wykazywał się sprytem i odwagą. A co do nadmiernej wybuchowości i pośpiechu, to, według Gluzda, powaga misji powinna wpłynąć tonująco na bujny charakter bojara.

Wilczarz posmutniał, kiedy się o tym dowiedział. Promień wziął do drużyny swoich podopiecznych, wybrał tych, którzy byli mu szczególnie mili. A wśród nich znalazło się dwóch najemników: Pliszka i Kanaon.

Ranek w dniu odjazdu knezinki nastął ciemny i pochmurny, choć deszcz nie padał. Wilczarz chciał jak najszybciej wyruszyć w drogę, zając się czymś i przestać myśleć o przyszłości. Dlatego też zjawiał się w zamku na długo przed świtem, kiedy tam jeszcze spali prawie wszyscy poza koniuchami i kucharkami, które przygotowywały śniadanie. Wilczarz pomyślał, że knezinka też na pewno nie śpi. Dla niej kończyła się właśnie ostatnia noc pod dachem rodzinnego domu. Czy jeszcze kiedykolwiek tutaj wróci? Kto to wie?

Zsiadł z konia i zaprowadził Siarka do stajni, gdzie Spiel i jego pomocnicy starannie czyścili i układali włoski do włoska na zadbanych koniach członków drużyny. Wen szedł powoli, prowadził posłusznego rumaka za uzdę i po raz setny przebiegał w myślach, co zapakował do sakw przytroczonych do siodła. Czy czegoś nie zapomniał? Na razie nie stwierdził żadnych braków. Obawiał się, że jak tylko wyjadą za bramy miasta, zaraz coś sobie przypomni i będzie za późno, by wracać do domu.

Nie był do końca pewien, czy w ogóle kiedykolwiek dane mu będzie tu powrócić. Kiedy przypominał sobie, jak knezinka chwyciła jego rękę w dzień przyjazdu ojca skłaniał się ku myśli, że po ślubie raczej nie zechce go od razu odprawić do domu. Najpewniej zostawi jego i starą piastunkę, służki i medyka Iliada. Przecież w obcym kraju powinien być blisko niej ktoś, kogo zna jeszcze z czasów panieńskich, komu całkowicie ufa...

Co dobrego może czekać w Welimorze? Tylko zemsta kunsowego syna, który na pewno albo sam był w ruinach ojcowskiego zamku, albo wiedział o wszystkim z relacji swoich wiernych ludzi. Wtedy na wiosnę Wilczarz szedł przebojem, nawet nie próbował się ukrywać, był przekonany, że nie wyjdzie z tego żywy. I zabił Ludojada nocą, nie myślał o tym, jaką karę wyznaczy mu za to Pani Ludzkich Losów. I oto kara. Kiedy teraz ma już wszystko, dla czego warto żyć...

W Welimorze czeka go pewna śmierć. Prawie pewna. Domownicy doskonale wiedzieli, że to nie jest najgorsze ze wszystkiego. Eurych nawet zaproponował, aby niepostrzeżenie zniknąć z miasta; mgliście coś tłumaczył, że zna "pewne miejsce". Wilczarz nic wtedy nie powiedział.

...Już wyciągnął rękę, by otworzyć wrota stajni, kiedy zza węgła rzucił się nań jakiś człowiek.

Pierwsza myśl, jaka przyszła Wilczarzowi do głowy: To bracia Dobrzy. Ale myśl ta pojawiła się i natychmiast zniknęła jak zdmuchnięty płomyk świecy. Bracia wprawdzie nieustannie próbowali podejść Wilczarza, ale na pewno nie rzucaliby się na niego w taki sposób. To byłoby po prostu zbyt niebezpieczne. Ponadto bracia wiedzieli, że Wilczarz widzi w ciemności nie gorzej od Gacka. A ten, który teraz napadał, najwyraźniej o tym nie wiedział.

Siarko szarpnął się przerażony i zarżał, próbując stanąć dęba. Wilczarz chwycił rękę, w której błysnął nóż. I ścisnął palcami kościsty przegub ręki młodzieńca, przez co pozbawił go równowagi. Jeszcze chwila i nóż znalazł się w dłoni Wilczarza, a pechowy niedoszły zabójca zarył nosem w kurzawie podwórca. Szlochał i wydawał nieartykułowane jęki. Wen przykląkł obok. Przytrzymał jego rękę jednym z tych chwytów, które przy najmniejszym nieostrożnym ruchu mogą się skończyć pogruchotaniem kości.

Tymczasem Siarko odzyskał swoje zwykłe opanowanie i wrócił do pana. Wilczarz w świetle budzącego się dnia przyjrzał się, kto próbował go zabić. Attalik. Młody zakładnik, syn segwańskiego kunsza, który swego czasu pokonał chrobrą knezinkę.

I co z takim robić?

- Widzę, że Segwanie mają zwyczaj rzucać się na ludzi nie wiadomo za co - burknął, nie rozluźniając chwytu. - I bez uprzedzenia...

To było straszna obraza. Chłopiec zaczął się wić, chciał go uderzyć. Wilczarz wykonał niemal

niezauważalny ruch. Attalik szarpnął się, znowu pocałował kurz i przejechał po ziemi wolną ręką. Nie prosił o litość i nie wołał o pomoc. Dumny, bardzo dumny. Tyle że taki młody, samotny i głupiutki.

- Wstawaj - rzekł doń Wilczarz.

Attalik z trudem wstał, cały trząśnięty ze złości i upokorzenia. Wilczarz wcale nie miał zamiaru go wypuszczać. Trzymając chłopca lewą ręką, prawą otworzył wrota stajni i wprowadził do środka i Attalika i Siarka.

Młodzi pomocnicy koniuszego przerwali swoje prace i w osłupieniu popatrzyli na ochroniarza knezinki i na jego popłakującą, zgiętą we dwoje ofiarę. A przede wszystkim na wygiętą w niesamowity sposób rękę, za którą Wen prowadził Attalika.

Wilczarz w milczeniu wbił w belkę nad drzwiami okazały nóż, który zabrał Segwanowi. Ani słowem nic nie wyjaśnił, zaciągnął chłopaka do boksu, w którym zwykle stał Siarko. Co się tam działo, żaden z koniuchów nie widział. Z boksu dochodziły ich uszu tylko odgłosy klapsów. Ani chybi ktoś spuścił komuś spodnie i chłostał pasem po gołym tyłku.

Potem z boksu wyskoczył Attalik, cały mokry, wściekły i ze śladami łez na policzkach. Do jego twarzy i ubrania przykleiły się kawałki słomy i nawozu. Drżącą dłonią przytrzymywał drogie szarawary, z których wyciągnięto tasiemkę, a skórzany pas nabijany srebrnymi blaszkami - duma chłopca uważającego się za mężczyznę - w ogóle podział się nie wiadomo gdzie. Nad głową Attalika latał Gacek i wydawał odstrasające okrzyki.

W drzwiach młody zakładnik podniósł błyszczące od łez oczy na swój nóż, głęboko wbity w górną belkę. Żeby go wyjąć, trzeba było wzrostu Wilczarza. I jego siły. Attalik musiałby ustawić ławę na ławie albo - co jeszcze bardziej upokarzające - poprosić kogoś. Toteż nawet nie zwolnił kroku i popędził dalej, a stajenni wrócili do swoich zajęć. Attalik na pewno nie pobiegł na skargę, co do tego nikt nie miał wątpliwości.

\*

Nieco później Wilczarz zagadnął na dziedzińcu bojara Spryta, który wyszedł z domu drużyny wcześniej niż inni.

- Attalika, zakładnika, trzeba przypilnować, wojewodo.

- Mów! - nakazał Spryt.

- Śmierci będzie szukał - rzekł Wilczarz. -Co?

Wilczarz pokrótce opowiedział, jak młodzieniec próbował go napaść. Bojar najpierw z niedowierzaniem ściągnął brwi, ale po chwili namysłu skinął głową. Rzeczywiście, dla takiego prześwieconego woja jak Attalik zaatakowanie Wilczarza mogło się równać samobójstwu.

- I jak się z nim obszedłeś? - zapytał bojar, gorączkowo próbując sobie przypomnieć, czy widział tego ranka młodego Segwana, czy nie.

- Wychłostałem go lejcami.

Wilczarz nie zdziwiłby się, gdyby Spryt zaczął na niego krzyczeć i upominać, by przypomniał sobie swoje miejsce w szeregu, ale Prawy tylko pokręcił głową.

- Attalik jest synem kunsza, ochroniarzu. A kimże ty jesteś? Upokorzyłeś go...

Wen miał zamiar odrzec, że skoro tak dobrze urodzony człowiek ceni swój honor, to nie zawadziłoby mu pouczyć się, jak ma go bronić.

- Owszem, upokorzyłem - odparł. - Attalik świata poza knezinką nie widzi, wojewodo, i gotów zarzucić sobie stryczek na szyję tylko z tego powodu, że nasza władczyni nie darzy go uczuciem. Niech już lepiej mnie nienawidzi...

Spyt przez chwilę zastanawiał się nad słowami Wilczarza i nagle jego twarz rozpląnęła się w szerokim uśmiechu. On też się w życiu napatrzył na młodzieńców rozgorączkowanych i zapominających o rozsądku. Szczególnie kiedy w grę wchodziły sprawy sercowe. Co tu dużo mówić, czterdzieści lat temu Spyt był taki sam i jeszcze dobrze to pamiętał. Wiedział, że ukochana może dotknąć do żywego i na taką rozpacz i poniżenie nie ma lekarstwa. Dziewczyny przecież nie wywiesz na pojedynek. I nie ma takiej siły, która zmusiłaby ją do miłości. Prawdziwej miłości. Której nie da się kupić nawet najwspanialszymi podarunkami i której nie zdobędzie się przemocą... (Bojar wyobraził sobie, co by się stało, gdyby Attalik próbował siłą zmusić knezinkę do, powiedzmy, pocałunku, i jego twarz ponownie rozpląnęła się w uśmiechu).

Z mężczyznami jest inaczej. Bo jeśli mężczyzna zadał ci bobu, to wcale nie oznacza, że musisz się zaraz targnąć na własne życie. Poczekaj, dorośniesz i może jeszcze kiedyś dane ci będzie stanąć do pojedynku z nim jak równy z równym...

Gdy knezinką wyjedzie, Attalik będzie miał o czym rozmyślać. Syn kunsza wychłostany lejcami! Nie, na pewno o czymś takim nie zapomni!

Wilczarz przekonał się, że bojar zrozumiał, o co mu chodziło z tą chłostą. To dobrze. Ale nie czuł się na siłach, by przekazać słowami to, co obaj doskonale czuli.

- A gdybyś go, wojewodo, sam zaczął uczyć sztuki walki, to miał by się czym zająć - rzekł. - I jeszcze czegoś by się nauczył przy okazji...

\*

Pożegnanie knezinki Halirad pamiętać będzie długo.

Dla narzeczonej przygotowano przestronny kryty powóz. Można w nim było z powodzeniem położyć się i spędzić noc, a i odpoczywać w czasie dziennej jazdy. Powóz otwierał długi orszak. Ludzie wsłuchiwali się w łoskot jego kół po wymoszczonej drewnianymi bierwionami ulicy i podziwiali piękną snycerską robotę - boki wozu z długowiecznego marongowego drzewa pokryte były precyzyjnej urody wzorami. Powóz nakryty został pięknym skórzanym pokryciem, które nie bało się ani deszczu, ani słońca, ani śniegu. W wozie jechały na razie tylko stara piastunka i służki. Knezinka wolała dosiąść ulubionej klaczy. Siedziała w siodle, ale ani twarzy, ani nawet dłoni nie było widać zza obszernej jak obrus ciemnoczerwonej zasłony. Śnieżynkę prowadził za uzdę sam welimorski poseł, który szedł - na znak wielkiego szacunku - pieszo.

Trasa orszaku ulicami Haliradu wiodła z dala od pracowni chromego Warocha. Toteż Tilorn i Eurych zawczasu wypatrzyli sobie mały porośnięty trawą wzgórek, już za murami miasta, ale w pobliżu gościńca. Z tego wzgóreczka będą mogli przez dłuższy czas patrzeć na Wilczarza i nie

odrywać go od ważnych obowiązków...

Wilczarz wiedział, gdzie będą na niego czekać. A wyczuł ich obecność znacznie wcześniej, niż mógł rzucić okiem w ich stronę. Poczuł coś jakby dotyk. Niewidzialna ręka pogładziła go po policzku.

Kochamy cię, Wilczarzu. Bardzo cię kochamy. Zawsze będziemy o tobie pamiętać i na ciebie czekać. Wracaj DO DOMU...

Wilczarz podniósł głowę i - niech się dzieje, co chce - pozwolił sobie na dłuższą chwilę zatrzymać wzrok na wzgórkach, gdzie stało pięć ciemnych sylwetek na tle jasnego nieba. Neelith przytuliła się do Tilorna. Wilczarz jakoś nie znalazł okazji, by zapytać, z jakiej krainy wywodzi się mędrzec. A teraz taka okazja już się pewnie nie nadarzy. Eurych. Też zagadkowa sprawa. Niby z pochodzenia Arrant, a zachowaniem tak przypomina Tilorna, że można go wziąć za jego młodszego brata, który z uwagi na wiek młody jeszcze się nie oduczył chełpienia swoją uczonością...

Stary Waroch z wnuczkiem...

Wszyscy machali mu rękami, cała piątka.

Wilczarz poczuł, jak drgnęło jego serce, a oczy zaszyły mgłą. Zamrugał powiekami i pospiesznie rozpędził tę mgłę. Zupełnie jak wtedy, wiosną, kiedy kwitły czeremchy, a on, stojąc na skraju lasu, patrzył na swój rodzinny dom. I nie przypuszczał, że znów doświadczy czegoś podobnego.

Gdybym zabił Ludojada w dzień, nigdy nie spotkałbym tych ludzi. Dlatego że sam bym zginął. Zresztą pewnie i ich nie byłoby dziś wśród żywych. Ale przyszedłem nocą i oto teraz moja rodzina stoi na wzgórzach. Moja rodzina.

Którą Pani Ludzkich Losów znowu mi odbiera.

Ale postąpiłem tak, jak postąpiłem. I niczego nie żałuję. Bo czy ze mną, czy beze mnie - przecież żyją.

Oderwał wzrok od pięciu sylwetek na wzgórzach i z posępną czujnością przyglądał się tłumowi. Na swoich już nie patrzył, tym bardziej nie pomachał im ręką na pożegnanie. Jeszcze brakowało, by przegapić jakiegoś drania tylko dlatego, że ktoś, wystawcie sobie, i ochroniarzy czasem odprowadza. Jeśli ochroniarz dobrze wywiązuje się z obowiązków, to na swoje sprawy nie ma czasu.

Niekiedy to nawet dobrze.

\*

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że męczenie knezinki noszeniem ciężkiej zastony na twarzy przez całą drogę i zmuszanie jej do zachowania ścisłego postu byłoby zbyt okrutne. Bo czy to mądre, by przywieźć narzeczonemu zamiast pięknej dziewczyny jakiś zamorzony głodem cień?

I sprytni Solwenowie, którzy zawsze pamiętali, na jakim świecie żyją, znaleźli w swojej Prawdzie małą furteczkę. Mądrzy czarownicy przypomnieli, że w ich narodzie wiele pokoleń wstecz istniało wierzenie, że do świata umarłych można dostać się po prostu na piechotę, jeśli długo idzie się w jedną stronę.



Teraz oczywiście każdy doskonale wie, że ktoś, kto chciałby się przekonać o prawdziwości tego wierzenia, wcześniej czy później doszedłby do osad Wenów, Segwanów, Welchów albo Narlaków. Ale starą prawdę przypomniano nie po to, by ją podważyć.

Kiedy orszak oddalił się od Haliradu o dzień drogi, knezinka mogła zdjąć zasłonę i nie przestrzegać postu. Dzięki starym wierzeniom można było teraz udawać, że rzekoma umarła znajduje się na tamtym świecie i nie musi już ani głodować, ani zasłaniać twarzy. Zamiast ciężkiej zasłony knezinka nosiła teraz leciutką przezroczystą siateczkę, specjalnie udzierganą dla niej z cieniutkiego halisuńskiego jedwabiu przez najlepsze koronczarki. Znów wdzieje zasłonę, kiedy do Bramy Północnej pozostanie dzień drogi.

\*

Jeszcze w mieście, na kilka dni przed odjazdem, Wilczarz widział Sprytą i Promienia pochylonych nad mapą. Zdołał dostrzec, że na mapie zaznaczone były Halirad, Brama Północna i wszystko, co było pomiędzy nimi. Czerwona nitka rozpięta pośrodku mapy znaczyła drogę, którą mieli pokonać wędrowcy. Szczegółów już nie udało mu się zobaczyć. Kiedy Promień obejrzał się i spostrzegł zbliżającego się ochroniarza, natychmiast zaczął zwijać pergamin.

- Ja też chciałbym rzucić okiem, wojewodo - zwrócił się Wilczarz do Prawego.

- Do ciebie należy łamanie karku pięścią - nieprzyjaźnie ofuknął go Lewy. - A wskazywanie drogi zostaw tym, którzy mają rozum.

Wilczarz nic nie odpowiedział.

- Według mnie i tak będziesz miał pełne ręce roboty - odburknął Spryt.

- Rzecz dotyczy pani, więc droga nie powinna być dla mnie tajemnicą. - Wilczarz starał się mówić bardzo spokojnie:

- Co za mucha uprzykrzona! - Promień się skrzywił. - Brzęczy i brzęczy, przegnać jej nie można. Pokaż takiemu mapę, a zaraz pole ci i sprzeda rozbójnikom...

Wen powziął pewne mętne, ale bardzo niedobre podejrzenie. Tymczasem Spryt burknął:

- Daj spokój, odejdz.

Wilczarz zdołał już poznać starego woja i wiedział, że Prawy jest po jego stronie, ale nie zamierza wdawać się w głupie spory z Promieniem, woli wyczekać na odpowiedni moment i rozwiązać sprawę polubownie. Odszedł zatem, nie odezawszy się już więcej ani słowem. Następnego dnia podszedł doń młody niewolnik Arrant o delikatnych palcach umazanych farbami i oczach zmęczonych całonocną pracą.

- Przysłała mnie wojewoda Spryt, panie. - Nieśmiało się skłonił i podał Wilczarzowi kawałek wyprawionej skóry. Wen rozwinął rulon. To była mapa, taka sama, tylko w nieco mniejszej skali. Niewolnik ponownie się pokłonił i chciał się oddalić, ale Wilczarz go zatrzymał.

- Nie jestem zbyt biegły w piśmie, młodzieńcze. Popraw mnie, jeśli coś pomyłę.

I powoli odczytał po kolei wszystkie nazwy, jakie pojawiały się na ich szlaku. Młody niewolnik śledził ruch jego palca, z rzadka podpowiadając. Aż do napisu umieszczonego w rogu na dole mapy: "Podarowane Wenowi Wilczarzowi na moje polecenie. Bojar Spryt, syn Milovana". Pod

napisem znajdowała się starannie wycięta dziurka, przez którą przewleczono trójkolorowy pleciony sznureczek. Na sznureczku powisała świeżutka, jeszcze połyskująca srebrzyście pieczęć.

Wilczarz wręczył posłańcowi monetę. Niewolnik rozpromienił się z radości i co prędzej pobiegł, by włożyć ją do troskliwie ukrywanej skarbonki. Jak wszyscy niewolnicy, którzy parali się rzemiosłem, i ten rysujący mapy zbierał srebro na wykup. Wen natychmiast zaczął szukać bojara Spryta, by mu podziękować.

Podziękowań Spryt nie chciał przyjmując, a potem srogo pogroził Wilczarzowi palcem.

- Uważaj i się tą mapą nie chwal. Różnie bywa. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem - odparł Wilczarz. - Uczyni mi ten zaszczyt, wojewodo, i zobacz, czy ten, który rysował mapę, nie pomylił tu czego...

Teraz ta mapa, nawoskowana przez Warocha dla ochrony przed wilgocią, jechała w specjalnym futerale, który Wilczarz powiesił sobie na szyi i schował pod kolczugą. Dopóki nie będzie potrzeby, nie miał zamiaru do niej zaglądać. A i tak początkową część trasy znał na pamięć.

\*

Utrzymywała się piękna, słoneczna pogoda. Mijali przepiękne okolice. Było spokojnie, tu rozbójnicy nie grasowali. Życie uczestników wyprawy powoli układało się według swoistego rytmu. Całą drogę mieli jeszcze przed sobą. Przy odrobinie chęci można było w ogóle zapomnieć, dokąd zmierzają. Nawet knezinka czasami śmiała się i dowcipkowała. Zupełnie jak wtedy, wieczność temu, kiedy razem z Wilczarzem i braćmi Dobrymi jeździli razem nad Świątynię. Uśmiech dodawał Helionie uroku. Wilczarz od czasu do czasu chwycił skierowane ku niej spojrzenia welimorskiego posła, spojrzenia przepelnione ojcowską dumą. Kto jak kto, ale poseł na pewno nie mało nasłuchiwał się o knezince<sup>1</sup> od mieszkańców Haliradu, i od samego knezia, ale dopiero teraz zaczynał w pełni zdawać sobie sprawę, że wiezie swemu panu prawdziwy skarb, a nie po prostu piękną córkę władcy sąsiedniego kraju.

I jeśli Wilczarz choć trochę znał się na ludziach, to mógł w oczach Posła wyczytać, że syn Ludojada zasługuje na takie szczęście...

*Szukamy spełnienia marzeń przelotnych Jak dzieci, co pragną po prostu zabawy, A tego, co zrodzą nasze działania, Nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Później szlochamy, zgarbieni rozpaczą: "O Losie! Co robisz, co robisz ty z nami!". Nie chcemy pamiętać, że sznurek na szyję upletliśmy sobie własnymi rękami.*

*Za wszystkie swe czyny będziesz odpowiadał, Nieprawdy nie schowasz w zakamarkach domku, Bo grzech popełniony przez ciebie dzisiaj Po latach uderzy znienacka w potomków. Pamiętaj, nie ciskaj mocnymi słowami, Nie targuj się próżno z bogami. Bo przecież ściągnąłeś złe Ucho na kark Własnymi, własnymi rękami.*

*Nie czekaj, że Los się zmiłuje nad tobą, I nie licz, że gorycz twe życie ominie, Nie czekaj, że razem ktoś z tobą zapłacze, Walcz do ostatniego tchnienia, bo zginiesz. I może twój wnuk, który nie znał dziada, odgrodzony od niego długimi wiekami, Osiągnie zwycięstwo, choć małe, nieduże, swoimi, swoimi rękami.*

## **Rozdział 10**

### **Cudza narzeczona**

Siódmego dnia orszak knezinki, który miał już za sobą kilka przepraw przez rzekę, dotarł do pierwszego z zaznaczonych na mapie punkcików - do osady Krynica.

Nazwa pohostu była rdzennie solweńska, ale zarówno w samej osadzie, jak w okolicznych wsiach żyli przeważnie Welchowie. Wilczarz wiedział o tym i nie zdziwił się, kiedy zza zakrętu z pokrzykiwaniem wypadło kilka rydwanów zaprzęgniętych w pary rozbrykanych koni, dobranych pod względem maści. Welchowie byli znani jako znakomici koniarze, ale prawie nigdy nie jeździli wierzchem. Kiedyś w dawnych czasach uważali, że wierzchem jeżdżą tylko tchórze, którzy uciekną z pola bitwy. Od tamtej pory ich poglądy uległy zmiękczeniu, ale rydwan pozostał dla welskiego woja rzeczą bardziej godną niż siodło.

Straż przyboczna knezinki złapała za oszczepy, lecz zaraz opuściła broń: obok rydwanów spokojnie jechało dwóch strażników wysłanych w charakterze posłańców. Wszyscy zresztą oczekiwali spotkania z Welchami, z tym że nie tak prędko, za parę wiorst.

W pierwszym rydwanie stał rosły młodzieniec, rówieśnik Wilczarza, może odrobinę młodszy, przystojny i pięknie zbudowany, z przepaską z paciorków na gęstych jasnych włosach. Welchowie zdobili i znaczyli swoje rydwany tak jak inni ludzie ubrania. W ich Prawdzie zapisano, że podczas bitwy wróg powinien od razu zobaczyć, z kim ma do czynienia. Wilczarz przyjrzał się wypukłym tarczom z boku pędzącego naprzeciw rydwanu i stwierdził, że na spotkanie knezinki wysłany został trzeci, najmłodszy syn miejscowego namiestnika, w języku Welchów nazywanego rigiem. Ze znaków na rydwanie odczytał ponadto, że jasnowłosy chłopak pomimo młodego wieku brał udział w bitwie na Trzech Wzgórzach i nawet przywiózł stamtąd dwie głowy.

Trzeba przyznać, że dowiedzieć się tego wszystkiego ze znaków na rydwanie było o wiele łatwiej, niż mozolnie składać literkę do literki w książce.

Potem uwagę Wena przykuł woźnica kierujący zaprzęgiem pięknych skarogniadych ogierów. Najpierw Wilczarz wziął go za wyrostka, może siostrzeńca lub bratanka tego, którego wiózł w rydwanie. Podziwiał kunszt powożenia zaprzęgiem, sposób, w jaki woźnica panował nad końmi. Kiedy trzeba było zatrzymać rydwan, młodzik mocno i płynnie ściągnął wodze, odchylając się do tyłu i wyginając łokcie. Jego wyszywany kaftan przylgnął do ciała...

Dziewczyna!

Konie chciały biec dalej, upajać się biegiem, ale posłuchały komendy, poddały się woźnicy. Zatrzymały się i zamarzyły kopyto w kopyto. Dobra szkoła. Chcesz czy nie chcesz - zachwył człowieka ogarnia.

Młoda dziewczyna powożąca zaprzęgiem ukłoniła się knezince, ściągnęła z głowy skórzaną czapeczkę. Włosy miała ciemnomiedziane, falujące i błyszczące. Młodzieniec wyskoczył z rydwanu i ruszył przed siebie, w wyciągniętej ręce niósł trzy metalowe kopie z grotami

skierowanymi w dół. To znak pokoju, pokory i miłości. Zresztą gdyby nawet spróbował się nimi posłużyć, nie czekałoby go tu nic poza śmiercią. Trzech ochroniarzy siedziało tuż obok knezinki w siodłach, a każdy z nich doskonale wiedział, co ma robić.

Syn starosty podszedł do knezinki, przykląkł i złożył kopie pod kopytami białej Śnieżynki. W tym momencie z dwóch pozostałych rydwanów doniósł się głos trąb z nakładkami w kształcie końskich łbów, dźwięk wydobywał się z otwartych miedzianych pysków. Młodzieniec się wyprostował. Welchowie potrafili pięknie przemawiać i zapewne miał zamiar przemówić, ale knezinka go uprzedziła.

- Bądź pozdrowiony, dostojny Ketarnie, synu Kesana i Gorrach, na ziemi twoich przodków! - powiedziała w języku Welchów.

Nigdy nie przywiązywała wagi do tytułów i konwenansów, uważała, że nie poniesie żadnego uszczerbku na honorze wódz, który pierwszy zwróci się z pozdrowieniem do kogoś niższego w hierarchii. Kątem oka Wilczarz widział, jak Promień skrzywił cienkie wargi. Dobrze przynajmniej, że się nie odzywał, z wyrazem nudy w oczach popatrując ponad głowami innych.

-I ty bądź pozdrowiona, szlachetna barriono, córko mądrego Gluzda i odważnej Lubimy - odpowiedział Ketarn. Widać było, że uroczyste słowa, przygotowane na okoliczność powitania knezinki, jeszcze płaczą się mu na języku, przeszkadzając w prowadzeniu rozmowy. Wilczarzowi spodobał się jego głos: dźwięczny, głęboki, głos wodza wojów, myśliwego i śpiewaka.

- Czy dom twego ojca omijają troski, Ketarnie? - kontynuowała dialog knezinka Hellona. Córka władcy doskonale wiedziała, jak pro wadzić rozmowę z Welchem.

Ketarn odpowiadał w podobnym duchu:

- Z woli Trójroga zbiory mieliśmy tego roku dobre, dzikiego zwierza pełne są nasze lasy, a i w naszych tabunach narodziło się wiele źrebiąt. Mój ród prosi cię, byś zechciała zażyć naszego dostatku i radości, o szlachetna barriono.

Hellona, córka Gluzda, skłoniła głowę nakrytą srebrzystą jedwabną siateczką - miły gość, który zawitał z okazji święta.

- Zaiste nie odmówię. Radam zaznać wesela pod dachem twego rodu, Ketarnie, jako że droga czeka mnie jeszcze daleka, a konie bardzo są zdrożone.

Welch uśmiechnął się jak mały chłopiec.

- Jeśli twoja klacz zmęczona jest drogą, racz mnie zaszczyścić i po jedź mym rydwanem. Sam będę powozić.

- I na to przystanę - odparła knezinka.

Wilczarz musiał patrzeć, jak obcy człowiek zdejmuje knezinkę z siodła, a potem z szacunkiem podsadza przy wsiadaniu do rydwanu. Gdyby Hellona spytała go o zdanie, poprosiłby, aby strzegła się nieokiełznanej zuchowatości, jaka rozpiera syna starosty. A już na pewno odradziłby jej jazdę z takim woźnicą, na dodatek pojazdem ciągnionym przez nieznanne konie. Ale knezinka nie potrzebowała jego rad. Przez chwilę zdało mu się nawet, że nie miałyby nic przeciwko temu, by dokuczyć jemu i bliźniakom. Przede wszystkim jemu. Tylko za co? Przebiegał w myślach wszystkie

dni minionego siedmiodnia, kiedy i on, i bracia Dobrzy dniem nie spuszczały jej z oka, a nocą kolejno podsypiali przy kołach jej powozu albo pod skórzany pokryciem. W mniemaniu Wilczarza nie stało się nic, do czego mogłaby się przyczepić. Zresztą na pewno by powiedziała, gdyby naprawdę była z jakiegoś powodu niezadowolona...

Przypomniał sobie ich przejażdżki nad rzekę. Przez cały czas wypytywała go o to i owo. A od wyjazdu z Haliradu nie rozmawiała z nim ani razu. Może narzeczonej nie wypada rozmawiać z ochroniarzem na oczach welimorskiego posła?

Tymczasem ruda dziewczyna ustąpiła miejsce woźnicy Ketarnowi, żwawo wskoczyła do drugiego rydwanu i usiadła w nogach pasażera.

Wilczarzowi, który przywykł mieć baczenie na wszystko, nie umknęło spojrzenie, jakim odprowadzał ją Promień.

Kiedy Ketarn ruszył zaprzęgiem skarogniadych, Wen odetchnął z ulgą - mógł się nie modlić do bogów, by dodały kopytom Siarka nadzwyczajnej rącości. A może było inaczej, może bogowie jak zawsze sami lepiej wiedzieli, co czynić. Doskonale wyszkolone konie Welchów dumnie wygięły szyje i ruszyły stępa, równym tempem stawiając pomalowane na biało kopyta.

\*

Dwieście lat wstecz zamieszkanymi przez ludzi ziemiami wstrząsnęła wielka wojna, którą do tej pory nazywano ostatnią. Nie dlatego że od tamtej pory na świecie nie było wojen, lecz wtedy działy się takie rzeczy, że ludzie doszli do wniosku: oto już nasze dni ostatnie, nadchodzi koniec świata.

A zaczęło się tak: W Wiecznym Stepie, położonym pomiędzy Halisunem a Sakkarem, pojawił się naród zdesperowany, zły i gotowy rzucić się do gardła każdemu, kto ośmieli się podważyć jego prawo do tego miejsca pod słońcem. Naród ten nazywał się Meore i zjawił się bez żadnego uprzedzenia i znaków na niebie. Po prostu pewnego wieczoru ku wapiennym urwiskom, które od dnia narodzin świata trwały na końcu Wiecznego Stepu, przyplłynęła nieprzeliczona rzesza trzcinowych łodzi pod żaglami uplecionymi z twardych łykowatych liści. Na oczach zdumionych mieszkańców stepu z łodzi wyskoczyły na brzeg tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci. Do miejscowych mieszkańców, którzy nigdy nie widzieli ich przedtem na oczy, przybysze zwracali się tak jak biedny człowiek zwraca się do swojego bogatego sąsiada, spostrzegłszy, że tamten przez całe życie zawłaszczal coś, co należało się jemu.

Segwanów powoli, ale nieubłaganie wypierały z ich siedlisk rozrastające się lodowce, tymczasem naród Meore w ciągu jednej godziny został wykurzony z domostw przez wybuch ognistych gór. Katastrofa, jak sobie prędko wytłumaczono, była spowodowana przez intrygi sąsiadów, którym lepiej się wiodło. Którzy przez niedopatrzenie Niebios cieszyli się nieprzebranym bogactwem!

Naród Meore nie potrafił wytapiać rudy ani nie miał pojęcia o kole. Za to miał oczy płonące nienasyceniem. Toteż już następnego dnia pod naporem tego niezbyt liczego plemienia stepowi hodowcy bydła ustąpili. Musieli szukać nowych pastwisk i wodopojów dla swoich stad, ale szybko się okazało, że wokół najmniejszych nawet źródełek już żyli ludzie. Tak rozbiegają się kręgi po

wodzie, kiedy ciśnie się w nią kamień. Plemię za plemieniem zaczęło naruszać ustanowione przez stulecia granice. Niektóre narody załatwiały spór polubownie, odstępując część swojego terytorium. Inne chwytaly za broń, falę wojny trudno było zatrzymać - przecież pokonanego najeźdźcę trzeba ukarać i ograbić. A zwycięstwa w boju, jak powszechnie wiadomo, rozgrzewają krew i pchają do nowych bitew.

Ostatnia Wojna podzieliła i przemieszała narody tak, że aż trudno uwierzyć. Od tamtej pory w Krynicy mieszkali zachodni Welchowie, którzy zdążyli podzielić się na dwa klany - Welchów z łąk i Welchów z lasów. Do mieszkańców łąk należały ziemie nad Siwurem, dopływem Świątyni - to właśnie tam, na łąkach zalewanych przez wody rzeki, pasły się ich słynne konie. Welchów leśnych żartobliwie nazywano błotnymi; ich przodkowie, w obawie przed nowymi najazdami wroga, woleli opuścić otwarte przestrzenie i wybrali głuche leśne ostępy. Mieszkali przede wszystkim na torfowiskach, budowali osady na sztucznie usypanych kamiennych wyspach albo na palach. Wydobywali z bagien żelazo i uważani byli za znakomitych kowali i bednarzy. Welchowie z łąk z dawien dawna mieli Welchów z lasów za tchórzy siedzących po domach, natomiast Welchowie z lasów spoglądali z góry na ziomek z łąk i nazywali ich pyskaczami. Spory często rozstrzygano w bójkach. Ale kiedy pięć lat temu gospodar Gluzd przysłał do Krynicy strzałę bojową, Welchowie zarzucili swoje waśnie i nie roztrząsali przeszłości. Wystawili wspólny oddział i powrócili z tarczą.

Coroczną daninę dla haliradzkiego knezia dumni mieszkańcy Krynicy traktowali nie jak poniżający haracz, ale jak zobowiązanie knezia do stawania w ich obronie. Tak właśnie powinno być pomiędzy poddanymi a władcą.

Dzięki temu knezinka znała imiona i riga Kesana, i jego żony, i całego ich potomstwa. Czuła się tu jak w gronie starych przyjaciół.

Krynica położona była nad wielkim okrągłym jeziorem, przez które niósł swoje wody wielki Siwur nawadniający równinę. Od południowej strony rozlewiska długim językiem wrzynał się w łąki wysoki, stronty ostaniec. Przy owym ostańcu założyli swe siedlisko przybyli niegdyś w te strony Welchowie, tu pojednali się też z Solwenami, którzy mieszkali w tym miejscu od zarania dziejów.

Ledwie oczom gości ukazały się jezioro i osada, z rydwanów znowu ozwały się miedziane trąby bojowe. Wkrótce potem uszu jadących dobiegły okrzyki - to na spotkanie wybiegli rozradowani mieszkańcy. Z przodu psy i dzieciarnia, za nimi dorośli, a w środku majestatycznie sunął rydwan samego riga.

Konie Ketarna zastrzygły uszami i chciały wyrwać do przodu, lecz syn starosty natychmiast poskromił je lekkim ruchem rąk.

- Wielki jest twój kunszt, potomku znakomitego rodu - pochwaliła go spostrzegawcza knezinka. Po chwili namysłu dodała: - Ale dziewczyna, która powoziła tym zaprzęgiem przed tobą, radziła sobie tak samo doskonale. Czy będę miała okazję dowiedzieć się, kim ona jest?

Miłe polechtany Ketarn odpowiedział skwapliwie:

- To Ane z osady na bagnach, córka Fachtny i Ledne.

Jego twarz i szyja były pięknie opalone, ale Wilczarz dostrzegł rumieńce, jakie pojawiły się na

policzkach młodzieńca. Znał przyczynę. Welchowie wprowadzali do domu narzeczoną, "kiedy trzyletni jabłkowy rumak rozbija kopytem na kałuży lód". Knezinka, która jechała na własne wesele, omal nie trafiła na inny ślub, o ileż bardziej radosny.

Starosta Kesan, rostry, kędzierzawy, jak wszyscy Welchowie miał dokładnie wygolony podbródek. Wspaniałe wąsiska opadały mu na pierś. Był bardzo podobny do Ketarna. Młodzieniec będzie tak wyglądał, kiedy sam dochowa się dzielnych synów. Obok Kesana na rydwanie stała jego małżonka, a po bokach maszerowali dwaj mężczyźni w pełnym rynsztunku, z włóczniami i długimi tarczami bojowymi. Dziedzice. Duma matki, podpora ojca.

Rig powitał knezinkę i jej świtę niemal tymi samymi słowami, które wygłosił Ketarn. I podobnie jak syn nie uczynił tego, co było przyjęte u Solwenów: nie zaczął przeproszać za swą rzekomo skromną gościnę. Pod tym względem Wenowie i Welchowie byli do siebie podobni. I jedni, i drudzy uważali, że człowiekowi, który wszedł pod ich dach, gospodarz ma okazać szacunek, a nie bogactwo, zatem nie ma powodu, aby prosić o wybaczenie.

Zresztą w osadzie widać było dostatek. Knezinka dostała do swej dyspozycji osobną siedzibę - przestronny dom, okrągły spichlerzyk pobudowany na palach dla ochrony przed myszami, łaźnię nad samym brzegiem jeziora. Rezydencja wyglądała na świeżo zbudowaną, solidną, czyściutką. Nawet słoma na dachu nie zdążyła jeszcze stracić blasku świeżości, błyszcząca jak złoto.

- Tego dnia, kiedyś ty, banriono, opuściła swój dom, jeszcze kładliśmy ostatnie wiązki - wyjaśnił rig z uśmiechem. - Dopierośmy wczoraj z rana skończyli urządzenie domu. Ty będziesz pierwszą jego mieszkanką. Cóрко Gluzda, uczyni mi ten zaszczyt i pobłogosław, aby i inni, którzy przyjdą tu po tobie, nie zaznali tu smutku.

- A kto tu zamieszka po wyjeździe siostry? - spytał Promień.

- U nas w osadzie taki mamy zwyczaj, że gdy jesień nastaje, urządzamy zaślubiny, wojewodo - odparł Kesan i natychmiast zmienił temat. Wilczarz dosłyszał w jego głosie nutki pewnej ostrożności, może nawet obawy.

\*

Czego wędrowiec potrzebuje po długiej podróży? Odpoczynku, jedzenia i picia, ale przede wszystkim - kąpieli. Słudzy nosili rzeczy do domu, a stara piastunka z jedną z dziewcząt poprowadziły knezinkę do łaźni - będą odświeżać jej ciało pachnącymi wiązkami różeg.

Ochroniarze znaleźli sobie miejsce z dala od łaźni, ale ustawili się tak, że nikt nie mógł bez ich wiedzy do niej podejść.

Strażnicy i ludzie Promienia wyprzęgali konie, rozbijali za ogrodzeniem namioty, ściągali nieświeże koszule, przeklinając i śmiejąc się, polewali się wzajem chłodną już, jesienną wodą, od której przez skórę przechodziły fale gorąca. Miejscowi chłopcy chodzili za postawnymi wojami krok w krok, chętnie pomagali im w urządzeniu się, prosili, by można im było potrzymać kolczugę, ze znajomością rzeczy oglądali i głaskali konie. Nieco starsi młodzieńcy nie bez zazdrości popatrywali na przybyszy. Dzieci i dziewczęta częstowały mężczyzn piwem i domowymi wypiekami, goście odwzięczali się, rozdając specjalnie na taką okazję zachowane haliradzkie pierniki. Niektórzy



ludzie ze świty knezinki - zwłaszcza Welchowie - mieli tu przyjaciół, a nawet rodziny, toteż ludzie z oddziału welchińskich strażników poszli nocować do swoich.

Knezinka jeszcze zażywała kąpieli, kiedy Wilczarz spostrzegł idącego ku nim ścieżką Ketarna.

- Dobrze wam tu siedzieć, ludzie banriony - rzekł syn riga i przy siadł obok, lekko podkurczywszy skrzyżowane nogi.

Welchowie nieszczególnie poważali ławeczki i siedziska, od małego uczyli się siedzieć na podłodze, na podściółce albo skórach. Bracia Dobrzy natychmiast zwrócili uwagę na kindżał, który młodzieniec miał przytroczony do pasa. Połączana rękojeść ozdobiona była figurką człowieka wznoszącego ręce nad głową. Człowiek jak gdyby siedział na ostrzu nity na pniu drzewa. Ketarn nie ukrywał, że jest dumny z pięknej broni. Uznał Wilczarza za dowódcę całej trójki i zwrócił się do niego:

- Jesteś na pewno wielkim wojownikiem i pochodzisz ze znakomitego rodu, skoro nie odchodzisz od pani na krok. Wybacz, ale nigdy nie widziałem cię w komnatach, w których uczują wasi witezie. Jak cię zwać?

Wen odpowiedział ze spokojem:

- Ludzie zwać mnie Wilczarz. Nie jestem witeziem. Pani zapragnęła mnie uczynić swym ochroniarzem, tylko dlatego jestem cały czas przy niej.

- Twoją twarz zdobią szramy - mówił dalej Ketarn. - Czyś wiele głów przywiózł z pola bitwy na Trzech Wzgórzach?

- Nie walczyłem w tej bitwie, synu riga - odparł Wilczarz. Sądząc po wyrazie twarzy młodego Welcha, dzielił on ludzi na dwie grupy, między którymi nie było równości: na tych, którzy bili się w wielkiej bitwie, i tych, którym nie było dane tam być. Ci ostatni nie mogli na wet marzyć o tym, że zasłużą na jego szacunek.

- A ja myślałem, że jesteś bohaterem - wyrwało się młodzieńcowi.

- Nie wszyscy mogą być bohaterami - tak samo spokojnie odpowiedział Wen. - Dobrze, że choć ty powróciłeś jak bohater z trofeami i głowami wrogów. A czy u was nie jest przyjęte, że najmłodszy syn zostaje w domu, by go bronić w razie niebezpieczeństwa?

Ketarn skinął głową.

- Tak, rzeczywiście tak jest. Ale mój ojciec powiedział, że dla mężów z naszego rodu to hańba zostać przy życiu, kiedy może zginąć cały kraj i jego najlepsi ludzie. A więc też jesteś najmłodszym synem i sie działaś z matką w domu? Albo... jadłeś chleb jakiejś szacownej niewiasty?

Kiedy rozgrywała się bitwa na Trzech Wzgórzach, Szarego Psa dzieliły jeszcze miesiące od pojedynku, podczas którego zyskał imię Wilczarz.

- Byłem daleko - rzekł Wilczarz.

Ketarna zawołał rudowąsy Mal-Gona, dowódca oddziału Welchów.

- Chodź tu, synu riga!

Ketarn obejrzał się na niego, ale nie ruszył się z miejsca.

- Jestem starszy od ciebie, a mój ród nie jest gorszy od twego - warknął Welch z Haliradu. - Do

kogo mówię: podejdź no tu!

To zabrzmiało władczo. Młody Welch uznał, że lepiej będzie wstać i podejść. Mal-Gona odciągnął młodzieńca na stronę i zaczął mu coś ostro wyrzucać. Wilczarz nie słyszał ich rozmowy, ale jego uszu dobiegło słowo "Arkadneil".

- Wilczarzu, a czy brałeś udział w prawdziwej bitwie? - spytał go Dobrobor.

Wen uśmiechnął się. Chłopcy rozpaczliwie chcieli, żeby ich nauczyciel był bohaterem.

- W prawdziwej to znaczy w jakiej? - spytał.

- No... - zająknął się młodzik. - To znaczy, kiedy wojsko... dużo ludzi...

- Zdarzało się - odparł Wilczarz.

- I... jak było? - z żarem zapytał Dobrobor. Wilczarz wzruszył ramionami.

- Strasznie.

Bliźniacy spojrzeli po sobie. Następne pytanie zadał Dobrosław.

- A ile miałeś lat, kiedy po raz pierwszy zabiłeś wroga? Dobrosławowi nie dane było jeszcze pozbawić kogokolwiek życia.

Uważał, że to powód do wstydu.

- Dwanaście - odparł Wilczarz.

\*

Wieczorem odbyły się wyścigi rydwanów.

O tym, że takie zawody urządzano nierzadko, świadczył specjalnie wytyczony tor biegnący po okręgu, obwiedziony wałem ziemnym. Ziemia była tu twarda jak kamień - ubiły ją końskie kopyta i wiele kół, które po niej przemknęły. Gdyby toru przestano używać, jeszcze przez kilka lat nie wyrosłaby tu trawa.

Bliźniacy nigdy nie widzieli welchińskich wyścigów i Wilczarz postanowił dać im wolne. Mogli iść obejrzeć widowisko i gwizdać razem z tłumem zgromadzonych. Gdyby im nie pozwolił, braciom trudno byłoby poskromić ciekawość, a z takich ochroniarzy tyle pożytku co z dziurawego dzbana.

Wilczarz nie przepadał za wyścigami. Stał przy honorowym siedzisku knezinki, założywszy ręce na piersi, i było mu wszystko jedno, co Welchowie powiedzą na temat jego kolczugi wystającej z rękawów skórzanej kurtki.

Już rozbrzmiały trąby, już z miejsca wyrwały trzy rydwany. Konie, podniecone tak samo jak powożący, pędziły co sił. Z rydwanów zdjęto tarcze mające za zadanie osłaniać woja podczas bitwy przed uderzeniami włóczni i strzałami. Zostały tylko maleńkie podesty, nie większe od tarczy. Zmieścić się na nich mógł jeno woj i powożący. Nie lada wyczynem było ustać na takim skraweczku i nie zwalić się pod koła rywali. Ale nieustraszonym woźnicom jeszcze tego było mało - wskakiwali bosymi, chwytnymi: nogami na sam dyszel i biegali po nim od haka do osęki, głośno wykrzykując ponaglenia koniom prosto w ucho. Welchowie z Krynicy nie używali biczów. Ludzie, którzy czcili Kapłonę, boginię koni, uważali, że święte zwierzę samo wybiera, komu ma służyć. A zatem do pracy należy go nie zmuszać, lecz zachęcać pieśczętą i miłością.

W głośne okrzyki widzów wmieszał się chichot, kiedy za dorosłymi końmi na tor wyskoczył jakiś

nieposkromiony źrebak.

- Będzie dobrym koniem bojowym - z uśmiechem orzekł rig, zwracając się do knezinki, któraś siedziała obok.

Zajęty tłumem widzów Wilczarz prawie się wyścigom nie przyglądał. Dopiero kiedy zwycięzca zawodów, spieniony nie mniej niż jego rumak, podszedł do honorowych miejsc starszyny, Wilczarz spostrzegł, że to nie zwycięzca, ale zwyciężczyni. Rosła, dorodna, szarooka dziewczyna z wielką szkopa włosów czarnych jak skrzydło kruka, przyciętych do ramion, prawie po męsku. Welchowice z łąk nabrali tego zwyczaju w czasach Ostatniej Wojny, kiedy ich dziewczęta, stając w obronie przyszłości narodu, sięgały po broń na równi z chłopcami.

Wilczarz patrzył na młodą Welchinkę odbierającą z rąk knezinki srebrną koronę ozdobioną zieloną emalią - robotą mistrzów z Haliradu - i który to już raz nie mógł się nadziwić nieskończonej różnorodności typów dziewczęcej urody. Przypomniawszy sobie Neelith i próbował w myślach postawić ją obok tych dwóch dziewcząt. Dzika kotka. Łabędzica. I ta Welchinka jak sokół. Czarnowłosa piękność łatwo było wyobrazić sobie w kolczudze i w hełmie, z kopią w silnej dłoni. Dumna, mocna, śmiała. Bez wątpienia mogłaby obronić siebie i innych. Taka chciałaby być knezinka, ale zapewne nigdy nie będzie.

Zwyciężczyni - jak gdyby podsłuchiwała jego myśli - przycisnęła mokre kędzioły otrzymaną właśnie koroną, odwróciła się do współplemieńców i nagle wydała z siebie dźwięczny okrzyk. Tłum podchwycił go, a konie stojące w zaprzęgach odpowiedziały rzeniem.

No tak, przeszło przez myśl Wilczarzowi. Kobieta powinna robić to, co się jej najbardziej podoba. Ale jednak głowę pod topór powinien podstawić mężczyzna.

Znowu ruszyły do biegu trzy rydwany. Tym razem zwycięstwo odniósł Ketarn. Wilczarz byłby bardzo zdziwiony, gdyby syn riga komukolwiek pozwolił się wyprzedzić. Narzeczony musi być najlepszy we wszystkim i najlepszy ze wszystkich. W oczach ogień, a za plecami skrzydła. Jeśli na jego drodze wyrosnie góra - górę przeniesie, żeby tylko zasłużyć na uśmiech przyszłej żony.

Knezinka po krótkiej naradzie z rigiem i Ketarnowi wręczyła w nagrodę kobiecą ozdobę. Był to naszyjnik z koralami granatowych, czerwonych i połączonych, wykonanych w pracowni mistrza Osteja. Ketarn odebrał nagrodę i w geście triumfu potrząsnął nią nad głową, pokazując mieszkańcom osady. Wiadomo, czyją szyję ozdobi dziś wieczorem wspaniała kolia.

- Banriono, Jelono, córko Gluzda - ozwał się śmiało Ketarn.

- Czyż żaden z twoich ludzi nie zechce popróbować szczęścia i zmierzyć się z nami w jakimkolwiek kunszcie? Może twój ochroniarz znużył się już odgradzaniem cię od przyjaciół?

Patrzył przy tym Wilczarzowi prosto w oczy. Rig się zasępił, nie podobała mu się zbyt śmiałość syna, ale knezinka też obejrzała się na Wena.

- Nie chciałbyś rozprostować kości? - spytała.

- Nie, pani, nie chcę - odparł z niezmaconym spokojem.

Ketarn zmierzył go spojrzeniem, które jasno mówiło, że po człowieku siedzącym w domu, kiedy inni walczą, nie można się spodziewać innej odpowiedzi. I odszedł.

- Moja siostra wzięła sobie za ochroniarza woja, który nie dba o swój honor - mruknął Promień siedzący po lewej ręce starosty.

"Za to troszczy się o moje zdrowie i życie" - mogłaby odpowiedzieć knezinka, ale nie powiedziała nic podobnego.

Zapewne też uznała, że niezbyt rwący się do walki ochroniarz nie przydaje jej w oczach poddanych splendoru - pomyślał Wilczarz.

Ale tego też nie wypowiedziała na głos.

\*

Wieczorem odbyła się uczta w okrągłym, pokrytym kosmatą słomą domu starosty. Na podłodze z ubitej gliny rozścielono dywany pozszywane z wilczych skór tak przemyślnie, że wyglądały jak z jednego ogromnego zwierza. Goście najpierw składali uszanowanie ojcu riga - siwowłosemu sędziwemu starcowi, który przed wielu laty zdjął ze swych ramion ciężkie brzemie przywódcy. Umysł miał jeszcze niezmacony podeszłym wiekiem, ale hałaśliwa zabawa wkrótce go zmęczyła. Barczyści wnukowie pod ręce wyprowadzili dziadka, by odpoczął.

Wilczarz z bliźniakami zajął miejsce za plecami knezinki. Welchowowie byli pełni temperamentu i na biesiadach, kiedy nadużyli trunków, nierzadko wszczynali bójkę. Tutaj, w Krynicy, tylko raz zdarzyła się walka na noże, która zakończyła się śmiercią dwóch młodych zuchów. Od tamtej pory każdy, kto nie miał jeszcze żonatego wnuka, nie mógł przychodzić na ucztę z bronią. Wilczarz i bliźniacy, korzystając ze swego przywileju ochroniarzy, mogli zabrać miecze. I byli jedynymi gośćmi, którzy nie wzięli do ust alkoholu. Wilczarz srogo zakazał braciom Dobrym nawet piwa. Nie mówiąc już o winie, po którym nie mąciły się wprawdzie myśli, ale nader plątały nogi. I o miodzie, po którym wprawdzie można było chodzić, ale plątały się myśli. Wilczarz odnosił się do trunków obojętnie, natomiast bliźniacy wzdychali i zazdrościli gościom, chłopcy rozumieli jednak, że nie mogą złamać zakazu, i głośno nie protestowali.

Na początku biesiady Welchowowie niemal otwarcie wyrażali niezadowolenie z powodu obecności trzech uzbrojonych mężczyzn, których ban-riona trzyma nie wiadomo po co przy sobie. Którzy na dodatek zachowują zupełnie nieprzyzwoitą, wedle Welchów, trzeźwość. Bliźniacy, nauczeni przez swego mistrza, a tym bardziej sam Wilczarz, na żadne zaczepki nie reagowali. Wreszcie gospodarze przestali zwracać na nich uwagę, uznawszy, że ochroniarze to jakby psy warujące przy nodze pana.

Dobrze przynajmniej, że nakarmili ich nie jak psy resztkami ze stołu, lecz porządną strawą.

Napoje, zgodnie z tutejszym obyczajem, roznosiły kobiety. Welchowowie uważali, że roznoszenie miodu wymaga nie lada skupienia i maestrii. Co rusz jakaś ślicznotka przechodziła między biesiadnikami z dzbanem i kościanym czerpakiem w rękach, uśmiechem odpowiadając na pełne zachwyty pochwały mężczyzn i czasami z gracją umykając od czyichś nazbyt namiętnych objęć.

Wilczarz niespiesznie żuł pasztecik z grzybami i od czasu do czasu spoglądał na Ketarna siedzącego razem z Ane pod ścianą. Widział, jak młody woj szturchnął narzeczoną łokciem i zaczął jej coś tajemniczo szeptać na ucho, wskazując w jego stronę. Przygotowywał jakiś podstęp,

nie inaczej. Ane posłusznie wstała, podeszła do niskiego stolika stojącego koło wejścia, zastawionego koszami i dzbanami. Wybrała jeden z dzbanów, wzięła do ręki rzeźbioną chochelkę i skierowała się ku Wilczarzowi i braciom.

Wen z podziwem patrzył, jak dziewczyna oparła denko na dłoni, nie pozwalając, by dzban dotykał jej cienkiej Inianej koszuli, obficie haftowanej na piersiach, ani opalonej, obnażonej do łokcia ręki.

- Ugaście pragnienie, wojownicy - ozwała się w języku Welchów. Językiem Solwenów ani tym bardziej mową Wenów nie władała. Bała się, że goście nie zrozumieją tego, co mówi, i cała oblała się jaskrawoczerwonym rumieńcem, jaki często spotyka się u ludzi o rudych włosach.

- W rzeczy samej, nasze kubki są puste - odpowiedział Wilczarz w języku zachodnich Welchów.

- Czyżby miało stać się tak, że twe ręce je napełnią, kajlin-og?

Dziewczyna zaczerwieniła się jeszcze bardziej. "Kajlin-og" oznaczało narzeczoną.

- Właśnie tak się u nas gości podejmuje.

Płynnym ruchem zanurzyła w dzbanie długi, lekko zagięty na końcu ostry czerpaczek, wyszlifowany z kła jakiegoś zwierzęcia, które mogło być pradziadem wszystkich tygrysów Monomatenu.

To, czym cię częstują, musisz przyjąć i spróbować, inaczej tyś wróg, a nie przyjaciel. Wilczarz podstawił kubek, wnet wypełnił się on... dobrym kwasem pachnącym słodkimi żytnimi sucharkami. Ketarn, jak można było przypuszczać, prosił narzeczoną o coś zgoła innego, ale ona postąpiła wedle własnego uznania.

Nalała kwasu również bliźniętom.

- Czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, aby posiedzieć z nami pod dachem tego domu?

Od takiego zaproszenia też nie wolno się było wykręcić. Teraz Ketarn mógł się wściekać ile wlezie i podskakiwać ze złości na skórze rozłożonej pod ścianą. Ane podkurczyła nogi i usiadła naprzeciwko Wilczarza. Każdy Welch mógł tak siedzieć i pół dnia. W odróżnieniu od Dobrosława i Dobrobora, którzy zdążyli się już nabawić nagniotków na swoich żylastych zadkach.

Mało kto mógłby powiedzieć o Ane, że jest piękną, ale Wilczarzowi bardzo się spodobała. Pucłowata, sympatyczna, w pewien mity sposób domowa. I z takim dobrym sprytem w oczach, które nie zaznały najwidoczniej jeszcze ani cierpienia, ani strachu.

- Przed kim bronisz ban-riony tu, wśród przyjaciół? - spytała. Zauważyła, że Wilczarz nieustannie omiata biesiadników uważnym spojrzeniem.

Wen odpowiedział dopiero po chwili namysłu.

- Przed obcym, który mógł dostać się na uroczystość niepostrzeżenie i zrobić pani krzywdę, a wam sprawić wielką przykrość.

- Musiałeś długo żyć wśród Welchów. Rozmawiasz tak, jak gdy byś był jednym z nas.

- Miałem przyjaciół Welchów, kajlin-og - odparł Wilczarz i do tknął dłonią jej ręki, w której trzymała dzban. - Dzięki ci za to, żeś była ozdobą naszej biesiady.

Kobiety są mądrzejsze od mężczyzn, myślał, patrząc w ślad za nią, gdy szła w stronę

narzeczonego. Kobieta nie będzie prowokować gościa, nie będzie wypytywać go, w jakiej bójce po pijanemu tak okaleczono mu twarz, skoro nie wykazał się walecznością w bitwie na Trzech Wzgórzach.

Widział też, jak Ketarn patrzył na podchodzącą doń Ane, i jak wściekłość na jego twarzy zmieniała się w coraz szerszy uśmiech.

W kulminacyjnym momencie biesiady czterech rosnących młodzieńców wniosło olbrzymi drewniany półmisek. Na półmisku spoczywał dzik upieczony w całości. Welchowie uważali jego mięso za potrawę godną najmężniejszego z mężnych, główne i najbardziej pożądane danie, zwieńczenie każdej uczyty. Wilczarz nie był zbyt zdziwiony, kiedy usłyszał, że dzika upolował Ketarn. Nie mogło być inaczej.

Półmisek uroczysto postawiono przed knezinką i wręczono jej wielki, stary, wyczyszczony do połysku brązowy nóż. Niechże ban-rio- na sprawiedliwie podzieli odyńca i sama poda pierwszą porcję soczystego mięsiwa najpierwszemu z dzielnych wojów obecnych na uczcie.

Wedle pojęcia Wilczarza nie trzeba było mieć daru jasnowidzenia, aby wybrać tego najlepszego z najlepszych. Od razu bezbłędnie. Kto był dziś najlepszym ze wszystkich młodzieńców Krynicy, kogo rozpierała junacka brawura, kto wyłaził ze skóry, by wykazać się odwagą przed samym sobą i innymi?

Knezinka spytała o coś po cichu Kesana, on szeptem coś jej odpowiedział. Z wprawą odkroiła z dymiącej tuszy smakowity kawałek, wbiła na nóż i podniosła wysoko.

- Czy to prawda, że nie znajdzie się tu ani jeden człowiek, który mógłby siłą woli równać się z Ketarnem, synem Kesana i Gorrach?

Półowa krynickich Welchów natychmiast porwała się z miejsc z dzikim krzykiem:

- Prawda!

Druga połowa podniosła wrzask:

- Nieprawda!

Zbliżała się długo oczekiwana chwila, zaraz zacznie się ulubiona rozrywka - współzawodnictwo mężczyzn. Współzawodnictwo, które do następnego święta będzie na ustach wszystkich. Bywało, że sto lat temu taka rywalizacja kończyła się rozlewem krwi, ale teraz ludzie zmądrzeli i ograniczali się do słownych utarczek, a jeśli nawet dochodziło do bójek, to używano tylko pięści.

Zazdrośni młodzieńcy jeden przez drugiego zaczęli wypominać Ketarnowi różne wady i przewiny, które miały uczynić go niegodnym pierwszego kawałka dzika z rąk ban-riony. Przyjaciele Ketarna i on sam starali się usadzić krzykaczy na miejscu, raz za razem występując z żartobliwymi i złośliwymi przycinkami.

- I ty chcesz obrazić Ketarna? Przecież wszyscy widzieli, jak żona dzieliła cię ścierką przez łeb!... A może to ty chcesz podstawić głowę pod pierwszy kęs? Nic z tego. Boś na Święcie Koni omal nie utopił się w beczce z piwem...

Ale oponenci się nie poddawali. W pewnym momencie wstał jasnowłosy, bardzo podobny do Ane woj o muskularnych rękach, gęsto pokrytych granatowymi tatuażami.

- Ketarnie, z ciebie od urodzenia nie było pożytku. Pamiętasz, jak przewróciłeś na siebie kociółek z wrzątkiem i twoja wielce szanowna matka okładała cię świeżym krowim łajnem? Coś mi się wydaje, żeś do tej pory nie zdołał zmyć z siebie tych wonności...

- Zapytaj swoją siostrę, Feradachu! Może sobie wtedy poparzył nie tylko zadek, ale i co więcej?  
- ze śmiechem zabrał głos siedzący obok młody człowiek.

Feradach, brat dziewczyny, zakarbował sobie w pamięci Wilczarz. Rudowłosa Ane znowu oblała się rumieńcem i ukryła w dłoniach pałające policzki. W obronie jej narzeczonego wystąpiła czarnowłosa Er tana, która wygrała wyścig rydwanów.

- Lepiej byś zamilkł, Feradachu! Jak śmiesz obrażać tego odważnego człeka, który nawet nie jęknął, kiedy leczono mu te oparzenia! Za to ty, jak mi opowiadał twój wielce szacowny ojciec, kiedy byłeś chłopcem, bałeś się podejść do krzaków malin, bo obok stały ule i pszczoły mogły cię użądlić.

Kiedy zaczęło się dzielenie pieczonego dzika, Wilczarz wzmógł czujność - tylko tego brakowało, żeby podochoceni goście zaczęli wymachiwać pięściami, a on musiałby obronić knezinkę przed nazbyt rozradowanymi gospodarzami. Jednak Welchowie - i ci z samej Krymcy, i ich sąsiedzi - lubili syna riga. To się czuło. I nie tyle przygadali mu, ile szukali okazji, żeby się wykazać. Wilczarz widział, że bliźniakom bardzo przypadła do gustu głośna zabawa Welchów, szkoda, że obaj byli tu obcy i nie mogli wziąć w niej udziału, nawet jeśli bardzo by tego chcieli. Spostrzegłszy, że nauczyciel na nich patrzy, natychmiast przestali się rozglądać i przypomnieli sobie, że mają tu obowiązki.

Welchowie przekrzykiwali się wzajemnie jak stado kawek przed zachodem słońca, lecz Wilczarz miał pewną bardzo przydatną zdolność: w tłumie był w stanie rozpoznać ledwie słyszalny szmer, wyłowić słowo wypowiedane po cichu.

Hellona właśnie się schyliła, aby podgrzać nadziany na nóż kawałek mięsa nad węglami, kiedy Promień zapytał Kesana:

- A więc, starosto, czy prędko żenić będziesz najmłodszego syna?

- Prawdę rzekłeś, wojewodo, będę żenić syna - z dostojeństwem odparł rig. Wilczarz w jego głosie wyczuł pewną rezerwę.

- Narzeczona jest piękna? - dopytywał bojar, gładząc wąsy. W tym momencie Wilczarz zrozumiał powody rezerwy Kesana i serce zamarło mu w piersi. O tym, że Promień lubi płęć przeciwną, nasłuchał się więcej, niżby chciał.

- Mojemu synowi się podoba, a innemu wcale może nie wydać się piękna - z wyraźną już niechęcią ozwał się starosta.

Wilczarz westchnął w duchu. Czyżby Promieniowi całkiem odjęło rozum? Czy chce dla zaspokojenia chwilowego, pustego kaprysu napytać sobie biedy? Nastawić wrogo wobec siebie i swego knezia wojowniczy, zapalczywy i dumny naród?

Bo przecież widział, jak niewolnicy szarego proszku wywijali jeszcze gorsze rzeczy, które dla człowieka obdarzonego zdrowym rozsądkiem są w ogóle nie do pomyślenia.

Tymczasem słowne potyczki pomiędzy Welchami dobiegły końca i knezinka wręczyła tryskającemu szczęściem Ketarnowi pachnący kawał mięsiwa.

Kolejne kawałki też rozdawane były przy akompaniamencie zajadłych sporów. Czarnowłosa Ertana stanęła do rywalizacji o mięso na równi z młodzieńcami i jednego z nich, który kłócił się do upadłego, nawet wyzwalała na pojedynek na ręce.

Jak wiele tutejszych kobiet nosiła proste spodnie obwiązane w kostkach tasiemkami. I gieżło bez rękawów. Zdaniem Wilczarza w tym gieżle było jej bardzo do twarzy. Odsłaniało delikatną skórę ramion, pod którą prężyły się twarde jak szlifowana kość węzły mięśni. Cudo nie dziewczyna!

Pojedynek odbywał się przy samym siedzisku knezinki, toteż Wilczarz mimowolnie przesunął się do przodu. Doskonale wiedział, co może się przydarzyć podczas takich harców - i przypadkiem, i niekoniecznie przypadkiem. Odetchnął z ulgą, kiedy okazało się, że walka trwała krótko. Rywal Ertany zdążył już nieźle się uraczyć trunkami i nie był w stanie stawiać oporu. Dziewczyna obaliła go na podłogę jednym sprawnym ruchem i uśmiechając się od ucha do ucha, podeszła po należny jej wedle zwyczaju kawałek pieczystego.

Kiedy zakończono dzielenie dzika, goście z wioski z bagien zaczęli się zbierać do domu. Wilczarz odszukał wzrokiem Ane. Była z rodzicami, bratem i narzeczonym. Jedno spojrzenie na ognistą czuprynę jej ojca, kołodzieja Fachtny, wystarczyło, aby przekonać się, po kim odziedziczyła miedziane sploty.

Wilczarz się domyślił, że rodzice chcą zabrać Ane do domu, a ona prosi o pozwolenie, aby zostać jeszcze trochę na uczcie, i wskazując na narzeczonego, zapewniała, że ją odprowadzi do samego domu, przekaże całą i zdrową pod rodzicielską opiekę. Poza tym mogłaby przecież zanocować w Krynicy u matki Ketarna, nie pierwszy to raz...

Nie pozwól jej! - krzyknął Wilczarz w myślach, zwracając się do kołodzieja, ale w sztuce wydawania poleceń w myślach daleko mu było do Tilorna. Fachtna go nie usłyszał. Porozumiał się z żoną spojrzeniem, uśmiechnął do córki i pozwolił jej zostać. Zapewne wspomniał swoje młode lata i to, jak droga mu była każda chwila spędzona z narzeczoną.

Rig Kesan tymczasem zawołał syna i coś mu srogo przykazał. Wilczarz nie miał wątpliwości, o co chodzi staroście. Ketarn skinął głową, ale był jakiś rozkojarzony. Ulubieniec całej wioski, który nie spodziewa się niczego złego ani ze strony swoich, ani obcych. Wilczarz dostrzegł jeszcze i zrozumiał powód strapienia starosty: bo też naprawdę jak miałby zmusić syna, by zapewnił dziewczynie bezpieczeństwo i jednocześnie nie nastawił przeciwko sobie znakomitych gości?

Młodzież zaczęła tańce, swawole i jakieś zawody przy ogniskach na dworze, a knezinka, zmęczona biesiadą, postanowiła oddalić się do przydzielonego na nocleg domostwa.

- Pani - po cichu zwrócił się do niej Wilczarz. - Zezwól, pani, aby narzeczona Ketarna usługiwała ci razem z innymi dziewczętami dzisiejszej nocy i jutro rano...

Zanim skończył, jakieś przecucie wypowiedziało mu, że knezinka go nie posłucha. I rzeczywiście tak się stało. Hellona zniecierpliwiona wzruszyła ramionami.



- A to niby dlaczego? Już i tak tyle honoru mi tu okazano...

Wilczarz zaklął w myślach. Ostatnia rzecz, jaką chciałby zrobić, to posiać niezgodę pomiędzy krewniakami. A poza tym - jak udowodnić, że Promień nosi się z niecnym zamiarem? Nie, Wilczarz nie zamierzał niczego nikomu udowadniać.

Ani dopuszczać do rozpusty.

Szedł za knezinka ku jej domowi i pospiesznie próbował wyobrazić sobie, co teraz robi bojar. Bo co do tego, że Promień, pozbawiony przez tak długi czas swojego ulubionego proszku i towarzystwa pięknych niewiast, coś w tej materii przedsięwzięmie, nie miał najmniejszych wątpliwości.

Najpewniej wyśle po dziewczynę swoich pacholków... - układał w myślach bieg wydarzeń. Trzech. Raczej nie więcej, ale też nie mniej. Może Pliszkę i Kanaona? Nie, chyba nie ich.

Dlaczego tak właśnie pomyślał - nie potrafiłby wyjaśnić nawet sam sobie. Po prostu przeczuwał, że tak właśnie będzie. Bardzo chciał się mylić, bardzo chciał, by się okazało, iż bezpodstawnie rzuca na Promienia kalumnie. Ale życie wiele razy go nauczyło, że trzeba być przygotowanym na najgorsze.

Dalej snuł rozważania: A więc Ketarn będzie musiał stawić czoło trzem przeciwnikom. Czy da sobie radę? Jest silny, a te dwie głowy też zapewne nie same wpadły mu w ręce, ale przecież nie macha całymi dniami mieczem jak ci rębacze Promienia.

Przypomniał sobie pacholka, który odepchnął trzonkiem włóczni starą Kirenę. Żeby tylko Ketarn nie znalazł się ze skręconym karkiem w bagnach, za którymi mieszkają rodzice jego ukochanej. No i co robi sama dziewczyna po tym, jak Promień się nią nasyci...

Tymczasem Hellona - jak na złość - cały czas się po drodze zatrzymywała. To aby życzyć spokojnych snów welimorskiemu posłowi Dungormowi, który nocował wraz ze swymi przybocznymi w szałasach. To żeby podziękować raz jeszcze rigowi i jego żonie za wspaniałe przyjęcie... I tym razem nie poprzestano na kilku ukłonach. Znowu zaczęły się piękne mowy, każdy chciał być lepszy w kunszcie słowa od poprzednika. Knezinka długo zęgnęła się przed udaniem na spoczynek, aż WiJczarz stracił wszelką nadzieję i stwierdził w duchu, że nawet najbardziej rozbrykana młodzież już dawno rozeszła się po domach spać. A to oznacza jedno: że nie zdąży odprowadzić Ketarna z Ane do wioski na bagnach...

Szybciej! - ponaglał w myślach knezinkę. No, szybciej...

Wreszcie dotarli do ich siedziby, służące okrążyły panią i zaprowadziły do domu. Wen niezwłocznie zawezwał bliźniaków.

- Czy dobrze was nauczyłem, jak macie pilnować pani? - spytał surowo.

Dobrosław i Dobrobor popatrzyli na siebie ze zdziwieniem. Zdawali sobie sprawę, że nie pyta ich po próżnicy. Stracili kontenans. Nauczyciel jeszcze nigdy nie powierzał im takiego odpowiedzialnego zadania: teraz mieliby po raz pierwszy sami dbać o bezpieczeństwo pani. Z niecierpliwością czekali, aż nadejdzie ta chwila, a kiedy wreszcie nadeszła, zaczęli się odrobinę lękać.

- Muszę się oddalić - wyjaśnił Wilczarz. - Dacie sobie radę?

- Oczywiście! - odpowiedział Dobrosław za siebie i za brata. Innej odpowiedzi Wilczarz nie spodziewał się usłyszeć. Milcząco skinął bliźniakom głową i prędko odszedł w ciemność.

Nigdy nie był w tej okolicy, toteż nie znał ani leśnych ścieżek, ani duktów. Nie wiedziałby nawet, gdzie znajduje się wioska Welchów z bagien, gdyby w ciągu dnia nie odnotował w pamięci, jaką drogą przybyli do Krynicy mieszkańcy leśnych trzęsawisk. Aby wydostać się na ten trakt, należało znowu przejść przez całą osadę, obok domu starosty. Pierwszą osobą, którą zobaczył w gronie młodzieńców siedzących przy dogasających ogniskach, był Ketarn.

Pospiesznie ukrył się w mroku, gdzie nie sięgał czerwony odbłask węgielków, i uważnie przyjrzał się Ketarnowi. Młodzian grzał ręce, o czymś wesoło rozprawiał z przyjaciółmi i chyba się szykował do zawodów. Każdy chłopak kolejno opierał o ziemię koniec włóczni i wskakiwał na nią nogami, a wszyscy pozostali chórem odliczali, jak długo utrzyma równowagę.

Ane nie było u boku Ketarna, natomiast włosy syna riga połyskiwały od rosy, a buty i pludry były mokre do samych kolan. W pierwszej chwili Wilczarzowi kamień spadł z serca - zapewne odprowadził dziewczynę i wrócił! Lecz zaraz potem Wen przypomniał sobie, jak posyłali do sąsiadów z bagien szybko nogich bosych chłopaczków, i niepokój powrócił. Ketarn nie mógł zdążyć obrócić - droga za daleka. Nawet jeśli wyruszył zaraz po odejściu knezinki i biegł w obie strony Pędem.

A więc nie odprowadził dziewczyny na próg domu i nie oddał w ręce rodziców, jak powinien był uczynić. Doszedł pewnie do połowy drogi, a potem się pożegnał - dalej droga prosta, nic złego ci się nie stanie...

Wilczarz minął ogniska, szedł po cichu, aby nikt go nie zauważył. Potem przeskoczył przez niepilnowany przez nikogo płot, kilkoma susami zbiegł z ostańca na mokry łąg i pomknął w stronę lasu, modląc się do wszystkich bogów-, żeby tylko zdążyć na czas.

Gacek sfrunął z jego ramienia i jak bezszelestny cień leciał z przodu.

Teraz w pełni przydały się Wenowi umiejętności widzenia w ciemnościach, którą wyniósł z kamieniołomów, i bezgłośniego poruszania się, którą nabył jeszcze w szczenięcych latach. Kluczył pomiędzy krzakami, w biegu wypatrując slajdów na mokrej od rosy trawie, i myślał: Jeśli Promień rzeczywiście ma nieczne zamiary. Jeśli pozostał w swym namiocie i nie wyruszył dla za chowania pozorów przyzwoitości razem z pachółkami do lasu... Raczej nie wyruszył, przecież on tutaj też nie zna okolicy, wolał zapewne pozostać wśród swoich ludzi, na dodatek uzbrojonych. Dziewczynie, żeby po próżnicy nie wrzeszczała, można zakneblować usta, a jeszcze lepiej zapakować ją do worka i zagrozić, że z narzeczonego żywcem skórę zedrą na buty, jeśli będzie dla bojara niemila. Tak, Ane to nie wojownicza Ertana, która sama może każdego rozsmarować na chlebie i zjeść...

Jak Promień zamierzał po tym wszystkim dalej żyć i jak wyobrażał sobie zachowanie dobrych stosunków z krynickimi Welchami, a także z kneziem Gluzdem, synem Nesmejana - tego można się było tylko domyślać. Przecież ludzi e się dowiedzą, co zaszło. Niechby i później, ale z całą pewnością się dowiedzą. Zdaje się, że w Haliradzie nikt nie wiedział o szarym proszku. Ani o tym,

jaki ma on wpływ na człowieka. Inaczej nikt nie powierzyłby Promieniowi ochrony "siostry"...

A jeżeli coś stanie się z knezinką, kiedy ja się tu włócę po lesie? - martwił się Wilczarz. Trzeba samemu decydować, nikt nie podpowie, co robić. I odpowiedzialności też nikt nie weźmie na siebie, nie ma co liczyć.

Nie liczył na nikogo. Od bardzo, bardzo dawna.

Dwukrotnie wyskakiwały na niego złe krynickie psy zaniepokojone przybyciem obcych. Ale jeszcze nie urodził się pies, który szczekałby na potomków rodu Szarego Psa. Wilczarz obiegił kwatery ludzi z Haliradu szerokim łukiem jak ogar, który wietrzy zdobycz. O ile jeszcze dobrze pamiętał, jak czytać ślady, Promień ze swoją drużyną był u siebie w namiocie. Od strony lasu też nikt na razie się nie skradał.

Nocne stráže były rozstawione na odległość krzyku. Wilczarz z ukrycia przyjrzał się każdemu wartownikowi z osobna. W dwóch, którzy ustawili się na drodze wiodącej do namiotu bojara, rozpoznał Kanaona i Pliszkę. Któż zarzuci Promieniowi, że postawił swoich ulubieńców jak najbliższej siebie? Nikt. A w razie czego obaj oczajdusze z radością zaświadczą, że nic nie widzieli. I nie słyszeli.

Wilczarz zagłębił się w las. Doskonale zdawał sobie sprawę, że bojar posłał kogoś po Ane, a jego posłańcy wracać będą najpewniej właśnie tędy.

Jego wspinały wzorzysty miecz spoczywał w pochwie przewieszanej przez ramię. Ale Wilczarz nie zamierzał po niego sięgać. Jeszcze tego brakowało.

Słuch miał wyostrzony, nieomylny, czujny, jednak ustępował zwierzęcemu. Gacek, który powrócił na jego ramię, wzdrygnął się i zasyczał. Dopiero po chwili Wilczarz usłyszał kroki w zagajniku.

Czterech ludzi, policzył w myślach, z przyzwyczajenia zakrywając dłonią wojowniczego zwierzątko. Trzech idzie, a czwartego ciągną siłą, on, to znaczy ona, próbuje się wyrwać, ale nic jej z tego nie wychodzi.

Zrzucił Gacka z ramienia. Był przekonany, że nie obejdzie się tu bez bójki. Pobiegł im na spotkanie. Zobaczył ich znacznie wcześniej, niż oni dostrzegli jego. Nie widzieli w ciemności, mieli zwykłe oczy, którymi w wąłym świetle nocy mogli tylko odnaleźć drogę i nie pobłądzić. Trzech osiłków z drużyny Promienia. Jeden z nich prowadził rudowłosą Anę - potarganą, bez płaszcza, w rozerwanym od góry do dołu giele. Z ust wystawał jej knebel, a ręce, które tak zgrabnie trzymały dzban, miała wykręcone i skrępowane sznurem. Dwaj pozostali kroczyli po obu stronach i bezceremonialnie obmacywali bezbronną dziewczynę, ledwie powstrzymując wybuchy śmiechu.

Wilczarz wyszedł zza drzew na otwartą przestrzeń.

- Ona nie chce z wami iść.

Był dla nich czarnym cieniem pozbawionym twarzy, który nagle wyrósł na drodze. Poznali go po głosie. Zatrzymali się, ale swej zdobyczy, ma się rozumieć, nie wypuścili. Skoro podjęli się wykonania takiego planu, to teraz muszą trwać w swoim zamiarze do końca, w przeciwnym razie nie było sensu się do czegokolwiek brać.

- E, patrzcie, jest sam - powiedział jeden z pachołków, który stał najbardziej z przodu.

Ten, który prowadził Ane, prychnął pogardliwie:

- Zmiataj stąd, najemniku!

Członkowie drużyny, nawet zwyczajni pachołkowie, rzadko mają w poważaniu tych, którzy wynajmują się na służbę za pieniądze. Uważają, i nie bez słuszności, że ten, kto się najmuje, w każdej chwili może przejść na służbę do kogoś, kto zapłaci więcej. Ale Wilczarz nigdy nie uważał się za najemnika.

- Ona nie chce z wami iść - powtórzył, nie ruszając się z miejsca. Zdażył już przyjrzeć się pachołkowi, który trzymał Ane, i pomyślał, że bogowie postanowili go jednak za coś w życiu wynagrodzić. To był ten pachołek, który odepchnął starą Kirenę.

Dalej wszystko potoczyło się bardzo szybko. O wiele szybciej, niż można o tym opowiedzieć.

- Mówiłem ci już, żebyś stąd zmiatał... - warknął wściekle któryś z młodzieńców.

Dwóch z nich, którzy mieli wolne ręce, jednocześnie ruszyło na Wilczarza, dobywając miecze. Wen wyciągnął rękę, aby sparować wymierzony w niego cios pierwszego, i jednocześnie kopnął w pierś drugiego, który cokolwiek spóźnił się z atakiem w ciemnościach. Kopnięcie było powalające. Wiosną podczas walki z rozbójnikami na leśnej drodze takim właśnie uderzeniem Wilczarz zabił człowieka. Pachołek Promienia miał jedynie pogruchothane żebra i złamany obojczyk - Wen mimo wszystko oszczędził młodzieńca, który wypełniał tylko rozkaz bojara. Chociaż z drugiej strony doskonale zdawał sobie sprawę, że dwudziestolatek, który z przyjemnością wypełnia takie rozkazy, już nie będzie porządnym, uczciwym człowiekiem. Zatem nie ma co się z nim cackać.

Ten, który zdażył dobyć miecz, też nie miał szczęścia. Jego klinga opisała w powietrzu łuk z góry na dół, ale nie stało się to z woli jej właściciela. Wilczarz sprawił, że pachołek stracił równowagę, postąpił trzy kroki do przodu, a potem z impetem odskoczył do tyłu. Wen złapał uzbrojoną w miecz rękę pachołka i unieruchomił w strasliwym uścisku. Coś z wilgotnym trzaskiem łupnęło i rozsypało się pod jego palcami, miecz upadł na ziemię. Wilczarz powątpiewał, czy ta ręka, która jeszcze przed chwilą upokarzała nieszczęsną Ane, będzie w stanie utrzymać choćby łyżkę.

Dwóch chwatów leżało na leśnej murawie, ułożonych, jak wyraziliby się weńscy wojowie, w stosik. Trzeci nie od razu pojął, że został sam. Jego towarzysze nawet nie wydali z siebie głosu, dlatego że taki ból czuje się nie od razu - wstrząśnięta świadomość miłosiernie gaśnie. Jeszcze się zdążą wyplakać, kiedy odzyskają przytomność i poczołgają się, by prosić o pomoc. Wilczarz zrobił krok w kierunku trzeciego, aby i z nim postąpić zgodnie z nakazami sprawiedliwości. Pachołek nieoczekiwanie się ożywił. Gwałtownie wyciągnął z przytroczonej do pasa pochwy nóż, mocniej schwycił Ane i przystawił jej ostrze do prawie obnażonego brzucha.

- Nie podchodź!

Wilczarz nie miał najmniejszego zamiaru się zatrzymać. Jeśli chciał, potrafił poruszać się szybko. Bardzo szybko. Nie miał wątpliwości, że zdaży. W tej chwili na głowę jego przeciwnika jak milkliwa śmierć skądś z góry bezszelestnie spadł Gacek. Czarne skrzydła zakryły oczy chłopaka,

ostre zębki wpiły się w brew, a pazurki tylnych łapek rozorały szyję. Młodzieniec wydał z siebie dziwny gulgot i machnął nożem, ale spóźnił się, beznadziejnie się spóźnił. Gacek zniknął tak samo szybko, jak się pojawił.

Wilczarz jednym susem pokonał odległość dzielącą go od Solwena. Kantem lewej dłoni uderzył pacholka w nos i rozbił go na miazgę. Gdyby wymierzył cios nieco wyżej i uderzył nieco mocniej, nie pomógłby żaden medyk, a tak - do wesela się zagoi, z tym że chłopak nie będzie się już mógł pochwalić gładkim liczkiem.

Ane, która upadła na trawę, starała się odpełznąć od miejsca bójki. Strach ma wielkie oczy: odchodziła od zmysłów i sama już nie wiedziała, kogo ma się bardziej bać: trzech gwałcicieli czy ochroniarza ban-riony, który pobił dotkliwie trzech napastników. Kiedy Wilczarz pomógł jej wstać, rozpaczliwie drżała w jego rękach i zalewając się łzami, próbowała coś powiedzieć przez knebel.

- Zaraz cię odwiążę, tylko nie uciekaj i nie krzycz, dobrze? - powie dział Wen.

Dzieweczka zapewne nie usłyszała, co do niej mówił. Mocno złapał ją za ramiona i potrząsnął, aż głowa zatańczyła jej na szyi. Z doświadczenia wiedział, że na przestraszoną kobietę to działa o wiele skuteczniej niż czułe przemowy. I rzeczywiście, po chwili Ane popatrzyła na niego przytomnie.

- Już po wszystkim, nie musisz się nikogo bać - pomrukiwał Wilczarz, rozwiązując cienki sznurek wokół jej nadgarstka. - Tylko nie krzycz, dobrze?

Pospiesznie kiwnęła głową. Oczy ciągle miała wielkie jak młyńskie koła. Wilczarz wyjął jej z ust porządnie wciśnięty knebel. Dziewczyna zaczęła łapczywie chwytać powietrze jak wyciągnięta z wody ryba. Wen był przygotowany na to, że Ane nie dotrzyma obietnicy i zacznie uciekać, lecz nie, tylko podniosła ręce do twarzy, co prędzej odwróciła się i zwymiotowała. Po przeżytych koszmarze kolana się pod nią ugiwały, podparła się o drzewo, żeby nie upaść. Wilczarz oderwał jednemu z napastników kawałek koszuli i podał jej, aby obtarła usta. Dopiero teraz do niej docierało, że naprawdę nie musi się już niczego bać. Nagle wczepiła się w Wena i rozszlochała żałością, oparta o jego pierś. Dreszcze wstrząsały całym jej ciałem. Wilczarz objął ją i głaskał dłonią mokre od potu rude kędziory. Cudza narzeczona. Potulna, czuła, domowa. Omal nie postradała zmysłów, znalazłszy się w mocy trzech łotrów. Przez rozerwane gieżło Wilczarz czuł tulące się doń ciepłe ciało, delikatną, ledwie okrytą pierś.

- Gdzie twój płaszcz? - spytał z cicha. Wyobraźnia już zdążyła podsunąć mu złowieszczy obrazek: nazajutrz rano Welchowcie z bagien, którzy nie doczekali się powrotu córki do domu, znajdują jej po mięty płaszcz gdzieś na krzakach.

- O-oni go ma-mmają - wyjąkała Ane, z trudem tłumiąc szloch.

Rzeczywiście płaszcz znajdował się w sakwie jednego z łotrów - tego, któremu Wilczarz przetrzącił rękę. Chłopak jęknął z cicha. Wilczarz bez ceregieli przewrócił go nogą na plecy. Kiedy pobici napastnicy zaczną odzyskiwać przytomność, ich ofiara będzie już daleko.

- Czy to wszystko? - zapytał Wilczarz. - Spinka? Chusta? Co jesz cze miałaś?

Ane, ocierając spływające po twarzy łzy i otulając się płaszczem, nadal wstrząsana dreszczami,

powoli opowiedziała mu, jak było. Nasłani złoczyńcy nie tylko zatarli wszystkie ślady nierównej walki na ścieżce, ale zawlekli ją z dala od drogi, ku ruczajowi, który wpadał w bagna, na wypadek gdyby spuszczone psy. Wilczarz w milczeniu słuchał jej opowieści, rozmyślając, co czynić dalej. Kątem oka śledził poczynania Gacka, który w upojeniu krążył nad ciałami pokonanych wrogów, paskudząc z góry na każde po kolei.

- Czy w domu będą się niepokoić, jeśli do rana się nie zjawisz? - spytał wreszcie.

Mogła skłamać, powiedzieć, że na pewno zaczną się niepokoić, ale powiedziała prawdę. Już wcześniej tak się zdarzało, że nie wracała od Ketarna na noc - zostawała u jego dobrej matki.

- Chodźmy. - Wilczarz wziął ją za rękę. Gacek zawisł w powietrzu, zaglądając jej w twarz, a potem przysiadł na ramieniu swego pana.

Ane potulnie szła, starając się zakryć płaszczem, który był wprawdzie gruby i ciepły, ale nadal wstrząsały nią dreszcze. Wilczarz po chwili namysłu zdjął swoją skórzaną kurtkę i zmusił Ane, żeby ją włożyła. Podniosła nań oczy i zapytała pokornie:

- Dokąd idziemy? Do Ketarna?

- Nie, nie do Ketarna - odparł i zdał sobie sprawę, że dziewczyna nadal się czegoś obawia. Musiał jej wyjaśnić, co zamierza. - Czy chociaż wiesz, kto cię napadł? - zapytał na dobry początek.

- Lu-ludzie wielmoży który wiezie ban-rione.

Temu wielmoży, według Wilczarza, należało wywlec kiszkę. I kazać mu mierzyć je krokami tak długo, jak długo tlić się w nim będzie życie. Ale nie był władny wymierzyć takiej kary Promieniowi. Szkoda, wielka szkoda.

- Jeśli zaprowadzę cię do domu albo do narzeczonego, podniesie się raban. Może dojść i do czegoś gorszego. Tutejsi od dwustu lat przy jaźnią się z Haliradem. Czy z powodu jednego gówniarza mają się obrazić na śmierć? Poza tym nie udało mu się dopiąć celu... A za twoją krzywdę już im chyba odpłaciłem należycie...

Welchinka wspomniała krótką, ale jakże okrutną rozprawę z jej prześladowcami. Może jeszcze kiedyś pobici młodzieńcy będą szukać zwady z chłopcami i zaczepiać dziewczyny Ale to będzie możliwe nieprędko.

- No to dokąd? - spytała szeptem. Znowu zaczęła się bać dalszego obrotu spraw. Przemknęło jej przez myśl, że wybawca zażąda od niej nagrody.

- Tak mało znasz Wenów - mruknął pod nosem Wilczarz. A po tem przypomniał sobie, że Wilk też był Wenem. - Pójdziemy na dwór ban-riony - powiedział głośno. - Ochroniarze mają tam swoją izbę. Prześpisz się do rana, nikt nie będzie cię niepokoił. A jak twoi cię pytają, gdzieś była, odpowiesz, że wróciłaś, aby usługiwać pani. Zrozumiałaś?

Powrócili do Krynicy rozpoznaną przez Wilczarza drogą: przez łąg, w górę po ostańcu, potem przez płot. Okazało się, że młoda Welchinka nie potrafi przelazić przez ogrodzenia. Wen musiał ją podsadzić, a potem po drugiej stronie złapać przy zeskoku. Zetknięcie z jej ciepłym dziewczęcym ciałem i onieśmiało go, i cieszyło. Ane zaczęła skrajem spódnicy o ostrą końcówkę ociosanego bierwiona, a zeskakując, rozdarła i tak mocno sfatygowane ubranie. Wilczarz nawet w ciemności

dostrzegł, że dziewczyna się zaczerwieniła, chowając przed jego wzrokiem gołe nogi.

Kiedy dotarli do podwórca, mógł się przekonać, że jednak zdołał czegoś nauczyć swoich podopiecznych. Komuś z zewnątrz mogło się wydawać, że na podwórku nie ma nikogo, tylko koło spichlerza dogasa zapomniane przez nieuważnego gościa ognisko. Ale gdy podeszli bliżej do wrót, na spotkanie bezgłośnie wyszły im dwa roste cienie.

Na widok dziewczyny, która przyszła z Wilczarzem, a wyglądała tak, jak gdyby pokąsały ją dzikie zwierzęta, bliźniacy ze zdziwienia wytrzeszczyli oczy. Od razu rozpoznali w niej rudowłosą narzeczoną Ketarna i zapalali wielką chęcią, by dowiedzieć się, cóż takiego się z nią stało. Ale Wen bez słowa poprowadził dziewczynę w stronę spichlerza. Bliźniacy woleli w tej sytuacji poskromić ciekawość.

Wilczarz otworzył drzwi i zapalił w kącie światło. Płomień łuczyna oświetlił czyste pobielone ściany, czystą podłogę z brzoźowego drewna i trzy rozłożone na niej posłania. Ane wyjdzie za mąż za Ketarna i przez wiele lat będzie wchodzić do tego spichrza jako gospodyni, a za każdym razem wspomni pierwszą noc, jaką spędziła tutaj.

Wilczarz bez wielkiego zachwytu obejrzał swoje łóżko i uznał, że nie nadaje się dla młodej dziewczyny. Sięgnął po wiszący na gwoździu swój szary, podbity miękkim futerkiem, podarowany przez knezinkę zamszowy płaszcz.

- Chodź tu, kładź się - odezwał się do Welchinki, podając jej płaszcz. - Zaraz przyniosę ci coś do ubrania.

Ane uspokoiła się i zaczęła myśleć rozsądnie. Chciała podziękować, ale Wen już zamknął za sobą drzwi.

Welchowowie nie budowali w swoich domach ścian oddzielających pomieszczenia, woleli gęsto tkane zasłony, które ozdabiali wymyślnymi wzorami. Szczególnie ceniono te, które nie miały ani strony prawej, ani lewej, a wyszywane wzory były jednako piękne po obu stronach tkaniny. Takie właśnie zasłony, wyroby najlepszych mistrzyń, rozdzielały na pół siedzibę knezinki. Jedną część zajmowała sama panienska, w drugiej nocowały służebnice. Żadna z dziewcząt się nie obudziła, gdy do izby cicho wszedł Wilczarz. Tylko stara piastunka, u wezgłowia której paliła się mała lampeczka, od razu otworzyła oczy, a potem pełna niepokoju uniosła się na łokciu. Nigdy przedtem ochroniarz nie śmiał wpadać do komnat knezinki nocą. A zatem musiało się coś stać. Potop, pożar, wrogowie!

Wilczarz przyłożył palec do ust i kiwnięciem głowy uspokoił starą kobietę, potem podszedł do niej, przeskakując ponad ciałami śpiących służebnic. Przykucnął obok posłania piastunki.

- Babciu - wyszeptał - nie znalazłabyś koszuli, która nie byłaby potrzebna naszej pani?

- A po co ci? - też szeptem podejrzliwie spytała Hajgał.

- Pewnej zacnej dziewczynie zniszczono ubranie, trzeba coś jej dać, by się przyodziała.

Staruszka wysunęła się spod kołdry, ukazując nieśmiertelne czarne szarawary. Tupiąc bosymi piętami, podeszła do wielkiego kosza stojącego pod ścianą.

- A co to za dziewczyna? - spytała rzeczowo.

- Ruda... będzie synową starosty. Zwą ją Ane.

Babka mruknęła coś pod nosem, pogrzebała w koszu i po jakimś czasie wyciągnęła piękną nową koszulę, jedwabną, jaskrawozieloną, z rękawami i kołnierzem, jak to mają w zwyczaju Solwenowie, haftowanymi jasnobłękitną nicią.

- Ta będzie dobra?

Knezinka miała ją na sobie może jeden raz i zapewne nawet nie pamiętała, że ma taki strój.

- Dzięki, babciu, za pomoc. - Wilczarz pokłonił się z wdzięcznością.

Piastunka przyjrzała mu się błyszczącymi jak węgielki oczami i nagle spytała:

- Czyżbyś tym, którzy podnieśli rękę na dziewczynę, poodrywał głowy?

Uśmiechnął się.

- Wprawdzie nie głowy, ale co nieco im sfatygowałem. Ale doprawdy zasłużyli.

Starucha zachichotała, lecz po chwili zdusiła śmiech, obawiając się, że pobudzi służące. Dała mu znak ręką.

- No idź już. A niech cię...

Wilczarz przyniósł Welchince koszulę, poczekał, aż dziewczyna się przebierze, potem zabrał jej porwane ubranie i wyniósł na podwórzec. Zasiadł przy ognisku, ożywił je kilkoma polanami i zaczął wrzucać w płomień kawałki powalanej tkaniny. Pomyślał o tym, że trójka pobitych zuchów najpewniej właśnie próbuje wygramolić się z lasu, zaciskając zęby z bólu i przeczuwając, jak powita ich Promień. Uśmiechnął się. Cudza narzeczona, cała i nietknięta, leżała, zwinięta w kłębuszek w spichrzu za jego plecami. Obiecał jej, że będzie niedaleko. Ale wyglądało na to, że na razie nie było powodu do niepokoju.

Jego uśmiech nie uszedł uwagi bliźniaków. Zaraz przysiedli się do ognia.

- Kto jej to zrobił? - spytał Dobrobor.

- Promieniowi ludzie.

- A czy wielu ich było? - zadał kolejne pytanie Dobrosław. Wen wzruszył ramionami.

- Nie tak znowu wielu. Trzech. Chłopcom zapłonęły oczy.

- I ty ich wszystkich? Sam?

- Gdybym nie dał rady wszystkim, tobym tu nie siedział - odpowiedział Wilczarz. I zaraz dodał: - Tylko ani pary z gęby! Nikomu!

Bliźniacy popatrzyli po sobie obrażeni - czyżby nauczyciel miał ich za lekkomyślnych młodzieniaszków, którym trzeba uzmysławiać najbardziej oczywiste rzeczy? Jednocześnie kiwnęli lnianymi rozczochranymi głowami.

Potem się okazało, że pewien sześciolatek chłopczyk jednak widział, jak ochroniarz ban-riony ("Taki straszny, z warkoczami, ten co ma nietoperza") prowadził opłotkami Ane, która miała na sobie jego kurtkę. I obejmował ją ramieniem! Na szczęście chłopczyk nie był zbyt zmyślny, w dodatku okazał się trochę tchórzem podszyty. Nie tylko nie pobiegł zaraz zaalarmować dorosłych, lecz z przerażenia wlaź do psiej budy, przywarł całym ciałem do ciepłego psa i tak przesiedział do świtu. Ten potworny obcy człowiek na pewno zamierzał najpierw zjeść Ane, a potem wrócić po



niego. Kiedy się rozwidniło, obok budy pojawił się Ketarn, który zwyciężył w stójce na włóczni i szedł wreszcie do siebie trochę się przespać. Chłopczyk poturlał się pod jego nogi.

- Oj, twoją Ane ktoś nocą zabrał do siebie...

Cała osada po nocnych hulankach smacznie spała. Młody Bóg Słońce, który ledwie ukazał się na niebie, łaskawie pokierował ludzkimi sprawami. Zapalczywy młody Welch, oszołomiony dopiero co zasłyszaną straszną wieścią, też się nie rzucił, by w wiosce podnieść raban i wzywać wszystkich na pomoc. W lot wszystko rozumiał. Wczoraj powadził się z Wilczarzem i zarzucił mu małostkowość. A ten postanowił się na nim zemścić. I się zemścił. Nikczemnie, podle, po kryjomu. Ketarn namacał swój nóż, z którym nigdy się nie rozstawał, i bez słowa co sił w nogach rzucił się ku siedzibie ban-riony. Do tego domostwa, w którym zamierzał spędzić resztę życia przy boku Ane. Swojej Ane. Sam zarżnie tego łotra. Własną ręką rozplata mu gardło i doda jego głowę do tamtych dwóch, które trzyma w domu, starannie zabalsamowane w cedrowym oleju. Nie chce niczyjej pomocy, nie potrzebuje.

Tymczasem chłopczyk, który zrzucił z siebie brzemię strasznej tajemnicy, a wraz z nią strachu, ziewnął i włożył z powrotem do budy. Nareszcie będzie mógł spokojnie zasnąć. Pies polizał go po policzku i posunął się, robiąc przyjacielowi miejsce.

\*

Noc wydawała się niezbyt chłodna i Wilczarzowi udało się nawet odrobinę zdrzemnąć przy ognisku pod drzwiami spichlerza - na warcie stali w tym czasie bliźniacy. Kiedy zaczęło świtać i zapały pierwsze koguty, na podwórku pojawiła się olbrzymia pręgowata kotka. Wilczarz przypomniał sobie, jak matka uczyła go odróżniać koty od kotek po kształcie mordki, i doszedł do wniosku, że w gościnę zajrzała do nich właśnie kotka. Ciekawska, zielonooka, podeszła bliżej, aby przyjrzeć się nieznanym gościom i sprawdzić przy tym, czy w nowym domu nie ma szczurów i myszy.

Z życzliwym zainteresowaniem paradowała po podwórku z wyprostowanym wspaniałym, puszystym ogonem. Wilczarz patrzył na królewską piękność i nagle przypomniał sobie ni to sny, ni to nie sny, w których był tylko szarym psem. Koty nie żyją w zgodzie z psami. I Wen postanowił poddać się próbie: jeżeli kotka wyczuje w nim zwierzę, przestraszy się i nie zechce podejść, a to będzie oznaczało, że on rzeczywiście pomału staje się psem. Taka możliwość nawet nie bardzo go przerażała. Bogowie przecież wiedzą, co będzie dlań lepsze. I na co zasłużył, a na co nie. Jednak do człowieczego wyglądu i umysłu zdołał się już przyzwyczaić, wolał zachować ludzką skórę i rozum. Poskrobał paznokciem próg spichlerza, na którym siedział, a kotka - ku jego niewypowiedzianej uldze - podbiegła. Jeśli nawet rozsiewał wokół zapach zwierzęcia, to nie był to zapach psa, co najwyżej Gacka, ale Gacek spał spokojnie na gwoździu, z którego Wilczarz zdjął niedawno swój szary płaszcz.

Kotka szybko się zorientowała, że to tylko mały podstęp, zaproszenie do zabawy i że nie ma tu myszy, na które można by zapolować, ale się nie obraziła. Kiedy człowiek powoli przykląkł i wyciągnął rękę, włożyła łebek w jego dłoń, zamruczała i podstawiła białą szyjkę, by ją podrapać. A

potem przekręciła się na grzbiet i starała się dotknąć swoją miękką łapką jego stale umykającej ręki.

Tak właśnie klęczącego i zabawiającego się z kotką zastał go Ketarn, który wpadł na podwórzec, pokonując ogrodzenie jednym skokiem.

Młody Welch nawet nie wydał z siebie okrzyku, aby wyzwąć Wilczarza na pojedynek. Po prostu rzucił się na niego. Nie dbał o to, czy na podwórku jest jeszcze ktoś oprócz Wena. Przyszedł, by zabić. W jego ręce błysnął nóż, grymas wykrzywił twarz, która w jednej chwili zamieniła się w nieruchomą maskę. Tylko oczy płonęły obłądnym ogniem.

Kotka zamiauczała głucho i błyskawicznie schroniła się za spichlerz, a Wilczarz uświadomił sobie, że raczej nie zdąży podnieść się z kolan. Inna sprawa, że nie musiał wstawać. Wystarczy poruszyć biodrami, obrócić się na lewym kolanie i jak zwykle podnieść ręce do góry i do przodu. Bohater bitwy na Trzech Wzgórzach przejechał policzkiem po resztkach trawy, której na podwórku nie wydeptano do końca, a kiedy z rozmachem uderzył o ziemię, powietrze wyrwało się z jego płuc z głośnym świstem. Zanim zdołał zrozumieć, co się stało, i zebrać siły, aby wstać, Wilczarz siedział na nim. I przyciskał do ziemi. Ketarn momentalnie stracił czucie w prawej ręce, w której ścisnął wspaniały kindżał.

- Dobrze - powiedział Wilczarz, wyjmując z bezwolnej dłoni pozłacaną rękojeść. Jednym rzutem wbił nóż w ścianę spichrza. - Może porozmawiamy jak przyzwoici ludzie?

Welch zajęczał i z wściekłością próbował się uwolnić, ale nic to nie dało. Choćby złość była nie wiem jak wielka, trudno zmusić ciało, aby zaczęło łamać swoje własne kości.

Odgłos kindżału, który wbił się w drewno, obudził Ane, która i bez tego spała bardzo czujnie. Drzwi były tylko przymknięte - Wilczarz umyślnie pozostawił szczelinę, aby dziewczyna nie pomyślała, że jest zamknięta. Przez szczelinę sączyło się światło i napływało chłodne powietrze poranka. Ane usiadła, przesunęła dłonią po jedwabnej koszuli. Jej wzrok spoczął na wyraźnych pręgach, jakie na jej przegubach zostawił sznur. Otrząsnęła się, przeszedł ją zimny dreszcz. Szczelnie owinęła się płaszczem, przetarła oczy i postanowiła wyjść na zewnątrz.

Ketarn leżał twarzą do spichlerza. Od razu dostrzegł swoją narzeczoną, kiedy tylko stanęła na progu. Miała na sobie piękną zieloną koszulę - inną niż ta, w którą była ubrana wczoraj - i... ciepły szary płaszcz, w którym pół osady widziało wczoraj Wilczarza. Na jej rękach widać było siniaki, ale poza tym nic nie świadczyło o tym, by Ane przetrzymywano tu siłą. A więc... więc...

Czy można wyrazić słowami bezmiar poniżenia, jakie odczuwał nieszczęsny narzeczonny? Podjął jeszcze jedną próbę uwolnienia się, ale znowu powstrzymał go niewyobrażalny ból. Młodzieniec wbił się zębami w resztki trawy, a potem przywarł twarzą do ziemi i... zapłakał.

Ane krzyknęła. Płaszcz opadł jej z ramion. Rzuciła się ku narzeczonemu. Jęła podważać palce Wilczarza, trzymające rękę Ketarna.

- Puść go!

Z równym powodzeniem mogłaby próbować rozprostować podkowę.

- Chwileczkę, kajlin-og - cicho odezwał się do niej Wilczarz. - Nic mu nie zrobię.

Bliźniacy już stali obok nauczyciela.

- On naprawdę nic mu nie zrobi - wesoło zapewnił Dobrobor. - Gdyby zechciał, dawno by duszę zeń wytrząsł.

Dobroślaw potwierdził słowa brata skinieniem głowy.

- Chcę tylko jednego. Żeby twój narzeczony mnie wysłuchał - po wiedział Wilczarz. - Puszczę go, jeśli obieca, że znowu się na mnie nie rzuci. Odejdź, kajlin-og.

Ketarn podniósł głowę, otworzył usta... Wilczarzowi przemknęło przez głowę, że młodzieniec ma zamiar powiedzieć narzeczonej coś takiego, czego będzie się wstydził do godziny śmierci. Zresztą w ogóle byłoby lepiej, gdyby teraz jeszcze pomilczał trochę. Wilczarz lekko poruszył ręką. Ketarn w tym momencie zapomniał, co chciał powiedzieć, podrzucił do góry nogi i znowu zarył czołem w kurz.

Ane zrobiła krok w jego stronę, ale napotkała spojrzenie Wilczarza, które było jak mur nie do przebicia. Nieomylna kobieca intuicja podpowiedziała jej: Jeśli chcesz, by wszystko dobrze się skończyło, postępuj tak, jak każe ten człowiek. Obcy, do wczoraj nigdy wcześniej niewidziany i, co tu dużo mówić, straszny. Ane od małości uczyła, aby nie ufała nieznanym. Nikt nie wie, co przybysz może mieć na myśli, nikt nie zaręczy, że nie jest to zły duch, który wcielił się w człowieka.

Nie zaczęła krzyczeć i wzywać współplemieńców na pomoc. Posłusznie kiwnęła głową i odeszła.

- A teraz posłuchaj dorosłego człowieka - rzekł Wilczarz, wygodnie usadawiając się na plecach Ketarna. Narzeczony był może o rok młodszy od niego, ale to nie miało najmniejszego znaczenia. Wilczarz pochylił się niżej i kontynuował swoją opowieść już szeptem, tak aby jego słowa słyszał tylko Ketarn. - Czy miałeś odprowadzić dziewczynę do samego domu? Miałeś ojcu i matce przekazać ją z rąk do rąk? A czy przekazałeś? Tak ci się spieszyło, żeby odznaczyć się w zawodach w stójce na włóczniach? Przecież z wyroków waszego Trójroga nie mogłeś dopuścić, aby ktokolwiek inny mógł święcić triumfy. Miałeś okazję, żeby obronić swoją Ane przed trzema łajdakami jednocześnie, przed tymi, którzy związali jej ręce... Mnie zostawiłeś honor wybawiania jej z opresji, a teraz jeszcze jesteś niezadowolony?

Tych trzech łajdaków najpewniej rzuciłoby Ketarna w bagno, ale Wilczarz wołał o tym nie mówić. Dla niego to i tak była wyjątkowo długa wypowiedź. I - jak to zwykle u niego - niezbyt dorzeczna. Czuł, że wyczerpał swój przydział gadatliwości na siedmiodzień naprzód, a i tak nie udało mu się nic wyjaśnić. Czasu do namysłu, co jeszcze powiedzieć Ketarnowi, żeby nabrał rozumu, nie było wiele; z domu dochodziły przygluszone odgłosy - to służące już wstały i po cichutku zaczynały swoją krzątanie. Wilczarz wstał i jednym ruchem postawił na nogi oszołomionego Ketarna.

- Pójdiesz teraz do spichlerza i posiedzisz tam trochę cicho - po wiedział, wpychając młodego Welcha do środka i wpuszczając tam Ane. - Narzeczona ci wszystko opowie, a ty będziesz słuchał i ani słowem się nie odezwiesz. To bardzo mądra dziewczyna, więc dobrze ci radzę. A jeśli powiesz jej choć jedno nieprzystojne słowo, to język zwiążę ci w supeł. Albo okręcę wokół szyi.

Trudno było liczyć na uprzejmości ze strony Ketarna - młodzian przyzwyczajony do myśli, że nie boi się nikogo ani niczego, dosłownie zagotował się ze złości. Ale szybko ostygł. Wilczarz wypowiedział swoje przestrogi spokojnym, najwykolejszym na świecie tonem. I Ketarn - podobnie jak wcześniej wielu jemu podobnych - zrozumiał: Wen nie przesadza. On naprawdę zamierza spełnić swoje obietnice. I nie ma siły, która mogłaby go powstrzymać.

Ketarnowi zrobiło się niedobrze. Tak żołądek buntuje się przeciwko jedzeniu, którego nie jest w stanie strawić. Ane miała łzy w oczach. Chciała podbiec do umiłowanego, objąć go, uspokoić... ale on może ją w tym momencie odepchnąć. Ketarn też czuł, że pomiędzy nimi po raz pierwszy coś stało i przez to było jeszcze w dwójnasób boleśniej. Wilczarz, ostatecznie wyczerpawszy swoje niezbyt bogate zasoby pięknej mowy, stał za plecami Ane i ponuro popatrywał na nieszczęsnego narzeczonego. Gacek przebudził się i wysunął łebek spod złożonych skrzydeł. Jego oczy przypominające czarne koraliki wędrowały od jednej osoby do drugiej - próbował zrozumieć, czy nie jest potrzebna jego interwencja.

Ketarnowi pomału wracało czucie w ręce, która ucierpiała w krótkim starciu. Powrócił również ból. Rozum, który nakazywał młodzieńcowi zachowanie ostrożności, zaczął poszukiwać powodów, aby już więcej nie rzucać się na Wilczarza. Powód godny, który nie miałby nic wspólnego ze strachem...

Wen nie miał zamiaru czekać, aż Ketarn znajdzie taki powód.

- Nie wszystko jest takie proste, jak ci się wydaje - burknął i wy szedł na podwórzec, zostawiając narzeczonych samych. Gacek opuścił swoje stanowisko na gwoździu i wyfrunął w ślad za nim. Bezbłędnie trafił w szczelinę zamykających się już drzwi.

Będąc już na podwórku, Wilczarz podstawił ramię skrzydlatemu przyjacielowi i pogłodził go, jednocześnie uważnie słuchając, co się dzieje w spichrzu. Obawiał się, że kogucia duma mimo wszystko weźmie górę i Ketarn uczyni coś, co potem będzie bardzo trudno naprawić. Jednakże za drzwiami najpierw było całkiem cicho, a potem rozległ się głos Ane. Niezbyt głośny, lecz stanowczy i przekonujący. Gdyby Wilczarz chciał, mógłby rozróżnić poszczególne słowa. Ale nie chciał się wtrącać.

\*

Panience knezince przyśnił się sen. Sen mara. Ciężki jak kamień. Prawdę mówiąc, ostatnimi czasy wesole sny nawiedzały ją niezbyt często. Ale o tym można porozmyślać na jawie. A we śnie wszystko przyjmujesz tak, jak gdyby właśnie się działo.

*Knezinka Hellona stała na wąskiej kamienistej ścieżce. Na poboczu drogi nie rósł ani jeden krzaczek, ani jedna trawka. I z prawej, i z lewej strony piętrzyły się niedostępne szare skały. Nad poszarpanymi szczytami powoli przepływało kosmate szare niebo.*

*A zza skał... zbliżało się, podkradało, pełzło coś... nienazwane, pozbawione twarzy, coś, czego jeszcze nie było widać zza zakrętu. Knezinka wiedziała, że jeżeli choć kątem oka dostrzeże to coś, natychmiast umrze.*

*Obok niej był Wilczarz. Widziała jego plecy w kolczudze, której oksydowane ogniwka wystawały*

spod skórzanej kurtki. Powoli odstępował, zażarcie walcząc z kimś o wiele potężniejszym od siebie. Jej Nieznana Trwoga była dla niego po prostu wrogiem z krwi i kości, którego można zarąbać mieczem...

Potem knezinka zauważyła, że też ma na sobie kolczugę i hełm, w jej ręce połyskuje miecz. Z którym nie umiała się obchodzić.

- Uciekaj, pani! - nie odwracając się, zawołał ochryple Wilczarz.

I knezinka poczuła, że teraz ma siły, może się uratować. Po prostu uciec. Coś jej podpowiadało, że jest tutaj postronnym widzem. I dlatego może w każdej chwili odejść.

- A co będzie z tobą?! - krzyknęła.

Wilczarz nie odpowiedział Wymachiwał mieczem z całą swą nieziemską siłą - widziała go wielokrotnie na dziedzińcu zamku w Haliradzie, jak ćwiczył.

- O mnie się nie musisz martwić - rzucił jej wreszcie przez ramię.

Odwrócić się i spokojnie odejść... Knezinka nie mogła ani przyjść z pomocą Wilczarzowi, ani zostawić go tu samego. Mogła tylko umrzeć razem z nim. A do tego akurat jej ochroniarz nie chciałby dopuścić za żadne skarby świata.

Właśnie miała powiedzieć, że za nic go nie zostawi, ale nie zdążyła. Wilczarz zaczął padać. Zobaczyła jego wykrzywioną, zalaną krwią twarz. A zza skały - dziewczynie włosy stanęły na głowie - zbliżały się ku niemu jakieś kosmate macki...

Ścisnęła w wilgotnej dłoni rękojeść miecza, wydała z siebie straszliwy okrzyk, niezgrabnie rzuciła się na pomoc...

I wszystko się zmieniło.

We śnie zawsze tak jest. Jeśli natrafia się na coś nie do wytrzymania, coś, czego nie można przemóc ni pokonać, człowiek przenosi się do innego snu, który nie jest już tak straszny.

Ta sama ścieżka, ale w innym miejscu. Knezinka wiedziała, że to się dzieje już "potem". Uciekała co sił w nogach, klucząc pomiędzy szarymi głazami, bardzo się bała obejrzeć za siebie. Potem zobaczyła most. Długi, złożony z mnóstwa desek połączonych sznurkami. Był przerzucony nad przepaścią, na której dnie snuły się mgły. Z tego dna dochodził ponury, głuchy pomruk. Knezinka rzuciła się do ucieczki przez most i poczuła, że deski pod jej stopami się uginają. Ale nie tak jak pod zbyt wielkim ciężarem - miała wrażenie, że ktoś rąbie most za jej plecami. Jakiś człowiek w masce z kory brzoźowej po raz kolejny zamachnął się mieczem, aby przeciąć grubą linę, na której trzymała się cała konstrukcja, a Wilczarz nie pozwalał mu sięgnąć celu, odpychał go...

Knezinka podbiegła do ludzi, którzy czekali na nią na drugim brzegu przepaści. Most pod nią opuszczał się coraz niżej i niżej...

I znowu sen się urwał, gdy znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Tyle że tym razem się obudziła. Nie poderwała się z łoża z krzykiem, nie przeraziła służek. Po prostu poczuła, że wokół nie ma żadnych skał, nie ma mostu, jest tylko poduszka i kołdra. A przez haftowane zasłony przebija światło poranka.

Knezinka przekręciła się na drugi bok, podciągnęła wyżej kołdrę i z ulgą pograżyła w błogiej drzemce. Postanowiła nie otwierać oczu. Ale godzina była już dość późna, młode ciało zdążyło wypocząć i nie potrzebowało więcej czasu. Natomiast sen, który ją nawiedził, jeszcze pływał na powierzchni myśli, nie odszedł w niepamięć.

Wilczarz! - przemknęło jej przez głowę i oczy same się otworzyły. Mnie udało się uratować. A on na pewno zginął.

Przeraziła się. Kiedy we śnie spotykasz kogoś ze swego otoczenia, potem, na jawie, ta osoba wydaje ci się szczególnie bliska.

Coś mu się przytrafiło w nocy, myślała z lękiem. Został zabity, takie mam przeczucie...

Dech jej zaparło w piersi. Usiadła na posłaniu i spuściła nogi na zimną glinianą podłogę. Dotknęła talizmanu, który nosiła na szyi.

Sen, po prostu sen. Sny bywają prorocze, tak. Potem przez sto lat wspomina się takie sny. Dlatego że takie sny śnią się raz na sto lat. Jednemu człowiekowi z tysiąca ludzi. Ale kto powiedział, że właśnie ten sen ma się spełnić?

Wstała, pochwyciła szeroki płaszcz, narzuciła go na ramiona, zakrywając szeroką koszulę, w której spała, i odciągnęła zasłonę.

W sieni nie było już służebnic, tylko na progu myła się pręgowana kotka. Za drzwiami widać było ogromny, zalany słońcem podwórzec. Na podwórku knezinka spostrzegła Wilczarza.

Jej ochroniarz bawił się ze swoim skrzydlatym ulubieńcem. Podrzucał go wysoko na dłoni, Gacek kilka razy obracał się w powietrzu, a potem, nie rozwijając skrzydeł, spadał w dół. Zwierzak doskonale wiedział, że znajoma ręka go pochwyci, nie pozwoli upaść na ziemię.

Knezinka oparła się ramieniem o futrynę i zaczęła przyglądać się Wilczarzowi. Skąd mogła wiedzieć, że tę zabawę wymyślili dawno temu, w czasach kiedy Gacek nie mógł latać. Nagle przypomniała sobie, jak jeździli z Wilczarzem we dwoje nad Świątynię. I jak ją przeraził nieszkodliwy głuszc, który niespodziewanie porwał się do lotu z pobliskich krzaków. I jak ochroniarz momentalnie przewrócił ją na ziemię, zasłaniając własnym ciałem. A potem gładził ją po głowie i coś mówił, pocieszał, pomagał odpędzić złe strachy...

A teraz patrzyła na niego i czuła, jak odchodzą od niej zmory, jak znika we mgle zapomnienia potyczka, która przyśniła się jej tej nocy. Wilczarz jest tutaj. Z nią. Cały i zdrowy. Gdyby się coś stało, zdążyłby przyjść jej z pomocą. Nie płacz, pani - powie. Już nie ma się czego bać. Nic się nie stało.

Knezinka miała w głowie dobrze ułożone i nie zwykła długo rozpamiętywać ludzkich słów i postępków, nie doszukiwała się w nich drugiego dna. Doskonale wiedziała, co to znaczy, jeśli kobieta chce patrzeć mężczyźnie w oczy i chce spotykać spojrzenie jego oczu. Rozmawiać z nim i słuchać jego głosu. Wyciągać doń rękę i czuć jego dotyk. Na przykład kiedy podsadza ją na konia. Albo uczy, jak ma się bronić przed napastnikami...

Jakie wszystko wydaje się łatwe i proste, kiedy mówi się o kimś innym. Jak łatwo udziela się mądrych rad innym ludziom. Umysł tego, który radzi, jest spokojny i jasny, życiowe burze innych

mało go obchodzi. Natomiast patrząc z zewnątrz, można z łatwością dostrzec cudzy niepokój, jak na dłoni widać w nim cechy wspólne wszystkim ludziom od początku istnienia, które towarzyszyć im będą aż do skończenia świata. A samego siebie jakoś trudno włączyć do tej wspólnoty. Każdy żyje pierwszy raz, każdy jest dla siebie jedyny i неповtarzalny, a to, co się dzieje w jego życiu, jest wyjątkowe, odmienne, inne niż u innych.

Knezinka miała zaledwie siedemnaście lat i nigdy jeszcze nie była zakochana.

Do niedawna nie była zakochana...

Chciała wyjść i porozmawiać z Wilczarzem. Wszystko jedno o czym. Ale w tym momencie na podwórku pojawił się jeden z ludzi Promienia i knezinka, która nie przepadała za "bratem", schowała się za zasłonę. Dzięki temu nie było jej widać z podwórca.

\*

Bojar Promień doskonale wiedział, kogo posłać do Wilczarza. Na podwórzec wszedł, grzecznie zamknąwszy za sobą furtkę, potulny szczupłutki młodzian, który z uwagi na słabe zdrowie nigdy nie dotykał broni. Promień trzymał go przy sobie, gdyż chłopak był znakomicie wykształcony. Sam bojar nie lubił trudzić się pisaniem i czytaniem, choć obie te umiejętności posiadał. Wedle jego pojęcia pióro i atrament nie pasowały do wojownika.

- Panie - rzekł nieśmiało chłopiec, kłaniając się nisko. - Życzę ci pięknego dzionka, panie...

Najwidoczniej bał się Wilczarza, kulił się jak szczeniak. Wen zastanowił się, skąd ten strach. A potem przypomniał sobie o łajdakach, z którymi rozprawił się w nocy. Musieli przywlec się wreszcie do obozowiska i naopowiadali niestworzonych historii na swoje usprawiedliwienie. Przypomniał sobie jeszcze coś.

Gdyby tak choć przez chwilę móc posłuchać ich opowieści, pomyślał z uśmiechem. Ciekawe, ilu Wenów trzymało każdego za ręce, kiedy pozostali okładali ich z prawa i z lewa...

- I tobie życzę dobrego dnia - rzekł do gońca.

- Panie... - Młody pisarczyk znowu zaczął się kłaniać. - Bojar Promień nakazuje ci, byś przyszedł do niego, panie...

Gacek przekoziółkował w powietrzu i szczęśliwie wylądował w dłoni Wilczarza.

- Bojar powiedział, że każe mnie wychłostać, jeśli cię nie przyprowadzę, panie... - Oczy młodziana napełniły się łzami.

Złapawszy Gacka po raz ostatni, Wilczarz posadził go na ramieniu i zmierzył młodzieńca groźnym spojrzeniem.

- Może cię i wychłoscze, jakoś wytrzymasz. Uważasz, że lepiej będzie, jak się nad tobą zlituję, a knezinkę w tym czasie ktoś zarżnie?

Chłopakowi zaczęły drżeć wargi, chlipnął żałościwie, odwrócił się i pobiegł przed siebie.

Czy Promień rzeczywiście wychłostał pisarczyka - tego nikt się nigdy nie dowiedział. Po pewnym czasie Lewy pojawił się na podwórku przed siedzibą knezinki osobiście. Oczywiście przyjechał nie sam, lecz w eskorcie Pliszki i Kanaona. Bracia Dobrzy dyskretnie przybliżyli się do nauczyciela i stanęli w odpowiedniej odległości.

Zbrojni ludzie bojara pierwsi zeskoczyli z koni, Promień zsiadł ze swego gnadosza, opierając się na ich ramionach, jak gdyby był ciężko chory. Rzeczywiście wyglądał nie najlepiej. Twarz miał koloru szarego, oczy przekrwione, a źrenice jak główki szpilek. Wczoraj, kiedy już było wiadomo, że dziewczyna się nie zjawi, zażył swego proszku - ale do kielicha z winem wrzucił sześć kryształków, jak czynili to ci, którzy szukali błogostanu, tylko jeden. Czasami tak się postępuje, kiedy chce się ożywić blaknące się po głowie myśli. Albo kiedy chce się pobudzić zmęczone ciało. Wilczarz wiedział, jak działa proszek w obu przypadkach, i wzmógł czujność. Promień tylko na pierwszy rzut oka wydawał się osłabiony. Wen doskonale wiedział, co kryje się za tym jego spokojem. Niejednokrotnie widział, jak bojar podczas ćwiczeń walczył na miecze z kilkoma pachołkami jednocześnie i dawał sobie radę ze wszystkimi. Drużyna, która ma jednego czy dwóch takich wojowników, uważana jest za świetną. A w obecnym stanie Promień był o wiele groźniejszy niż zwykle...

- Witaj! - rzekł Lewy uprzejmie.

Wen obejrzał się za siebie, spojrzeniem wezwał Dobrobora. Chłopak natychmiast podbiegł.

- I bojarowi przekaz ode mnie życzenia dobrego dnia - rzekł Wilczarz.

Promień przeszedł się kawałek w jedną stronę, zawrócił i wesoło pogroził mu palcem.

- Uparty jesteś, Wilczarzu. Cały czas uważasz mnie za wroga, nawet nie chcesz się zwracać bezpośrednio do mnie. Obrażasz mnie, Wenie! A ja nie przyszedłem tu szukać z tobą zwady. Chciałem ci podziękować. Tak, chcę ci wyrazić wdzięczność za to, że zadbałeś o mój honor lepiej niż moi ludzie. Trzech durniów podczas biesiady ubzdurało sobie, że ta dziewczyna wpadła mi w oko. Postanowili przynieść mi ją w darze... A tyś szlachetnie postąpił, odbierając ją tym głąbom i nacierając im uszu. Powiadają o całej grupie, ale przecież byłeś sam, nieprawdaż? Odesłałem ich, żeby mnie więcej nie hańbili... A dokąd zaprowadziłeś dziewczynę? Chciałbym się z nią rozmówić, aby nie miała do mnie żalu...

Wilczarz znowu odpowiedział, zwracając się do Dobrobora:

- Przekaż bojarowi, że dziewczyna postanowiła służyć pani i pozostanie przy niej tak długo, jak długo potrwa gościna.

- A więc to tak... - Bojar się uśmiechnął. Widzę cię na wylot, mówiło jego spojrzenie. Schowałeś dziewczę. Mądrze. Ostoniłeś ją knezinką...

Za coś ich odesłał, bojarze? - myślał tymczasem Wilczarz. Czy naprawdę za to, że zhańbili twe imię? A może zhańbili twe imię przez to, że mnie jednemu nie potrafili we trzech skrócić karku?

Bojarowi nie udało się uśmiechnąć beztrąsko. Odurzający proszek robił swoje, czyniąc uśmiech coraz mniej ludzki. Promień rozwiązał tasemki sakiewki, którą nosił przy pasie, i wyciągnął z niej długi naszyjnik. Przez chwilę z zadowoleniem przyglądał się grze słonecznych blasków w paciorkach, po czym wyciągnął rękę ku młodszemu z ochroniarzy. Doskonale wiedział, że starszy nic od niego nie weźmie.

- To dla niej. Niech nosi na zdrowie i nie wspomina mnie źle. Dobrobor obiecał, że przekaże dar.



Naszynnik był z tych, jakimi w Haliradzie obdarowywali swe dziewczyny chłopcy z biedoty. Przeznaczano na nie prawie darmową smołę, którą dobywano w okolicach miasta. Przypominała bursztyn, ale w przeciwieństwie do niego bardzo łatwo się topiła. I można ją było bez trudu rozgnieść w palcach. Czyli tandeta nad tandety, ale pomysłowość rzemieślników i w tym względzie nie znała granic. Niektórzy wlewali płynną smołę w foremki o różnych kształtach i nanizywali na nitki koguciki, kaczuszki czy koniki. Inni - oszuci czystej wody - dodawali piasku, trochę ściółki leśnej i martwe owady, od mrówek po tłusciutkie karaluchy pojmane w pobliskiej oberży. Bryłki po ostygnięciu rozbijali na kawałki o nieregularnych kształtach i sprzedawali nieświadomym podstępem cudzoziemcom jako prawdziwe samородne bursztyny. Kiedy bojar odjechał, Wilczarz poobrać naszynnik w palcach i oddał Dobroborowi. Skoro wziął, niech teraz przekazuje.

- Powiedz jej, żeby najpierw dokładnie go wymyła - poradził młodzieńcowi.

- Dlaczego nie chcesz rozmawiać z bojarem? Dlaczego zwracasz się do niego przez pośrednika? - spytał zaciekawiony Dobrobor.

Wilczarz wzruszył ramionami. Próbował znaleźć odpowiedź. Nie mógł przecież tak prosto z mostu powiedzieć, że po prostu nie lubi Promienia i boi się, że mu kark skręci. Bracia lubili Lewego nie bardziej niż ich nauczyciel. Ale starcie z bojarem mogło się chłopcom, wychowanym przy drużynie, przyśnić tylko w koszmarnym śnie. Jakże to tak! Wszak to witeź nad witezie, po lewej stronie tronu knezia stał! A więc i tutaj reprezentuje wolę knezia. Czyż to widziane rzeczy, żeby on, wódz, mógł zgotować im zgubę? Albo żeby oni ostrzyli nań swe miecze?

Kiedy tak Wilczarz rozmyślał, nagle poczuł w piersiach maleńki gorący węgielek, który wkrótce zamienił się w płomień. Jak zawsze walczył do ostatka, starał się nie dopuścić do ataku kaszlu, ale jak zwykle, tak i tym razem nie mógł nad tym zapanować. Ciężko przysiadł na ziemi, a Gacek, rozpaczliwie piszcząc, zaczął krążyć nad jego głową.

Wilczarz poczuł w ustach smak krwi. Nagle zdał sobie sprawę, że obok niego stoi knezinka. Kto jak kto, lecz akurat ona nie powinna wiedzieć o jego przypadłościach. Nie powinna. Zebrał wszystkie siły i kaszel szczęśliwie przeszedł. To był cud. Takie cuda zdarzają się raz w życiu.

Wilczarz otworzył oczy i rzeczywiście zobaczył nad sobą knezinkę. Z jej oczu wзираł niepokój.

- Co z tobą, Wilczarzu? Co z tobą? Wstał.

- To nic, pani. Nic.

Na szczęście głos go nie zawiódł i w oczach knezinki coś zgąsło. Wydawało się, że chciała z nim porozmawiać, lecz się rozmyśliła. Nie powiedziała ani słowa, odwróciła się i odeszła.

\*

Młoda pani gościła w Krynicy jeszcze trzy dni, przez ten czas nie doszło do żadnych kłótni między gospodarzami i gośćmi. Nikt na nikogo nie spoglądał krzywo, ale chyba nie trzeba dodawać, że do samego odjazdu gości z Haliradu miejscowe dziewczyny - i z samej Krynicy, i z wioski na bagnach - chodziły zawsze w towarzystwie ojca, braci lub narzeczonego. Wilczarz podejrzewał, że słowa podziękowań za to należały się nie Ketarnowi, lecz jego narzeczonej, która szepnęła do ucha kilka słów matce i przyjaciółkom. A potem orszak knezinki musiał ruszać w

dalszą drogę.

Wilczarz już wyprowadził Siarka ze stajni. Przyglądał się, jak słudzy i ochoczy pomocnicy spośród miejscowych Welchów ładują na wozy kosze z dobytkiem pani. Pakowanie szło w najlepsze, kiedy do Wilczarza podeszła Ane, a wraz z nią Ketarn, który nie wiedzieć czemu chował rękę za siebie.

- Odjeżdżasz - powiedział Welch po kilku słowach powitania. - Jeśli zdarzy ci się przejeżdżać w pobliżu, zajrzyj do nas.

- Może i zajrzę - odparł Wilczarz. Wydawało mu się, że przez te kilka dni Ketarn wydorósł, przybyło mu dziesięć lat. W każdym razie ze skorego do zwady młodzieńca zmienił się w odpowiedzialnego młodego mężczyznę.

- Weź to na pamiątkę - z nagłą rzekł syn riga. - Żebyś naprawdę nie zapomniał drogi do nas.

Wyciągnął przed siebie rękę i podał Wilczarzowi kindżał. Kindżał z rękojeścią w kształcie połączonego człowieczka. Broń przywiezioną z pola bitwy na Trzech Wzgórzach.

Wilczarz pokręcił głową.

- To zbyt drogi подарок. Nie mam nic, co mógłbym oddać w za mian.

Ane zajrzała mu w oczy.

- Czyżbyś już nam nie odplacił? - spytała chytrze. A Ketarn dodał:

- Nie rób mi przykrości, weź. Chciałem tego użyć przeciwko dobremu człowiekowi... Ręka będzie mnie palić, jeśli znów wyjmę go z pochwy.

Cóż było robić, Wilczarz wziął dar i przytroczył sobie do pasa. Ledwie skończył, Ane podeszła do niego bliźutko. Stała na palcach i mocno objęła rosnącego Wena za szyję, zmusiła, by się nachylił, i nie bacząc na gapiów, mocno pocałowała go w usta. Oszołomiony Wilczarz popatrzył nad jej głową i spotkał się spojrzeniem z Ketarnem. Zazdrosny narzeczony mrugnął do niego okiem, a potem spiskowcy się uśmiechnęli. Historię, zmyśloną przez Promienia, znali wszyscy. Prawdę - tylko ich troje. I może jeszcze starosta. Ane zrobiła pół kroku w tył.

- A gdzie masz naszyjnik? - spytał ją Wilczarz.

Dziewczyna roześmiała się, znowu kazała mu schylić głowę i szepnęła na ucho:

- Podarowałam bogu mokradeł!

*Kiedyś były czasy! Jak ludzie, jak kraje całe rozkwitały!  
A potem nagle przestały. A potem nawet poznikały.  
W trzęsawisku głębokim wciąż czai się Zło  
i bohater tam żyje, który za cenę życia w bagnie utopił TO.*

*Co tam było? Kiedy? Po wielu, wielu latach  
i bagno, i pamięć popadły w zapomnienie.  
Tylko ludziom się zdaje, że Zło ciągle chce wychynąć.  
Powiadają, że nocą po bagnach błądzą cienie.*

*Powiadają, że tam w dole nadał toczy się bój:  
Bohater ciągle trzyma za gardło nienawistną bestię,  
nawet po śmierci poświęca spokój swój,  
aby świat mógł żyć. I nagrody nie chce.*

## **Rozdział 11**

### **“To nie ona!”**

Siwur od zarania dziejów był uważany za rzekę graniczną. Tu kończyła się dziedzina haliradzkiego knezia. Dalej aż do samych Bram Welimoru ciągnęły się ziemie zamieszkane przez plemiona, które nikomu nie płaciły daniny. Gdzieś po lasach można było trafić na wioski, ale nikt nie liczył na to, że którakolwiek z nich zgotuje knezince takie powitanie jak Krynica należąca do Welchów z łąk. Co gorsza wszyscy doskonale wiedzieli, że miejscowa ludność radzi sobie jak może i nie stroni od rozboju. W niedalekiej przyszłości, kiedy oba państwa zaczną prowadzić ożywiony handel i po drogach tych zaczną kursować kupieckie tabory, wzdłuż uczęszczanego traktu powstaną osady strażników wynajmujących się do ochrony wozów, a drogę patrolować będą uzbrojone oddziały. Ale teraz nie było o tym jeszcze mowy.

Przez głębokie wody rzeki Siwur trzeba było przeprować się na płaskodennym promie napędzanym wiosłami. Prom spuszczano na wodę przede wszystkim dla podróżnych na delikatnych, nieprzyzwyczajonych do trudów i niebezpieczeństwa koniakach. Sami Welchowie, jeśli chcieli przepłynąć na drugi brzeg, wyciągali ze składników zwrotne owalne łódki obszyte byczą skórą, a zaprawione w przeprowach konie pokonywały rzekę wpraw. W Krynicy ludzie jeszcze pamiętali, jak bohaterowie dawno minionych czasów wybierali sobie wierzchowca, który miał im towarzyszyć na dobre i na złe. Do rzeki zapędzali tabun żrebaków i patrzyli, które w popłochu wyskakują na brzeg, a które odważnie wypływają na głębinę.

Przeprowa przez taką rzekę jak Siwur nie jest bezpieczna. Siwur to nie pierwszy lepszy leśny strumyczek, który koń może pokonać w bród, nie mocząc brzucha. Dowódcy oddziałów towarzyszących knezince zebrali się na naradę koło wyciągniętego na brzeg proma.

Przybył także Promień ze swymi przybocznymi, przyszli starostowie formacji wystawionych przez haliradzkie wspólnoty Solwenów, Welchów i Segwanów. Przyszedł i Wilczarz. Nigdy nie pchał się pomiędzy wysokie godności, ale starszy osobisty ochroniarz knezinki powinien chociaż wiedzieć, co wodzowie planują. Aptachar powitał go po przyjacielsku, Mal-Gona, rudowąsy starosta drużyny Welchów, uprzejmie się uklonił, Solwen Chwat obojętnie skinął głową.

Bojar Promień niezadowolony marszczył brwi, przechadzał się wokół proma i od czasu do czasu trącał nogą grube, nasyczone smołą bale. Czarna smoła zabrudziła zielone, haftowane kolorowym jedwabiem buty, ale nie zwracał na to uwagi - sam nie będzie ich czyścił, od czego ma służyć i niewolników.

- Dziurawy łapeć - taką opinię wyraził o promie, powróciwszy do pozostałych uczestników narady. - Dobrze będzie, jeśli choć raz zdoła przepłynąć rzekę i nie rozwali się na środku! A więc zrobimy tak: nasamprzód suchym promem przewieziemy siostrę z jej słuźącymi i dziesięcioma zbrojnymi, którzy będą jej strzec. Potem zaczniemy przewozić członków mojej drużyny i ludzi z Welimoru... dopóki ta krypa całkiem się nie rozpadnie. Wy, ludzie z miasta, zabierzcie się potem,

po drużynie. A jak nie będziecie chcieli czekać - to możecie przeprowić się na łódkach albo wplaw razem z końmi. To nic takiego, nie rozpuścicie się w wodzie.

Trzej witezie z drużyny Promienia ze znudzonymi minami przestępowali z nogi na nogę za plecami bojara. Cokolwiek ich pan zdecyduje, oni przyjmą z radością i wdzięcznością. Wilczarz szybkim spojrzeniem przebiegł po twarzach dowódców miejskich wspólnot: czy nie zaczną protestować? Nie protestowali. Oni mają się dobrze bić w razie potrzeby, a podejmowanie decyzji należy do znaczniejszych ludzi. Wilczarz spytał sam siebie, czy ci trzej raczyli tak jak on zawczasu dokładnie obejrzeć prom i przekonać się, że płaskodenna łajba jest wprawdzie nienowa i z wyglądu niepozorna, ale daleko jej do stanu rozkładu. Ponadto korzystano z niej nie tak znowu dawno, przeto nie zdążyła się rozeschnąć...

- A zatem postanowione - oznajmił Promień.

- Nie - powiedział Wilczarz, patrząc pod nogi. Wszyscy odwrócili się do niego.

- Jak to nie? - zdziwił się rozdrażnionym tonem bojar. Na jego kościach policzkowych pojawiły się czerwone plamy. - Jak to nie?

- Nasamprzód powinna przeprowić się połowa zbrojnych. Albo nawet więcej. Przy czym tyle samo witeziów z drużyny, co ludzi z miasta - rzekł Wilczarz.

Popatrzył na rzekę. Na drugi brzeg, gdzie miał przybić prom. Była tam rozległa polana, o średnicy na odległość strzału. A za polaną - zwarta ściana lasu. I to nie pięknego boru, jak po tej stronie rzeki, lecz gęstych kniei, wielkich jodeł przetykanych nienaturalnie ogromnymi brzożami. Droga prowadząca przez polanę do lasu zaraz gdzieś skręcała. Gąszcz został już oczywiście spenetrowany zarówno przez miejscowych, jak i przez ochotników z oddziału, ale przeprowić tam knezinkę i zostawić ją ze służebnymi i mizernym dziesięcioosobowym oddziałem zbrojnych...?

- Kiedy dosiędą koni - ciągnął Wilczarz - przeprowimy knezinkę. A potem pozostałych.

- Co takiego?! - Bojarowi aż zabrakło tchu. - Kto tu gębę strzępi? Sławny wódz zbrojnych chorągwi? Zwierzchnik dwóch pachółków?

Witezie wyraźnie się ożywili, ale Wilczarz nie ruszył się z miejsca i nic bojarowi nie odpowiedział.

- Dobrze! - rzekł Promień. - Zrobimy tak, jak powiedziałem, a komu się nie podoba, niech wraca do Haliradu.

Wilczarz nadal patrzył w stronę rzeki.

- Dopóki żyję, pani na pierwszy prom nie wsiądzie - wycedził przez zęby, oddzielając każde słowo.

Witezie zamyślili się, a nawet zasępilli. Dowódcy oddziałów niepewnie spoglądali po sobie. Pierwszy, odkaslnąwszy w zwiniętą pięść, odezwał się Aptachar.

- Ja to bym go posłuchał, jaśnie wielmożny Promieniu. Niech mnie Hogg zje, to, co on mówi, wcale nie jest głupie.

Solwen Chwał na wszelki wypadek się odsunął, żeby nikt go nie podejrzewał o współudział w wicherzycielstwie. Za to Mal-Gona potargał swoje wąsiska i z zapalem poparł Segwana:

- Nasi bracia, Welchowie z Krynicy, na pewno nie daliby ban-rionie dziurawego promu. Ochroniarz do rzeczy gada, wielmożny panie.

- Tego chciałeś? O to ci chodziło? - drżącym od gniewu głosem Promień odezwał się do Wilczarza. - Żebyśmy się między sobą skłócili? A może jeszcze za łby się wzięli? A leśni rozbójnicy tymczasem siostrę moją do worka wsadzą. Tak?

Wilczarz popatrzył w oczy starości Segwanów i powiedział:

- Przekaż, proszę, Aptacharze, bojarowi, że nie zamierzam nikogo z nikim poróżnić. Ale pierwszym promem knezinka nie popłynie.

Kątem oka dostrzegł, że bojar Promień zatrząsł się cały. Zobaczył także podchodzącego doń posła z Welimoru. Szlachetny Narlak w czymś przypominał mu Fitełę. Czy to z czarnych włosów przetykanych srebrnymi nitkami siwizny, czy to ze spokojnej godności człowieka, który wprowadzie nie para się wojaczką, ale potrafi obronić się sam.

- O co się spieracie, panowie? - spytał Welimorzanin, podchodząc i składając pokłon.

Chwat, który zrozumiał, że nie można już dłużej milczeć, zaczął mu wyjaśniać:

- Więc tak, zacny panie Dungormie, Promień, syn Łękawy, powiada, że prom jest rozklekotany i chce pierwiej przewieźć Hellonę, córkę Gluzda, a jej ochroniarz się upiera i powiada, że nasamprzód trza połowę zbrojnych przewozić...

Posel Dungorm obrzucił adwersarzy uważnym spojrzeniem. Na uznaniu bojara wcale mu nie zależało, natomiast wielce był zainteresowany tym, aby dowieść narzeczoną pana na miejsce całą i zdrową. Wzruszył ramionami i zaproponował:

- Ja z moimi ludźmi chętnie sprawdzę wytrzymałość promu. Przeprowimy się choćby dziś, a jutro można będzie przeprowić panienkę w pierwszym rzucie...

Promień nie miał innego wyjścia, jak przystać na propozycję Dungorma. Zapewne zrozumiał, że jeśli zacznie się upierać, wyda się to dziwne. Wilczarz jednak słyszał, jak bojar zgrzyta zębami.

A może jednak miał jakiś ukryty zamiar w tym, aby przeprowić knezinkę samą na tamten brzeg? Czemu Lewy tak obstawał przy swoim? - przemknęło Wilczarzowi przez głowę. Czy tylko z pychy?

Początkowo ta myśl wydała się nazbyt fantastyczna. Mimo to nie wyrzucił jej z pamięci. Tyle w życiu widział. Zdążył nauczyć się zasady: jak chcesz dłużej pożyć na tym świecie, zawsze bądź gotowy na najgorsze. I jeszcze jedno. Są ludzie, których nie trzeba doprowadzać do ostateczności, bo byliby skłonni sprzedać własną matkę.

Albo siostrę.

Oczywiście tej nocy Dobrosław przez cały czas trzymał straż przy promie, a Dobrobor co chwilę go odwiedzał na posterunku. Kiedy rozpoczęła się przeprawa, Wilczarz sam wprowadził knezinkę na pokład i nie odstępował jej na krok. Kiedy do drugiego brzegu zostało nie więcej niż półtora strzału, rzekł do Heliony:

- Pani, bądź tak dobra i włóż kolczugę. Knezinka zmierzyła go spojrzeniem.

- Też mi coś. Nie, nie włóżę. Nie ma powodu.

- Włóż, pani - powtórzył Wilczarz.

Podniosła na niego oczy. Patrzył na nią spokojnie i posepnie. Widać było, że już od dawna się nie wyspał. Skoro mnie najęłaś, bym cię strzegł, to przynajmniej się nie sprzeciwiaj - to miał wypisane na twarzy. Zrobiło jej się wstyd. Pochyliła głowę i wzięła z jego rąk kolczugę z błyszczącego metalu, któremu nie mogła zaszkodzić nawet morska woda.

Nie zaczęła wypytywać Wena, czemu ją o to prosił, ale zauważyła, że cały czas stał blisko niej i osłaniał ją własnym ciałem od niebezpieczeństw, które mogły jej zagrażać z tamtego brzegu. Już prom ze zgrzytem wrył się płaskim dnem w drobny przybrzeżny piasek, już do burty przystawiono żebrowany trap z desek jodłowych, mogący wytrzymać nacisk zapakowanej po brzegi fury. Dungorm zawczasu zadbał o to, by jego ludzie czekali ustawieni w równych szeregach, a sam podszedł, aby powitać knezinkę, która właśnie w tym momencie przekraczała granicę państwa Solwenów. Ale uroczystość się nie udała. Dungorm ze zdziwieniem zobaczył, że przed panią na brzeg zeszło trzech ochroniarzy osłaniających ją swymi szerokimi barami. Każdy z nich trzymał gotowy do strzału łuk z mocną strzałą, która zdolna była przebić pancerz. Ochroniarze natychmiast zaprowadzili dziewczynę do szałas, który zbudowali zapobiegliwi Welimorzanie. W ślad za nią wprowadzili służące i niańkę. Dopóki trwała przeprawa, nikomu nie pozwalali nosa wysunąć na zewnątrz.

Obrażony Promień całym sobą pokazywał, że nie wierzy w żadne niebezpieczeństwo. Odszedł ze swoimi ludźmi w najdalszy koniec polany. Wkrótce z tamtej strony dały się słyszeć uderzenia drewnianych mieczy. Lewy nigdy nie zapominał o jednej powinności: o ćwiczeniach z bronią.

Poseł z Welimoru naturalnie musiał wejść do szałas, chcąc okazać panience szacunek. Kiedy wyszedł, zatrzymał się, aby porozmawiać z Wilczarzem, który siedział przed szałasem. Dungorm był wielkim panem, wielmożą wywodzącym się ze znakomitego rodu, ale młode lata spędził przy wojsku, na wyprawach i nie uważał, że rozmowa ze zwykłym wojem jest rzeczą uwłaczającą jego godności. Ponadto nieźle znał się na ludziach i w czasie tej podróży zdołał się przekonać, że ochroniarz Wen wcale nie jest tępowym zabójcą podobnym do zwierza, za jakiego go uważa połowa haliradzkiej drużyny.

- Obaj chcemy szczęśliwie dowieźć panią na miejsce - zaczął Dungorm. - I dlatego nie miałbym nic przeciwko temu, by się dowiedzieć, dlaczego zachowujesz się w ten sposób, Wilczarzu. Bo zwą cię Wilczarz, nieprawdaż?

- Może i zwą - odparł Wen bez szczególnej ochoty.

Na brzegu uwijali się ludzie - z promu ostrożnie sprowadzano furę, obok wyciągano na piasek skórzane łódki Welchów. Zbrojni wyprowadzali z wody zmęczone, parskające konie, które przepłynęły Siwur. Wilczarz pilnie potrzebował obecności Aptachara albo Mal-Gony, ale obaj dopiero mieli się przeprowiać. Dlatego prawie nie patrzył na brzeg. Nie odrywał wzroku od rosnących jodeł, które jak ściana zamykały nadbrzeżną polanę.

- Za co tak nie lubisz bojara Promienia? - spytał Welimorzanin. - To odważny wojownik, a na dodatek krewny naszej panienki.

Wilczarz nie miał najmniejszej ochoty odpowiadać na te pytania. Dungorm pomyślał lekko

obrażony, że haliradcy witezie nie tak znowu mocno mijali się z prawdą. Jedno musiał przyznać: choć wściekły, dziki i nieokrzesany, Wen strzegł knezinki jak wierny pies.

- Nie myśl, że tylko ty pragniesz dobra dla pani i nikt oprócz ciebie - rzekł Dungorm i już miał zamiar odejść, kiedy Wilczarz rzucił mu szybkie spojrzenie i warknął:

- Co sobie myślę, to nie takie znowu ważne. Tylko że gdybym chciał zabić knezinkę, to przygotowałbym zasadzkę właśnie tutaj.

Dungorm zezłoszczony poklepał się po kolanie.

- Zasadzkę! Orszak jest wprawdzie bogaty, ale i dobrze broniony! Kto miałby czelność? Czy nie chodzi ci raczej o to, by pokazać, że nie za darmo jesz chleb?

W innych okolicznościach Wilczarz nie wypowiedziałby już ani jednego słowa i nie ciągnąłby tej rozmowy dalej. Ale teraz musiał zapomnieć o swoich przyzwyczajeniach. I o swojej dumie. Ponadto w drodze przyjrzał się Dungormowi i doszedł do wniosku, że Narlak nie jest głupcem i rzeczywiście bardzo troszczy się o knezinkę. Toteż Wilczarz zadał jeszcze jedno pytanie:

- Powiedz lepiej, zacny pośle, czy twoi ludzie, którzy rozbijali tu obóz, nikogo nie widzieli?

- Nikogo. - Dungorm wzruszył ramionami. A potem zastanowił się przez chwilę i przypomniał sobie. - To znaczy widzieli jakiegoś oberwańca... zapewne myśliwego. Chłopcy mówili, że na ich widok się prze raził i uciekł, nie oglądając się nawet za siebie. A ty mówisz: zasadzka!

Wilczarz po raz pierwszy odwrócił się do niego twarzą. Jego jasne oczy stały się bardzo czujne.

- A czy ten myśliwy nie uwił sobie gniazda gdzieś na drzewie? O tam...

Pokazał ruchem głowy miejsce, gdzie olbrzymie jodły rosły gęsto jedna przy drugiej. Ich gałęzie zwiślały nad polaną. Dungorm nie odpowiedział, ale odszedł w wielkim pośpiechu. Wilczarz słyszał, jak welimorski poseł zawołał dowódcę swego oddziału.

Jeśli cokolwiek znajdą, nie uwierzę już w żadne słowo Lewego, powiedział sobie w duchu. W żadne.

Wśród Welimorzan znaleźli się zmyślni wojowie, którzy potrafili bezszelestnie poruszać się w ciemnej leśnej gęstwinie i wtapiać w cień. Dzień minął spokojnie, ale o zmierzchu zauważyli człowieka - cichuteńko podkradał się do ogromnej trzystuletniej jodły, która rosła w pewnej odległości od polany, za to górowała nad innymi nie tylko wysokością, ale i gęstością igliwia. Welimorzanie zawołali tego człowieka, kiedy właśnie zamierzał się na nią wdrapać. Usłyszawszy wołanie, zadrżał, potem podskoczył i ze zwinnością kota wspiął się na górę. Strzały Welimorzan okazały się jednak szybsze - jedna ugodziła go w nogę, przygwoździwszy do pnia. Kilku wojów prędko wspięło się w ślad za nim w nadziei, że zdołają pochwycić nieznanego i zaprowadzić do obozu. Jednak się spóźnili. Człowiek zdał sobie najwidoczniej sprawę, że nie zdoła ująć pogoni, i wbił sobie w rękę maleńki, ale bardzo ostry nożyk, na którego ostrzu znajdowała się jakaś trucizna. Welimorzanie ściągnęli z drzewa trupa ubranego w strój myśliwego, podarty i ubogi.

Welimorscy wojowie ponownie weszli na drzewo i odkryli tam wygodny pomost z żerdzi, z którego jak na dłoni widoczne było całe obozowisko. Na pomoście znaleźli niewielki, ale zadziwiająco mocny i dalekostrzelny łuk z twardą skórzaną cięciwą. I strzały. Połowa strzał była



pokryta nasyconymi smołą pakułami i wyposażona w dwuzębne nakładki. Takie strzały z zapalonymi pakułami wywołują pożar, a dzięki ostrym nakładkom trudno je wyrwać z miejsca, w które się wbiły. Groty pozostałych strzał były zatrute. Tą samą trucizną, która strzelca pozbawiła życia.

Martwe ciało bez zbędnego hałasu zakopano pod jodłą. A zanim pochowano, dokładnie je obejrzano. Nie znaleziono niczego poza maleńkim tatuażem. Pod lewą pachą zabitego widniał siny Znak Ognia z ramionami zakrzywionymi do środka.

\*

Droga była prosta jak strzełił, mimo to Welchowcie z Krynicy wysłali z knezinką przewodnika. A ściślej mówiąc, przewodniczkę - szarooką wojowniczkę Ertaną. Odważnej dziewczynie zdarzało się wyprawiać daleko od rodzinnej wioski, także do Gór Zamkowych.

Wyniosła uroda Welchinki przyciągała uwagę młodych wojów. Wielu starało się do niej zbliżyć, ale napotykali lodowatą pogardę. A kto nazbyt mocno wyrażał nieposkromione żądze, natrafiał na zaciekły opór i potem nie wiedział, jak ma ukryć siniaki. Ertana sama wybierała, z kim ma się przyjaźnić, a z kim nie. Po kilku dniach marszu jakoś samo tak wyszło, że trzymała się jak najbliżej wozu knezinki, jechała strzemię w strzemię z Wilczarzem i bez ustanku opowiadała mu o okolicach, które mijali. Po jakimś czasie zaczęli do nich dołączać i Mal-Gona, i Aptachar, i nawet Chwat. Ciekawych opowieści Ertany z przyjemnością słuchała też sama knezinka, która jechała albo na wozie, albo wierzchem na Śnieżynce.

Wkrótce mieli dotrzeć do rozdroża, gdzie zbiegały się dwie drogi: Stara i Nowa. Nowa kluczyła wśród kamienistych wzgórz, gdyż źródła występowały rzadko, a woda w nich była niesmaczna, wapienna. I trudno było tam znaleźć miejsce na postój. Podróżny, który wybierał Nową Drogę, musiał być przygotowany na co najmniej dwie noce (a przy wolniejszej jeździe i trzy) spędzone w owiewanej silnymi wiatrami okolicy, na dodatek musiał zabrać ze sobą drwa - wśród szarych skał i głazów nie znalazłby niczego do rozpalenia ogniska.

Natomiast Stara Droga wiodła przez cudowne lasy, które z dawien dawna słynęły z obfitości zwierzyny. Można było tu też zbierać "straszne", jak powiedziała Ertana, grzyby.

- Zdarzyło mi się kiedyś... przysiąc - wesoło i bez cienia zażenowania, wywołując uśmieшки na ustach mężczyzn, opowiadała Ertana o swojej wyprawie w te okolice. - Rosły tam paprocie, wielkie, sięgały mi o dotąd, a takie rozłożyste i gęste, że ziemi nie było widać. Przysiadam ci ja, patrzę, a pod paprociami jeden koźlaczek przy drugim. I to jakie! Każdy wielkości flaszki. Zupełnie zapomniałam, po com tu przysła. Rzuciłam się zbierać. I żeby choć jeden robaczywy się trafił!

A jednak... Stara Droga była nieuczęszczana, i to od dosyć dawna. Rozsądni ludzie jeździli Nową. Ta właśnie droga była zaznaczona na czerwono na mapie Wilczarza: sam kneź Gluzd, jadąc do Welimoru i z powrotem, wolał wybrać drogę przez skaliste wzgórza. Wilczarz zapytał Welchinkę dlaczego.

- To z powodu bagna - odpowiedziała niechętnie, a Wen zauważył, że uczyniła ręką znak odganiający siłę nieczystą. - Stara Droga pro wadzi skrajem trzęsawiska. A to miejsce przekłete.

- Czemu przekłete? - spytała knezinka Hellona. Siedziała z przodu powozu i od czasu do czasu brała wodze z rąk starej piastunki. Ertana nie odpowiadała. Knezinka wzruszyła ramionami. - Czy w miejscu, które cieszy się taką złą sławą, mogą rosnąć takie dorodne grzyby, o jakich dopiero co opowiadałaś? Przecież jeszcze w ziemi zjadłyby je robaki. Poza tym sama pewnie też nie zechciałabyś ich zbierać.

Ertana westchnęła i znowu złożyła palce w skomplikowany znak, który miał odpędzać złe moce.

- U nas powiadają o tym tak... - zaczęła, kiwając się w siodle i w zadumie patrząc przed siebie. - Słyszałam tę opowieść od mego dziadka, a ty, pani, sama pomyśl, o co tu w tym wszystkim chodzi. Było to w dniach Ostatniej Wojny, kiedy mieszkały tu zupełnie inne plemiona, a jakie - teraz nikt już nie pamięta. Zdarzyło się, że z woli Bogów Ciemności zapędził się tu oddział armii potężnego wodza, który pokonał Irwanów z gór...

- Gurcata Wielkiego - powiedziała knezinka Hellona.

- Zaiste wiele wiesz o tamtych czasach, szlachetna ban-riono. Tyle że my, zachodni Welchowie, nazywamy go częściej Gurcatem Okrutnym. Irwani, z których część wytracił, a z części uczynił niewolników, nie mówią o nim inaczej jak Gurcat Przeklęty... Ludzie powiadają, że oddział ten zdołał nagrabić niesłychane bogactwa, ale wódz był nadal nienasycony. Nie oszczędził podczas tej wyprawy nikogo. Żeby przypadkiem nie przepuścić po drodze żadnej osady, którą można było najechać, Gurcat porwał miejscowego chłopca, który gościł u przyjaciół, i kazał mu wskazywać drogę. Zagroził, że wbije go na pal, jeśli zatai choć jedno zimowisko... Chłopak nie miał zamiaru umierać i poprowadził ludzi Gurcata od jednej wioski do drugiej. U nas już nikt nie pamięta jego imienia, ale też nikt nie nazywa go bohaterem.

Też mi coś... - Wilczarz uśmiechnął się w duchu. Kto przy zdrowych zmysłach chciałby umierać na palu? Jeśli ty odmówisz, zaraz znajdą innego chętnego. Zresztą dopóki tobie nie było dane stanąć przed takim wyborem, nie możesz sądzić innych.

- Wojsko grasowało przez wiele dni - ciągnęła Ertana. - A tam, gdzie przechodziło, nikt po dziś dzień nie mieszka. I nadszedł dzień, kiedy ofiarą najazdu miała się stać rodzinna wioska tego chłopca...

Ależ to nasza legenda! - ta myśl nagle przemknęła przez głowę Wilczarza. Tyle że u nas chłopiec nie wrogów prowadził po lesie, lecz Śmierć Morową niósł na ramionach!

Wilczarz był przekonany, że obu podań nic nie łączy, tak samo jak bywa, że żadne pokrewieństwo nie łączy dwóch przypadkowych podobnych do siebie ludzi. I był pewien co do jeszcze jednego: gdyby był tutaj Tilorn, do wieczora próbowałby go przekonać, że żadnego przypadku w tym podobieństwie nie ma i nigdy nie było.

- Wtedy chłopak zrozumiał, że nie jest w stanie oddać swego domu i rodziny na pastwę okrutnikom - opowiadała Ertana. - Już lepsza śmierć, choćby najstraszniejsza. A skoro sam ma zginąć, to może zgotować taki sam los i nieprzyjaciółom swoim. Jak postanowił, tak zrobił. Poprowadził wraz z wojskiem ścieżką myśliwych prosto w Trzęsawisko Kajerańskie. A ścieżynki tej - jeśli nie znasz tajnych znaków - nie odnajdziesz, choćbyś szczeł. No i poszli w te bagna, i nikt

więcej ich nie widział. To znaczy żywych. Było ich trzy tysiące, a żaden nie powrócił.

Ertana zamilkła.

- To dlaczego miejsce to jest przeklęte? - spytał Aptachar. - Poszli, poginęli i Hogg z nimi tańczył. Czy droga prowadzi przez to trzęsawisko?

- Ludziom zapadła w pamięć opowieść o skarbach, które przepadły wraz z zatraconym wojskiem. Po jakimś czasie znalazło się kilku straceńców, którzy zapragnęli cudzych bogactw. Ilu ich potonęło w Trzęsawisku Kajerańskim - nikt nie zliczył, ale ktoś jednak dotarł do celu. U nas ludzie mówią, że poszukiwacze skarbów zakłócili spokój zmarłych. Wtedy to obudzone dusze powstały, aby się zemścić... I od tamtej pory zdarza się, że podróżni, którzy nocują na Starej Drodze, znikają na wieki.

Wilczarz spytał potem Dobrośława i Dobrobora, a odważni młodzieńcy przyznali się, że poczuli między łopatkami zimny dreszcz, i podziękowali Oku Bogów za to, że stało wysoko na niebie i nie spieszyło mu się, by wpaść w Morze Zachodu.

Gdy Ertana snuła swą opowieść, podjechał do nich bojar Promień wraz z Dungormem i Chwatem. Lewy ledwie mógł się doczekać, żeby dziewczyna skończyła opowiadanie, gniadosz, który czuł zniecierpliwienie jeźdźca, wyginał szyję i zagryzał wędzidło.

Kiedy wszyscy zamilkli, Promień powiedział pospiesznie:

- Słyszałem, że nazwa "Welchowie" znaczyła "mężny naród"... Ertana rzuciła spojrzenie Mal-Gonie i spokojnie odpowiedziała:

- A ja słyszałam, mój panie, że to słowo nadal ma takie znaczenie.

- Najwyższy czas je zmienić - rzekł Promień. - Bo czyż przystoi mężczyznom, aby z powodu jakichś widm zarzucić świetną drogę? Czy ktokolwiek widział te widma?

- Pozwól przypomnieć sobie, krewniaku, że ziemie zachodnich Welchów już minęliśmy - odezwała się knezinka Hellona. - Nie oni tę drogę wytyczali i nie oni ją zapuścili.

Knezince wielce się nie spodobało, że Promień znowu szuka z kimś zwady. Wystarczyło, że był na noże z Wilczarzem.

- Widma widział mój dziad Kiaran Podróżnik. I nikt nie ma podstaw, aby wątpić w prawdziwość jego słów - rzekła Ertana, odczekawszy dłuższą chwilę i okazując tym samym szacunek. Powiedziała to tak samo powoli i spokojnie jak zdanie o znaczeniu nazwy swego narodu. Jeśli Wilczarz choć trochę znał się na ludziach, to każdy wątpiący spotka się z należytą odpowiedzią. - Kiedy dziadek był młody, tak jak inni młodzi ludzie szukał przygód i chciał się wykazać męstwem - ciągnęła dalej swą opowieść Ertana. - Pewnego razu z przyjacielem dotarli na skraj Trzęsawiska Kajerańskiego i zostali tam na noc, bo wiele słyszeli o tym miejscu i postanowili udowodnić, że niczego się nie boją. Nie rozpalili ogniska, gdyż chcieli zapolować, a zapach dymu odstraszyłby zwierzynę. Kiedy słońce zaszło, nad bagnami podniosły się mgły. We mgle rozległ się dźwięk rogu. Dziadek mówił, że wtedy w jego wąsach pojawiły się pierwsze siwe włosy. I jeszcze mówił, że ani wcześniej, ani później nigdy nie słyszał, aby żywi tak dęli w rogi. Obaj z przyjacielem siedzieli cicho i czekali. Ten, kto powie, że mógłby leżeć w mokrym sitowiu obok nich i nie narobić w spodnie ze

strachu, jest podłym kłamcą. Przyjacielem mojego dziadka był zacny ojciec naszego riga Kesana. Kto chce, może jego spytać, jak to było. Po pewnym czasie zobaczyli postaci kroczące przez bagna. Mgły ścieliły się nisko i dziadek dostrzegł hełmy ozdobione pióropuszem. Od razu ich poznał, jako że w naszym domu od dawien dawna jest taki hełm; moja praprababka, która walczyła w Ostatniej Wojnie, przywiozła go z pola bitwy. Dziadek zaczął się modlić do Trójroga i widma ich nie wyczuły... W przeciwnym razie nie byłoby mnie na świecie, jako że dziadek nie był wtedy jeszcze żonaty. Tak było.

- Teraz widzę, że nie tylko nie miałem racji, ale byłem nieuprzejmy. - Promień skłonił się ceremonialnie. - Wy, Welchowie, nie straciliście ani trochę ze swego męstwa. Ale jeśli tych dwóch młodych myśliwych nie przeleżało się owych cieni z tamtego świata i cało powróciło do do mu, to czy godzi się, aby tak liczna grupa zbrojnych tchórzliwie omijała bezcielesne istoty powstające z grobów? Żywym mężom nie uchodzi ustępować z drogi przed dawno nieżyjącymi wrogami. Niech stracę tytuł wojewody, jeśli ze swymi przybocznymi nie przejadę starym traktem i nie przenocuję tam, gdzie ktoś niepokoił kupców!

- Segwani nie ustąpią w niczym Solwenom - warknął Aptachar.

- O Welchach nawet nie ma co mówić - rzekł Mal-Gona. Ertana rozglądała się wokół z miną zwycięzczyń.

- Nam, Welimorzanom, nikt nigdy nie zarzucał tchórzostwa - po wiedział Dungorm. - Ale wasz gospodar Gluzd, znakomity wódz i wojownik, którego odwaga jest powszechnie znana, mimo wszystko wybrał drogę przez góry. I w tę stronę, do nas, i z powrotem.

- I miał rację - rzekł Wilczarz. Doskonale widział, ku czemu wszystko zmierza. Nie można zabronić, jeśli ktoś sam kręci sobie bicz na własną skórę - skoro tego właśnie chce, niech tak robi. Ale niech je go głupota nie zabije innych. A już w szczególności tych, za których Wilczarz odpowiada głową.

Wiele razy miał okazję się przekonać, jak łatwo dorośli, siwiejący, łysiejący mężczyźni zamieniają się w małych chłopców i rzucają sobie nawzajem w twarz wyzwanie: Boisz się! Nie pozostawało nic innego, jak pokładać nadzieję w kobiecej mądrości. Kobiety potrafią znaleźć odpowiednie słowa i jednym ruchem pozganiać z płotu zapalczywe koguciki. I nikogo przy tym nie obrazić.

- Pojedziemy Starą Drogą - powiedziała knezinka pełnym determinacji tonem.

Wilczarz aż podskoczył w siodle. Skąd miał wiedzieć, że knezinka, usłyszawszy o łysych kamiennych szczytach, od razu przypomniała sobie ścieżkę między skałami? Tę ścieżkę, która się jej przyśniła. I teraz błogosławiła Matkę Nieba za ostrzeżenie, za sen proroczy, który nie będzie mógł się ziścić.

- Te dwie drogi potem znowu się łączą, Wilczarzu - wesoło rzekł mu Promień. - Jeśli chcesz, możesz sam pojechać przez góry. Potem nas dogonisz, a my natenczas sami będziemy strzec knezinki.

Ktoś się roześmiał. Być może sama Ertana. Wilczarz ponaglił Siarka, aby zbliżył się ku przodowi

wozu, gdzie siedziała knezinka Hellona.

- Twój ojciec narysował na mapie drogę przez góry. Nakazał jechać Nową Drogą, pani. Musimy być posłuszni jego woli.

Knezinka nie odpowiedziała. Stała i trzymając się maronowego boku powozu, w złości krzyknęła do Lewego:

- Zostaw w spokoju moich ochroniarzy, Promieniu! Oni nie gorzej od innych troszczą się o nasze bezpieczeństwo!

Bojar, bardzo zadowolony, że udało mu się dopiąć swego, ukłonił się grzecznie.

- Wedle mego zdania, siostrze, bardziej ty ich bronisz niż oni ciebie. Oni tylko robią groźne miny i wskazują ci, dokąd masz iść, a gdzie nie chodzić.

Gdyby knezinka wiedziała o strzelcu wyborowym na jodle, którego kazał wyśledzić Wilczarz, wiedziałaby, co odpowiedzieć. Ale nikt jej nic nie powiedział, żeby nie budzić niepokoju i nie psuć atmosfery wyprawy.

Szkoda, że nic jej nie mówiliśmy, karmił się w myślach Wilczarz. Na pewno by się nie wystraszyła. Trochę, nie na śmierć. A gdyby była trochę przestraszona, łatwiej by nam było ją chronić...

Minęło południe, kiedy oddział doszedł do rozstajów. Który z dwóch traktów jest stary, a który nowy - odgadnąć było bardzo łatwo. Stary biegł prosto na południe, nowy - ostro skręcał na wschód, a więc trzeba było nadłożyć drogi. Nowy wyglądał na trochę zapuszczony, ale przejezdny. Stary był całkiem zarośnięty krzewami i młodymi drzewkami i nad nim - jako ostrzeżenie dla tych, którzy nie wiedzieli - wisiał znak zakazu, śmierci i smutku: biała szmata na długiej tyczce. Takie białe szmaty wywieszane są przed domem, w którym niedawno ktoś umarł.

Promień pierwszy skierował swego konia na Starą Drogę. Dojechał do znaku, stanął w strzemionach, zerwał białą tkaninę, wydał z siebie solweński okrzyk bojowy i rzucił szmatę pod kopyta niespokojnego wierzchowca. Potem wyciągnął miecz z pochwy i pogalopował naprzód. Wojsko wyrwało w ślad za nim. Któż mógłby teraz zaręczyć, że o tej wyprawie i o sławetnych czynach chrobrego Promienia nie powstanie kiedyś pieśń?

Wilczarz nigdy nie bał się siły nieczystej. To znaczy wiedział, że wokół jest mnóstwo różnych istot, które tylko czyhają, aby napytać człowiekowi biedy. Wiedzieć wiedział, ale się nie bał. Bać należało się wrogów z krwi i kości. Żywych, namacalnych i gotowych do najbardziej zaskakujących czynów. Z duchami jest o wiele prościej. Duchów nie widzi zwykłe oko, ale i same duchy nie widzą żywych ludzi. O ile człowiek jakimś nieostrożnym postępkim nie zakłóci tej niewidzialności. Zlekceważy obrzędy oczyszczenia po zabiciu wroga, nie uszanuje starych kości znalezionych przypadkiem w dole... Tak uprzykrzone gzy rzucają się na spocone, nieumyte ciało. A na człowieka, który właśnie wykapał się w rzece, nie zwracają najmniejszej uwagi.

Dbaj o swą czystość - uczyła Prawda Wenów - a nikt cię nie skrzywdzi. Wilczarz nie uważał siebie za człeka świątobliwego, ale w to, że ciemne siły ni z tego, ni z owego mogą opanować jego duszę, nie wierzył. Zwłaszcza jeśli zawczasu się o coś zatroszczył...

Lasy wzdłuż Starej Drogi zaprawdę były przecudne. Popatrywał to na lewo, to na prawo i nie mógł pojąć, jak w imię bogów tak wspaniałe miejsce mogło dać się opętać sile nieczystej. Widział w życiu tyle pięknych miejsc, zbezczeszczonej przemocą, zbrodnią i wojną! Czas już najwyższy zmadrzeć, ale coś głęboko w jego duszy nadal naiwnie się dziwiło: jak to możliwe, aby nieskazitelne piękno nikogo nie powstrzymało i nikogo nie uratowało?

Co do grzybów - rzeczywistość okazała się dokładnie taka, jak w opowieściach Ertany. Piękne okazy całymi rodzinami wyglądały spośród mchów na poboczu drogi, a zdarzało się, że i na samym jej środku. Młodzi wojowie dla rozrywki i by się popisać, schylali się z siodła po grzyby, nie wstrzymując przy tym galopujących rumaków. Żeby nie zmarnować wspaniałych trofeów, zebrane grzyby przekazywano z rąk do rąk na wozy, w których jechali kucharze. Na postoju zawisną nad ogniskami kotły, mistrzowie rondla oczyszczą grzyby i wrzucą je do wrzątku. Czy warzyć będą zupę, kaszę czy kluski, dorodne koźlaki lub podgrzybki nie zepsują ich smaku. I nawet Segwani, którzy dawnymi czasy zarzucili zbieranie grzybów, bo im nie dowierzali, nie odmówią sobie przyjemności posmakowania strawy. Choćby z czystej ciekawości przyjdą pogrzać ręce przy ogniskach sąsiadów Solwenów. A ci poczęstują ich grzybami - jedzcie, smakujcie, zobaczcie, że to nie trucizna.

Początkowo lasy, które mijali, do złudzenia przypominały Wilczarzowi lasy jego dzieciństwa. Mchy, niezbyt gęste poszycie, cienisty sosnowy bór, w którym aż chciało się wznosić dziękczynne modły do bogów. Potem droga poszła nieco w górę i pojawiły się olbrzymie, pokryte siwymi porostami jodły. Wilczarza ogarnął niepokój: jak przenocować w takim lesie? Ale choinki dość szybko się skończyły. Wkrótce po obu stronach drogi znowu królowały majestatyczne pułki sosen. Gacek co chwila zrywał się z ramienia Wilczarza i znikał daleko w gąszczu. Wen uważnie mu się przyglądał, kiedy zwierzak wracał z takich wypadów. Nie, uszaty czarny towarzysz na razie nie wykazywał żadnych oznak niepokoju...

O tym, że zbliżają się do Trzęsawiska Kajerańskiego, Wilczarz poznał po zapachu. Od strony bagien powiał wiaterek, a w wyobraźni Wena pojawiły się obrazy rozległych torfowisk porośniętych jagodami i żurawinami, trzciny wysokości człowieka w oddali i rozlewiska czarnej wody z zastygłymi w bezruchu pływającymi wysepkami. Oczami duszy zobaczył nawet, jak wielkie bąble powoli dobywają się z głębin i pękają, roztaczając wokół zapach nieświeżych jaj.

Właśnie miał zamiar spytać Ertanę, czy przecucie go nie myli i czy rzeczywiście zbliżają się do bagien, kiedy droga skręciła jeszcze raz i ich oczom ukazało się słynne Trzęsawisko Kajerańskie. Dokładnie takie, jak wyobrażał je sobie Wilczarz. Po lewej ręce mieli kępiaste torfowisko, w którym na skraju widać było nawet cherlawe, poskręcane drzewka. Po prawej - czarną taflę przepastnych głębin. Człowiek nie mógłby się tędy przeprawić, chyba że łodzią albo tratwą. Wiosną i latem było tu kipiące życiem królestwo ptaków. Kilka dużych stad jeszcze i teraz krążyło nad topielą, szykując się do dalekich przelotów...

Czy jest na świecie kraina, w której tak piękne bagna cieszą zarówno zwierzęta i ptaki, jak i człowieka? - któryś raz z rzędu spytał samego siebie Wilczarz. I nie mieszkają w nich żadne

widma?

Polana, gdzie postanowili zanoć, leżała akurat naprzeciw rozlewisk, nad granitowymi skałkami, z których gdzieniegdzie spływał źródł czystej wody. Rosły tu rzadkie przysadziste sosny, a pomiędzy nimi tam i sam czerniały ślady po starych ogniskach. Przejedni tyle razy rozpalali w tych miejscach ogień, że wypalona ziemia już nie mogła wykarmić ani ziarenka, ani korzonka.

Kiedy rozstawiano namioty i nabierano wody do kotłów, Wilczarz obszedł obozowisko, by poznać okolicę. Zawsze tak postępował przed noclegiem. Początkowo wojowie stroili sobie zeń zarciki, ale potem przyzwyczaili się i przestali. Tym bardziej że na zaczepki nie odpowiadał.

Podróżujący szukają na postój miejsc równych i suchych, w pobliżu wody i żeby letni wietrzyk odpędzał komary, a jesienna burza czy zawieja nie uczyniły krzywdy. Gdyby Wilczarzowi powierzono wybór - zarządziłby inaczej.

Wskazałby miejsce, które w razie napaści byłoby łatwe do obrony. Początkowo - jeszcze przed Krynicą - próbował to ludziom uzmysłowić, ale prędko się przekonał, że nic nie wskóra, nasłucha się tylko docinków o tchórzliwości Wenów i ich wrodzonej tępcie. Wtedy to zaczął obchodzić miejsce noclegu dookoła, miarkując, skąd sam by się podkładał do namiotu knezinki, gdyby miał taki zamiar.

Nad Siwurem ta ostrożność bardzo się przydała.

Wilczarz boso szedł po zielonym mchu, rad, że może przez chwilę odpocząć od butów. U boku knezinki nie uchodzi przecież paradować na bosaka. Leśny dywan mile pieścił mu stopy, które nie obawiały się nawet śniegu, ręce same wyciągały się po główienki wystawiające na świat boży ciemnobure kapelusiki. I takie miejsce ludzie obwołali przeklętym, oddali na zatracenie złym ceniom! Żeby choć wcześniej zniszczył je pożar, który na całe lata unicestwiłby tu wszystko, co żyje. Ale przecież tak się nie stało...

Już jakiś czas temu usłyszał z tyłu ostrożne kroki Ertany. Chciał ukryć się i przepuścić dziewczynę przodem, ale się rozmyślił. Po co ją obrażać? I co z tego, że skrada się za nim? Przecież na pewno nie ma złych zamiarów. Wyszedł z za choinki tuż przed nią.

- Może pochodzimy razem?

- Nie ma sposobu, by cię zaskoczyć - burknęła wojowniczką, skrywając niezadowolenie.

Uśmiechnął się.

- Pani za to właśnie mi płaci, żeby nikt nie mógł się podkraść. Ertana pokręciła głową.

- Nikt nie służy za pieniądze tak jak ty!

- Knezinka nie pozwoliła mnie skrzywdzić - rzekł Wilczarz po chwili namysłu - i okazała wiele łaski, a że jeszcze teraz płaci...

- Nie chciałeś jechać tędy - powiedziała Ertana, bez trudu nadążając za jego długimi krokami. -

Niektórzy uważają, że się boisz.

Obojętnie wzruszył ramionami.

- Naprawdę się boję.

- Znałam ludzi, którzy prędzej język by sobie odgryźli, niż wypowiedzieli takie słowa - rzekła

Ertana w zadumie.

- Nie jestem taki odważny - burknął Wilczarz.

Zdążyli już odejść od namiotów na dobre sto sążni, na dodatek wspięli się na wzniesienie, niemal na sam łysy kamienny szczyt.

- Czego tu wypatrujesz w lesie, Wilczarzu? - spytała Ertana. - Chyba nie szukasz grzybów.

- Szukam miejsca, gdzie mógłbym sam dać odpór wielu, gdyby ktoś na nas napadł - powiedział Wilczarz, a potem dodał po chwili milczenia: - Tam, na dole, nie powalczysz.

- Ale z kim? Kto tu może na nas napaść? A może... z widmami chcesz walczyć bronią śmiertelników?

Popatrzył jej prosto w twarz i rzekł:

- Nie wiem, czy to widma, czy nie widma. Może nikt na nas nie napadnie... Ale chcę uratować panią. Rozumiesz?

Ertana w milczeniu patrzyła na niego przez dłuższą chwilę i o czymś rozmyślała.

- Dziadek mi mówił, że tutaj, tylko odrobinę wyżej, znajduje się stara świątynia. Zbudowały ją starożytne plemiona, które już z dawien dawna tu nie mieszkają. Nie wiemy, jakim bogom tam służyło, ale do Bogów Ciemności raczej nie zanoszą się modlitw na wzniesieniach...

Wilczarz skinął głową.

- Chodźmy, obejrzyjmy.

Zobaczywszy świątynię, znowu pożałował, że nie ma władzy, aby zmusić bojara i starostów do porzucenia miejsca wybranego przez nich na obozowisko. Nieznani budowniczości ściągnęli na wzgórze ciężkie, prawie nieociosane olbrzymie głazy i ustawili je jeden na drugim. Powstało coś w rodzaju domu bez dachu, z dwunastoma wążutkami - tak wążutkami, że człowiek ledwie mógł się zmieścić - wejściami-wyjściami na wszystkie strony świata. Kamienie były pokryte rysunkami i wrytymi starymi znakami pisma. Wilczarz, który po solweńsku czytał na razie z ogromnym trudem, znaczenia znaków nie rozumiał, za to z rysunków zdołał cokolwiek wyczytać. Opowiadały o ruchu gwiazd na niebie i o przygodach nieznanym mu bogów, do których gwiazdy te należały.

Gdybyż mógł to zobaczyć Tilorn... - po raz kolejny pożałował w głębi duszy. Końmi bym go stąd nie wywłócił. Zaraz by zaczął biegać dookoła, wymachiwać rękami, coś tłumaczyć, z czymś porównywać. I jeszcze używałby przy tym różnych mądrych słówek w rodzaju "kultura"...

Nie do końca rozumiał, co owo słowo znaczyło, ale ze wszystkich zakłęb Tilorna przyswoił właśnie to jedno.

Obszedł świątynię, poruszając się zgodnie z ruchem słońca, by nie obrazić ani jednej z sił, które na pewno miały tu swą siedzibę. I z tym, co tu zobaczył i co wywnioskował, zgodziłby się nawet Tilorn. Budowla, wzniesiona przez nieznaną plemię dla bogów, służyła jednocześnie ludziom jako cytadela. Kiedy wróg atakował, kamienny krąg służył za schronienie dla tych, którzy nie mogli walczyć. Tymczasem wojowie - czy wielu wojów mogło wystawić nieliczne plemię trudniące się myślistwem? - bronili dojsć, połowę z nich zamykając uprzednio kamieniami...

Ertana szła tuż za Wilczarzem, uważnie oglądała świątynię i zdaje się, nawet ją obwąchiwała.



Odważna wojowniczką znała już prawie wszystkie miejsca, które kiedyś odwiedzał jej dziad. Przemierzyła lasy na skraju Trzęsawiska Kajerańskiego, ale tutaj była po raz pierwszy.

Tylko w Gacku owe starożytne kamienie nie wzbudzały żadnego świętego dreszczu. Czarny zwierzaczek latał we wszystkie strony, dawał nura w wąskie szczeliny i z piskiem wzbijał się w słońce. Wilczarz mógł przysiąc, że latający zwierzak znalazł gdzieś w pobliżu kolonię swoich krewniaków i teraz nie mógł się doczekać zmroku, aby z nimi pospołu zapolować albo się zabawić czy z jakąś miłą przyjaciółką puścić się w zawody... Wilczarz nie próbował go powstrzymać. Wiedział, że Gacek go nie opuści.

Koniec końcem Wen zatrzymał się przy wejściu od południowej strony, jak przystoi grzecznemu gościowi, który przybył tu w dobrym zamiarze i z ufnością. Nie miał pojęcia, jak i w jakim języku miałby się zwrócić do tutejszych bogów. Dlatego też po prostu złożył obie ręce na kamieniu, w myślach prosząc o pozwolenie na wejście. Ertana w milczeniu przyglądała się jego poczynaniom. Nie mogła niczego podpowiedzieć, sama była tu obca. Wilczarz wsłuchiwał się, czekając na odpowiedź, ale nic nie wyczuł poza ciepłym ogrzanym jesiennym słońcem granitu.

Tak, powiedział sam do siebie w duchu. Nie wiem, do jakich bogów wznoszono tu modły, ale na pewno nie byli to Bogowie Ciemności. A Bogowie Światła nie zechcą ukarać ciekawskich przybyszy, którzy szukają pomocy. Przecież wiedzą, że jesteśmy tu nie po to, by kogokolwiek obrazić.

Wcisnął się w wąską szczelinę i znalazł pomiędzy głazami.

W dawnych czasach okrągła kamienna posadzka była wyczyszczona do połysku, ale teraz ją pokrył biało-zielonym dywanem mech rosnący na pozbawionym drzew szczycie skały. Grube mury świątyni nie przepuszczały do środka zimnych wiatrów. W miejscu, w którym za dnia po kamieniach pląsały promienie słońca, po szorstkim granicie wspinał się mozolnie w górę zielony powój. Było tu nawet cieplej niż gdzie indziej w okolicy i powój kwitł jak latem, ufnie rozchylając blad różowe kielichy.

Wilczarz ostatecznie się przekonał, że tu nie może królować zło.

Spodziewał się, że znajdzie w świątyni jakieś wizerunki bogów, może rozbite - tak zwykle postępowali zwycięzcy, aby osłabić bogów pokonanego plemienia - a może zbezczeszczone na poły zetłate kości obrońców. Ale nie, nie znalazł takich śladów przeszłości. Natomiast zgodnie z oczekiwaniem w twierdzy była woda, co świadczyło o tym, że miejsce było wybrane doskonale. Woda wypływała ze szczeliny w skale i zbierała się w kamiennej czaszy, na pewno ociosanej ręką człowieka, a potem z czaszy ściekała niżej i rozpląwała się po szczelinach. Za czaszą kamień był ścięty i wygładzony jak stół. Do czego służył ten kamień ludziom, którzy odeszli stąd dawno temu? Nie było nikogo, kogo można by o to spytać, ale Wilczarz stwierdził, że najpewniej składano tu ofiary.

Z sakwy przytroczonej do pasa wyciągnął suchar. Połamał go na kilka części. Jedną zanurzył w wodzie i położył na kamieniu ofiarnym, drugą wręczył Ertanie, trzecią wziął sam. Zostawił oczywiście kawałek dla Gacka, który zjawił się tu zwabiony zapachem jedzenia.

Jeśli miejscowi bogowie popatrywali z pozaziemskich swych siedzib na tę ziemską, która popadła w zapomnienie, na pewno zdziwili się i ucieszyli z tej nieoczekiwanej ofiary, choć złożonej przez cudzoziemców.

- Chcesz przekonać ban-rionę, aby przeniosła się tu na noc? - spytała Ertana, rozgryzając suchar.

Wilczarz pomyślał, że niewiele dziewcząt wybrałoby się na wycieczkę po nieznanym lesie we dwoje z mężczyzną tylko po to, by sobie z nim przyjaźnie pogwarzyć. Pogwarzyć i nie myśleć przy tym o uwiedzeniu go swą urodą. I nie bojąc się też ani trochę, że uroda sprawi, iż mężczyzna się zapomni. On i knezinka wyprawiali się razem nad Świątynię - Hellona najwidoczniej też należała do tego gatunku. I Neelith, która uważała go za brata...

- Nie - odpowiedział na pytanie wojowniczkii. - Straciłem nadzieję. Ale dobrze znać to miejsce, na wypadek gdyby trzeba było uciekać. Nigdy nic nie wiadomo.

- Mogę porozmawiać z naszymi Welchami - zaproponowała Ertana. - Nie byłoby źle, gdyby przeniosło się tutaj z dziesięciu chłopów.

- Nie byłoby źle - zgodził się Wilczarz. - No dobrze, chodźmy... Póki knezinka nie wybrała się bez pytania na grzybobranie.

\*

- Twoi uczniowie opowiedzieli mi... - zaczęła Welchinka, schodząc razem z nim ze wzgórza - zresztą nie tylko oni, bo i Ane z Ketarnem też mówili, że nieźle się umiesz bić.

- Może i nieźle - odburknął Wilczarz.

- I jeszcze ludzie powiadają, iż kiedyś się wygadałeś, że kobieta na uczyła cię tego rzemiosła...

- Może i nauczyła.

- Kim była ta kobieta, Wilczarzu? Słyszałam, że gdzieś za morzem mieszka całe plemię wojowniczych kobiet. Czy ona wywodziła się z tego go plemienia?

Wilczarz pokręcił głową.

- Była kapłanką Kan, miłosiernej bogini księżyca. Boginię Kan czczą na południu Wiecznego Stepu...

\*

*To było dawno, całe życie temu. Ledwie ukończył dziewiętnaście lat, jeszcze nie zdołał się przyzwyczaić do własnej twarzy, którą po raz pierwszy od wielu lat zobaczył w zwierciadle. Zszedł z gór na równinę, pożegnawszy się z willejkami, Władczyniami Obłoków, które wyrwały go z rąk Śmierci. Szedł wąską ścieżyną, w grubym worku niósł chleb i skórzany bukłak z maślanką. Nie miał pojęcia, dokąd zaprowadzi go ta ścieżka. Wiedział tylko jedno - gdzie się skończy. Na brzegu Świątyni. Nad trupem kunsza Winitariusza, Ludojada.*

*Szedł tak i szedł, mrużąc załzawione oczy, które ciągle nie mogły przyzwyczaić się do światła, kiedy Nielot Gacek zasyczał i jał się niespokojnie kręcić na jego ramieniu. Potem dały się słyszeć ludzkie głosy.*

*Wilczarz ominął łukiem wielką, spowitą kwitnącymi krzewami kredową skałę i zobaczył przed*

sobą drogę, a na drodze - troje ludzi.

Starsza siwowłosa kobieta w szarych wełnianych szarawarach i granatowym pikowanym bezrękawniku zapiętym inaczej, niż to było przyjęte u We- nów, cofała się, trzymając w rękach kij. Na poboczu potulnie stał szary osiołek. Wilczarz nie wiedząc czemu od razu pomyślał, że osiołek musi należeć do tej kobiety. Na wprost siebie zobaczył plecy dwóch uzbrojonych mężczyzn. Jeden trzymał gotową do rzutu włócznię, drugi - toporek. Zbliżali się do kobiety, głośno coś wykrzykując po sakkaremsku. Wilczarz poznał ten język w kopalni, ale poczuł się mile zaskoczony tym, że rzeczywiście rozumie, co oni mówią. Choć sens ich słów dotarł do niego dopiero po chwili.

Dwóch rosnących drabów przerzucało się wulgarnymi uwagami i radziło kobiecie, by po dobroci obdarzyła ich i osiołkiem, i swymi względami. Wtedy może oni zechcą zostawić ją przy życiu.

Potem zauważyli, że kobieta wcale ich nie słucha, lecz patrzy gdzieś za ich plecy. Wilczarz rzucił torbę na ziemię, wydał z siebie zwierzęcy ryk i ruszył do walki.

Już wtedy był bardzo szybki. I bardzo silny. Kiedy dochodziło do bójki, myślał jedynie o tym, żeby zabić, a nie żeby samemu przeżyć. Wszystko rozegrało się w kilka chwil. W przydrożnym pyłe walały się dwa trupy, a Wilczarz klęczał, zaciskając dłońią zranione ramię. Jeden z opryszków zdążył go skaleczyć, zanim runął ze złamanym karkiem - grot włóczni sięgnął aż do kości.

Siwowłosa kobieta chłodnym spojrzeniem obrzuciła pole bitwy, a Wilczarz dostrzegł na jej twarzy wyraz irytacji i niezadowolenia. Podeszła do niego.

- Czemu zabiłeś tych nieszczęśników, malcze? - zapytała.

Barczysty "malec" z widoczną siwizną w brodzie zmierzył ją wzrokiem z góry na dół. Nie rozumiał, o czym mówi ta kobieta. Początkowo oblał się zimnym potem na myśl, że z głupoty popełnił straszny błąd i stała się rzecz najgorsza na świecie: rozprawił się z niewinnymi ludźmi. Ale nie, przecież doskonale pamiętał, co działo się tu przed chwilą. Nie, nie mógł się aż tak pomylić.

- No, jakże tak, pani... - wydusił z siebie.

- Przecież oni mogli jeszcze pójść po rozum do głowy i zrozumieć, że obrali niewłaściwą drogę - rzekła z wyrzutem kobieta. - A teraz nic już nie rozumieją. Po coś ich zabił?

Z równym powodzeniem mogła domagać się od niego wyjaśnienia, dlaczego ma dwie ręce. a nie pięć i nie sześć. Człowiek, który chciał zhańbić kobietę, nie miał po co żyć dalej. I to wszystko. Na tym był zbudowany jego świat.

- Jesteś zupełnym dzikusiem. I na dodatek głupim - westchnęła nieznajoma. A potem nakazała: - Pokaż, co ci zrobili.

Wilczarz ostrożnie rozwarł palce. Krew pociekła strumieniem.

- Zaciśnij i siedź spokojnie - usłyszał srogi nakaz. Kobieta zagwizdała. Osiołek posłusznie przybiegł truchtem i zaczął ostrożnie obwąchiwać obu, Wilczarza i Gacka. Kobieta rozpięła przewieszoną przez grzbiet osła torbę i wyciągnęła z niej maleńkie pudełeczko. Wysypała sobie na dłoń szczyptę błyszczącego bezbarwnego proszku, zacisnęła suchą piąstkę, podniosła ją do ust i schyliła się.

- Zabierz rękę.

Wilczarz cofnął dłoń od zranionego ramienia. Kobieta mocno dmuchnęła w piąstkę i proszek wyleciał z niej, tworząc zwarty obłoczek, który wsiąkł w krwawiącą ranę.

Wenowi zdarzało się skraplać rany winem, zdarzało się przypiekać głownią. Myślał, że zdołał już odczuć na swej skórze wszystko, tymczasem okazało się, że się mylił. Stracił czucie w połowie torsu i całej ręce aż po koniuszki palców. Nie zaczął krzyczeć tylko dlatego, że w Górach Szmaragdowych zdołał osiąść umiejętność znoszenia bólu bez protestu.

- ...łagodny - znowu doszedł jego uszu głos nieznajomej, która jak gdyby nigdy nic ciągnęła swoją opowieść. -Ale trzymam go na specjalne okazje. Na przykład dla rodzających.

Wilczarz zdołał otworzyć sklezione wargi i wystękać:

- Pani, na pewno wiesz lepiej...

Proszek zatarł ślady krwi, po czym jego cienka warstewka odpadła, pozostawiając czystą ranę. Kobieta posmarowała ją jakąś niezbyt przyjemnie pachnącą czarną smołą, a potem z niezwykłą wprawą zaszyła. Jakies cztery lata później na tym miejscu pozostała niemal niewidoczna, cieniutka jak niteczka blizna, która nie krępowała ruchów, a z czasem coraz rzadziej dawała o sobie znać nawet przy zmianach pogody.

Po chwili odpoczynku Wilczarz zabrał broń zabitych i pieniądze, które znalazł w ich sakiewkach. Odciągnął ciała na pobocze drogi, rozwiązał tkane pasy i zasypał zmarłych ziemią i kamieniami. Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni życie zmuszało go do pochówku bez obrzędów wojennego oczyszczenia. Ale jeśli można było choć trochę zabezpieczyć się przed atakiem mściwych dusz, nie lekceważył tego obowiązku. Porzucanie nie- pogrzebanych ciał wroga to ostatnia rzecz, jakiej mógł się dopuścić.

- Dokąd szedłeś, malcze? - spytała go kobieta.

- Najpierw do Sakkarem, pani - odparł Wilczarz.

Kobieta od stóp do głów obrzuciła go uważnym spojrzeniem swoich piwnych oczu.

- Najpierw do Sakkarem. No cóż, wsiadaj na osiołka, odprowadzę cię. Dosiąść osiołka Wilczarz stanowczo nie chciał.

- Nie dasz rady, padniesz - mówiła przewidująca kobieta. - Dwóch niw nie zdołasz przejść i padniesz. Wiem, co mówię. Czy myślisz, że dam radę sama wsadzić cię potem na siodło?

Ale Wilczarz przeszedł dwie niwy. Potem następne dwie. I jeszcze następne.

- A zatem najpierw idziesz do Sakkarem. - Jego siwowłosa towarzyszka kiwała się na grzbiecie biegnącego drobnym truchcikiem osiołka. Była ciekawska jak Tilorn i tak samo jak on gadała za dwóch, stopniowo wy ciągała z milczącego Wena wszystko, co ją interesowało. Gacek, zupełnie jak do Tilorna, odnosił się do niej z całkowitą ufnością. - Nie wyglądasz mi na kupca ani na wędrownego rzemieślnika - ciągnęła - ani na, wybaczą... ale wojownika też nie bardzo przypominasz. Któż to wyprawił cię, malca, samego i takiego głupiego pełną niebezpieczeństw drogą przez przełęcz?

Wilczarz dłuższy czas milczał, potem zrozpaczony tym, że nie przychodzi mu do głowy odpowiednie słowa, wskazał głową ośnieżone szczyty połyskujące na różowym niebie.

- Tam... byli ludzie. Różni. Powiedzieli, gdzie mają rodzinę, no to chcę w odwiedziny do tych, co to o nich wiem...

- Tam. To znaczy gdzie? - spytała kobieta.

- W Górach Szmaragdowych, pani.

Bacznie mu się przyjrzała i skinęła głową. Przez dłuższy czas jechała w milczeniu, jak gdyby coś przemyśliwała.

- Czy słyszałeś kiedyś o Podążających za Księżycem? - odezwała się po jakimś czasie. Wilczarz potaknął. - W takim razie w ogóle nie rozumiem, po coś się pchał... - prychnęła.

Zagadka wyjaśniła się kilka dni później, kiedy kamienne zbocza ustąpiły miejsca pagórkom i bagnetom zielonego Sakkarem, a szwy na ramieniu Wena już nie pękały nawet przy gwałtownych ruchach. Pewnego wieczoru, kiedy woda gotowała się w kociołku nad ogniskiem, krucha maleńka niewiasta, śmiejąc się, nakazała Wilczarzowi złapać ją, pchnąć nożem albo uderzyć. Co mu najlepiej wyjdzie. I to bez udawania.

- Potraktuj mnie tak, jak tamtych dwóch...

Wen, który potrafił skutymi łańcuchem rękami łapać prędkonogie szczury, ostrożnie postąpił krok do przodu... Prawie mu się udało. Zdołał lekko musnąć opalony pomarszczony nadgarstek. A potem coś się stało. Nie wiedział co. Ziemia zakręciła się pod jego nogami, jak gdyby wpadał do zamaskowanego darnią dołu. Zobaczył swoje stopy na tle nieba i dopiero wtedy ziemia powróciła na swoje miejsce, władczo przyciągając do siebie jego ciało.

- Nie uderzyłeś się? - wesoło spytała go kapłanka bogini Kan.

\*

- Kapłanki te mają za zadanie wędrować - powiedział Wilczarz. - Leczyć, uczyć... A żeby bezbronne kobiety mogły żywe powrócić do domu, ich bogini podarowała swoim uczennicom Sztukę. Kan-kiro weddaardi lurgwa... "Niech w imię bogini światem rządzi miłość". Matka Kendarat zaczęła mnie uczyć. Ona i teraz dałaby radę cisnąć mnie w te krzaki.

Ertana zmierzyła go spojrzeniem pełnym powątpiewania.

- Staruszka? Ciebie?

- Ona jest mądra, a ja głupi. Gdyby ona zamiast mnie znalazła się w Krynicy, tak by poprowadziła całą sprawę, że łapserdaki z drużyny Promienia całowałiby ją po rękach i błagali o wybaczenie. A ja co? Tylko kości im porachowałem...

Ertana chrząknęła.

- Czasami niektórym nawet dobrze to robi...

- Może i dobrze robi - zgodził się Wilczarz. - Tylko Kan-Kendaat mówiła: jak wroga okaleczysz, złość jego większa będzie. A trzeba czynić tak, aby ocknęło się w nim sumienie. Ona umiała to robić. Ja nie potrafię. Na tym polega różnica i na tym polega jej mistrzostwo. Ertana w zadumie pokręciła głową.

- Kapłanka! - wymamrotała pod nosem. - Mistrzostwo! A według mnie lepiej łeb urwać i tyle.

- No cóż, według mnie też - rzekł Wilczarz. - Właśnie dlatego nie pokonałbym Matki Kendarat.

Przez całą drogę do obozowiska Ertana wypytywała Wena o kan-kiro, a on uświadomił sobie, że nie dalej jak na następnym postoju będzie miał jeszcze jedną uczennicę. Welchince w głowie się nie mieściło, że dzięki tej sztuce można pokonać człowieka o wiele większego i silniejszego od siebie. A nawet kilku jednocześnie. Dowody przytaczane przez Wilczarza szczególnego wrażenia na niej nie robiły. On i bez wyszukanych chwytów był w stanie zwyczajnym uderzeniem pięści każdego wyprawić na tamten świat.

- Podejź do knezinki i spróbuj ją złapać mocno za rękę - podsunął jej z uśmiechem. - Jesteś od niej trzy razy silniejsza, a ona prawie nic nie umie. Ale i tak sobie poradzi.

Chciał jak najszybciej dotrzeć do obozowiska, jak zwykle niepokoił się, że podczas jego nieobecności mogło się coś stać. Po powrocie przekonał się, że wrócił w samą porę, aby ratować... nie knezinkę, lecz dwóch młodszych ochroniarzy przed gniewem pani.

Zdarzyło się tak: Hellona chciała przed zmierzchem wybrać się na grzyby, a bracia Dobrzy - wywołując salwy śmiechu wśród ludzi Promienia - nie chcieli jej puścić.

- Wilczarzu! - Rzuciła się w stronę Wena, niemal płacząc z bezsilnej złości.

Wen pokręcił głową.

- Oni mają rację, pani - powiedział cicho. Kiedy chciał do czegoś przekonać rozzłoszczonego człowieka, zawsze mówił cicho. Wielokrotnie się przekonał, że to zmusza do skupienia uwagi, do wsłuchania się w słowa. A wsłuchiwanie się w słowa, kiedy aż kipisz ze złości, jest trudne. Trzeba się zatem uspokoić. - To odludzie, nie znamy tej okolicy, która na dodatek cieszy się złą sławą - ciągnął. - Za każdym drzewem może czyhać niebezpieczeństwo.

Na policzkach knezinki wykwitły jeszcze mocniejsze rumieńce.

- A was trzech po co ja tu trzymam? Może siłą mnie zatrzymacie?

- Lepiej nas do tego nie zmuszaj, pani - bez cienia uśmiechu powiedział Wilczarz. Po chwili namysłu dodał: - Jak dojedziemy, będziesz miała pełne prawo obić mnie ze wszystkich stron i nie zapłacić ani grosika. Ale dopóki jesteśmy w drodze, muszę cię strzec.

Kiedy Wilczarz wypowiedział słowa "Jak dojedziemy", z twarzy knezinki jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknął gniewny rumieniec. Hellona rzuciła na ziemię kobiałkę, którą trzymała w ręku, i wbiegła do szałasu. W ślad za nią pospieszyła piastunka. Wilczarz wyraźnie usłyszał tłumiony szloch. Knezinka płakała.

Ze smutkiem zamyślił się nad tym, czy słusznie postąpił, nie pozwalając jej na grzybobranie. Ale doszedł do wniosku, że nie mógł postąpić inaczej. Nie możesz spacerować sobie bez troski po lesie, kiedy ktoś na ciebie poluje. A krzywda nie jest taka znowu wielka, żeby umierać z jej powodu.

Przyszło mu też na myśl, że nie raz i nie dwa, kiedy siedział nocą, słyszał z namiotu knezinki taki sam płacz. Nie wiedzieć czemu zawsze przypominał sobie o tym, jak ona go złapała za rękę wtedy w Haliradzie, w dzień uroczystości zakrywania twarzy.

\*

Jakiś czas później Wilczarz siedział przy ognisku Aptachara i prowadził rozmowę z Segwanami

z miasta.

- Co byś zrobił, Aptacharze, gdyby tutaj ktoś napadł na nas w nocy? - spytał.

- A skąd ci przyszło do głowy, że ktoś nas tu napadnie? Któryś z młodszych strażników, dobrze obznajomiony z historią

przygód Aptachara, wybuchnął śmiechem.

- Znowu nietoperz się niepokoi?

To powiedzonko stało się już czymś w rodzaju domowego żartu i wielu strażników rozweseliło, ale Wilczarz się nawet nie uśmiechnął.

- Sam też bym nie chciał, żeby ktokolwiek na nas napadł. Ale jeśli jednak?

- Jeśli, jeśli, gdyby, gdyby... - burknął Aptachar. Zdjął z ognia dużą bułeczkę nadziewaną na segwański sposób cebulą i skwarkami i po dał Wenowi. Potem wzruszył ramionami. - Zrobimy, co nam każą.

- A jak nie będzie miał kto powiedzieć? - nie ustępował Wilczarz. - Na Przykład my sobie tutaj siedzimy, a od strony bagna ktoś się podkradł?

Promień, pierwszy wojewoda paradnego orszaku, zachowywał się tak, jak gdyby był na niewinnym spacerku pod miastem. Kiedy zatrzymywali się na nocleg, nigdy nie raczył wydawać szczegółowych poleceń, kto miał co zrobić, jeśli...

- Ze też musisz w nocy snuć takie opowieści! - zachnął się Aptachar.

- Jeszcze w złą godzinę wypowiesz. Lepiej mi opowiedz coś o tej Welchince, Ertanie. Może powinienem się starać o jej rękę dla syna? Co?

Wilczarz uśmiechnął się kącikiem ust.

- Starać się możesz, tylko żeby wam nie pokazała odpowiednich chwytów...

To też był rodzinny żart i Aptachar roześmiał się na całe gardło.

- Zastanawialiśmy się z Ertaną - rzekł Wilczarz już bez cienia uśmiechu - jak odgrodzić panią, jeśli naprawdę ktoś na nas napadnie.

- Poszedłbyś z tym do witeziów - poradził mu jeden z Segwanów.

- Co my możemy zrobić? Nikt nie pyta nas o zdanie.

- Witezie tyle się o to troszczą, co o zeszłoroczny śnieg - westchnął Wen. - Odkryliśmy z Ertaną na szczycie wzgórza starą świątynię. Z kamienia... Akurat z tamtej strony. Ertaną chce tam przenieść swoich Welchów... Jeśli nocą ktoś nas najdzie, ja knezinkę cap za rękę i od razu do świątyni.

- A my będziemy cię osłaniać. - Aptachar kiwnął głową. - Wystawię łuczników.

- I jeszcze jedno - powiedział Wilczarz. - Z knezinką są służące, piastunka i lekarz. Ona na pewno ich nie zostawi. Samych dziewczek jest siedem, a nas ochroniarzy tylko trzech...

Prawdę mówiąc, właśnie po to przyszedł do Aptachara. Samą knezinkę wyciągnąłby sprzed nosa nawet najgorszym zabójcom bez niczyjej pomocy. I tak schowałby w gęstwinie, że nawet miejscowi nie znaleźliby ich bez pomocy psów. A i z psami - też niekoniecznie. Tylko co by się wtedy stało z nieszczęsnymi dziewczętami, pozostawionymi w środku lasu na pastwę okrutnych

napastników... przerażonymi, rozbiegającymi się w popłochu, ginącymi...

Wilczarz popatrzył, jak gładzili się po wąsach barczyści, przystojni Segwani, jak niecierpliwie kręcili się na swoich miejscach przy ognisku, i doszedł do wniosku, że trafił do właściwych ludzi. Służki panienki Heliony wszystkie były piękne, bystrookie i skore do śmiechu. Nie bez kozery młodzi wojowie ciągle szukali okazji, aby porozumiewawczo mrugnąć do dziewczyn, zażartować, a jeśli nadarzy się szczęśliwa okazja, to cmoknąć którąś w rumiany policzek. Ale do tej pory, jeśli takie okazje się zdarzały, to jedynie przy leśnym ruczaju albo w odległym kącie obejścia w Krynicy. O tym, żeby przez całą noc sterczeć pod namiotem knezinki i gadać ze służącymi pod czujnym okiem babki, nie mogło być nawet mowy. Za to teraz! Niech no kto spróbuje ich odgonić! Starszy ochroniarz pozwolił!

Wilczarz powrócił do tymczasowej siedziby swojej pani i nakazał Dobrosławowi obudzić się o zmierzchu. Ułożył się pod wozem, zawinięty w ciepły płaszcz. Gęste, miękkie futro grzało i mile pieściło jego ciało. Gdyby jednak przyszło mu spać bez żadnego okrycia, nawet całkiem nago, i tak by sobie poradził: życie go nauczyło. Ale jeśli tylko nadarzała się okazja, wołał spać po ludzku, wygodnie, w cieple.

Już zaczął przysypiać, kiedy pod wóz bezszelestnie wleciał Gacek. Chwilę się pokręcił, w końcu zaczepił się o jakąś wystającą część podwozia i zawisł łebkiem w dół. Spać mu się nie chciało, ale każdy, komu przyjdzie do głowy skrzywdzić Wilczarza, będzie miał najpierw z nim do czynienia!

\*

Wen obudził się, kiedy Oko Bogów dotknęło spowitego we mgły horyzontu, szykując się do drogi za Trzęsawisko Kajerańskie, za ledwie widoczne w oddali wysepki. Dobrosław i Dobrobor szeptem spierali się koło wozu, czy już czas budzić nauczyciela, czy może dać mu jeszcze trochę pospać. Gacek wysuwał łebek i ze złością syczał na chłopaków. Wilczarz wypełzł spod wozu i strząsnął z ubrania żdźbła trawy. Zwierzak natychmiast usadowił się na jego ramieniu.

Bez podbitego futrem płaszcza od razu poczuł chłód. Zaczął obchodzić obozowisko. Spostrzegł nie bez satysfakcji, że wokół wielu namiotów narysowane były na wszelki wypadek ochronne kręgi. Tilorn na pewno wyjaśniłby mu i wszystkim zainteresowanym, dlaczego ludzie wyznający wiarę w różnych bogów zgodnie wierzyli w obronną moc kręgu.

Bardzo możliwe, powiedział sam do siebie Wilczarz, że wysłuchawszy wykładu uczonego, narody różnych wyznań wykazałyby się podobną jednomyślnością i zechciały zmyć mu głowę.

Może by tak było, a może nie. Solwenowie rysowali kręgi nożami, Segwani układali kamyczki, a Welchowie wykorzystywali do tego celu sznurki z końskiego włosia. I na tym polegała cała różnica. Przed zmierzchem w kręgu pozostawiano przejście, a kiedy już wszyscy wreszcie udawali się na spoczynek, przejścia zamykano. I to również wszyscy robili dokładnie tak samo. Więc może Tilorn się nie myli...

Obozowisko rozłożono na kamiennym występie bez ładu i składu, ludzie postawili namioty gdzie popadnie, jak się komu podobało.

Źle. Bardzo źle.



Wilczarz jeszcze raz spojrzął na słońce, które już prawie zanurzyło się w bagnie. Czuł, że tej nocy zdarzy się coś strasznego. Nie był jasnowidzem i nie umiał przewidywać przyszłości, ale bezbłędnie potrafił wyczuwać zbliżające się niebezpieczeństwo i ta umiejętność, charakterystyczna dla zaszczytów zwierząt i bitych katorżników, jeszcze nigdy go nie zawiodła.

Kiedy powrócił pod namiot knezinki, wokół było pełno ludzi. Segwani dotrzyмали słowa. Co najmniej dziesięciu barczystych, jasnowłosych chwatów zagadywało do służebnic, które jeszcze wypiękniały pod wpływem nieoczekiwanego męskiego zainteresowania. Przy wejściu siedział na swojej skórzanej skrzyneczce lekarz Iliad. Jego tusza wydawała się bardziej okazała z powodu futrzanej kamizelki, jaką miał na sobie. Halisuńczyk z tajemniczą miną oglądał rękę wysokiego Segwana o twarzy obsypanej piegami. Ręka była mocna, muskularna i - o ile Wilczarz nie stracił zdolności widzenia - zupełnie zdrowa. Badanie jakoby chorego miejsca miało zapewne związek z solwenską dziewczką, która z niepokojem oczekiwała, jaki werdykt wyda lekarz jej nowemu przyjacielowi. Dziewczyna miała na imię Warea i wszyscy byli przekonani, że pani znajdzie dla niej dobrego męża, być może nawet pochodzącego nie z prostego ludu. Jakiegoś kupca albo rzemieślnika, który w młodym wieku został mistrzem. Warea była ulubienicą knezinki, co więcej - była do niej zadziwiająco podobna, zarówno z twarzy, jak i figury. Teraz dla drogich gości ubrała się w piękną suknię, podarowaną jej przez knezinkę. A jak dla knezinki szyją nowe stroje, to na przymiarki przychodzi Warea, żeby pani niepotrzebnie nie kłopotać.

Hellona z Ertaną grały w nożyki przy ognisku. Obie były zniecierpliwione - najwyraźniej Ertana nie wygrywała z przewagą, jakiej się spodziewała, a knezinka chyba podejrzewała, że rywalka daje jej fory. Obie dziewczyny siedziały na ziemi, zwyczajem Welchów skrzyżowawszy nogi. Stara piastunka stała nad "dzieciątkiem" jak kat nad dobrą duszą z poduszką z wołtoku, prosząc, żeby knezinka o siebie dbała. Ale Hellona, która zazdrościła Ertanie zahartowania, uparcie odmawiała.

Dobrze się dzieje, powiedział sam do siebie Wilczarz. Wszystkim jest wesoło, nikt nikogo po próżnicy nie straszy. Ale gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego, każdy wie, co ma robić.

Gacek wystartował z jego ramienia, chciał usiąść knezince na rękę, ale w ostatniej chwili przeląkł się własnej śmiałości i odleciał, ledwie musnąwszy ją swym jedwabistym skrzydłem. Knezinka nie poruszyła się, tylko podniosła oczy i popatrzyła na ochroniarza.

- Pani - cicho rzekł Wilczarz, przykucając obok. - Chciałem cię o coś poprosić. Kiedy pójdziesz spać, nie rozbieraj się. Co więcej, bądź łaskawa włożyć pod gieźło kolczugę.

Hellona zmarkotniała i już otworzyła usta, żeby zaprotestować, kiedy z pomocą Wilczarzowi przyszła Ertana.

- Włóż choćby teraz, ban-riono! Potem będziesz się chwalić, że kolczugę nosiłaś dniem i nocą, nawet w niej spałaś.

Knezinka w milczeniu wstała i skryła się za zasłoną. W miejscu, na którym siedziała, Hajgał natychmiast ułożyła poduszkę, a potem pospieszyła w ślad za panią.

- Ty też byś się odziała w kolczugę - poradził Wilczarz, zwracając się do Ertany. - Na wszelki wypadek...

Wojownicza podniosła głowę i z bliska, niemal wrogo popatrzyła na Wena.

- Nigdy nie noszę pancerza - powiedziała dobitnie.

Wilczarz widział w swym życiu niejedno. Spotykał również wojów, którzy mieli w pogardzie zbroję. Nawet takich, którzy ruszali do boju nago, gdyż było to miłe bogom. Nie zamierzał spierać się z Ertaną, zresztą na pewno nic by nie wskórał. Wzruszył ramionami i burknął:

- Może jednak... To by cię uchroniło przed zbłąkaną strzałą... Ertana nagle mocno chwyciła go za ramię - zauważył przy tym, jakie dziewczyna ma silne ręce. Jej szare oczy stały się bezlitosne, mocno zacisnęła usta.

- Co ty sobie myślisz? Że jestem małą dziewczynką? Jak ona? - Kiwnięciem głowy wskazała namiot knezinki. - Mam dwadzieścia osiem lat, Wilczarzu! Walczyłam w bitwie na Trzech Wzgórzach i widziałam, jak umiera mój narzeczony. Skonał na moich rękach. Czeka na mnie tam, abyśmy razem mogli stawić się przed obliczem Trójroga i popłynąć na wyspę Ojlen Ul. Tam, gdzie on jest, nie ma czasu. Więc nic mnie nie obchodzi zbłąkana strzałą! Chętnie ucałuję tego, kto ją wystrzelił!

Z fioletowego zmierzchu wyłonił się Promień w towarzystwie Kanaona i Pliszki.

- A cóż to za pogwarki? - naskoczył na młodych wojów. - Przyszliście tu obłapiać służebnice mej siostry? Ładnie się tu dba o honor knezia! Już was nie ma!

Młodzieńcy speszyl się, niepewnie popatrzyli na Wilczarza. Wena za żadne skarby nie zamierzał ich odprawiać. Przyszło mu do głowy, że tym razem nie uda się uniknąć scysji. Kto wie, może nawet dojdzie do starcia z dwoma przybocznymi Promienia.

Tymczasem ze swego stanowiska na skórzanej skrzynce nieoczekiwanie odezwał się Iliad.

- Na Niebo Księżycowe, nie krzycz tak, Promieniu. Panienska knezinka bardzo była im rada. Sama pozwoliła im tu przyjść.

Była to najprawdziwsza prawda, tyle że mądry Iliad przemilczał jeden drobiazg: pozwolenie na przybycie Segwanów wyprosił u knezinki Wilczarz. Lekarz, który leczył matkę i ojca knezinki, mógł się nie obawiać złych humorów bojara. Ani pięści Promieniowych przybocznych.

- Prawdę rzekł - powiedziała knezinka Hellona, wychodząc z na miotu. - To ja im pozwoliłam. Niech moje dziewczęta trochę się za bawią.

Włożyła kolczugę pod ubranie. Kolczuga pozostała zatem niewidoczna. Wilczarz, który o wszystkim wiedział, dostrzegł, że nieco krępowała dziewczynie ruchy. Kiedy człowiek nałoży na siebie ćwierć puda żelaza, rusza się cokolwiek inaczej.

- Aaa, skoro tak... - Lewy rozciągał każde słowo. - No to niech się bawią... Dobrej nocy, siostrze.

I bojar zniknął w gęstniejących ciemnościach, a Wilczarz zaczął się zastanawiać, czy w jego słowach nie było jakiegoś ukrytego sensu.

\*

Na niebie pojawiły się gwiazdy. Księżyc był akurat w nowiu, toteż noc zapowiadała się ciemna. Wilczarz zakutany w płaszcz krążył wokół ogniska knezinki. Po zachodzie słońca zaczął wiać wiatr. Nie był zbyt silny, ale dokuczliwie wsuwał swe lodowe macki pod ubranie. Kiedy siedzieli się

dłuższy czas, robiło się człowiekowi zimno.

Młodzi Segwani zgodnie z umową, kiedy już odprowadzili dziewczyny na spoczynek, nie odeszli do swego obozowiska, ale pozostali w pobliżu. Palili ognisko, gotowali w kociołku pokrojone jabłka z miodem i rozmawiali półgłosem, żeby nie obudzić pani. Było ich dziesięciu, więc Wilczarz od czasu do czasu mógł sobie pozwolić, by odejść parę kroków i ze skały popatrzeć na bagna. Człowiek obdarzony zwykłym wzrokiem z ledwością mógłby odróżnić w ciemnościach ziemię od nieba. Wilczarz widział wodę, linię kołyszącego się na wietrze sitowia i pływające wyspy. Gacek latał gdzieś ze swymi pobratymcami, którzy jeszcze nie zapadli w zimowy sen. Wen trochę się o niego niepokoił.

Długo stał nieruchomo, wsłuchując się w każdy szmer i każdy poświst wiatru, potem zawrócił do ogniska. Kiedy ponownie stanął na wzniesieniu i zapatrzył się w dal, dostrzegł, że pływających wysp jest dużo więcej. Na pewno się przemieściły, były teraz znacznie bliżej brzegu.

Choć wiatr powinien być je raczej od brzegu odganiać...

Wilczarz ledwie zdążył zdać sobie z tego sprawę, kiedy na ramię zwałił mu się Gacek, wczepił się w zamsz i zaczął szczekać zębami, syczeć, niespokojnie machać skrzydłami.

Tak samo jak wiosną na leśnym trakcie, przed napadem szajki Żadoby...

Wilczarz wyteżył wzrok i uważnie przyjrzał się najbliższemu pływającemu wyspom. Serce łomotało mu dużo szybciej niż zwykle. Czy potem będzie sobie wyrzucał opieszałość? Ale przecież nie miał pewności - może wyspy pchał w tę stronę jakiś podwodny prąd, a Gacka może poturbował jakiś władczy leśny samiec?

Obok nich przeleciało kilka nietoperzy. Wilczarz mógł przysiąc, że przekazywały Gackowi jakieś komunikaty. Pływająca wysepka wyglądała jak najzwyklejszy kawał torfu, starego pnia i korzeni. Rosły na niej krzewy, a nawet małe drzewka. Właśnie spod krzaczka wysunęło się krótkie wiosło i ostrożnie skierowało "wyspę" bliżej brzegu...

Wilczarz włożył do ust dwa palce i przeciągle zagwizdał. Na pewno słyszeli go wszyscy w całym obozowisku, może nawet w świątyni, w której rozłożyli się dzielni Welchowie. Zagwizdał jeszcze raz, ostro i krótko. To był sygnał dla Siarka: koń miał się ratować razem z pozostałymi wierzchowcami. Wen z impetem przeskoczył przez krzaki i stos chrustu. Runął w stronę namiotu knezinki.

Segwańscy strażnicy byli już na nogach, a Dobrobor właśnie dawał nura do namiotu, żeby wyprowadzić stamtąd służebnice i samą panienkę. Wilczarz bez zwłoki wpadł do środka za nim. Namiot - podobnie jak domostwo Welchów w Krynicy - był podzielony na dwie części haftowanymi zasłonami. Bez ceremonii Wilczarz odgarnął je ruchem ręki.

- Pani, musimy natychmiast uciekać.

Knezinka - tak jak prosił - była ubrana i miała na sobie kolczugę. Wilczarz nieraz miał okazję przekonać się o jej odwadze, ale najwyraźniej teraz dziewczynę sparaliżowały wszystkie strachy, które mieszkały w jej sercu od dnia pierwszego zamachu. Pobladła, jej oczy zrobiły się okrągłe. Zaczęła wstawać z łoża. Wolniuteńko, jak w koszmarnym śnie. Wilczarz pochylił się, postawił ją na

nogi i wyciągnął na zewnątrz. Hellona, drżąc, chwyciła go za rękę.

Młodzi wojowie już uciekali w stronę zbocza, pomagając przerażonym służącym. Dwóch chwatów, z cicha cedząc przekleństwa przez zęby, unosiło medyka Iliada, trzeci targał jego skrzynkę. Srebro i szaty można było zostawić na zatracenie, ale lekarstw - przenigdy! Wilczarz poniewczasie pomyślał, że trzeba było wyznaczyć człowieka, który by zajął się rozmieszczonym na wozach posagiem knezinki. Pies z nim tańczył, z całym tym posagiem. On ma się troszczyć o życie pani.

Z ciemności wyleciała strzała, minęła głowę knezinki i wbiła się w sosnę. Wilczarz odskoczył w bok, pociągając za sobą dziewczynę jak najdalej od ogniska i jego zdradzieckiego światła. Przewrócił ją i zakrył własnym ciałem. I dopiero potem zmiarkował, że napastnicy okazali się zadziwiająco dobrze zorientowani. Ta wysepka, a właściwie łódka albo tratwa, zamaskowana od góry sitowiem i zaroślami, nie mogła jeszcze dopłynąć do brzegu. A więc ktoś zaatakował z łądu. Podkradł się umiejętnie, po cichu, tak sprytnie, że nie zauważyli go nawet trzymający wartę, a może podcięto im gardła. Jeżeli rzeczywiście napastnicy dostali się do obozu, to z której strony?

Pozostawało pokładać nadzieję w Aptacharze i jego łucznikach, którzy mieli osłaniać odwrót.

- Zaraz uciekniemy, panienko - powiedział Wilczarz.

Służki popiskiwały gdzieś w głębi lasu, nie rozumiały, co się dzieje. Wyrwały się krzepkim strażnikom i wzywały na pomoc swoją panią, jak gdyby mogła stanąć w ich obronie.

Gdzieś w pobliżu zarżał koń niewidoczny w ciemnościach. Gacek, który krążył Wilczarzowi nad głową, natychmiast rzucił się w tę stronę i zniknął bez śladu. Knezinka podniosła się na łokciu:

- Śnieżynka!

Wilczarz zmusił ją, by natychmiast znowu przywarła do ziemi. I dobrze zrobił. Tuż nad nimi przeleciało kilka strzał. Obejrzał się i zobaczył, że gruba tkanina namiotu jest przedziurawiona w wielu miejscach. Sądząc po rozmieszczeniu dziur, strzelcy celowali w leżących, i to akurat w połowę namiotu należąca do knezinki. Gdyby Wilczarz nie zdążył wyciągnąć Hellony z łóżka, nie uratowałaby jej nawet kolczuga.

Podpełził do nich Dobrosław, czołgając się w trawie. Pomagał piastunce. Staruszka zwichnęła nogę i nie mogła dalej uciekać.

- Dzieciątko moje! Żyjesz! - wykrzyknęła na widok knezinki.

- Będziesz ją niósł, Dobrosławie - rzekł Wen. Hajgał zamachała rękami.

- Ja dam sobie radę. Tylko dziewczynę ratujcie!

- Wszyscy za mną!

Chwycił Hellonę za rękę, poderwał ją z ziemi i co sił w nogach ruszył pędem pod górę. Bracia Dobrzy z ufnością pobiegli jego śladem, wiedząc, że ich nauczyciel widzi w ciemnościach i drogi nie pomyli. Zdążyli przebiec nie więcej niż trzydzieści kroków, kiedy za ich plecami wystrzelił w niebo słup ognia. To w namiot knezinki trafiły strzały okręcone płonącymi pakułami.

- Nie oglądaj się, pani - poprosił Wilczarz.

Ten wariacki bieg pod strzałami przez nocny las knezinka Hellona będzie pamiętać do końca

swoich dni. Ileż to razy, próbując choć w myślach naśladować matkę, wyobrażała sobie siebie jako wojowniczkę w hełmie z pióropuszem, w błyszczącej zbroi, po mistrzowsku władającą bronią, nieustępliwą i oczywiście nieustraszoną! Łatwo być nieustraszoną, jeśli nic ci nie grozi. Przyśnił jej się sen, w którym nie porzuciła Wilczarza, i potem marzyła, że również w prawdziwym życiu będzie tak samo dzielna. Dobre sobie! Przecież ona nawet wroga na własne oczy nie widziała, tylko usłyszała, jak śpiewają tuż przy jej uchu prędkopióre strzały, wystrzelone, by wyrwać z niej duszę. I to wystarczyło, żeby serce uciekło jej w pięty, żeby bezradnie ugięły się pod nią kolana. Potykała się przy każdym niemal kroku, bez końca przewracała się, wpadała w jakieś rozpadliny, które Wilczarz pokonywał bez trudu jak równą dróżkę. Nic przed sobą nie widziała, częściowo z powodu ciemności, częściowo ze strachu. Ale za każdym razem, kiedy już prawie uderzała twarzą o ziemię, żelazna ręka ochroniarza stawiała ją mocnym szarpnięciem na nogi, nie pozwalając upaść.

Dopiero dużo później, kiedy przypominała sobie po kolei wszystkie wydarzenia tej nocy, zrozumiała, dlaczego w pewnym momencie przerażone głosy jej służek, które rozległy się z prawej strony, zaczęły się oddalać. Wilczarz prowadził ją inną drogą niż ta, którą uciekali pozostali.

Coś ciężkiego spadło z góry, uderzyło ją w prawą łopatkę. Było to tak nieoczekiwane i bolesne, że krzyknęła. Po raz kolejny niemal upadła, po raz kolejny stanęła na nogi i nadal biegła.

Stara piastunka gorzko, z wdzięczności i bezradności płakała, obejmując krzepką szyję Dobrosława. Co by się z nią stało, a nade wszystko - co stałoby się z dziewczeczką, gdyby w pobliżu nie było tych trzech młodzieńców? Których ona, bywało, miotłą odpędzała z ganeczku przylegającego do komnat knezinki.

Hellona nie mogła złapać tchu, nie była przyzwyczajona do tak szybkiego i długiego biegu. Ledwie rozróżniała pnie sosen podświetlone odbłaskiem dalekich ognisk. Za każdym drzewem widziała goniący ich szponiasty cień. Wyraźnie czuła na sobie spojrzenie czerwonych, krwawo świecących oczu i nie umarła ze strachu tylko dlatego, że nie było na to czasu. Rozpuszczone włosy wchodziły jej do oczu, gałęzie zmiotły z głowy i jedwabną siatkę, i srebrną tiarę. Po twarzy spływały jej łzy pomieszane z potem, kolczuga z każdym krokiem wydawała się coraz cięższa. Droga wciąż wiodła pod górę. Knezinka nie wiedziała, dokąd biegną i jak długo muszą jeszcze biec, i to było najgorsze ze wszystkiego. Niemal wisiała na ręku ochroniarza, starając się za nim nadążyć, ale sił miała coraz mniej. Nawet strach, początkowo dodający jej animuszu, stopniowo ustąpił miejsca tępemu zmęczeniu. Nie miała pojęcia, jak to jest być zabitym, i dlatego myślała sobie: A niech już zabiją.

Zaraz się przewrócę... - kołatało w jej świadomości. Upadnę. I to już będzie koniec. I mogą zrobić ze mną, co zechcą.

Drzewa przed nimi się rozstały, a na tle gwiazdzistego nieba zamajaczyły kontury postrzępionych murów. Wilczarz zatrzymał się, knezinka z rozpędu wpadła na niego. Cała się trzęsła ze strachu i napięcia. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ten szalony bieg zajął mniej więcej tyle czasu, ile trzeba, by spokojnie wypić kubek wody. Dwóch młodszych ochroniarzy ciężko dyszało tuż za jej plecami. Wyglądało na to, że w biegu jeszcze próbowali zakryć ją swoimi ciałami

od strzał. Jeden z braci niósł na rękach piastunkę. Knezince nagle zrobiło się wstyd, że do tej pory nie nauczyła się jeszcze rozróżniać bliźniaków.

- Mal-Gona! Aptacharze! - ochryple zakrzyknął Wilczarz. - Swój!

Rozpoznali jego głos. Za murami ktoś się poruszył, Wen zrobił krok do przodu i Helionie przyszło wciskać się za nim w jakąś wąską, chropawą szczelinę. Od razu poprowadził ją ku zachodniej ścianie świątyni, gdzie leżały zawczasu złożone sosnowe gałęzie i gdzie ukryta przed obcym okiem tliła się kupka węgielków. Knezinkę znowu ogarnął lęk, co będzie, jeśli on wypuści jej rękę. Obejrzała się za siebie i zobaczyła, że w kamiennym kręgu jest pełno ludzi. Solwenowie, Welchowie, Segwani bez zbędnego hałasu, ze znajomością rzeczy przygotowywali się do walki: zasłaniali ostatnie niezabezpieczone jeszcze szczeliny, sprawdzali strzały w kołczanach, miecze i włócznie. Knezinka dostrzegła nawet kilku młodych wojów z drużyny Promienia, ale przede wszystkim byli tu strażnicy z miasta, prosty haliradzki ludek. Zapragnęła zamknąć oczy i obudzić się w domu, w spokoju i ciszy.

- Na owłosione łydki Tunnworna! Jakeś tędy przeszedł? - spytał Wilczarza niezadowolony Aptachar. - Myślałem, że zjawisz się z drugiej strony. Niech Hogg zeżre twe kiszki, Wenie, przecież mogli was zastrzelić!

- Nieważne, z której strony, najważniejsze, że pani jest cała i zdrowa - odburknął Wilczarz.

Knezinka usiadła na gęstej świerczynie, na derce z wołoku. Wreszcie zmusiła się do tego, by rozewrzeć palce i puścić rękę ochroniarza. Córce wodza nie godzi się okazywać przy ludziach strachu. Ktoś zarzucił jej na ramiona ciepły, zagrzany ludzkim ciepłem, podbity futrem płaszcz. Podszedł Dobrosław i posadził obok niej piastunkę. Staruszka poprosiła młodzieńca, by się nachylił, i złożyła mu na spoconym czole serdeczny pocałunek.

Z różnych stron zaczęły zbiegać się służki, które na widok knezinki postanowiły natychmiast porzucić swoich wybawców. Wszyscy byli w świątyni, nawet medyk Iliad ze swoją nieodłączną skrzyneczką. Na pierwszy rzut oka mogło się to wydawać dziwne, ale tchórzliwego Halisuńczyka strach obleciał najmniej ze wszystkich.

Na pewno dlatego, przeszło przez myśl knezince, że on w przeciwieństwie do mnie ma tu coś konkretnego do zrobienia. Podczas bitwy będzie przydatny.

Wśród służek brakowało tylko skorej do śmiechu, pięknej Warei, tak podobnej do knezinki. Nie było wśród Segwanów także piegowatego młodzieńca, który miał się nią opiekować.

Na polecenie Wilczarza bliźniacy przynieśli kilka tarcz. Jedną oddali knezince, pozostałe - dziewczkom.

- Po co to? - spytała Hellona. Jeżeli przyjdzie się bić, tarcza jej się nie przyda, nie potrafiła zrobić z niej użytku.

- Na pewno będą strzelać tak, żeby strzały przeleciały górą, nad murem. Powinnaś się wtedy ukryć za tarczą - odparł Wilczarz.

Jak gdyby ktoś po drugiej stronie usłyszał jego słowa, z gwiazdzistego nieba niemal pionowo spadła ciężka strzała i wbiła się w kupkę węgielków. Wilczarz momentalnie chwycił okrągłą tarczę i

trzymał ją nad knezinka dopóty, dopóki ona sama nie włożyła niewprawnej ręki w skórzane pasy. Tarcza była z drewna, obciągnięta nawoskowaną skórą i po brzegach okuta żelazem. Wydała się knezince bardzo ciężka, chociaż w rzeczywistości wcale tak nie było. Służące, pochlipując, przytuliły się do siebie, do knezinki i bliźniaków.

Wilczarz przykucnął obok Heliony i wyjął z jej szaty strzałę, która utkwiała w grubym suknie za prawym ramieniem. Potem popatrzył na dziewczynę i nagle zwrócił się do niej bardzo cicho i z całkowitym spokojem:

- Nie płacz, pani. Nie wolno płakać. Wszystko będzie dobrze. Knezinka dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jej twarz złana jest nie tylko obficie potem, ale także łzami.

- Będę tam. - Wilczarz wskazał skalną ścianę. - Dobrosław i Dobrobor posiedzą tu z tobą, pani.

Hellona poczuła z całą wyrazistością, że natychmiast umrze, jeżeli on odejdzie i ją zostawi. Skinęła głową na znak zgody i wyszeptwała, jak wtedy na rynku:

- Uważaj na siebie, Wilczarzu, nie daj się zabić...

- Jeszcze tego by brakowało!

Odpiął przytroczonego do pasa kindżała, który jako dar wdzięczności przekazał mu Ketarn. Klinga długa na dwie piędzi w rękach dziewczyny może się wydać krótkim mieczem. Choć prawdę mówiąc, Hellona była z nim obznajmiona nie lepiej niż z tarczą. Kiedy jednak poczuła w dłoni rzeźbioną rękojeść noża, dodało jej to odwagi, jak zwykle bywa z ludźmi nieobeznanymi z bronią. Wilczarzowi tylko o to chodziło.

\*

Przez jakiś czas za murem świątyni panowała podejrzana cisza.

- Jak tylko dotkną, człowiek zaraz pada - odezwał się niepewnym głosem skazańca jakiś młody wojownik, stojący w pobliżu Wena. - Dotkną, a kości rozpuszczają się jak masło...

- Oni to znaczy kto? - spytał Wilczarz, wyciągając z futerału wcześniej już przygotowany ("zawiązany", jak mawiało jego plemię) łuk. Rozmyślał w tej chwili o tym, gdzie mógł podziąć się Gacek, i martwił, czy nie stało mu się coś złego.

- Widma... - wymamrotał młodzieniec, trochę wstydząc się okazania lęku. Wilczarz nie obejrzał się, by na niego spojrzeć. I bez tego było jasne, że biedaczkowi trzęsie się ze strachu broda. - Witeziów już pewnie wszystkich wykończyli. Jedyne nadzieje w tej świątyni... Choć bogowie nie nasi, kto ich tam wie...

- Widma! - prychnął Wen. - Kto to widział, żeby widma strzelały z łuków? I z chrzęstem łamały krzaki, kiedy biegają po lesie.

A dlaczego ludzi Promienia nie widać i nie słychać, to wymaga osobnego wyjaśnienia, pomyślał, lecz nie wypowiedział tego na głos.

- Poza tym, wedle mego zdania, widma nie przeklinają - nieśmiało odezwał się inny głos. Wilczarz rozpoznał Białą Głowę. - Słyszałem, jak tam na dole jeden mówił... Klął dziurawą łódeczkę na czym świat stoi! Nauczyłem się czterech nowych słów... Wokół ludzie zaśmiali się z cicha.

- Widzę, bracie, żeś zgłębił starożytne języki - rzekł Mal-Gona, chrząkając pod wąsem. - A w jakimż to narzeczu tak przeklinali?

- W języku Solwenów! - z niepomiernym zadziwieniem odpowiedział Biała Głowa.

Na dole, od strony obozowiska, daty się słyszeć okrzyki radości, które doskonale niosło z oddali pośród nocnej ciszy. Wilczarz wsłuchał się we wrzawę, zdawało mu się, że wyłowił słowo: "Znalazłem! Znalazłem!"- Kiedy tak przysłuchiwał się i próbował odgadnąć, co to mogło znaczyć, wrzawa przycichła.

Linie drzew dzieliło od świątyni jakieś sto kroków. W lesie było całkiem ciemno, nienawykłe ludzkie oko nie mogło nic zobaczyć w tak gęstych ciemnościach. Wilczarz wyszedł przez szczelinę pomiędzy głazami, przywarł plecami do kamienia i wyteżył wzrok. Wojownicy za nim wymieniali szeptem uwagi, ściskali schowane pod kolczugami amulety. Ktoś ostrożnie spytał:

- Widzisz tam coś, Wenie?

Wilczarz nie odpowiedział, ale lewą rękę, w której trzymał łuk, powoli uniósł do góry. Zauważył jakiś ruch w pobliżu, wielkiej sosny, która wrosła w granitowy występ. Nie obawiał się, że nie trafi z tej odległości, lecz ten człowiek mógł się okazać kimś ze swoich, i dlatego Wilczarz zwlekał.

Potem skrywający się człowiek odrobinę przesunął się w lewo i Wen dostrzegł na jego głowie hełm z długim pióropuszem w kształcie szczotki. Taki pióropusz narysowała na ziemi Ertana, opowiadając o hełmie z okresu Ostatniej Wojny, który przechowywano w jej domu. Wilczarz przez moment poczuł zimny dreszcz. Od dwustu lat takich hełmów nie nosiła żadna żywa dusza. Czyżby mimo wszystko w opowieściach o złych duchach Trzęsawisk Kajerańskich była część prawdy? I jeszcze spytał się w myślach, czy tam, w lesie, mógł skrywać się jakiś dobry człowiek, który założył na głowę stary hełm, i sam sobie odpowiedział, że to niemożliwe. Wilczarz nie lubił strzelać bez uprzedzenia, nie wiadomo do kogo, ale kiedy pod drzewami przemknęło jeszcze kilka cieni, spuścił cięciwę. Strzała z szerokim grotem uderzyła w miejsce, gdzie pod hełmem ledwie majaczyła czyjaś twarz. Od razu stało się jasne, że pod drzewem czaił się nie bezcielesny duch. Siła uderzenia starego weńskiego łuku była ogromna: klęczącego pod drzewem człowieka w hełmie dosłownie poderwało do góry i obaliło na wznak. Upadł, z hałasem łamiąc krzaki. Jego towarzysze natychmiast przywarli do ziemi i zaczęli strzelać, ale żelazne groty odskakiwały od kamieni, nikomu nie czyniąc krzywdy. Młodszy strażnicy rzucili się do łuków, żeby odpowiedzieć. Wilczarz dosłyszał, jak starsi miarkowali zapalczyste i niedoświadczony młode głowy. Jakiż może być pożytek ze strzelania na chybił trafił, skoro i tak nic nie widać?

Uchylając się od strzał, Wilczarz padł na ziemię, strzelił jeszcze kilka razy, celując w konkretnych ludzi. Jedno z "widm" na zawsze pozostało pod drzewem, przygwożdżone do pnia - zakończona piórami strzała przebiła mu szyję. Kolejne zawyło, wijąc się z bólu pomiędzy omszałymi kamieniami. Długi ciężki grot z zadziarami przebił ogniwkę kolczugi na jego brzuchu. Pozostali zrozumieli, że nie są niewidzialni, i z głuchym rykiem runęli naprzód.

Małeńka twierdza podpuściła ich bliżej, po czym zarzuciła strzałami. Większość w ciemnościach nie sięgnęła celu, ale wiele grotów trafiło. Stanowiska strzelnicze zajęli doświadczeni łucznicy,



którzy mogli celnie strzelać nawet z zawiązanymi oczami, kierując się słuchem, reagując na każdy szelest. Śmierć kilku napastników nie powstrzymała reszty. Zdołali dobiec do kamiennych ścian i szukali wejścia, niektórzy zamierzali wspiąć się po ścianach. Zaczęła się chaotyczna rzeź w mroku.

Kiedy doszło do bezpośredniego starcia, pierwsze z nadbiegających "widm" omal nie rozdeptało Wilczarza, który był niewidoczny w ciemności. Może zbój zdążył się jeszcze zdziwić, kiedy niewiadoma siła nagle podniosła go i zakręciła nim młyńca, zmusiła, by zgiął się w niewygodnej pozycji, i z rozmachem gruchnęła nim o kamień. Wilczarz wyciągnął z pochwy miecz i zwał się z następnym.

Zapewne tak właśnie dwieście lat temu bili się tu ostatni wojowie starożytnego plemienia, okrążeni ze wszech stron najemnikami Gurcata Przekłętego w hełmach ozdobionych szczotkopodobnymi pióropuszcami. A w świątyni schroniły się małe dzieci, starszankowie i kapłani, na próżno wzywający pomocy bogów...

Wilczarz ściał głowę swemu przeciwnikowi i pomyślał, że walczy teraz także za nich.

\*

W tarczę, którą knezinka trzymała nad sobą, trafiło kilka strzał. Jeszcze jedna wbiła się w ziemię, przebijając skraj szaty. Potem głośno wzywając medyka, podbiegł młody Segwan i przyniósł na rękach rannego. Iliad natychmiast wysunął się spod tarczy, rozpalil wbitą w ziemię głównię i zaczął opatrywać rozcięte biodro młodzieńca, nie myśląc wcale o tym, że jemu samemu grozi śmierć. Knezinka popatrzyła na Halisuńczyka, który w skupieniu zaciskał opaskę. Potem na rannego woja, który spotkał się z nią spojrzeniem i spróbował uśmiechnąć się do niej białymi jak mąka, wygiętymi z bólu ustami.

Ludzie cierpieli i ginęli dla niej. Po to, aby mogła szczęśliwie dojechać do narzeczonego. Którego nigdy w życiu nie widziała i nienawidziła z całego serca...

Potem znowu przypomniała sobie sen, w którym jej wierny ochroniarz cofał się po kamiennej ścieżynce wśród szarych skał, cofał się, walcząc z jakimś niewidzialnym wrogiem... Wtedy, we śnie, chciała mu pomóc. Nie siedziała w bezpiecznym miejscu, kiedy inni bili się na śmierć i życie. Wtedy nie miała po prostu innego wyjścia. Oto cała odwaga. A może chodziło o to, że we śnie, choćby nie wiem jak było strasznie, tak naprawdę nie możesz zginąć?

Walka nadal toczyła się w całkowitych ciemnościach. Ani jedni, ani drudzy nie pozapalali pochodni. "Widma" uparcie próbowały udawać istoty z tamtego świata. Choć wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że to zwyczajni ludzie, którzy włożyli na siebie stare broje znalezione na mokradle, aby nastraszyć przeciwnika. Oblężeni nie chcieli natomiast, aby napastnicy zobaczyli, ilu ich jest, poza tym - na cóż po próżnicy zwracać na siebie uwagę wrażeń łuczników...

Wilczarz krążył pod murem i bezlitośnie wykorzystywał przewagę, jaką dawała mu umiejętność widzenia w ciemności. Wspaniała miecz, po raz pierwszy dobytej przezeń w prawdziwej walce, zanurzył się we krwi aż po rękojeść. Leśnych zbrojów kochał równie mocno jak Wilczarz.

Dość szybko Wen się przekonał, że napastnicy widzą w ciemności nie gorzej niż on, tyle że

nieco inaczej. Od razu dostrzegali ruch, a człowieka stojącego nieruchomo mogli w ogóle nie zauważyć. Zapewne dlatego nie zobaczył go ten pierwszy, któremu wraził strzałę pod przyłbicę. Wilczarz kręcił się jak bąk, starając się ściągnąć na siebie jak najwięcej wrogów. Wiedział, że w walce wręcz raczej nie zaczyna strzelać, a skoro tak, to niech spróbują do niego podejść. Ilu ludzi może jednocześnie napaść na jednego człowieka? Trzech, czterech, nie więcej. W przeciwnym razie będą tylko sobie wzajem przeszkadzać. A zatem jeśli umiesz poradzić sobie z czterema, to dasz sobie radę i z czterdziestoma. Wilczarz pozwolił napadającym otoczyć się i zaczął kreślić mieczem zawile figury.

Miecze i włócznie "widm" ślizgały się po klindze, a "widma" przewracały się, niektóre nie mogły się już podnieść. Wilczarz zdołał się przekonać, że jego przeciwnicy nie są mistrzami we władaniu bronią. Widocznie przyzwyczajeni byli do tego, że napadają niespodziewanie, z zaskoczenia i wyrzynają śpiących, nie napotykając poważnego oporu. Stawiać czoło takim wojom samotnik w rodzaju Wilczarza mógł tak długo, jak długo zdoła ustać na nogach i nie paść ze zmęczenia. Gdyby mała siwa niewiasta nagle podjechała na swoim osiołku pod mury starej świątyni, czy byłaby dumna ze swego ucznia? A może znowu by go złażała, że rozprawia się z wrogami od razu, nie daje im sposobności, by zrozumieli swój błąd i postanowili zmienić swe życie?

Czas cofnął się o dwa wieki. Cienie dawno zabitych płynęły przez ciemności, wpatrując się w tych, którzy zakłócili im sen. Wokół siedziby bogów znowu toczyła się zażarta nocna bitwa, tyle że tym razem wojom w grzebieniastych hełmach nie udało się tak łatwo zwyciężyć, nie udało im się zabawić kosztem bezbronnych. W świątyni walczyli surowi i bardzo spokojni ludzie, którzy wcale nie uważali, że są skazani na śmierć. W przeciwieństwie do starego plemienia byli przekonani, że zwyciężą.

- Trzymaj się! - usłyszał nagle Wilczarz. Obejrzał się w stronę, skąd dobiegł go krzyk, i zobaczył Ertanę.

Dziewczyna przebijiała się doń, myślała, że skoro Wilczarz został otoczony, to znaczy, że kiepsko z nim. Świetnie posługiwała się mieczem, fechtowała z zaciekłością, z której słynełi Welchowie. Otaczający go napastnicy poszli w rozsypkę. Ertana znajdowała się już o dwa kroki od Wilczarza i prawie go uratowała, kiedy nagle ktoś rzucił w nią nożem. W ten stał z drugiej strony i nie mógł jej przyjść z pomocą. Ertana bez słowa podniosła rękę do piersi i zaczęła osuwać się na ziemię. Zbójce rzucili się, by ją dobić, ale Wilczarz już stał nad wojowniczką i jego długi miecz tkął w powietrzu całuny pogrzebowe każdemu, kto miał czelność podejść zbyt blisko. Ertana, zaciskając zęby, starała się podnieść, ale jej się nie udawało.

- Uciekaj - powiedziała ochryple. - Uciekaj!

Nie odpowiedział. Wolną ręką podniósł ją z ziemi, namacał rękojeść noża.

- Ani mi się waź umierać! - krzyknął w języku Welchów. Ertana próbowała objąć go za szyję. Z powodu bólu i zawrotów głowy jej palce były jak z waty, potem odzyskała nieco siły. Chwiała się, ale jednak stawiała kolejne kroki. Zbójce osaczyli ich jak stado wilków parę łosi, które poraniły kopyta o wiosenną szreń. Wilczarz zaczął z cicha sączyć przez zęby przekleństwa; teraz

naprawdę był w opałach, Ertana zwisała na jego ręce, wsparłszy głowę na ramieniu. Z ust ciekła jej krew, czuł, jak gęsta gorąca wilgoć wsiąka w jego skórzaną kurtkę. Mimo to przebił się ku południowemu wejściu do świątyni. Ludzie w środku dosłyszeli jego wołanie. Odważni młodzieńcy natychmiast wyskoczyli na zewnątrz i przyszli obojgu z pomocą. Wilczarz otarł miecz o cholewy i schował do pochwy. Ręce Ertany bezsilnie rozwarły się na jego szyi. Wen schwycił ją bardzo ostrożnie, aby nie poruszyć noża tkwiącego w jej piersi. Wniósł dziewczynę do środka i rozglądał się za Illadem. Ktoś podbiegł, by zabrać ranną. Wilczarz odwrócił głowę i zobaczył knezinkę, której towarzyszyli nieodłączni bracia Dobrzy. Okazało się, że młoda władczyni zdążyła już polecić służkom, by pomagały medykwom. Sama nie pozostawała za nimi w tyle - odstawiała rannych w miejsce, gdzie byli bezpieczni. Obok leżało dwóch śmiazków z bandy, którzy zdołali dostać się do środka, obaj mieli na sobie grzebieniaste hełmy i starożytne napierśniki. Jeden został pozbawiony życia uderzeniem noża w podbródek. Tego ciosu Wilczarz osobiście nauczył braci Dobrych, w Haliradzie nikt go nie znał. Drugiemu z rozbójników sypnięto najpewniej gorącymi węglami w twarz i tym na moment oszołomiono. Piastunka, która zajmowała rozmową cierpiącego straszne bóle młodzieńca, miała dłoń zawiniętą szmatą; była z jakiegoś powodu strasznie dumna.

- Co złego to nie ja, ban-riono, zachowaj mnie we wdzięcznej pamięci - powoli, obcym, niskim głosem powiedziała Ertana. - Odchodzę. Hellama... On na mnie czeka...

- Ani mi się waż umierać, jeszcze nie czas - prychnął Wilczarz. Po sadził dziewczynę na ziemi, oparł o kamień ofiarny i zaczął ostrożnie rozcinać skórzaną kurtkę. Knezinka uklękła obok i delikatnie pod trzymywała opadającą głowę Ertany. Po jej policzkach znowu ściekały łzy - była przekonana, że Welchinka za chwilę umrze. Jak zatrzymać w niej życie?

Tymczasem tuż obok nich pojawił się ranny. Biała Głowa. Były piekarz straszliwie cierpiał. Stracił w potyczce oko, głowę opasywał mu zakrwawiony opatrunek, a pod ocalałym okiem widniał świeży siniak. Siniak ten, o ile było wiadomo Wilczarzowi, Solwenowi nabiła za jego nadmierne ku niej afekty sama Ertana. Biała Głowa spojrzał na jej obnażoną, zalaną krwią pierś, a jego nieposłuszne wargi rozchyliły się w chytrym uśmieszku.

- Nie bez kozery dostałem w mordę, moje ręce wiedziały, czego chciały dotknąć. Widzisz ją, jakie cuda chowała!

Iliad posmarował ranę wokół noża jakąś przezroczystą maścią, przyłożył palce poniżej rany i zaczął osłuchiwać serce.

- Najważniejsze, że cycuś jest cały - ze znajomością rzeczy oznajmił Aptachar, który wyłonił się z ciemności. - Dziewczyno, tobie jeszcze dwadzieścioro dzieci urodzić, zanim do grobu kości złożyć!

Ertana podniosła rękę, chciała pogrozić im pięścią, ale w tym momencie straciła przytomność.

\*

Napadających było o wiele więcej niż obłązonych, lecz w pewnym momencie broniący się zrozumieli, że na pewno zdołają odeprzeć atak. Zrozumieli to również rozbójnicy. Z dołu, z brzegu, rozległ się dźwięk rogu. Wilczarz od razu przypomniał sobie opowiadanie Ertany o przygodach jej

dziadka i o grobowym rogu, na którym nie mógł grać żaden żywy człowiek. Dźwięk, głuchy i złowieszczy, rzeczywiście brzmiał tak, jak gdyby wydobywał się spod ziemi. Ciarki przechodziły po krzyżu. Dlaczego rozbójnicy nie zadęli w róg na początku, aby wszystkich przestraszyć? Wilczarz nie miał czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Jedyne wyjaśnienie, które przyszło mu teraz do głowy, nie było zbyt pocieszające.

Im potrzebna była knezinka...

I domyślali się albo wręcz wiedzieli, że wokół władczyni są ludzie, którzy natychmiast chwycą za broń, bez walki nie oddadzą dziewczyny żadnym parszywym duchom dawno umarłych łotrów - choćby i samym Bogom Ciemności, gdyby ci zechcieli po nią przyjść.

Wilczarz pochylił się nad zabitym rozbójnikiem, zajął w jego martwe oczy. No tak. Patrzył w niewiarygodnie rozszerzone źrenice jak w dwie bezdenne przeręble w zimowym lodzie. Odchylił powieki drugiego z zabitych. To samo.

Na wschodzie nad horyzontem już rozpałał się wąziutki paseczek zorzy. Zbójce wycofali się i zniknęli gdzieś w lesie, po drodze zabierając lub dobijając swych rannych. Jeńców na pewno wzięto by na spytki, chociaż wszyscy byli już od dawna przekonani, że w bajeczkę o wojowniczych duchach powstających z Trzęsawiska Kajerańskiego nikt już więcej nie uwierzy.

- Szkoda, że zabiliście obu - odezwał się do bliźniąt Wilczarz, patrząc na trupy. - Można byłoby ich wypytać.

Dobrobor zaczerwienił się po uszy i odpowiedział za siebie i za brata:

- Bardzośmy się przestraszyli...

Knezinka siedziała obok Ertany, gładząc ją drżącymi rękami po głowie. Wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć, że straszna noc dobiega końca.

- Wszystko dobrze, ban-riona - mówiła słabym głosem Ertana. - Odparliśmy ich.

Leżała z zamkniętymi oczami, blada, aż zielona, ale krew nie ciekła jej już z ust. Twierdziła nawet, że prawie ją nie boli, jeśli się nie porusza.

Wtem z przeciwległej strony bagna dał się słyszeć bojowy okrzyk haliradzkiej drużyny, szczęk oręża i odgłos kopyt.

- Oho - zmęczonym głosem powiedział Wilczarz - oto i Promień.

- Gdzie go Hogg nosił, bardzo chciałbym wiedzieć - nieprzyjaźnie burknął Aptachar, przykucając obok. To była ulubiona poza Segwanów. W innych plemionach wiecznie na ten temat żartowano, ale te raz nikt nie miał ochoty na zbytki.

Wilczarz wydobył miecz z pochwy, ułożył go na kolanach i zaczął czyścić. Wiadomo, co dzieje się z klingą, jeśli z niej na czas nie zetrzeć krwi. On też wiele mógłby powiedzieć o Promieniu, ale nie chciał zaczynać przy knezince.

Podszedł do nich Mal-Gona, wyraźnie utykając. Usiadł na ziemi, niezgrabnie wysuwając przed siebie nogę obwiązaną szmatą. Stracił w potyczce czterech świętych wojów, był poruszony i zły.

- Nie widzieliście Chwata? - ponuro spytał Aptachar.

- Niechby zdechł ten twój Chwat! - zawołał Welch. - Jak go zaciukali, płakać nie będę.

Solweńscy strażnicy, którzy usłyszeli te słowa, nie mieli zamiaru zaprzeczać. Knezinka patrzyła na mężczyzn, którzy jeszcze się nie uspokoili po bitwie. Zapewne należało jakoś przywołać do porządku młodzieńców, przypomnieć im, że powinni z szacunkiem odnosić się do dowódcy. Ale rzecz w tym, że nie sposób zmusić ludzi, by szanowali kogoś, kto na szacunek nie zasługuje.

W tym momencie knezinka rzekła coś zupełnie zaskakującego.

- Nie jestem godna, by być władczynią - cicho odezwała się do Wilczarza. - Ja... ja stchórzyłam...

Wilczarz podniósł głowę i uśmiechnął się. Aptachar i Mal-Gona popatrzyli na nią, potem na siebie i jednocześnie wybuchnęli śmiechem. Po chwili śmiali się już wszyscy w maleńkiej twierdzy, nawet ranni.

Tymczasem na dole zrobiło się głośno, dały się słyszeć krzyki. Najwidoczniej witezie Promienia gnali "widma" z powrotem w bagna. Kilku chłopaków obdarzonych dobrym wzrokiem wspięło się na głązy; było coraz jaśniej, dzięki czemu dostrzegli łódki odpływające na drugą stronę błot. Najzwyklejsze na świecie płaskodenne łódeczki, tyle że z ich burt zwisały resztki sitowia i splecionych gałęzi. Rozbójnicy uciekali na złamanie karku.

Kiedy na zboczu wzgórza dał się słyszeć tętent końskich kopyt, strażnicy złapali za łuki i groźnie spytali, kto zacz.

- Sławny wojewoda, bojar Promień, syn Łękawy jedzie! - doleciał w odpowiedzi głos Pliszki. - Droga dla bojara!

Z drogi bojarowi ustąpiono, ale bez pełnego szacunku pośpiechu, do którego przywykł w Haliradzie. Promień zeskoczył ze swego gniadosza i wszedł do świątyni w towarzystwie Kanaona i Pliszki. Pozostali chcieli wejść za nim, ale nie zostali wpuszczeni. Wytłumaczono im, że i tak w środku jest pełno ludzi. Tak naprawdę chodziło o coś innego - ludzie z miasta, którzy szczęśliwie obronili swoją panią, teraz nie mieli zamiaru dopuszczać przed jej oblicze postronnych.

Jednak Promień, jak się miało wkrótce okazać, patrzył na to, co się stało, zupełnie inaczej.

- Siostro! - wykrzyknął radośnie. - Rozbiliśmy i przegnaliśmy ich, siostro, jesteś uratowana!

Knezinka Hellona w milczeniu zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Wilczarz już stał obok niej, po prawej ręce, o krok z przodu. Szarozielone oczy czujnie wpatrywały się w bojara i dwóch rębajłów stojących za jego plecami. Promień nie mógł nie zauważyć, że ludzie traktują go jak kogoś obcego. Nikt nie dzielił z nim szczęścia z powodu uratowania "siostry", nikt nie podjął entuzjastycznego okrzyku. Oprócz drużyny, która uderzała mieczami o tarcze i skandowała:

- Niech żyje bojar! Chwała mu!

- Ty nam lepiej powiedz, wojewodo, gdzie się ze swymi ludźmi podziewał, kiedy myśmy tu walczyli? - posępnie zapytał Mal-Gona.

W dodatku obaj starostowie, Welch i Segwan, nie uznali za stosowne wstać na widok młodego wielmoży. A skoro starostowie nie wstali, ich ludzie siedzieli także.

- To ja tobie, obcoplemieńcowi, mam się opowiadać? - rozgniewał się Promień. - Jeszcze się, chamskie ryje, przede mną będziecie musieli wytłumaczyć! Dlaczegoście siostrę nie wiadomo

dokąd uprowadzili, a mnie nie powiedzieliście nic? Ledwie was znaleźliśmy, na dobre słowo nie zasłużyliście! Dlaczego - to odnosiło się już do Wilczarza - dlaczego pani biegła sama, a niezdatną do niczego staruchę, niewolnicę, nieśliście na rękach?!

Ochroniarz nie miałby nic przeciwko temu, żeby wyjaśnić, skąd bojar znał takie detale. Ale nie zdążył. Rozgniewany Promień doskoczył i z impetem uderzył go pięścią w twarz.

To znaczy niezupełnie uderzył, oczywiście. Wilczarzowi coś podobnego nie zdarzyło się od dawien dawna. Ciało, które ledwie zdążyło ochłonać po walce, wszystko zrobiło samo. Głowa odrobinę odchyliła się w bok, prawa ręka wyskoczyła do przodu, prosto w szczękę bojara. Gdyby Wilczarz uderzył z całej siły, ani chybi złamałby Promieniowi kark. Ale Wen właściwie nie uderzył, tylko odepchnął wielmożę. Pliszka i Kanaan złapali go i troskliwie pomogli wstać.

Wszystko to wydarzyło się w tak błyskawicznym tempie, że nikt nie zdążył chwycić za broń.

- Wilczarzu... - wyszeptała knezinka.

Promień natychmiast wsadził palce do kieszonki, wyciągnął z niej cieniutką chusteczkę, obtarł nią wargi i podbródek, które pokalał swym dotknięciem Wen. Potem z obrzydzeniem rzucił chustkę na ziemię. Patrząc na to, Wilczarz nabrał ochoty, by popluć w dłoń i wytrzeć je w spodnie. Powstrzymał się nie bez wysiłku.

- Siostró - rzekł bojar cicho. - Otoczyłaś się ludźmi, którzy nie po winni stać u twego boku. Ani z racji urodzenia, ani zasług. To przy nosi ci ujmę, kuzynko. Posłuchaj ostrzeżenia bogów! Przypomnij sobie, ileż to dziwnych i strasznych doświadczeń przytrafiło ci się od chwili, kiedyś przyprowadziła do zamku źródło całego zła, tego podle urodzonego Wena, który dawno zapomniał, jak nazywała się jego matka! Nawet nie wiesz, kim jest i skąd się wziął, czemu wierzysz mu bardziej niż mnie? A ja nie jestem ślepy, siostró, ja wszystko widzę. Długo to znosiłem, lecz miarka się przebrała! Twój ojciec mi nakazał, bym cię zawiózł do narzeczonego. Ale cokolwiek tu rozkażę, twój Wen natychmiast się sprzeciwia. Do tej pory postępowałaś raz wedle mojej woli, raz wedle jego, żeby nikogo nie obrazić. Dostyc tego! Teraz, siostró, musisz wybrać: albo on, albo ja! Ja, twój krewny, z którym bawiłaś się w dzieciństwie, albo przybłęda, który dziś jest przy tobie, a jutro - szukaj wiatru w polu! Wybieraj!

Knezinka Hellona w rozpaczy popatrzyła na ochroniarza. Wilczarz stał nieruchomo. Milczał. Nie patrzył na nią. Uważnie przyglądał się Promieniowi i jego dwóm rębajłom. Znowu musiała o czymś decydować. Znowu nie miała się kogo poradzić. Pomyślała, że w rzeczy samej niewiele wie o "tym podle urodzonym Wenie". Tylko to, że jego przeszłość była mroczna. I jeszcze to, że czasami bywa przerażający. I jeszcze coś... Coś takiego, czego wołałaby nie wiedzieć... Odpowiedziała bardzo cicho, prawie szeptem, ale stanowczo:

- Odtąd będę postępować tak, jak mi poradzi mój ochroniarz, syn Wenów, zwany Wilczarzem...

- Nie przesłyszałem się, siostró? - spytał Promień.

- Zuch knezinka! Najwyższa pora, widzi Chramn! - z wielką ulgą odezwał się Aptachar.

Mał-Gona pogładził rude wąsy i uroczyście kiwnął głową.

- Słusznie prawisz, ban-riona, w tym świętym miejscu.

- Trzeba prędko znaleźć Chwata i odebrać mu pas starosty! - wykrzyknął po solweńsku jakiś młody głos. - Nie nadaje się! Przemów w naszym imieniu, Deksza!

Ku pewnemu zdziwieniu Wilczarza odezwał się człowiek, którego do tej pory znał jako Białą Głowę. Deksza ledwie mówił z powodu wybitego oka, ale wstał i przemówił:

- Pani ma słuszność!

Tak bywa po bitwie albo po wielkim wysiłku. Ludzie czują swoją siłę i zaczynają działać z taką samą zawziętością jak w walce. W takich chwilach mają skrzydła u ramion, wszystko wydaje się możliwe, wszystko na ich siły, wszystko się udaje. Jeszcze trochę i ludzie z miasta pozbawiliby pasa wojewody samego bojara, ale za murem świątyni dały się słyszeć głosy zbliżających się ludzi, a potem słowa welimorskiego pośła Dungorma:

- Co? Jak to? Żyje? -I zaraz potem krzyk: - Puśćcie mnie do niej! Ludzie z Haliradu nie mieli do Dungorma żadnych pretensji i z ochotą wpuścili go do środka. Błady i rozczochrany poseł wtargnął do świątyni biegiem, co nie bardzo licowało z jego pozycją wielmoży. Wyglądał, jakby zobaczył zjawę. Podszedł do knezinki, nie widząc nikogo ani niczego wokół, i upadł przed nią na kolana.

- Pani... - Wyciągnął rękę, aby dotknąć jej dłoni, ale zaraz cofnął, jak gdyby w obawie, że Hellona rozplynie się w powietrzu. Knezinka sama objęła go i zmusiła, by wstał z kolan, posadziła obok siebie. Dungorm powoli odzyskiwał swoją zwykłą godność.

- Co się stało, szlachetny pośle?

-Ja... pani, byłem przekonany, że ty... - ciągle jeszcze łamiącym się i niepewnym głosem mówił Dungorm. Zakreślił w powietrzu święty znak i wykrztusił z trudem: - Widziałem, jak tam na dole cię zabili!

W tym momencie Wilczarz zrozumiał, gdzie podziła się skora do śmiechu, piękna Warea. Nie będzie już nosić sukni podarowanych jej przez knezinkę, nie przymierzy nowych. I żartów o podobieństwie obu dziewcząt też już więcej nie będzie.

Dungorm opowiedział, że na pierwszy sygnał jego Welimorzanie obudzili się, ustawili w szyk bojowy i schronieni za tarczami natychmiast ruszyli ku namiotowi knezinki. Ale tam nikogo już nie było, a namiot się dopalał.

Kiedy Narlak snuł opowieść, Promień krótkim kiwnięciem dał znak swoim przybocznym i w milczeniu wyszedł ze świątyni. Najwidoczniej zrozumiał, że po raz pierwszy przegrał. Nawet gorzej. Od tego momentu knezinkę ochraniać będą zwykli ludzie z miasta i Welimorzanie. "Siostra" straciła doń zaufanie, teraz zamierzała słuchać swojego ochroniarza. Dzikiego Wena. Katorżnika. Zabójcy. A on, Promień, jeśli nie chciał do końca okryć sromem siebie i swojej drużyny, nie powinien w ogóle wchodzić z nim w spór. Z tego też wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę.

\*

Warea i segwański wojownik, który prowadził ją przez las, leżeli jakieś sto kroków od pogorzelniska, w jakie zamienił się piękny namiot z drogiej materii. Dwóch posępnych Welimorzan czujnie strzegło ciał. Strzała z szerokim grotem rozerwała Segwanowi żyłę na szyi, ale młodzieniec nie umarł od razu, przez jakiś czas jeszcze walczył, zaciskając ranę dłonią. Za to śmiałka porąbali

tak, że nie sposób było teraz rozpoznać rysów jego twarzy.

A dziewczynie odrąbali głowę i triumfalnie zabrali ze sobą. Jej okazały warkocz zabójca oplótł wokół nadgarstka.

Oto dlaczego rozbójnicy nagle zaczęli świętować zwycięstwo i nie od razu pognali za uciekinierami, którzy ukryli się w świątyni. Myśleli, że osiągnęli cel, rozprawiwszy się z knezinką.

Którą ktoś nadal chciał zabić...

Głowę nieszczęsnej służki odnaleziono nieco później. "Widma" przyniosły ją pokazać komuś w rozwalonym obozowisku. Komuś, kto dobrze znał córkę haliradzkiego knezia. "To nie ona!" - ze złością warknął ów ktoś. Odrąbaną głowę wrzucono do ogniska, a rozbójnicy, klnąc na czym świat stoi, ruszyli w stronę wzgórza.

Ale prawdziwa knezinką była naówczas już bezpieczna.

Znaleziono i Chwata. Było jasne, że przed śmiercią starosta Solwenów klęczał i błagał o zmiłowanie. Nawet nie wyjął miecza z pochwy. Ludzie z Haliradu nie ułożyli dlań honorowego stosu. Po prostu wykopali dół i go w nim zagrzebali, ułożywszy na boku, z kolanami podciągniętymi do piersi. Kiedyś tak chowano niewolników, żeby i na tamtym świecie służyli znakomitym panom.

Jego pas starosty ze skóry tura nabijanej srebrnymi blachami Solwenowie wymyli w czystej wodzie, potrząsnęli nad ogniem, a potem założyli Dekszy Białej Głowie.

Welchowie, miłośnicy koni, od zarania dziejów uczyli swoje wierzchowce, jak mają odszukać jeźdźców, z którymi rozłączyła ich bitwa. Prawie wszyscy wojowie z oddziału Mal-Gony znaleźli swoje rumaki w rozgrabionym obozowisku. Mądre zwierzęta wyczekały, aż napastnicy odejdą, i powróciły. Pozostałe kilka koni trzeba było odszukać w lesie. Wilczarz był przekonany, że Siarko przyjdzie sam. I jeszcze przyprowadzi Śnieżynkę. Ale Siarko nie wracał.

Już całkiem się rozwidniło, kiedy z gęstwiny wyleciał Gacek i z piskiem zatoczył krąg nad głową Wilczarza, a potem pomknął znowu w las. Wen ruszył jego śladem, ale Gacek był niecierpliwy, leciał coraz szybciej, Wilczarz musiał przyspieszyć kroku, aż wreszcie puścił się biegiem. Po jakimś czasie pomiędzy drzewami zauważył białą grzywę, usłyszał znajome rzenie. Śnieżynka!

Klacz podbiegła go powitać, powąchała i odrzuciła łeb w bok - człowiek niósł na sobie zapach krwi i śmierci. Mimo to pozwoliła wziąć się za uzdę. W tym momencie zza jodeł, potykając się na trzech nogach, zwiesiwszy łeb, wyszedł Siarko. W lewej łopatce tkwiły mu dwie złamane strzały, zad rozcięła włócznia. Zmęczony wierzchowiec drżał na całym ciele, ale włókł się za Śnieżynką, starając się nie pozostawać z tyłu. Klacz nie porzuciła go na pastwę losu, czekała na niego i pieszczotliwie parskiała, chociaż już dawno mogła wrócić do swej pani sama. Wilczarz zobaczył, że Siarko ma krew na kopytach. Rumak doskonale wiedział, jak ma walczyć, otoczony przez wrogów.

Wen objął go za szyję i zaczął głaskać mokrą gorącą sierść. Koń zajęczał i przycisnął łeb do jego ramienia...

\*

Kiedy Wilczarz przyszedł odwiedzić Ertanę, wojowniczką już odzyskała przytomność. Usiadł obok, pogładził ją po policzku. Odwróciła głowę w jego stronę i cicho spytała:



- Widziałeś ich, Wilczarzu?

Zrozumiał, o co pytała, ale na wszelki wypadek też cicho zapytał:

- Ich? To znaczy kogo?

- Dusze. Dusze tych, którzy zginęli tu dwieście lat temu...

- Widzieć nie widziałem. Ale zdawało mi się, że są tu gdzieś blisko.

- A ja widziałam - wyszeptała Ertana. Wen się nie zdziwił. No bo kto jeszcze mógłby widzieć bezcielesne dusze, jak nie ona. Przecież sama była na granicy życia i śmierci. - Chyba ich pomściliśmy - rzekła po chwili.

Skinął głową. Też tak czuł. Chociaż rozbójnicy z bagien nie mieli nic wspólnego z wojami Gurcata. Prócz hełmów z pióropuszcami.

- Mój naród wierzy - powiedział - że ci, których pomszczono, mogą znowu się urodzić i przybrać ludzkie ciało na ziemi.

\*

Knezince chcieli postawić namiocik, ale odmówiła. W namiocie znowu zaczęłyby się czegoś obawiać. Zwinęła się w kłębuszek pod kocem i próbowała zasnąć, ale sen nie przychodził. Co chwilę otwierała oczy i patrzyła na Wilczarza, który nieruchomo, w milczeniu siedział obok niej. Włosy miał zaplecione w sposób, w jaki zaplatają warkocze ci, którzy zabili.

Niańka opowiadała: Gorkun Sikora okazał się uprzejmym i bardzo gadatliwym jak na Wena człowiekiem. Jakże się rozpromienił, zobaczywszy na stole z poczęstunkiem swoje ogórki! Sprytna Hajgał sama napełniła zielone naczynie kupca, rozpytując go o to i o owo. Niedawny zamach na władczynię był głównym tematem rozmów w mieście, toteż i ich rozmowa przy stole zeszała na pojedynki i znakomite potyczki.

- Trzech jedną ręką! Mówmy szczerą prawdę! - oburzył się Gorkun udawanym niedowierzaniem babki. - Sam widziałem na jarmarku, lat temu... czekaj no... będzie jakieś piętnaście. Kto? Tak dokładnie to nie pamiętam. Kowal Miedzomir Gil!

Dwa dni później Hellona, córka Gluzda, pospołu z piastunką wymyśliła jakiś powód, by staruszka mogła wybrać się na ulicę kowali. Mistrz Fart dokładnie omówił z Hajgał kształt noża oraz ozdoby na jego rękojeści i dosłownie rozplynął się, przekonawszy się, że babka doskonale zna się na dobrych klingach. Zaczęli się przerzucać imionami sławnych mieczy i ich wielkich twórców. Starucha mimochodem wymieniła imię Miedzomira Gila. Fart westchnął.

- Znakomity z niego był mistrz. Szkoda go... Dlaczego? Wzenił się w ród Szarego Psa, sama wiesz, jak tam u nich jest w zwyczaju. A z Szarymi Psami potem pamiętasz, co się stało? Grzech tak mówić, ale ten, kto Ludojada w zamku spalił, dobrze uczynił...

Wilczarz, Wilczarz... Knezinka patrzyła na ostatniego Szarego Psa, w milczeniu siedzącego obok niej. Teraz już wiedziała, że on jej nie opuści. Jest bezpieczna. Przesunęła się nieco bliżej, czuła kolanami ciepło jego ciała. Teraz mogła zasnąć.

Wszystko widziałem i myślałem, że wiem, jak żyć, ale ludzie mówili: Nie do tych modlisz się bogów. Powinienem być żyć dla dobra i miłości, a ja wolałem zemścić się na wrogu.

Daj spokój wrogom. Jak nie ty, to zemści się kto inny i sąd sprawiedliwości nad wrogiem uczyni jak trzeba. Lepiej byś zrobił, gdybyś pomógł komuś odegnać smutek, wzbudzić iskrę nadziei i radość odzyskać pod osłoną nieba.

Mówili mi ludzie, że grzeszny, że ksiąg mądrych nie czytał, że jedyłą nauką była mi wojaczka, dole i niedole. Mówili, że gdy na świecie nastanie czas Dobra, nie będzie dla mnie miejsca przy świątecznym stole.

Czym pokonać Zło? Mówili mi, bym w sercu chował cząstki prawdy i wolności, ale ci, których rozplątałem mieczem zemsty, już nikogo nie pozbawią życia obfitości.

Będę patrzeć z daleka na ucztę mędrców, ucztę sprawiedliwych, którzy nie zbrukali się zbrodnią. I to da mi szczęście, bo przecież na tę ucztę trafią kiedyś wszyscy ci, których uratował od zguby mój miecz. To oni będą mi światłem i pochodnią.

## **Rozdział 12**

### **Pieśń Nadziei**

Mała armia knezinki znowu wyruszyła Starą Drogą. Zachował im się tylko jeden cały wóz - a to dzięki temu, że marong nie płonie. Ogień zażarcie lizał czerwonawe boki wozu, ale nie mógł przeniknąć w głąb. Teraz na wozie na kategoryczny rozkaz knezinki jechali ranni. Posag - tę jego część, którą udało się uratować - umieszczono na koniach. Gdyby mieli wokół przyjazne otoczenie, tak jak na trasie do Krynicy, rannych można byłoby pozostawić w jakiegokolwiek wiosce. Ludzi knezinki wszędzie przyjęto by z radością, zapewniając opiekę i ochronę. A potem Zimową Drogą zawieziono by ich do Haliradu. Ale tu, za rzeką Siwur, na przyjazne uczucia mieszkańców nie było co liczyć.

O ile w ogóle żyli w tej okolicy jacyś ludzie.

Hospodar Gluzd, który niedawno podróżował do Welimoru, korzystał z Nowej Drogi. A dalej niż do Trzęsawiska Kajerańskiego nie wyprawiała się ani Ertana, ani nawet jej dziad. Wojownicza przypomniała sobie jakieś mętne opowieści o leśnych plemionach, które były bardzo odległymi krewniakami Welchów z łąk. Tyle że pokrewieństwem tym raczej nikt by się nie szczycił. Skoro leśny klan, który wybrał na swą siedzibę leśne ostępy, otrzymał mało zaszczytny przydomek Welchów "błotnych", to tutejszy ludek (o ile rzeczywiście był odgałęzieniem z pnia Welchów) mógłby liczyć na jeszcze mniej pieśzotliwą nazwę - Welchowie z odmętów. Inna sprawa, że Ertana nie chciała nikogo bez potrzeby obrażać i obmawiać tych, których nigdy nie widziała na oczy.

Wojownicza mówiła powoli, prawie w ogóle nie otwierała oczu, wciąż przerywała, żeby odpocząć. Iliad w ogóle odradzał jej mówienie, ale nie chciała go słuchać. Jechała na wozie, na pół leżąc, przez pierś miała nałożony opatrunek. Stara Hajgał starała się powozić bardzo ostrożnie, ale co rusz koło najeżdżało na kamień albo wpadało w bruzdę. Wtedy Ertana milkła i zaciskała zęby, jej twarz stawała się szara. Ranni mężczyźni spierali się od czasu do czasu, komu teraz przypadnie w udziale kolej leżeć najbliżej niej.

- Może ja też słyszałem co nieco o miejscowym narodzie - zaczął Wilczarz. Nie chciał nadwerężyć postrzelonego przez rozbójników Siarka i prowadził wierzchowca za uzdę. Nie opóźniało to pochodu, bo cały orszak posuwał się do przodu z prędkością pieszego. - Mówił mi jeden kupiec, że ci ludzie wyszli na drogę, którą jechał. Chciał im sprzedać garnki. A oni tylko splunęli. Jakaś glina, nic niewarta, nie od praszczurów naszych. Kupcowi się zdało, że jak u nich nie jest coś przyjęte, to znaczy, że nie od Jasnych Bogów pochodzi. Nazywał ich "Charcy". Nie wiem, czy to o ten ludek chodzi, czy nie o ten...

- Charcy - w zamyśleniu powtórzyła knezinka. - W języku Wenów to słowo znaczy "ponuracy", nieprawdaż?

Też szła na piechotę, chociaż Śnieżynka wyszła z bitwy bez szwanku. Wilczarz był przekonany,

że knezinka chce dzielić z idącymi pieszo strażnikami wszystkie niewygody marszu i tym samym wyrazić wdzięczność zwykłym piechurom, którzy uratowali jej życie.

Promień już więcej nie próbował namawiać "siostry", aby trzymała się jak najbliżej jego drużyny. Uważał, że został niesłusznie obrażony, i wszelkimi sposobami dawał do zrozumienia, jak mocno czuje się dotknięty. Równie często podkreślał, że pomimo wszystko gotów jest nadal wiernie służyć knezinie i jej bronić. Jego ludzie rozstawiali obozowisko w pobliżu, jednak w pewnej odległości. Podobnie było podczas marszu - trzymali się na dystans. Obnosili się z poczuciem krzywdy, której doznali nie wiadomo za co. Wilczarz widział, że knezinkę coraz bardziej męczyło sumienie. Jego zdaniem bezpodstawnie i niepotrzebnie.

Szli tak już trzeci czy czwarty dzień od momentu, kiedy z honorami pochowawszy zabitych, wyruszyli z Trzęsawisk Kajerańskich. Zbliżała się pora południowego popasu, kiedy knezinka Hellona nagle powzięła jakiś zamiar, ujęła ochroniarza za rękę i zmusiła, by oddalił się od wozu. Nie chciała, by ktokolwiek słyszał, o czym rozmawiali.

- Nie mieliśmy racji - powiedziała, ścisząc głos. - I Promień, który namówił mnie, byśmy pojechali Starą Drogą. I ja... może najbardziej ze wszystkich jestem winna, bo dałam się namówić. Gdybym po stała inaczej, nikt by nie zginął. Prawda? - Głos jej drżał, próbowała mówić twardo, ale Wilczarz był pewien, że jeszcze chwila, a Hellona rozplacze się w głos. - Ty też nie miałeś racji - mówiła dalej. - Po coś uderzył Promienia? Dlaczego tak go nie lubisz? Owszem, zachowuje się czasem okropnie, ale... ale to mój krewny...

Wilczarz ze smutkiem rozejrzał się wokół i nic nie odpowiedział. Co mógł powiedzieć w takiej sytuacji?

- Milczysz - westchnęła knezinka. - Przyznaję, źle zrobiłam, zgadzając się na tę drogę... - Podniosła nań oczy pełne gniewu. - Rację mają ci, którzy mówią o tobie, że skoro umiesz się bić, to uważasz, że zawsze masz rację!

- Nie uderzyłem bojara, pani - ponuro rzekł Wilczarz.

- Przecież sama widziałam! Wen pokręcił głową.

- Nie widziałaś, pani.

Knezinka milczała przez jakiś czas, zagryzając wargi, a Wilczarz modlił się w duchu, żeby wreszcie zakończyła tę jakże ciężką dlań rozmowę, lecz Oko Bogów akurat skryło się za białym obłoczkiem i pewnie dlatego modły poszły na marne.

- Ludzie mi powiedzieli - znowu odezwała się knezinka - że ani razu nie zwróciłeś się bezpośrednio do bojara, tylko zawsze przez kogoś. Sama też nie jestem głucha. Jesteś Wenem, a więc to wszystko dzieje się nie bez powodu. Zaczęliście się wadzić od pierwszego dnia, od momentu kiedy cię przyjąłem na służbę. Obaj mi służycie, obu muszę wierzyć, a wy gotowicie utopić się nawzajem w łyżce wody. Dlaczego?

W myślach Wilczarz przeklął szpetnie, ale powiedział: .

- Nie warto o tym mówić, pani.

- Warto! - odparła z całą mocą. - Przecież wtedy to nie jego wy brałam, choć jest moim

krewnym! Teraz należy mi się wyjaśnienie, co ci się lęgnie w głowie.

"Pani - mógł odpowiedzieć. - Wszyscy twoi witezie i bojarzy mieliby ochotę zjeść mnie żywcem. Tylko Prawy, kiedy zrozumiał, że jestem u twego boku jako ten wierny pies, wszystko mi wybaczył. A Lewy coraz bardziej wychodził ze skóry, żeby się mnie pozbyć. Kanaona i Pliszkę, zabijaków co się zowie, próbował przystać ci do ochrony... Dlaczego? Przecież nie jest durniem. Kiedy przeprowaliśmy się przez rzekę Siwur, omal mi gardła nie przegryzł, tak nastawał, byś pierwszym promem przepłynęła. Czy mam ci powiedzieć, knezinko, kogo Wehmorzanie na drugim brzegu pod jodłą znaleźli? A Stara Droga? Też znalazł odpowiednią porę, żeby ostrzyć sobie zęby na siły nieczyste, kiedy siostrę wiezie do narzeczonego! A gdy napadli na nas rozbójnicy, gdzie byli jego witezie? Bardzo chciałbym to wiedzieć. Czy nie za wiele tego wszystkiego, panienko? Pomyśl sama: kto jest po tobie pierwszą partią w Haliradzie? Jeśli z tobą - tfu, tfu, tfu! - coś się stanie, to kogo synkowi Ludojada zaczną swatać, żeby się nie obraził? Tak. Piękną Waruszkę, Promienia, syna Łękawy siostrzyczkę, pannę nietęgiego rozumu".

Tyle różnych faktów i podejrzeń mógłby knezince wyjawić. I tym samym wybawić i siebie, i ją od różnych niebezpieczeństw. Ale wolał sobie język odgryźć, niż to wypowiedzieć. Rzekł tylko:

- Mam cię pilnować, pani, a nie na krewnych twych donosić. Wiatr rozwiewał mu włosy. Zapłótt je dziś po raz pierwszy od bitwy w zwykłe warkocze.

Knezinka zrozumiała, że nie wycisnie z niego więcej ani słowa. I zmarkotniała, omal nie rozplakawszy się z bezsilnej złości. Miała siedemnaście lat i potrafiła prowadzić na rynku rozmowy z hałaśliwym ludkiem Haliradu, nauczyła się też przekonywać siwowłosych upartych mężów, którzy mogliby być jej dziadkami. I tylko z Wilczarzem wychodziło tak jak w porzekadle o kosie i kamieniu. Lecz tego "kamienia" śmiertelnie się bała cała jej świta. Niektórzy jawnie, inni potajemnie. Sama knezinka zdołała zrozumieć, że jeśli Wen coś postanowi, to nie ma sposobu, by go przekonać. Rozkazać też mu nie może. A czasem i spytać, dlaczego jest tak, a nie inaczej.

No to niech postanowi, z dziecinną zawziętością i poczuciem krzywdy pomyślała nieoczekiwanie. Raz na zawsze. Za siebie i za mnie. Za nas dwoje. Bo przecież nie chcę...

Kiedy zbliżali się do wozu, Wilczarz zwrócił uwagę na pachółka mknącego galopem od czoła orszaku. Oprócz ludzi Promienia wierzchem jeździli tylko zwiadowcy, którzy rozpoznawali okolicę. Wilczarz zauważył, że bracia Dobrzy od razu się spięli. Buzuje im w żyłach młoda krew, strasznie chcą się czymś odznaczyć i nadstawić karku za knezinkę. On sam nie bardzo się zaniepokoił. Gdyby zwiadowca na drodze spostrzegł coś naprawdę niebezpiecznego, inaczej by wiózł złe wieści. Wilczarz widział, jak odwracały się w jego stronę głowy miarowo kroczących strażników. Wszyscy pytali, co się stało. Młodzieniec w odpowiedzi tylko machał ręką, uspokajał ludzi. Strażnicy zwolnili kroku.

Na wysokości wozu pachółek zeskoczył na ziemię i zbliżył się, prowadząc kasztanka za uzdę.

- Pani... - Skłonił się przed knezinką. - Wybacz, pani, trzej mężowie stoją na drodze. Powiadają, że chcą z tobą zamienić słowo.

- A co to za ludzie? - spytała Hellona, córka Gluzda. Rządziutka jedwabna siateczka znowu

przysłaniała jej twarz, przyciśnięta do włosów srebrną opaską. - Jak wyglądają? Widziałeś ich?

- Mówią jak Welchowie, pani - odparł młodzian, a po chwili namysłu dodał: - Jak ci ze wschodu. Chociaż niezupełnie. I z wyglądu też jakby Welchowie, tylko... - Wzruszył ramionami i stropiony zamilkł. Nie potrafił w słowach przekazać tego dziwnego uczucia, które wzbudzili w nim leśni ludzie.

- No dobrze. - Knezinka skinęła głową. - Powiedz, aby starszyzna zebrała się tutaj i niech przyprowadzą tych ludzi.

Pachołek przestąpił z nogi na nogę.

- Oni mają broń, pani. Czy każesz im ją odebrać?

- Niczego im nie odbierajcie - bez zwłoki rozkazała mądra dziewczyna. - My też jesteśmy uzbrojeni. Nie wolno ich obrażać.

Wilczarz nie powiedział ani słowa, ale w myślach przyznał jej rację. Kiedyś jeszcze w domu (tak - ku swemu bezgranicznemu zdziwieniu - myślał teraz o Haliradzie) przypadkiem usłyszał, jak Eurych powiedział do Tilorna: "Im prymitywniejszy jest dzikus, tym łatwiej go obrazić". Wziął to do siebie i poczuł się głęboko obrażony, ale nie dał nic po sobie poznać; przecież te słowa nie były przeznaczone dla jego uszu. Dopiero po upływie dwóch siedmiodni zapytał Tilorna, co znaczy "prymitywny". Tilorn mu wyjaśnił. Teraz przypomniał sobie to mądre słowo i pomyślał, że głupio było wtenczas się obrażać. Trzeba urodzić się durniem albo pyszałkowatym Solwenem, aby uważać Wenów za niedorozwiniętych prostaków, tępych jak stylisko siekiery. Ale Charcy to co innego. Jeśli to byli właśnie oni. Czego się można spodziewać po plemienu, które od dobrych dwustu lat nie wyściubiło nosa z gąszczy i nikogo z zewnątrz do siebie nie dopuszczało. Tylko w bajkach mędracy mieszkają w zamkniętych wieżach, niedostępnych dla zwykłych śmiertelników. W prawdziwym życiu taka sztuka nie udaje się nikomu.

Aby na poły zdziczali barbarzyńcy, którym szlachetna knezinka zezwoliła mieć przy sobie broń, nie zwrócili oręża przeciwko niej - na to przydadzą się trzej ochroniarze...

Piękny składany stolec, który specjalnie na takie okazje wiozła ze sobą władczyni, spłonął w pożarze. Toteż teraz wykorzystano skórzaną skrzynkę Iliada. Medyk słabo protestował, przeczuwając, że specyfiki, które w niej trzymał, będą akurat potrzebne któremuś z jego podopiecznych.

- Nic to, w razie czego wstanę - stwierdziła Hellona. - Wielkie mi rzeczy.

Skrzynkę przykryto piękną wyszywaną kapą. Knezinka usiadła, służebnice pieczołowicie ułożyły jej biały, podbity futrem płaszcz i stanęły po obu stronach. Mal-Gona i Aptachar przybiegli zadyszani, Deksza zjawił się za nimi - z powodu rany nie mógł biec. I tak był zielony na twarzy. Iliad sięgnął do wypchanej sakwy przytroczonej do pasa i wcisnął mu w rękę maleńkie żółte ziarenko. Deksza włożył je do ust i wykrzywiając się z powodu gorzkiego smaku, z wdzięcznością popatrzył na medyka. Kiwanie głową też powodowało ból.

Lewy, którego zraniona duma nadal cierpiała, w ogóle nie przyszedł, chociaż go poproszono.

Leśni goście pojawili się niemal natychmiast, jak tylko dobiegły końca pospieszne

przygotowania - niewysocy, krępi, w przyodziewku ze skór i grubego płótna pofarbowanego wywarem z janowca i lebiody w różne odcienie żółtego i czerwonego. Wydali się Wilczarzowi podobni do siebie jak bracia. Albo ojciec i synowie. Uważnie przyjrzał się ich twarzom: niskie czoła, ciężkie szczęki widoczne nawet w gęstych brodach i ponure oczy. Taki wyraz mają oczy człowieka, który próbuje pojąć coś, o czym z góry wiadomo, że jest nie na jego rozum.

A więc to na pewno są Charcy, stwierdził w duchu Wilczarz. Żeby się jeszcze nie okazało, że od pokoleń żenią się wyłącznie z rodzonymi siostrami. A że żenią się z ciotecznymi siostrami, to pewne jak dwa razy dwa cztery.

Tymczasem leśni posłańcy zatrzymali się przed knezinka i zgięli kolana. Ci, którzy stali z boku, uklękli na oba kolana, ten w środku przykląkł tylko na jedno. Wilczarz przyjrzał mu się uważnie. Miał na sobie płaszcz z niezbyt cennego niedźwiedziego futra, ale za to jak pięknie uszyty! Skóra z łba zwierza służyła jako kaptur i niemal całkowicie zakrywała twarz, skóra z łap okrywała ręce i nogi, a wszystkie ślady rozcięć i szwów były tak starannie ukryte, że oko ludzkie nie mogło ich dostrzec. To święty strój, który przodek-zwierz pozwalał nosić jedynie najstarszemu spośród swych potomków. A i to nie na co dzień, tylko na specjalne okazje, które wymagały wsparcia praszczurów.

Kłęzący Charcy-Ponuracy w milczeniu czekali, aby młoda władczyni się odezwała, toteż knezinka pospiesznie zaczęła:

- Bądźcie pozdrowieni, dobrzy ludzie, pod koronami tych drzew - mówiła w języku wschodnich Welchów. - Nie będę rozpytywać, ktoście tacy. Jesteśmy tu przejazdem, a wy jesteście gospodarzami, więc wyście powinni pytać, a my odpowiadać. Powiem tylko, iż od pierwszego wejrzenia widać, żeście ludzie godni i mocnego rodu, rodu Urody Lasów... - W tym momencie znaczącym spojrzeniem objęła płaszcz z niedźwiedziej skóry. - Czym podróżniczka, która zawitała w waszych obfitych łowiskach, może służyć znakomitym myśliwym?

Odpowiedział jej ten z prawej strony:

- Niech kukulka wykuka ci szczęście z zielonego drzewa, miłościwa pani. Ronnani, dzieci Leśnej Jagody, dziękują Panu Dróg, że zechciał sprowadzić cię w naszą dziedzinę. Miłościwa pani uczyni Ron nanom wielki honor, jeśli zechce podarować im pół dnia.

Wilczarz natychmiast ułożył wszystko w myślach: wybierając prostą Starą Drogę zamiast Nowej, okrężnej, orszak nadrobił trochę czasu. A zatem można było sobie pozwolić na nieprzewidziany postój. Knezinka uprzejmie przystała na prośbę Ponuraków. Widocznie też naprędce obliczyła czas. Następną myślą podejrzliwego Wena była myśl o pułapce. A jeśli dziwny ludek dogadał się z rozbójnikami i teraz czeka tylko sposobności, aby zwabić wędrowców w pułapkę? Zdarzało się, że nieprzeliczone hufce, jak wojsko Gurcata, prowadzone przez zaufanych - jak im się zdawało - przewodników, zapuszczały się w lasy, a potem nikt nie widział ani ich samych, ani ich kości.

Nie, to niemożliwe, pomyślał w duchu Wilczarz. Sam był w stanie wydostać się z największej nawet gęstwiny, choćby i niosąc knezinkę na rękach. I wiedział, że wśród strażników jest co

najmniej dziesięciu ludzi, którzy umieją poruszać się po lasach. Ale co będzie, jak zaproszą na ucztę, na uczcie czymś napoją, a tymczasem niedobite "widma" zdążą się zjawić?

Wilczarz uważnie przyglądał się Charcom i te obawy wydawały mu się coraz mniej uzasadnione. Wcale nie dlatego, że nie obawiał się narodu-pustelnika, który ze strachu przed niebezpieczeństwami świata wolał powoli karleć z powodu związków bliskich krewnych. Po prostu są czyny, na które plemię, żyjące według praw przodków, nigdy się nie poważy. Otruć gościa podczas uczty mogą w świetłej Arrantiadzie. Albo w Sakkarem. Ale tutaj, gdzie o niedźwiedziu mówią Leśna Jagoda, aby groźny zwierz nie usłyszał i nie wpadł w gniew? Nie, wszędzie, tylko nie tutaj.

Knezinka tymczasem dalej prowadziła rozmowę z posłańcami. Stopniowo stawało się jasne, dlaczego Ponuracy postanowili wbrew swym obyczajom wyjść z ostępów.

- Sądźmy wiedźmę, miłościwa pani - oznajmił jej mężczyzna, który miał na sobie strój starosty, a ubrany w burą skórę z aprobatą pokiwał głową. - Przyszła do nas ze wschodu, zza lasów i najpierw wydała się nam dobrą znachorką, która potrafi uleczyć niemoc. Ale przekonaliśmy się potem, że tylko czekała sposobności, by sprowadzić na nas nieszczęście. Oskarżyliśmy ją o złe czary i chcieliśmy wygnać jej ducha z cielesnej powłoki nad świętym ogniem, aby nie szkodziła już więcej ludziom. Jednak myśliwi, którzy wyprawiali się w dalekie strony, przynieśli wieść, że przez nasze ziemie niebawem jechać będzie wielka władczyni, której mądrość i sprawiedliwość wysławiają mnogie plemiona. Dzieci Leśnej Jagody zebrały się na naradę i postanowiły poprosić cię, miłościwa pani, byś rozstrzygnęła rzecz całą na sprawiedliwym sądzie.

Wilczarz zrozumiał, dlaczego Ponuraków tak onieśmiała młodość knezinki. Oczekiwali zapewne, że mądra i sprawiedliwa władczyni będzie nawet jeśli nie staruszką w rodzaju babki Hągał, to chociaż kobietą dojrzałą, matką wojowników. Dlatego popatrywali po sobie niepewnie, kiedy ujrzeli młodą dziewczynę. Ale było już za późno, aby się wycofać, poza tym dziewczyna mówiła, jak przystało poważnej władczyni.

Knezinka też była wielce zakłopotana. Najwidoczniej los uznał, że na Starej Drodze, którą ona nierozsądnie pozwoliła się wieść, spotkało ją jeszcze za mało nieszczęść i niebezpieczeństw. Ledwie zdążyła trochę się uspokoić po bitwie na skraju trzęsawiska, a tu masz tobie - z lasu wyłażą nie wiadomo jacy ludzie i każą jej sądzić o życiu i śmierci człowieka, którego ona wcześniej na oczy nie widziała! Cóż, odmówić nie można.

Knezinka odrzekła Charcom tymi słowy:

- W moim rodzie byli sędziowie godniejsi ode mnie. Aleja trzykrotnie poproszę jasne Słońce... Wzniosła oczy ku słonecznej tarczy wiszącej nad drogą. - Będę prosić, niech mnie natchnie swoją Prawdą, abym nie śmiała pomnożyć niesprawiedliwości. Będę sądzić waszą wiedźmę.

\*

Wilczarz niepotrzebnie się niepokoił. Ponuracy nie zamierzali wprowadzać ich do swej wioski, skrytej gdzieś w leśnych gąszczach. Nie ma się co dziwić. Welchowie z odmętów zanadto bali się obcych, aby z powodu czarownicy skazanej na śmierć pokazywać im najskrytsze tajemnice.



Gdzieżby tam. Tutaj ludzie obawiali się nawet zbratać z sąsiadami, bali się oddawać swoich młodych poza wioskę i przyjmować przybyszy z daleka u siebie. Kto ich tam wie, obcych! Jeszcze może się okazać, że to nawet nie są ludzie. A jeśli nawet ludzie, to poza złym urokiem nie należało się po nich więcej spodziewać!

Knezinka też była dla nich obca, ale przywódców mierzy się inną miarką. Za wielkimi wodzami stoją zaiste wielcy bogowie. Tacy ludzie jak córka haliradzkiego knezia nie są ani swoi, ani obcy. Oni są ponad wszystkimi. Z nimi nie mogą się mierzyć ani dzieci Leśnej Jagody, ani nawet sam Niedźwiedź, gdyby właśnie zechciał się wmieszać. A już na pewno nie miał nad nimi władzy mściwy duch wiedźmy, którą knezinka miała osądzić.

Czy tak myślał Karril, starosta Ronnanów, czy może inaczej - tego Wilczarz się nie dowiedział. Ale innego wyjaśnienia dziwnego zachowania Charców nie znalazł.

Orszak musiał pokonać ze dwie wiorsty. Całą drogę knezinka Hellona przejechała na Śnieżynce, aby nie siać zgorzenia wśród leśnego ludu. Biała dziewczyna na białym koniu. Ochroniarze kroczyli po bokach, z potrójną czujnością penetrując wzrokiem skraj przydrożnego lasu. Solweńscy rzemieślnicy z oddziału Dekszy Białej Głowy w marszu składali dla knezinki stolec z dwóch tarcz i włóczni. Potem droga skręciła na prawo i ich oczom ukazała się rozległa polana, doskonale nadająca się na postój.

Miejsce było wyjątkowo piękne. Malachitowe jodły w złotej oprawie brzoź. Płomienne jarzębiny, uginające się pod ciężkimi jagodami, dojrzewającymi tuż przed mroźną zimą. Po chłodnym błękitnie nieba sunęły białe obłoki. Z drugiej strony polany na spotkanie gości i swego wodza wyszli Ronnani. Sami mężczyźni, wszyscy uzbrojeni, było ich z pół setki. Zanim ludzie z Haliradu zajęli miejsca i przygotowali siedzisko dla knezinki, zanim przybyli zbrojni Promienia, którzy jechali z tyłu, Ponuracy wyprowadzili małego niedźwiedzia-piastuna na powrozie i przywiązali go do mocno wbitego w ziemię kołka. Zwierz, przyzwyczajony do życia pośród ludzi, trochę pomruczał, ale kiedy dostał wielką świeżą rybę, zajął się smakołykiem i w ogóle przestał zwracać uwagę na zebranych. Uwięź składała się z długiej żerdzi przytwierdzonej do obroży w taki sposób, aby zwierzak nie mógł jej dosięgnąć. Żywy obraz Leśnej Jagody zapewne nawet się nie domyślał, że ma swoją obecnością uświetnić sąd nad czarownicą. Ani że podczas święta zimy zostanie uroczyście przebity starą włócznią, a całe plemię zje jeszcze ciepłe mięso, odnawiając tym samym więź ze swym Prarodzicem.

Opodał kilku mężczyzn pracowicie taszczyło z lasu zawczasu przygotowany chrust. Jak tylko knezinka z dalekich stron osądzi nikczemną czarownicę, zaraz skazaną wrzuci do ognia. Wilczarz rozejrzał się za wiedźmą, ale jej nie zobaczył.

Wreszcie wszystko było gotowe i knezinka z godnością zajęła miejsce na przygotowanym dla niej tronie. Tron został ustawiony na rozścielonym kobiercu - wódz nie może narażać na szwank swej świętej siły, stąpając po gołej ziemi. Trzech starostów, Dungorm i Promień, który nadciągnął z kilkoma ludźmi z najbliższego otoczenia, ustawili się w pół-kręgu za plecami knezinki. A ochroniarze jak zwykle z przodu. Wódz Karril z dziesięcioma potężnymi myśliwymi rozsiadł się

naprzeciwko. Nie za daleko, ale i nie za blisko. Nogi okrywała mu wspaniała skóra, bura ze srebrzystym odcieniem. Jego siedzisko przypominało tron o wiele bardziej niż stolec knezinki. Było wycięte z wielkiego pnia. Wyglądało tak, jak gdyby leśny potwór, na poły niedźwiedź, na poły człowiek, składał pokłon przed ponurym wodzem, po synowsku podejmując go pod kolana łapami o wielkich pazurach. Wilczarz pomyślał, ile trudu kosztowało ludzi przyniesienie tutaj tego ciężaru. A może wielki pień był wydrążony w środku i tylko wydawał się tak strasznie ciężki?

- Okaż nam sprawiedliwość, władczyni Solwenów i zachodnich Welchów - powoli ozwał się wódz, kiedy wreszcie zapadła cisza. Głos miał niski, głęboki. - Rozkaż ukarać wiedźmę, albowiem sprowadziła chorobę na żonę mego syna i złą śmierć na mego wnuka.

- Już nie pierwszy rok proszę bogów mojego narodu, by zamknęli mi usta, jeśli język mój przekaże niesprawiedliwy wyrok - odparła knezinka. - Do tego dnia nasi stwórcy, niech będzie im chwała, nie pozwolili mi ani skrzywdzić niewinnego, ani wypuścić na wolność winnego. Ale nie dali mi wszechwiedzy. Mój umysł jest skromny, mogę sądzić tylko to, com sama widziała, słyszała i com zrozumiała. Niech przyprowadzą tu kobietę, która jest oskarżona o tak straszne czyny, i niech dokładnie opowiedzą, czego się dopuściła.

Przez twarz wodza przemknęło niezadowolenie. Charcy uważali, że knezinka powinna była tylko potwierdzić ich osąd, a nie badać sprawę od początku osobiście. Jednak z władcami nikt nie ośmiela się spierać, przeto Karril odwrócił się i krótko skinął głową.

Dwóch potężnych myśliwych wprowadziło wiedźmę. Jak niedźwiadek była przykuta do żerdzi, na szyi miała obrozę. Nikt nie chciał jej dotknąć - wszyscy się bali. Była niska, trochę zanadto przysadzista, w prostym porwanym giele bez pasa. Szła, potykając się, niemrawo przebierała zziębniętymi bosymi nogami. Twarz i oczy zakrywała jej mocno zawiązana szmata, z ust sterczał knebel. Widać było tylko splecione, długie siwawe włosy. Ręce miała związane za plecami. Psa bój się z przodu, konia z tyłu, a czarownicy ze wszech stron!

Widać było, że ludzie starają się trzymać jak najdalej od wiedźmy. Wszyscy poza ciemnowłosym chłopaczkiem o wystających kościach policzkowych. Miał może ze dwanaście lat. Mocno obejmował kobietę, pomagał jej iść. Oczy mu płonęły jak u wilczka. A właściwie oko, bo drugie, mocno podbite, tak opuchło, że nie było go widać. Skąd wzięły się te siniaki, wszyscy się bez trudu domyślili. Pewnie jej bronił. Syn? Siostrzeniec? Młodszy braciszek?

Wilczarz stał jak wprzód bez ruchu, jego twarz była jak zaklęta, nie wyrażała żadnych uczuć, ale w piersi głucho poruszyła się czarna złość. Jak można tak traktować kobietę! To karygodne! Nawet jeśli naprawdę jest tak nikczemna, że poważyła się zabić dziecko, to za karę umrze. Ale czemu tak się nad nią znęcano? Dlaczego prowadzono jak groźne zwierzę na powrozie?

Ku jego niemałej uldze knezinka od razu nakazała podniesionym głosem:

- Natychmiast rozwiążcie tę kobietę!

W tłumie Ponuraków dał się słyszeć pomruk niezadowolenia.

- Zakreście krąg toporem - dodała pośpiesznie Hellona, córka Gluzda. - Niech postawią tę kobietę w środku kręgu, aby nie narażać ludzi małej wiary. Wzniosłam już modły do niebieskiego

Płomienia i do Płomienia ziemskiego i nie boję się jej czarodziejskiej mocy.

Wódz Karril zastanawiał się przez chwilę, zakreślił ręką święty znak i pochylił głowę na znak zgody.

Ronnani nie ośmielili się dotknąć kobiety. Po prostu rzucili końce żerdzi i odstepili, woleli, aby czarownicę rozwiązali ludzie z Haliradu. Knezinka wiedziała, że z trzech narodów, żyjących w jej mieście, najmniej strasznych historii o wiedźmach opowiadali Segwani.

- Wyznacz kogoś, Aptacharze - rozkazała.

Starosta powstał, dlatego że segwańscy wodzowie zawsze pierwsi stawali w gotowości, kiedy groziło jakieś niebezpieczeństwo. A już tym bardziej jeśli chodziło o czarodziejską moc; wojowniczy bogowie obdarzają łaską przede wszystkim wodza i jego chronią. Wznosząc modły do trójgraniastego kamienia Tunnworna, Aptachar zakreślił krąg toporem i skinął ręką na chłopca.

- Przyprowadź ją tu i rozwiąż. Słyszysz?

Na pewno nie był tchórzem, ale i on nie miał ochoty bez potrzeby mieć do czynienia z czarownicą. Chłopczyna wprowadził kobietę do środka kręgu, a Aptachar dorysował za nimi linię. Pod wiedźmą ugięły się nogi. Byłaby upadła, gdyby nie jej młody obrońca, który złapał ją i pomógł uklęknąć. Klęczała dopóty, dopóki chłopak zębami i palcami rozplątywał mocno zawiązane węzły.

- Ta zła kobieta przyszła do nas z tej strony, gdzie rodzi się słońce. Wschód to szlachetna strona światła i dlatego nie od razu rozpoznaliśmy w niej czarownicę... - Na znak dany przez Karrila głos zabrał podobny doń młody myśliwy w czapce z lisa. Charcy i tak wszyscy byli do siebie podobni, ale ten wyglądał jak kopia wodza. Na pewno jego syn, stwierdził w myślach Wilczarz. - ...Chociaż z tej samej strony przybył do nas niegdyś Przeklęty, co powinno być dla nas nauką. Działo się to minionej zimy. Jeden z naszych braci wpadł do przerębli i już zamarzał, ale ta zła kobieta przyszła mu z pomocą. Powiedziała, że nie ma domu. Nie zdarza się, aby dobry człowiek nie miał domu, lecz nasz brat jej uwierzył, dlatego że wiedźmy potrafią czarować ludziom oczy i uszy, aby widzieli i słyszeli tylko to, co one chcą. Nasz brat przyprowadził ją do siedziby rodu. Ją i chłopca, jej przybranego syna...

Kobieta klęczała i przyglądała się ludziom z Haliradu. Powoli wiodła po nich spojrzeniem, Wielu wojowników na wszelki wypadek wołało sięgnąć po amulety. Miała nieskończenie zmęczone, zmęczone i puste oczy. Straciła już wszelką nadzieję. Pragnęła tylko jednego: aby jak najszybciej nastąpił koniec. Jakikolwiek koniec.

- Zaczęła przychodzić do żony syna wodza - ciągnął Lisia Czapka. - I stała się tak bliską jej przyjaciółką, że głupia młódka wyplątała wiedźmie to, o czym nie powinna była mówić: że chodzi z brzuchem.

Mówić postronnym o czekającej ją radości rzeczywiście nie powinna, z tym Wilczarz się zgadzał. Bo podsłucha ktoś, kto może odczynić złe czary i urodzisz martwe dziecko. Albo potworka. Też nic dobrego. Albo jakiś kamień czy drewno. I takie rzeczy się zdarzały.

- Tam oto stoi syn wodza, a z nim żona jego - snuł dalej swą opowieść Ponurak.

Wilczarz popatrzył w stronę, którą wskazywał opowiadający, i zobaczył kościstą kobietę o

wąskich męskich biodrach, jedyną niewiastę wśród ciżby myśliwych. Wyglądała, jak gdyby przeszła ciężką chorobę. Nie trzymała na rękach dziecka.

- Do czasu, kiedy synowa wodza miała rodzić, zła kobieta zdążyła pokazać nam, że jest doskonałą znachorką. Leczyła naszych braci i siostry i naprawdę postawiła na nogi tych, którzy śmierci byli bliscy. Teraz tak sobie myślimy, że może lepiej byłoby im umrzeć, niż żyć z dotykiem nieczystej na swym ciele? I oto nadszedł dzień, kiedy synowa wodza odeszła do lasu. Wiesz zapewne, miłościwa pani, że podczas porodu nie wolno nikogo do siebie dopuszczać. Powinna była sama poradzić sobie z urodzeniem dziecka, w leśnym szałasie. Nieznane zło może przeniknąć z tamtego świata, skąd przychodzi niemowlę. Zło może zabrać ze sobą człowieka, szczególnie mężczyznę. Dopiero na dziewiąty dzień, kiedy znowu ustanowi się granica pomiędzy światami, rodzącą może odwiedzić matka.

Wilczarz z ledwością się powstrzymał, aby nie splunąć. Kobiety Wenów też uchylały furtkę pomiędzy światem żywych i światem dusz, ale nikt ich nie wyganiał do lasu i nie pozostawiał samych na pożarcie siłom nieczystym, komarom i dzikim zwierzętom. Razem z rodzącą zawsze były doświadczone babki, umiejące pomóc i pocieszyć. I matka. I mąż - jakże mogło być inaczej? Kto cię obroni, kto odpędzi wroga, cielesnego i bezcielesnego?

- Ale kiedy matka synowej wodza przyniosła córce jedzenie, zobaczyła, że z jej córką jest ta kobieta! Wiedźma sama powiedziała, że była z nią przez cały czas! Nawet wtedy, kiedy z jej ciała wychodziło dziecko!

W tłumie Charców rozległy się okrzyki grozy. Musiało to być dla nich rzeczywiście czymś niesłychanym.

- Sprowadziła na nas gniew Prarodzica, którego posłaniec igra teraz z rybą i słucha moich słów. On wie, że nie mówię nieprawdy. Od tego dnia dzikie zwierzęta będą omijać nasze sidła, a jagodniki wyschną do cna. Tylko sprawiedliwy ogień, który pożre ciało wiedźmy, wygna zło i wybawi nas od plag! Tylko ogień sprawiedliwy! Rzekłem.

Tłum zafalował, gdzieniegdzie ludzie wznosili pięści, domagając się sprawiedliwości. Kobieta jeszcze bardziej się nastroszyła, spuściła głowę, zakryła twarz rękami. Chłopiec przeciwnie - wyprostował się i wyszczerzył zęby, popatrując na Charców z nienawiścią. Najwidoczniej przestąpił granicę, za którą nie ma już strachu. Tylko śmiertelna złość. Kto wyciągnie rękę w stronę jego przybranej matki, najpierw będzie musiał przestąpić przez jego martwe ciało. Wilczarz doskonale znał ten rozpaczliwy gniew. Miał tyle samo lat, kiedy zabił dorosłego, uzbrojonego mężczyznę, komesa z drużyny Ludojada. Też stanął w obronie matki. I zdołał ją obronić.

Czy bogowie dopuszczają, aby i tym razem tak się stało? - zapytał w myślach.

- A dziecko? - spytała knezinka.

- Nie przeżyło, miłościwa pani. Zła wiedźma zabiła go swymi czarami.

- Niechby ją sobie spalili, siostró - ziewnął Promień. Ze znużoną miną stał jak zawsze po lewej ręce knezinki. - My nie mamy za wiele czasu, a dla nich to będzie ulga.

Nieprzewidziany postój na rozstrzygnięcie sprawy wiedźmy pozbawił go możliwości odbycia

codziennych ćwiczeń i dlatego był niezadowolony.

Halisuńczyk Iliad w napięciu słuchał gniewnych słów Charca. I nic dziwnego - w końcu mówiono o jego rzemiośle! Kiedy usłyszał rzuconą przez Lewego uwagę, podskoczył na swojej skrzynce z takim wigorem, jakby na gładkiej, pokrytej malunkami skórze wyrosły igły. Wielmoże byli zmuszeni rozstąpić się, by utworować mu drogę do stolca władczyni. Iliad nachylił się do jej ucha i coś żarliwie szeptał. Młoda pani wysłuchiwała go i skinęła głową.

- Niech podejdzie tu ofiara czarownicy. Mój medyk ją zbada. Synowa wodza jak zaczarowana wpatrywała się we władczynię, która raczyła zaszczycić ją swą uwagą. Posłusznie ruszyła do przodu, ale zatrzymał ją mąż.

- Co to znaczy, że ją zbada? - warknął, patrząc spode łba. - Mo ją żonę? Ja... Ja nie pozwolę!

Iliad nie dał się zbić z pantałyku i na cały głos oznajmił:

- Zdarza się, że samą naszą miłościwą panienkę badam. Tak więc, na Niebo Księżycowe, nie masz się co obrażać. Poza tym wystarczy, jeśli po prostu wezmę twoją żonę za rękę...

- Po co? - spieszył się Ponurak.

- A po to - łaskawie objaśnił Iliad - że dla takiego uczonego człowieka jak ja bicie serca jest tym, czym dla ciebie ślady zwierza na śniegu. Podaj mi rękę, jeśli nie wierzysz... - Ponurak momentalnie schował obie ręce za siebie. Lekarz z uśmiechem dodał: - Jeśli cię strach nie obleciał.

W tłumie rozległy się śmiechy.

Syn wodza zaczerwienił się po uszy i powoli podszedł, wyciągając przed siebie mocno zaciśniętą pięść. Włożył ją w rękę Halisunczyka jak w ogień. Pulchniutkie krótkie palce Iliada przesunęły się po gęstych włosach na przegubie Charca w poszukiwaniu pulsu. Znalazły. Nacisnęły. Jeszcze mocniej. Jeszcze mocniej. Złączyły się. Nacisnęły...

- Więc tak - oznajmił lekarz, wypuszczając spoconego Charca. - Kiedy byłeś mały, długo nie mogłeś nauczyć się chodzić, a pierwsze słowo wypowiedziałeś, kiedy skończyłeś trzy lata. Widzisz, twój wielce szanowny ojciec nie zaprzecza. Ciągłe bolały cię zęby, bez końca się przeziębiałeś, a kiedy miałeś czternaście lat... nie, nie będę o tym mówić, nie trzeba... Dwa lata temu złamałeś lewą nogę i żebro, a niedawno porządnie się struleś. Chyba grzybami...

- Wystarczy - przerwał Karril, ratując honor syna. - Zbadaj jego żonę, jeśli chcesz.

Młoda niewiasta podeszła bez cienia strachu i wyciągnęła bladą rękę. Iliad badał tę kobietę dużo dłużej niż jej męża. Ciekawski narodek z uwagą przyglądał się poczynaniom medyka. Halisunczyk ugniał i urabiał oba chudziutkie nadgarstki, po czym poprosił, aby Ronnanka zwróciła się twarzą do słońca, i wspiął się na palce, aby zajrzeć jej w oczy. Jego twarz stawała się przy tym coraz bardziej posępna. Wreszcie przekazał młodą kobietę niecierpliwie przestępującemu z nogi na nogę mężowi, który pospiesznie odprowadził ją na miejsce. Żeby biedy nie napytać.

- Co powiesz, uczonej człeku? - spytał wódz Karril. - Czy czarownica bardzo jej zaszkodziła? Czy można ją uleczyć, czy lepiej wygnać?

Iliad powrócił do stolca knezinki, złożył pulchniutkie rączki na brzuchu i ogłosił:

- Muszę powiedzieć na głos to, co zgodnie z przysięgą lekarską powinienem zachować dla siebie, ale tu chodzi o życie i godność człowieka. Biorę na świadków wszystkich Ojców Sprawiedliwych, że nie mogę się mylić. Żałuję, wodzu, ale szlachetnej niewiasty, którą miałem szczęście zbadać, Niebo nie przewiduje uczynić matką. Los sprawił, że dusza jej zamieszkała w ciele, które nie może wydać na świat dziecka. Co więcej, urodziwszy martwe dziecko, sama była skazana na śmierć. Jakim sposobem zatrzymała w niej życie kobieta, nazywana przez was czarownicą, nie wiem, ale bardzo chciałbym się dowiedzieć. Pani moja i ty, wielki wodzu, z całą mocą stwierdzam, że kobieta, nie słusznie nazywana wiedźmą, nie przyczyniła zła, lecz uratowała życie. Stwierdzam, że zasługuje nie na haniebną kaźń, lecz na najwyższe nagrody. Ręczę za to swoim honorem uzdrowiciela, a honoru tego nigdy, z pomocą Księżycowego Nieba, nie splamiłem ani razu przez trzydzieści sześć lat!

Przemawiał w zupełnej ciszy. Zdawało się, że Ponuracy z trudem rozumieli. Najwidoczniej lud ten nie odznaczał się wielkimi przymiotami umysłu. Tylko skazana wiedźma powoli podniosła głowę i w spojrzeniu jej oczu, które zwróciła w stronę knezinki, pojawiły się iskry życia. Potem nagle objęła chłopca stojącego nadal koło niej, wtuliła twarz w jego koszulę i bezgłośnie zatkała.

- Słowa twojego medyka weszły w moje uszy, miłościwa pani - po woli, rozciągając słowa, powiedział wódz. - Ale nie doszły do serca. Czy Boski Prarodziec dopuści, aby mężczyzna z MEGO RODU nie mógł spłodzić z kobietą dziecka, które będzie żyć? Ta, która czarną magią uśmierciła mego wnuka, musi umrzeć. Rzekłem.

Klęcząca kobieta oderwała twarz od koszuli chłopaka, który gładził ją po głowie. Coś mówiła, próbując go wypchnąć poza krąg.

- Biegnij do niej - usłyszał Wilczarz, który potrafił wyłowić cichy szept pośród ogólnego tumultu. Kobieta mówiła po sakkaremsku. - Padnij przed nią na kolana... Niech dobra pani uratuje przynajmniej ciebie...

Chłopczyna z wściekłością zmarszczył brwi, ale nigdzie nie pobiegł. Został z nią. A Wen zdał sobie sprawę, że ci, którzy zechcą ułożyć niewinną znachorkę na stos, będą musieli przestąpić przez dwa trupy. Albo nawet trzy, jeśli policzyć Gacka, niecierpliwie kręcącego się i syczącego na jego ramieniu.

- Wierzę w twą mądrość, znakomity wodzu - odezwała się knezinka Hellona. - Jesteś ojcem narodu i zaiste wiesz, co mówisz. Ale i uzdrowiciel, którego słów nie dosłyszało twe serce, zasługuje na największe zaufanie. Co zatem począć? Nasza Prawda uczy: Jeśli wydaje się, że obaj mają rację, zwróć się o radę do bogów. Albowiem oni, w swej boskiej wszechwiedzy, wiedzą wszystko, co nam, marnym śmiertelnikom, wydaje się zagadką nie do rozwiązania. Czy zgadzasz się ze mną, świątły wodzu? Jakie próby stosuje twój naród?

Po krótkim namyśle Karril skinął głową na znak zgody, w słońcu zamigotały czerwone rubiny wstawione w kaptur z niedźwiedziej skóry. Lisia Czapka zaczęła gorliwie wyliczać:

- Gdyby chodziło o kogoś z nas, miłościwa pani, można byłoby go prowadzić do ucieleśnionego Prarodzica i zobaczyć, czy człowiek ten jest mu drogi. Ale Prarodziec nie ma nic do

obcoplemieńców. Można związać czarownicę i wrzucić ją do wody, albowiem wierzymy w sprawiedliwość wody. Jeśli popłynie, to znaczy, że jest winna: woda nie odtrąciłaby dobrego człowieka. Można rozpaść ognisko i zmusić czarownicę, aby przeszła się po węglach, albowiem wierzymy w sprawiedliwość ognia. Jeśli ogień zacznie parzyć jej nogi, to znaczy, że nie ma po co wypuszczać jej z ogniska. Ale najbardziej ze wszystkiego, pani, wierzymy w sprawiedliwy pojedynek. Albowiem temu, kto ma rację, nasz Prarodziec, Wiecznie Żyjący w Zielonym Lesie, przekazuje część swej mocy i prawa zwycięża nieprawego...

- Wystarczy. Iterskielu! Gdzie jest Iterskiel? - zagrział wódz. I z nieukrywanym zadowoleniem rzekł do knezinki: - Widzę, łaskawa władczyni Solwenów, że w dobroci swego serca nie lubisz skazywać na śmierć nawet tych, którzy na nią bez wątpienia zasługują. Wielka jest twa wspaniałomyślność. Widzę także, że skłonna jesteś wierzyć swemu medykowi, który szukał usprawiedliwienia dla czynów niegodziwej kobiety. Nie mam ci tego za złe, łaskawa pani. Postępujesz, jak przystało wielkim wodzom - okazujesz wielkoduszność. Waleczność wodza najlepiej przejawia się w bojaźni przed pokaraniem niewinnych. Pozwól nam cię przekonać, że wiedźma w żadnym razie nie powinna uniknąć stosu. Wystaw swego człowieka, a my wystawimy swego, każdy z nich będzie niósł w sobie los czarownicy. Jeśli wygra nasz człowiek, a nie wątpię, że to on wygra...

Wódz nie dokończył zdania, ale nie musiał tego czynić. Iterskiel już przeciskał się przez ciżbę, a współplemieńcy z szacunkiem ustępowali mu z drogi. W biegu zdjął bezrękawnik z owczej skóry, potem koszulę. Chciał stanąć do walki z odsłoniętym torsem. Opalonymi ramionami górował nad głowami Ponuraków, którzy przy nim zdawali się tłumem dzieci. Podeszedł do tronu wodza. Wojowie z Haliradu powitali go stłumionym okrzykiem podziwu i przerażenia. Wilczarz pomyślał, że spłodzenie Iterskiela musiało być dziełem jakiegoś przybysza z dalekich stron. Bo czyż naród, który nie uznaje małżeństw z przedstawicielami obcych plemion, mógłby dochować się takiego dryblasa? Wen nie co dzień spotykał ludzi mocniej zbudowanych i silniejszych od siebie, ale Iterskiel należał właśnie do takich zuchów. Półtora Kanaona, co najmniej. A Wilczarz i przy Kanaonie wydawał się wątłym młodzieniaszkiem.

- Ja swoich ludzi pokaleczyć nie pozwolę - cicho, ale tak, żeby wszyscy słyszeli, powiedział Promień. - Nie miej do mnie żalu, siostrze.

Deksza, Aptachar i Mal-Gona nic nie powiedzieli, lecz można było wyczuć, że oddawać swoich wojów na zatracenie w imię obrony jakiejś nikomu nieznannej czarownicy żaden z nich nie chciał.

Wilczarz, stojący przy prawym łokciu knezinki, cicho poprosił:

- Pozwól mnie, pani.

Hellona, córka Gluzda, podniosła na niego oczy. Wilczarz zobaczył, jak bledną jej policzki zarumienione od chłodnego powietrza i nadmiaru przeżyć.

- Czyś mnie przyzywał, ojczy? - spytał Iterskiel, stając przed wodzem. Był podobny do niedźwiedzia, który zrzucił kosmatą skórę. Ani odrobina zbędnego tłuszczu nie szpeciła jego ciała, obdarzonego potworną siłą. Olbrzym dumnie napinał ogromne mięśnie na rękach i obnażonym

torsie. Silny, ach, jaki silny! I na pewno szybki jak ku na. Ktoś, kto jest przyciężki i ślamazarny, nie ma szans na przeżycie w lesie.

- Skręciłeś kark bykowi, kiedy wybiegł z obory i rzucił się na moje wnuki. - Karril wypowiedział te słowa jak zaklęcie, upajając się ich melodią. - Gdy karczujemy las, sam podnosisz pnie, których nie może ruszyć z miejsca siedmiu silnych mężczyzn. A czy dasz radę zwyciężyć człowieka twierdzącego, że wiedźma, która uśmierciła mego wnuka, chciała dobra?

- Dam radę, ojcze! - odpowiedział Iterskiel wesoło i walnął się żelazną pięścią po szerokiej piersi tak głośno, że z pobliskich drzew po rwały się do lotu gawrony.

Knezinka Hellona wzdygnęła się mimo woli... W tym momencie zapomniała o znachorce, której los miał rozstrzygnąć pojedynek. Istniał dla niej tylko Wilczarz. Jedynego mężczyzna na świecie, który... którego... Właśnie teraz...

Patrzyła mu w oczy i wiedziała, że nie ma co się z nim spierać.

- On cię zabije, Wilczarzu...

- Nie zabije - odparł Wen. I dodał z całkowitym spokojem: - Nie da rady.

A bezbłędna kobieca intuicja podpowiedziała knezince Helonie, że Wilczarz tak samo by jej odpowiedział, gdyby miał stanąć sam przeciwko tysiącu zbrojnych. Albo wskoczyć smokowi do paszczy. Albo iść na pewną śmierć. Żeby tylko ona, głupia, się o niego nie bała. I nie chciała go zatrzymać.

To, co miało się stać, było tak ważne, że knezinka nie mogła usiedzieć - wstała, szczupłutkimi palcami z całej siły ścisnęła ramię Wilczarza.

- Oto człowiek, któremu powierzam moją wiarę w niewinność tej kobiety! - powiedziała głośno, aby wszyscy słyszeli. - Idź i niech twój miecz mają w swej pieczy Słońce, Błyskawica i Ogień!

Wódz Karril nagle roześmiał się na cały głos.

- Miłościwa pani, twój woj nie będzie musiał dobywać miecza! - Skinął na Lisią Czapkę. - Powiedz, starszy synu, który pięknie po trafisz prawić.

- Tych dwóch mężów nie chowa w sercach wrogości do siebie - zaczął młody Ronnan. - Nie ma między nimi pragnienia zemsty. Prarodziec nie chce odbierać życia komukolwiek z nich, chce tylko życia tej niegodziwej kobiety. Nasze prawo nakazuje rozścielać na ziemi grube płótno i przymocować je kołkami do ziemi. Wokół płótna wytyczamy trzy bruzdy i obkładamy dwunastoma leszczynowymi witkami, albowiem Prarodziec stworzył krzak leszczyny, aby karmił Jego dzieci, i dał leszczynie siłę czynienia dobra. Uczestnicy pojedynku będą się starali wypchnąć jeden drugiego poza płótno. Jeśli któryś sięgnie ziemi jedną nogą, powiemy: "On odstąpił". A jeśli dwiema nogami, powiemy: "On uciekł". I oznaczać to dla nas będzie, że Prarodziec wyraził swą wolę.

- Czy ten twój człowiek pojął, w czym rzecz, miłościwa pani? - spytał wódz. Iterskiel stał obok ojca, jak gdyby przypadkiem obracając się raz prawym bokiem, raz lewym. Na piersi miał pięciopalczysty ślad po długich pazurach. Znak Prarodzica? Rana odniesiona na polowaniu?

Knezinka odwróciła się do Wilczarza. Wen ponuro burknął:

- Twój człowiek wszystko pojął...



- A więc - orzekł wódz - niech twój woj odłoży broń i stanie na przeciw mego syna na środku płótna.

Wilczarz rozpiął klamry i złożył miecz u stóp knezinki na kobiercu. Zdjął z ramienia Gacka i posadził go, aby pilnował broni. Obok miecza położył pas, kurtkę, kolczugę, koszulę, a wreszcie i buty. Dobrze, że nie zażądali, by pojedykujący się wystąpili nago. Charcy tymczasem z należytym szacunkiem rozłożyli porządny - pięć na pięć kroków - kawał niesłychanie szerokiego niebielonego płótna. Wen nie mógł się nadziwić, jak zdołali utkać coś podobnego. Nie inaczej jak z modlitwą i na krosnach zbudowanych specjalnie do utkania tego właśnie płótna, na jeden raz. Nie mógł się też nadziwić zapobiegliwości Ponuraków. Czegóż oni tu nie przynieśli, nawet ten kawał płótna, na wypadek gdyby doszło do Bożego Sądu! Nawet drwa do spalenia czarownicy!

- Uważaj na siebie, Wilczarzu... - tak cicho, żeby słyszał tylko on, powiedziała knezinka.

Nie odpowiedział, tylko skinął głową na znak, że słyszał jej słowa. Rozpuścił włosy i przewiązał czoło tasiemką. Boso wszedł na środek polany, gdzie rozłożono już i przymocowano specjalnymi pętelkami wielkie płótno. I pomyślał, że prawo, które ustanowiło zapasy na płótnie, było mądre. Czymże jest nić wychodząca z niewieściej kądzieli, jak nie znakiem nici losu? A czymże jest tkane płótno, jeśli nie splecionymi nićmi ludzkich losów, widzianymi przez Oko Bogów?

W duchu powtarzał słowa modlitwy, opowiadał bogom, w imię czego staje do walki. I nagle pomyślał: A jeśli wielki Władca Burzy już odszedł na odpoczynek i nie zjawi się tu do wiosny? Ale niemal natychmiast usłyszał odgłos gromu, i to taki dźwięczny, że nawet rozejrzał się na wszystkie strony i zdziwił się, że inni tego nie słyszeli.

Najbardziej bał się tego, że pogwałci jakiś zwyczaj Ronnanów i tym samym przegra, nawet nie przystępując do pojedynku. I rzeczywiście coś takiego się stało. Uważnie przyglądał się poczynaniom Iterskiela i starał się robić to co on. Jednocześnie, o ile było to możliwe.

Razem wstąpili na gładkie, chłodne płótno i zastygli, patrząc na siebie. Lisia Czapka nachylił ku ziemi posrebrzany grot ciężkiego, starej roboty oszczepu ("Nasz, segwański, z czasów Ostatniej Wojny" - twierdził później Aptachar) i zaczął wyznaczać nim bruzdy wokół płótna. Młodzi chłopcy przynieśli z lasu naręczce witek leszczyny i wtykali je w ziemię, oddając należną cześć wszystkim stronom świata.

Było cicho. Ludzie z Haliradu i Ronnani w skupieniu przyglądali się dwóm mężczyznom, którzy stanęli do pojedynku. A oni stali nieruchomo na płótnie. Urodzili się na pewno w tym samym roku, ale żadnego podobieństwa między nimi nie było. Jeden miał wesoło nastroszone złote kędziory przewiązane nad jasnym czołem opaską z plecionki. Drugi włosy miał w połowie siwe, choć nie wiek mu je posrebrzył. Jeden prężył węzły muskułów, jakie mają ludzie, kiedy dobrze pracują, dobrze jedzą i kiedy zdarza się, że w żyły zwyrodniałego plemienia nagle wlewa się świeża krew. Drugi nie mógł się pochwalić i połową dorodnej męskiej urody. Był zylasty, twardy jak żelazny pas. Jeden przypominał młodego niedźwiedzia, który przybył na polankę, aby dla zabawy powyrywać z korzeniami mocne drzewa. Drugi podobny był do nieszczekającego, bardzo spokojnego psa z rodzaju tych, z którymi można wysłać małe dziewczynki na pół dnia w drogę i nie bać się, że zrobi

im krzywdę jakiś napotkany niegodziwiec.

- Niech się stanie wedle woli naszego Prarodzica! - ogłosił początek pojedynku wódz.

Wilczarz bardzo rzadko napadał jako pierwszy. Teraz też stał nieruchomo, czekał, co będzie dalej. Iterskiel niespiesznie ruszył bokiem, jak gdyby zataczał się z lekka podchmielony, poruszał ramionami, nieoczekiwanie przysiadł, prawie padał, by nagle odskoczyć od ziemi. Przeskakiwał, przesuwiał się z miejsca na miejsce. Bawił się. Piękny zwierz, syty i silny. Gdyby nie Sąd Boży, na pewno lżyłby przeciwnika, zmuszając do działania. A tak - po prostu starał się go zmylić. Robił wszystko, by rywal śledził każdy jego krok, by odgadywał, w którą stronę nagnie się teraz gibki, ruchliwy jak kropla rtęci. Jeszcze uśmiechał się i tańczył, wykonywał kolejny płynny ruch całym ciałem, kiedy mięśnie na ramieniu i na prawej stronie jego torsu wzdęły się, stwardniały, a ważąca pół puda pięść wielkości gomółki sera wyskoczyła do przodu. To miał być cios pod żebra. Śmiertelny!

Jak zwykle w takich razach czas zaczął płynąć dla Wena bardzo, bardzo powoli. Wilczarz zdążył zrozumieć, że Iterskiel bez wielkiego wysiłku przebiłby swoją piąchą ścianę drewnianego domu. Nie mógł pozwolić, aby cios wyprowadzany przez przeciwnika sięgnął jego ciała - to byłby koniec. Zrobił pół kroku w bok, wystawił prawą dłoń, lekko korygując kierunek uderzenia pięści, która ominęła jego korpus. Obrót na lewej nodze. Już obie ręce obejmują pięść Iterskiela, która trafiła w pustkę. Płynny ruch do przodu, potem w górę. "Wdzięczność Ziemi". Zastosował chwyt, którego cierpliwie uczył knezinkę i braci Dobrych na brzegu Świątyni. Teraz zapewne tylko oni zdołali cokolwiek dostrzec i zrozumieć z tego, co rozgrywało się na płótnie. Dlatego że wiedzieli, JAK patrzeć. I na co. "Wdzięczność Ziemi" zajmowała mniej więcej tyle samo czasu, ile trzeba, aby spokojnie bijące serce uderzyło trzy razy.

Większość ludzi z Haliradu i zebrani Charcy zobaczyli tylko szybki ruch dwóch półnagich ciał, które przez moment obróciły się jak w zgodnym rytmie tańca. Potem Iterskiel nagle zgiął się, odchylił do tyłu, wydał z siebie ochryply okrzyk - nie oczekiwał, że coś go zaboli. Zachwiał się i runął na wznak. Kiedy padał, Wilczarz wypuścił jego rękę, kierując ją niezgodnie z ruchem Słońca i odpychając od siebie. Niejeden zawołany karczemny siłacz poważnie nadwerężyłby sobie przy takim upadku kręgosłup. Ale sprytny i szybki myśliwy tylko przekoziołkował i zaraz wstał.

Widzowie westchnęli. Niektórzy z ulgą, inni - okazując niezadowolenie. Za szybko wszystko się skończyło. Ani jednego wybitego zęba, ani jednej broczącej krwią rany. Słabe widowisko.

- Mój człowiek zwyciężył! - głośnie obwieściła knezinka.

Iterskiel, który momentalnie się podniósł, stał akurat przy trzeciej linii, usytuowanej najdalej od środka płótna. Jedną nogę miał wewnątrz, drugą na zewnątrz, ale obie - poza płótnem. "Uciek!". Iterskiel popatrzył w dół, potem na Wilczarza i skrzywił piękną młodą twarz z nienawiści. Jeszcze nigdy nikt tak się z nim nie obszedł. Żeby on... uciekł...

Przenigdy!

Karril powoli pokręcił głową, zmarszczył gęste brwi.

- Twój człowiek nie zwyciężył - rzekł do knezinki. - Nasz człowiek się poślizgnął. Widziałem. To

był przypadek. Trzeba powtórzyć pojedynek.

Wielu Ponuraków zaczęło kiwać głowami na znak zgody z wodzem. Pozostali natychmiast przyłączyli się do chóru potakiwaczy.

- A czy się zdarza, że Sąd Boży rozstrzygnie się przypadkiem? - spytała knezinka Hellona.

- Przypadki się nie zdarzają - odparł wódz. - Masz rację, miłościwa pani. Wybrałem nieodpowiednie słowo. Prarodzie czasami zsyła nam pokusy, ażeby sprawdzić i umocnić naszą wiarę. Jeśli twój człowiek się nie boi, niech jeszcze raz stanie do pojedynku.

Wilczarz wzruszył ramionami. Nie bał się.

Tyle że Iterskiel pewnie po tym wszystkim targnie się na swoje młode życie, pomyślał. A wcale nie chciał, żeby młody Ronnan się wieszał. Nie chciał też zrobić krzywdy urodzimu zuchowi. Z drugiej strony Iterskiel był dorosły, skoro się prosił, to się i doprosi. Niech na drugi raz dobrze się zastanowi, zanim stanie do pojedynku o śmierć skazanego.

Syn Leśnej Jagody tymczasem jednym skokiem znalazł się znowu na płótnie. Drugim skokiem rzucił się na Wilczarza. Już bez żadnych zabiegów, przysiadów i - ma się rozumieć - bez uśmiechu. Zeżre, połknie, nawet kości nie wypluje. A wiedźma nie ma tu nic do rzeczy.

Zaczął krzyczeć od razu.

Nie było zgodnego tańca dwóch ciał, nie było uników ani szybkich obrotów. Wilczarz nie ruszył się z miejsca. Stał pośrodku płótna, na rozstawionych nogach. A Iterskiel znowu płażał, ale nie tak jak na początku. I nie z własnej woli. Stał na palcach, wijąc się z bólu, jakby go ktoś powiesił na kołku za nienaturalnie wyprostowaną rękę. Mógł dosięgnąć Wena wolną ręką albo nogami. Technicznie, jak wyraziłby się Tilorn. Ale nawet nie próbował; nie był w stanie. Kto nie poczuł na własnej skórze, ten nie może zrozumieć, jak zawęża się świat, jak ogranicza się do wielkości tego miejsca, gdzie boli. Wilczarz trzymał dwiema rękami kilka jego palców, mocno je wyginał i to sprawiało taki ból. Baczenie pilnował, aby Iterskiel nie mógł się uwolnić.

Wszystko wykonał bardzo powoli. Rozprostował lewą rękę. Położył ją Iterskielowi na łokciu. "Złoty kot łapie pręgowaną mysz". Dlaczego pręgowaną, wiedziała tylko Matka Kendarat. Przełożył rękę Iterskiela za plecy i siłacz nad siłacze posłusznie się skłonił, ratując się przed nieludzkim bólem. Drżał na całym ciele i walił twarzą o kolana. Teraz można go było prowadzić do samego Haliradu i niechby tylko spróbował pisnąć. Wilczarz zmusił go do zrobienia kilku kroków i zejścia z płótna, wypuścił i bez zbędnych ceregieli kopnął nogą w zadek. Utrzymanie się na nogach było ponad ludzkie siły i Iterskiel nie zdołał się utrzymać. Kiedy odzyskał możliwość oceny, gdzie jest góra, a gdzie dół, jego głowa znajdowała się w środku trzeciej linii. A wszystko pozostałe - poza. "Uciek!".

Ludzie z Haliradu przyjęli wynik pojedynku z zadowoleniem. Nawet niektórzy z młodszych ludzi Promienia. I Welimorzanie, których - jak się mogło wydawać - nie obchodził ani Wen, ani czarownica.

- Mój człowiek zwyciężył! - Knezinka wstała. - Teraz już nikt nie może powiedzieć, że to był przypadek.

- Nie uznajemy jego zwycięstwa! - Wódz Karril rąbnął krzepką dłońią o podłokietnik tronu wyrzeźbiony w kształcie łapy niedźwiedzia. - Wybacz, miłościwa pani, ale twój człowiek nie umie się bić tak, jak przystoi mężczyźnie! Boi się ciosów i uchyla się od nich jak bojaźliwa baba. Niech walczy po męsku albo zabiera się stąd precz, oddając zwycięstwo temu, kto jest mężniejszy!

Iterskiel nie miał w zwyczaju poniewierać się nosem w kurzu na oczach całego plemienia, knezinka zaś nie była przyzwyczajona do takiego traktowania. Uznała, że nie może dać się wodzić za nos staroście leśnego ludu, który uparcie nie chce uznać przegranej swego syna i po dobroci wypuścić kobiety, o której niewinności bogowie orzekli już dwukrotnie. Jeszcze trochę, a wódz zacznie krzyżeć na nią, dziedziczkę wielkiego Haliradu! Hellona, córka Gluzda, już prawie powzięła zamiar, aby podnieść swych zbrojnych. Tak. Właśnie tak powinna postąpić. Niech zabiorą oboje - znachorkę i chłopaczka. I niech staną w obronie Wilczarza...

Poseł Dungorm z szacunkiem schylił się do jej ucha.

- Podziwiam twoje opanowanie, pani. Zachwycasz mnie swym spokojem. Niewielu władców powstrzymałoby się od rozstrzygnięcia sporu siłą. Nie wszystkim starcza rozumu przekonywać o swojej racji, kiedy w ruch idą miecze.

Ale Wilczarz słów tych nie słyszał. Mimo woli sam na nie odpowiedział.

- Dobrze - rzekł. - Nie będę się uchylał.

I uśmiechnął się. Bardzo nieprzyjemnym i złym uśmiechem, pokazując szparę po wybitym zębie. Knezinka, która zdołała nieźle poznać jego zwyczaje, poczuła, że dla Karrila byłoby lepiej, gdyby nie wypowiadał tych słów i nie upierał się przy trzeciej próbie sił z udziałem syna.

- Niech będzie, jak chcesz, wodzu - wypowiedziała te słowa tak, aby nie było w nich słyhać drżenia. Bardzo się bała tego, jak potoczy się walka. Tak bardzo, jak gdyby chodziło o jej własne życie albo śmierć. - Niech biją się tak, jak nakazuje twoje prawo, skoro nie podoba ci się nasz kunszt bojowy. Ale pierwej powiedz, wodzu, czy zgadzasz się, aby to trzecie starcie było ostatnie i zdecydowało o wyniku całego pojedynku? Bo obawiam się, że znowu popatrzysz na słońce i orzekniesz, że ma się już ku zachodowi, przeto nie może oświetlić prawdy sądu...

Starosta Ronnanów popatrzył na słońce, potem na syna i skłonił głowę.

- Niech tak będzie, miłościwa pani.

Czarownica i jej chłopiec wstrzymali oddech. Nadzieja w tym morzu rozpaczy to pojawiała się, to znikiała. I znowu w ich sercach gościł mrok. Objęli się i nie odrywali wzroku od Wilczarza.

I Iterskiel wstąpił na płótno po raz trzeci. Wstąpił ostrożnie, jak na cienki lód, pamiętając o swych dwóch porażkach. Chociaż nie miały już znaczenia. Teraz temu napiętnowanemu nos wyjdzie potylicą. A zębów - ile tam mu pozostało - będzie szukał w trawce. Porządna, uczciwa pięść! I żadnych babskich wykrętasów. Tors o tors! I dopiero nazajutrz Iterskiel sam będzie mógł uwierzyć, że wynik dwóch pierwszych potyczek był zaprawdę przypadkowy.

Wilczarz znowu wolał nie zaczynać pierwszy. Młody Ronnan próbował zagonić go na skraj płótna. Ale to się nie udało. Wtedy Iterskiel postanowił wyprowadzić zwodniczy cios. Zamierzył się lewą pięścią w pachwinę, aby przeciwnik opuścił ręce w obronie słabego miejsca. Tymczasem

mocno ściśnięta prawa pięść błyskawicznie wystrzeliła w przód, aby zmiażdżyć twarz. Iterskiel już prawie czuł, jak pękają kruche kości, jak chlusta lepka krew, jak ciało zmienia się w miątką kaszę. Prawie widział, jak szarozielone oczy stają się bezmyślne i z wolna zamykają się na zawsze. Do tej pory stosował zwykle welskie chwyt, które obcoplemieniec mógł gdzieś podpatrzeć. Ale ten cios znany był tylko w jego rodzie. I nawet jego starszy brat nie potrafił go wyprowadzać tak celnie.

Ręka Wilczarza napotkała jego rękę w połowie drogi. Odgłos był taki, jak gdyby złamały się dwa grube kije, owinięte w mokrą szmatkę. Usłyszeli go wszyscy, którzy znajdowali się na polanie, do ostatniego człeka.

Kiedy miesiąc po miesiącu pchasz przed sobą nieoheblowane, niech będzie przekłete, bierwiono grube na arszyn, skutymi rękami wprawiasz w ruch ciężkie ramię kieratu, którym czerpie się wodę z podziemnej rzeki, kieratu, do którego powinno się zaprzęgnąć perszerona o mocnych obrośniętych pęcinach, a ty wprawiasz to w ruch sam, za siebie i za słabowitego wielbiciela wysublimowanych poematów... Po czymś takim albo ręce odpadną, albo nabiorą twardości kamienia.

Iterskiel uderzył z rozmachem i odniósł wrażenie, że trafił w kamienny słup. Zwalił się na kolana, nie rozumiejąc jeszcze, że złamał o ten słup rękę.

- Zejdź z płótna - cicho przestrzegł go Wilczarz. - Nie chcę zrobić ci krzywdy.

- Wstawaj, synu! - wydał okrzyk wódz.

Iterskiel w milczeniu się podniósł. Wilczarz widział takie oczy u silnego jeszcze zwierza, który już poczuł, że ma za plecami przepaść.

- Zejdź - powtórzył Wilczarz. - Walczysz w niesłusznej sprawie.

Lewa ręka Iterskiela wystrzeliła szybciej niż wąż. Celowała pomiędzy oczy. Ronnan chciał uśmiercić go tak, jak Wen swego czasu nadzorcę Wilka. Odpowiedź nie kazała na siebie długo czekać, tyle że tym razem Wilczarz użył jeszcze i kolana, którym podbił łokieć. Straszliwy ból... Iterskiel stracił przytomność, lecz Wilczarz nie pozwolił mu upaść. Złapał Ponuraka za pas, bez trudu oderwał go od ziemi, przeniósł na skraj płótna i wyrzucił poza trzecią linię. Wyrzucił bez litości. Przez zwiotczałe ciało przebiegł dreszcz, kiedy niezgrabnie upadło na sfatygowaną rękę. Druga, wywichnięta w dwóch miejscach, sterczała jak skrzydło martwego ptaka. Wódz Karril ze zgrozą patrzył na to, co uczynił z jego pięknym synem ten bezlitosny obcoplemieniec.

- Mój człowiek zwyciężył - powiedziała knezinka Hellona.

Tym razem nikt nie miał zamiaru zaprzeczyć. Sąd Bogów został rozstrzygnięty.

\*

Słońce chyliło się ku zachodowi, toczyło się po koronach drzew. Orszak narzeczonej Strażnika Bramy Północnej znowu sunął po Starej Drodze. Ponuracy nie mieli pretensji. Nie próbowali też podważać wyniku Sądu Bogów. W każdym razie głośno. Lecz rozstawali się z ludźmi z Haliradu i z knezinka bez przyjaźni. Bystry młodzi wojowie dostrzegli, że niedaleko polany w koszach stało jedzenie, nawet smakowicie pachniało. Ale do poczęstunku, który miał nastąpić po wygnaniu złego ducha czarownicy, nie doszło. Leśne plemię pochowało się w gęstwinie, rozpełzło się po niej, jak

gdyby w ogóle nikogo tu nie było. Teraz zapewne długo nie wysunie nosa z lasu, choćby drogą obok przejeżdżał sam Król Słońce...

- Niewiele straciliśmy! - jednocześnie oznajmili Mal-Gona i Ertana, która zaczęła powoli ożywać.

- Ludzie z ostępów, tfu! A czegoż można się po nich spodziewać...

Ale pozostałym, nie wyłączając Wilczarza, było jakoś niesporo. Tak się czuje człowiek, który przychodzi do mało znanego domu i zastaje tam domowników kłócących się wniebogłosy. Niby nie masz z tym nic wspólnego, lecz na duszy jakoś ciężko.

Postanowiono, że tego dnia będą jechać do późna. Nie dlatego, że bali się napaści ze strony Charców, ale... Po prostu tak było lepiej i tyle.

Młodzi strażnicy podchodzili, aby poklepać Wilczarza po ramieniu, ale kiedy byli już blisko, zmieniali zamiar ("Ty... no wiesz... nieźle go! No, dobrze!"). Wilczarz zasepiony milczał. Gdyby ponownie przyszło mu stanąć do walki z Iterskiem, zrobiłby dokładnie to samo. Bez wahania. Kobieta i chłopiec żyją. To dobrze. Ale innych pozytywów w tym, co się stało, nie znajdował. W ogóle bardzo mu się to wszystko nie podobało.

- Czy będziesz mnie dalej uczył, kiedy już zamieszkamy w Welimorze? - spytała knezinka Hellona.

- Jeśli zechcesz, pani - odparł. Dziewczyna zamyśliła się, spuściła głowę.

- Nie jesteś z mej czeladzi, Wilczarzu - powiedziała nieoczekiwanie. - Możesz tam zostać ze mną, a możesz odjechać. Pewnie zechcesz odjechać, co?

Skąd Wen mógł wiedzieć, ile kosztowały ją te słowa. Ale wypowiedziała je i nagle poczuła, że ogarnia ją czarna rozpacz. Co będzie, jeśli on przytaknie? I knezinka, jak gdyby w poszukiwaniu ratunku, chwyciła Wilczarza za rękę. Dopiero po chwili udała, że potrzebowała jego wsparcia, aby poprawić niby to spadający z nogi trzewiczek.

Ochroniarz odpowiedział spokojnie, wprost:

- Zrobimy tak, jak będzie najlepiej dla ciebie, pani. Dziewczyna cofnęła rękę i skierowała rozmowę na inne tory.

- A powiedz ty mi, czy w ogóle można cię pokonać? Czy nie można?

Wilczarz uśmiechnął się. Zupełnie inaczej niż na polanie. Bliźniacy z zaciekawieniem przysłuchiwali się rozmowie, trzymając się nieco z tyłu. Kiedyś i oni będą się potrafili bić nie gorzej od Nauczyciela.

- Jeszcze jak można, pani - odparł Wilczarz.

*Już od dawna wędrował razem z Kan-Kendarat. Kapłance Bogini Miłosierdzia nawet do głowy nie przychodziło, aby zażądać zapłaty od tych, którym niosła pomoc, ale ciągle była obsypywana podarunkami. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że Wilczarz nie miał zamiaru być na jej utrzymaniu. Uważał, że skoro jest mężczyzną, ma obowiązek utrzymywać i siebie, i ją. Kiedy gdzieś się zatrzymywali, wyłaził ze skóry, żeby znaleźć jakieś płatne zajęcie - ot, choćby wynając się w oberży na wykidajkę. A nawet w najbardziej plugawym przydrożnym sakkaremskim zajezdzie można było dostać taką posadę nie inaczej, jak wyganiając pracującego już tam zabijakę. Bywało,*

że przychodził do Matki Ken- darat, ledwie trzymając się na nogach, a bywało, że na czworakach. "Jak mnie pobił? Wytłumacz mi"...

- A ten... Iterskiel... też mógł? - znowu z drzeniem w głosie spytała knezinka Hellona.

- Nie, on nie mógł mnie pokonać.

- Byłem teraz u swoich i po drodze słuchałem, o czym mówią ludzie - wtrącił się do rozmowy Dungorm, idący przy wozie. - Połowa wojska twierdzi, że poradziłaby sobie z tym młodzieńcem z taką samą łatwością jak on. Wygląda na to, że każdy by miotał nim w każdą stronę wedle własnego uznania i pokonał w pierwszym starciu.

- Ha! - prychnęła jak kot ze swego siedzenia babka Hajgał, która powoziła. - Jak powiada mój naród, kiedy orzeł już porwał koźlątko, każdy ci powie, że mógł go ustrzelić.

Dungorm zaczął się nad czymś głęboko zastanawiać. Wilczarz milczał i knezinka wykorzystała to jego milczenie, aby znów dotknąć jego ręki.

- Czy tak? Co na to powiesz?

Wilczarz pokręcił głową i odpowiedział bez szczególnej ochoty, ale uczciwie:

- Co do Welimorzan to nie mogę powiedzieć nic pewnego, ale w twojej gwardii Iterskiel pobiłby niemal każdego. Poza pięcioma, może sześcioma wojami z drużyny twego krewniaka Promienia, syna Łekawy. On był o tyle silniejszy ode mnie, o ile ja sam jestem silniejszy od kobiety.

- No, chyba niezupełnie - rozległ się z wozu niezadowolony głos Ertany. - Kobiety są różne, Wenie! Poczekaj, niech no tylko stanę na nogi, sam się przekonasz.

- Już nie masz zamiaru umierać? - burknął w odpowiedzi.

- Złamałeś mu rękę - przypomniała knezinka. Wilczarz wzruszył ramionami.

- Złamałem. Ale walczyłem w słusznej sprawie, pani. Knezinka nic nie mówiła przez dłuższą chwilę, a potem zauważyła:

- Bogowie często pomagają temu, który sam nic nie potrafi. Piastunka znowu włączyła się do rozmowy:

- Bywa, że bogowie wysyłają mistrza na pomoc komuś, kto nic nie umie.

Uratowana znachorka spała w kącie wozu, pomiędzy rannymi. Zwinęła się w kłębuszek i po czubek głowy zakryła baranicą. Kiedy zakończył się Sąd Boży i Wilczarz podszedł, aby wyprowadzić ją z kręgu, nie była w stanie podnieść się z kolan - Wen wyniósł ją na rękach. Mówiła coś szybko po welsku i po sakkaremsku, ale niewiele można było z tego zrozumieć, całowała po rękach knezinkę i Iliada, próbowała całować i Wilczarza. Kiedy ją nakarmiono, dano coś do przykrycia i kazano wsiadać na wóz, wybrała miejsce z boku, położyła się i natychmiast zasnęła. Głębokim snem duszy doprowadzonej do ostateczności. Chłopiec starał się pokazać, że jest dorosły. Szedł przy kole, popatrując na konie. Kiedy wyciągnął rękę w stronę pyska Siarka, wierzchowiec od razu uznał go za dobrego znawcę koni i nie cofnął łba. Chłopiec otarł się policzkiem o ciepłą końską chrapę - tak robili jeźdźcy z Wiecznego Stepu - i po raz pierwszy tego dnia się uśmiechnął.

- Pozwól zapytać, moja dobra służebnico - zwrócił się Dungorm do starej Hajgał. - Kiedy

hospodar Gluzd, syn Nesmejana, pożegnał się z moim panem i przeprowił przez Wielkie Góry, które u was w Haliradzie nazywają Górami Zamkowymi, z dalekiej doliny wyszedł mu złożyć hołdy pewien naród. Przyszli mężczyźni i kobiety, a kobiety były ubrane dokładnie tak jak ty. Nie pochodzisz czasem z tamtych stron, nie masz nic wspólnego z góralami?

- Ha! - znowu zakrzyknęła piastunka, tym razem był to wyraz jej wielkiego zadowolenia. A knezinka sięgnęła za pazuchę i wyciągnęła płaską skórzaną sakiewkę na zniszczonym rzemyczku. - To był mój naród, dostojny panie - mówiła dalej starucha. - Urodziłam się tam, w błogosławionych górach, za Przegrodą. Tylko orły i simurany wiją tam swoje gniazda. No i my, Iczendarowie!

Wilczarz nie pierwszy dzień żył na świecie i wiedział, że każdy kulik będzie chwalił swoje bagno. Ale żeby tak wychwalać góry... tego doprawdy nie był w stanie zrozumieć. Nie dalej jak wczoraj powinni byli zobaczyć na tle błękitnego nieba zaśnieżone szczyty, które jego plemię nazywało Górami Żelaznymi. I Wen nie odczuwał żadnej radości z tego powodu.

- Widzisz, szlachetny Dungormie - z zawadiacką nutką w głosie mówiła tymczasem knezinka, podrzucając na dłoni sakiewkę. - Nie daleko was mieszka lud, który z radością mnie przyjmie. Przecież po każesz mi, nianiu, Ramiona Góry?

- Pokażę! - gorliwie obiecała Hajgał.

- Nie uznałem za stosowne dopytywać się, dlaczego górale wyszli, aby złożyć pokłon gospodarowi - ostrożnie wycedził słowa Welimorzanin. - Nie chcę tu nikogo obrazić...

Kochasz mnie, pokochaj i moją nianię, pomyślał Wilczarz.

- ...ale my przywykliśmy uważać Iczendarów za niezbyt przyjaźnie nastawiony naród. Może mi to...

- Opowiedz, nianiu! - roześmiała się knezinka.

Historii Hajgał - poza posłem - nie znała bodaj tylko Ertana i odbity u Ronnanów chłopiec. Ale czemu nie opowiedzieć jeszcze raz, aby droga się nie dłużyła.

- Szlachetny Bakunia, ojciec matki mojej pani, był sławnym po dróżnikiem - zaczęła snuć opowieść piastunka. - Pięćdziesiąt lat temu zdarzyło mu się przejeżdżać u podnóża naszych gór, których święte szczyty dają schronienie gwiazdom. Gospodar usłyszał głos urgaua, śnieżnego kota, pospieszył w tym kierunku i znalazł męża, który walczył ze zwierzem.

Wilczarz widywał górskie koty w białych, drogocennych, skrzących się futrach. Spotkania z panem wiecznych śniegów i jego pazurami należało unikać jak ognia. Właściciele kopalń czasami łapali i próbowali oswoić te wspaniałe zwierzęta, ale koty nie mogły żyć w niewoli. Nie jadły, nie piły i szybko umierały.

- Gospodar nie uląkł się, nie uląkł się i jego koń. Kneź podjechał do walczących i przebił urgaua włócznią, choć kot pierwiej zdążył ściągnąć go z konia. Potem opatrzył rany myśliwego i swoje, i nikt nie wie dział, czyja krew została na kamieniach. Tym myśliwym był Ślad Orła, wódz Iczendarów. Nazwał gospodarza ojcem, albowiem dostał od niego w darze nowe życie. Ujął konia gospodarza za uzdę i sam zaprowadził w Ramiona Góry - to nasz dom wyciosany w skałach nad obłokami, a ludzie obcej krwi nie znają tam drogi. Kneź był gościem wodza. Odtąd wszystko



należało do niego: i siedziba wodza, i stada kóz, i każda z jego kobiet. Każda z kobiet chciała mieć syna z potężnym gościem, tak szczerze obdarzonym przez bogów. "Niech nie chowają do mnie urazy twe żony, krewniaku - powiedział kneź Śladowi Orła. - Ale nie mogę postąpić wbrew Prawdzie mojego kraju: muszę zachować moje męstwo dla mej narzeczonej. Jesienią mam brać ślub". Wtedy wódz wezwał najmłodszą córkę i rzekł: "Oto twój nowy ojciec i pan do końca twoich dni". Zapomniałam moje poprzednie imię i odtąd zwałam się Hajgał - Rażąca Kopia. Córka knezia bawiła się u mnie na kolanach. A potem córka jego córki. Dawno nie byłam w domu, ale wiem, że mój poprzedni ojciec tak samo rządzi naszym plemieniem. U nas w górach ludzie żyją po sto lat i dłużej.

Piastunka mówiła ze spokojną dumą. Wypełniła wolę ojca i uważała, że nie mogło ją spotkać nic lepszego przez te pięćdziesiąt lat, z biegiem których z rozkwitającej dziewczyny stała się staruszką.

- Pewnego razu byłem w pobliżu miejsca, które nazywacie Przegrodą - popatrując kątem oka na knezinkę, powiedział Dungorm. - Mój pan, szlachetny kuns Winitar, kiedy został Strażnikiem Bramy Północnej, postanowił sam objechać całą okolicę. Był w podróży kilka dni, a ja mu towarzyszyłem. Poprzednik mojego pana ograniczał się do pobierania myta od kupców i rzadko wyprowadzał wojsko z twierdzy. Obawiam się, że nie był zbyt gorliwy. Zupełne przeciwieństwo twe go przyszłego małżonka, pani. Znam szlachetnego kunsza od dawna. Bogowie obdarzyli go sercem wojownika i rozumem uczonego...

Wilczarz w milczeniu słuchał.

- Sam widziałem, jak odmierzał odległości i rysował mapy, które mogą się przydać i wodzowi prowadzącemu hufce, i zwykłemu podróżnikowi. Byłem przy nim, kiedy zajechaliśmy do wąwozu zasypanego przez kamienie koloru szarej stali. Musieliśmy zostawić wierzchowce. Wybacz, pani, ale tam tak śmierdziało, że musieliśmy zasłonić twarze chustkami. Pamiętam, że mój pan wesoło śmiał się z tego, jak wyglądamy. Chciał dojść jak najdalej, ale po kilkuset krokach pod naszymi nogami zobaczyliśmy potworną przepaść, z której dna wydobywały się cuchnące opary. Jakież było moje zdziwienie, kiedy mój pan ruszył ku wiszącemu mostkowi, przerzuconemu nad przepaścią!

- Przegrodę stworzyli Ci-co-nie-śpią-w-podziemiach - z zadowoleniem wyjaśniła starucha. - Kiedy Gurcat Okrutny gonił mój naród, oni rozdzielili ziemię na jego drodze. A dno Przegrody tak strasznie cuchnie dlatego, że do tej pory gniją tam trupy złoczyńców.

- Mój odważny pan postanowił przejść przez mostek i popatrzeć, co jest z drugiej strony, za przepaścią - podjął Dungorm. - Ledwie chwycił włochate liny i zrobił jeden krok, kiedy z drugiej strony dał się słyszeć głos: "Zatrzymaj się ty, który przyszedłeś z płaskich równin! Tu zaczyna się ziemia Iczendarów". "Kto mówi do mnie? - spytał młody kuns. - Wyjdź, niech cię zobaczę. Nie chcemy zrobić ci krzywdy". Zza kamienia wyszedł ktoś, komu przez cuchnące opary nie mogłem dokładnie się przyjrzeć, widziałem tylko, że to siwowłosy mąż w narzutce z białego futra. Miał we włosach błękitne orle pióra...

- To był mój poprzedni ojciec! - wykrzyknęła Hajgał. - Nikt nie nosi futra urgaua, tylko wódz. Okazał wielki szacunek twemu panu. Wódz nie zszedłby do Przegrody, aby powitać zwykłego wędrowca!

- Ale nie przepuścił nas na drugą stronę. Byli z nami znakomici strzelcy, lecz kuns nie pozwolił podnieść samostrzałów. Mój pan wtedy, rzecz jasna, nie wiedział, że jego przyszłą żonę wychowuje córka Iczendarów. Nie chciał obrażać górali, przywoływać ich do porządku. Powiedział, że siłą nic się u nich nie wskóra. Od tamtej pory nie usta je w próbach zdobycia ich zaufania. Osiągnął tyle, że trochę z nimi handlujemy. Wcześniej czegoś takiego nie było. Zostawiamy koło Przegrody nasze towary, a na drugi dzień znajdujemy w tym miejscu rzeczy pozostawione przez górali na wymianę. Ośmielę się nawet stwierdzić, że mój pan bliski jest zawarcia z nimi sojuszu. Jakiś czas temu zobaczyliśmy, że wśród rzeczy pozostawionych przez nich stał kosz, w którym spał biały kociak.

- O! - Hajgał podniosła palec. - Masz rację, pośle Welimoru. To święty podarunek.

Dungorm pogładził czarną siwiejącą bródkę i z uśmiechem przyznał:

- To było akurat wtedy, kiedy u mego pana gościł jego przyszły teść i kiedy toczyły się rozmowy o ślubie.

Wilczarz puścił mimo uszu śmiech, który towarzyszył tym słowom. Teraz trzeba będzie jak najszybciej wypytać Welimorzan, gdzie jest ta przełęcz i czy nie ma przy wejściu jakiegoś charakterystycznego drzewa albo skały. Nigdy nic nie wiadomo - nie sposób zgadnąć, co może przydarzyć się w drodze.

Góry pojawiły się na horyzoncie znacznie wcześniej, niż się spodziewał: tego samego wieczoru, o zachodzie słońca, kiedy rozłożyli się obozem nad rwącą rzeczką i ludzie zaczęli sposobić się do snu. Śnieżne szczyty zarysowały się na rozplómnionym niebie jak wzór na klindze zanurzonej w płynie do trawienia stali. Podnóży, skrytych za mgiełką, nie było widać. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś wziął w rękę gigantyczny pędzel, wsadził go w szkarłatny ogień i narysował na niebie ni to dziwne nieruchome obłoki, ni to łańcuchy górskie unoszące się w powietrzu wysoko nad ziemią. Wilczarz rad by w ogóle nie patrzeć w tamtą stronę. Młodzi wojowie, którzy nigdy nie byli tak daleko od Haliradu, pokazywali sobie ten widok palcami i wygłaszali zachwyty, nie wiedząc czemu przyciszonym głosem. Wokół ich rodzinnego miasta też można było zobaczyć góry pokryte wiecznym śniegiem. Ale przy tych wydawały się płaskimi wzgórkami, na które można wbiec bez zadyszki.

Zanim wojsko rozłożyło się obozem, obudziła się uratowana znachorka, ubrała się w podarowane jej przez piastunkę giezło i stare szarawary i wyczesła rzepy wczepione we włosy. I z obłąkanej na poły, rozczochranej wiedźmy zmieniła się w dumną kobietę, niską, niemłodą i nieco zbyt pulchną, ale o ruchach lekkich i pewnych siebie. Chłopiec zwracał się do niej po imieniu. Było to imię z południowego Sakkarem: Mangul. Iliad, który nie mógł się doczekać, kiedy kobieta wreszcie się ogarnie, gotów był zaraz odprowadzić ją na stronę i zażyć radości uczonego dyskursu. Jednakże przyjemność medycznych mądrości przyszło mu odłożyć. Mangul za żadne

skarby nie chciała być darmozjadem i z miejsca zaczęła pomagać dziewczynom, które rozpałały ognisko.

- Poczekaj, Iliadzie - zwróciła się knezinka do Halisuńczyka. - Niech dojdzie do siebie.

Podszedł do nich Dungorm, ostrożnie niosąc w rękach maleńkiego, ale bardzo mocnego z wyglądu gołąbka, z upierzeniem czarnym jak u wrony. Pod skrzydłami gołębia ukryte były cieniutkie miękkie sznureczki, którymi zamocowano do jego grzbietu puzdreczko z listem.

- Pani! - uroczyście oznajmił Welimorzanin. - Mój pan, a twój na rzeczony kazał dać mi znać, kiedy ujrzymy Wielkie Góry. Wyjedźcie nam na spotkanie, jak tylko otrzyma list. Powiedział, że każe osiodłać Sanajgaua, złotego szositaińskiego wierzchowca, wytrwałego jak rzeka i szybkiego jak wiatr. Proszę cię, pani, weź gołębia. To gołąb z gór, który potrafi latać w ciemności. Niech wzniesie się w niebo z twoich rąk.

Każdy z nas ma w życiu takie chwile - patrzysz na siebie jak gdyby z boku i nie możesz z całą pewnością powiedzieć, czy to dzieje się z tobą, czy z kimś innym. Tak właśnie czuła się knezinka, kiedy wzięła z rąk Welimorzanina ciepłe opierzone ciało. Gołąb wyginał szyję, popatrywał na nią połyskliwym czerwono-złotym oczkiem. Knezinka wzniosła ręce nad głowę i otworzyła dłonie. Gołąb, który miał dosyć siedzenia w klatce z wierzbowych witek, wystrzelił w niebo.

Gacek natychmiast porwał się z ramienia Wilczarza i jak czarna strzała pomknął za gołębiem. Strażnicy roześmieli się, zaczęli gwizdać, wskazując palcami zwierzątko, a knezinka pomyślała sobie, że jeśli Gacek dogoni ptaka, będzie to oznaczało, że mimo wszystko ktoś jeszcze może się wmieszać i uratować ją od nienawistnego małżeństwa. Usłyszała, jak Dungorm jęknął.

Gacek, który był drapieżnikiem, mógł swoimi ostrymi zębami złapać i zagryźć ptaka nawet większego od siebie. Chyba że był to jastrząb. Jednak małym rozumkiem pojął, że lepiej nie robić krzywdy gołąbkowi wypuszczonemu przez ludzi. Musiał zadowolić się tym, że nieźle pogonił go w stronę gór. I zawrócił na ramię Wilczarza.

\*

Od czasu pamiętnego noclegu na skraju Trzęsawisk Kajerańskich młodzi strażnicy starali się co wieczór przychodzić do służebnic knezinki.

- Nigdy nic nie wiadomo - wyjaśniali Wilczarzowi swą przezorność. - Może znowu ktoś się zakradnie. A my się wtedy przydamy!

Teraz Wilczarz ze starostami sam wybierał miejsce na nocleg i sam rozstawiał wartowników, którzy do świtu nie śmieli zmrużyć oka. Prawdę mówiąc, nie było żadnego powodu, by niepokoić się o dziewczęta, ale rosnących młodych zuchów nikt teraz od dziewczyn nie odganiał. A dziewczęta rozkwitały.

Każdy wieczór pod namiotem knezinki kończył się pogwarkami. Kiedy są kobiety, przed którymi warto pokazać się z jak najlepszej strony, mężczyźni potrafią wykazać się zaiste niezwykłymi zdolnościami. Młodzieńcy przynosili segwańską lirę albo solweńskie gęśliki czy welskie dudy. Okazywało się, że jeden nieźle śpiewa, drugi pięknie gra, a trzeci znakomicie tańczy. Znalazł się nawet taki, co potrafił klecić wiersze. Nikt nie przypuszczał, że takie talenty drzemały w

jasnowłosym niedźwiedziu Dekszy, który stracił oko w boju nad trzęsawiskiem. Dekszę za ciężko myślącego nie uważali tylko ci, którzy go dobrze znali. Ale za to ani słuchu, ani głosu solweński Bóg-Wąż, patron śpiewaków, nie dał młodemu staroście. Zresztą na szczęście Deksza nawet nie próbował śpiewać. Po prostu mówił - głucho i monotonicznie, żeby nie nadwerężyć miejsca po wybitym oku.

*W ziemi kamienistej, szarej kości leżą popalone.  
Za poduszkę mamy kamień, za przykrycie - mech i słomę.  
Szumią wysokie sosny. Wiatr gna czarne chmury,  
A z sitowia przy brzegu dobiega czasem głos ponury.*

Rudy Segwan, który przykucnął nieopodal, lekko potrzącał struny liry. Składnej melodii wprawdzie nie ułożył, ale słyhać było w jego grze szum lasu i żalosne krzyki ptaków lecących na północ. O nic więcej nie chodziło. Pieśń poświęcona była Warei i jej przyjacielowi, z którym co najwyżej zdążyła się ze trzy razy pocałować i zginęła razem z nim.

*Skąd twoja krew na liściach?  
Wstań! Podnieś się, kochany!  
Samego cię tutaj nie zostawię,  
gdzie strzały świszczą i zadają rany.  
Wrogowie przynieśli topory,  
zaraz odrąbią mi głowę.  
Niech myślą, nikczemnicy,  
że ścięli głowę, co nosi koronę...*

Kto mógł teraz wiedzieć, czy naprawdę Warea myślała, że jej śmierć da knezince czas na ucieczkę i uratuje ją z rąk zabójców? Och, raczej nie. Wilczarz wstydził się nawet swej obojętności, lecz w to wątpił. Ale cóż, przecież właśnie tak powstają pieśni i legendy.

Deksza zakończył pieśń modlitwą do Bogów Światłości, prosił ich, by zezwolili chłopcu i dziewczynie jeśli nie połączyć się, to przynajmniej widzieć się na tamtym świecie. Wiadomo, każdy naród ma swoje niebo.

Knezinka Hellona słuchała w milczeniu, służące popłakiwały, wspominając przyjaciółkę. Mal-Gona szepnął coś swoim zuchom i po chwili z rąk do rąk przekazywano sobie pękatą flaszkę.

- Za spokój dusz - powiedział Welch i wyciągnął kościaną zatyczkę. - Skosztuj pierwsza, pani.

Knezinka upiła łyk, nie skrzywiła się nawet i przekazała flaszkę Dungormowi.

- Ech! - powiedział Aptachar, kiedy dusze zostały odpowiednio uspokojone i z flaszki wysączone ostatnie krople. - Ojciec Chramn, którego mądrość można porównać tylko z długością jego... no, nieważne... Krótko mówiąc, nakazał nam, abyśmy nie topili naszych zmarłych w rzekach łez. Słyszałem, że ci, po których dużo płaczą, nie mogą wznieść się w niebiosa, no bo jak wtaszczyć tak wysoko ceber ze łzami! Podajcie mi tu lirę pięciostrunną, niech Hogg się nią udławi, jeszcze pieśń zaśpiewam. Należy się.

Aptachar śpiewał o wiele gorzej niż jego syn, który pozostał w Haliradzie, na dodatek nie potrafił

też grać na lirze, dobywał z niej jakieś dźwięki, głośno, ale bez ładu i składu. A pieśń, która popłynęła z jego ust, pozostałych wprowadziła w osłupienie. Na wyśpiewywanie takich strofek w obecności knezinki można było sobie pozwolić tylko pod koniec dalekiej drogi, kiedy przeżyte wspólnie niebezpieczeństwa i trudy czynią z panów i sług bliskich przyjaciół.

*Solweńska dziewczyna tak mnie całowała,  
cały czas jej było, płoczej dziewce, mało...*

Przerażony poseł Dungorm popatrzył na knezinkę, ale władczyni nie przerwała śpiewakowi. Aptachar ze swadą wymieniał plemiona i narody, z ogniem w oczach porównywał zalety pańien i wystawiał rozliczne uciechy:

*A z Motomatanką smagłą i nęcącą  
w łóżu leżysz jak w węglach gorących...*

Po jakimś czasie zebrani wokół ogniska zaczęli się po cichu podśmiewać.

- O was, mężczyznach, trzeba by taką pieśń ułożyć - burknęła Ertana. Rana nie pozwalała jej jeszcze śmiać się do rozpuku,

- Ułóż! - poradził Aptachar. - Tylko... trzeba popробować każde go, żeby można było potem porównać.

Teraz słychać było nie pojedyncze chichoty, lecz zgodny rechot.

Mangul razem z chłopcem skromnie przysiadła za plecami wojów, na granicy uświęconego kręgu. Wzięła na kolana haliradzkie gęśle - pękła w nich struna, a zawiedziony muzykant nie potrafił znaleźć niczego odpowiedniego, co mogłoby ją zastąpić. Mangul ostrożnie przyglądała się mało znanemu instrumentowi, gładziła palcem struny i podnosiła do ucha - słuchała, jak śpiewa. To, co robiła Mangul, zostało zauważone.

- A ty pewno też się rwiesz, żeby się wykazać! - powiedział siedzący w pobliżu Welch o długich wąsach. I obwieścił wszem wobec: - Znachorka chce zaśpiewać! Zaklęcia swoje czarodziejskie! Chłopaki, ratuj się, kto może! Bo nas tu zaczaruje!

Kobieta przestraszyła się i odskoczyła, a chłopczyna wstał na równe nogi, zaciskając pięści. Knezinka posłała Dobrobora.

- Przyrowadź ją tutaj.

Młody ochroniarz podszedł do Mangul, uważnie omijając nogi siedzących wojów.

- Chodźmy, pani woła. Nie bój się. A ty, chłopcze, poczekaj, jeszcze się nawoujiesz.

- Czy naprawdę chcesz dla nas zaśpiewać, dobra znachorko? - spytała knezinka Hellona, kiedy Mangul stanęła przed nią, przyciskając do piersi gęśliki ze zwisającą struną. - Potrafisz?

Odpowiedział chłopiec:

- Kiedyś moja przybrana matka śpiewała dla ludzi, szanowna szaddaat, co nosisz koronę. Tak zarabialiśmy na życie.

- Doprawdy? - zdziwiła się knezinka. - To mamy szczęście. Zaśpiewaj coś, czego nie znamy w naszych stronach.

- Tylko ani mi się waż czarować - mruknął Mal-Gona. - I tak nic ci z tego nie wyjdzie.

Wilczarz wytrząsnął z wytartego puzderka książeczkę spisana na korze brzozy, odwrócił się do światła, otworzył na czwartej stronie i przestał słuchać.

Mangul opuściła głowę i przez kilka chwil nad czymś rozmyślała. Potem przysiadła na piętach, jak to było przyjęte w Sakkarem. Gęśle ułożyła na lewym kolanie. Ułożyła z taką wprawą, jak gdyby nigdy w życiu się z nimi nie rozstawiała.

- W moim kraju - zaczęła - uczeń pieśniarza, aby być dopuszczony do Wtajemniczenia, musi sam ułożyć i zaśpiewać cztery pieśni. Pieśń Smutku - taką, aby nikt nie był w stanie powstrzymać łez. Pieśń Radości, aby lzy te osuszyć. Pieśń Marności, aby każdy poczuł się bezsilnym ziarenkiem piasku na brzegu oceanu i zrozumiał, że wszelki trud jest próżny. I Pieśń Zachęty, która nakazuje wyprostować plecy i niesie natchnienie do nowych czynów i zwycięstw. Wydaje mi się, że w żadnej z nich nie znalazłabyś tego, czego pragnie twoja dusza, o szanowna szaddaat, która nosisz koronę. Pozwól, że zaśpiewam ci inną pieśń. To będzie Pieśń Nadziei. Usłyszałam ją od pewnego człowieka z zachodniego Sakkarem. Twierdził, że tę pieśń ułożyli niewolnicy pracujący w strasznej kopalni w górach, z której nie ma drogi wyjścia...

- Moja pani - ostrożnie, półgłosem odezwał się Dungorm. - Pieśń najemników, a teraz pieśń niewolników! Czy godzi się, byś swe uszy napełniała pieśniami ułożonymi na katordze?

Mangul znowu skuliła się ze strachu, a knezinka obdarzyła posła miłym uśmiechem.

- W domu z wielką przyjemnością pielęgnowałam maleńki ogród, szlachetny Dungormie. Sam go przecież widziałeś. I powiem ci, że na krzewach, pod które kładłam nawóz, kwitły piękne kwiaty. Ludzie niskiego pochodzenia niekoniecznie układają podłe pieśni. Poza tym w każdej chwili mogę kazać jej zamilknąć. Śpiewaj, znachorko.

Kobieta skłoniła się nad instrumentem i struny przemówiły. Zajęczały. Zapłakały ludzkim głosem. Aż trudno było uwierzyć, że Mangul dopiero dziś po raz pierwszy zobaczyła gęśle. Strażnicy, którzy jeszcze podśmiewali się z pieprznych przyśpiewek Aptachara, zamilkli jak na komendę. Nawet ci, którzy obejmowali popiskujące dziewczyny, zaczęli przysłuchiwać się muzyce i zamarli.

Przy pierwszych akordach Wilczarz omal nie wypuścił książki z rąk. Przez plecy przebiegł mu gdzieś ze środka trzewi zimny dreszcz. Czegoś podobnego nie czuł już dawno. Siedział nieruchomo. Zrozumiał, że tak naprawdę katorga skończyła się zaledwie wczoraj. Dzisiaj. Przed chwilą. A może wcale się nie skończyła. Co za szczęście, że nikt na niego nie patrzył.

Znał tę pieśń. Zdaje się, że jedyną, jaka z całą pewnością powstała w Górach Szmaragdowych. Jeśli zdarzało się, że ludzie coś tam śpiewali, to na ogół pieśni przyniesione z domu, ażeby lżej im było na sercu. Ta pieśń była jedyna i było w niej wszystko. Pokolenia niewolników szlifowały ją, odzierały z niepotrzebnych słów, jak rzadki drogocenny kamień. Tyle że wtedy nazywali ją Pieśnią Rozpaczy. Dlaczego ona...

Mangul uniosła głowę, już miała zacząć, a Wen napiął wszystkie mięśnie, przewidując, że czeka go tortura.

Kobieta zaintonowała pieśń. Natychmiast zrozumiał jedno: to były inne słowa.

*O czym nam, wspaniałe struny, zaśpiewacie?  
O sławnym bohaterze, który poszedł do nieba.  
Był tak jak my człowiekiem z krwi gorącej  
i kości. O bólu wiedział, ile trzeba.  
Jak my, rok za rokiem nie widywał świtu,  
nie widział na górskiej łące rumianków,  
Aby krwią polane szmaragdy właściciel  
mógł drożej sprzedawać na jarmarku...*

Zlanego zimnym potem Wilczarza w jednej chwili oblała fala gorąca, aż na czole wystąpił mu kroplisty pot. Aby stara Pieśń Rozpaczy stała się pewnego dnia Pieśnią Nadziei, potrzebny był wstrząs. Cud. I zdaje się, że wiedział, co to był za cud.

*W ciemnościach marzył o słońcu i wolności,  
Tak jak my wszyscy. Ale śpiewaka słów posłuchaj:  
On serce miał ze stali, ze stali –  
Takiego nie pokona nawet zła kostucha.  
Opowiemy o nim wszystkim niedowiarkom,  
Którzy zwątpili, że cnota może skruszyć zło,  
On złamał kark dwunogiej bestii,  
A więc nazwali Grozą Wilków go...*

Mangul śpiewała po sakkaremsku. Wielu słuchaczy rozumiało ten język. W Sakkarem polowano na wilki z birkutami. Nie hodowano specjalnych psów do takich polowań, przeto w języku tym nie było słowa "wilczarz". Kobieta użyła w pieśni słowa oznaczającego ptaka.

*Wiedział, że za wolność płaci się krwią,  
I zapłacił. A potem widzieliśmy, że  
Przyjęło go słońce do swych rąk,  
Świecące nad górami jak w jego snach.  
Widzieliśmy, szedł wyżej i wyżej  
Po białych śniegach, nad szklistym lodem,  
I nikt nie słyszał, co szeptały usta,  
Tylko wiatr przyniósł słowa:  
"Ja tu jeszcze przyjdę".  
W twarze sypało nam śniegowym pyłem,  
I wiatr zimny od wina był słodszy.  
Widzieliśmy w niebie wielkie skrzydła,  
Już się nie baliśmy podziemnych ciemności...*

Naprawdę wielkie skrzydła należały jednak nie do "Grozy Wilków", lecz do simuranów, które wzbily się w górę, unosząc na grzbietach nie tylko dosiadające je willijki, ale także młodego Wena znajdującego się na krawędzi życia i śmierci. A w jego objęciach maleńkiego Gacka.

Gacek zeskoczył z ramienia Wilczarza na przegub ręki i z troską popatrzył mu w oczy.

*Krwawe ślady zasypały śniegi,  
Lecz pamięć niby słońce świeci jak na złość,  
To, czego udało się dokonać jednemu człowiekowi,  
Kiedyś może powtórzyć także inny ktoś.  
Nad górami wstaje święty świt,  
Nigdy nie zdoła go zdusić oprawcy pięść.  
Już znamy drogę do wolności  
I śpiewamy w mroku Nadziei Pieśń.*

Każdy motyw można wykonać na sto sposobów. Można tak, że tylko człowiek o kamiennym sercu nie uroni łzy. A można tak, że nogi będą się rwać do tańca. A można i tak, że ręka sama sięgnie po miecz. Ludzie, którzy słuchali Mangul, nawet Wilczarz, nie zauważyli, kiedy rzewny płacz strun płynnie przeszedł w dumny i groźny okrzyk wzywający do zwycięstwa. Do wolności, za którą warto oddać życie. Jak się dobrze zastanowić, to w końcu nie taka znowu wygórowana cena.

Zamilkły gęśle. Dało się słyszeć, jak w ciemnościach nocy zimny wiatr poruszał na drzewach liście, które jeszcze nie opadły.

- Tak - powiedziała cicho knezinka Hellona. - Tę pieśń ułożyli niewolnicy, szlachetny Dungormie. Zbliź się do mnie, pieśniarko.

Mangul podniosła się z kolan i nieśmiało podeszła. Knezinka zdjęła z lewego przegubu piękną srebrną bransoletę wysadzaną zielonymi kamieniami i nałożyła jej na rękę. Znachorka zamierzała dziękować, ale Hellona, córka Gluzda, powstrzymała ją ruchem ręki. Wstała i bez słowa odeszła do swego namiotu.

Po Mangul nikt już nie miał ochoty śpiewać. Ludzie zaczęli się rozchodzić, zamyśleni przycichli. Odkryli w sobie coś, czego nigdy wcześniej nie dostrzegali. Dlaczego? Nikt z nich, chwała bogom, nie był nigdy w Górach Szmaragdowych. I nigdy nie słyszał o niewolniku Birkucie, który potrafił się wyrwać z katorgi. A co by było, gdyby znaleźli się na jego miejscu?

Odeszła i Mangul, ku wielkiej uldze Wilczarza. Wenowi zdawało się, że kobieta przejrzała go i teraz wszystkim o tym rozpowie. Na szczęście Iliad zabrał oboje - i uratowaną kobietę, i jej przybranego syna. Przy ognisku zostali tylko ochroniarze, to było miejsce w sam raz dla nich. Wilczarz rozprostował złane zimnym potem ramiona; gieżło miał całe mokre. I rozprostował palce zaciśnięte z całej siły na kartce z brzoźowej kory.

\*

Czekała ich noc. Należało się spodziewać, że do rana zły los podaruje im jakąś przykrą niespodziankę. Bo nocą, gdy gaśnie Oko Bogów, w świecie wzrasta siła nieprawości.

Wilczarz zwykle trzymał straż w drugiej połowie nocy, kiedy na dobrych ludzi najczęściej sen przychodzi, a sprytni złoczyńcy, wiedząc o tym, wyruszają czynić im krzywdę. Ale dzisiaj wbrew utartemu zwyczajowi Wen wyprawił braci Dobrych na spoczynek, nie zamierzał budzić ich do świtu. Wiedział, że tej nocy i tak nie zaśnie.



Cicho stapał tam i sam, nasłuchiwał i dumał o tym, że żył na darmo. Prawie dwadzieścia cztery lata - na początku zimy skończy kolejny rok... Jeszcze dzisiaj myślał, że zrobił już wszystko. Albo prawie wszystko. Rozliczył się ze wszystkich długów. Obszedł tyle miast i wsi i odszukał rodziny wielu z ludzi, z którymi zbratał się na katordze. Potem wyprawił się, by zabić Ludojada. Doskonale wiedział, że zabije go, z całą pewnością zabije i nie stanie mu na przeszkodzie nawet cała drużyna komesów. Doskonale wiedział jeszcze jedno: że na pewno zginie. I zbytnio się tym nie przejmował. Czemu miałyby zasmucać niebo śmierć ostatniego z wytraczonego rodu? Którego nikt i tak nie wspomni - może poza starą kapłanką z obcego plemienia. Ale nie zginął. Nawet ma rodzinę. Włączył się w nurt życia. Postanowił, że poświęci się tym, którzy go potrzebują. Nawet zaczął marzyć, wyleniały pies. Przyjął paciorek od dziewczeczki z rodu Jeleni...

Bezwiednie odnalazł wzrokiem kryształowy koralik, który z taką dumą nosił na rzemyczku wplecionym we włosy. Czy to o tym mówił mu Władca Burzy, kiedy w odpowiedzi na zanoszone modły wypowiedział: IDŹ, A PRZYJDZIESZ? Gdzieś tam, na południu, nadal znajdowały się Góry Szmaragdowe. A w porównaniu z tym, co tam przeżył i czego się napatrzył, jego rozprawa z Ludojadem była tak mizerna jak leśne pagórki w jego rodzinnych stronach wobec majestatu gigantycznych szczytów okutanych w śnieżny całun.

Myśl o tym, że istnieje Obowiązek ważniejszy niż obowiązek wobec rodu, przyszła mu do głowy po raz pierwszy. I nie wydała się buntownicza. Być może rano tak ją oceni. Ranek przynosi trzeźwe spojrzenie. Ale teraz jest noc.

W kopalniach Gór Szmaragdowych codziennie gasły ludzkie istnienia. Ród Szarego Psa bez śladu by przepadł w masie tych, co umarli. A przecież on, Wilczarz, już usłyszał nakaz Władcy Burzy: IDŹ, A PRZYJDZIESZ. Trzeba było posłać mu na spotkanie tę znachorkę, aby wreszcie poczuł wielki wstyd, aby zrozumiał, nierozgarnięty, DOKĄD.

Najdalej pojutrze zobaczą w tumanie kurzu jadący im na spotkanie oddział z Welimoru. Szybkie, och, jakże szybkie są wierzchowce z Szo-Sitainu. Błękitne oczy? Jakiego koloru oczy miał Ludojad? Nie pamiętał. Wszystko inne pamiętał doskonale, ale oczu - nie, tego nie zapamiętał.

Obejrzał się, usłyszawszy szmer. Zobaczył starą piastunkę, która na czworakach wypełzała z namiotu, i zaniepokoił się. Miał doskonale poczucie czasu. Rydwan Oka Bogów, który wędrował teraz po bezkresach Podziemnego Świata, powoli zbliżał się do granicy świtu. Hajgał kiwnęła nań palcem. Wilczarz podszedł.

- Córeńka cię prosi - wyszeptwała stara kobieta. - Idź do niej.

Minę miała nie wiedzieć czemu ponurą, ale jednocześnie uroczystą. Ani chybi "córeńka" leżała na łożu śmierci, z piastunką już się pożegnała, a teraz zapragnęła pożegnać się z wiernym ochroniarzem. Wilczarz mimo woli pomyślał o ostatniej próbie uniknięcia niechcianego zamażpójścia i na wszelki wypadek spytał:

- Czy pani nic nie dolega?

- Nic, nic jej nie dolega - zapewniła stara kobieta. I ze złością po klepała go po plecach. - Idźże

już do niej!

Wilczarz podszedł najpierw do Dobrobora. Dobrze nauczony rzemiosła chłopak raczej wyczuł, niż usłyszał bezszelestne kroki nauczyciela i usiadł, otwierając oczy. Będzie miał kto bronić knezinki i bez...

- Obudź brata - powiedział Wilczarz. - Pani mnie wzywa.

\*

Namiocek, w którym spała teraz knezinka po stracie wielkiego kolorowego namiotu, był niewielki. Ledwie wystarczało miejsca dla samej knezinki i piastunki. Wilczarz podniósł zasłonę, pochylił się i postawił kolano na skórzanej podściółce, obok zaścielonego pościelania staruszki. Pochodząca z Krynicy haftowana zasłona wewnętrzna była opuszczona, ale przez uchylony rąbek widać było promyk światła.

- Wzywałaś mnie, pani - powiedział niezbyt głośno. Knezinka zwlekała z odpowiedzią.

- Wejdz - usłyszał wreszcie jej głos.

W połowce panienki w czasie noclegu Wen był tylko raz. Kiedy musiał wynosić knezinkę spod ostrzału zbójów. Zasepił się, ściągnął buty i dał nura pod nieprzezroczystą zasłonę.

Knezinka Hellona siedziała na wojłoku z podkulonymi nogami, zakutana w płaszcz aż do samego podbródka. Płomyczek małej lampki, stojącej przed nią, zatańczył od podmuchu powietrza. Namiot był za mały, aby Wilczarz mógł się wyprostować, nie pozostało mu nic innego, jak uklęknąć przed knezinką. Ognik rzucał na jej twarz dziwne odblaski. Wilczarz spuścił oczy. To nieuprzejme tak długo wpatrywać się prosto w oczy komuś, komu się służy. Knezinka nadal milczała. Wilczarz czuł, że im dłużej milczała, tym trudniej jej było zacząć. Przełamała się wreszcie i wyszeptwała, jak gdyby skoczyła z wysokiej skały w ciemną głębię:

- Wiem o tobie wszystko, Szary Psie.

Wilczarz wzdrygnął się, obrzucił ją spojrzeniem, znowu spuścił głowę. Nie wypowiedział ani słowa.

- Wkrótce przyjedzie mój narzeczony - jak i wprzód mówiła bardzo cicho, aby jej słów nie usłyszeli nawet bracia Dobrzy. - Wiem, kim on jest dla ciebie, Wilczarzu...

Wen już zdążył pozbierać myśli.

- To nie ma znaczenia, pani.

Knezinka odchyliła głowę, ale łzy i tak pociekły z jej oczu.

- Dla mnie ma - wyszeptwała zduszonym głosem. - Chcę, żebyś odjechał. Natychmiast. Zanim ludzie się obudzą...

Łzy dusiły ją, spływały po policzkach, zostawiając szerokie mokre ślady, ale ich nie wycierała.

- Odeślę cię do ojca, dam ci list... Weź sobie Siarka i jeszcze jednego konia na zmianę... Kocham cię, Wilczarzu...

- Pani! - Tylko tyle zdołał wypowiedzieć Wen. Jej oczy błyszczały jak u chorego w malignie.

- Już nigdy cię nie zobaczę - szeptała. - Wychodzę za mąż... jestem córką... Nienawidzę go! Kiedy urodzę syna... będę myślała, że... to twój syn...

Świat jeszcze raz stanął na głowie. Knezinka przysunęła się do Wilczarza i dokładnie tak samo jak kiedyś chwyciła go za ręce. W myślach ochroniarza przesunęły się tysiące możliwych obrazów, a wszystkie mogły przyprawić o utratę zmysłów. I w jednej chwili wszystkie rozleciały się na różne strony, bo w tym momencie z ramion knezinki opadł okrywający ją płaszcz.

Wen zrozumiał, dlaczego pieśniarze mówią o kobiecej urodzie: oślepiająca. Nagła nagość dziewczęcego ciała działa jak stojące w zenicie słońce świecące prosto w oczy. Pamiętasz - widziałem!!! A co widziałem? Trudno powiedzieć. Chyba że jesteś poetą. Później, rozpaczliwie przełykając wstyd, Wilczarz próbował przypomnieć sobie knezinkę taką, jaka była przez to jedno jedyne mgnienie. Ale mu się nie udało.

Ręce okazały się szybsze niż rozum. Wilczarz pochwycił opadający płaszcz i okrył dziewczynę. Obejmowała go za szyję, przytulała się do piersi. I szlochała, szlochała, próbowała nie rozplakać się na cały głos. Chciała należeć do niego. Tylko do niego. Choć ten jeden raz. A potem...

Wilczarz kołysał ją jak dziecko, któremu przyśnił się zły sen. I myślał o owym "potem". O ile w ogóle był w stanie myśleć.

Dokonało się! - cieszyła się jakaś część jego istnienia, przepelniająca się żądzą życia. Jednak zechciała mnie!

Delikatne paluszki niezbornie pieściły pociętą szramami twarz, zziębnięte ciało próbowało ogrzać się w jego objęciach... Rozminąłby się z prawdą ktoś, kto by powiedział, że Wilczarz pozostał niewzruszony, że bliskość knezinki nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. Ale Wenowie nie uważali za mężczyzn tych, którzy dają posłuch cielesnym żądom.

- Pani - wyszeptał. Skrajem płaszcza zaczął wycierać jej łzy. - Pani - powtórzył, w myślach przeklinając to, że nie potrafi się wypowiedzieć jak trzeba. Widział, że już opuściły ją ostatki odwagi, aby całkiem się przed nim otworzyć. Męską miłość znała tylko z opowiadań swoich słuźebnic. Była odważniejsza podczas bitwy, kiedy pomagała w ratowaniu rannych. Tak. Ale tam, za kamienne mury świątyni, to on przyprowadził ją za rękę. Teraz najwidoczniej znowu trzeba wziąć ją za rękę i zaprowadzić w bezpieczne miejsce.

Człowiek obdarzony darem kwiecistej wymowy zapewne już by wyrzucał z siebie odpowiednie słowa, które mogłyby ją przekonać. Zapewne przypomniaby jej, że jest narzeczoną przyobiecana innemu, której srodzy solweńscy bogowie zapewne z ledwością wybaczą to, że zdjęła z twarzy zasłonę. Uprzytomniłby jej, że jest dziedziczką haliradzkiego knezia. I przypomniaby o obowiązkach.

Ale Wilczarzowi zapewne język stanąłby kołkiem już w połowie wywodu.

A najlepszym lekarstwem dla knezinki byłaby ironia. Coś takiego, co zrozumie za jakiś czas. A kiedy zrozumie - wybaczy... Wilczarz uważał się za człowieka okrutnego. Lecz nie do tego stopnia.

Głaskał knezinkę po głowie, jej włosy zaczepiały się o jego szorstką dłoń, słuchał jej niespokojnego oddechu i ze smutkiem myślał o tym, że te włosy niebawem gładzić będą palce syna Ludojada. Jego spragnione wargi zgniotą w pocałunku jej usta, delikatną szyjkę, maleńkie dziewczęce piersi...

Nigdzie nie dam się odesłać, pani, pomyślał Wilczarz. Nie zostawię cię.

Gdzieś w ciemnościach, bijąc mocno skrzydłami, wzbił się w niebo ku oblodzonym górom prędkoskrzydły mały gołąbek.

*Każdy chce żyć. Ale bywa, słowom moim uwierz,  
że życie się oddaje nie wiedzieć dlaczego.  
Bo w głębinach duszy budzi ci się zwierz.  
Mroczny zabójca. I nie myśli się wtedy o życia blasku.*

*W czasie bitwy śmierć stałą obok ciebie tuż...  
A tyś się jej nie bał. I nie prosiłeś jej o laskę.  
Ale czym jest życie, kiedy ponad wszystkim władzę Honor ma,  
Honor, który każe walczyć nawet martwą ręką!*

*Czymże jest śmierć i męczarnie, jeśli masz dla kogo  
cierpieć najgorszą śmiertelną mękę?  
Tych, którzy w wir walki rzucają się mężnie,  
czasami bogowie bronią swoim mieczem.*

*Oto kończy się bitewna wrzawa i nadchodzi czas,  
byś mógł dziwować się każdemu przejawowi życia.  
Deszcz cicho kołysze drzewami. Szczebioczą  
na gałęziach zalotne sikorki podczas gniazdka wicia.*

*Wiosenne słońce wiesza się na rosy kropelkach...  
Wspomnij tych, którzy padli w boju. I żyj.  
I nie żałuj niczego.  
Wartość łez jest tak niewielka.*

## **Rozdział 13**

### ***Pieśń Śmierci***

Granica górskiej krainy została zaznaczona ostrą wysieczoną linią. Wyglądało to tak, jak gdyby w niespamiętanych czasach wypukła tarcza świata roztrzaskała się i pękła w tym miejscu, nie wytrzymawszy naporu. Jedna część tarczy pozostała na miejscu, a druga rozbiła się i spiętrzyła gigantycznymi skałami. Kiedy wszystko ucichło, skały nadal dumnie strzelały w niebo jak kamienne torosy. A może było całkiem inaczej. W każdym razie Wenowie uważali, że właśnie tutaj uderzyła kiedyś spadająca z nieba obca, ciemna gwiazda. I że właśnie stąd rozprzestrzeniła się po świecie Straszna Noc, która trwała trzydzieści lat i jeszcze trzy.

Czy rzeczywiście tak było, nie wiadomo. Ale góry były wyjątkowe. Bez zielonego przedgórza porośniętego leszczynowym lasem, jak od strony Sakkarem. Góry zaczynały się stromą szarą skałą pnącą się w niebo na kilkaset sążni. Woda, wiatr, mróz i mijający czas ją wyrzeźbiły, w wielu miejscach było wyraźnie widać warstwy różnorodnego kamienia, to ułożone równo, to pokierszowane i przelamane w różne zadziwiające formy. Gdzieś tam skały przybierały kształt kamiennego muru - nic dziwnego, że Solwenowie i Narlacy nazwali te góry Zamkowymi.

Skalna ściana zwrócona była na północ, słońce nigdy nie sięgało tu swymi promieniami. Zapewne dlatego granica wiecznych śniegów zaczynała się całkiem niziutko, a od skały ciągnęło zimnem. Na kilka wiorst przed nią las stawał się karłowaty i rzadki, potem już w ogóle nie było drzew. A pod samą skałą na odległość kilku strzałów z łuku rozpościerało się trawiaste pustkowie, przez które wiodła droga.

Wstrętna kraina, rozmyślał Wilczarz, idąc obok knezinki. Góry Żelazne. W oddaleniu od nich woli żyć dobry las, odstępuje, nie chce rosnać obok...

Droga też starała się nie przyciskać blisko do skalnej ściany. U podnóży to tam, to sam wypiętrzały się ogromne skalne zwaliska - ślady wielkich kamiennych lawin. Pod każdym takim z powodzeniem zmieściłby się haliradzki zamek.

Ale uparte życie i tutaj walczyło o swoje. Nawet w samej skale, w rozpadlinach znalazły miejsce dla siebie cierniste krzaki wyrosłe z nasion, które przyniosły tu ptaki czy wiatr...

Poprzedniego wieczoru Wilczarz wyjął swoją mapę i pokazał ją Dungormowi. Szlachetny Narlak najpierw się zaniepokoił, skąd ją ochroniarz ma, ale uspokoił się, kiedy dostrzegł w rogu mapy imię bojara Spryta i trójkolorowy sznureczek z pociemniałą pieczęcią. Pewnym ruchem ręki wskazał na mapie granice górskiej krainy i zaznaczył wąwóz, który przecinała Przegroda. A właśnie mieli niebawem dotrzeć do tego miejsca. Wilczarz zapamiętał szczegóły i schował mapę pod kolczugą. Kolczugi prawie nie zdejmował, zdążył się w drodze tak przyzwyczaić, że czuł się w niej jak w drugiej skórze.

Welimorzanin był w doskonałym nastroju. Dziś pod wieczór, ostatecznie jutro rano spotka swego pana. Którego, jak można było się domyślać, darzył prawdziwą miłością. Od razu daje się

wyczuć, czy ktoś spełnia obowiązki, czy służy, jak to się mówi, całym sercem i duszą. Wilczarz uważał Dungorma za godnego człowieka. Trudno mu było go sobie wyobrazić w otoczeniu Ludojada. Podobnie jak trudno było sobie wyobrazić Tilorna, który służy Ludojadowi. Ale jeśli chodzi o jego syna? Wilczarz nie mógł o tym myśleć spokojnie. Zresztą nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Mściciele nie bywają dobrzy albo źli. Po prostu się mszczą. I to wszystko. Dlatego nie był w tak doskonałym nastroju jak Dungorm.

Spodziewał się nieszczęścia.

Ten albo ci, którzy pragnęli zabić knezinkę, próbowali osiągnąć jej już dwukrotnie. Byłoby dziwne, gdyby nie spróbowali po raz trzeci. A ponieważ czasu mieli coraz mniej - przecież Winitar przybędzie jeszcze przed wieczorem - ataku należało się spodziewać w każdej chwili. A tu, na wąskim łągu, otwartym i równym jak piekarska łopata, miejsce do ataku było wprost wymarzone. Nie możesz uciec, nie masz gdzie się schronić. Chyba że w jakimś jarze, z którego nie ma wyjścia. W wąskiej rozpadlinie, dokąd ich w końcu zagnają i wystrzelają jak kaczki.

Wilczarz zawczasu rozmówił się ze starostami poszczególnych oddziałów i bez owijania w bawełnę przedstawił im swoje podejrzenia. Doświadczeni wojowie wysłuchali go uważnie i żaden nie zaprzeczył - wszyscy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

- Czy mamy założyć pancerze? - uśmiechnął się Aptachar. Doskonale pamiętał ich wiosenne spotkanie z rozbójnikami.

- Chłopcy zaczną się sprzeciwiać - westchnął Deksza. - To ciężkie żelastwo, waży ze czterdzieści grzywien...

- Nic nie szkodzi, jakoś podźwigną - rozsądził Mal-Gona. - Lepiej nosić ciężki pancerz, niż potem nakarmić sobą kruki.

U siebie w domu, w mieście, byli strażnikami. Poza zwykłymi powinnościami - łapaniem złodziejasków i innych opryszków - musieli słuchać, co im nakazywał witeź z drużyny knezia albo kupiec, który wynajmował ich do ochrony. A tutaj sami mieli decydować, co okazało się powodem do dumy, ale i sprawą trudną, acz interesującą. Bitwa nad Trzęsawiskiem Kajerańskim świadczyła, że wychodziło im to całkiem nieźle.

- Jeżeli zostaniemy napadnięci, ustawiłbym krąg z tarczy - rzekł Deksza. - Niech spróbują się przedrzeć przez moich zuchów!

Mal-Gona pokręcił głową.

- Lepiej użyć koni... Jeśli mają nasze welskie rydwany, żaden krąg z tarczy nie pomoże.

- Musimy uratować panią - przypomniał Wilczarz.

- Konie mają witezie - mruknął Aptachar. - I Welimorzanie.

- Spróbuj dogadać się z Dungormem - zaproponował Welch.

- W razie czego knezinkę posadzisz na siodło i chodu...

Wilczarz mógł się założyć o wszystko, że trzej starostowie, podobnie jak i on sam, zaraz pomyśleli o rannych, o służebnicach, piastunce i medyku, o Mangul z przybranym syneczkiem. I o pięćdziesięciu zdrowych chłopakach, którym nikt nie da szybko nogiej klaczy i nie nadstawi

strzemienia.

- My się jakoś wybronimy - powiedział za wszystkich Aptachar.

- Nikomu nie jesteśmy specjalnie potrzebni, wszyscy pobiegną za wami.

Witezi Promienia nikt nie brał pod uwagę jako siły bojowej. Bo czyż ma sens liczyć na tych, którzy raz zawiedli?

- Ale gdzie uciekać? - spytał Wen. - Skąd możemy wiedzieć, czy nie zaczęli się już i nie zaatakują od czoła?

Wypowiedział te słowa i poczuł, jak w zakamarkach świadomości zakiełkowała niejasna myśl. Może należałoby z knezinką co prędzej przebijać się do Winitara? Tyle że nie wiadomo, kiedy on raczy nadciągnąć. Wilczarz zadarł do góry brodę i popatrzył w niebo. Jak zwykle, kiedy głęboko się nad czymś zastanawiał. Tak. Rozbójnicy nie mogli zagrozić im z... tylko z...

- Chodźmy! - zwrócił się do trzech starostów i niemal biegiem po dążył w stronę wozu, obok którego poseł Dungorm rozmawiał z knezinką. Piastunka na koźle dumnie ścisnęła w dłoniach wodze.

- Pani - rzekł do knezinki, kiedy Dungorm i starostowie rozeszli się do swoich ludzi. - Obawiamy się, że znowu zostaniemy napadnięci. Błagam, daj się namówić i włóż kolczugę.

Hellona, córka Gluzda, nie powiedziała ani słowa, ale zastosowała się do jego prośby. Nie zatrzymując się, rozpięła ciepłą bekieszę, podała ją Dobrosławowi i włożyła kolczugę odszukaną przez służkę. Wilczarz popatrzył na Hajgał siedzącą na wysokim koźle, a staruszka nieoczekiwanie mrugnęła doń porozumiewawczo. Minionej nocy, kiedy wychodził z namiotu knezinki, piastunka, znużona zbyt długim oczekiwaniem, obrzuciła go spopielającym spojrzeniem i ze zwinnością łasicy błyskawicznie dała nura pod połę namiotu. Spieszno było jej sprawdzić, co też z jej córeczką uczynił ów pozbawiony czci i sumienia Wen. Dlaczego już nie płacze? Czy żyje? Stara piastunka, która z niejednego pieca chleb jadła, w mig pojęła, czym się sprawa zakończyła. Wilczarz nie zdążył zrobić nawet trzech kroków, kiedy Hajgał jak strzała znowu wypadła z namiotu.

- Schyl się! - srogo nakazała roslemu ochroniarzowi. Posłusznie się schylił. Babka złapała go za uszy i... dotknęła suchy mi, pomarszczonymi wargami jego czoła i policzków.

- Dziękuję ci, synku - powiedziała cichutko, aby nikt nie usłyszał jej słów.

Za to panienka knezinka ani razu nie obdarzyła go dziś spojrzeniem. Trudno patrzeć w oczy mężczyźnie, który zatroszczył się o jej cnotliwość bardziej niż ona sama.

\*

Aptachar powrócił ze spotkania ze swym oddziałem pierwszy. Szedł obok Wilczarza i przez jakiś czas milczał. Wyglądało na to, że się nad czymś zastanawia.

- Od tej wiosny jesteśmy nierozłączni - odezwał się wreszcie. - A przecież mój brat zginął z ręki Wena. Młodszy brat. - Zaklął szpetnie na włochatych Hogów. - Czy mogłem kiedykolwiek pomyśleć, że będę działał wspólnie z jakimkolwiek Wenem? Co? Pytam cię!

Wilczarz nie wiedział, co ma odpowiedzieć, więc milczał. I tak nie miał najmniejszego zamiaru opowiadać Aptacharowi, jak to kiedyś sam śmiertelnie nienawidził Segwanów. Wszystkich bez



wyjątku. I też miał powody. I o tym, jak potem na katordze wyleczył się z tej głupoty.

Aptachar starannie rozczesał palcami kędzierzawą brodę, po czym znowu zmiął ją w pięści.

- Powiem ci coś, Wenie... Może byśmy tak, kiedy już dojedziemy do Welimoru, zmieszali tak we czterech naszą krew? To znaczy ja, ty, Deksza i Mal-Gona... Przecież musimy trzymać się razem. Nie miał być nic przeciwko temu?

Wilczarz nie miał nic przeciwko temu. Chociaż braterstwo krwi to sprawa zbyt poważna, żeby o niej decydować tak momentalnie, bez zastanowienia. Takie pokrewieństwo jest ważniejsze od danego przez bogów, jako że braci krwi wybierasz sobie sam. Jeśli nawet zdarzają się jakieś niesnaski pomiędzy pobratymcami, to o nich i przez sto lat się pamięta.

- Sprawa to słuszna - rzekł Wilczarz. - Tylko najpierw musimy pa nią dowieźć.

A w duchu pomyślał: Czy przymierze krwi nie sprowadzi na starostów gniewu synka Ludojada...

- Ludzie Promienia jakoś zostali z tyłu - zauważył Aptachar, oglądając się za siebie.

Rzeczywiście, witezie maszerujący w pewnej odległości za strażnikami nie bardzo się spieszyli. Najwidoczniej dumny Promień nie miał ochoty "łykać kurzu", choć o żadnym kurzu nie było mowy - mało uczęszczana droga zarosła gęstą, ostrą trawą. Wilczarz popatrzył na swoich. Bystrooki Dobrosław stał wyprostowany na wozie, przytrzymywał się kozła i nie odrywał wzroku od skraju lasu. Służki zamiatały trawę różnokolorowymi, kraciastymi długimi spódnicami. Obok każdej dziewczyny maszerował dzielny młodzian. Jeszcze z piętnastu wojów trzymało się w pobliżu wozu. Czy zdarzy się coś, czy nie zdarzy - porzucać rannych na pastwę losu to ostatnia rzecz, jaką chcieliby wziąć na swe sumienie.

Skalna ściana przed nimi wydawała się czymś w rodzaju klina - ostrego i niedostępnego. W każdym razie Wilczarz, gdyby przyszło mu wspinać się w górę, poszukałby innego miejsca. Czerwonawe zwieszające się urwiska wzbudzały szacunek. O ile Wilczarz dobrze pamiętał rysunek na mapie, dalej powinno się znajdować szerokie wejście do wąwozu. Dungorm mówił, że wąwóz z zewnątrz wygląda na długi i możliwy do pokonania, lecz dość szybko kończy się ślepą ścianą. A zaraz za wejściem wznosi się ogromna skała, jak gdyby sprasowana z równych warstw kamieni - burych i żółtych. Należy ją obejść, by trafić na ściśniętą pomiędzy zwaliskami gładką ścieżkę prowadzącą ku Przegrodzie.

Wilczarz widział, jak zwiadowcy z przedniej straży, pomykający na rącznych koniach to z jednej, to z drugiej strony, skręcili za urwisty klin i na pewien czas zniknęli z oczu, potem znów pojawili się na otwartej przestrzeni i zaczęli machać rękami, dając znak, że wszystko w porządku.

- Ty jesteś Wenem, a ja Segwanem - szeroko stawiając wielkie kroki, mamrotał w brodę Aptachar. - Ale klnę się na pępek Rodany, żeśmy bracia krwi. Pobratymcy!

\*

Pieszy oddział zniknął za ostrym występem skalnym i zaczął przemierzać gardziel wąwozu-pułapki. Dungorm nie zmyślał, wąwóz rzeczywiście wyglądał imponująco. Wydawało się, że jeszcze kawałek i otworzy się przed nimi przecudna dolina, ogromna i głęboka. Było tu dużo zielonych roślin, a z jednej strony ze skalnej ściany spływał w dół wesoły strumyk. Przed nimi niby

wieżyczka strażnicza wznosiła się pasiasta skała.

- To Śpiący Wąż! - z dumą wykrzyknęła Hajgał. Bez trudu rozpoznawała rodzinne strony, których nie widziała od pięćdziesięciu lat. Przez cały ranek Wilczarz słuchał opowieści piastunki i wiedział, że nie musi sprawdzać zasłyszanych od niej wiadomości, rozpytując Dungor- ma o szczegóły drogi. Ale teraz miał ważniejsze sprawy na głowie. Spoglądał w stronę rzadkiego lasu i przyglądał się Gackowi, który ukołysany marszem zasnął.

Gdybym był rozbójnikiem, myślał Wilczarz, pewnie zaatakowałbym właśnie teraz...

Chłopak, który pilnował lewej strony orszaku, bliżej lasu, i stojący na wozie Dobrosław zaczęli krzyczeć jednocześnie. Wszyscy momentalnie odwrócili się w ich kierunku.

Z lasu, z przyodzianej w jesienny złotogłów gęstwy wyskoczyli jeźdźcy. Było ich wielu. Prawie stu. Twarze mieli ukryte pod maskami z brzoźowej kory lub żelaznymi. Kutą żelazną maskę miał też jadący na przedzie. Dosiadał wspaniałego białego rumaka. Wymachiwał mieczem trzymany w lewej ręce.

Oddział napastników od razu podzielił się na dwie nierówne części. Mniejsza skierowała się w stronę kamiennego klina, zamierzając uderzyć na zapóźnionych witezach. Druga część pomknęła w stronę pieszych. Widać było, jak pod kopytami lecały na wszystkie strony kawałki zielonej darni.

Czy jeźdźcy potrzebują wiele czasu, aby pokonać nieco ponad pół wiorsty i rzucić się na pieszą straż? Nie. Ale jeśli piesze wojsko nie zaczyna miotać się bez ładu na wszystkie strony, jeśli każdy doskonale wie, co ma robić - to piechurzy mogą przez ten czas zupełnie składnie przygotować się do odparcia ataku. Knezinkę i jej dziewczęta natychmiast ukryto za wozem, rannych osłonięto zapasowymi tarczami. Najlepsi strzelcy wzniesli przygotowane zawczasu łuki. Po bitwie nad Kajerańskim Trzęsawiskiem trudno było ich cokolwiek zadziwić albo zastraszyć. Teraz mieli się bić nie z jakąś nieznaną nocną siłą, lecz z najzwyczajniejszymi ludźmi z krwi i kości. I w promieniach jasnego słońca. To zasadnicza różnica.

Mężni młodzieńcy nie tracili czasu po próżnicy. Porozpinali opuszczone na biodro kołczany, jęli szyć z łuków i miotać kamieniami w stronę napastników. Ma się rozumieć, nie wszystkie strzały dosięgły celu, ale kilka rumaków padło na ziemię, kilku rozbójników pospadało z siodła, jak gdyby zwalonych dębowymi pałkami. Wilczarz na razie nie sięgnął po łuk - przyjdzie na to czas. Strażnicy, pouczeni przez swych starostów, strzelali na komendę, wszyscy jednocześnie. Może nie było z tego wiele pożytku, lecz na pewno siali większy postrach w szeregach przeciwników. Od razu można było poznać, że napastnicy mają do czynienia nie z przerażonymi wozakami, radymi wraz rozbiec się jak zające po krzakach, ale z wojami, którzy nie są podszyty tchórzem i potrafią mężnie stawić czoło.

Czy to Żadoba? - zastanawiał się Wilczarz, trzymając się w pobliżu knezinki i rozglądając się na wszystkie strony. Znowu on? I wtedy, na bagnach to też był on? Właściwie dlaczego nie?

Pod nogami wyczuł wodę. Bystry strumień wypływający ze skały rozlewał się na siedem mniejszych, płyciutkich strumyczków. Paru wojów złapało za marongowe ścianki wozu i pchało, pomagając strzygącemu uszami koniowi.

Tymczasem niosący śmierć ostrzał zebrał swoje żniwo. Rozbójnicy po chwili namysłu powstrzymali wierzchowce i odjechali na bok, nie chcieli bić się wręcz. Strażnicy z Haliradu, osłaniając się tarczami, ciężko biegli naprzód. W stronę pasiastej skały, jak najdalej od pułapki. Było jasne, że napastnicy nie zamierzają zewrzeć się z nimi w bezpośrednim boju, tylko nastraszyć ich i skierować w bok, pod skalną ścianę, w ślepy wąwóz. Gdzie, być może, czeka zasadzka. Jakichś dziesięciu strzelców wyborowych z podwójnym zapasem strzał. A to by wystarczyło.

Konni z Dungormem na czele starali się dać pieszym jak najwięcej czasu. Właśnie dostrzegli, że rozbójnicy odpoczęli, uspokoili konie i przegrupowują się do nowego ataku. Welimorzanie puścili się pędem, by przeciąć im drogę.

Chrobrzy wojowie poczytaliby za powód do dumy, gdyby mogli zewrzeć się z wrogiem w walce i ustępując im liczebnie, co do jednego polec w nierównym boju, broniąc narzeczonej swego pana. Ale dotychczas nie było potrzeby, by składać życie w ofierze. Mądry Dungorm zdołał zrobić z napastnikami to, czego napastnicy nie zdołali zrobić z jego ludźmi: zastraszył ich, zmusił do wycofania się. Jeszcze o dziesięć kroków przybliżyli się do Śpiącego Węża. I jeszcze o dziesięć. Co ich czeka za skałą? Straże przednie nie zdążyły rozeznać się w okolicy.

Ani chybi Żadoba, powiedział sobie w duchu Wilczarz. Takim, co portki mają pełne na widok noża, chętnie gardła podrzyna. A jak trafi na kogoś, kto zęby wyszczerzy, to sam w portki popuści...

Biegli w stronę pasiastej skały. Biegli, zarzuciwszy tarcze na plecy, z ponurym uporem uchodząc niechybnej śmierci. Słychać było tylko ochryple oddechy i tupot kilkudziesięciu nóg. Spoceni młodzieńcy w hełmach i ciężkich kolczugach z rzadka cedzili przez zęby szpetne przekleństwa. Służebnice, podkasawszy spódnice, wytrzeszczały nic niewidzące ze strachu oczu. Jeśli ich oddział zostanie przyparty do ściany, mężczyźni będą mogli przynajmniej walczyć, a co one wtedy zrobią? One i ranni, którzy podskakiwali na wozie na licznych występach...

Knezinka nie miała tyle siły, by nieść tarczę. Dobrze chociaż, że niosła na sobie ważącą ćwierć puda kolczugę. Jej tarczą byli ochroniarze. Wilczarz mógł, rzecz jasna, umieścić knezinkę na wózku. Albo posadzić ją na Śnieżynce. Ale jeśli słusznie podejrzewał, że rozbójnicy chcą zabić knezinkę, to ich głównym celem będzie wóz. A już na pewno dziewczyna na białym koniu. Bezpieczniejsza była w zbitym tłumie, za zwartym murem pleców. Któż zdoła ją tam wypatrzeć?

Oto Śpiący Wąż zwiisa już nad ich głowami. Biegli do tej skały jak kiedyś do świątyni. Z tą tylko różnicą, że w świątyni czekali na nich przyjaciele. A tutaj? Co zobaczą za skałą? Oddział kunsza Winitara, który idzie im z odsieczą? A może pułapkę, w której wszyscy znajdą śmierć od zatrutych strzał?

Ale biegli, bo nie pozostawało im już nic innego.

Przednie stráže pomknęły przodem, już są za skalną wieżą. Wskoczyli, machają rękami. To znaczy, że nie dostrzegli nic podejrzanego.

- Przyspieszcie kroku! - zaczął wrzeszczeć Aptachar. - Żywo, kuternogi, żywo!

Widział, że wrogowie już są gotowi do nowego ataku. Najwyraźniej myśliwi nie mieli zbyt

ochoty, by nacierać na broniącą się zwierzynę, która wcale nie zamierzała pokornie stać się zdobyczą. Ale z drugiej strony nie mogli pozwolić, by uciekinierzy uszli z życiem.

Welimorzanie, chętni złożyć swe życie w ofierze, znowu przecięli im drogę. - W imię Jednookich i Jednonogich! - przeklął po welsku ktoś w pobliżu Wilczarza. - Czemu mamy uciekać?

Młodzi ludzie, gorące głowy, rwali się do walki, chcieli stanąć w szeregu i bić zabójców, jak honor nakazywał.

- Trzymajcie język na wodzy! - zakrzyknął Mal-Gona. - Czyście się pospali, niedźwiedzie?

Rozbójnicy po raz drugi odstąpili od bezpośredniego starcia z Welimorzanami. Co więcej, kilkudziesięciu zawróciło konie i pogalopowało w głąb wąwozu-pułapki. Ludzie z Haliradu już skręcali za Śpiącego Węża, kiedy napastnicy ponownie wyskoczyli na równinę. Prawie każdy jeździec wiózł za plecami drugiego człowieka trzymającego w ręku łuk albo samostrzał.

Wilczarz przez cały czas penetrował wzrokiem szczyty, kamienne okapy i porośnięte drobnymi krzewami skały. Na świecie nie ma takiego urwiska, na które człowiek nie może się wspiąć. Człowiek znajdzie wszędzie, jeśli tylko ma dość czasu. Ale albo rozbójnicy nie mieli dość czasu, albo nie spodziewali się, że napadnięci zechcą przebijać się w stronę Przegrody... Nie wypatrył zaczajonych na górze łuczników.

Wierzchowce zbójców, obciążone podwójnie, biegły powoli i ciężko, ale i tak udało im się dogonić biegnących. Zamiary Żadoby - a Wilczarz miał coraz większą pewność, że jest to Żadoba - były jasne. Nie pozwolili im uciec za Przegrodę. Otoczyć ich. Wystrzelać w czasie ucieczki.

Solwenowie, Segwani, Welchowie ochryple przeklinali na sto sposobów, ale ich bieg nie był ucieczką. Może dlatego że obok byli słabsi. Dziewczęta całkiem opadły z sił, chłopcy ciągnęli je za ręce, stale się zmieniali. Potem trzeba było wspiąć się pod górę i tył wozu wsparty dwadzieścia dwie dłonie.

- Niech was Hogi kochają i ich włochate brzuchy, pchajcie! Kiedy znaleźli się za Śpiącym Wężem, wszyscy z nadzieją zapatrzili się w dal. Czy nie widać Winitara? Ale było pusto. Za to w nozdrza uderzył im gęsty zapach siarki. Jeszcze sto kroków i ludzie zaczęli sobie zakrywać usta rękawami albo po prostu dłońmi. Ale jak tu zakrywać sobie nos, kiedy musisz biec. Chcesz czy nie chcesz, trzeba oddychać pełną piersią.

Tutaj zawsze wiał zimny wiatr z lodowców. Wiał zza Przegrody, roznosząc obłok smrodu. Las w tym miejscu odstępował od skalnej ściany jeszcze bardziej. Najwidoczniej żadna forma życia nie była w stanie długo znieść oddechu przepaści. Sam wąwóz przypominał kamienistą rzekę - jakaś siła, buszująca tu w dawnych czasach, wywlekła na zewnątrz rumowisko żelazisto-szarych skał. Od strony gór skały pokrywała warstewka żółtego nalotu.

Wilczarz poczuł, jak od duszącego fetoru boleśnie ścisnęło go w piersi. Co będzie, jeśli rozbudzony smrodem kaszel powali go teraz, w tym momencie? Przecież paskudna choroba nie liczyła się z żadnymi okolicznościami...

- Prowadź, babciu! - krzyknął do starej Hajgał.

Ale mógł nie krzyżeć. Piastunka pewną ręką prowadziła i konia, i wóz, lawirowała między

kamiennymi bryłami. Gdyby mieli choć odrobinę czasu, mogliby się przekonać, że innej drogi, którą mógłby przejechać pojazd, tu nie było. Potulny koń, przyzwyczajony posłusznie ciągnąć wóz tam, gdzie nakażą ludzie, tylko parskał. Bardziej narowiste wierzchowce starostów rżały niespokojnie, chciały stawać dęba. Zapobiegliwi Welchowie owinęli im chrapy szmatami pospiesznie uciętymi z ubrań. I to pomogło. Dungorm i Hajgał byli zgodni co do tego, że wcześniej czy później konie trzeba będzie zostawić. Ale nie teraz.

Trawa też nie chciała rosnąć w miejscu owiewanym przez trujące wiatry. Pod nogami chrzęściły jałowe otoczaki. Właściwie nawet nie otoczaki wygładzone przez wody strumienia - z wąwozu, przedzielonego Przegrodą, nie wypływała żadna rzeka ani ruczaj. Kamienie były tu kanciaste, pokruszone, ich ostre kanty czuło się nawet przez skórzane podeszwy butów.

Gdyby nie te kamienie, mogłabym biec szybciej, myślała knezinka. No właśnie, gdyby nie kamienie, mogłabym biec sama.

Powtarzało się wszystko, jak tamtej nocy nad Trzęsawiskiem Kajerańskim. Tyle że teraz ciągnęli ją za ręce Dobrosław i Dobrobor, a Wilczarz podążał za nimi z tyłu. I tak samo jak owej nocy ktoś silny i zły chciał jej zguby, a inni ludzie starali się ją uratować.

Wtedy zginęła Warea wraz ze swym ukochanym. Kto zginie tym razem?

Na razie przelano tylko krew rozbójników - padli przeszyci celnie wystrzelonymi strzałami, ale wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że to jeszcze nie koniec. Ci, którzy polegą, biegli teraz razem z żywymi i tak jak oni przeklinali na czym świat stoi, sypali jak z rękawa rubasznymi żarcikami, dodając odwagi sobie i towarzyszom. Kiedy skierowali się ku Śpiącemu Wężowi, knezince nawet się zdało, że dostrzegła czyjeś kosę spojrzenie rzucone w jej stronę: o, ta to na pewno nie zginie! Pomyślała, że ten człowiek ma rację, i mimo woli poczuła się jak obserwator z zewnątrz, którego to, co się dzieje, w żaden sposób nie dotyczy. Kiedy ma się siedemnaście lat, trudno uwierzyć w swoją rychłą śmierć. Knezinka wiedziała, że się uratuje. A właściwie - że zostanie uratowana. Ale kto uratuje pozostałych?

Wszystkie te myśli szybko zbladły i rozplynęły się w jednej jedynej: NIE ZATRZYMUJ SIĘ, UCIEKAJ! Kiedy jesteś w stanie oddać cały świat za choćby moment odpoczynku, nie ma czasu na rozmyślanie. Zwłaszcza kiedy rozumiesz, że nie ma mowy nawet o krótkiej chwili wytchnienia, bo wtedy czeka cię niechybna śmierć. NIE ZATRZYMUJ SIĘ, UCIEKAJ! I nie masz nic do gadania, nie możesz nawet wybrać sposobu, w jaki zginiesz." czy z nadmiernego wysiłku, czy z ręki wroga. Jakże to wszystko nie pasuje do tego, co wiesz od zawsze, co siedzi głęboko w świadomości: WSZYSTKO BĘDZIE DOBRZE...

Knezinka w tym momencie zdała sobie sprawę, dlaczego do ostatka wysiłkiem woli stara się pełznąć umierające zwierzę osaczone ze wszech stron przez stado drapieżników, kiedy już rwą z jego boków pierwsze kęsy mięsa. Dlatego że zatrzymać się i bez walki pozwolić, by rozerwano cię na kawałki - to zbyt straszne, nawet gdy śmierć zasnuwa ci oczy mgłą.

Niemniej jakaś część jej rozumu, która jeszcze nie zdażyła stępieć od straszego biegu ponad siły, zdawała sobie ze wszystkiego sprawę i podśmiewała się z niej. Wojowniczką! Marzyła kura o

sokolim locie. Chciała na podobieństwo matki stanąć na czele drużyny. Spójrz, głupia pannico, na czym polega wojaczka. To nie to samo co marzyć, leżąc na pościeli. Gdyby teraz ktoś przewrócił się obok ciebie, zapewne nawet nie odwrócisz głowy. A co tu jeszcze mówić o ratowaniu kogokolwiek, o niesieniu rannego...

...Kiedy wokół niej wyrosły ponure szare skały, zorientowała się, że już je gdzieś widziała, skądś je zna. Ale skąd - tego nie potrafiła sobie przypomnieć, zresztą nie bardzo się starała.

\*

Wilczarz i inni doświadczeni wojowie dostrzegli to, co umknęło śmiertelnie zmęczonej knezince: rozbójnicy już dogonili uciekających, łucznicy zsiadali z koni. Na próżno Welimorzanie próbowali pomieszać im szyki. Strzelcy ześlizgiwali się z końskich zadów i natychmiast skrywali za głazami. Wilczarz z rozpaczą pomyślał, że na pewno jest tu i taka skała, z której mostek przez Przegrodę widać jak na dłoni. I że na tę skałę łucznicy zdążą wspiać się pierwsi. I nic się nie da zrobić.

Gardziel przed nim się zwężała. Hajgał ściągnęła wodze.

- Prrr!

Dalej wóz nie mógł już jechać, trzeba było go zostawić. Wspaniały wóz, z miłością zrobiony z błogosławionego marongowego drzewa przez najlepszych haliradzkich mistrzów. Dopiero w tym momencie knezinka poczuła, że dzieje się coś strasznego, nieodwracalnego. To znaczy oni, oczywiście, zdołają się uratować - w skałach, a może nawet za Przegrodą - ale wozu, który przez ostatnie siedmiodnie był jej domem, już nigdy nie zobaczy. A co z końmi? Śnieżynka? I pod knezinka znowu ugięły się kolana...

Kilku wojów wskoczyło na wóz, rannych pospiesznie wyciągano i szarych od bólu unoszono dalej - niektórych pod ramiona, a niektórych na rękach. Ertana wydostała się o własnych siłach. Lewy łokieć mocno przyciskała do tułowia, aby jakimś nieostrożnym ruchem nie urazić rany. Jeszcze jadąc wozem, wojowniczką prawą ręką i zębami uwolniła się od opatrunku. Na koszuli znowu pojawiła się plama, ale Ertana nie zwracała na to uwagi. Hellama czekał na nią po tamtej stronie ciemności. Niebawem pójdzie do niego. Ale pierwszej usieczy jeszcze jakiegoś rozbójnika, może dwóch.

Wilczarz obejrzał się za siebie, na widoczny jeszcze kawałeczek równiny, odgradzony z lewej strony Śpiącym Wężem, a z prawej - bezimiennym czarnym urwiskiem, z lekka odchylnym na zewnątrz. Nie uwierzyłby, gdyby ktoś w dniu odjazdu z Haliradu mu powiedział, że będzie wyglądał swojego wroga jak jedyne wybawienie.

Ale wokół skał było pusto. Kuns Winitar, syn kunsza Winitariusza, zwanego Ludojadem, nie spieszył im na pomoc zza czarnej skały. A Promień, syn Łękawy, gdzieś przepadł za Śpiącym Wężem...

- Dlaczego akurat Śpiący? - wysapał Aptachar, biegnący obok. - Dlatego że tych smrodów się nawąchał?

- Prędeż, pani! - ponaglił Wilczarz, wskazując knezince wąską drożynkę, którą pokonała już połowa strażników, a wraz z nimi ranni i służki.

Hajgał, utykająca na nogę po przygodzie w Trzęsawisku Kajerańskim, trzymała się blisko pani. Uparta stara kobieta niosła sakwę, do której przewidująco spakowała zawczasu najpotrzebniejsze jej zdaniem rzeczy. Zanurzyła rękę w torbie i wyjęła z niej wielką czerwoną chustkę - świętą zasłonę narzeczonej, którą knezinka powinna zakryć twarz przed spotkaniem z przyszłym małżonkiem. Podała chustkę knezince.

- Obwiąż sobie usta, dzieciно, po co masz wachać te smrody... Knezinka chciała wziąć zasłonę, ale Wilczarz nie pozwolił.

- Schowaj to! Zobaczają... czerwone...

Kaszel go uciszył i powalił na kolana. Żrący odór jednak zrobił swoje. Przez chwilę Wilczarz miał czarno przed oczami, potem poczuł, że ktoś go podnosi. Chciał się wyrwać, przez głowę przemknęła mu myśl, że okazał się beznadziejnym ochroniarzem, ilu ważnych nauk nie zdołał jeszcze przekazać braciom Dobrym... Nic to, okazało się, że najważniejszego jednak zdążył ich nauczyć. Bliźniacy zrobili to, czego ich nauczyciel, gdyby mógł działać zgodnie z własną wolą, na pewno by im zrobić nie pozwolił. W milczeniu złapali go pod ręce, podnieśli z kolan i pognali przed siebie. Wilczarz poczuł w ustach krew i atak dosłownie w tym samym momencie minął. Tak było od czasu, kiedy miał pierwszy krwotok w dniu powrotu knezia. Jeszcze kilka kroków i Wilczarz mógł znowu stać o własnych siłach. Strząsnął z siebie mocne dłonie braci i wytarł krew. Rękawem, a nie dłonią, żeby potem nie ślizgał się w niej miecz. Knezinka przez cały czas oglądała się za siebie, szukała go wzrokiem, w oczach miała obłęd.

- Naprzód! - wrzasnął Wilczarz na bliźniaków. - Zapomnieliście, co do was należy?!

Gdzieś z tyłu żałośnie zarżała Śnieżynka. Dał się słyszeć wściekły ryk, rżenie koni, a zaraz potem szcęk oręża. To Welimorzanie, którzy zostali z tyłu, aby zabezpieczyć odwozy, starli się wreszcie z rozbójnikami w walce. I ginęli jeden za drugim.

Tymczasem napastnicy, którzy posiadali z koni i ukryli się wśród skał, teraz zaczęli strzelać. Nie wychylali się z ukrycia, strzały leciały zewsząd. Strzelali do góry, więc groty, które potem spadały z wysokości, nie trafiały w kolczugi, lecz w ciało, które nie było zabezpieczone pancerzem, i kaleczyły bezlitośnie. Nad głową knezinki natychmiast pojawiła się tarcza. Dziewczyna momentalnie przyciągnęła do siebie piastunkę. Żelazne okucie tarczy ze zgrzytaniem uderzyło o skały.

Po ataku kaszlu Wilczarz z niewiadomego powodu przestał czuć woń siarki. Przegroda ukazała się jego oczom niespodziewanie.

Porzucane beładnie głazy były trochę odsunięte od skraju, może ktoś je naumyślnie zrzucił w dół. Tworzyły niewielki podest, na którym zgromadzili się Haliradczy. Podest kończył się przepaścią, z której dna, kłębiąc się niespiesznie, unosił się żółtawy dymek. Przez mgłę widać było przeciwległy brzeg, tak samo skalisty i nieprzyjazny. Hajgał nie przesadzała - od tamtego brzegu dzieliło ich co najmniej pół setki kroków. Zobaczyli i most. Lekki, chybotliwy mostek wiszący na czterech włochatych powrozach, wykonany z cienkich desek, które nie wzbudzały zaufania. Miał nie więcej niż pół arszyna szerokości. Można się było przezeń przeprawić, tylko idąc gęsiego...

Pod mostem rozwierała się straszliwa czeluść. Dotychczas nikt jeszcze nie ośmielił się zejść tu w dół, aby sprawdzić, czy Przegroda ma dno. Tym bardziej nikt nie wiedział, czy można stamtąd powrócić. A z góry spoglądały szczyty - wieczne, obojętne, ubrane w czapki z chmur, w niebieskawych płaszczach nietkniętych lodowców. I niebo, które przez mgły wydawało się zielonkawe.

Most dawał szansę na ratunek, ale strażnicy się zatrzymali. I nie porażająca głębia przepaści była tego przyczyną. Z tamtego brzegu właśnie nadleciała przestroga - strzała, która wbiła się w tarczę woja mającego czelność wyruszyć na drugą stronę. Krótka, grubawa, ciężka strzała wypuszczona z samostrzału. Haliradczycy próbowali podjąć rozmowy z Iczendarami, ale odpowiedzi się nie doczekali.

Wilczarz błyskawicznie rozejrzał się na wszystkie strony i zobaczył to, czego najbardziej się obawiał. Występ urwiska zwisający nad przepaścią. Jeżeli rozbójnicy zdołają się tam dostać, z łatwością dosięgną strzałami każdego, kto wejdzie na most. I liny podtrzymujące most poprzecinają ostrymi grotami. A dobry strzelec i ich samych mógłby wyprzeć z ich pozycji na skałę. Wtedy musieliby wyjść zza głazów na otwartą przestrzeń. Rozbójnicy mogliby strzelać do nich z dziesięciu różnych miejsc...

- Babciu, do dzieła! - rzekł Wilczarz do starej Hajgał. - Wołaj swoich i rozmów się z nimi... - Skinął ręką, przyzywając najbliższej stojące go Solwena trzymającego w pogotowiu skórzany łuk. - Odprowadź ją!

- Nianiu! - Za staruszką chciała ruszyć knezinka Hellona. Wilczarz zatrzymał ją i ustawił pomiędzy sobą a skałą. Bracia Dobrzy natychmiast stanęli z obu stron. Knezinka przywarła do pleców Wilczaka i cicho zapłakała.

Tymczasem Hajgał podeszła z wojem niosącym tarczę do mostu i zatrzymała się przy jednym z głazów, do których zamocowano liny. Przystawiła zwinętą dłoń do ust i wydała z siebie przewiercający uszy okrzyk. Wilczarz nie rozumiał tego języka, tylko kilka słów, które poznał od Hajgał. Nie spotkał żadnego z Iczendarów w kopalni, gdzie nauczył się wszystkich znanych mu języków.

Przez dłuższą chwilę z drugiej strony Przegrody panowało milczenie. Wilczarz słuchał w napięciu. Potem, ku jego niewysłowionej uldze, rozległ się ostry męski głos. Hajgał wysłuchała odpowiedzi, coś krótko przekazała współplemieńcom i wróciła do panienki.

- Mówią, moja śliczna, żebym przyszła do nich sama - oznajmiła, usprawiedliwiając się i gubiąc w poczuciu winy. - Kazali mi przynieść twój amulet. Powiadają, że popatrzą i wtedy zdecydują...

Z jaką niewysłowioną radością wyprawiłaby swoją dziewczeczkę na tamtą stronę, a sama by została, żeby rozbójnikom wydrapać oczy!

Knezinka zdecydowanym ruchem włożyła rękę pod płaszcz i poraniwszy sobie delikatne palce o żelazo kolczugi, wyjęła płaski, podniszczony skórzany woreczek. Woreczek natychmiast upuściła na ziemię. Na długim rzemyku został tylko wisior z przezroczyściego, mieniącego się zielenią kamienia, wielki na pół dłoni. Wilczarz wprawnym okiem człowieka, który tyle czasu spędził w



kopalni drogich kamieni, ocenił, że to chryzolit. Płaski kamień ozdobiony był wymyślnym rysunkiem: śnieżny kot urgau toczący pojedynek z orłem. Hajgał obwinęła sobie rzemyk wokół nadgarstka. Prędkim ruchem przytuliła knezinkę...

Deksza Biała Głowa już rozstawiał łuczników, wyjaśniając im, że piastunka panienki musi przejść na drugą stronę za wszelką cenę, choćby nie wiem co się działo. Młodzieńcy posępnie kiwali głowami. Jak wszyscy szanujący się łucznicy byli w stanie razić cel, nawet trzymając tarczę w ręku, a potężne solweńskie łuki z rogowymi wypustkami na pewno nie ustępowały łukom rozbójników.

Hajgał z towarzyszącym jej wojem biegiem pokonali otwartą przestrzeń i weszli na most. Deski groźnie zakolysały się pod ich nogami. W dole, zza gęstych mgieł, dochodził głuchy łoskot, jak gdyby Ci-co-nie-śpią-w-podziemiach gotowali olbrzymi kocioł z cuchnącym naparem. Wiatr, który podwiewał od dołu, był ciepły, wilgotny i lepki. Czasem rozrywał obłoki żółtej mgiełki, a wtedy ukazywały się pokryte błyszczącym śluzem kamienne kły wystające z głębi.

Kiedy stara kobieta i jej towarzysz znaleźli się w połowie drogi, zaczęła się niesamowita strzelanina. Haliradczycy oraz Wilczarz byli przekonani, że rozbójnicy wezmą na cel piastunkę i osłaniającego ją woja, a Solwenowie zauważą to i będą się starali im przeszkodzić. Ale stało się inaczej. Pierwsza seria -jakieś trzydzieści strzał - posypała się na głowy Solwenów. Co jak co, ale atakować z zaskoczenia rozbójnicy potrafili doskonale. Było ich dużo więcej niż Solwenów. Działali według planu. Trzydziestu ludzi jednocześnie wyskoczyło na skały okalające podest i spuściło strzały z cięciwy. Niektórzy z Haliradczyków zdążyli schować się za tarczami, inni odpowiedzieli strzałem na strzał, co poniekąd udało się nawet trafić napastnika, w zamian otrzymali jednak w plecy dwa werszki żelaza na długim drzewcu. Bo niewiele pożytku ma walczący z tarczy, jeżeli strzały sypią się ze wszystkich stron. Niektórym napadający przestrelili cięciwy, inni upadli i tak leżeli...

Dopiero wtedy strzały posypały się w kierunku starej kobiety i woja na moście.

To było zabójstwo, wyrachowane, z zimną krwią. Tak okrutni chłopcy, którzy dopiero posiadli sztukę posługiwania się łukiem, zabawiają się strzelaniem do kur na podwórku. Tyle że młodzieniec osłaniający babkę i siebie tarczą nie miał zamiaru umierać jak bezbronna przywiązana kura. Brał udział w niejednej potyczce i wiedział, że oboje się nie uratują. Strzały leciały z tyłu i z boku, młodzian osłonił starą Hajgał i tarczą, i swoim ciałem. I szedł dalej, chociaż z takiej odległości nawet doskonała kolczuga nie mogła go ochronić przed strzałą.

Haliradczycy nie wytrzymali - nie byli w stanie obojętnie przyglądać się z bezpiecznego ukrycia, jak ginie ich towarzysz. Szpetnie przeklinali, wyskakiwali na otwartą przestrzeń, by odpowiedzieć strzałami. I sami trafiali w pole rażenia strzał napastników.

Zapłakana knezinka nagle zdarła z twarzy siatkę i wyrwała się zza pleców ochroniarzy z okrzykiem:

- Tu jestem! Tu! To mnie macie zabić!

Czy jej krzyk napastnicy usłyszeli - tego nie wiadomo. Wilczarz i bracia Dobrzy zdołali

powstrzymać władczyńnię, nie pozwolili zrobić ani kroku.

Umierający, podziurawiony strzałami woj jeszcze szedł po moście i osłaniał starą kobietę. Do końca pozostało nie więcej niż piętnaście kroków, kiedy rozbójnicy uznali, że najlepiej będzie celować w nogi. Kilka strzał z szerokimi grotami dosłownie podcięło młodzieńca. Zachwiał się, upadł na kolana, bez słowa osunął się pomiędzy liny a most.

Spadł, koziółkując i rozkładając ręce. Niemal natychmiast zniknął w kłębiącej się mgle. Nikt nie usłyszał jego przedśmiertnego krzyku ani odgłosu uderzenia ciała o dno przepaści.

Hajgał obejrzała się, popatrzyła w dół, westchnęła, klasnęła w ręce... uniosła nieco suknię i popędziła z wigorem, o jaki trudno było podejrzewać przygarbioną starowinkę. Rozbójnicy też nie spodziewali się takiego obrotu spraw. Kilka strzał rozszczepiło deszczułki w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stała. Jeszcze kilka ze świstem przemknęło za jej plecami i tylko jedna, najbliższa celu, zahaczyła skraj czarnego giezła. Hajgał dobiegła do drugiego brzegu i wpadła za głazy.

- Dziecinko! Chodź tu! - odezwała się po jakimś czasie.

- Sama nie pójde! - krzyknęła w odpowiedzi zrozpaczona knezinka. Jeszcze jak pójdziesz! - omal nie wyrwało się Wilczarzowi. Ale ani przeprowić knezinki, ani wszcząć rozmów z góralami o przeprowadzeniu świty i rannych się nie udało. A to dlatego że konni rozbójnicy, poradziwszy sobie wreszcie z oddziałem Dungorma, zsiadli z wierzchowców, otoczyli Haliradczyków półkołem i zaatakowali, porzucając swoje pozycje za głazami. Zaczęła się walka wręcz.

Do podestu przy moście jak i wprzód nie można było się zbliżyć, toteż Haliradczykom nie udało się ustawić zwartych szyków obronnych. Rozbójnicy atakowali ze wszech stron, walczone wśród skał, nie mogło być mowy o jakimkolwiek szyku, to była krwawa jatka. Haliradczycy ginęli i wszyscy czuli, że koniec jest bliski. Może utrzymają się tu nieco dłużej niż na otwartej równinie, ale na pewno nie zdołają się uratować. Tak jak nie zdołaliby uratować się tam. Łucznicy przeskakiwali z głazu na głaz, bez trudu wyławiali wzrokiem ofiarę i zabijali bezlitośnie każdego, kto nie miał białej maski z brzozonej kory z wycięciami na oczy i usta. Wilczarz spostrzegł, jak na jednej ze skał nad samym skrajem Przegrody, gdzie z łukami i kołczanami zajęli pozycję dwaj rozbójnicy, pojawił się Mal-Gona. Jednego ze strzelców potężny Welch powalił ciosem miecza, tymczasem drugi, stojący nieco dalej, zwawo obrócił się i spuścił strzałę z cięciwy. Strzała wystrzelona z tak bliskiej odległości przebiła kolczugę i weszła w ciało, ale to nie zatrzymało Mal-Gony. Długi miecz błysnął jeszcze raz i głowa rozbójnika razem z maską i hełmem zatoczyła w powietrzu koło, rozbryzgując krople krwi na wszystkie strony jak czerwone korale. Pozbawione głowy ciało zachwiał się i spadło z kamienia. Mal-Gona wypuścił z ręki miecz. Zgarbił się, przyciskając ręce do piersi. Zrobił jeden chybotliwy krok, stracił równowagę na śliskiej od wilgotnych oparów skale i zwałił się w mglisty niebyt Przegrody, nie wydając ani jednego dźwięku.

Wilczarz widział to mimochodem, kątem oka, walcząc zaciekle z pięcioma napastnikami, którzy wyskoczyli zza skał. Napastnicy nie mieli szczęścia. Trzech ochroniarzy zbyt dobrze znało swoje rzemiosło. Nie bez kozery Wilczarz siódme poty wyciskał z bliźniaków na dziedzińcu haliradzkiego

zamku. Przez cały czas rwali się do prawdziwej bitwy, kiedy walczy mnóstwo ludzi. A teraz sami mogli się przekonać, czy ich nauczyciel mówił prawdę. Już więcej nie będą zgadywać, jak się zachowają, JEŚLI. Oto wybiła godzina próby i bez namysłu sięgnęli do skarbnicy przekazanych im przez surowego Wena nauk. Wilczarzowi przemknęło przez myśl, że bracia Dobrzy we dwóch pokonaliby tych pięciu napastników. I to nawet bez mieczy, gołymi rękami. Obejrzał się na knezinkę. Dziewczyna z całych sił ścisnęła w dłoni welski kindżał z połączoną rączką w kształcie człowieczka. Nie rozstawała się z nim od bitwy w starej świątyni. Już nie płakała. Bardzo się bała, jeszcze jak się bała! Ale jeśli będzie musiała stanąć do walki, to nie zacznie krzyczeć ani się mazać. Powita rozbójnika tym kindżałem. Może i niezbyt sprawnie, za to z rozpaczliwą desperacją i złością...

W stronę ochroniarzy przebił się Aptachar z grupą swoich wojów, w większości Segwanów i Solwenów. Za ich tarczami i plecami przemieszczali się Iliad, Mangul z chłopaczkiem i cztery służki. Chłopiec ścisnął w piąstce odebrany komuś nóż.

- Trzeba się przebijać do mostu - rzekł Wilczarz do Aptachara.

- Musimy osłonić knezinkę i kogo tam jeszcze zdołamy.

Segwan kiwnął głową na znak zgody i natychmiast zaczął się rozglądać, z której strony najlepiej obejść podest, aby ruch ten dostrzegło jak najmniej łuczników. Wilczarz szybkimi ruchami rozpiął pas, ściągnął w pierw poplamione krwią skórzane wdzianko, następnie kolczugę. Podał ją knezince.

- Ubierz się w to pani.

Wypowiedział te słowa takim obojętnym tonem, tak zwyczajnie i spokojnie, że knezinka w lot pojęła: TO KONIEC. WSZYSTKO SKOŃCZONE.

- Nie! - Chciała odepchnąć jego rękę. Z równym skutkiem mogła by próbować przesunąć głaz, za którym się ukrywali przed strzałami.

- Nie! Ty... sam musisz...

- We mnie nie trafią - rzekł Wilczarz, ale knezinka nie dała mu wiary. Wtedy pochwycił ją wpół i siłą ubrał w kolczugę. - Nie mam czasu, żeby się z tobą certować, pani.

Nie było sensu stawiać oporu. Pół puda stalowych oksydowanych pierścionków, jeszcze ciepłych ciepłem jego ciała, zakryło knezinkę, zwieszając się aż do kolan. Ciężar kolczugi Wilczarza przygiął ją do ziemi, ale pospołu z jej własną srebrzystą kolczugą osłona była zaiste pewniejsza. Może to ją uchroni.

- Kiedy będziesz szła przez most, trzymaj się mocno lin, pani - na kazał Wilczarz. - Obiema rękami. I nie patrz w dół. Tam nie ma nic ciekawego.

- Ruszamy, jak który zawróci, to mu nogi z...! - krzyknął Aptachar. Wojowie w milczeniu wzniesli tarcze i pobiegli w stronę mostu, osłaniając służki, medyka ze znachorką i knezinkę. Hellona początkowo oglądała się na Wilczarza, który został w samym szarym bezrękawniku, mokrym od potu i ociekającym krwią. Futerałik z mapą i książeczką kołysał się na jego piersi. Potem nie było czasu na oglądanie się - w tarczę, którą trzymała nad głową, zaczęły wbijać się strzały. Knezinka

musiała uważnie patrzeć pod nogi - biegnąc po oślizgłych kamieniach, łatwo się przewrócić. Nie wiedzieć czemu, bardziej bała się upadku niż strzały. W pudowej żelaznej kolczudze biec było jej trudno i niewygodnie, ale ciało, popędzane strachem i napięciem, niosło ciężar bez wysiłku. Niespodzianie wojowie zwarli szyk, knezinka znalazła się pomiędzy Dobrosławem a Dobroborem i zobaczyła pod nogami zamiast kamieni przerażające cieniutkie i wążutkie deseczki mostu. Gdzieś sterczały z nich pierzaste strzały...

- Pani! Trzymaj się lin! - nakazał jej tuż nad uchem Dobrosław, który podążał za nią.

Usłyszała go, ale nie pojęła. Jak zaczarowana wpatrywała się w dół, w czeluść, przez którą w kotłującej się mgle powoli przesuwały się olbrzymie cienie. Dobrosław odebrał knezince tarczę, ujął jej ręce i położył je na połyskujących włochatych powrozach.

Gdyby Hellona zwyczajnie wędrowała sobie po tej okolicy, pewnie zawahałaby się przed wejściem na most, potrzebowałaby chwili na zebranie sił i sprawdzenie nogą kruchych z wyglądu deseczek. Może nawet by się zastanawiała, czy nie przywiązać się jakimś sznurem do lin. A teraz nie było czasu na zastanawianie się, trzeba było co prędzej opanować strach. Górą i dołem przelatowały ze świstem strzały, a każda mogła zabić. Knezinka, drżąc na całym ciele, zrobiła kilka kroczków. Ręce miała jak z waty, przesuwała nimi po mocno naciągniętych linach, podrygujących i śliskich. Tuż przed sobą widziała plecy Dobrobora, na karku czuła oddech Dobrosława. Bracia szli w nogę, złączonymi nad głową tarczami i własnymi ciałami osłaniając knezinkę.

Byli już w połowie Przegrody, kiedy knezinka, od początku uparcie patrząca w dół, dostrzegła na deseczkach krew. Krew chrobrego młodzieńca, który oddał życie za starą Hajgał, a więc i za swą młodą władczynię. Na szczęście rozbójnicy wystrzelali już wiele strzał, niewiele im zostało w kołczanach, nie mogli omiatać mostu żelazną miotłą jak na początku. Za to teraz celowali o wiele dokładniej.

Knezinka zobaczyła, jak coś przemknęło na wysokości jej kolan i na nodze Dobrobora otworzyła się głęboka czerwona szczelina, z której strumieniem chlusnęła krew. Młody ochroniarz krzyknął i zachwiał się. Raniona noga stała się nagle jakby obca, ugięła się, odmówiła posłuszeństwa. Dobrobor wypuścił z rąk liny, stracił równowagę na śliskich od krwi deskach i spadł.

Knezinka nie mogła później przypomnieć sobie, jak zdołała upaść i pochwycić jego rękę, już znikającą za skrajem wąskiego pomostu. Jej palce, które jeszcze chwilę temu nie były w stanie mocno trzymać liny, ścisnęły przegub Dobrobora i zastygły w morderczym chwycie. Kiedyś, gdy Wilczarz uczył ją chwytów kan-kiro, złościła się i miała do niego pretensje: przecież ma takie małe palce, że nie jest w stanie nawet objąć męskiej żylastej ręki, cóż dopiero ją utrzymać. A teraz się wczepiła jak kleszczami. Dobrobor próbował złapać wolną ręką za deski, ale dłoń ciągle mu się ześlizgiwała. Knezinka widziała jego białą, zadartą ku górze twarz i zagryzioną wargę. Jeszcze jedna strzała utknęła w jego rannej nodze. Sterczała z niej teraz, strużki krwi ściekały po bucie. A w dole przewalały się kłęby mgły, obnażając od czasu do czasu żarłoczne kamienne zęby...

Dobrobor wykonał nagle balans całym ciałem i ugryzł ją w rękę. Knezinka krzyknęła z rozpacz

i bólu. Doskonale zdawała sobie sprawę, dlaczego to zrobił, ale nie rozluźniła uścisku. Mimo wszystko nie dałaby rady trzymać go długo, gdyby nie pomoc. Po jej policzku prześlizgnęły się, drapiąc ją ostrymi rękawami, czyjeś silniejsze ręce, złapały młodzieńca za kołnierz i wyciągnęły na most. Mężczyźni ponieśli Dobroborę przodem. Jego brat pomógł wstać knezince, mocno przycisnął ją do siebie, osłaniając od strzał teraz już w pojedynkę. Widziała, jak opierzona śmierć wbija się w deski mostu, słyszała, jak ze świstem przelatuje pomiędzy linami... Potem zamiast desek pod nogami zachrząściły kamienie i Dobrosław pociągnął knezinkę za skały, by jak najszybciej zejść z otwartej przestrzeni.

Zapłakana piastunka rzuciła się wychowanicy na szyję.

- Dziecinko moja! Żyjesz...

Za plecami Hajgał stali dwaj górale z plemienia Iczendarów, smagli, barczyści, z orlimi piórami we włosach. Knezinka nagle oblała się zimnym potem, obrzucając niespokojnym spojrzeniem tych, którzy przeszli most.

- Gdzie Wilczarz? Wilczarza nie było.

- Wilczarz został, pani - odezwał się leżący na ziemi Dobrobor. Iliad uciskał mu pachwinę, próbując powstrzymać upływ krwi. - Po wiedział, że zbóje będą się chcieli dostać na most, a on ich nie puści.

Knezinka poczuła, jak znowu otwiera się jej pod nogami przepaść, a serce z krzykiem ptaka wyrwało się z piersi i wpadło w czeluść zasnutą cuchnącymi mgłami, w kamienną otchłań, w niebyt. Hellona, córka Gluzda, bezgłośnie załkała i chciała wybiec z za skały z powrotem na ścieżkę, na most, przez most, tam gdzie przez nią ginął ten jedyny. Wróci do niego, żeby... Wróci...

Dobrosław nie pozwolił na żadne szaleństwa. W mig ją dogonił, powalił i przycisnął do kamieni. Nad głową knezinki swoją pieśń zaśpiewała odrobinę spóźniona strzała. Dziewczyna wrywała się i płakała, ale z dobrze zbudowanym młodzieńcem nie mogła sobie poradzić. Ponury Dobrosław w milczeniu odciągnął ją z powrotem w bezpieczne miejsce. A potem powiedział słowa, które mogły ją otrzeźwić.

- Wilczarz nie po to tam został, pani.

W tym momencie knezinka przypomniała sobie swój sen. Lepiej by było, gdyby sobie nie przypomniała.

\*

Wilczarz nie miał najmniejszych wątpliwości, że wyszkoleni przezeń bliźniacy i bez niego poradzą sobie z ochroną knezinki i pomogą jej pokonać most, nawet za cenę życia. Ale czy Iczendarowie zdołają powstrzymać atak rozbójników rwących się na drugą stronę Przegrody? O ile się orientował, dwieście lat po Gurcacie Okrutnym górale coraz częściej mieli do czynienia z ciekawskimi wędrowcami, a także z młodym Winitarem, który najwidoczniej miał jako takie pojęcie o honorze. Ale czy potrafią odeprzeć zbójów, którzy zechcą sforsować przepaść? Tych przerażających okrutników Żadoby? Jak wielu jest wojowników w plemienu żyjącym na tamtym brzegu? I w jaki sposób przymocowany jest most? Czy w razie niebezpieczeństwa można go

spuścić w dół? Z tej strony w każdym razie liny były zamocowane na głucho. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że Iczendarowie musieli być przygotowani na taką sytuację. Życie jednak już dawno nauczyło ćwiczonego batogiem katorżnika, że nie można liczyć na czyjś zdrowy rozsądek, bo to zbyt słaba podstawa. Jeśli nie wiesz czegoś na pewno, licz na siebie sam.

Teraz też liczył tylko na siebie.

Zajął pozycję przy jednym z głązów, które przytrzymały liny mostu. Jeśli będzie już całkiem źle, podciągnie się i przerąbie je mieczem. Zasłonił się tarczą, która chroniła go od strzał, coraz rzadszych, ale nadal śmiertelnych, i zawołał Aptachara siedzącego za sąsiednim głązem:

- A ty co?

Segwan wzruszył ramionami i uśmiechnął się:

- No a jakże...

Był starostą, a więc kimś w rodzaju ojca dla młodych wojów, których oddali pod jego komendę mądrzy haliradzcy starcy. Nie do pomyslenia rzucić chłopców na pewną śmierć, już lepiej samemu zginąć.

Ocaleli strażnicy - większość cała we krwi - zaczęli wypełzać z różnych stron i zbierać się przy wejściu na most. Pierwsi dotarli tu czterej Welchowie, wśród nich idąca na chwiejnych nogach, ale nadal niepokromiona Ertana. Potem dołączyło kilku Solwenów z Dekszą, który wspierał się na toporze czarnym od krwi. Wilczarz złapał się na tym, że - co za dziw - przejmują się losem byłego piekarza bardziej niż losem pozostałych. Gdyby miał trochę więcej czasu, zapewne by zrozumiał dlaczego. Bitwa to nie miejsce dla poetów, tu leje się krew, tu zbiera żniwo śmierci. A narody przecież płodzą poetów nie każdego dnia. Do walki przeznaczeni są ludzie zwyczajni. Tacy jak on.

Wilczarz obejrzał się na skałę, na której ustawili się łucznicy celujący w most. Kiedy knezinka odchodziła na tamtą stronę, w połowie wyczerpał zapas strzał, bijąc w ich stronę. Kilku strzelców zdołał wyprawić w głąb przepaści.

- Zbierz ludzi - powiedział do Deksy. - Knezinka już tam jest. Przejdziecie. Będziemy was osłaniać.

Kto wie, może udałoby się im i ta przeprawa przez most. Ale w tym momencie rozbójnicy, którzy na chwilę pozostawili otoczonych wojów w spokoju, usłyszeli nowy rozkaz swego przywódcy. Prawie przestali strzelać, potem gdzieś za skałami krótko odezwał się róg i wrzeszcząca czereda zbrojów w brzoźowych maskach z różnych stron rzuciła się, by dobić ostatnich obrońców przeprawy. Nie było wątpliwości, jaki mieli cel. Chcieli przydusić Haliradczyków i jednym skokiem pokonać most. Pokonać szybciej, niż tamci po drugiej stronie zdołają się zorientować, co się dzieje, zanim ktokolwiek zdąży odwiązać liny... A braku szybkości i odwagi nie można było im odmówić.

- Rąb! - krzyknął Wilczarz. I sam wyciągnął się, aby końcem miecza przejechać po naciągniętych gładkich włóknach. Czarne plecione pasemka zaczęły się związać. Most zakółsał się i zaskrzypiał. Deksza, stojący z drugiej strony, trochę się spóźnił, ale topór na długim stylisku głośno uderzył o kamień i jednym cięciem rozrąbał grubą linę. Cios był na tyle silny, że rannego

starostę zamoczyło. Deksza stracił przytomność, upuścił topór i sam runąłby w przepaść, gdyby go towarzysze w porę nie podtrzymali. Ale most został zwalony. Naprężona czarna struna opadła w dół jak wąż, któremu odcięto głowę. Mostem miotnęło, deski zawisły w powietrzu i wyglądały teraz jak naszyjnik kapłana. Wilczarz zamierzał jeszcze raz uderzyć mieczem, lecz w tym momencie rozcięta lina nie wytrzymała, włochate pasemka zaczęły się rozstępować i pękać, wreszcie most bezpowrotnie opadł w dół, machnąwszy na pożegnanie jak powiewający na wietrze mokry ręcznik. Kłęby mgły zawirowały wokół spadających lin. Długi sznur desek uderzył o skały jak bicz, kawałki drewna z trzaskiem posypały się w różne strony i zniknęły w otchłani.

Teraz mostu nie było.

Haliradczycy tymczasem walczyli z atakującymi wrogami, próbując nie dopuścić ich do mostu i do bezradnych rannych. Kiedy most runął, zbójce w pewnym pomieszczeniu zawrócili. Zdobycz im się wymknęła, a ginąć z rąk Haliradczyków, którzy bili się jak szaleni, nie było sensu. Oczywiście za chwilę przegrupują szyki i znowu uderzą, ale już bardziej po to, żeby się zemścić. A może się wycofają i wcale nie zechcą walczyć wręcz, tylko rozstawią się wokół i dla zabawy wystrzelają wszystkich jak kaczkę. Albo spróbują dostać ich żywcem, aby potem urządzić sobie jeszcze lepszą zabawę...

- Co to, to nie! - powiedziała Ertana, przyciskając palcami mokrą plamę na koszuli. - Żywej mnie nie dostaną!

Wojowniczką siedziała na samym skraju przepaści, nogi spuściła w dół. Nie mogła już walczyć, sił jej brakło. Ale zrobić jeszcze ten jeden ruch - o, w tym nikt jej nie przeszkodzi. Inni ranni też zaczęli podczołgiwać się ku Przegrodzie. Jeśli będą mieli odrobinę szczęścia, to jeszcze rozbójnika pociągną ze sobą...

Nieliczni strażnicy, którzy mogli nadal trzymać miecze w ręku, poranieni i zakrwawieni, ukryli się za tarczami i szykowali drogo sprzedać swoje życie.

- Cóż, bracie Wenie... - rzekł Aptachar i krzyknął głośno, a zaraz zaszlochał z bólu. Wilczarz obrócił się i zobaczył, że Segwan stoi jak słup i tępo patrzy na swoją prawą rękę, jak brzytwą odciętą w łokciu. Z rany chlustała pulsująca krew. Pod nogami Aptachara leżała długa strzała zakończona żelaznym ostrzem w kształcie półksiężyca, szerokim niemal na piędź. Okaleczywszy człowieka, strzała uderzyła o kamień i odskoczyła. Gdyby trafiła w szyję, mogłaby i głowę odciąć. Wilczarz w tym momencie zrozumiał, że zaskoczony Segwan będzie tak stać ogłuszony tym, co się stało, aż go zabiją.

- Oslaniajcie! - wrzasnął i podskoczył do Aptachara. W jednej chwili powalił go na ziemię, ostrzem miecza rozciął mu sznurówki z butów i przewiązał nimi rękę przyjaciela poniżej ramienia. Z ulgą do strzegł, jak zmniejszył się purpurowy potok unoszący życie.

- Po... po co? - wyjąkał Aptachar, który nadal nie mógł opanować trzęsącej się brody. Popatrywał na swoją rękę leżącą na ziemi. - Wszystko jedno...

Wilczarz nie miał zamiaru go napominać, że jeszcze zdążą zwalić się w otchłań. Znikąd wybawienia. Choć przecież cień nadziei żyje dłużej niż sam człowiek. Wen widział zbyt wiele

strasznych śmierci, ludzie ginęli tylko dlatego, że ktoś spóźnił się o ułamek sekundy. A to znaczy, że trzeba spróbować kupić ten czas. Zdjął tarczę i zasłonił nią wijącego się w bólach Segwana. Położył na ziemię łuk, odpiął pokrowiec... Czuł, że rozbójnicy lada moment znowu przypuszczą atak.

Teraz, kiedy Mal-Gona zginął, a Deksza i Aptachar nie mogli stać o własnych siłach, strażnicy mimowolnie zaczęli popatrywać na Wilczarza, widząc w nim dowódcę.

- Nie bijcie się bez potrzeby - burknął do wpatrujących się w nie go zuchów. Po czym wyprostował się i ruszył na spotkanie zbójów, szczerząc zęby w strasznym uśmiechu i wyciągając z pochwy nóż. Był podobny do śmierci. Niewiarygodnie wyostrzonym wzrokiem widział ich wszystkich, także łuczników - zastygli porażeni brawurą szaleńca, który wyszedł z ukrycia, by zginąć w pojedynkę.

- No, który?!!! - wrzasnął do nich.

Świadkowie potem twierdzili, że rozbójnicy, kilkudziesięciu ludzi, wycofali się, namyślali się, co robić, a Wilczarz ruszył na nich. Odległość ostatnich sześciu kroków pokonał jednym skokiem.

W miejsce, w którym stał chwilę temu, wbiło się kilka strzał. Jeszcze jedna poszybowała w niebo, by zaraz spaść w czeluści Przegrody: kiedy łucznik naciągał cięciwę, z żółtawych kłaczków mgły wynurzył się skrzydlaty czarny zwierzak i z wściekłym piskiem rzucił mu się na twarz. Rozbójnik upuścił łuk i przycisnął dłonie do rozerwanego oczodołu.

Wilczarz już nie wydawał się podobny do śmierci. On był śmiercią. Zabijał wszystkich, kogo mógł dosięgnąć mieczem, nożem, łokciem, nogą. Nie potrafili za nim nadażyć, nie potrafili się bronić. Wen był szybszy niż błyskawica, oko, zbyt powolne, nie nadążało za jego ruchami. I zabijał. Zabijał.

Już od dawna nie zdarzyło się tak, aby bez reszty wykorzystał wszystkie swoje możliwości. I już się nie zdarzy. Dlatego że ta walka była walką ostatnią. Dlatego że to były ostatnie chwile jego życia. Dlatego że jednak będzie mu dane dokończyć Pieśń Śmierci. I to dokończyć tak, że praszczury się zań nie powstydzą.

*Nieproszona Śmierci, wszędzie widzę ślady twe,  
ale tutaj zwycięstwa nigdy nie odniesiesz, nie!  
Rozpostarte skrzydła martwe i złamane,  
Ale orzeł zawsze będzie orłem i panem.*

To nie mogło długo trwać, gdyż ludzkie siły nie są niewyczerpane. Ale na razie ciągle jeszcze trwało...

*Nieproszona Śmierci, czy słyszysz mój śmiech?  
Bo ciebie się bać - to jednak jest grzech.  
Nikt złęknionych oczu nie opuści,  
a słońce na niebie bez nas wzejdzie, juści...*

Wilczarz osiągnął swój cel - rozbójnicy, choćby tylko na chwilę, zostawili niedobitki Haliradczyków i chcąc nie chcąc, zajęli się człowiekiem, który nawet z nimi nie walczył - on ich po



prosto zabijał. Zdali sobie sprawę, że w walce wręcz nie powalą go nawet w pięciu, nawet w dziesięciu. Rozbiegli się na boki, odsłaniając pole rażenia łucznikom. Wilczarz roześmiał się im prosto w oczy i odbijał strzały mieczem. Jego siły były już na wyczerpaniu, ale oni o tym nie wiedzieli. Nie dał im czasu do namysłu, co mają czynić dalej, i znowu rzucił się ku nim.

*Dookoła nas błękit płonie,*

*Tylko Zycie, a nie zagłada, siedzi na mym tronie.*

*Nigdy nie wpuszczę cię na mój dwór, nie dam chleba ćwierci,*

*nigdy nie ugoszczę, Nieproszona Śmierci!*

Wiedział, że jest granica. Jeżeli ją minie, drogi odwrotu nie będzie. Ponaglał się jeszcze, jak zmęczonego ponad siły długim biegiem konia. Już dawno przekroczył tę granicę. Odwrotu nie będzie. Dziękuję ci, klingo mego pradziada. Żegnaj. Nie sądź mnie zbyt surowo, Matko Kendarat...

*Dopóki mój miecz śpiewa mi nad głową,*

*mój duch żyje jeszcze i tańczy z tobą.*

*Będę dalej szedł, nie zaprę się siebie,*

*a śmiać będę się tylko i wyłącznie z ciebie.*

Rozbójnicy znowu zaczęli strzelać. Na oślep. Trafiali przeważnie w swoich. Nie dbali o siebie wzajem. Byli zdesperowani, przerażeni, czuli zabobonny lęk. Jeszcze trochę i by się poddali. Kto mógł przewidzieć, że wśród Haliradczyków będzie demon, z którym można walczyć tylko bronią ze srebra?

Ertana pierwsza zaśpiewała jakąś pieśń w języku Welchów, odchyliła się od skraju przepaści i z wielkim trudem wstała. Nie, nie dostaną jej, za nic na świecie. Ale odejdzie nie tak, jak początkowo zamierzała.

Nieznana siła poderwała Solwenów, Welchów, Segwanów. I poprowadziła naprzód, gdzie mogła na nich czekać tylko śmierć. Ale w tym momencie poczuli, że są zwycięzcami. I kiedy natarli na rozbójników, mogli wszystko.

Wtedy za skałami, tam gdzie polegli ludzie z Welimoru, rozdierająco ozwał się róg. To był sygnał do odwrotu, nie, nawet nie do odwrotu - do natychmiastowej ucieczki, rozpaczliwej i beznadziejnej. I rozbójnicy nie zastanawiali się wcale. Nauczeni szybko atakować i równie szybko odstępować, rzucili się do ucieczki ze zwinnością przestraszonych szczurów. Przeskakiwali nad kosztownym orężem walającym się pod ich nogami, przeskakiwali nad ciałami swych rannych towarzyszy, którzy próbowali uciekających łapać za nogi. Róg oznajmił im, że mają ratować życie. A w podobnych watach każdy troszczy się o siebie.

Po kilku chwilach Haliradczycy zostali sami na podeście przy odciętym moście. Nie mogli uwierzyć, że są uratowani, i nie rozumieli, co spłoszyło napastników.

Wilczarz leżał na kamieniach zalanych jego krwią i krwią innych. Nieruchomymi oczami patrzył na słońce, ledwie widoczne z za żółtawych, smrodliwych mgieł. Strzały utkwiły w jego ciele, ale ani miecza, ani noża nie wypuścił z rąk. Gacek zaniósł się rozpaczliwym szlochaniem, przytulając się do jego policzka.

\*

Powód ucieczki rozbójników był doskonale widoczny ze ścieżki, którą prowadzili knezinkę Dobrosław i młody góral. Tutaj, na górze wcale nie czuło się odoru z podziemi. Chłodny wiatr, spływający ze szczytów, rozganiał śmierdzące opary. Snujące się mgły to zasłaniały, to odsłaniały pobojuwisko. Knezinka patrzyła w tamtą stronę, starając się odszukać wzrokiem człowieka, do którego wrywało się jej serce. I zobaczyła go wreszcie. Wspięli się już dość wysoko, sylwetki ludzi wydawały się maleńkie i jednakowe. Wilczarza knezinka rozpoznała od razu. Nie poruszał się, wokół niego stali ocalali Haliradczycy. Tak zbierają się ludzie nad zabitym. Albo zranionym tak ciężko, że lepiej go nie dotykać.

Knezinka patrzyła i patrzyła, staniała się na nogach i czuła, że umiera razem z nim. Nie miała dalej po co żyć. Dla kogo, po co, jeśli...

- Pani! - zawołał Dobrosław.

Knezinka z trudem i nie od razu oderwała spojrzenie od martwego, który leżał w dole za Przegrodą na czerwonych od krwi kamieniach. Wreszcie spojrzała w stronę, którą wskazywał Dobrosław.

Zza czarnej skały, bezlitośnie rozbijając końskimi kopytami rachityczne niewysokie trawy, pędzili jeźdźcy. Dziesiątka za dziesiątką, w milczeniu, pręźnie, niepowstrzymanie. Jak pokrywy górskich lodowców skrzyły się w słońcu pancerze i groty kopii gotowych do ataku. Pierwszy, mocno wysforowawszy się przed wszystkich, na złocistym wierzchołku z Szo-Sitainu jechał wódz. Wyglądało na to, że ten, któremu choć trochę życie miłe, nie powinien stawać mu na drodze.

Oto dlaczego tak rozpaczliwie róg wzywał rozbójników do odwrotu, oto dlaczego zbójce brać w brzożowych maskach tak ochoczo brała nogi za pas.

Ostatni jeźdźcy kunsza Winitara jeszcze objeżdżali skałę, kiedy z przeciwnej strony, zza Śpiącego Węża, wyjechali witezie Promienia.

Gnali przed sobą kilku konnych rozbójników. Część Welimorzan natychmiast oddzieliła się od pozostałych i tak samo wściekłym pędem ruszyła naprzeciw. Grabieżcy stracili rezon, zakręcili się wokół własnej osi, nie wiedząc, w którą stronę rzucić się do ucieczki. Długie kopie Welimorzan zgodnie ustawiły się do nieznanego w Haliradzie uderzenia taranem. Jeszcze chwila i uderzyli. Było widać, jak padały konie, jak jeźdźców wysadzało z siodła, jak spadali na ziemię, wijąc się w bólach, przebici na wylot. Dopiero po chwili uszu doszedł głuchy odgłos starcia i straszne krzyki ludzi, którzy zdążyli umrzeć, kiedy echo ich ostatnich przedśmiertnych jęków jeszcze odbijało się od skał. Witezie Promienia nie szczędzili mieczy, dobijając tych, którzy zdołali uniknąć ostrza kopii.

Pozostali Welimorzanie, z wodzem na czele, przegrupowali szyki i tak jak wprzód w milczeniu, bez bojowych okrzyków i trąb, szerokim sierpem przypuścili atak na zbójców, którzy wyszli zza skalnego zwaliska. Rozbójnicy zostali zmieceni - przy życiu nie został ani pieszy, ani konny. Co najmniej połowa poległa już od pierwszego wściekłego uderzenia. Ledwie ucichł przerażający trzask dwuwerszkowych ostrzy, kiedy w ruch poszły miecze. Welimorzanie coraz ściślej zamykali rozbójników w okrążeniu, niewątpliwie zamierzali zagonić ich nad urwisko i tam wytracić do nogi.

Ludzie Żadoby walczyli do ostatka, ale ich los został już przypieczętowany. Ci z Welimorzan, dla których nie starczyło miejsca w pierwszych szeregach, zatrzymywali wyszkolone konie, stawali na ich mocnych zadach, wyciągali z pokrowców łuki i strzelali ponad głowami towarzyszy. Rozbójnicy jeden po drugim spadali z siodła, ci, którzy jeszcze żyli, ginęli stratowani przez rumaki.

Młody przywódca niemal od razu odrzucił tarczę i bił się obiema rękami, rażąc wrogów. Bitwa wokół niego była w dwójnasób bardziej zażarta niż gdzie indziej. Złocisty wierzchowiec bił kopytami i gryzł wściekle. Jego pierś i boki okrywała stalowa kolczuga. Z góry było doskonale widać, jak Winitar stał się z rosnącym jeźdźcem na dorodnym mlecznobiałym koniu. Oręż i ubiór tego człowieka były o wiele bogatsze niż innych, ale walczył niezbyt wprawnie, zwłaszcza jak na przywódcę. Jak gdyby nie do końca dowierzał okaleczonej niegdyś prawej ręce. Winitar z łatwością wytrącił mu miecz, a rozeźlony Sanajgau ugryzł swego rywala. Biały koń rozpaczliwie zarżał i szarpnął się, chcąc utworować sobie drogę w ciżbie. To mu się nie udało i wierzchowce prawie się rozminęły, kiedy Winitar obrócił się w siodle i ciął, kładąc się na zadzie swego rumaka. Ze straszego rozbójnika nic nie zostało. To, co powlókł dalej oszalały koń, nie było już Żadobą, ba, w ogóle nie było ludzkim ciałem. Wczepione w strzemiona haftowanymi butami, po obu stronach siodła zwisały dwa bezkształtne krwawe ochłapy.

Niektórzy z jego ludzi jeszcze w desperacji próbowali uciekać po kamiennym zboczu. Wytracono ich kilkoma strzałami. Welimorzanie byli bezlitośni. Szajka, która przez pięć lat grasowała po leśnych drogach, zginęła u podnóża Wielkich Gór. Cała, co do jednego. Witezie promienia też chcieli uczestniczyć w pogromie, ale wojowie kunsza Winitara nie potrzebowali wsparcia.

\*

Uciekinierzy i ich przewodnik przyglądali się bitwie, stojąc na górskiej drożynie w odległości półtorej wiorsty od miejsca potyczki. Kiedy stało się jasne, jak wszystko się zakończy, Dobrosław zwrócił się do górala. Ochroniarz nie znał języka, więc po prostu wskazał palcem knezinkę, a potem w dół. W odpowiedzi na jego pytające spojrzenie Iczendar pokręcił głową i ręką wskazał w górę. Knezinka i towarzyszący jej ludzie musieli wpięrować się przed obliczem wodza.

Dobrosław ostrożnie dotknął ramienia knezinki, która bez sił oparła się o skały.

- Chodźmy, pani.

Popatrzyła na niego nic niewidzącymi oczami i próbowała zrobić krok, ale nie dała rady i zaczęła bezwładnie osuwać się na ziemię. Dobrosław podniósł ją, ostrożnie wziął na ręce i ruszył przed siebie po górskiej dróżce.

*We śnie Komgałowi objawił się  
Wielki i groźny, zdobny mądrością Bóg.  
"Idź - powiedział - zabij Sigomała w bitwie,  
Bo już dawno czeka na niego mój próg".*

*Los wojny ich zetknął nazajutrz,  
I widzi Komgał, że to godny wróg.  
Takich ludzi jak Sigomał wielu nie ma,  
drugiego takiego nie znalazłby Bóg.*

*Herosi walczyli... Komgał się poślizgnął  
I kolano przygiął, zapłaci za to głową wnet!  
I rzekł Sigomał: "Ja nie chcę takiego zwycięstwa".  
I podał mu tarczę. Walczą wet za wet.*

*Już w następnej chwili Komgał mógł uderzyć,  
Lecz w minucie próby zadrżała mu kiść.  
Nisko się pokłonił wrogowi, do ziemi,  
Jego szlachetności dał należną cześć.*

*Bóg Wojów ukazał się złemu Dagowi  
I też mu nakazał zabić Sigomała w złości:  
"Choć raz pokaż, tchórze, prawdziwą odwagę!  
Już dawno na niego czekają me włości!".*

*Dag nie śmiał odmówić i wyruszył w drogę  
I znalazł wojennika, gdy był z ukochaną.  
I zgiął Sigomał na progu swego domu,  
z ręki tchórze zgiął porażony zdradą.*

*I co teraz będzie? Patrzcie i się cieszcie,  
W niebie Komgał z Sigomałem piją miody słodkie.  
A tchórzliwy zdrajca, dobrze mu tak, dobrze,  
Nie został wpuszczony i ziębnie pod płótkiem.*

## **Rozdział 14**

### **Śmiertelny wróg**

Pieczara. Kopcą pochodnie. Skrzydlate cienie krążą pod stropem... Szary Pies wisi na ścianie, przybity żelaznymi gwoździami. Naprzeciwko niego, na ścianie na wprost wije się niesamowitym wzorem, pała drogocennym ogniem skrząca się szmaragdowa żyła. Dziwne. O ile pamięta kopalnię, to szlachetne kamienie, które dobywało się oskardem ze skały, bardziej przypominały zwyczajne bure guzy. Trzeba było mieć wprawne oko, żeby rozpoznać zatopioną wewnątrz żywą tęczę. Tylko z rzadka - może raz do roku - poszukiwacze natrafiali na takie kamienne pęcherzyki poprzecinane połyskliwymi szczoteczkami kanciastych kryształów. Zwykle wydłubowali je bezlitośnie ze skały na sprzedaż, ale niektóre specjalnie zostawiali dla ozdoby. Niektórzy uważali, że proszek otrzymany z nich miał szczególne właściwości. Szary Pies przelotnie, z daleka, widział dwie albo trzy takie pieczary. Pewnego razu zaczął się zastanawiać - jak to możliwe, żeby cudowne kamienie, uśmiech i cud podziemi, przynosiły wydobywającym je ludziom jeno zgrzyotę i ły.

Dziwił się, bo był młody. Bardzo szybko przestał się dziwić, gdyż zrozumiał: cóż tam kamienie! Łzami i krwią spływały nawet nauki natchnionych proroków, głoszących Dobro i Miłość. Jedni ludzie cierpieli i ginęli dla tych nauk. Inni dla nich zabijali. A czasem wcale nie inni, lecz ci sami, którzy z własnego doświadczenia znali niewolę i męki za wiarę...

Płomień kopcającej pochodni podryguje i przygasa, mętne światło załamuje się na ostrych krawędziach kamieni, rozlatując się nieoczekiwanie przenikliwymi czystymi iskrami. Iskry wsiąkają w rozpięte na skale ciało i wywołują jeszcze większy ból.

- Mie-ecz!. Obiecali oddać mie-e-ecz!...

Tak krzyczą ludzie torturowani, kiedy upór i godność umierają i człowiek mówi, mówi, zachłystując się, gotów wydawać tajemnice i zdradzać bez końca. Wilczarz jak przez mgłę pomyślał o tym, że katorka przecież już się skończyła. I po wyjściu na wolność niejedno się wydarzyło. W takim razie o co chodzi? Jaki miecz...?

Człowiek znów zaczął krzyczeć, zawył bez słów. Wilczarz poczuł, że leży na ziemi, a jego głowa spoczywa na ciepłych kobiecych kolanach. Bez wątplenia to jego matka, która w jakiś sposób zdołała się uratować podczas najazdu. Bardzo chciał na nią popatrzeć, ale kiedy odemknął oczy, zobaczył nad sobą wojowniczkę Ertanę. Dziewczyna trzymała przy jego nozdrzach puszyste piórko. Tak się sprawdza, czy człowiek jeszcze oddycha, czy umarł. Drugą ręką Ertana osłaniała piórko od wiatru. Trzymając się pazurkami za palec Ertany, w twarz Wilczarza spoglądał zatroskany Gacek.

Wen otworzył oczy tylko na mgnienie i od razu je zmrużył, bo spod powiek polały się łzy. Mrożący zimnym tchnieniem lodowiec i słońce, które bezlitośnie raziło...

Gacek zauważył, że Wilczarz poruszył rżęsami, wzbił się w górę i zapiszczał. Wojowniczką

nachyliła się i jęła delikatnie przemywać Wenowi łzawiące oczy.

- Trzymaj się, Wilczarzu - usłyszał jej głos. - Trzymaj się, nie umieraj... Chciał się poruszyć, ale jego ciałem wstrząsnął taki ból, że ledwie przebudzona przytomność znowu zagasała.

\*

Drugi raz wrócił mu świadomość nie krzyk, lecz czyjeś podniesione głosy, które rozlegały się całkiem blisko.

- Każ zakuć niegodziwca w kajdany, szlachetny kunsie - z przekonaniem perorował Promień. - Słyszałeś, co mówią jeńcy. Oto ten miecz. Należał wcześniej do Żadoby. Jakie jeszcze dowody ci przedstawić? Podły zdrajca, zawarł pakt z rozbójnikiem, obiecał mu zwrócić miecz!

- Czy to ten? - spytał nieznajomy głos i Wilczarz posłyszał cichy szmer miecza dobywanego z pochwy. A potem okrzyk pełen zachwytu. - Jaki piękny!

- Zasługujesz na to, aby przypasać go sobie, mój panie, jako że ty zabiłeś Żadobę. Przyjmij ten miecz, szlachetny Winitarze, bo ten zdrajca...

- Nie śmieję go dotykać, Promieniu! - głucho i bardzo groźnie ode zwała się Ertana. Na poparcie jej słów rozległo się szemranie i pełne złości przekleństwa. Ocalali strażnicy nie zamierzali oddać na urągowisko ani Wilczarza, ani jego miecza.

Wen naprężył się i znowu otworzył oczy. Przez łyzy bólu zobaczył młodego kunsza. Strażnik Bramy Północnej był wysoki i barczysty, z długą strzechą jasnych włosów, których gęstości i blasku pozazdrościłaby niejedna dziewczyna. Więcej niewieścich cech w Winitarze nie było. Dłonie miał twarde, żyłaste. Prawdziwy woj, który potrafi być straszny. Nie nosił brody, tylko wąsy nad górną wargą, ale w jego twarzy nie było ani śladu młodzieńczej niedojrzałości ani miękkości. Wystające kości policzkowe, zmarszczki wokół ust, nadające mu surowy wyraz... Wódz!

Niebieskie o szafirowym odcieniu oczy nagle spotkały się spojrzeniem z oczami Wilczarza, zatrzymały się. Wen w lot pojął, że Winitar WIE.

- Rozbójnicy nie powiedzieli, kto obiecał zwrócić miecz - spokojnie rzekł młody kuns.

- Powiedz lepiej, Promieniu, gdzie byłeś, kiedy nas tu zabijali! - zażądała Ertana.

- Zamilcz, głupia - burknął Promień ze złością.

Czoło pięknego bojara przewiązane było opatrunkiem. Od czasu do czasu Promień przypominał sobie o nim i boleściwie się krzywił, podnosząc rękę. Strażnicy znowu zaczęli szemrać, a Ertana nie została dłużna i śmiało odpowiedziała:

- Ciebie, gnojku, warto by twoim pasem wojewody udusić! Promień się skrzywił. Obok niego momentalnie pojawił się Kanaan.

- Kogo śmiesz obrażać, przybłędo!

- Tego zaprzańca, twojego pana - odparła Ertana bez cienia strachu.

Kanaan postąpił krok naprzód... Wilczarz zobaczył nogi dwóch zagniewanych młodzieńców, Welcha i Segwana, którzy natychmiast osłonili wojowniczkę.

- Ciszej tam! - powiedział Welch ponuro. - Ludzie, którym do pięt nie dorastasz, za honor mieli to, że nimi dowodziła!

Wojowie, którzy dzielnie walczyli w strasliwym boju, nie mieli zamiaru ustępować z drogi najemnemu zbirowi. Ani jego panu. Nie takie rzeczy widzieli, niełatwo ich zastraszyć. Winitar słuchał, nie wtrącał się. Wreszcie podniósł rękę i Kanaon posłusznie się wycofał. Musiał się liczyć z takim wojownikiem jak kuns, który nie miał tu równych sobie z urodzenia, a pod jego komendą służyło sto mieczy albo i więcej. To nie garstka strażników, którzy ledwie żyją po wyczerpującym boju i liżą rany.

- Zdrajca - patrząc prosto w oczy Wilczarza, z nienawiścią wysyczał Promień. - Siostrę moja! W kajdany cię zakuć...

Wen obojętnie zamknął oczy.

- Tylko spróbuj! - przez zęby, z mrocznym wyzwaniem powiedziała Ertana. - A czy to nie ty sam obiecałeś Żadobie miecz?

Bojar pobladł i sięgnął do broni, ale Winitar znowu podniósł rękę.

- Panie mój... - dał się słyszeć słaby głos gdzieś z boku. Dungorm! Wilczarz jeszcze nie wiedział, że rozbójnicy, rozbiwszy welimorski oddział, posła pojмали żywcem, rozebrali do naga i długo bili. Zamierzali go włożyć końmi, ale porzucili, kiedy się okazało, że muszą uciekać. Konie pociągnęły Narlaka tylko kawałek, dzięki czemu uratował skórę.

Wilczarz bardzo chciał popatrzeć na Dungorma, podjął próbę podniesienia się na łokciu, ale zdołał tylko obrócić głowę i to mu wystarczyło. Niepowstrzymana fala nudności wywróciła mu żołądek. W brzuchu od rana było pusto - z ust chlusnęła żółć pomieszana z krwią. Zakaszłał, poczuł, że w środku coś się rwie, zrozumiał, że umiera, i znowu szczelnie otuliła go nieprzenikniona ciemność.

\*

*Mama chciała odnowić zakwas chlebowy i jak zwykle posłała młodszą córkę do rodziny męża. Po letniej przygodzie z obcym dzieci nie puszczano samych do lasu, ale ród Borsuka to byli najbliżsi sąsiedzi - mieszkali za dwiema łąkami i za cmentarzyskiem, gdzie ród Plamistych Jeleni z dawien dawna grzebał swoich zmarłych. Na cmentarzysku wyrosły wysokie brzozy - wszystko było widoczne jak na dłoni. Co za nieszczęście może spotkać dziecko tu, pod opieką pramaticznych czy praojcowych dusz?*

*Mama włożyła do koszyka garnuszek na zakwas. A że nie godzi się prosić o coś, nie dawszy nic w zamian, nałożyła do garnuszka suszonych malin i jagód. Smakołyk ten wychodził mamie znakomicie. Jagody trzeba zagotować, potem wysuszyć i zwinąć w rulonik. Zdawać by się mogło, że nic prostszego. Ale zawsze w najprostszej niby rzeczy zaklęta jest mała tajemnica. U sąsiadów też umieli robić owocowe słodycze, ale takie smaczne, kolorowe i przezroczyste ruloniki, jak robiła gospodyni z rodu Plamistych Jeleni, w rodzie Borsuka nikomu się nie udawały.*

*- Tylko pamiętaj, nie zjedz po drodze! - srogo przykazała dziewczynce matka. - I nie siedź za długo w gościach, tylko szybko wracaj do domu!*

*Dziewczynka kiwnęła głową, chociaż nakazy matki uznała za niepotrzebne. Przecież*

już dwunasty rok jej idzie, nie jest maleńkim dzieckiem. Ale matce się nie zaprzecza. Dzieweczka z rodu Plamistych Jeleni wzięła koszyk i wybiegła z podwórka.

W brzezynie spostrzegła wyraźny ślad wilczej łapy i bardzo się zdziwiła - nikt nie pamiętał, aby wilki zakradały się aż na cmentarzysko. Postanowiła, że opowie o tym w domu, i poszła dalej, rozglądając się na boki.

Starsza rodu Borsuka, ciotka ojca, powitała ją z radością, ucieszyła się z przysłanych smakołyków (" W sam raz dla mnie, bezzębnej, będę miała co possać"), szczerze odmierzyła zakwasu, poczęstowała dziewczynkę pasztecikiem i wyprawiła w drogę powrotną.

Tym razem spiesząc przez przyodziany w jesienną złocistą szatę lasek, dziewczyna zapatrzyła się na wielkoskrzydłego birkuta, zwiastuna Władcy Burzy, który przysiadł na koronie rozłożystego drzewa. Dziewczynka ostrożnie podeszła, unosząc główkę. Olbrzymi bury ptak obojętnie popatrywał z góry na ludzkie dziecko.

- Witaj, ojczulku orle! - powiedziała dziewczynka. - Chcesz, dam ci kawałek pasztecika?

Włożyła rękę do koszyka, wymacała poczęstunek, podniosła oczy w górę i...

Gdzie się podziała znajoma rzadka brzezina? Zamiast rozświetlonego słońcem zagajnika, który znała do najmniejszych pęknięć na białej korze, wokół gęstniał ciemny nieprzebyty gąszcz. Wznosiły się korzeniami w górę wywrócone drzewa, zwisały z nich długie warkocze mchów... Ledwie kilka chwil temu widziała zza drzew dach świetlicy, a ten las wyglądał tak, jak gdyby w promieniu stu wiorst nie było ani jednego ludzkiego osiedla! Nad cmentarzyskiem był środek dnia, a tu czerwone słońce miało się już ku zachodowi...

Dziewczynka zamknęła oczy, potrząsnęła główką, chciała odegnać przywidzenie, potem znowu otworzyła oczy. Obcy las wcale nie miał zamiaru zniknąć. Wymacała palcami talizman przypięty do ramienia. I to nie pomogło! Ponury las dziwnie milczał, jak gdyby na coś czekał.

- Ojczulku orle... - zaszlochała dziewczynka.

Święty ptak birkut wzbił się w górę z korony drzewa i niespiesznie machając skrzydłami, poleciał nad lasem na południe.

- Ojczulku orle!

Dziewczynka rozplakała się i pobiegła za nim.

Kłujące gałęzie chłostały japo twarzy, czepiały się włosów i ubrania. Orzeł leciał powoli, jednak coraz bardziej się oddalał. Dziewczynka to traciła go z oczu w gęstwinie potężnych koron drzew, to znowu wyławiała wzrokiem... Wreszcie orzeł odleciał tak daleko, że już go nie widziała. Została sama.

Nie zdołała odnaleźć brzozy, pod którą się to wszystko zaczęło.

Rozmazując łzy po twarzy, przebiegła jeszcze kilka kroków i znalazła się na długiej,



wąskiej polanie. Popatrzyła pod nogi, chciała odszukać jakąś dróżkę. I gwałtownie odskoczyła w tył - na pożółkłej trawie zobaczyła krew.

Trwożnie nadstawiła ucha, ale w lesie panowała niezmacona cisza. Dzieweczka uważnie przyjrzała się krwawym śladom, zrobiła kilka kroków i natknęła się na wielkiego martwego wilka. A potem na jeszcze jednego. Nie człowiek zabił te wilki: oba miały przegryzione gardła. Siady ciągnęły się dalej i niejasne przeczucie nakazało dziewczynie iść przed siebie.

Zobaczyła go na skraju polany, pod pochylonymi nad ziemią jarzębinami. Od razu go poznała, choć sierści prawie nie było widać pod zakrzepłą krwią. Olbrzymi szary pies leżał w odległości dwóch sążni od ruczaju, do którego najwidoczniej chciał dopełznąć, ale nie zdołał.

Podbiegła do niego, przyklękła obok. Delikatnie dotknęła powalanej krwią sierści i poczuła dogasające ciepło. Znowu popatrzyła na rany. To dziwne, że pies jeszcze żył.

Co mogła dla niego zrobić, jak pomóc? Nawet jeśli całą koszulinę porwie na opatrunki, i tak nie wystarczy. Zostawiła koszyk i pobiegła do ruczaju, przyniosła w dłoniach wody, aby obmyć poharatany pysk.

- Nie umieraj, kochany mój... Nie umieraj...

Pies nie otworzył ślepi, nie poruszył się, nawet uszy mu nie drgnęły. Dziewczynka przyniosła jeszcze trochę wody, chciała dać mu pić, ale on odszedł już za daleko i nie mógł chleptać.

Wtedy ona ostrożnie, aby nie sprawić mu bólu, objęła go za szyję i przytuliła, aby podzielić się z nim przynajmniej swoim ciepłem. Przywarła ustami do kosmatego ucha i zaczęła szeptać wszystko, co przyszło jej do głowy. Z gorliwością mówiła bogom, że to niemożliwe, żeby pies umarł. Przekonywała szarego zwierza, takiego ogromnego i mocnego, żeby zrobił jeszcze jeden wysiłek i został tu, pod tym słońcem, na zielonej ziemi. Z nią.

Pies jej nie odpowiadał, koralik w jego obroży nie błyszczał, zalany krwią. Dziewczynka pomyślała o chlebowym zakwasie, który niosła w koszyku, i o mamie, która na pewno niecierpliwi się w domu. Jak odnaleźć ścieżkę do domu? Zresztą teraz to nieważne. Nie można porzucić szarego psa.

W tym dziwnym lesie nie było słycać zwierząt ani ptaków i dziewczynka przestraszyła się, usłyszawszy szmer. Ale na polanę wszedł długouchy osiołek o sierści szarej jak u myszy, a na osiołku jechała smagła siviuteńka staruszka.

Dziewczynka zerwała się i pobiegła ku niej.

- Babciu kochana, pomóż!

Staruszka odpowiedziała w języku Wenów:

- Oczywiście, dziecinko. Po to tu przyjechałam. Zeskoczyła z osiołka i pochyliła się nad psem.

- Całkiem o siebie nie dbasz, moje dziecko... Jak można się tak urządzić, głuptasku?

Przez grzbiet osiołka przewieszane były wielkie torby. Znalazło się w nich wszystko, czego jeszcze przed chwilą tak brakowało dziewczynce z rodu Plamistych Jeleni: lekarstwa w szklanych naczynkach i koszałkach, szmatki do robienia opatrunków.

- Ja go będę opatrywać, a ty trzymaj - zarządziła staruszka.

- Jak, babciu? - Dziewczynka zaczęła wsuwać ręce pod łeb psa. Siwowłosa kobieta obrzuciła ją bystrym spojrzeniem.

- Dokładnie tak, jak trzymałaś go do tej pory. Wzywaj swoich bogów. Odpędzaj Śmierć. - I dodała jeszcze coś bardziej zagadkowego: - Jeżeli on wróci, to tylko dla ciebie.

Dziewczynka z rodu Plamistych Jeleni nie zrozumiała, ale nie śmiała wypytywać. Pospołu krzątały się wokół psa do samego zmierzchu. Dzieweczka nosiła wodę z ruczaju w wiaderku zrobionym z kory nieznanego jej drzewa. Rozpaliła ognisko z suchych gałązek. Ubijała coś w białutkim moździerzcu. I przez cały czas zanosila modły. Do Wielkiej Matki, Wiecznej i Odwiecznej, potem do Starego Jelenia, założyciela jej rodu, i do Władcy Burzy, którego orzeł przywiódł ją do tego lasu. Czasem wracała myślami do domu, zdawała sobie sprawę, jak się tam teraz o nią martwią. Ale o tym przypominała sobie niby przez mgłę. Skończyło się tak, że zmęczona krzątaniem dziewczeczka zasnęła przytulona do kosmatego boku zwierza, wsłuchując się w uparte bicie jego umęczonego serca.

Obudziła się jak od czyjś dotknięcia, w środku nocy, w najczarniejszą jej godzinę. Otworzyła oczy i zobaczyła, że przy ognisku pojawił się jeszcze jeden gość. To był taki gość, że dziewczynka jeszcze mocniej przytuliła się do nieruchomo leżącego psa. Na granicy świetlistego kręgu stała wysoka chuda kobieta. W długim, do samych pięt białym giele i ciemnoczerwonej spódnicy z wypustkami wyszywanymi białą nitką. Jej twarz... Straszna kobieta, która tu zawitała, nie była ani stara, ani młoda. Czas się jej nie miał.

- Dośpiewał już pieśń - rzekła. Jej głos płynął nie wiadomo skąd. - Jest mój.

Staruszka, której dziewczynka pomagała przez cały wieczór, podrzuciła do ognia trochę chrustu i spokojnie odparła:

- Spotykamy się już nie pierwszy raz. Zdarzało się, że ci ustępowałam. Ale jego nie dostaniesz.

Ogień, ożywiony nową porcją drewna, strzelił wyżej i chuda kobieta cofnęła się o krok. Ale tylko o krok.

- On należy do mnie. Twoje ognisko zgaśnie, kapłanko, i ja go zabiorę - powiedziała.

- A ja ci mówię, że go nie zabierzesz - odparła kapłanka prawie wesóło.

Dziewczynka usłyszała, jak chlebowy zakwas w garnuszku wydał z siebie głębokie westchnienie niezadowolenia. Zdawało jej się, że wysoka kobieta przeleżała się tego

dźwięku. Na wszelki wypadek dziewczeczka przyciągnęła koszyk do siebie, a potem usiadła i wzięła go na kolana.

- Kto tu jest? - spytała groźna kobieta, jak gdyby dopiero teraz ją dostrzegła. Zmarszczyła brwi.

Dziewczynka ze strachu nic nie odpowiedziała, tylko schwyciła za sierść na karku psa. Pies chciał zawarczeć, ale nie mógł.

- To ona. Jej tym bardziej nie dostaniesz - odpowiedziała kapłanka.

- Wcześniej czy później wszyscy będą moi. - W głosie, który się rozlegał nie wiadomo skąd, brzmiała kpina.

- Też mi powód do dumy! - parsknęła kapłanka. - Cała twoja władza to tylko ten jeden moment. A potem znowu jest Życie!

Ognisko zaczęło przygasać i kapłanka znów podrzuciła trochę chrustu. Dziewczynka z przerażeniem zauważyła, że została tylko jedna gałązka. A co potem? Trzeba czym prędzej pobiec do lasu, po ciemku poszukać suchych szczap! Przemogła lęk, gotowa była natychmiast zerwać się i lecieć, kiedy do ogniska z różnych stron zaczęli przychodzić ludzie.

Dziwni ludzie. Mężczyźni i kobiety...

Różni z wyglądu, a jednak do siebie podobni - ciemności nocy jak gdyby rozstępowały się przed ich ledwie widocznym światłem, które biło z ciał i ubrań. Wydawało się, że tych ludzi wśród ciemnej nocy oświetla jakieś niewidzialne słońce. Nieśli wiązki chrustu i składali je kapłance u nóg. Stos chrustu błyskawicznie urósł.

Pierwsi, trzymając się za ręce, pojawili się mężczyzna i kobieta. Piękni, całkiem młodzi. Wydali się dziewczeczce z rodu Plamistych Jeleni bardzo podobni do człowieka, któremu pół roku temu podarowała swój koralik. Oddali chrust, a potem podeszli do psa i pochylili się z troską, jak gdyby chcieli podzielić się z nim blaskiem swojego słońca. Oboje popatrzyli w oczy dziewczynce i zrobiło jej się ciepło. I odeszli, ale nie w ciemność.

Dziewczynka dostrzegła wątego młodego Arranta o wesołych oczach marzyciela. Wydawało się, że ten młodzian w każdej chwili mógł wyciągnąć rękę ku niebu i w natchnieniu ułożyć poemat. Inni ludzie byli surowi i brodaci, stcyjali ciężko, jak katorżnicy. Zobaczyła jeszcze dwoje Welchów: dziadek i babka ciągnęli wielkie bierwiono, a starzec cieszył się, że znowu ma dwie ręce. Zanim odeszli, staruszkowie też przyjrzeni się dziewczeczce i z aprobatą pokiwali głowami. A jej się zdawało, że przez moment czuła silny zapach jabłek.

Ognisko płonęło wysokim płomieniem. Gorące języki strzelały w górę z wesołym trzaskiem, rozświetlały mrok, zmuszając nieproszoną w gości kobietę, aby odstępowała krok za krokiem.

To trwało do samego rana, a kapłanka ciągle miała u stóp spory zapas drew. Kiedy

niebo na wschodzie porządnie się zarumieniło, staruszka rzekła do dziewczynki:

- Spij, dziecinko, wszystko będzie dobrze.

Nie wiedzieć czemu, dziewczeczka z rodu Plamistych Jeleni od razu jej uwierzyła. Dotknęła psiego nosa - był jak wprzód suchy i gorący, ale zdawało się, że nie aż tak. Dziewczynka delikatnie pocałowała psa w straszny pysk, położyła się obok i natychmiast zasnęła.

Wydawało jej się, że zamknęła oczy tylko na chwilę. Ale kiedy się obudziła, słońce już wędrowało nad koronami drzew. A na polanie nikogo nie było. Ani kapłanki, ani psa. Ani żadnych śladów nocnego ogniska. Tylko koszyk stał na swoim dawnym miejscu. Dziewczynka usiadła, z lękiem rozejrzała się wokół i poczuła, że ścisła w rączce coś twardego, co zdążyło mocno się wrazić. Otworzyła dłoń. To był maleńki srebrny półksiężyc na cieniusieńkim, ale bardzo mocnym sznureczku z włosia.

Wstała, zauważyła tuż obok siebie dróżkę, która prowadziła gdzieś przez gęste zarośla. Na dróżce leżało bure orle pióro. Podniosła je w zadumie, wzięła koszyk i ruszyła naprzód. Rozglądała się wokół siebie, szukając śladów psa, i sama nie zauważyła, kiedy doszła do znanej brzozy. Na jej czubku znowu siedział i spokojnie czyścił dziób wielki orzeł. Mogła przysiąc, że to ten sam. Kiedy zobaczył dziewczeczkę z rodu Plamistych Jeleni, wyprostował się i obojętnie zmierzył wzrokiem dziecę człowieka.

Dziewczynka podniosła główkę i z pretensją w głosie rzekła:

- Cóżes ty, ojczulku orle...

Ale wielki ptak nic nie odpowiedział. Dziewczynce łzy napłynęły do oczu, pociągnęła nosem, aby je odpędzić i...

Stała pośród brzóz. Brzóz, znajomych jej do najmniejszej rysy na białej korze. Za brzezina była łąka, a za łąką dom. Co sił w nogach puściła się pędem w tę stronę, nawet nie myśląc o tym, że powitają ją tam rozgniewani rodzice. Gniew rodzicielski jest słuszny i nie wolno się go bać. Jest jak letnia burza, po której jeszcze szybciej wszystko rośnie i się zieleni...

Dziwne, lecz powitano ją w domu tak, jak gdyby powróciła o czasie. I zakwas chlebowy w garnuszku nie wysechł, był żywy, dawał siłę. Wtedy dziewczynka popatrzyła na deskę z odznaczanymi dniami, która wisiała w Bożym Kąciku, i zobaczyła, że nie pojawiły się na niej nowe nacięcia. A zatem powróciła do domu tego samego dnia, w którym wyszła. Jak gdyby w ogóle nie było nocy spędzonej w obcym ciemnym lesie.

Włożyła orle pióro za wizerunek Władcy Burzy. A srebrnego półksiężycyca w ogóle nikomu nie pokazała. To niedobrze. Zawsze jej powtarzali, że podobne rzeczy powinny należeć do całego rodu. A właściwie do starszych sióstr na wydaniu. Ale ten półksiężyc - wiedziała o tym doskonale - należał do niej. Tylko do niej.

Wilczarz podniósł powieki i zobaczył nad sobą kamienny strop, a na jego tle spiczasty czarny

pyszczyk, dwoje czujnych uszu i parę błyszczących oczu. Gacek wpatrywał mu się w twarz, cichutko przymilnie zamruczał i zaczął się ocierać o jego szyję. Wen wsłuchał się w swoje ciało i stwierdził, że nie czuje bólu. W ogóle nic nie czuł, poza niesamowitą lekkością. I poza przyjemnym futerkiem dotykającym gołego ciała. Nawet światło wydawało mu się przygaszone, jak o zmierzchu, nie raziło w oczy. Był troskliwie okryty ciepłą narzutą z futra i leżał na szerokiej ławie w pokoju w jakimś wielkim domu. Musiało tu być też okno - otwarte, żeby mogło napływać świeże powietrze. Słyszał, jak na zewnątrz szumi deszcz i szmerze woda spływająca po kamiennych płytach.

- Widzisz go, jak się przymila - posłyszał głos Aptachara. Zapewne Segwan leżał w tym samym pomieszczeniu, tylko na drugiej ławie. Wen zrozumiał, że Aptachar mówi o Gacku, i chciał odwrócić głowę, ale się rozmyślił, przypomniał sobie, jak taka próba zakończyła się poprzednim razem.

Tymczasem starosta Segwanów ciągnął dalej:

- Dobrze, wielmożny kunsie, żeś go nie oddał Promieniowi. Gdy byś widział go w boju!

Po podłodze niespiesznie przesunęły się skórzane podeszwy.

- Mogę sobie wyobrazić - spokojnym głosem odparł Winitar. - Byłem koło mostu. Widziałem, co tam nawyprawiał twój Wen.

- Mój! - roześmiał się Aptachar, ale zaraz jęknął z bólu, pewnie przez nieuwagę dotknąwszy zranionej ręki. - Tak - powiedział, kiedy znowu zebrał siły. - Gdybyż ten Wen był mój! Co, Winitarze?

Winitar się uśmiechnął.

- I żebyś ty służył pod dowództwem Wena. Co, stary przyjacielu? Stary przyjacielu, odnotował w pamięci Wilczarz. Coś takiego!

- Początkowo to ja mu byłem dowódcą - mówił Aptachar. - Wiosną, kiedy Fitela najął go w Wielkim Pohoście. Kupiec najpierw nie chciał go, golca, wziąć. A on powalił najpierw mnie, a potem Audykę...

- Trzeba być znakomitym wojem, aby cię pokonać, Aptacharze - rzekł kuns. - Muszę bliżej poznać twego Wena, kiedy ożyje.

- Dowiesz się wiele nowego. - Starosta znowu się roześmiał. - Nie wiem jak ty, drogi kunsie, ale ja bym się z nim nie zadawał, zwłaszcza sam na sam.

Wilczarz znowu usłyszał kroki - Winitar przeszedł się po pokoju, przystanął u otwartego okna i znowu przysiadł się do Aptachara.

- Czasami wydaje mi się, że ojciec żyłby do dziś, gdybyś nadal był przy nim.

Strop zawirował nad Wilczarzem i zaczął powoli spadać. A może to niebo zwałiło się na ziemię. Wen zamknął oczy.

Aptachar najwyraźniej nie miał ochoty mówić o tym, co stało pomiędzy nim a ojcem młodego kunsza.

- Nie mogłem pozostać! - rzekł po chwili wahania. - Wybacz, Winitarze, lecz mój honor i tak

został splamiony. Możesz nie wierzyć, ale nikt z moich ludzi nie wie, że przez sześć lat u twego tatki piwo piłem. Bo mi było wstyd o tym opowiadać. Bo wtedy musiałbym opowiedzieć i o tym, czym się to wszystko zakończyło!

Kuns znowu zaczął się przechadzać po pokoju. Ani chybi jakaś siła miotła nim z kąta w kąt.

- Nie moja to rzecz osądzać cię ani tym bardziej mojego ojca, ale wszystko mogło być inaczej - powiedział.

- Ten smarkacz zabił mojego brata! - zapalczywie sprzeciwił się Aptachar. - Kiszki bym mu wypuścił. Co, niesprawiedliwie? Sprawiedliwie! Ale nie! Twój ojczulek zapragnął zostawić szczeniaka przy życiu. Na szczęście! Ha! Cały czas igrał z losem. Psy, widzicie go, nie rzucały się!

Winitar znowu w zadumie powtórzył:

- Wszystko mogło być inaczej!

Aptachar jak gdyby zawstydział się własnego wybuchu.

- Dobrze, nie gniewaj się, łaskawy panie - mruknął.

- Jakże miałbym się na ciebie gniewać, wujaszku Aptacharze! Przecież mnie wychowałeś. Tą ręką, którą ci teraz odcięli, drapałeś mnie za uchem.

Wilczarz poczuł, że Winitar stoi tuż przy nim. Otworzył oczy, z trudem rozkleił wargi i wyszeptał:

- Znaleźliście panią?

Wydawało mu się, że wypowiedział te słowa dość głośno, ale młody kuns pochylił się nad samą jego twarzą i Wilczarz powtórzył:

- Znaleźliście panią?

Tym razem Winitar dosłyszał jego słowa.

- Nie, na razie nie znaleźliśmy - odparł, kręcąc głową.

Znowu popatrzyli sobie w oczy. Wilczarz nie miał najmniejszych wątpliwości: Winitar wiedział o nim wszystko. Również to, że Wilczarz od razu domyślił się, że on wszystko wie. I jeszcze Wilczarzowi przyszło nagle ni z tego, ni z owego do głowy, że gdyby teraz postawić knezinkę obok Winitara, to para byłaby z nich piękna - oczu nie można by było oderwać.

- Ona... żyje - wydusił z siebie z trudem. - Ona... przez most...

- Tak, wiem - powiedział Winitar.

- Na portki Chramna, porwane nie powiem gdzie - ucieszył się Aptachar, z pewnym opóźnieniem skonstatowawszy, że Wen, który dawno powinien był umrzeć, odzyskał przytomność i nawet zaczął mówić. - Winitarze, synku, pomóż mi wstać!

Kuns pospieszył z pomocą i wkrótce Wen zobaczył nad sobą obu. Człowieka, który miał wszelkie powody, aby jego, Wilczarza, zabić. Którego on sam powinien zabić. Za wiele zmartwień dla jednej duszy, która jeszcze z powrotem nie ulokowała się na dobre w ciele. Zamknął oczy i świat znowu przestał dla niego istnieć. Tylko że teraz nie stracił przytomności, po prostu zasnął. Snem, który przynosił uzdrowienie nawet jeśli nie duszy, to ciała.

*- Mamo, uciekaj! - Szary Pies, który właśnie skończył dwanaście lat, podniósł z ziemi porzuconą przez kogoś krótką włócznię i skoczył w stronę komesa, który wybiegł z za*

*spichlerza. - Mamo, uciekaj!*

*Zaprawiony w bojach woj od niechcenia machnął okrwawionym mieczem. Jednak młokos okazał się bardzo zwinny. Miecz świsnął nad jego rudą głową, z której nie spadł ani jeden włos. Chłopiec dał nura pod ramię Segwana i cienkie jak żądło ostrze włóczni utkwiło w twarzy komesa, między brwiami.*

*- Mamo, uciekaj!*

\*

Kiedy Wilczarz się obudził, za oknem znowu był wieczór, w pokoju siedziała z nim tylko Ertana. Welchinka trzymała w ręku drewniany miecz i od czasu do czasu krzywiąc się z bólu, powoli ćwiczyła prawą rękę. Lewą na razie oszczędzała.

- Zmieniłam Aptachara - oznajmiła Wilczarzowi. - Ledwie go namówiła. Mam dość nabijania siniaków gnojkom.

- Znaleźli panią? - wyszeptał.

Z chęcią opowiedziała, jak Winitar rozesłał wszędzie swoich ludzi i chciał porozumieć się z góralami przez Przegrodę. Iczendarowie odpowiedzieli mu z wielką rezerwą, że władczyni, która przybyła z północy, gości u ich wodza, a on, narzeczony, który nie potrafił obronić przyszłej żony, nawet nie jest godzien, by wypowiadać jej imię. O żadnym terminie powrotu knezinki nie chcieli słyszeć.

- Ile ja? - spytał Wilczarz.

- Dzisiaj będzie dziewiąty dzień. Nawet ci już włosy zaplotłam, jak to u was jest przyjęte... - Potem z nadzieją w głosie zapytała: - A może byś coś zjadł? Może ciepłutkiego mleczka z chlebkiem? A może łyżeczkę miodu?

Dziewiąty dzień, pomyślał Wen. A więc nawet jeśli przyszedł któryś z zabitych rozbójników, to i tak sobie poszedł.

- Muszę coś powiedzieć kunsowi - wychrypiał.

Ertana uważnie mu się przyjrzała, skinęła głową i wyszła. Wilczarz odprowadził ją wzrokiem. Wojowniczką wracała do zdrowia, to było widać. Wprawdzie jeszcze trzymała prawe ramię wyżej niż lewe, bo rana ciągle ściągała je w bok, ale niebawem wszystko powinno się zagoić. Znowu będzie powozić ognistymi rumakami, naciągać cięciwę łuku i rozdawać policzki nazbyt rozochocionym młodzieńcom, zachwyconym jej urodą...

Winitar przyszedł w mokrych butach, z kroplami deszczu na złotych włosach związanych na czubku głowy, zgodnie ze zwyczajem Segwanów z wysp. Najwidoczniej Ertana znalazła go na dworze. Wraz z młodym kunsem przyszedł sługa, który przyniósł na drewnianej tacy wielki kubek, kawał białego chleba, masło i naczynko z miodem.

Z kubka po domowemu pachniało świeżym mlekiem. Sługa postawił tacę, pokłonił się swemu panu i wyszedł, zostawiając śmiertelnych wrogów sam na sam.

Kuns stał na środku małego pokoju, splótł ręce za plecami. Milczał. Leżący przed nim mężczyzna wyglądał gorzej od martwego, składanego do trumny. Medyk, który miał za zadanie

pielęgnować rannych, nie mógł się nadziwić zwierzęcej żywotności Wena. Jedna ze strzał, która przeszła pierś, niemal trafiła w serce. Na szczęście to była zwykła strzala. Przeszła Wena na wylot, ale wąski grot nie poszarpał mu ciała, rana nie była więc zbyt groźna. Wilczarz patrzył na Winitara mętnymi szarozielonymi oczami w czarnych obwódkach siniaków, które tworzą się od silnego uderzenia w głowę. Na jego brzuchu siedział nietoperz.

Człowiek z nietoperzem, którego widziano nad Świątynią niedługo przed tym, jak... - dumął Winitar.

- Coś chciałeś mi powiedzieć, ochroniarzu? - zapytał, nic nie dając po sobie poznać. Mówił w języku Wenów. Dobrze go znał.

- Karmisz mnie i trzymasz w swoim domu. - Wilczarz chciał wskazać na stojącą opodal tacę z jedzeniem, ale nie zdołał. Wystarczyło, że się poruszył, a już ścisnęły mu żołądek straszliwe mdłości, stokroć gorsze od bólu. Wziął głęboki oddech, zebrał siły i dokończył: - To ja zabiłem kunsza Winitariusza, twego ojca.

Ten, który próbuje zasłonić się przed zemstą, jedząc chleb z mścicielem, nie jest godny miana mężczyzny.

Winitar nie okazał zdziwienia. Skinął głową.

- Tak było - rzekł po chwili milczenia. - Zabiłeś go. Na dodatek nocą, w czym jest niewiele powodów do dumy. Ale na grabieżcę mi nie wyglądasz...

- Ludzie nazywali nas Szarymi Psami, Winitarze.

Młody kuns panował nad sobą, jak przystało wodzowi. Nie zmienił się na twarzy, tylko oczy mu pociemniały jak ocean w niepogodę. Dość długo zwlekał z odpowiedzią.

- Więc rację mieli ci, którzy doradzali ojcu, aby wytracił wszystkich co do jednego.

- A może rację mieli ci... którzy mu doradzali... aby w ogóle nas nie ruszał.

Winitar po raz pierwszy podniósł głos:

- Nie tobie sądzić mego ojca! - A potem dodał ciszej: - Ani mnie. Wilczarz milczał. On swój wyrok na Ludojada już wydał. I wykonał.

Segwan podszedł do okna. Wilczarz nie widział go ze swej ławy, ale mógł sobie wyobrazić, jak niewidzącym wzrokiem spogląda na deszczowy zmierzch.

- A jak umarł mój ojciec? - spytał kuns. Wilczarz zamknął znużone oczy.

- Chciał chwycić za broń... Przygwoździłem go włócznią do ściany... Umarł, kiedy płonął zamek. Skórzane buty kunsza gwałtownie zaskrzypiały - Winitar się obrócił.

- Nie wyzwaleś go na pojedynek? -Nie.

Zapadło ciężkie milczenie. Nie było sensu pytać Szarego Psa, dlaczego nie wyzwiał na pojedynek kata swego rodu. Nie było sensu przypominać Winitarowi, że miano Ludojada nadało jego ojcu ich własne plemię, Segwani z wysp. Nie było sensu w ogóle nic mówić. Krwawa zemsta nie dokonuje się w słowach.

- Masz za sobą prawo - cicho powiedział wreszcie Wilczarz. -I masz miecz...

Jego własny miecz wisiał na ścianie, na wysokości jego nóg. Winitar odszedł od okna i stanął



tak, aby Wilczarz mógł go widzieć.

- Możesz uważać, Wenie, że ci się tym razem udało - rzekł głucho. - Wiozłeś do mnie moją narzeczoną. Dungorm twierdzi, żeś wiele razy obronił ją przed zabójcami. Ci, którzy byli z tobą przy moście, wystawiają cię pod niebiosa i jak jeden mąż przysięgają, że moja narzeczona leżałaby na dnie przepaści albo zdarzyłoby się jeszcze co gorszego, gdyby nie ty. Powiadają, że do ostatka walczyłeś w jej obronie i oddałeś jej swoją kolczugę. Prawdę mówiąc, Aptacharowi wierzę bardziej niż bojarowi z haliradzkiej drużyny knezia. Aptachar mnie wychował. Chciał zawrzeć z tobą braterstwo krwi. Zbyt cenię swój honor, aby po tym wszystkim cię zabić, choć na to zasługujesz, przynajmniej tak mówi prawo zemsty rodowej. Dlatego będziesz jadł mój chleb i wyjdiesz z mego domu żywy. Ale pamiętaj, że jeszcze się spotkamy.

Wyszedł, bezszelestnie zamknął za sobą drzwi. Niemal natychmiast drzwi znowu się otworzyły i do pokoju powróciła Ertana. Przysiadła na brzegu ławy i zaczęła poić Wilczarza mlekiem przez wysuszoną kaczą tchawicę, gdyż głowy nadal nie można mu było podnieść. Wilczarz brał chleb lewą ręką; prawa była złamana, dopiero teraz, gdy próbował nią poruszyć, ze zdziwieniem stwierdził, że jest wzięta w łubki.

Nie zjadł wszystkiego, czym chciała go uraczyć Ertana, i dziewczyna rozmoczyła resztki chleba w mleku dla Gacka. Żarłoczny zwierzaczek z uwagą śledził, jak przygotowywała jego ulubiony przysmak. Potem niecierpliwie usiadł na jej rękę, przesmyknął na tacę i zanurzył pyszczek w talerzu.

\*

Minęły trzy siedmiodnie. Przez ten czas Wena niejednokrotnie odwiedzali wszyscy strażnicy: i Solwenowie, i Welchowowie, i Segwani. Nie zjawił się tylko Aptachar. Czyli Winitar wszystko mu opowiedział. Wilczarz był nawet za to wdzięczny młodemu Segwanowi. Rozmowa z Aptacharem szkykowała się ciężka, choć przecież uważał starostę za swego przyjaciela. Do niedawna.

Po trzech siedmiodniach Wilczarz, chwiejąc się jeszcze i utykając na obie nogi, wyszedł z zamku na dziedziniec i po raz pierwszy rozejrzał się wokół. Ertana i medyk jedno przez drugie upominali go, że zbyt wcześnie zwłóknął się z ławy. Nawet się z nimi nie spierał. Po prostu nie podobało mu się w twierdzy. Wszystkie pomieszczenia w środku były suche i ciepłe: jedne ogrzewano paleniskami albo piecami, inne z pomocą sprytnie ułożonych rur. Niemniej wszędzie czuć było zapach kamienia, a psi węch Wilczarza wyczuwał to od razu. W dzień można było zająć czymś myśli i o tym zapomnieć, ale nocami, kiedy nic nie zaprzętało jego uwagi, Wenowi śniły się podziemia katorgi.

Jak człowiek może żyć, wzniosłszy sobie nad głowę tysiące pudów wrogiego kamienia?! To coś zupełnie innego niż dobra chata Wenów, którą zbudowano z olbrzymich bali jakieś trzysta lat temu, kiedy żyli jeszcze wnukowie prarodziciela Psa i która bez śladu zgnilizny służyć będzie jeszcze ludziom długo... I powietrze w niej inne, i Domowe Duchy są w piwniczce. Tam choroba od razu przechodzi. A tutaj nawet się nie obejrzyysz, jak zemrzesz z powodu małego zadrapania.

Zamek Strażnika Bramy Północnej był wstawiony w strome zbocze. Śmiali budowniczo

częściowo wyrzeźbili jego ściany wprost w skalnych załomach, częściowo poskładali go z odłupanych odeń kamieni. Chodziło zapewne o to, aby twierdzę trudno było wypatrzeć na tle olbrzymich skał. Wznosiła się nad górską przełęczą - jedną z tych niewielu, które krainie Welimoru zapewniały komunikację ze światem zewnętrznym. Ze skał dobrze była widoczna czarna gardziel, przechodząca, jak powiadali ludzie, w tunel. Po pokonaniu owego tunelu wędrowiec widział nad głową niebo Ukrytej Krainy.

Po drugiej stronie, bardziej na północ, rozpościerała się równina, na której z rzadka widać było pagórki. Przez równinę prowadziła kręta droga i ginęła w tajdze. Było zimno i drzewa liściaste już stały nagie. Przez ten czas, kiedy Wilczarz wylegiwał się na ławie, nad twierdzą przetoczyło się kilka burz, częstych o tej porze roku. Deszcz i wściekły wiatr zerwały z drzew wszystkie liście. Wkrótce spadnie śnieg.

Wilczarz w oddali, prawie przy linii horyzontu, dostrzegł matowy odbłask od lustra wody. Najpierw doszedł do wniosku, że tylko mu się tak zdawało, ale potem przypomniał sobie mapę. Pasek, na którym nosił sakwę z mapą, przeciął w boju czyjś miecz. Ale sakiewkę szczęśliwie znaleziono i Ertana troskliwie wyczyściła z krwi i mapę, i małą książeczkę spisana na brzoźowej korze. Więc jeśli wierzyć mapie, na północ od twierdzy musiała przepływać rzeka. Dopływ Świątyni. Jeśli wsiąść do łodzi lub na tratwę, można pożeglować do samego Haliradu. Jeżeli cię, rzecz jasna, nie napadną w drodze jacyś grabieżcy mający swe gniazdo przy brzegu.

Strażnicy, którzy przeżyli bój przy moście, wykurowali się wcześniej niż Wilczarz. Wszyscy poza Dekszą. Młodzieńcowi skończyło się lekarstwo od Iliada. Rana znowu się zaogniła, zapalenie przerzuciło się na drugie oko. Biała Głowa ślepl. Już teraz widział świat jak gdyby przez gęstą mgłę.

- No i tak - próbował dodawać sobie w rozmowie z Wilczarzem animuszu. - Pójdę do Kornysza, piekarza... I znowu się wynajmę, że by wyrabiać ciasto!

Wilczarz chciał go prosić, by pisał wiersze, ale potem się rozmyślił: ten, któremu bogowie zesłali dar poezji, nie potrzebuje takich rad. Potem jednak jeszcze raz się zastanowił i znowu zmienił zamiar - przypomniał sobie, jak twórcy cenią każdy przejaw uwagi.

- Pieśni układaj - odezwał się wreszcie. - Piękne ci się udają. Na chleb takimi pieśniami zarobisz.

Dekszą uśmiechnął się z przymusem i postąpił kilka kroków, macając palcami ścianę. Wilczarz nagle coś sobie przypomniał. Przytrzymał rękę Dekszy:

- Wiesz co... kiedy wrócimy do miasta... Mam tam przyjaciela, jest medykiem. Jeszcze lepszym od Iliada. Uczonym, ze sto ksiąg przeczytał. Jeśli będzie można coś poradzić, to on poradzi.

Dekszą bez przekonania podziękował i odszedł, a Wilczarz zaczął sobie wyobrażać, że traci wzrok. Czy potrzebnie mówił Dekszy o Tilornie? A bo to wiadomo? Ale zaraz pomyślał, że dobrze zrobił.

Widywało się takich. Żarty sobie stroją ze swego kalectwa i niby niczym się nie przejmują, a potem ni z tego, ni z owego rzucają się głową w dół z wysokiej wieży.

Aptachar długo nie pokazywał mu się na oczy. Najwidoczniej starannie unikał spotkań. Aż wreszcie omal nie stuknęli się czołami o czoło na zasłoniętym od wiatrów kawałku trawy za skałami, gdzie Wilczarz przyszedł popatrzeć, jak ćwiczą welimorscy wojowie.

Kiedy się nawzajem zobaczyli, obaj bezwiednie zrobili krok do tyłu i długo nie mówili nic. Gdyby to był ktoś inny, a nie Aptachar, Wilczarz w milczeniu by odszedł i na zawsze przestał go zauważać. Lecz z tym człowiekiem czuł się związany.

- Alem czasów dożył - rzekł Aptachar z goryczą. - A ja się chciałem z tobą, katorżnicza gębo paskudna, pobratać! Nie jesteś wart nawet paznokcia mojego brata!

Wilczarz ze zdziwieniem usłyszał, jak drżał mu głos. Gdyby dobrze nie znał Aptachara, pomyślałby, że starosta ledwie powstrzymywał łzy.

- Miałem starutkiego pradziadka - powoli, czując ucisk w piersi, zaczął mówić Wen. - Od wielu lat nie wstawał z łóżka. Który z was przebił go włócznią? Ty? A może twój brat?

Teraz już nie było ważne, kto to zrobił. Wilczarz i tak nie mógłby się zemścić. Bo jakże mścić się na kimś, z kim się rozmawiało, dzieliło podpłomyki, razem przelewało krew? Jakże mścić się na kimś, kto występował w twej obronie? Na kimś, komu sam ratowałeś życie? Ktoś taki może teraz stać się tylko obcym. Ale nie sposób się na nim zemścić.

Aptachar poruszył kikutem.

- Nawet jak byłem zdrow, nie mogłem ci dać rady, a teraz już nie ma mowy... Ale pamiętaj, że w Haliradzie mam syna!

Który też sobie nie da ze mną rady, pomyślał Wilczarz, ale tego nie powiedział.

- Rób, jak uważasz - burknął i odszedł.

Kiedyś, dawno temu, kiedy świat był czystszy i lepszy od teraźniejszego, Wenowie mieli taki zwyczaj: woj, który w sprawiedliwym pojedynku zabił innego woja, szedł do matki zabitego i padał przed nią na kolana. Błagał o wybaczenie tę, która dała życie, i prosił, aby go przyjęła do swego rodu, zajmował miejsce zabitego... Czasy te dawno już minęły, świat się zmienił. I nie na lepsze. Co mógł najszczerzej opłakiwać zaprawiony w bojach wojownik? Brata, którego dawno temu zabił dwunastoletni chłopiec, broniący swego domu? A może stracone dlań na wieki pobratymstwo?

\*

Twierdza była niemała - Winitar zdołał rozmieścić ludzi Promienia i strażników w różnych krańcach zamku, aby nie wchodzili sobie nawzajem w oczy. I jedni, i drudzy byli żądni krwi, ale Strażnik Bramy Północnej nie chciał, aby w jego siedzibie doszło do zabójstw.

Mal-Gona ucztował u Trójroga na Wyspie Jabłek, a Deksza i Aptachar, poranieni w bitwie, sami oddali swoje pasy starostów. Wódz, który poniósł cielesny uszczerbek, nie może już przynosić powodzenia tym, których prowadzi w bój. Wojowie z trzech oddziałów podjęli decyzję jeszcze przy Przegrodzie i nad wszystkimi postawili Ertanę. Na szczęście rana nie zagrażała już jej zdrowiu i życiu. A ten, kto by powiedział, że dwudziestu sześciu mężom nie przystoi słuchać rozkazów dziewczyny, ryzykowałby, że stanie przeciw niemu dwadzieścia sześć mieczy.

Poza wojami i służbą mieszkało w zamku niemało różnego rzemieślniczego ludku: płatnerzy,

tych, co robili tarcze, tych, co robili łuki, rymarzy, kowali i wielu, wielu innych, których tu wymienić niepodobna. Obsługiwali nie tylko ludzi Winitara (choć ich, ma się rozumieć, w pierwszej kolejności), ale i przyjezdnych kupców. Tylko patrzeć, jak pod murami powstanie nowa osada. Haliradczycy bez trudu znaleźli kaletnika i zamówili u niego za zebrane od wszystkich pieniądze pas starosty dla Ertany - ze złożonymi blachami. Pas musiał być koniecznie wykonany ze skóry tura, przy czym ściągniętej od razu na polowaniu, kiedy zwierz już otrzymał śmiertelną ranę, ale jeszcze nie wyzionął ducha.

- Takie pasy, powiadają, pomagają w rodzeniu - powiedział któryś z Solwenów, kiedy opasywano Ertanę. - Słyszysz, dziewczyno?

Wojowie zaśmiali się, a Welchinka wyszczerzyła białe zęby i dorzuciła nieprzystojne słowo.

\*

Dungormowi, który omal nie poniósł straszliwej śmierci z rąk rozbójników, przybyło w brodzie wiele siwych włosów. Ale sam wyraził życzenie, by stanąć na czele oddziału i eskortować Haliradczyków do ich miasta. Po pierwsze, tak nakazywał honor Winitara. Ci ludzie zrobili dlań wszystko, co od nich zależało, i nie szczędzili wysiłku w obronie jego narzeczonej. Jakże mógł teraz odprawić ich, nielicznych i słabych jeszcze od ran, samych przez niebezpieczne i nieprzyjazne krainy?

A po drugie, pozostawieni sam na sam strażnicy i ludzie Promienia po- podrzynaliby sobie wzajem gardła, jeszcze zanim wieczór by nastał. A do tego Winitar też nie mógł dopuścić.

- Znam ich wszystkich, mój panie, a oni znają mnie - przekonywał go Dungorm. - Sądzę, że zdołam ich powstrzymać. Poza tym na pewno po powrocie staną na sądzie swych bogów i swego knezia. My ślę, że i wtedy przyda się człowiek bezstronny, ze znakomitego rodu się wywodzący, który...

- Czy naprawdę taki bezstronny? - uśmiechnął się Winitar. - Lepiej powiedz uczciwie, że boisz się o swego przyjaciela Wena i chcesz mu pomóc, by mógł się wytłumaczyć.

- ...który naświetliłby wydarzenia, mając na względzie tylko prawdę, a nie własne uczucia - nieco urażony dokończył Dungorm. - Nawet jeśli wyrobiłem sobie zdanie, komu należy podziękować za uratowanie panienki, to nie z powodu sympatii. A jeśli chodzi o pochodzenie, nie ustępuję żadnemu z nich, może tylko kneziowi!

- Niech będzie, jak chcesz, przyjacielu. - Winitar się poddał. - Ciężko mi było bez twojej mądrej rady, a ledwieś powrócił, już znowu mnie opuszczasz!

\*

Wilczarz i Ertana jak wprzódy zajmowali jeden pokój i to ich bliskie sąsiedztwo stanowiło niewyczerpane źródło żarcików. Ertana odpowiadała na żarty żartami, a Wilczarz po prostu milczał. W porównaniu z nim Welchinka była prawie całkiem zdrowa. Ćwiczyła obie ręce, wymachiwała dwoma drewnianymi mieczami jednocześnie. I co sił w nogach pędziła po medyka za każdym razem, kiedy Wilczarza powalał atak kaszlu. Zdarzało się to teraz często, za każdym razem leżał potem pół dnia, z trudem pokonując słabość i mdłości. Nawiedzały go sny: to o

Kan-Kendarat, to o dziewczynce z rodu Plamistych Jeleni, to o Tilornie i Neelith. Medyk - niestary jeszcze Segwan, łysy jak nadmorski kamień - leczył go porostami, liśćmi żurawin, roztopionym sadłem i proszkiem z suszonych turkuciów. Do proszku zalecał pić strasznie słodki syrop, który Wilczarzowi wydawał się jeszcze bardziej paskudny niż sam specyfik. Wen nie żywił nadziei na wyzdrowienie, niemniej bez sprzeciwu połykał wszystko, co przynosił mu medyk. Był nieco zdziwiony, kiedy kaszel przestał być tak dokuczliwy, a rany zaczęły się po trochu zablizniać. I już nie musiał przymuszać się do zjedzenia miski kaszy.

Mimo to medyk powiedział pewnego razu swemu kunsowi:

- Panie mój, wiem, że chcesz odprawić Haliradczyków do domu. Decyzja należy do ciebie, ale ja bym doradzał zatrzymać Wena tutaj.

- Dlaczego? - spokojnie zapytał Winitar.

- On jest chory. Może nie wytrzyma trudów podróży. Poza tym myślę, że panienka bardzo się ucieszy na jego widok, kiedy powróci z gościny u górali - dodał medyk dla pewności. - Słyszałem, że sama mianowała Wena swoim ochroniarzem i nigdy nie była z niego niezadowolona...

- A co mówi sam Wen? - spytał Winitar.

- On chce jechać, panie mój.

Strażnik Północnej Bramy obojętnie wzruszył ramionami.

- No to niech jedzie.

\*

Rzeka, którą Wilczarz wypatrzył z murów twierdzy, nazywała się Girlim. W języku jednego z górskich plemion, które zamieszkiwały niedaleko stąd, ale nie odgradzały się od świata, jak plemię Iczendarów, Girlim znaczyło Śpiewający Strumień. Rzeka brała początek z potoków spływających z lodowca, a dążąc w dół na równiny, stworzyła zadziwiającej urody wodospady. Czy skały w tych okolicach były tak nadzwyczajne, czy to strumyki rozdzielały się tak udatnie - tego nikt nie wiedział. Dość że Girlim, podskakując na skalnych występach, w rzeczy samej nie ryczał, nie grzmiał, lecz przepięknie śpiewał. Niektórzy nazywali to cudem nad cudy. Górale uważali Śpiewający Strumień za siedzibę Wyższych Sił i mówili, że bogowie i boginie dźwięcznie śmiali się tam, obłapiając się wzajem. Jeszcze dwieście lat temu kapłani z gór każdej wiosny próbowali odgadywać, któremu z bóstw tej rzeki brakuje ukochanej lub ukochanego. I w zależności od tego, co odpowiedziała wyrocznia, rzeka dostawała w darze dziewczynę lub młodzieńca. Ale ziemie te najechał Gurcat, a Śpiewający Strumień, w odróżnieniu od Tych-co-nie-śpią-w-podziemiach, nijak nie mógł pomóc swoim dzieciom. Przeto ofiary skończyły się raz na zawsze. Natomiast z dalekich krain zaczęli się zjeżdżać ciekawscy podróżnicy, gotowi szczerze zapłacić za obcowanie z cudem. Górale prędko doszli do wniosku, że podejmowanie gości niesie większe korzyści niż zabieganie o względy kapryśnej rzeki. I na miejscu starej świątyni zbudowali całą wioskę przeznaczoną dla przyjezdnych. A bogowie i boginie jak gdyby nigdy nic nadal śmiali się i przekomarzali w wodospadach. Ludźmi w ogóle się nie zajmowali. A na tych, którzy są ci tak obojętni, nie ma się co obrażać.

Trochę poniżej, tam gdzie Girlim zbierał wody innych ruczajów oraz rzeczek i gdzie był już dość

szeroką rzeką, mieszkali wschodni Welchowie. Ścinali drzewa i co roku jesienią w zatokach czekało na odpowiedni czas kilka ogromnych tratw. Jesienią zawsze padały obfite deszcze. Girlim potężniał i wtenczas spławiano tratwy. Wysoki stan wód pozwalał flisakom ominąć progi, w pobliżu których w suchą porę roku opędzić się nie można było od złych ludzi. Na tratwach ze względu na bezpieczeństwo lubili podróżować kupcy i wędrowni rzemieślnicy. Mądry Winitar, kiedy został Strażnikiem Bramy Północnej, zaproponował Welchom ochronę. Welchowie sami byli wojownikami co się zowie, ale małe plemię nie chciało sprzeciwić się potężnemu sąsiadowi. Zresztą Winitar zachowywał się tak, aby nie obrażać odważnych ludzi.

Już drugi rok z rzędu na tratwach wraz z miejscowymi spływali rzeką Girlim kupcy, którzy przyjechali specjalnie do Welimoru. Miejsca wystarczy dla wszystkich: i dla Haliradczyków, i dla oddziału, który dał im jako eskortę Strażnik Bramy Północnej.

\*

- Ty też jedziesz? - zdziwiła się Ertana, usłyszawszy o decyzji Wilczarza. - I zostawisz knezinkę? Ona ci wierzyła jak nikomu innemu...

Przyzwyczała się do pasa starosty, w jej zachowaniu pojawiły się pewne cechy władczości. I - co mogło wydać się dziwne na pierwszy rzut oka - wyraźne oznaki macierzyńskie, czego przedtem w ogóle w niej nie było. Wilczarz bardzo się zdziwił, kiedy to zauważył. Ale potem zastanowił się i zrozumiał, o co chodzi. Wódz mężczyzna w sposób nieunikniony staje się dla swoich ludzi kimś w rodzaju ojca. Jeśli jest szacownym wodzem. Dlatego że myśli i troszczy się o nich jak ojciec o synów. Dlatego że wojom, którzy pozostawili swe rodziny, źle jest bez rodzicielskiej troski. A jeszcze i dlatego, że zaprawdę silna potrafi być tylko rodzina.

I oto kobieta, która za zasługi została wybrana na wodza, staje się dla swoich wojów matką.

Niemniej Wilczarz nie chciał o tym rozmawiać nawet z Ertaną. Powiesz słowo, a potem nie można już odstąpić, trzeba wyłożyć wszystko od początku do końca. O sobie, o knezince i o Winitarze. A im mniej ludzi będzie wiedzieć o rodowej wrogości Wilczarza i Winitara, i o rozpacz, która omal nie popchnęła knezinki w objęcia innego mężczyzny, nie jej narzeczonego, tym lepiej. W tym również dla samej Ertany. Wilczarz potarł przez opatrunek biodro głęboko pokaleczone przez strzałę i powiedział Welchince:

- Panience beze mnie będzie tu lżej niż ze mną.

Szarooka starościna otworzyła usta, żeby dopytać dlaczego... ale popatrzyła na Wena, rozmyśliła się i dała mu spokój.

Nastał dzień odjazdu...

Wilczarz cały majątek nadal mógł zmieścić w pustym na poły worku, który nosił na ramieniu. I jak wprzód na dnie stareńkiej połatanej sakwy spoczywał skarb: młot, którego dębowa rękojeść pamiętała rękę jego ojca, kowala Miedzomira. Kiedy nad Przegrodą rzucił się w bój, który mógł być dla niego ostatnią bitwą, postanowił cisnąć ojcowski młot w przepaść. Lepiej, by spoczął na dnie i służył Tym-co-nie-śpią-w-podziemiach w ich kuźni, niż znowu wpadł w łapy złych ludzi. Ale teraz Wen był wdzięczny przypadkowi czy jakiejś nieznannej sile, która powstrzymała go przed tym

krokiem.

Jego prawą rękę, złamaną powyżej łokcia, jeszcze chroniły łubki. Nie chciała się zrastać i bolała bardzo. Wilczarz przypiął miecz, przełożył pasek przez ramię, umieścił broń tak, by móc sięgnąć poń lewą ręką. Choć wcale nie był pewny, że w razie czego będzie w stanie dobrze sieknąć. Miał ledwie tyle sił, by przechadzać się pod murami twierdzy. Cóż, zanim dojadą do Haliradu...

Zdjął z drewnianego haczyka płaszcz i przewiesił go sobie przez ramię. Wydawało się, że tak niedawno szary zamszowy płaszcz był nowiutki, piękny i czysty. Wilczarz doskonale pamiętał, jak początkowo starał się nawet nie kłaść go na ziemi. Bał się zabrudzić. Od tamtej pory szlachetny szary zamsz zdążyły nadpalić iskry przydrożnych ognisk, poplamzić błoto, strugi deszczu... i krew, ma się rozumieć. Rzemieślnicy, mieszkający w twierdzy, wyczyścili płaszcz najlepiej, jak potrafili, ale większa część plam okazała się nie do wywabienia.

- Niczego nie zapomniałeś? - zapytała Ertana i schyliwszy się, zajrzała pod obie ławy. Wilczarz patrzył na jej giętkie plecy przepasane w talii szerokim pasem z błyszczącymi blachami. Przyjemnie patrzeć, jak porusza się piękny żywy człowiek, w szczególności kobieta.

- Chodźmy! - powiedziała Ertana.

Siarko i Śnieżynka stały w jednej z zamkowych stajni wraz z innymi końmi. Biała klacz bardzo tęskniła do swej pani i zawsze wyciągała szyję na powitanie Wilczarza, najwidoczniej mając nadzieję, że zaraz za nim przyjdzie knezinka. Ale knezinki wciąż nie było. A teraz jeszcze Śnieżynka będzie musiała pożegnać się z Wilczarzem i koniem przyjacielem, z którym pospołu kłusowała od samego Haliradu. Nic to! Na piękną klacz już popatrywał potężnie zbudowany złoty Sanajgau. Popatrywał, rżał słodko i znacząco. Jeśli ich dopuścić - źrebięta będą przepiękne...

Śnieżynka zrozumiała, że Wilczarz przyszedł się pożegnać. Kiedy pocałował ją w ciepłe chrapy i chciał odejść, chwyciła go zębami za rękaw i długo nie puszczała.

Tratwy czekały w zatoce, gotowe wyruszyć z prądem w dół rzeki. Były olbrzymie, długie na odległość strzału. Na jednej z nich, najobszerniejszej, rozstawiono namioty i drewniane budki, które z całą pewnością nie były puste. Na tej tratwie płynęli kupcy. Haliradczycy dostali dwie inne, nieco mniejsze. Welimorska eskorta podzieliła się na trzy części, aby w razie niebezpieczeństwa bronić wszystkich. No i trzeba było jeszcze bronić nawzajem przed sobą zwaśnionych Haliradczyków.

Droga prowadząca z twierdzy do zatoczki kończyła się nad samą wodą, więc ładowanie rozpoczęło od razu. Konie parskwały i odwracały łby, strachliwie przysiadły na tylne kopyta. Choć tratwy były porządnie zbite, wydawały im się niezbyt pewnym podłożem w porównaniu z twardą ziemią. Jednakże zaufanie do jeźdźców brało górę i konie jeden za drugim wstępowały na szeroki trap.

- Jestem Strażnikiem Bramy Północnej i nie mogę pozostawić złożonych tu na mnie obowiązków - głośnie, aby wszyscy słyszeli, oświadczył Winitar, kiedy wyjeżdżali z twierdzy. - W moim imieniu pojedzie do Haliradu poseł, szlachetny Dungorm. Opowie ojcu narzeczonej, że nadal jestem jej narzeczoną i nie zamierzam wyrzekać się zobowiązań, które przyjąłem na siebie, kiedy

powziąłem zamiar zostania zięciem wielmożnego knezia. Wysłałem już do Haliradu gołębia z posłaniem. Opowiedziałem w nim o tym, jak straszna przygoda się przytrafiła mej narzeczonej niemal na progu mego domu. Szlachetny Dungorm także powiezie list, w którym dokładnie opowiadam, co się stało. Mam nadzieję, że to pozwoli gospodarowi Gluzdowi ustalić prawdę, a na pewno będzie chciał jej dociec. Mam także nadzieję, że wkrótce będę mógł mu donieść o szczęśliwym powrocie jego córki i o tym, jak panna knezinka zostanie powitana w mym domu.

Dungorm, gnąc się w pełnym uszanowania pokłonie, przyjął z rąk kunsza skórzany pugilares z listem. List ten na pewno był przypieczętowaniem losu wielu osób. Wilczarz od razu pomyślał, że w drodze do domu pewnie zacznie się polowanie na ten pugilares. Ale potem doszedł do wniosku, że chyba jednak nie. Ci, których Promień mógłby wysłać na takie polowanie, spoczywają na dnie Przegrody. A na to, by działać jawnie, bojar raczej się nie poważy...

Dungorm wybrał tratwę, na której rozłożyli się strażnicy. Nad tą tratwą podniesiono jego chorągiew. Winitar sam wrzucił do rzeki czarnego koguta, prosząc o dobrą drogę dla wędrowców. Flisacy zabrali trapy, odwiązali liny i napaarli na mocne tyki, odpychając się nimi od brzegu. U wyjścia z zatoki porwał ich mocny prąd rzeki Girlim. Tratwy skrzypiały, chwiały się, pomiędzy bierwionami chlupotała woda. Siarko, któremu Wilczarz kazał leżeć, wzdragał się i żałośnie popatrywał na pana. Nawykli do spływu flisacy sprawnie operowali długimi wiosłami, wyprowadzając tratwy na środek rzeki, gdzie prąd był najbardziej wartki. Mętne ciemne wody pluskały i gwarzyły, niepowstrzymanie płynąc ku dalekiemu morzu.

Nieruchome sylwetki jeźdźców widać było jeszcze przez jakiś czas w oddali, a potem zniknęły za zakrętem.



*Wesoły czarownik ci kiedyś wywróżył,  
że żadnych nie zaznasz strat.  
Nikt w poprzek ci w drodze nie stanie,  
a jeśli i stanie, to nie będzie rad.*

*Bogactwo i odwaga to rękojmia szczęścia,  
A tyś i śmiały, i bogaty.  
Jeżeli ktoś ci stanie na przeszkodzie,  
nie żałuj go, bo to nie są straty.*

*Odwaga mężów i uroda kobiet,  
Ledwie zażyczysz sobie -już to masz!  
Ale trafiła kosa na kamień,  
spotkałeś mnie twarzą w twarz.*

*Ze mną nie znajdziesz zgody po dobroci,  
jak to między ludźmi bywa.  
W grobie widziałem twoje srebro,  
a siłą - nawet okowy się zrywa!*

*Nie będzie litości ani sądów innych,  
nie załatwisz tego przez najemne sługi:  
Rozsądzi nas jeno para mieczy i  
Prawda, w świecie nie ma takiej drugiej.*

*Bogactwo i władza zostały na boku,  
Teraz musisz bronić się sam.  
Któremu z nas - tobie czy mnie  
Zycie darują Niebiosa?*

*W świętym kręgu tylko Prawda  
i honor, i miecz. Czyj będzie cichy skon?  
Z tego kręgu żywy wyjdzie jeden  
Z nas. Krzyczy stado wron.*

## **Rozdział 15**

### **Prawda Bogów**

Podróż na tratwach zaczęła się spokojnie. Wielka rzeka Grlim majestatycznie płynęła pomiędzy brzegami, na których leżała cienka warstwa mokrego śniegu. Gdzieś w toni, na dnie spoczywały niegroźne o tej porze roku progi, przez całe lato szczyzące swe granitowe kły. Mijając takie miejsca, flisacy z przyzwyczajenia wpatrywali się w las czerniejący na brzegach. Latem, kiedy trzeba było opróżniać łodzie i przenosić wszystko brzegiem, mogli się natknąć na wielkie watahy zbójców, które miały chrapkę na cudzą własność. Szczególnie groźni rozbójnicy grasowali tu w czasie segwańskich wędrówek, przed bitwą na Trzech Wzgórzach, gdy w kraju panował zamęt. Dzięki bogom, od tamtej pory wiele się zmieniło, złoczyńcy częściowo się wycofali, a częściowo położyli głowy pod miecze dobrych ludzi. Przy kataraktach zaczęły wyrastać osady. W osadach osiedlali się ludzie: połowa z nich to wojowie i ich dowódcy, druga połowa - rzemieślnicy, służba, ludzie obsługujący tych, którzy podróżowali tratwami. Nie skrzywdzą, a i tratwy przeniosą bez mała na własnych ramionach. Tylko im zapłać.

Kiedy zbliżali się do takich miasteczek, flisacy dęli w rogi i przyjaźnie wymachiwali rękami. Odpowiedź z brzegu nie była tak pełna radości. Wymiana uprzejmości nic nie kosztuje, a tym razem nikt nie chce twoich usług, więc też nikt nie zapłaci.

W dwóch miejscach zasadzili się doskonali łucznicy. Do strzał przyczepili listy do Haliradu i wystrzelili je w stronę tratw. Wspaniała to sprawa!

Nikt nie napadał na podróżników. Zionąca straszliwym odorem Przegroda chyba połknęła wszystkich, którzy mogli zagrażać tak licznemu oddziałowi. Minie kilka lat i niebezpieczna rzeka Grlim stanie się uczęszczanym wygodnym traktem. Jakie zmiany przyniesie tej krainie sojusz Welimoru i kraju Solwenów?

Kiedy Grlim dopłynął wreszcie do Matki Świątyni i mięciutko osadził na jej kolanach tratwy wraz z ludźmi i końmi, wędrowcy spoglądali na brzegi już bez najmniejszego strachu. I marzyli o tym, by jak najszybciej znaleźć się w domu.

Wilczarz czuł, że nikomu nie jest tu potrzebny. Nie było ani chłopców, którzy potrzebowali go jako nauczyciela, ani pani, której bezpieczeństwa pospołu strzegli. Wyjeżdżając z Haliradu, spodziewał się wszystkiego. Że go zabiją po drodze ci, którzy mieli zabić panią. Że zabije go albo każe zabić Winitar, kiedy rozpozna w nim śmiertelnego wroga... Tylko jedno nie przyśniło mu się nawet we śnie. Że jego posługa ochroniarza skończy się tak dziwnie.

Ciągle wracał myślami do wszystkich swoich działań i postępów i nie znajdował ani błędów, ani zaniedbań. Zrobił dla pani wszystko, co leżało w jego mocy. Ponadto u Iczendarów było jej na pewno lepiej niż u nienawistnego narzeczonego. Co zatem gryzło go cały czas? Nie wiedział. Wiedział tylko, że jego dusza nie zaznałaby spokoju, nawet gdyby osobiście przekazał knezinkę Winitarowi. Który, o ile zdołał się zorientować, był synem Ludojada wedle więzów krwi, ale wcale

nie był jego synem duchowym. Może gdyby knezinka poznała jego miłość, byłaby szczęśliwa w małżeństwie i zapomniała o swym młodzieńczym uczuciu. Może by tak było, ale patrzeć w jej oczy, kiedy znowu złapałaby go za ręce i samym spojrzeniem błagałaby go o jedno: obroń mnie...

Czy to wszystko spotyka go za to, że zabił Ludojada nocą i nie wyzwiał ścierwa na pojedynek?

Przechadzał się po tratwie, starał się ćwiczyć pokaleczone ciało i posepnie myślał o tym, że bogowie mimo wszystko zostawili mu furtkę. I to już nie pierwszy raz. Mogli go przecież zamknąć na wieki w podziemiach zamku Ludojada - a jednak nie zamknęły. Nawet w boju na skraju Przegrody zachowali go przy życiu. I nie postawili go przed ostatecznym wyborem: kogo zdradzić - knezinkę czy siebie. Zatem jest im jeszcze do czegoś potrzebny. Do czego?

Na drugą noc po wpłynięciu na Świątynię Wilczarz jak zwykle ułożył się pod osłoną żagla, przy ciepłym boku zawiniętego w derkę Siarka. Pocziwy koń początkowo bał się czarnej wody szumiącej mu przy samym uchu, ale potem - dzięki bliskiej obecności pana - uspokoił się i przyzwyczaił. A może po prostu odezwała się w nim krew: konie tej rasy Segwani z dawien dawna wozili na statkach z wyspy na wyspę, a nawet brali w długą podróż przez morze...

Wilczarz przytulił się do ciepłego, miarowo wznoszącego się boku Siarka, głębiej nasunął futrzany kaptur, który chronił od wiatru. I pomyślał, że chora ręka zapewne znowu nie da mu spać. Złamane kości cały czas bolały, czasami tak strasznie, że nic tylko się rzucić z tratwy w wodę.

Tak... - pomyślał. Przyszła kryśka na matyska. Kiedyś wszystko się na mnie goiło jak na psie. Coś się we mnie zmieniło. Już nie jestem tym, kim byłem.

Złapał się na tym, że pokłada wielkie nadzieje w Tilornie i Neelith, którzy oczekują na niego w Haliradzie. I jeszcze przyszło mu do głowy, że ręka z całą pewnością nie da mu zmrużyć oka tej nocy. I jakoś nawet pogodził się z tą myślą. I jak gdyby nigdy nic zasnął.

Naturalnie zaraz obudził go jakiś nieświadomy ruch, który sprawił mu ból. Albo on się poruszył, albo Siarko. Wilczarz otworzył oczy i popatrzył na namiot Dungorma. Oddzielało go od niego jakieś piętnaście kroków. Czujny instynkt ochroniarza kazał mu przebiec wzrokiem po wszystkich miękkich wzgórkach otaczających namiot. Tak spali Welimorzanie z eskorty, zakrywali się od zimnego wiatru narzutami albo śpiworami.

Pies to pies, niewesoło pomyślał o sobie Wen. Pani nie ma z nami, a ja ciągle jestem na straży.

Wśluchał się w senny oddech swojego konia i znowu pomyślał o tym, ileż to jego płaszcz widział różnych różności. Wystarczająco dużo, aby z paradnego stroju stać się zwykłym przyodziewkiem. Potem jeszcze raz otworzył oczy, popatrzył na namiot... i momentalnie stał się czujny. Psu, za którego w połowie się uważał, zaczęła się podnosić sierść na karku, a czarne wargi rozchyliły się, by ukazać błyszczące kły. Na tratwie spali wszyscy poza kilkoma wartownikami i flisakami, którzy niespiesznie poruszali wielkimi wiosłami z dwóch stron tratwy.

Trzeba było Wena, który widział w ciemnościach, i wielkiego szczęścia, aby spostrzec ledwie dostrzegalny ruch - jeden z futrzanych wzgóreczków zbliżał się do podróżnej siedziby Dungorma.

Gacek, który ułożył się w ciepłym miejscu pod płaszczem, natychmiast wyczuł, jak jego pan się naprężył, i wysunął ciekawski nosek. Wilczarz ostrożnie przesunął zdrową rękę i nakrył zwierzaka

dłonią. Gacek zrozumiał sygnał, przyczał się. Ręka Wilczarza powędrowała dalej - w stronę pasa, po nóż.

Człowiek, który udawał śpiącego, znowu się poruszył i jeszcze na pół piędy zbliżył do namiotu. Wilczarz zaczął gorączkowo rozmyślać.

Spodziewał się jak zawsze najgorszego i doszedł do wniosku, że na tratwę dostał się ktoś z wyznawców Morany Śmierci.

Co chce ten człowiek uczynić? Zabić Dungorma? Natnie róg namiotu i rozpali małą kadzielnicę, wypełnioną ziołami bez smaku i zapachu, który mógłby kogoś obudzić? A potem wpuści do namiotu kunę, nauczoną, jak przegryzać śpiącemu gardło?...

Wilczarz jak przez mgłę przypomniał sobie nawet, że jeden z Welimorzan miał przy sobie takie zwierzątko.

...Albo po prostu podczołga się do wejścia i wysmaruje deszczułki kleistą trucizną, która zabija nawet przez ubranie, nawet przez grube podeszwy butów.

A może ten człowiek w ogóle nie ma żadnych krwiożerczych zamiarów, tylko szuka osłony od porywów chłodnego wiatru?

Wilczarz popatrzył, jak z nieba spadają rzadkie płatki śniegu, osadzają się na bierwionach. Nie. Wiatr wiał z drugiej strony.

Wen dobył nóż z pochwy, przygotował się do rzutu i zaczął wyczekiwać. A trzeba było raczej skoczyć i ująć zabójcę żywcem, ale nie mógł. Ledwie zabliznione rany pozwoliłyby mu zrobić najwyżej dwa kroki i zwały go z nóg. A jeśli zacznie krzyczeć, alarmować -jak potem dowiedzie swej racji? Wyznawcy Śmierci znani byli właśnie z tego, że nikt nie podejrzewał, iż są zabójcami, dopóki nie zostali złapani na gorącym uczynku. Zatem pozostało tylko czekać. I modlić się, aby nie było za późno.

Czas mijał powoli. Człowiek to przybliżał się do namiotu na werszek, to znowu na długo zamierał nieruchomo. On też potrafił czekać. Wilczarz nie spuszczał zeń oczu. Kiedy nieznajomy znalazł się w odległości pół arszyna od namiotu, spod futrzanej narzuty wychynęły ręce i ostrożnie wysunęły się naprzód. Wen, którego zabójca w tym momencie nie mógł widzieć, nagle się podniósł. W powietrzu świsnął nóż. Wilczarz do końca się obawiał, że skrzywdzi niewinnego. Ciężki nóż, który mógłby rozplatać czaszkę, przygwoździł jedną z wysuwających się rąk. I dopiero usłyszawszy głuchy odgłos wbijającego się ostrza, Wilczarz zaczął krzyczeć. Krzyczał na całe gardło, wołał wartowników. Doskonale zdawał sobie sprawę, ile go będzie kosztował ten gwałtowny ruch i ten krzyk. I rzeczywiście. Poczł, jakby pod żebra wbiło się kilka strzał, pociemniało mu w oczach. Ale swoje już zrobił. Przyłapany zabójca nawet w połowie nie jest tak straszny. Niech teraz dowodzi, czego szukał w środku nocy pod namiotem Dungorma. Przecież Wen nie przytaszczył go tu siłą.

Wystraszony Siarko wstał. Wilczarz stracił oparcie i ciężko opadł w dół, zwijając się w ataku kaszlu.

Jak przez mgłę słyszał tumult, kroki, krzyki i rzenie koni, a potem plusk, jak gdyby do wody

wpadło coś ciężkiego. Później, kiedy odzyskał oddech, ludzie mu opowiedzieli: zraniony przezeń człowiek wyrwał nóż z bierwion i własnego ciała i przebiegł na drugą stronę tratwy, skąd było bliżej do brzegu. Skoczył do wody. Wojowie strzelali za nim, ktoś przysięgał, jakoby słyszał odgłos strzały wbijającej się w ciało, ale była czarna noc, nikt nie mógł z całą pewnością stwierdzić, co się stało z zabójcą. Czy rzeczywiście dosięgły go przypadkowe strzały, czy odebrała siły lodowata woda, czy dopłynął do brzegu i zdołał się uratować - tego nikt się nie dowiedział.

Jeszcze przez jakiś czas po tym wydarzeniu Gacek, przeraźliwie piszcząc, uganiał się za biegającym po pokładzie niewielkim zwierzątkiem w białym zimowym futerku. Łasica to chowała się w szczelinach pomiędzy bierwionami albo pod jakieś przykrycie, to wyskakiwała jak sprężyna w górę, próbując atakować skrzydlatego nieprzyjaciela. Gacek nie odważył się na pojedynek z wściekłym małym drapieźnikiem, który potrafi nawet, jak powszechnie wiadomo, wleźć do ucha łosiowi i zagryźć go na śmierć. Po prostu go nie odstępował, cały czas wisiał mu nad głową i rozdzierająco wrzeszczał. Wreszcie łasica zwinnym skokiem znalazła się na ostatniej desce tratwy i popłynęła za panem, jak wąż wijąc się w czarnej wodzie, wśród padającego śniegu.

Ludzie na tratwie chodzili jak błądźni. Zwłaszcza Dungorm - nocny zabójca, jak się okazało, przyczał się w jego oddziale. Rankiem nie mogli się doliczyć jednego człowieka, który wcale nie był u nich nowicjuszem. Wszyscy go znali, wszyscy lubili się pośmiać przy jego opowiastkach, które potrafił snuć po mistrzowsku. Wszyscy znali i jego pupilkę łasice. Niektórzy nawet krzywo popatrywali na Wilczarza. Ale potem zaczęli przypominać sobie różne rzeczy o zaginionym: że on z nikim się nie przyjaźnił, choć bliskie przyjaźnie były jak najbardziej w zwyczaju wojów. Nikt nigdy nie był razem z nim w łaźni - zawsze mył się sam, tłumaczył, że takie są obyczaje jego narodu. A łasica miała dziwny zwyczaj - nocą biegała po ciałach śpiących i łaskotała ich w szyje...

- Czy można mieć do kogokolwiek zaufanie? - pytał Dungorm. Głos mu drżał. Dwulicowość woja, którego znał od paru lat, wstrząsnęła szlachetnym Narlakiem bardziej niż groźba śmierci. Nawet bardziej niż straszliwa przygoda nad Przegrodą, kiedy rozbójnicy mieli go rozerwać końmi.

Po naradzie Welimorzanie udali się na kraniec trawy. Tam po kolei rozbierali się do naga. Towarzysze oglądali golca od stóp do głów - szukali tajemnego Znak Ognia namalowanego odwrotnie. Ale nie znaleźli.

Wilczarz przez jakiś czas ponuro przechadzał się po tratwie, potem podszedł do wojowniczej Ertany.

- Uderz mnie, proszę, z całej siły pięścią w brzuch - poprosił ją.

- Tylko powoli.

Stał przed nią i nie wiedzieć czemu, zamknął oczy. Ertana wzruszyła ramionami, zakasłała i wypuściła cios pięścią płynnie do góry i do przodu. Pięści Welchinka miała, ma się rozumieć, dwa razy mniejsze niż męczyzna. Ale, jak twierdzili ci, którzy mieli okazję się z nimi spotkać, choć małe, potrafiły wymierzać ciosy dwa razy bardziej cięte i bolesne. Wilczarz, nie otwierając oczu, odwrócił się na palcach, ręka dziewczyny trafiła w pustkę. Lewą dłonią złapał pięść Ertany, zrobił krok w bok i obrócił nadgarstek dziewczyny ku sobie.

- Nieźle! - zachwyciła się starościna, obracając się jeszcze raz i upadając na kolano. - To chwył tego twojego... jak to się nazywa?

- Kan-kiro - przypomniał Wilczarz. - Niech światem rządzi miłość.

- Dobrze sobie, miłość! - odburknęła Ertana.

Wydawała się Wenowi istnym wcieleniem kobiecości. Jego naród tak wyobrażał sobie boginie. Kobieca siła i kobieca delikatność. Niestłuchana odwaga i pociągająca uroda.

- Nie spiesz się tak - poradziła mu Ertana. - Lepiej się najpierw podleczyć.

- Ciekawe, czy on będzie czekał, aż wyzdrowieję - odparł Wilczarz.

- On? To znaczy kto? - spytała wojowniczką. Wilczarz popatrzył jej prosto w oczy.

- Promień. Któż by jeszcze?

- Myślisz, że on cię...?

- Może i nie - westchnął. - Ale muszę wiedzieć, do czego się nadaję. Ertana się zasępiła. Nie była gadatliwa. Spytała tylko krótko:

- A po coś mrużył oczy?

Wen wzruszył ramionami, a właściwie tylko lewym ramieniem, gdyż poruszanie prawym nadal sprawiało mu ból.

- Po prostu na wypadek, gdybym oślepl jak Deksza - odrzekł.

- Nikt mnie z moją zbójcką gębą na piekarza nie weźmie.

Tej nocy, w głuchą godzinę, tratwy przepłynęły obok ruin zamku Ludojada. Minęło jeszcze parę dni i śniegu na brzegach zaczęło ubywać, dało się wyczuć zapach morza. I oto o świcie po lewej ręce na chwilę ich oczom ukazała się znajoma zatoka, a za nią, nad brzegiem - polana pośrodku sosnowego boru. To tutaj słonecznym latem, które się już nie powtórzy, knezinka uczyła się samoobrony. Dzień był mglisty i pochmurny, minęło jeszcze niemało czasu, zanim z przodu zamajaczyły wieżyce stołecznego Haliradu.

\*

Kneź Gluzd, syn Nesmejana, w otoczeniu bojarów i mieszkańców miasta wyszedł na spotkanie wracającego w niesławie poselstwa. Świątynia przy ujściu rozlewała się na niemal półtorej wiorsty i niosła wody leniwie, majestatycznie. Wilczarz widział, jak dopłynęła i stanęła przy brzegu pierwsza tratwa, a kneź objął schodzącego z niej Promienia jak ojciec obejmuje ukochanego syna po długiej rozłące. Podejrzliwemu Wenowi powitanie to wydało się trochę dziwne. Winitar sam mówił, że posłał gołębia z listem do knezia. Wilczarz oczywiście tego listu nie czytał, ale się domyślił, że młody kuns nie wychwalał w nim Promienia pod niebiosa. Wenowi przemknęło przez myśl, że Lewy też miał gołębie i też napisał list do knezia. A kneź wolał uwierzyć krewniakowi.

A może gołąbek Winitara w ogóle nie doleciał? - pomyślał Wilczarz. Promień, zdaje się, nie zapomniał zabrać i łowczego sokoła?

Uważnie przeczesywał wzrokiem tłum wysypujący się z miasta. Próbował odszukać znajome twarze. Miał wyrzuty sumienia, bo nie zdołał w księżeczce z brzozy kory dojść do ostatniej stronicy. Zdawało mu się, że za szpalerem strażników (...a właściwie dlaczego wystawiono

straże?) dostrzegł popielate kędziory Tilorna, ale w tym momencie tratwa, pędząc przed sobą niewielką falę, ze skrzypieniem i zgrzytem najechała na piasek przybrzeżnej mielizny. Wojowie mocno trzymali konie za uzdy - wierzchowce, stęsknione za twardą ziemią, rżały i gotowe były zeskakiwać na ląd, nie pilnując porządku ani kolejności szarż i przynosząc wstyd właścicielom.

Pierwszy - jak to się z urzędu należało znakomitemu wojowi - na brzeg zstąpił ze swymi Welimorzanami Dungorm. Potem na piasek zeszli strażnicy. Wilczarz opuścił tratwę jeden z ostatnich. Ledwie zdążył postawić nogę na lądzie, usłyszał głos knezia. Gospodar rozmawiał z Promieniem. W ten się wzdrygnął - rozmowa dotyczyła jego.

- Jak to się stało, żeś przywiózł tego drania niezakutego w kajdany? - głośno, aby naród usłyszał, pytał gospodar Gluzd, wyciągniętą ręką wskazując Wena.

Wilczarz natychmiast pomyślał o mieczu, który niósł na plecach. Jak i wprzódy nosił niezwiązany "rzemyczek dobrych zamiarów". Na szczęście drewnianej pieczęci ze znakiem knezinki, przyzwalającej na noszenie miecza, nikt mu jeszcze nie odebrał. Nie miał najmniejszego zamiaru dać się zakuć w kajdany. Choćby nie wiadomo co. Niech go lepiej zabiją. Zaraz potem pomyślał o Tilornie i pozostałych. Co z nimi będzie, jeśli...

Strażnicy, na czele których stał Brawlin, niechętnie ruszyli w jego stronę. Otoczyli go kręgiem. Doskonale wiedzieli, że bez walki się nie podda.

- Hej, hej, wy tam! Powoli! - stanowczo wmieszała się Ertana. Strażnicy z wielką ulgą zatrzymali się, ze zdziwieniem spoglądając na piękną Welchinkę w połyskującym złotymi blachami pasie starosty. A Ertana, silną ręką odepchnąwszy kilku z nich na bok, podeszła do Wilczarza i stanęła obok niego, a za nią pospieszili wszyscy pozostali ludzie z haliradzkiego oddziału: dwudziestu sześciu mężów. Niemal wszyscy byli niegdyś strażnikami w Haliradzie.

- Witaj nam, gospodarze Gluździe, synu Nesmejana! Obyś długie lata żył i rządził na ziemi swych przodków! - Dźwięczny głos Ertany zabrzmiał dobitnie. - Szanujemy twoją Prawdę wodza. Wszyscy wiedzą, że nigdy nie ukarzesz człowieka, nie zbadawszy sprawy. I ty, i twoja córka jesteście sprawiedliwymi sędziami!

- Co to za jedna? - kąciem ust, ćwierćgłosem spytał najbliższych kneź.

- Taka zabawna dziewczka z Krynicy, nikt jej za męża nie chciał wziąć, to do nas przystała. - Promień pogardliwie wykrzywił wargi. - Powiadają, że sypia z Wenem.

Spryt, stojący po prawej ręce wodza, wypowiedział się głośniejszym, niż było trzeba:

- To Ertana, córka Mochty Szybkich Nóg i wnuczka znakomitego Kiriana Podróżnika. Była z tobą na Trzech Wzgórzach i tam po chowała narzeczonego.

- Ach tak - wymamrotał kneź, przyglądając się wojowniczo. I spytał z ponurą goryczą, ale już bez uprzedniej groźby w głosie: - Wszystkich mam was do lochu wtrącić?

Przez szereg strażników przedarł się Audyka. Stał u boku ojca i rzekł:

- Przeciwko memu rodzicielowi nie pójdę nawet na twój rozkaz, panie. - Wodził oczami po pustym rękawie Aptachara.

- Widzisz, synu, jużem się nawojował - ozwał się doń Aptachar. - Będziesz mnie karmić? Nie

wyrzucisz kaleki?

- Czemu mi ubliżasz przy ludziach, ojczy? - odparł Audyka urażony.

Tymczasem tu i tam w tłumie rozległ się gorzki płacz. Niektórzy z mieszkańców miasta nie znaleźli wśród młodych strażników swoich braci i synów. Ci, co mieli więcej szczęścia, napierali na wąty szpaler ochrony, starając się jak najszybciej przytulić ocalałych krewnych, zabrać ich do domu, aby obmyć, leczyć i wypytywać. Wilczarz wypatrzył nareszcie w ciżbie Tilorna. Takich platynowych włosów jak mędrzec nie miał żaden z jasnowłosych Solwenów i Segwanów. Neelith wspięła się na palce, wyglądając zza jego ramienia. Chwilę potem obok nich pojawiła się głowa w okazałych złocistych lokach. Eurych. Dziadka Warocha z wnuczkiem na pewno zostawili w domu. Wilczarz upewnił się, że przyjaciele go dostrzegli, i skinął im głową. I zaraz poczuł, jakby ktoś pieszczotliwie pogładził go po policzku.

Dungorm zostawił swoich Welimorzan i podszedł do miejsca, w którym stał haliradzki władca.

- Panie - zwrócił się z pokłonem do Gluzda. Pozwól, gospodarze, w imieniu mego pana i moim własnym zapewnić cię, że podzielamy twój gniew i ból, i podobnie jak ty pragniemy ukarać winnych te go, co się stało. Pozwól jednakże zapytać, co sprawiło, że tą straszną winą obarczyłeś ochroniarza panienki, którego zowią Wilczarz?

Gluzd był zagniewany. Łatwo wpadał w złość, zwłaszcza po śmierci ukochanej żony. Nie dziwota, że szalał z wściekłości, straciwszy jeszcze i córkę! Bywał nieubłagany, popędliwy, ale głów niewinnych ludzi nie ścinał - ani kiedyś, ani teraz.

- Mój witeź i krewny, którego uważam za syna, przysłał mi gołębia z listem. Wszystko opisał. Mało ci jeszcze? - burknął.

Dungorm ponownie się uklonił, na znak szacunku dla woli i poglądu knezia. Ale nie miał zamiaru rezygnować.

- Mój pan też wysłał gołębia z listem, gospodarze. Ja, niegodny sługa, w miarę swych możliwości pomagałem szlachetnemu kunsowi napisać ów list. Toteż dobrze znam jego treść. I zapewniam cię, gospodarze, że żadnych oskarżeń pod adresem ochroniarza panienki w nim nie było! Pozwól spytać, czyś dostał list mego pana?

Najpierw Wilczarz zobaczył, że bojar Spryt pokręcił głową. A potem usłyszał pełną gniewu odpowiedź samego władcy:

- Nie dostałem żadnego listu!

Według Wena o losie tego gołębia wiedział najlepiej łowczy sokół, który już dawno strawił jego delikatne ciało. A leciutki popiół listu rozniosły zapewne po świecie wesole wiatry, które wiały od strony Bramy Północnej Welimoru.

- Mój pan - ciągnął Dungorm - zdawał sobie sprawę, jak ważny jest ten list, i nawet przewidział, że w drodze może się coś z nim stać. Albowiem świat nasz jest niedoskonały, a Zło czai się wszędzie. Dla tego szlachetny kuns przekazał mi kopię tamtego listu, potwierdzoną jego ręką i pieczęcią, którą dobrze znasz, gospodarze. Oto ten list! Od wyjazdu nosiłem go na piersi.

Dungorm rozpiął podbitą ciepłym futrem kamizelę, zdjął przez głowę plecionkę i podał kneziowi



jaskrawoczerwony cylinderek z na- woskowanej skóry. Wilczarz zrozumiał, po co skradał się nocą nasłany zabójca. Chciał zabrać ów pojemnik. A winą za śmierć Dungorma obciążyliby znowu ich, strażników.

Kneź tymczasem złamał żółtą woskową pieczęć, wyjął i rozwinął przewiązany kolorowymi sznureczkami rulon. Tłum Haliradczyków zafalował, oczekując, że władca ogłosi teraz swój wyrok. Byli tacy, co bali się o los przyjaciół, ale dla reszty sąd knezia był jeno zwykłą rozrywką.

Przeczytawszy kilka pierwszych linijek, Gluzd, syn Nesmejana, popatrzył na Prawego.

- Ty też czytaj...

Siwowłosy olbrzym zmrużył oczy i zaczął czytać, zaglądając przez ramię knezia. Wódz był o półtorej głowy niższy od niego.

- I co on tam takiego nawypisywał... - wymamrotała Ertana. Była bardzo zdenerwowana. Z powodu sądu i swojego starszeństwa, do którego jeszcze nie zdążyła się przyzwyczaić. A bo to wiadomo, czy kneź uzna jej szarżę? Może wysmieje?

- Zapewne napisał prawdę - również niezbyt głośno odpowiedział Wilczarz.

Hospodar zwykle szybko podejmował decyzje.

- Podejź no tu, ty! - wycodził przez zęby, wzywając Wilczarza. W ten się domyślił, że gospodar Gluzd jest wściekły na los, który nie pozwalał mu natychmiast wyładować złości na tym łajdaku. Ale haliradzki kneź nie mógł pozwolić sobie na oszukaństwo.

Wilczarzowi nie spodobał się jego ton, lecz nie miał wyboru, musiał pójść. Zebrani przycichli w oczekiwaniu.

- Czemu chodzisz po moim mieście z rozwiązaną pochwą? - zaatakował Wena władca.

Wilczarz z ledwością powstrzymał się, aby nie odpowiedzieć: "To nie twoje miasto. Ty, kneziu, jesteś najęty, by służyć temu miastu. Uważaj, żeby cię nie przepędzili, jeśli zaczniesz tak ludzi obrażać". Ale nie uległ pokusie i odpowiedział tak:

- Moją pochwę rozwiązała własną ręką twoja córka, gospodarze. A jej rozkazu nikt do tej pory nie odwołał.

- Mojej córki nie ma tu z nami! - ryknął kneź.

Wilczarz przypomniał sobie szafirowe oczy swego śmiertelnego wroga.

- Winitar odnajdzie panienkę, kneziu. Na pewno odnajdzie.

- A więc to tak! - Gluzd, syn Nesmejana, tupnął nogą. - Mój zięć cię nie powiesił i ja tego nie zrobię. Ale żeby noga twoja w moim mieście nie powstała i żeby cię tu więcej nie widział. Idź precz!

Bojar Spryt, niezadowolony z decyzji wodza i bliskiego przyjaciela, zmarszczył krzaczaste brwi. Później, kiedy kneź ochłonie, Prawy, jak to już nierzadko bywało, spróbuje z nim porozmawiać i złagodzić srogi sąd. Wtrąciłby się już teraz, ale z doświadczenia wiedział, że nic nie zdziała, może tylko zaszkodzić.

Wilczarz nic nie wiedział o zamiarach Spryta. Ponuro rzekł:

- To nie tak, kneziu!

Gacek, który siedział mu na ramieniu, groźnie rozpostarł skrzydła i zasyczał.

Zdawało się, że Gluzd, syn Nesmejana, stał się jeszcze wyższy.

- Milcz!

Wilczarz odpowiedział z chmurną determinacją i tak, jak gdyby za jego plecami stała nie gromadka obszarpanych strażników, lecz wojsko trzy razy liczniejsze od haliradzkiego:

- A ty mi ust nie zamykaj! I nóg o mą godność, kneziu, nie wycieraj! Albo jestem winny, albo racja jest po mojej stronie! Jeślim winny - ze tnij mi głowę. A jak nie jestem winny, to czemu z miasta mnie wyganiaasz!

- Oto widzisz, krewniaku, z jakim zuchwalcem musiałem mieć do czynienia, kiedy wiozłem siostrę do Welimoru - westchnął znużony Promień.

- Wen dobrze mówi! - powiedział Spryt.

- Może mam cię jeszcze wynagrodzić, ochroniarzu? - spytał kneź, wykrzywiając usta w niedobrym uśmiechu.

Wilczarz patrzył na niego bez drgnienia powiek.

- Nagrodą było dla mnie zaufanie knezinki. Spytaj lepiej swego bojara, dlaczego tak nastawał na to, aby przewieźć knezinkę przez rzekę Siwur, zanim na drugi brzeg przepравиło się wojsko. Na tamtym brzegu Welimorzanie złapali...

- Na kogo rzucasz oskarżenia, człeku podłego stanu? - przerwał mu Gluzd. - Kimże jesteś, że witezia i mego krewnego oskarżasz?

- Panie... - zaczął Dungorm, ale Wilczarz sam wystąpił w swej obronie.

- Jestem człowiekiem! - powiedział, jak i wprzódy patrząc kneziowi prosto w oczy. - Stworzyli mnie bogowie, a ich sprawiedliwość wisi nade mną tak samo jak nad tobą!

Później rozpamiętywał tę rozmowę, siedząc na brzegu, i dziwił się, skąd się wzięło w nim to krasomówstwo. Może umysł wyostrzył się w tak ważnej chwili, a może ktoś niewidzialny szeptał do ucha odpowiednie słowa. Ale kto? Bogowie? Tilorn? Miecz pradziada?

- Gospodarze! - odezwał się Dungorm. - Przeprowa przez rzekę Siwur wyglądała tak, jak mówi Wen. Jestem świadkiem. - Omiótł wzrokiem cicho rozmawiających strażników i dodał: - Jest jeszcze jeden świadek. Szlachetny Aptachar był wtenczas starostą oddziału Segwanów.

Aptachar, wyrwany z nagła do odpowiedzi, postąpił krok do przodu i kiwnął głową. I chyba dopiero później zdał sobie sprawę, że poświadczył na korzyść znenawidzonego Wena. Dungorm opowiadał dalej:

- A na drugim brzegu rzeki Siwur, gospodarze, moi wojowie ustrzelili zabójcę, który zaczął się na jodle. Jego kryjówkę odkryliśmy dzięki Wilczarzowi. Co by się stało z panią, gdyby nie chroniła jej eskorta? Wybacz, panie, nikogo nie chcę obwiniać, ale...

Kneź milczał. Na jego twarzy pojawiły się purpurowe plamy. Odwrócił się do Promienia i widocznie groźne musiało być jego wejrzenie, gdyż młody bojar odparł półgłosem:

- Wychowałem się w twoim domu i byłem ci synem, wujaszku Gluzdzie. Czy to możliwe, byś słuchał rad jakichś obcoziemców? Byś wierzył im, a nie mnie, twemu krewniakowi i witeziowi

twojej drużyny? Przecież wiesz, że ja...

Kneź przerwał mu gwałtownie.

- Wiem tylko tyle, że kazałem ci odwieźć dziewczynę do narzeczonego, a teraz Hellona jest nie wiadomo gdzie! Wysłucham choćby Żadoby, jeżeli tylko pomoże mi wszystko wyjaśnić! - Znowu odwrócił się w stronę Wilczarza i nakazał: - Mów, Wenie!

I Wilczarz zaczął opowiadać.

- Dalej mieliśmy objechać Trzęsawisko Kajerańskie Nową Drogą. Tymczasem bojar uparł się, byśmy pojechali Starą. Moja wina, że nie potrafił przekonać panienki.

Dungorm westchnął i spuścił głowę. Też obwinał się za to w myślach.

- Chcielibyśmy się dowiedzieć - podchwyciła Ertana - gdzie był ze swoimi ludźmi twój bojar, kiedyśmy bili się w świątyni. Nie znaleźliśmy żadnych śladów boju!

- Żaby łapali w bagnie! - dźwięcznie, z welskim akcentem odezwał się ktoś stojący w tłumie. Haliradzcy Welchowie Promienia, syna Łękawy, nigdy nie darzyli względami.

- Za to - ozwał się Deksza - zginęła służka Warea, bardzo podobna do panienki. Była ubrana w suknię, którą podarowała jej pani! Zabili ją, bo myśleli, że to twoja córka, gospodarze!

Deksza przytrzymał się czyjś ramienia, ale głowę trzymał dumnie.

- Rozbójnicy raczej nie zabijają dziewcząt tak wysokiego stanu - zauważył Spryt. - Porywają je, aby potem zażądać wykupu. Jaką korzyść mieliby z jej śmierci?

- Knezinkę ktoś chciał zabić wtenczas na rynku - przypomniał któryś z witezi. - I też nie wiadomo dlaczego.

- Tamto było na rynku - warknął Spryt. - A to w środku lasu! Promień nieobecny spojrzeniem patrzył gdzieś w dal. Kiedy człowiek nie próbuje się usprawiedliwić, to zawsze robi wrażenie.

- Możemy udowodnić, że ktoś polował na panienkę - znowu odezwała się Ertana. - Służebnicy odcięto głowę, a potem wrzucono ją do ogniska. Zrobili tak, kiedy się przekonali, że to nie ta dziewczyna!

Gdzieś daleko w tłumie kobieta zaniosła się płaczem.

- Tej nocy, gospodarze - powiedział Dungorm - twój bojar powadził się z ochroniarzem i kazał panience, aby zdecydowała, czyich rad od tej pory będzie słuchać: jego czy Wena. I panienka wybrała Wena!

- Twój bojar bardzo się obraził, kneziu - parsknęła Ertana. - Więc potem panienka szła piechotą z nami, ze strażnikami, a on jechał o pół wiorsty z tyłu.

- Pewnie dlatego nie zdążył przyjść nam z pomocą, kiedy rozbójnicy spychali nas w przepaść - powiedział Dungorm. - Jego wojowie pojawili się jednocześnie z konnymi mego pana, gdy szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę, a most, przez który panienka przeszła na drugą stronę Przegrody, został zniszczony.

Zrobiło się cicho, tylko szeptem radzili nad czymś strażnicy. Wiele jeszcze mogli przypomnieć z tego, co robił Promień, syn Łękawy. Kneź też odwrócił się w stronę młodego bojara. I było widać, że haliradzki władca nie chce już wypytywać, jak to się stało, że Promień nie przywiózł Wilczarza w

kajdanach.

- Co odpowiesz, Promieniu?

Lewy wzruszył wspaniałymi ramionami.

- Odpowiem, krewniaku, że nigdy nie przypuszczałem, jak łatwo rzucić potwarz. Ale zapewniam cię, że każdy postępek można wytłumaczyć na różne sposoby...

- Pewnie o tym napisałeś w swoim liście - odważnie rzuciła Ertana. Kneź przygwoździł ją spojrzeniem.

- Wy tam! Czy zdajecie sobie sprawę, coście tu naopowiadali?

- Oprócz nas jest jeszcze dwudziestu sześciu ludzi - odparł Dungorm. - I ośmielę się powiedzieć, gospodarze, że przysięgając przed obliczem bogów, ani jeden z nich nie zaprzeczy naszym słowom.

- Moi wojowie też mogą przysiąc przed obliczem bogów - obojętnie powiedział Promień. - A jest ich o wiele więcej. Ponadto doskonale wszyscy wiemy, że bogowie nie zawsze i nie od razu demaskują krzywoprzysięzców...

- Można ponaglić ich sprawiedliwość! - rzekł Wilczarz.

Nikt nie zauważył ruchu, po prostu miecz jakimś dziwnym sposobem nagle znalazł się w lewej ręce Wilczarza. Wzorzysta klinga srebrzyła się nawet w pochmurną pogodę. Wskazywała prosto w pierś Promienia. To było wyzwanie na pojedynek. Na Sąd Boży.

\*

Dzień już przeszedł linię południa. A najlepsza pora na Sąd Boży to świt, kiedy niebo jest jeszcze czyste, niezmacone grzechami ludzi i młody bóg słońce patrzy na świat, kąpiąc się w promieniach chwały, pełen sił i chęci, by sprawować sprawiedliwy sąd nad ziemią. Pozostałą część dnia i całą noc uczestnicy pojedynku mieli spędzić w zamku, w pojedynczych celach. Tam będą pościć, rozmyślać i rozmawiać z bogami.

Wilczarzowi nie udało się nawet na chwilę zajrzeć do domu, do pracowni Warocha. Strażnicy otoczyli jego i Promienia i zaprowadzili do twierdzy. Wszyscy widzieli: Promień kroczył z podniesioną głową, a Wen ponuro spuścił wzrok. Patrzył pod nogi. Jeszcze tylko tego mu brakowało, aby się potknął na oczach wszystkich i rozjątrzył rany!

Przed celą Brawlin zatrzymał Wilczarza.

- Wiesz co, Wenie, oddaj mi swoją broń... Niech do jutra poleży w świątyni.

Obaj pamiętali, jak raz Brawlin już chciał zabrać mu miecz pół roku temu.

- Broń - spokojnie odparł Wilczarz - oddam tylko kneziowi albo knezince, albo bojarowi Sprytowi.

- Dobrze sobie! - parsknął jeden z młodych strażników. - Zaraz ci tu gospodar przyleci!

- To spróbuj mi odebrać miecz - odpowiedział Wilczarz, nie podnosząc głosu.

Młodzian nie zamierzał wszczynać z nim sporu, nasłuchiwał się widocznie o wyczynach Wena.

- Idź - polecił mu dowódca. - Przyrowadź tu Spryta, syna Milovana.

W tym momencie podszedł do nich Attalik. Bardzo zmęźniał. Wilczarz poznał to nie tylko po

postawie, nie tylko po szerokości ramion, ale raczej po spojrzeniu, wyrazie oczu.

- A może mnie oddasz miecz, Wilczarzu? - spytał młody Segwan. - Jestem starszym synem kunsa, a mój ród nie ma sobie równych w tym mieście!

Sprzączki nie były zbyt wygodne, aby rozpiąć je lewą ręką. Wilczarz dłuższą chwilę szamotał się z nimi, wreszcie rozpiął je i wyciągnął w stronę Attalika dwie pochwy: z nożem i z mieczem. Był pewny, że chłopiec prędzej umrze, niż pozwoli komukolwiek dotknąć broni. A już tym bardziej ją uszkodzić.

Strażnicy ułożyli się nieopodal drzwi i przez całą noc pilnowali Wilczarza, podpatrując go przez otwór w drzwiach. Nigdy nie wiadomo - może zacznie odczyniać uroki albo wyprawiać jakieś czarnoksięskie sztuczki. A poza tym zaglądali z czystej ciekawości.

Widzieli, jak Wen, posiedziawszy chwilę na ławce, bardzo ostrożnie zdjął ciepłą kurtkę i zaczął wykonywać jakieś ruchy. Doświadczeni wojowie wiedzieli, że przygotowuje się w ten sposób do pojedynku. To, co robił, przywodziło na myśl taniec albo jakieś rytualne obrzędy. Niespieszny taniec stawał się stopniowo coraz bardziej skomplikowany. I coraz groźniejszy. Strażnicy przywarli do otworu w drzwiach. Gdyby w tym momencie pojawił się dowódca, zobaczyłby pięć zgiętych grzbietów. Wilczarz jak gdyby ścierał się z kimś, kto atakował go bronią, prowokował do zadawania ciosów, parował je i odpierał, a potem wytrącał z wrażej dłoni miecz... i dobijał przeciwnika. I to wszystko lewą ręką.

Strażnicy doskonale wiedzieli, że Promień jest znakomitym wojownikiem. Najpierw myśleli, że rozprawi się z Wenem bez ceregieli i bez wysiłku. Ale teraz po naradzie zmienili zdanie. Pojedynek z jednorękiem nie będzie dla Promienia dziecinną igraszką. W każdym razie żaden ze strażników nie zamieniłby się miejscami z bojarzem.

W celi nie było nawet najmniejszego okieneczka. Pomieszczenie znajdowało się wewnątrz nasypu pod ziemnym wałem twierdzy. Wilczarz ćwiczył przy skąpym świetle łuczywa. Potem, ku bezmiernemu zdziwieniu strażników, powoli obrócił otwartą dłoń w stronę światła. I podrygujący niespokojnie w odległości dwóch arszynów ognek zgasł, jakby go ktoś zdmuchnął. Przedtem chłopcy coś takiego znali tylko z opowiadań, ale nie widzieli na własne oczy.

Wilczarz, któremu światło nie było potrzebne do ćwiczeń, z zadowoleniem kiwnął w ciemnościach głową. Wyciągnął zgaszone łuczywo z żelaznego tygla, wbił pomiędzy bierwiona - dla Gacka. Owinął się płaszczem i położył spać.

\*

*Ojciec Wilczarza nie co dzień wykuwał oręż, ale syn pamiętał, jak w domu dla gości zatrzymywali się znakomici wojowie, którzy przyjeżdżali właśnie do mistrza Miedzomira. Zamawiali u niego miecze ze sławnej weńskiej wzorzystej stali. Miedzomir był bardzo wymagający. Nawet za największe pieniądze nie zrobiłby miecza dla złego człowieka, dla rozbójnika albo bogatego nicponia, który zapragnął mieć drogocenną zabawkę. Nie wszystko można sprzedać za pieniądze, nie wszystko można kupić. Miecz to rzecz święta. W mieczu zaklęta jest Prawda Bogów.*

*Z dawien dawna najlepsi kowale pochodzili z rodu Szarego Psa. Nie było niezadowolonych wśród zamawiających - wszyscy sławili mistrzostwo Miedzomira. Umiał nie tylko wytopić cudowną stać i zamienić ją w znakomitą klingę, ale potrafił jeszcze zademonstrować wszystko, czego można ową klingą dokonać. Rudowłosego pierworodnego syna Miedzomira w takie dni nie można było pozbyć się z kuźni. Oczu od ojca nie odrywał, chciał nauczyć się wszystkiego, do czego jeszcze, jako zbyt młody, nie był dopuszczany. Wcale nie marzył o tym, aby stać się witeziem i brać udział w wyprawach knezia. Chciał zostać kowalem. Tak jak ojciec. Ale czy młody Wen może uważać się za mężczyznę, jeżeli nie wie, z której strony miecza ma być rękojeść?*

*Nie mógł się doczekać, kiedy osiągnie odpowiedni wiek, aby uporządkować wszystkie skrawki podpatrzonej wiedzy i zaczerpnąć z siebie i z otoczenia owo coś, co pozwala nazywać się wojem i mężczyzną...*

*W nocy, kiedy na wioskę napadli Segwani, Miedzomir zginął ugodzony strzałą. Został trafiony w plecy. Mieczem nikt nie dałby rady go pokonać, ale walczył jeden przeciw wielu i nie zauważył łucznika, który podkraść się od tyłu. A syn kowala, kiedy serce znowu zaczęło mu bić po chwili grozy, zrozumiał, że tę strzałę wystrzelili miłośnicy bogowie. Nie mogło być inaczej. Co stałoby się z ojcem, gdyby Ludojad zaczął go zmuszać do niewolniczej pracy? Może siedziałby w drugiej klatce, naprzeciwko Tilorna?*

*W kamieniołomach Szary Pies zadziwił współtowarzyszy niedoli swoim dziwnym obyczajem - każdego dnia, kiedy kończyła się praca i zmęczeni ludzie bezsilnie osuwali się na kamienną posadzkę, aby jak najprędzej przełknąć pozbawioną smaku strawę i natychmiast zasnąć, kościsty młodzieniec zaczynał skakać na wszystkie strony, wymachując niewidzialnym mieczem, który istniał tylko w jego wyobraźni. Początkowo rzucono weń kamykami, bo pobrzękujące kajdany nie pozwalały zasnąć. Pewnego dnia zawołał go milczący Monomatańczyk o połyskującym czarnym ciele, jak gdyby wyciosanym z kamienia krwawnika. Już wypluwał resztki płuc w kopalnianym kaszlu.*

*- Byłem wojownikiem - powiedział Szaremu Psu. - Popatrz, jak my walczymy...*

*Monomatańczyk umarł dwa dni później. Był pierwszym z wielu nauczycieli, których Szary Pies spotkał przez siedem lat niewoli. Ich nauki niewiele pomagały mu w wiecznych walkach z nadzorcami. Dlatego że przeciwnik, którego sobie wyobrażał, różni się od prawdziwego, jak myśl o śmierci od Niej Samej. I jeszcze dlatego że bardzo nieliczne narody opracowały chwyt, które byłyby obliczone na kajdany i łańcuchy...*

\*

Nocą Gacek znalazł pod powałą szczelinę, wydostał się na zewnątrz i wyprawiał na polowanie. Wilczarz, obudziwszy się przed świtem, spuścił bose nogi na brzożową podłogę, dokładnie rozczesał włosy kościanym grzebieniem, ukląkł i zaczął się modlić. Wenowie nader rzadko padali przed swoimi bogami na twarz. Jaśni Bogowie chcą, aby ludzie wznosili się ku nim ku górze, a nie pełzali ze strachu po ziemi. Ale teraz Wilczarz nie bogów przyzywał. Rozmawiał ze swymi

nauczycielami. A nauczyciel to taki sam człowiek jak i ty sam, tylko mądrzejszy i lepszy. Dlatego przed kimś takim można pochylić głowę i zgiąć kolana.

Gacek, który powrócił z nocnej wyprawy, niespokojnie zapiszczał i zawisł tuż nad głową Wilczarza. Wen podstawił mu dłoń. Do łapki zwierzaka był przywiązany kawałek kory brzoźowej, mocno ściągnięty nitką.

“Miły nasz Wilczarzu! -z bijącym sercem odczytał wyraźne solweńskie litery. - Tak bardzo cię kochamy. Na pewno zwyciężysz. A o nas się nie martw”.

Podpisu nie było, lecz wcale nie był potrzebny. Wen nie bardzo znał się na piśmie, ale rękę Neelith rozpoznałby wśród tysięcy.

Jeszcze nigdy nikt nie przysyłał mu listu... Chciał przeczytać liścik drugi raz, lecz litery nie wiedzieć czemu rozplynęły mu się przed oczami.

\*

Środka haliradzkiego rynku nigdy nie zajmowały kramy. Ulice w mieście były z bierwion albo z desek, a środek tego placu wyłożono sześciokątnymi dębowymi klepkami. Wisiała tam na dwóch mocnych słupach wielka metalowa płyta - uderzeniami w nią wzywali ludzi ci, którzy czuli się skrzywdzeni. Tam, na rozścielanym kobiercu, ustawiano stolec knezinki, kiedy przyjmowała przybyłych do miasta, kupców. Tam ustawili swój podest kapłani, którzy głosili wiarę w Bliźniaczych Bogów. Tam też rozsądzano szczególnie ważne sprawy, a nie takie błahostki jak dawna zwada Wilczarza i Warocha.

Dzisiejsza sprawa bez wątplenia wymagała opieki bogów. I, ma się rozumieć, obecności wszystkich mieszkańców miasta, od najstarszego do najmłodszego. Ochroniarz knezinki, wywodzący się z pospolitego stanu, oskarżył wielkiego bojara o złe zamiary wobec młodej władczyni. A nawet wyzwiał go na pojedynek, chociaż sam - wszyscy to widzieli - miał prawą rękę w łubkach. Musiał mocno wierzyć w swą rację i w swoje siły. Będzie na co popatrzeć!

Ludzi, którzy mieli na pieńku z Promieniem, synem Łękawy, było w mieście sporo. Natomiast stroniący od ludzi Wen, choć może się to wydać dziwne, zdążył zaskarbić sobie życzliwość wielu. I w dzielnicy Welchów, i na ulicach rzemieślników, i wśród miejskich strażników. A nawet w drużynie. Gawiedź jeszcze przed świtem zapełniła plac targowy. Młodzież zaopatrzyła się w prażone orzeszki i ciasteczka. A ci, którzy nie zabrali smakołyków z domu, mogli zakupić je u sprytnych sprzedawców przechadzających się w tłumie z przenośnymi kramikami. Starsi poprzynosili składane ławeczki. Ludzie czekali.

Jak tylko weszło słońce, od strony zamku wyruszył uroczysty orszak. Na czele, na ulubionym gniadym wierzchowcu jechał Gluzd, syn Nesmejana, mroczny jak burzowa chmura. Za kneziem podążał bojar Spryt i najważniejsi witezie z drużyny. W otoczeniu wojów jechali dwaj uczestnicy pojedynku. Promień na swoim wronym rumaku, z Kanaonem i Pliszką jako giermkami. I Wilczarz na Siarku. Attalik, skupiony i blady po nieprzespanej nocy, wioził jego miecz. Nocą chłopiec odważył się wyciągnąć go z pochwy na pół palca i przyrzczyć się wzorkowi na klindze. A teraz trząsał się ze strachu, że bogowie nie darują mu takiej śmiałości. Dobrze chociaż, że nie poważył się

dotknąć ostrza! Wojownicze Ertanie powierzono okrągłą czerwoną tarczę roboty mistrza Warocha. Choć prawdę mówiąc, tarcza miała się znaleźć na rynku jedynie dla porządku i ozdoby. Aby użyć tarczy w pojedynku, trzeba było mieć sprawne obie ręce.

Wilczarz płynnie unosił się i opadał w siodle, starając się nie narażać na wstrząsy chorego ramienia. I tak czekała go jakże trudna przeprawa, po co jeszcze jątrzyć ból po próżnicy. Uważnym spojrzeniem obiegał zgromadzenie, szukając znajomych twarzy. Ale znajomych twarzy było na razie niezbyt wiele. Napatoczył mu się jedynie chłopak od piekarza z przewieszonym przez ramię kramem z bułeczkami. Ci, którzy naprawdę przyszedli tutaj, aby życzyć mu powodzenia w walce, na pewno zajęli już miejsca na rynku. Był szczerze zadziwiony, kiedy zauważył, że machają doń przyjaźnie ludzie, z którymi nigdy nie zamienił nawet słowa. Po chwili namysłu doszedł do wniosku, że to wyraz ogólnej niechęci do bojara Promienia.

\*

Haliradzcy kapłani nie uzurpowali sobie prawa do pośrednictwa pomiędzy ludźmi i bogami. Ich zadaniem było tym razem tylko wyznaczenie na chropawej nawierzchni rynku równego kręgu, w którym miał się odbyć pojedynek. Wyrysowali koło dębowym węglem przyniesionym ze świątyni w maleńkiej kadzielniczce. Ludzie nie mogli się nadziwić, że kapłani - młody i starszy - brali tłące się węgle gołymi rękami i się nie parzyli. Miejsce Sądu Bożego powinno być czyste. A złe siły odstępują przed ogniem, żelazem i dobrym dębem.

Dojechawszy do rynku, jeźdźcy pozsiadali z koni i stanęli przy kneziu, który już zajął honorowe miejsce na czerwonym stolcu. Wilczarzowi zdało się, że Gluzd patrzy z jednakim obrzydzeniem i na niego, i na Lewego. Ale nie ma się co dziwić! Zjawia się skazaniec z takich, o których w Haliradzie powiadają "nikt o nijakim imieniu", i oświadcza, że człowiek, którego kneź wychował od małego chłopca, spiskuje przeciw władcy. I jeszcze śmie stawać do pojedynku, żeby udowodnić swoją rację!

Kneź skinął na Spryta. Bojar zabrał głos.

Wielu mieszkańców miasta było dzień wcześniej na brzegu i widziało całe zajście, a reszta zdążyła się już od nich wszystkiego dowiedzieć. Ale Prawda wymagała, aby dokładnie wyłożyć rzecz całą. Spryt przypomniał ludowi, jak sformowano dla knezinki eskortę, jak naznaczono Promienia starszym nad wszystkimi. I o tym, jak młoda władczyni postanowiła wynająć ochroniarza Wena, którego zwał Wilczarz. I zażądała, aby Wen towarzyszył jej w drodze.

- Już wtedy - mówił Spryt - było widać, że tych dwóch nie ma do siebie za grosz zaufania. Bojar przy wszystkich nazwał Wena złodziejem, a Wen odmówił najęcia do ochrony knezinki ludzi, których przy prowadził Promień, syn Łękawy...

Wilczarz wypatrzył w tłumie pięcioro swoich domowników, a obok potężnych pomocników mistrza Pokrzywy. Zrobiło mu się lżej na sercu. W myślach wyciągnął rękę do swych przyjaciół i znowu - jak w pamiętny dzień odjazdu - poczuł ciepłe muśnięcie rozumu Neelith, a potem Tilorna. Z całych sił życzyli mu zwycięstwa. I bardzo się o niego bali, chociaż starali się tego nie okazywać.

Prawy tymczasem odczytał ludziom list Promienia. W tłumie dało się wyczuć wzburzenie. Na



pewno wielu uznało to posłanie za wielce kłamliwe. A może wręcz przeciwnie - za wielce przekonujące. Koniec końcem nawet sam gospodar Gluzd uwierzył. Wilczarz wsłuchiwał się w słowa przekazu z całkowitą obojętnością. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby wyszedł z siebie przed walką.

Spryt podniósł rękę, przywołując Haliradczyków do porządku, a kiedy zrobiło się cicho, zaczął czytać list Winitara. Ten, który - jak wyjaśnił - próbowano wykraść w drodze. List okazał się mniej więcej zgodny z oczekiwaniami Wilczarza. Winitar beznamiętnie opisywał wydarzenia, których był świadkiem. Przywoływał także zeznania wziętych do niewoli rozbójników - co powiedzieli na torturach, zanim zostali zrzućeni na dno Przegrody. List nie dawał podstaw do tego, aby Wilczarza o cokolwiek oskarżyć. Bój przy moście został opisany ze swadą: tu Winitar skorzystał z opowiadań naocznych świadków. W liście podejrzenie zabrzmiała tylko wzmianka o tym, że ktoś obiecał pono zwrócić wodzowi rozbójników miecz.

- Czy chodzi o twój miecz, Wilczarzu? - zapytał Prawy. - Przecież on niegdyś należał do Żadoby, prawda?

Wilczarz przez chwilę pomyślał, a potem odparł ponuro:

- Stałeś obok tronu knezinki, kiedy rozsądzała sprawę miecza.

Sprytowi nie pozostało nic innego, musiał przypomnieć ludowi i kneziowi o tym, jak mistrz Warach "rozpoznał" w Wilczarzu Żadobę i co było dalej:

- Pani uznała Wena za niewinnego i orzekła, że od dziś widzi ten miecz w dobrych rękach.

Gluzd, syn Nesmejana, siedział bez słowa, ale Wilczarz zauważył, że dłoń knezia to gładzi dębowy podłokietnik tronu, to ściska go tak, że mocne drewnoomal nie rozlatuje się na kawałki. Bojar Promień był pełen takiej godności, jakby to jego, a nie Wilczarza niesłusznie posądzono. Wen przyglądał mu się uważnie, starał się wychwycić wszelkie wskazówki świadczące o kondycji zdrowotnej i zamiarach Promienia. Po jakimś czasie był już pewien, że wierni przybocznicy zdołali przekazać niby to poszczącemu bojarowi kielich wina i kryształek szarego proszku. Jeden jedyny. Aby wyostrzyć do granic możliwości wszystkie zmysły i rozum, aby każdy muskuł napętnił się zabójczą siłą. I rzeczywiście bojar prężył ramiona pod płaszczem tak, jak gdyby przez pół nocy ćwiczył z mieczem. Kiedy ich oczy przypadkiem się spotkały, Wilczarz ostatecznie się przekonał, że się nie myli. Promieniowi białka nabiegły krwią, a źrenice się rozszerzyły tak, że prawie znikły tęczęwki. Wilczarz pamiętał jeszcze z katorżniczych czasów, do czego zdolny jest człowiek w takim stanie.

Od wiosny trzeci raz walczę na Bożym Sądzie... - przemknęło przez myśl Wenowi. Ale po raz pierwszy o swój honor. Chociaż to zależy, z jakiej strony popatrzeć...

Gluzd, syn Nesmejana, wstał. Tłum falował - zaczyna się!

- Bojarze - zwrócił się kneź do Promienia. - Należysz do znakomitego rodu i możesz zażądać, aby ktoś cię zastąpił w walce z tym człowiekiem. Chcesz, aby w twoim imieniu bił się ktoś inny, czy sam staniesz w obronie swego stanowiska?

Pliszka i Kanaon jednocześnie wysunęli się do przodu. Wilczarz wydawał się im odpowiednim

przeciwnikiem. Ale Promień odparł:

- Mojego honoru nie może splamić dotknięcie człowieka z pospólstwa, a na dodatek nikkzemnika. Sam mu odpłacę za siostrę.

Wilczarz nie mógł wyjść ze zdumienia. Czyżby Promień do tego stopnia gardził bogami i miał za nic Ich Sąd? - zapytał się w myślach. A potem przypomniał sobie, że niewolników szarego proszku trudno mierzyć miarą zdrowego rozsądku. No cóż, Promień zapewne jest święcie przekonany, że nie on, lecz Wilczarz wydał rozbójnikom "siostrę" i skazał ją na pewną śmierć!

Kneź tymczasem odwrócił się w stronę byłego ochroniarza córki i powiedział:

- A ty, Wilczarzu, jeszcześ nie wyzdrowiał, rany jeszcze ci się nie zagoiły. Ty również możesz komuś powierzyć obronę swej sprawy innemu wojownikowi.

Wen przestąpił z nogi na nogę i wypowiedział słowa, które Haliradczykom dane było zapamiętać na długo:

- Będę walczył sam, gospodarze. A tego, kto głosi nieprawdę, niech pokarze jego własny miecz.

\*

Promień miał wspaniały, bardzo kosztowny miecz z dobrej narlackiej szkoły, o dwóch ostrzach, długi prawie na dwa łokcie. Na klindze wypalony był znak znakomitego mistrza, rękojeść zdobity drogocenne kamienie przywiezione z Gór Szmaragdowych. Wilczarz mógł powiedzieć, z jakiej kopalni pochodzą. Piękny miecz dla człowieka z wielkiego rodu. Sam kneź nie powstydziliby się przypasać go sobie nad biodrem. Dobra broń to najważniejsza rzecz dla woja. Wilczarz widział jednak w swoim życiu, jak przeciw żelaznemu mieczowi stawali do wałki prawdziwi mistrzowie, którzy trzymali w ręku zwykły ćwiczebny drewniany miecz i zwyciężali. Niemniej tutaj wszystko może potoczyć się inaczej. Kiedy schodzą się wojowie pokroju Wilczarza i Promienia, aby po przyjacielsku zmierzyć siły, to wygląda bardzo pięknie. Kiedy biją się na śmierć i życie, to też piękne widowisko. Tyle że przerażające.

Ludzie stali w zupełnej ciszy, wpatrywali się z tak naprężoną uwagą, że momentami zapominali nawet oddychać. Wielu z nich aż bezwiednie podrygiwały ramiona. Promień od razu wzniosł obiema rękami miecz do góry i skoczył naprzód, chcąc ukarać Wena za nadmierną wiarę we własne siły. Wilczarz sparował cios, skierował miecz przeciwnika najpierw w bok, a potem w dół. Gdyby miecz Miedzomira trzymała słabsza ręka, kosztowna broń zaraz znalazłaby się na ziemi. Ale Promień zdołał utrzymać rękojeść. A następnie sparował miecz Wena, który już sięgał jego szyi. Wzorzyste ostrze pozostawiło na jego ramieniu tylko niezbyt głębokie rozcięcie.

Obaj walczyli obnażeni do pasa, bez tarczy i pancerzy. Tego wymagał obyczaj, kiedy wzywano bogów, aby rozsądzili, komu należy się życie, a komu śmierć. Promień, doskonale zbudowany i szczupły, był silny, ruchliwy i zwinny. Wilczarz jeszcze nie zdjął opatrunków, a prawą rękę miał usztywnioną i przyciągniętą do ciała. Włosy, związane tasiemką, lepiły się do spoconych pleców. Każde skrzyżowanie mieczy opłacał straszliwym bólem, od którego drżały mu kolana. Ale występował w słusznej sprawie.

...Kiedy Matka Kendarat ulitowała się nad potężnie zbudowanym "malcem" i podjęła się go

uczyć, niebawem miał okazję przekonać się, że chwyt szlachetnej walki kan-kiro nieprawdopodobnie przypominały chwyt Wenów przeznaczone dla ręki trzymającej broń. Powiedział o tym kapłance. Wcale się nie zdziwiła. "Ludzie różnych plemion różnią się wyglądem, ale w środku są tacy sami" - powiedziała. Nie zainteresowała się odkryciem Wilczarza. Wiara bogini Kan nie dopuszczała broni. Niemniej uparty uczeń nadal próbował wymyślać coś nowego...

Gacek słodko spał, zwisając do góry łapkami z drewnianej rękojeści tarczy, którą trzymała Ertana. Wojownicza zawczasu spoiła zwierzaczka makowym wywarem z domieszką jego ulubionego mleka. Po co miałyby wtrącać się do nie swoich spraw i przeszkadzać Wilczarzowi?

Welchinka z wielką uwagą przyglądała się pojedynkowi, od czasu do czasu zaciskała pięści i cedziła przekleństwa przez zęby. Nie mogła ustać w miejscu, aż wyrwała się na pomoc Wilczarzowi. Po jakimś czasie zaczęła rozpoznawać ciosy, które pokazywał jej podczas podróży na tratwie. Tyle że wtedy oni po prostu tańczyli, nic więcej.

Zdała sobie sprawę, że oto zakończył się etap rozpoznania przeciwnika, kiedy wzorzysta stał zetknęła się z narlacką klingą Promienia i zmusiła ją do opisanie w powietrzu wymyślnych spiral. Miecz bojara z głuchym odgłosem wbił się w dębowe płyty placu. Promienia uratowała szybkość. Mniej zwinny woj zraniłby się, upadłszy na rękojeść brzuchem. Miecz Wilczarza wznosił się nad jego plecami... i płazował, zwalając bojara z nóg.

*Matka Kendarat zostawiła Wilczarza, kiedy wyprawił się, aby wyrównać rachunki z Ludojadem. Żał jej było rozstawać się z uczniem, którego zdołała polubić, ale nie mogła wraz z nim wstąpić na drogę zemsty i krwi. Teraz, pamiętając jej nauki, Wilczarz dawał jeszcze jedną szansę swojemu wrogowi, który nie zasługiwał na litość. Ale tylko jedną szansę. Jedyną.*

Ertana nie umawiała się wcześniej z Wenem. Ale domyśliła się, co zrobił. I dlaczego. Spłynęło na nią objawienie. Krzyknęła:

- Miecz nie służy temu, kto głosi nieprawdę! Proś o zmiłowanie, Promieniu, a zachowasz życie!

Promień momentalnie wstał, wyrwał miecz wbity w drewnianą nawierzchnię i znowu rzucił się na Wilczarza.

Wen czekał na niego przy linii kręgu. Nie był ranny i nawet niezbyt się zmęczył, lecz spod opatrunków zaczęła sączyć się krew. Odczuwał ból, ale nie okazywał tego żadną miarą. Miecz Promienia przeciął powietrze dołem, chcąc zdradziecko dosięgnąć jego nóg. Wilczarz nie odpowiedział na to, tylko podskoczył na pół arszyna w górę. Wściekły wymach trafił w pustkę, Promień obrócił się, a Wen jeszcze w powietrzu zdołał trafić go nogą. Bojar stracił równowagę, lecz doświadczony wojaka trudno było tak łatwo obalić - przekoziółkował miękko i natychmiast wstał. Któryś z jego stronników podniósł krzyk, oburzony postępowaniem Wilczarza. A niech się oburzają, ile wlezie. W przebieg Bożego Sądu nikt nie może się mieszać. Święty krąg nie należy do tego świata. W kręgu liczą się tylko dwa miecze uczestników pojedynku. I Prawda Bogów.

Kiedy Promień, upokorzony, stracił cierpliwość i po raz kolejny ruszył do ataku, Wilczarz... nagle położył swój miecz na ziemi. Ludzie krzyknęli. Wielu się zdawało, że on zrobił krok naprzód,

podstawiając się pod cios. Poza Ertaną bodaj nikt nie zauważył, co Wilczarz zrobił naprawdę. Dokładnie takie same ruchy wykonał wtedy na tratwie, kiedy pierwszy raz poprosił, aby go uderzyła. Dosłownie popłynął w powietrzu w bok, uchodząc spod miecza. I znalazł się po prawej stronie Promienia, ramię przy ramieniu. Obrót na lewej nodze... Palce, które mogłyby wiązać gwoździe w węzły, objęły dłoń Promienia wraz z rękojeścią jego miecza. Krok w bok i w tył. Bojara porwała i wprawiła w ruch siła zrodzona jego własnym wściekłym wymachem. Krok do przodu, płynny ruch dłoni...

Dało się słyszeć, jak zatrzeszczały kości Promieniowego nadgarstka, palce, które momentalnie straciły siłę, rozluźniły się i wysadzana drogimi kamieniami rękojeść znalazła się w dłoni Wilczarza. Czy dać Promieniowi jeszcze jedną szansę? Wen i tak już okazał miłosierdzie, które nie leżało w jego naturze. Gdyby stara kapłanka znalazła się tu teraz, czy próbowałaby coś wytłumaczyć człowiekowi, który z taką łatwością deptał życie innych?

W głębi duszy Wilczarz był przekonany, że na pewno by spróbowała. I jeszcze upomniałaby Wilczarza, że nie użalił się nad Promieniem, nie przemówił mu do rozsądku, nie starał się odwieść od szarej trucizny! Wilczarzowi daleko było do takich szczytów ducha.

Wszystko stało się w jedno okamgnienie, bez zwłoki, bez namysłu. Jeden nieprzerwany ruch. Rękojeść narlackiego miecza zmieniła właściciela, ale klinga tylko dokończyła kreślić łuk zaczęty przez Promienia. Ciężka kuta stal rozerwała bojarowi gardło i rozcięła kręgi szyjne. Ciało, które jeszcze nie zrozumiało własnej śmierci, wilo się w koszmarnym tańcu, obficie zlewając krwią dębowe płyty. Wilczarz stał, trzymając w ręku miecz Promienia. Sprawiedliwy miecz zawsze karze tego, kto głosi nieprawdę. Nawet swego właściciela.

Widząc śmierć, tłum wydał okrzyk, zafalował i cofnął się, a potem znowu napał do przodu. Rozległy się krzyki. Wilczarz ledwie je słyszał. Dzwoniło mu w uszach, przed oczami rozplływały się bezkształtne purpurowe plamy, w piersiach płonął ogień. Naszła go myśl, że zaraz umrze, i myśl ta była mu obojętna. Trochę szkoda, nie w porę. Wiedział, że miał rację i nie mógł przegrać walki. Wiedział i to, że będzie musiał drogo zapłacić za zwycięstwo. Na tym świecie nie ma nic za darmo. Poza miłością rodziców.

Był nieco zdziwiony, że nadal stoi na własnych nogach, i rozsądnie pomyślał, że trzyma go jeszcze rozpęd pojedynku. Podniósł swój miecz, przeciął narysowany węglem krąg, do którego już zaczęły podpływać strużki krwi, i podszedł do Ertany. Wydawało mu się, że idzie wyprostowany, równo, ale ludzie widzieli, że chwieje się jak pijany. Ertana rzuciła się w jego stronę, zapomniawszy o tym, że nadal trzyma w rękach nikomu już niepotrzebną tarczę. Zostały jej jeszcze jakieś dwa kroki, kiedy Wilczarz niezgrabnie przykląkł, a wydzierający wnętrzności kaszel przygwoździł go do ziemi.

- Co niesiesz w szponach, druhu simuranie?

Jakieś skarby z krainy nieznanej,  
by twoje pisklęta do bni zabawę miały?

Powiedz mi, druhu simuranie!

- Znalazłem to na twym progu,

Nie byłem zbyt daleko,  
Tutaj tuż, w krainie śniegu i mrozu,

Zwykła to rzecz, jak chleb i mleko.

- Cóż więc to jest? Niezwykły zwierz?

- Nie, to nie to. Nie zgadłeś, przyjacielu.

- Więc może ptak z ogonem turkusowym?

- Znów się mylisz: to jest niewolnik, jakich wielu.

Uciekał, lecz bez powodzenia był to bieg,

i okrył go nietknięty śnieg,

A wiatr mu kołysankę nucił...

Ten człowiek śmiały był,

chcę, by wrócił

do świata żywych.

- Przyleć tu zatem, druhu simuranie!

My go ogrzejemy i wyleczymy z ran!

Jeszcze nie pora, by umarły wzleciał pod niebiosa,

Niech jeszcze wśród żywych cieszy się życiem sam!

- Nie, mój przyjacielu, to już być nie może,

Tyle męki zniósł - zabito mu ojca, matkę, latami nie widział słońca,

latami czekał katorgi końca...

Dość już mąk wśród świata ludzi.

On tak wiele już wycierpiał, on tak wiele się utrudził,

a nikt się nań nie obejrzał i nie podał dłoni,

nikt nie udobruchał,

za późno, na wszystko za późno, mój druhu!

## **Rozdział 16**

### **Ostatnia stronica**

To było jak wspomnienie z odległego dzieciństwa, które przez wiele lat uważał za ucieleśnienie szczęścia: ciepła, podbita futrem kołdra okrywająca nagie ciało. Leżał na szerokiej ławie w domu Warocha, wdychał miłe mu zapachy wyprawionych skór i gotowanej stawy, słyszał przyciszone głosy domowników i wcale nie chciało mu się otwierać oczu. Nie miał czego żałować. Marzyć też nie miał o czym. Dlatego też nie bardzo chciało mu się myśleć. Ale najwidoczniej miał jeszcze coś do zrobienia na tym świecie, skoro bogowie z takim uporem ratowali go z największych opresji. Ale o tym pomyśli kiedy indziej. Teraz po prostu upajał się spokojem jak ranne zwierzę, które wyzdrowieje, jeżeli będzie mogło trochę poleżeć. A jak przyjdzie umrzeć, to nawet nie zauważy, że umarło. Po prostu nagle zaszumi przed nim gościnna korona Wiecznego Drzewa, a na niebie dostrzeże Słoneczny Rydwan. Wreszcie z gęstych traw wyjdzie mu na spotkanie Stary Zwierz i zacznie z nim rozmawiać, i każe się rozliczyć ze wszystkiego, co zrobił w życiu...

Wrócił do rzeczywistości, bo ktoś położył mu dłoń na czole. Przyniesiono go do domu w takim stanie, że nie mógł się sprzeciwić, kiedy Neelith zaczęła go leczyć czarami. Nauka Tilorna na pewno nie poszła w las. Lśnienie, które dobywało się z jej rąk, tym razem zauważyli już wszyscy. Dziewczyna bardzo się bała, że Wilczarz zacznie gorączkować, przeto ciągle podchodziła do niego i dotykała jego czoła.

To nie dawało mu spać, ale nie oponował. Przed zabiciem Ludojada zakazywał sobie nawet myśleć o kobietach. A teraz zaczynał marzyć i nawet miał nadzieję, że marzenie to kiedyś się spełni. Otworzył oczy i uśmiechnął się do Neelith.

- Zjadłbyś coś? - spytała z radością w głosie.

U niej w domu za piękne uważano pełne kształty. Wilczarz, który i tak był kościsty, z Welimoru powrócił tak wychudzony, że żal było patrzeć.

- Jeżeli tylko nie będziesz karmić mnie łyżeczką - zamruczał i sięgnął po spodnie, aby je włożyć pod kołdrę. Rzadko odmawiał jedzenia, a już rezygnować z potraw, które przygotowywała Neelith, byłoby śmiertelnym grzechem.

- Poleżałbyś - powiedziała.

Wilczarz chrząknął, odpędzając resztki snu.

- Też sobie znalazłaś chorego. Powiedz lepiej, czy moglibyście z Tilornem wyleczyć człowieka, który oślepl od ran. Jedno oko stracił, w drugim zrobiło się zapalenie...

Czuł w prawym ramieniu, jak kłują go niewidzialne igielki. To pewnie zrastały się kości. W dawnych czasach Wilczarz już po miesiącu zapominał o złamanych kościach.

- Nad rzeką był pewien Solwen - rzekła Neelith. - Prowadzono go pod ręce. Taki barczysty, urodziwy... jasnowłosy... O nim mówisz?

Niebieskie koraliki ze szkła lśniły na jej piersi.

- Tak, o nim. Pomożecie mu? To wspaniały chłopak.

Od pewnego czasu lubił wszczynać z nią rozmowy na medyczne tematy i obserwować, jak na jej pięknej twarzy pojawiały się godność i skupienie, a pomiędzy brwiami - zmarszczka świadcząca o wysiłku umysłu. W takich chwilach przypominała mu kapłankę, która rozmawia z bóstwem. Widział podobny wyraz twarzy u Matki Kendarat.

Na pewno obie znalazłyby wspólny język, pomyślał. I jeszcze Tilorn...

Opuścił nogi na podłogę i zaczął się namyślać, czy powinien włożyć buty. Na bosaka byłoby za zimno, wieczorem spadł śnieg, z dworu ciągnęło chłodem. Ale jak tylko sięgnie po ciżmy, zaraz Neelith rzuci się, żeby mu pomagać. A jemu trudno było się schylać.

Wybrał najlepsze z trzech złych rozwiązań i wstał z ławy, postanowiwszy udać się do kuchni boso. W cichości ducha miał nadzieję, że tam, przy piecu, będzie cieplej.

Tymczasem od zewnątrz rąbnęła w bramę ciężka i niecierpliwa męska pięść.

Szczeniak, który zdążył wyrosnąć na zmyślnego młodego psa, rzucił się przez podwórko z głośnym ujadaniem. Neelith ocknęła się, przerywając myślowe poszukiwania Dekszy, z przestrachem obejrzała się na Wilczarza i spostrzegła w jego ręku miecz, spoczywający dotąd w pochwie.

Stuknęły drzwi wejściowe - to do bramy pobiegł Eurych. Dopytywał, kogo tu licho przyniosło po nocy. Wilczarz wyszedł za Arrantem i stanął w ciemnościach przy ganku. O tak późnej godzinie raczej się w gości nie zagląda. Chyba że wezwano by akuszerkę do rodzącej. Z drugiej strony złodzieje rzadko wałą pięściami w bramę. Palce Wena wyuczonym gestem złapały za rękęjść. W razie czego pierwszego, który wtargnie na podwórko, jakoś da radę położyć trupem.

- Otwieraj, Eurychu, swoi! - rozległ się głos Audyki. Wilczarzowi przyszyły do głowy najczarniejsze podejrzenia. Eurych otworzył bramę i na podwórko, prowadząc konie za uzdy, weszło pięciu ludzi. Wilczarz zwrócił uwagę, że koni było więcej. Na maleńkim podwóreczku nie było jak się obrócić.

Potem Wen obok Audyki dostrzegł znajomych: Aptachara i Attalika. Pozostali byli całkiem obcy, ale nic nie wskazywało na to, że należy się ich obawiać.

- Czym możemy służyć, szlachetny synu kunsu? - Eurych skłonił się dwornie przed młodym zakładnikiem, który, miast odpowiedzieć, zadał pytanie:

- Gdzie Wilczarz?

- Tu jestem - cicho odezwał się Wen z ciemności. - Witaj, Attaliku. I wy, dawni towarzysze broni.

- Chramn łaskaw - wymamrotał Audyka, starannie omijając wzrokiem Wilczarza. Jego ojciec mruknął tylko coś pod nosem. Też patrzył gdzieś w bok.

Konie parskały, wdychały zapachy nocy. Z domu wyfrunął Gacek i poleciał zawierać nowe znajomości. Attalik wskazał palcem przelatującego zwierzaka i powiedział:

- Mamy tutaj konie... Zbieraj swoich domowników, Wilczarzu, i wyjedźcie z miasta od razu, natychmiast.

- A czemuż to? - spytał Eurych.

- Bo wam jeszcze przed świtem czerwonego kura na dach puszcza! - odezwał się Audyka, szczerząc zęby w gniewie. - Ludzie Promienia się zmówili!

- Podśluchała ich służąca - powiedział Attalik. - Pewnego razu na kryłem Kanaona, kiedy on... Mniejsza z tym, w każdym razie dziewczyna na pewno by mnie nie okłamała. Jest ich wielu i są bardzo rozeźleni.

W domu Warocha nikt się jeszcze nie położył spać. Stary mistrz już stał w drzwiach, wspierając się na ramieniu wnuczka. Tilorn był obok. Zmęźniał, nabrał ciała, a i włosy mu odrosły, nie były już tak nieprzyzwoicie krótkie.

Do wszystkich stopniowo docierało, że mają opuścić domowe zacisze, tak wytęsknione, opłacone potem i krwią, i uciekać nie wiadomo dokąd. W nocy, w ciemność przedzimowego świtu. Ratując tylko tyle, ile zdołają unieść w rękach...

- Przy bramie straż trzyma teraz Brawlin ze swymi zuchami - jak i wprzód nie patrząc w oczy Wilczarzowi, burknął Aptachar. - Wypuszczą.

- Sąsiedzi... - zakasłał Waroch. Jego głos od nagłego nieszczęścia brzmiał jakoś niewyraźnie. - Zawolałem ich... Trzeba bić na alarm... Ludzie pomogą... Wy, strażnicy, chyba też...

- Właśnie! My, strażnicy... - splunąwszy pod nogi, przedrzeźniał starca Audyka. - Pół miasta za nożyki schwyli, jeszcze tylko tego brakowało!

Wilczarz odezwał się po chwili namysłu:

- Jeśli mają coś do mnie jednego...

- Ty się lepiej nie odzywaj! - Aptachar ozdobił swoją wypowiedź sążnistym przekleństwem. Pierwszy raz zwrócił się bezpośrednio do Wilczarza. - Przez ciebie same tylko kłopoty, a pożytku tyle co kot na płakał! Potrzebny im jesteś jak dziura w moście. Znam ich wszystkich lepiej od ciebie... Jak nie masz własnego rozumu, to posłuchaj, co mądrzy ludzie radzą. Bierzcie tyłki w troki po dobroci, do was mówię!

Głos mu się załamał. Aptachar nagle odwrócił się i wysmarkał, zaciskając nos dwoma palcami.

Na sąsiadach Warocha rzeczywiście można było polegać. Nie opuścili w potrzebie, kiedy z wnuczkiem zostali we dwóch sami po stracie rodziny. Nawet kiedy gołąb przyniósł wiadomy list Promienia i po mieście rozeszły się wieści, że przygarnięty przez mistrza włóczęga Wen sprzedał knezinkę rozbójnikom - sąsiedzi nie uwierzyli. I nie wpuścili do domu nikogo, kto mógłby skrzywdzić domowników Warocha. Czy teraz ma im się odplacić, wciągając w waśnie? W bój z drużyną?

Wilczarz nie zadał pytania, dlaczego kneź tego nie zauważył i dlaczego bojar Spryt nie powstrzyma samowoli ludzi Promienia. Na knezia zważyło się teraz zbyt wiele zmartwień. Nic dziwnego, że zamknął się sam z bukłakiem wina i nikomu nie pozwolił nawet zbliżyć się do drzwi. Spryt? A skąd siwobrody witeż mógł wiedzieć, że z zamku wymknęło się dziesięciu czy dwudziestu rębajłów z drużyny Lewego? Zresztą oni i tak nie nocowali w twierdzy. Spryt nie liczył przecież wszystkich co do jednego. Teraz, kiedy nie ma już Promienia, Spryt na pewno zrobi porządek z członkami jego drużyny. Ale to musi trochę potrwać, nie sposób załatwić takiej sprawy w jeden



dzień. A na razie... Cóż robić? Odpowiedzieć siłą na siłę? Chyba nie pozostaje nic innego.

Serce Wilczarzowi boleśnie się ścisnęło, kiedy Neelith zaczęła się miotać po domu, w oczach zmieniając się z pełnej godności młodej gospodyni w śmiertelnie wystraszoną dziewczynkę. Łapała to jedno, to drugie, nie mogąc się zdecydować, co zabrać ze sobą na drogę, a co zostawić. Niezbędnym przedmiotem wydała się jej łyżeczka powleczone błyszczącym metalem. Zabrała ją z kuchni i nie wypuszczała z rąk.

Eurych, który najwyraźniej nie po raz pierwszy musiał w pośpiechu uciekać, wprawnym ruchem zwinął kołdrę i ciepłe ubranie. Okazało się, że zdążył zaopatrzyć się w porządną skórzaną torbę. Najpierw schował na dno torby związane sznurkiem grube, gdzieśgdy poplamione księgi. Wilczarz zwrócił uwagę, że Eurych najmniej ze wszystkich przejął się nieszczęściem, które na nich spadło. Wyglądało to tak, jak gdyby zamierzał opuścić gościnny dom i przenieść się pod inny dach, nie mniej szczodry i ciepły.

Stary Waroch trzęsącymi się rękami przekładał w pracowni niedokończone kołczany i pochwy i nie mógł się zdecydować, co z nimi począć. Cichutki Zujko chodził za dziadkiem krok w krok, a pies kręcił się wszystkim pod nogami i żałośnie skomlał.

Wilczarz nie miał co pakować. Na poły pusta sakwa, którą miał ze sobą na tratwie, leżała nadal nierozpakowana. Musi się tylko ubrać i...

- Przywiozłem ci kolczugę - odezwał się Attalik.

Wilczarz omal nie stwierdził na głos, że w ciągu trzech miesięcy zakładnik stał się mężczyzną. Ale zdołał się powstrzymać. Z mężczyzną należy rozmawiać i postępować tak, jak przystoi jego męskości. I koniec.

Zdołał jakoś wsunąć chorą rękę w rękaw kolczugi i już zabezpieczoną pancerzem przyciągnął znów do tułowia. Kolczuga była segwańskiej roboty, zupełnie różna od tych, które mu się podobały. Ale darowanemu koniowi, jak wiadomo, w zęby się nie zagląda. Wilczarz przypiął miecz i zaczął rozmyślać, dokąd mają się udać, jeżeli Brawlin w rzeczy samej wypuści ich za bramę. Myślał jeszcze o tym, kto poza nim umiałby się posłużyć jego łukiem. Ach, gdyby miał samostrzał...

\*

Ludzie Attalika przyprowadzili dwa konie. Neelith usiadła za plecami Tilorna, Zujko przysiadł się do dziadka. Dom, rodzinny dom nieuchronnie odchodził w przeszłość, jak przystań, którą opuścił statek.

Wieczorem Neelith obiecała, że zaprowadzi Wilczarza do piwniczki - miała mu pokazać, jak drewniane półki, które oheblował latem, zapełniły się garnuszkami i beczułkami z zapasami na zimę...

Audyka obleciał sąsiadów, obudził śpiących i wyjaśnił, co się dzieje. Początkowo wzburzeni odgrzali się, że pospołu staną przeciw ludziom Promienia. Później postanowili, że ukryją u siebie Warocha i jego domowników, aż wszystko się ułoży. Wreszcie obiecali, że zaopiekują się pracownią pod nieobecność gospodarza. W miarę jak zaczęli zdawać sobie sprawę, że będą mieć do czynienia z wojami z drużyny, z których każdy gołymi rękami poradziłby dziesięciu zwykłym

ludziom uzbrojonym w siekiery i widły, ich zapal topniał jak śnieg na wiosnę. To nie to samo co tutejsze łobuzy. Ludzie z drużyny zjedzą i nawet kości nie zostawiają.

Wilczarz w milczeniu słuchał półsennych mężczyzn i myślał, że sam na ich miejscu zachowałby się inaczej. Na pewno walczyłby do upadłego, ci dranie zdołaliby wygnać uczciwych ludzi z miasta tylko po jego trupie. Dlatego że ustąpić złu to znaczy pozwolić, by niesprawiedliwość szerzyła się po świecie, i odwrócić się od Jasnych Bogów. Jak można dalej żyć, jeśli przyzwala się na to, aby obok ciebie ktoś krzywdził sąsiada?

Każdy człowiek bez trudu wyobraża sobie, co by zrobił, będąc na miejscu innych. Wilczarz doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Sprawiedliwość sprawiedliwością, tylko jak o nią walczyć, kiedy masz żonę, piątkę dzieci i staruszków rodziców... Nie mówiąc już o domu i gospodarstwie, z dziada pradziada należących do rodziny... Zanim polecisz się bić, musisz namyślić się dobrze. I to bić się nie o siebie, lecz o obcych ludzi. Wilczarz nie był w stanie wyobrazić sobie siebie na ich miejscu. Wziął Siarka za uzdę, podszedł do Warocha i rzekł:

- Same straty przeze mnie ponosisz, mistrzu...

Wcale by się nie zdziwił i nie obraził, gdyby starzec rzucił się na niego ze strasznymi przekleństwami albo i ze łzami w oczach i porachował mu żebra kosturem. Ale stary Segwan tylko wyprostował się w siodle.

- Żałuję jednego: że dwa wspaniałe miecze spoczywają nie w moich pochwach - odparł. - Mam na myśli ten, którym kuns Winitar rozplątał na dwoje Żadobę. I ten, którym ściałeś głowę Promieniowi.

Wilczarz się uśmiechnął.

- Jak się gdzieś urządzimy, zaraz cię poproszę, żebyś zrobił nową pochwę dla tego miecza.

Obaj nie mieli pojęcia, gdzie przyjdzie im nocować nazajutrz.

\*

Przy bramie rzeczywiście stał ze swoimi chłopcami starosta Brawlin. Niektórych zuchów Wilczarz pamiętał, widywał ich latem. Brawlin był już uprzedzony. Nie pytał o nic ani uciekinierów, ani pięciu ludzi, którzy im towarzyszyli. Skinął na swoich - potężnie zbudowani strażnicy wyjęli z masywnych uchwytów ciężki, mokry od śniegu brus i uchylili wrota. Brawlin przez krótką chwilę popatrzył Wilczarzowi w oczy. Na pewno było mu wstyd.

- Wszystkiego dobrego, Brawlinie - powiedział Wen, mijając bramę.

- Jak ludzie Promienia tu przyjadą, zamydlimy im oczy - obiecał dowódca. - A jak będą się pchali, żeby wyjechać z miasta, pokażemy im drogę jak trzeba...

Wilczarz zatrzymał Siarka, popatrzył na gościniec i serce zamarło mu w piersi. Może Brawlin będzie potrafił nieco zatrzymać goniących, ale na pewno nie zdoła ich zmylić. Jak okiem sięgnąć leżał świeży śnieg. W mieście, gdzie zewsząd buchało ciepło i dreptały setki nóg przechodniów, niemal całkowicie roztopiał. Tutaj, za murami, na całej połaci leżała równa puszysta pokrywa. Myśliwi po takim śniegu łatwo tropią zwierzynę wypłoszoną z legowiska.

Wilczarz obejrzał się na miasto, które stało mu się obce. Aptachar nie odrywał od niego wzroku,

a oczy starego woja podejrzanie błyszczały. Audyka ponuro patrzył w ziemię.

- Życzę ci wielu dobrych dróg, Aptacharze - powiedział na pożegnanie Wilczarz. - I tobie też, Audyko.

Attalikowi po segwańsku zasalutował dobytym z pochwy mieczem, unosząc rękojeść do czoła. Młodzieniec wzdygnął się i odpowiedział tym samym.

- Jeszcze się spotkamy, Wenie! - powiedział Audyka. Wilczarz nie miał czasu na rozmyślenia, co miał na uwadze młody

Segwan, wypowiadając te słowa. Czy to życzenia szczęścia, czy pogrożka. Brama zaczęła się zamykać.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że na nim spoczywać będzie szukanie drogi ratunku. Jednak kiedy tylko brama się zamknęła, Eurych zdecydowanym ruchem popędził konia.

- Jedziemy, ja was poprowadzę.

Wilczarz, który miał doskonałą pamięć, momentalnie skojarzył.

- Latem, zdaje się, mówiłeś, że znasz bezpieczne miejsce... Młody Arrant z przekonaniem kiwnął głową.

- Tak, to miejsce w pobliżu Zamglonej Skały. Jeśli uda nam się tam dojechać, nikt nas nie znajdzie.

Wszyscy chcieli w to uwierzyć. Jednak Eurych - wszystkiego można się po nim spodziewać - mógł ich zaprowadzić w naprawdę bezpieczne miejsce, a mógł i do zwyczajnej pieczary, którą uznał za znakomitą kryjówkę.

- Co tam jest? - podejrzliwie spytał Wen, wstrzymując konia. Eurych westchnął, wzruszył ramionami i odpowiedział prosto z mostu:

- Tam jest Brama do Mojego Świata...

- Jak to? Ty też? - Tilornowi zaparło dech w piersi, a Wilczarz przy pomniął sobie słuchy chodzące o Zamglonej Skale. I twierdzenia czarowników, którzy znaleźli tam "siłę", może i nie złą, tyle że "dziwną".

- Dobrze - powiedział. - Prowadź. - A kiedy konie ruszyły kłusem, spytał jeszcze: - Dlaczego uważasz, że nas tam nie znajdą?

Eurych uśmiechnął się z dumą człowieka wtajemniczonego.

- Widzisz, ta Brama wpuszcza nie wszystkich - wyjaśnił, podskakując w siodle w rytm kroków konia. - Wygląda jak zwykły obłoczek, człowiek niegodny wyjdzie po prostu z drugiej strony, nawet nie zauważy, że było tam coś poza zwykłą mgłą. A godny człowiek przestąpi granicę i dostanie się do naszego świata.

- A w tym waszym świecie jacyś święci mieszkają? - ponuro spytał Wilczarz.

Eurych wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście że nie! Wszystko się tam zdarza: i bójki, i kradzieże, i nieszczęśliwa miłość. Lecz jeśli zamierzasz wziąć dziewczynę siłą albo zabić rywala... chciałem powiedzieć, jeśli będziesz do tego wewnętrznie gotowy... pewnego razu możesz zabłądzić dwa kroki od domu i opuścisz nasz

świat, nawet tego nie spostrzeżesz. Znajdziesz się znowu tutaj... - Po chwili namysłu dodał: - Albo w jeszcze gorszym miejscu.

Wilczarzowi zrobiło się nagle przykro. Czemu Eurych potraktował jego ziemię jak jakiś wilczy dół, siedzibę nikczemników odrzuconych przez cudowny świat po drugiej stronie Bramy? Na ziemi nie brakowało, ma się rozumieć, rzeczy wstrętnych. Ale ile było tu piękna, ile dobra!

- No tak, Arranci też - z pasją snuł swą opowieść Eurych. - I Segwani. Kogo tam nie ma! Wszystkie plemiona! Nasi uczeni twierdzą, że w dawnych czasach, kiedy ludzie mniej grzeszyli, świat był jeden. Ale potem Bogowie Niebiańskiej Góry podzielili go, aby obronić sprawiedliwych. Kapłani Bliźniaczych Bogów, jak mi się zdaje, podejrzewali, skąd pochodzę. Nie mogę zrozumieć, dlaczego chcieli poznać tajemnicę Bramy. Przecież i tak nie mogliby się tam dostać. Nikt nie może być pewien, że zdoła przejść przez Bramę. Ludzie z tego świata rzadko mają czyste serca i wiedzą życie bez grzechu... Znalazł się kaznodzieja, ze złością pomyślał Wilczarz.

- A ciebie wpuszczają z powrotem? - spytał Arranta. - Może na uczyłeś się u nas tego i owego...

- Są ludzie o wiele lepsi ode mnie, barbarzyńco - odparł młody uczone zapalczywie - ale nie czyniłem zła i nie przelewałem krwi!

Po tych słowach zapanowała pełna napięcia cisza. Potem Zujko, przytulony do pleców dziadka, zaszlochał.

Dziadku... Nie słuchałem cię... - wytłumaczył sobie płacz Zujka Wilczarz.

Neelith w rozpaczy obejrzała się na Wena, a jego przeszedł dreszcz.

Jakie grzechy mogło popełnić takie stworzenie? - przemknęło mu przez myśl. A potem przypomniał sobie wiarę jej narodu. Neelith dopuściła, aby mężczyźni zobaczyli jej nagość. Przyodziewała się w męskie ubrania. Nawet teraz, aby było jej wygodniej podczas konnej jazdy, miała na sobie męskie szarawary...

W Wilczarzu nagle wezbrała złość na ten niby to wspaniały sprawiedliwy świat i na Eurycha, i na Bramę, której nieznani strażnicy zaczną teraz z zimną krwią rozsądzać, który z uciekinierów może się uratować, a który zginąć od mieczy rębajłów Promienia. Trzy lata temu, mroźną zimą w północnym Narlaku, nie wpuszczono go z Matką Kendarat do wioski, w której chcieli przenocować. Jak się potem okazało, w wiosce mieszkali wyznawcy Boga Ognia. Ludzie ci chcieli przed obliczem swego boga zachować czystość. A kto mógł zaręczyć, że dwoje wędrowców, którzy w środku nocy zastukali do ich drzwi, nie spożyło tego dnia ryby?

Tak rozważał w duchu, ale nic nie mówił. Doskonale zdawał sobie sprawę, że rozprawiając o godnych i niegodnych, Eurych mówił przede wszystkim o nim, woju, który położył trupem niejednego wroga. I to bynajmniej nie dlatego, że krew ludzi w rodzaju Ludojada czy Promienia zbyt obciążała jego sumienie. Było jasne jak słońce w boży dzień, że ktoś taki jak on nie może wejść do tamtego dobrego świata. Nawet nie powinien się zbliżyć, bo Brama może nie przepuścić też wszystkich pozostałych. Żeby na przyszłość wiedzieli, z kim się wiązać.

Waroch nagle zaczął się wiercić w siodle. Siwą brodę, za którą Wilczarz swego czasu odgrażał się go wytarmosić, rozwiewał nocny wiatr.

- Wiecie co, uczeni... Zabierajcie dziewczynę i malca i pędźcie do tej Hogowej nory, jeśli wiecie, gdzie ona jest. Ja już swoje przeżyłem.

Przy biodrze miał przypasany segwański nóż bojowy, długi na niemal trzy piędzie. Straszna broń. Jeśli potrafisz takim nożem dobrze wywijać, to nawet miecz niepotrzebny. Choć prawdę powiedziawszy, Wilczarz ani razu nie widział, aby staruszek ćwiczył pchnięcia swoim orężem. Ale przecież nie musiał wszystkiego widzieć.

Jakie grzechy mogły obciążać sumienie nieszczęsnego dziadka? A nawet jeśli kiedyś dopuścił się czegoś karygodnego, to czy dobre uczynki nie pozwoliły mu odkupić win? - snuł w cichości ducha rozważania Wilczarz.

- Dziadku! - Zujko zaniósł się płaczem i tak wczepił się w płaszcz Warocha, że trzeba by go było odrywać z siłą.

Gacek, który nie przepadał za śniegiem i chłodem, siedział u Wilczarza za pazuchą. Wyczuł, że między ludźmi zapanowało napięcie, wychylił się ze swej kryjówki i ze straszliwym piskiem zaczął latać nad ich głowami. Konie przystanęły. Nikt nie wrywał się do przodu. Może byli grzesznikami. Ale nie mieli w zwyczaju porzucać przyjaciół na pastwę losu.

- A niech was! - płacząco ozwał się Eurych. - To teraz będę mu się stać tu z wami na pewną śmierć?

Ależ to byłby głupi koniec! - przeszło przez myśl Wenowi. Po takiej poniewierce. Każdy swoje przeżył. Neelith rodzina sprzedała na targu niewolników. Tilorn znosił męki w żelaznej klatce w lochach Ludojada. Eurych mało co nie zginął u kapłanów. Waroch utracił synów... Teraz przyjdzie im marnie zginąć pod murami miasta, które za spokój zapłaciło naszymi głowami. Zapewne jutro Haliradczycy okiełznają ludzi zdradzieckiego bojara. Tylko czy po tym wszystkim będą mogli popatrzeć sobie w oczy? Ale dla nich nie będzie to już miało najmniejszego znaczenia. A Eurych, który z głupoty naopowiadał nie wiadomo czego, teraz uniesiony niemądrą dumą ofiaruje się zostać tu z nimi na śmierć...

- A ja myślę tak - mocnym głosem odezwał się Tilorn. - Pojedzie my szukać Bramy wszyscy razem. I razem spróbujemy przez nią przejść. Nie martw się, mistrzu Warochu. I nie strasz wnuczka po próznicy.

Starzec burknął coś pod nosem i uderzył konia piętami. Będzie, co będzie, nie ma co stać tutaj w jednym miejscu. Zujko nie wypuszczał z rąk płaszcza dziadka, siedział, wtuliwszy twarz w jego plecy. Ramiona chłopca miarowo podrygiwały.

Panie mój, Władco Burzy! - Wilczarz wzywał w myślach boga. Czy to możliwe, aby na twoje wstawiennictwo nie zasłużył nawet ten chłopiec? Ochron tych ludzi, Panie Piorunów, a ze mną zrób to, na com sobie zasłużył. Może właśnie dla tej chwili zachowałeś mnie przy życiu tam nad Przegrodą? Jestem gotów, Panie, jestem gotów...

Konie unosiły ich coraz dalej, nie odstępował ich kopyt młody pies.

- Kto decyduje, które z nas jest godne, a które nie jest godne? - spytała Neelith Eurycha.

- Nieoświecone umysły kiedyś widziały tam Furtianów... - odparł Arrant bez wielkiej ochoty. -

Miały to być młodsze bóstwa lub potężne jasne dusze... Teraz nasi uczeni najczęściej porównują Bramę do zwykłych drzwi albo szczeliny w murze. Przejście przez Bramę zależy od cech danego człowieka. Jeden, powiadają, przejdzie przez wąską szczelinę bez trudu, a drugi w niej utknie.

Wilczarz przypomniał sobie straszne lochy zamku Ludojada i tajne drzwi, za którymi omal nie złożył swoich kości na zawsze.

- Uczeni nie są jednomyślni - ciągnął Eurych, odzyskawszy nieco animuszu. - Nie mają pewności, co decyduje o losie człowieka stojącego przed Bramą. Większość jest zdania, że dla wszystkich szczelina jest jednakowa, ale są tacy, którzy twierdzą, że Bogowie Niebiańskiej Góry za każdym razem zbierają się na sąd...

W tym momencie Wilczarz zrozumiał przestrożę, jaką zesłała mu wiosną Pani Ludzkich Losów. Są drzwi i Drzwi - teraz to rozumiał. Tak. Oto jego ziemską drogą naprawdę dobiegała końca.

Jest gdzieś miejsce na ziemi, gdzie można zbudować dom, a mężczyzna, który zeń wychodzi, nie będzie się bał, że podczas jego nieobecności dom ograbią i spalą wrogowie. Gdzie piękna dziewczyna, spotkawszy w lesie nieznanego mężczyznę, bez obawy mówi mu "witaj". Gdzie kwitną jabłonie i dojrzewają maliny, gdzie szumi wiekowy bór, a lodowate strumyki z krystalicznym dzwonieniem spływają ze skał...

I co z tego, że ja nigdy tego nie zobaczę. Teraz przynajmniej wiem, że takie miejsce gdzieś jest. Kraina, o której mój naród od dawna układa legendy. Mogą w niej zamieszkać tylko mądrzy i sprawiedliwi. A skoro tak, to nie żał umrzeć na progu tej krainy...

Podjechał do Tilorna.

- Czego chciał od ciebie Ludojad? - spytał.

Uczony, który nie spodziewał się takiego pytania, zwlekał z odpowiedzią trochę zbyt długo. Wilczarz dostrzegł w jego oczach wahanie: czy mówić, czy zachować wszystko dla siebie. Klepnął konia Tilorna po zadzie i warknął:

- Obejdę się bez twoich tajemnic.

- Ja... - zaczął zawstydzony Tilorn. Wilczarz przerwał mu:

- Powiedziałem, że się obejdę!

Jeszcze wczoraj zapewne by się na Tilorna obraził. Inna sprawa, że wczoraj nie zacząłby go o nic wypytywać. A teraz nie czuł urazy. Po prostu przekonał się ostatecznie, że w tych Drzwiach nie było ukrytego mechanizmu, który należałoby dla niego uruchamiać. Dlatego że Tilorn, podobnie jak Eurych, uważali go za niegodnego. I na pewno mieli rację. Zresztą nawet to nie miało już najmniejszego znaczenia.

Tymczasem Gacek, który znowu ułożył się do snu u niego za pazuchą, naprężył się i zerwał do lotu. Odleciał w stronę miasta, potem powrócił, zawisł nad łbem Siarka i zapiszczał, machając w powietrzu skrzydłami. Wilczarz wytężył słuch. Po chwili usłyszał to, o czym już wiedział czujny zwierzątek. Gdzieś w oddali szczekały psy, które spuszczone, by zwietrzyły trop. Ślady było wyraźnie widać na śniegu, a więc ktoś chciał, aby sfora zatrzymała uciekinierów. Żeby nie trzeba się było spieszyć w pogoni za zwierzyną.

Waroch znowu sięgnął po nóż...

- Przegonimy psy! - ozwała się Neelith. - I konie!

- Psami zajmę się ja - oświadczył Wilczarz tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Jedźcie, dogonię was.

Dreptali w miejscu, a sfora była coraz bliżej.

- Do kogo mówię?! Jedźcie! - krzyknął Wilczarz.

Teraz go posłuchali, konie zastrzygły uszami i ruszyły z miejsca. Młody pies został jeszcze chwilę, zająknął Wilczarzowi w oczy. Ale też uległ rozkazowi Przewodnika Stada i co sił w łapach pomknął za końmi.

Siarko niespokojnie tańczył na miejscu, wsłuchując się w ujadanie zbliżającej się rozwścieczonej sfory. Ale kamienna pewność siebie jeźdźca w końcu kazała mu się uspokoić.

Wilczarz zsiadł z konia i zastygł w oczekiwaniu.

Niebawem dostrzegł na zasnutej mgłą równinie z dziesięć par jasnych ogników. Ciemności nocy nie przeszkadzały mu w widzeniu, toteż zaraz za każdą parą ogników zobaczył mknące cienie. Podskakiwały w nierównym rytmie jak spławki na falach i szybko zbliżały się do niego. Zwinne, lekkonogie, straszne solweńskie wilczarze. Nie ustępowały weńskim ani zajądłością, ani szybkością, tylko więcej czekały. Teraz też zachłystywały się krwiożerczym, wściekłym ujadaniem. Bezlitosne potwory, gotowe rozerwać ofiarę na strzępy. Nie potrafiły myśleć. Za nich o wszystkim pomyśleli ludzie.

Wilczarz czekał, stojąc nieruchomo w milczeniu.

Psy wreszcie go dostrzegły. Szczekanie przeszło w złowrogi pomruk - gotowe były wyskoczyć ze skóry, żeby tylko dopaść go jak najprędzej. Każdy pragnął pierwszy sięgnąć jego gardła. Płonące ślepia, kły w spienionej ślinie...

Ale potem...

Ich nosy poczuły zapach człowieka. A przy nim - przerażonego konia i maleńkiego zwierzątko, siedzącego człowiekowi na głowie. Ich oczy widziały to samo. Ale świadomość... psia świadomość wyczuwała Wielkiego Przewodnika Stada. Żaden pies nie mógł nie poddać się jego woli, nieposłuszeństwo okryłoby hańbą cały psi ród.

Sfora zaczęła zwalniać. A potem się zatrzymała. Psy nie rozumiały, co się dzieje. Na człowieka, nawet uzbrojonego, rzuciłyby się bez namysłu. Ale ten, który stał teraz przed nimi, w jakiś niewyjaśniony sposób był też psem. I w jego obecności każdy pies chciał skomleć i czołgać się na brzuchu.

- Koci pomioście! - dosięgną! stada piorunujący gniew Przewodnika. - Parszywe, wyleńnięte kundły! Jak śmiecie!

Wilczarz powiedział im to bez słów. Psy usłyszały tylko obelżywy ryk, niski, straszny, złowieszczy. I bezbłędnie wyczuły w nim niesamowitą siłę.

Nie było najmniejszych wątpliwości! Przewodnik sfory, olbrzymi czarny samiec o poranionych w bójkach uszach, położył się na śniegu i pokornie podpełzł do Wilczarza na brzuchu. Czuł się jak

słabiutki szczeniak, który sika pod siebie ze strachu.

Wen pochylił się, złapał psa za skórę na karku, podniósł go do góry i porządnie potrząsnął. Pies zamachał łapami, cieniutko i żałośnie błagając o zmiłowanie. Potrząsać nim w taki sposób mogła tylko jakaś wyższa istota.

Od tej chwili sfora była gotowa zrobić wszystko, co tylko jej każe Wielki Przewodnik Stada. Gdyby Wilczarz chciał, mógłby wysłać ją nawet przeciwko swoim prześladowcom. Ale nie zechciał. Dla psów byłoby to takim samym kataklizmem jak nieposłuszeństwo wobec przewodnika. Wilczarz nie chciał skazywać na to czworonogich krewniaków. To byłoby zbyt okrutne. Tutaj ludzie mają rachunki do wyrównania. Niech zatem ludzie sami rozwiązują swoje sprawy.

\*

Kiedy do miejsca ich spotkania dotarła pogoń, Solwenowie nie zdołali się zorientować, gdzie przepadły ich wilczarze. Na śniegu nie było krwi, nic nie wskazywało na to, że toczyła się tu walka. Niektórzy z ludzi Promienia na wszelki wypadek dotknęli talizmanów - jeśli wierzyć śladom, człowiek i psy stali naprzeciw siebie i... "rozmawiali". Potem człowiek jak gdyby nigdy nic wsiadł na konia i pojechał dalej, a sfora, zaniechawszy pogoni, ruszyła w drugą stronę. Do pobliskiego lasu i tylko bogom wiadomo, dokąd pobiegła dalej.

- To sprawka Tilorna! - wrzasnął Kanaon, który prowadził pogoń. - Dawno trzeba było spalić tego czarnoksiężnika!

- Spalimy. - Pliszka kiwnął głową. - A wpierv miło się zabawimy z wiedźmą.

Bardziej biegli w odczytywaniu śladów zauważyli jednakże, że człowiek, który rozmawiał z psami, najprawdopodobniej chronił prawą rękę.

- Wen? - zdziwił się Pliszka.

- Może nie bez kozery nazywają go Wilczarz? - warknął Kanaon, domyślając się czegoś jak przez mgłę.

Pachołkowie, którzy brali udział w wyprawie do Welimoru, potwierdzili, że psy nigdy nie czekały na Wena. Nawet bardzo złe i zupełnie nieznanome.

- Jeśli i tym razem nie dasz mu rady w pojedynku na miecze, to ja ci pomogę - obiecał Kanaonowi Pliszka ze śmiechem.

W pewnej odległości od nich Wilczarz, posługując się jedną ręką i zębami, powoli i dokładnie zaplatał pętlę z rzemienia. Z tego, na którym nosił koralik. Tą pętlą przywiąże do ręki miecz, kiedy nadejdzie czas, by stanąć do walki z pogonią. Rozpuszczone włosy smagały go po ramionach.

Nigdy nie był pod samą Zamgloną Skalą, ale wiedział, że droga do niej wiedzie brzegiem morza. Początkowo ciągnęła się wzdłuż wąskiej piaszczystej łachy pomiędzy linią przyboju a gliniastymi przybrzeżnymi uskokami, potem zaczynała wspinać się na skały. Tam i latem trudno było przejechać, a kiedy leżała choćby odrobina śniegu, Zamglona Skala stawała się całkowicie niedostępna. W każdym razie dla jeźdźców.

Niedawna burza rozkołysała morze. Fale z głośnym hukiem rozbijały się o kamienistą plażę, a w wąskich przesmykach sycząca piana omywała kopyta wierzchowca. Ostatni sztorm przygnało z



północnego zachodu; ciężkie wały fal miarowo napierały akurat na to miejsce, gdzie zamykały się skaliste brzegi zatoki, tworząc ślepy zaułek u podnóża Zamglonej Skały. Nawet pod wiatr słysząc było dalekie pioruny. Wilczarz zastanowił się, jak zdoła dostać się na górę po oblodzonej ścieżce, która dosłownie wisiała nad grzmiącą przepaścią, i serce uwięzło mu w krtani. Młodzi sobie poradzą, ale stary Waroch? Wen domyślał się, że dwójka uzdrowicieli ukradkiem pracowała nad chromą nogą starca. Ale poza domem Segwan jak i wprzód podierał się kosturem.

Wilczarz żywił nadzieję, że jego przyjaciele pokonali już przynajmniej część dróżki, ale wkrótce ujrzał, iż się mylił. Szpetnie zaklął pod nosem. Czekali na niego przed wzniesieniem, chociaż kategorycznie nakazał im nie czekać. Bezradnie zbici w gromadkę, trzymali konie za uzdy i trwożliwie rozglądali się wokół. Ciekawe, co by zrobili, gdyby zamiast Wilczarza z ciemności wychynęła pogoń?

Zsiadł z konia i nakazał:

- Naprzód.
- A psy? - nieśmiało zapytała Neelith.
- Uciekły i już nie powrócą - odburknął.

Eurych, któremu przypadł w udziale gniadosz należący niegdyś do Promienia, obejrzał się zachwycony.

- Przyjacielu barbarzyńco, czyżbyś zdołał zmylić ślady? Odgryzanie się teraz za "barbarzyńcę" byłoby zupełną dziecinadą.

Ale i zaspokajać czezej ciekawości Arranta Wilczarz nie miał najmniejszego zamiaru.

- Może i zdołałem - mruknął nieprzyjaźnie. - Lepiej nas prowadź, kaznodziejo.

Eurychowi zadrżały wargi.

- Czy już do końca moich dni będziesz mnie przezywać kaznodzieją? - spytał, ledwie powstrzymując płacz.

Wilczarz wzruszył zdrowym ramieniem.

- Zapewne nie.

Dobrze by było, gdyby najbliższe dni dane im było przeżyć. A jak się uda, to z bożą pomocą uzgodnią, kto kogo ma jak nazywać.

Ścieżka prowadząca pod górę naprawdę była wążiuteńka i na dodatek miejscami tak oblodzona, że uciekinierzy nie zdecydowali się pokonać jej konno. Pierwszy, prowadząc gniadosza, ruszył Eurych. Gacek krążył nad ich głowami, a potem poleciał zbadać, co dobrego czeka ich na tej drodze. Za Eurychem ruszyli wnuczek i dziadek, a potem Neelith i Tilorn.

Wilczarz powierzył Siarka Tilornowi i mruknął:

- Z tą moją jedną ręką...

Ale tak naprawdę chodziło mu o to, że chciał iść ostatni. Do Zamglonej Skały było jeszcze dość daleko i przewidywał, że nie obejdzie się bez walki. Mędrzec wziął z jego ręki uzdę i z determinacją zaczął:

- Chciałem ci powiedzieć...

- Potem mi powiesz - przerwał mu Wilczarz. - Na przyjęciu u Eurycha. - I leciutko popchnął uczonego w plecy.

Jeśli szło się po ścieżce w górę, skała była po lewej stronie, a przepaść po prawej. To dobrze. Mańkut miał pewną przewagę. Gdybyż jeszcze udało się znaleźć wyżej wygodne miejsce, takie, że od rzuconego niebacznie w dół spojrzenia robi się zimno w środku. Jeżeli nie uda się zatrzymać ludzi Promienia, to Eurych i reszta nie dojdą do Bramy. Nie zdążą. Prawość prawością, ale cokolwiek by wygłaszał zaczytany w księgach Arrant, Wilczarz nie widział jeszcze drzwi, których nie można wyłamać. A co będzie, jeżeli nikczemnik zdoła się dostać do prawego świata, wczepiwszy się w rękę dobrego człowieka? Tego nie wiedział nawet Eurych, a cóż dopiero Wilczarz. A jeśli Wilczarz nie wiedział czegoś na pewno, to zwykle chciał się o tym przekonać sam.

Jak przy Przegrodzie.

Tyle że przy Przegrodzie w ostatniej chwili mimo wszystko przyszedł mu z pomocą Winitar. A tutaj nikt nie udzielił mu wsparcia. Ani witezie Prawego, ani nikt. Nawet jeśli ktoś mu doniesie i bojar wyśle swoich ludzi... Wilczarz wciągnął nosem powietrze, stwierdził, że świt już bliski, i zaczął się wspinać. Powrócił zziębnięty Gacek, wczepił się pazurkami w jego kurtkę i wsunął za pazuchę, gdzie chciał się ogrzać. Ale nie było to takie łatwe - nie mógł się ułożyć, bo przeszkadzała mu przywiązana do tułowia ręka. A podbity futrem płaszcz Wilczarz zdjął i przewiesił przez siodło Siarka.

- Poczekaj - powiedział Wen. Zatrzymał się i lewą ręką odchylił kołnierz. Zwierzak dał nura pod ubranie i zwinął się w kłębek.

Co ja bym bez ciebie zrobił, pomyślał Wilczarz. Uśmiechnął się i poszedł dalej. Ścieżka wiała się pod górę, omijając występy kamiennej ściany - raz była węższa, raz szersza. Gdzieniedzie skręcała w rozpadliny i wtedy odgłos rozbijających się o brzeg morskich fal stawał się przygłuszony, za to wśród skał odbijało się figlarne echo, które kazało niezmordowanemu przybojowi to płakać, to rozmawiać niemal ludzkim głosem. Gdyby się przysłuchiwać uważniej, może by się zrozumiało, o czym fale mówią. Wilczarz spróbował sobie wyobrazić, jak tu bywa w pogodne dni, kiedy morze w dole ledwie szemrze. Chyba nieprzyjemnie. Dlatego że wtedy w rozpadlinach na pewno nawoływały się szeptem tysiące widm. Właśnie. Nic dziwnego, że rozsądni Haliradczycy od dawna obawiali się tego miejsca. W dodatku tutaj ludzie, jak wieść niesie, przepadali. Teraz już wiedział, dokąd odchodzili... A jeśli postarali się o to nieznani twórcy Bramy, którzy chcieli odstręczyć niegodnych lub wiedzionych czczą ciekawością? Wilczarz uważnie się przypatrywał, ale nie mógł odnaleźć na ścieżce śladów pracy ludzkich rąk. Niemniej wiatr i woda raczej nie byłyby w stanie wyrzeźbić w skałach tak równego koryta od piaszczystego brzegu do samego podnóża Zamglonej Skały. Zresztą kto wie... Na niektórych odcinkach droga znowu się zwężała i zawisała nad przepaścią. Na dole, daleko pod nogami ocierały się o siebie w potwornym tańcu, pożerały i przewracały nawzajem gigantyczne wały wody. Przeciwległego brzegu można było dosięgnąć strzałą. Nawet z segwańskiego łuku, zasłużenie pogardzanego przez plemiona wyborowych łuczników. Czy dlatego że zatoka była tu tak wąska, czy z powodu uformowania dna -

nie wiadomo, ale tylko tutaj fale wznosiły się na taką niebywałą wysokość. Wilczarz postanowił rozpytać o to Tilorna. A potem uśmiechnął się do własnych myśli.

W książeczce o kartkach z brzoźowej kory, którą nadal wszędzie nosił ze sobą, pozostała mu do przeczytania jedna jedyna stroniczka.

Ostatnia.

\*

Przez wiele wieków morze wygryzło pod Zamgloną Skalą istny kocioł. Fale wpadały doń, nakrywając jedna drugą i tak zwalając się razem na gładkie granitowe ściany, że bryzgi wody i piana od czasu do czasu dosięgały ścieżki. Zimą na pewno sople tworzyły tu nawisy w kształcie brody. Ocean wściekle wdzierał się w głąb łądu i od czasu do czasu pod jego naporem woda, nie znajdując wyjścia z kamiennej zasadzki, zaczynała ciężko kołysać się do przodu i do tyłu. Morze groźnie bulgotało i szalało tak, że z rozhuśtanej toni wychylały się wierzchołki podwodnych skał. Wtedy z zewnątrz zaczynała podnosić się góra wody. Rosła i rosła, a potem piętrzyła się, wznosząc spieniony pióropusz, i wreszcie z hukiem opadała. Wielkie głązy drżały wtenczas w posadach, a wędrowcy starali się wcisnąć pomiędzy kamienie i próbowali uspokoić parskające konie. Władca Mórz oszalały miotał się w dole i za każdym razem wydawało się, że olbrzymia fala porwie wszystkich ze skalnej półki w dół. Albo rozniesie w pył samą półkę... Gdyby dwoje czarowników nie potrafiło zapanować nad przerażeniem koni, wierzchowce by zwariowały ze strachu, wyrwały się i zginęły. Ale obecność Neelith i Tilorna wpływała na nie kojąco i uciekinierzy cały czas szli w górę. Choć powoli. Zbyt powoli.

Wilczarz nie usłyszał zbliżającej się pogoni. I nie zobaczył, choć na wschodzie wstawały już poranne zorze. Ale ją poczuł. Nie może uważać się za wojownika ktoś, kto nie przeczuwa nadciągającego niebezpieczeństwa i pozwala się zaskoczyć. Wen obejrzał się za siebie i westchnął na myśl o co najmniej dziesięciu bardzo dogodnych miejscach, w których - gdyby miał sprawne obie ręce i łuk - mógłby sam zatrzymać liczny oddział. I położyć tylu ludzi, ile ma strzał w kołczanie, a może więcej. Nie uważał się za doskonałego łuczника, spotykał takich, którzy celowali lepiej. Ale na tej dróżce wystarczyło, aby człowieka lekko pchnąć albo tylko wystraszyć, sprawić, by się pośliznął, stracił równowagę, a śmierć spotka go taka, że pozostali zaczną się zastanawiać, czy warto wrywać naprzód.

Gdybym wiedział wcześniej, poprosiłbym Warocha, żeby zrobił mi procę, pomyślał ze złością.

Wygonił Gacka z za pazuchy i zwinny zwierzak przelazł mu na głowę. Do podnóża Zamglonej Skąły pozostało zaledwie kilkaset kroków. Na początku wspinaczki Tilorn przez cały czas oglądał się za siebie, sprawdzał, co się dzieje z Wilczarzem. Ale Wen szedł pewnym krokiem, z lekkością, chociaż rany na pewno go bolały. Potem Tilorn musiał zająć się czymś innym - oba konie, powierzone mędrcom, wymagały całkowitego skupienia. Ścieżka omijała urwisko i jednocześnie ostro wznosiła się w górę. Tutaj Wilczarz stwierdził, że lepszego miejsca na spotkanie z ludźmi Promienia nie znajdzie. Nie chciał zawracać tym głowy Tilornowi, poczekał, aż uczoney skrył się w kolejnej rozpadlinie.

Chwała bogom. Bo jeszcze by zechciał się wtrącać, pomyślał Wilczarz.

Nie był na tyle przezorny, by na dole nazbierać odpowiednich kamieni, a tutaj okazało się to nie takie proste. Udało mu się znaleźć spory kawałek granitu, podrzucił go kilka razy w dłoń i przygotował się, by cisnąć w czoło pierwszemu człowiekowi, który wychynie zza zakrętu. Umiejętność wyławiania cichych dźwięków z łoskotu na szczęście go nie opuściła, toteż niebawem w szumie morza wyróżnił za kamiennym występem stłumione przekleństwa, kroki i pobrzękiwanie metalu. Bliżej... Jeszcze bliżej... Ustawił się do rzutu... Gacek pokrzyżował wszystkie jego plany. W nagłym zrywie wznosił się nad jego głową, po czym dał nura za zakręt. Niemal natychmiast dały się stamtąd słyszeć okrzyki przerażenia, które przeszły w nieludzki wrzask. Słyszeć go było tyle, ile potrzebne ciężkiemu żywemu ciału, aby sięgnąć wody. Gacek przez pewien czas towarzyszył spadającemu, a potem wrócił do Wilczarza i znowu usiadł mu na głowie.

Oddział Promienia stracił jednego człowieka. Ale teraz wszyscy pozostali wiedzieli, że za załomem czeka na nich wróg. Podejrzewali, że może tu być zasadzka. Na jakiś czas zwolnili kroku. Wilczarz usłyszał głos Kanaona - Narlak wydawał rozkazy. Potem zza skały ostrożnie wychylił się młody woj.

Wilczarz we wzniesionej ręce trzymał kamień. Rzucił go bez zwłoki. Młodzieniec błyskawicznie zrobił krok do tyłu, zachwiał się, ale nie upadł: okrutna lekcja przydała mu się na coś, był przywiązany w pasie mocnym powrozem. Ludzie za skałą znowu się zatrzymali. Pozamieniali się miejscami. Wreszcie zza kamienia, sam przypominający ożywiony głaz, ukazał się wielkolud w dwupudowym pancerzu, pod którym potężne ramiona poruszały się jak pod lekką koszulką. Kanaon! Niepodobna go pomylić z nikim innym.

Wilczarz trzymał w ręce miecz, pętla była mocno zaciśnięta wokół nadgarstka.

Kiedyś z tobą rozmawiałem, pomyślał, patrząc na Kanaona. Nie chciałem cię wtenczas zabić. Ale to było dawno.

Dawny woj pasiastych kapłanów wyróżniał się nie tylko niewiarygodną siłą, ale i niezwykłym kunsztem. Biedny Iterskiel w porównaniu z nim był po prostu nieszkodliwym niewiniątkiem. Wilczarz dostrzegł powróz przywiązany do pasa Kanaona.

- Poddaj się, ochroniarzu! - wrzasnął potężnie zbudowany Narlak. - Moi chłopcy dostali się na górę inną drogą i na pewno już złapali twoich przyjaciół! Jeżeli się poddasz, może daruję ci życie!

Wilczarz nie ozwał się ani słowem. Tym razem nie zamierzał Kanaonowi darować życia. Choć nie można powiedzieć, że od słów rębajły nie zadrżało mu serce. Ale nie dał im wiary. Gdyby Kanaon trzymał za kołnierz Zujka, wtedy - inna sprawa. Ale nawet wtedy poważnie by się namyślił, nimby się poddał.

Pogardliwie uśmiechnął się do Narlaka i splunął pod nogi.

Kanaon ruszył naprzód. Wilczarz musiał cofnąć się pod jego naporem, bo przeciwnik by go dosłownie zmiotł jak lawina. Na wąskiej ścieżynce nie sposób było się obrócić, dobrze przynajmniej, że takie ustawienie dawało pewną przewagę jemu, leworęcznemu. Ciekawe, kto ją stworzył?, pomyślał Wilczarz. Ci, którzy pierwsi dotarli do doskonałego świata i być może, cofali

się do Bramy w walce, ratując mądrych i sprawiedliwych? A co się potem z nimi stało? Przecież ich, przelewających krew, tam nie wpuszczono?

Trzeba by o to spytać fale, huczące w dole. Pewnie tylko one znały odpowiedź.

Ludzie Promienia już pokonywali zakręt w ślad za swoim przywódcą. Niektórzy mieli w rękach łuki i samostrzały. Choć wielką celnością owo wojsko się nie wyróżniało. Członkowie drużyny uważali łuk za niezbyt szlachetną broń - wszak łuk zabija na odległość. Ćwiczyli się w strzelaniu raczej z myślą o polowaniach na grubego zwierza. A i w lesie do popisywania się swym męstwem woleli rohatynę. Teraz też nie strzelali - bali się trafić w Kanaona. Wilczarz odstępował w tył krok za krokiem.

Nieco dalej ścieżka znowu chowała się i zakręcała. A za zakrętem zaczynało się dość strome, porządnie oblodzone podejście. Gdzieniedzie pokrywa lodowa była potrzaskana końskimi kopytami, w innych miejscach - obuchem siekiery. Miało to ułatwić przejście wierzchowcom, aby nie pośliznęły się i nie spadły w dół. Kanaon przez cały czas wpatrywał się Wilczarzowi pod nogi. Chciał, aby Wen się potknął.

I rzeczywiście się potknął. Stracił równowagę, zrobił wymach ręką i zaczął przewracać się na wznak. Kanaon momentalnie wzniosł do góry miecz i z triumfalnym wrzaskiem skoczył naprzód. Chciał go dobić. Wzniesiona klinga już opadała, kiedy obie nogi Wilczarza nagle wystrzeliły do góry. Całe ciało wygięło się jak łuk - na ziemi pozostały tylko ramiona i szyja, a stopy w mokrych, oblepionych śniegiem butach wbiły się Kanaonowi pod żebra. Cios był straszny. Gdyby nie mocny, kuty napierśnik, Narlak z rozplatanym brzuchem umarłby na miejscu. Pancerz pozwolił mu przeżyć jeszcze parę chwil. Kanaon był dwa razy cięższy od Wena, ale uderzenie poderwało go ze ścieżki w powietrze i rzuciło za skraj przepaści. A kiedy czubek miecza zdołał przeciąć powróż przywiązany do jego pasa, wiedział tylko Wilczarz.

Trzeba oddać Kanaonowi sprawiedliwość: nie wydał z siebie jednego dźwięku i nawet nie wypuścił miecza z ręki, kiedy leciał w otchłań. Ludzie z drużyny Promienia jak zaczarowani patrzyli za nim koziółkującym w powietrzu. Tam, na dole, nikt nie mógłby wypłynąć na powierzchnię nawet nago, a cóż dopiero w ciężkim pancerzu.

Wilczarz nie tracił czasu po próżnicy. Wiergnięcie, które wyprawilo Kanaona w objęcia Władcy Mórz, jego postawiło na nogi. Odczuwał wprawdzie wściekły ból w rozjątrzonych ranach, a zwłaszcza w złamanej ręce, ale mógł się poruszać. Zatem ból trzeba było pokonać. Zostało już niewiele czasu.

Postanowił nie czekać, aż prześladowcy ockną się i podziurawią go strzałami. Odskoczył w tył i schował się za kamiennym występem. Tam przywarł plecami do skały, chciał chwilę odpocząć, ocierał pot zalewający oczy. Wiedział, że ludzie Promienia nie ruszą od razu. Już stracili dwóch towarzyszy, głupio i przerażająco, przez nadmierną pewność siebie. Nie mają się po co spieszyć. A może jednak mieli jakiś powód, aby się spieszyć?

Z miejsca, w którym stał, widać było miasto. Wschodziło słońce i po raz pierwszy zobaczył cały Halirad z wysokości. I zrozumiał, że knezinkę nie bez kozery ciągnęło tu latem. Sam teraz nie miał

czasu, by zachwycać się śniegiem na dachach, delikatnym, różowym i czystym, jeszcze niezakopconym dymem z warsztatów i pieców chlebowych. Zobaczył tylko, że na zamkowym dziedzińcu jest pełno ludzi, jeden liczny oddział zbrojnych jedzie ulicami, a drugi właśnie mija bramy miasta. Wilczarz miał doskonały wzrok, ale nawet jemu poszczególni jeźdźcy wydawali się drobniutkimi, powoli pełznącymi punkcikami. Nie był w stanie odróżnić, kto jedzie na czele oddziału. Trzej jeźdźcy... Kneź, Prawy i... Ertana? Siódmym zmysłem czuł, że taka wyprawa nie mogłaby się odbyć bez Welchinki.

Uśmiechnął się. Najwidoczniej pościg za ludźmi Promienia wyruszył z miasta prawie natychmiast. Nawet domu Warocha nie pozwolono im spalić. Wilczarz nie miał teraz czasu na wypatrywanie znajomego obejścia, ale pożar czy czarne zgliszcza na pewno by dostrzegł z tej odległości. Może nie trzeba było uciekać z miasta, porzucać domu i dobytku na pastwę losu? Może nie, a może trzeba było. Mimo wszystko mieli do czynienia z najbardziej zagorzałymi poplecznikami zabitego Promienia. Pozostali zapewne dali sobie przemówić do rozsądku.

Wilczarz słyszał głośnie rozmowę za skałą i zdawał sobie sprawę, że wojowie niebawem znowu zaatakują. Choćby witezie knezia co sił poganiali konie, i tak nie zdążą mu przyjść z pomocą. Co najwyżej dogonią zdrajców na ścieżce i porzucą w przepaść.

Nieoczekiwanie pewna okoliczność dała mu jeszcze odrobinę czasu. Ludzie Promienia nagle zaczęli rozdzierająco pokrzykiwać. Wilczarz popatrzył w dół. Okazało się, że Kanaonowi nie było dane spocząć na dnie i stać się żerem dla ryb. Fala z łoskotem porwała jego ciało i z rozpędu rzuciła o skały. Jedna noga uwięzła w rozpadlinie i ciało Narlaka zwisło głową w dół, kołysząc się i uderzając o kamienie. To był straszny widok. Wojownicy nie mogli odeń oczu oderwać i tylko zastanawiali się głośno, czy Kanaon na pewno umarł, czy jeszcze żyje i czy może dałoby się go wyciągnąć. Wilczarz też o tym pomyślał, ale doszedł do wniosku, że nawet jeśli udałoby się ściągnąć zwłoki, potrwałoby to pół dnia. Zanim pokonają wiszące nad tym miejscem skały, zanim opuszczą na powrozie chłopaka - zwinnego, odważnego i na dodatek niezbyt ciężkiego... O ile do tej pory szalejące fale nie zagarną Kanaona z powrotem. Skoro zdołały go wrzucić na skałę, to potrafią i zdjąć.

Ludzie Promienia też to zmiarkowali i Wilczarz zrozumiał, że oto chwila wytchnienia dobiega końca.

Tuż za jego plecami ścieżka znowu schodziła w wąwóz, a wąwóz prowadził już, zdaje się, na sam szczyt. Będzie się musiał tam wycofać, kiedy oni, straciwszy jeszcze jednego czy dwóch ludzi, wygonią go i stąd. Kto teraz dowodził? Wilczarz wsłuchał się w ich głosy i zrozumiał, że Pliszka. Solwen zwykle trzymał się w cieniu gigantycznego Narlaka, pewnie był o wiele mądrzejszy. Właśnie dlatego kapłani, u których obaj byli na służbie, powierzali rolę podstawionego wojownika Pliszce. Kanaonowi nie starczyłoby na to rozumu.

- Hej, Wenie! - wesóło odezwał się nagle Pliszka. - Wspinacie się na górę? Macie tam coś? Pieczarę?

Za mały masz rozum, żeby to pojąć, Wilczarz pomyślał ze złością i sposobił się do bitki.

Koszula pod kolczugą nieprzyjemnie kleiła się do ciała, przesiąknięta potem i krwią z otwierających się ran. Nic to. Jeszcze przez jakiś czas da radę się tu utrzymać. I nie będzie umierał sam. Żeby tylko Eurychowi i pozostałym starczyło wyobraźni...

Usłyszał pospieszne kroki za plecami, musiał się obejrzeć. I wściekle przekląć. Po gładkiej kamiennej gardzieli schodzili, potykając się i ślizgając, Eurych i Tilorn. Obaj nie wiedzieć czemu nieśli włócznie. Trzymali broń w taki sposób, że człowiekowi zbierało się na płacz. Wilczarz wysyczał na powitanie:

- Mam was tu własnymi rękami zadusić? Dalej jazda!

- Jesteśmy mężczyznami - z godnością odparł Tilorn. - Będziemy walczyć razem z tobą.

Już dawno Wilczarz nie był tak wściekły. Zaraz własnoręcznie ich rozbroi, posiniaczy i walnie w kark. Tymczasem Eurych zauważył na drugim brzegu zatoczki uwieszoną głowę w dół Kanaona. Ciało Narlaka ciężko kołysało się w takt uderzających fal. Kiedy woda się cofała, po kamieniach zaczynała ściekać krew. Następna fala zlizywała ją do czysta. Żarłoczne mewy już krążyły nad trupem.

Odważny Eurych pozieleniał na twarzy jak dziewczyna, która zobaczyła zdechłego szczura.

- Na Bogów Niebiańskiej Góry! - wyrwało się z piersi miłośnika ksiąg. - Czy on... spadł? - zapytał zamierającym głosem.

- Może i spadł - burknął Wilczarz. - A może trochę mu w tym po mogłem. Mówiłem chyba, że dam sobie radę bez pomocników!

W tym momencie zza załomu wychylił się wojownik i Wilczarz natychmiast przygotował się do obrony, ale szybsza niż jego miecz była myśl uczonego. Tym razem Tilorn nie przyjął postawy ani nie pomagał sobie wydawaniem okrzyków bojowych. Wilczarzowi zdawało się, że obok przeleciała rozżarzona do czerwoności igiełka i ukłuła Solwena w pierś. Wen spodziewał się, że młodzieńca zwali ze ścieżki jak te polana, które na jego oczach Tilorn zrzucił z ławy jednym spojrzeniem. Albo że wojownik, ogarnięty nieopisanym przerażeniem, odskoczy w tył i, jeśli zechcą tego miłosierni bogowie, jeszcze na kogoś wpadnie. Tymczasem nie stało się ani tak, ani tak. Młody woj po prostu zastygł, patrząc rozszerzonymi źrenicami w przestrzeń przed sobą.

- Długo tak będzie? - spytał Wilczarz.

- Pół godziny, co do tego jestem pewien - odparł Tilorn. - Biegniemy co prędzej na górę, mój przyjacielu.

Co miałyby znaczyć owo "pół godziny", Wilczarz nie miał pojęcia. W jego domu czas mierzono w nitkach przędzonych przez doświadczoną mistrzynię. Pozostawało mieć nadzieję, że Tilorn swoim pojęciem określił choćby taki odcinek czasu. I jeszcze Wilczarz pomyślał, że ci, co wytyczali ścieżkę, nie mogli nie przewidzieć na górze miejsca, w którym można jeszcze stanąć do walki na śmierć i życie. Trzeba się będzie tam wycofać, gdyż nie było innego sposobu, by zmusić dwóch ponad miarę odważnych miłośników ksiąg do przemieszczenia się w górę.

Młody Solwen nadal stał nieruchomo, w tej samej pozycji. Obejść się go też nie bardzo dało.

- Chodźmy. - Wilczarz schował miecz do pochwy. Klinga nadal była czysta. Na szczęście oręż

pradziada nie należał do mieczy, które nie chcą wracać do pochwy, nie opiwszy się krwi wroga.

Ostatnie podejście okazało się kręte i trudne. Wilczarz nie mógł wyjść ze zdziwienia, jak tę stromiznę zdołały pokonać konie, nie połamawszy sobie przy tym nóg. Ta ścieżka na pewno została przez kogoś wyznaczona, orzekł w myślach. Ktoś musiał ją stworzyć. I to wedle ścisłego planu.

Eurych postanowił dowieść swego męstwa i chciał iść jako ostatni. Wilczarz obiecał, że nie będzie oszczędzać zdrowej ręki i go udusi, jeśli będzie się sprzeciwiał.

Obiecanego przez Tilorna czasu jednak nie zyskali. Wśród skał doskonale było słycać wszystkie dźwięki dochodzące z dołu. Bardzo szybko ludzie Promienia znudzili się oczekiwaniem na swojego dowódcę, nie chcieli już dłużej się zastanawiać, gdzież on się podział i dlaczego do tej pory nie słycać ani odgłosów walki, ani krzyku. Ostrożnie wyjrżeli za kamienny załom i od razu zobaczyli swego towarzysza zaczarowanego przez Tilorna. Nie mogli go wyminąć, wybudzić - też nie. Przy czym mocne, silne ciało na wszelkie sposoby opierało się próbom zmiany położenia. Ktoś zaproponował, żeby dobić młodzieńca i zrzucić go w dół. No bo po co miałby żyć, skoro jest opętany przez czarnoksiężskie siły?

- Ja ci dobiję! - wrzasnął Pliszka.

- Ocknął się, ocknął! - dały się słyszeć inne głosy.

- Uwolniłem go - rzekł zrezygnowany Tilorn. - Rozumiesz chyba, on...

- Rozumiem - odparł Wilczarz. - Idź!

Co innego w uczciwej walce pobić wroga, a co innego związać go i zostawić na pewną śmierć. Chociaż można nie mieć wątpliwości, że on uczyniłby to z tobą bez wahania. Wilczarzowi trudno było potępiać wrażliwego uczonego. Ale jeszcze trudniej mu było pozbyć się paskudnej myśli: Nie chce zabijać. Boi się, że go nie wpuszczą do świata sprawiedliwych!

Wiedział, że to nie o to chodziło. Rzeczywiście paskudna myśl, niegodna ani jego, ani Tilorna. Lecz go naszła. I nie chciała odejść.

- A czy mógłbyś ich... przestraszyć? - ciężko dysząc, spytał Tilorna. - Albo zrobić coś jeszcze innego?

- Spróbuję - odparł uczonego. - Co prawda jest ich za dużo. A poza tym... Z tobą mi się, jeśli pamiętasz, nie udało. Z nimi, obawiam się, też może być ciężko. Przecież to wojownicy.

Więcej nie rozmawiali. Dno wąwozu stało się odrobinę mniej strome, mogli pobiec szybciej. Pogoni nie było jeszcze widać, ale z tyłu dolatywały krzyki i tupot. W górze, w wąskiej szczelinie, miotał się Gacek i było widać szczyt Zamglonej Skały spowity w poranne obłoki.

\*

Stary Waroch ścisnął rękojeść długiego noża bojowego w spoczonej dłoni. Kiedyś, dawno temu, potrafił nim nieźle władać, ale od tej pory minęło wiele lat! Niemniej był dziwnie spokojny. Teraz wszystko się skończy i przyjmie go długobrody Chramn. Tak jak przyjął jego synów. Dlatego że on, podobnie jak oni, zginie w walce. A wnuczka Zujka Brama przepuści. Nie ośmieli się go zatrzymać. To niemożliwe, aby go nie wpuściła!



Neelith z chłopcem stali obok, przytrzymywali parszające, przysiadające na tylne kopyta konie. Wszyscy troje w napięciu spoglądali na wyjście z wąwozu, w którym powinni się pojawić ich towarzysze.

Pierwsi wyskoczyli Eurych i Tilorn, a w ślad za nimi, nieco z tyłu, wyszedł Wen z Gackiem wczepionym w ramię. W tej samej chwili z głębi wąwozu wyleciała ciężka strzała wypuszczona z samostrzału. Jej grot rozpląszczył się o kamienne podnóże Zamglonej Skały. Strzała poszła górą, zbyt wysoko, aby kogokolwiek zranić, ale konie zaczęły tańczyć jeszcze bardziej, a Neelith aż krzyknęła ze strachu. Młody pies rozszczękał się wściekle.

Ścieżka kończyła się półką skalną o średnicy mniej więcej dziesięciu kroków. U jednego z jej krańców huczała łoskocząca przepaść, nad pozostałymi zwisały nieprzystępne strome skały. Tu i tam widać było wejścia do pieczar, ale dla wszystkich było jasne, że nie ma stąd gdzie uciec i nie ma się gdzie schować. Zamglona Skała gigantycznym kamiennym palcem wskazywała w niebo. Stała tu od początku świata. Tak samo będzie stała i jutro, i jeszcze za tysiąc lat. I tak samo będą przepływać nad nią różowe obłoki.

Wilczarz wszedł na kamienną płytę i przede wszystkim odszukał wzrokiem miejsce, które nadawałoby się do obrony. Znalazł. Tyle że miejsce to było przeznaczone nie dla jednego wojownika, lecz dla dwóch. Dwóch wojowników, uzbrojonych w łuki, którzy się nawzajem osłaniają, mogło zamienić to miejsce w zasadzkę niosącą śmierć nawet licznemu oddziałowi. Samotny wojownik z mieczem też mógł utrzymać się tu przez jakiś czas. Dopóki go nie przeszyją strzały.

Dopiero potem Wilczarz dostrzegł Bramę. Nie było wątpliwości. To mogła być tylko ta Brama. Jak gdyby balansując na skraju przepaści, w powietrzu wisiała gęsta, rozwiewana przez wiatry mgła. Na Pierwszy rzut oka to był najzwyczajniejszy obłoczek, których tutaj, na górze, przepływało bez liku. Lecz tego obłoczka wiatr nie był w stanie ruszyć z miejsca, tylko rozrywał koniuszki, a słońce rozpalało na chwilę tęczę w szarej głębi. Szczęśliwy ten, który po tamtej stronie obłoku trafi do świata prawych. Kto okaże się niegodny, zostanie strącony w dół, w paszczę żarłocznych fal.

Neelith od razu podbiegła i mocno się przytuliła do Tilorna. Zaczęła coś szeptać po sakkaremsku. Wilczarz mimo woli wyłowił kilka słów. Dziewczyna wyznawała Tilornowi miłość.

- Uciekajcie! - zakrzyknął Wilczarz, popatrując w stronę wąwozu. - Szybciej!

Sam nie zamierzał nawet próbować. Nie miał najmniejszej ochoty zawisnąć na skałach, okaleczony, gdzieś w pobliżu Kanaona. Nie chciał, żeby jego dusza opuściła ciało, unosząc myśl o tym, że okazała się jednak niegodna dobrego świata! Co to, to nie. Zginie w walce. Zginie tak, jak zawsze chciał zginąć: broniąc tych, których kochał. A miecz sam o siebie zadba, jeżeli nie zechce znowu iść na służbę do złych ludzi...

Mistrz Waroch złapał wnuczka za kołnierz i nieoczekiwanie wepchnął go prosto w objęcia młodego Arranta.

- Zaopiekuj się chłopcem, miłośniku ksiąg. Mnie jest tu dobrze.

- Dziadku! - zaczął krzyczeć Zujko, wrywając się co sił. Wilczarz, stojący twarzą do ścieżki, usłyszał za sobą bełkotliwy jęk i obejrzał się mimo woli. Eurych, krzycząc coś bez ładu i składu po

arrancku, z wykrzywioną twarzą biegł w stronę urwiska, siłą ciągnąc za ręce obu - dziadka i wnuczka. Za nimi biegły klusem dwa przerażone konie: stary Segwan wpadł na to, aby przywiązać ich wodze sobie do pasa. Eurych podbiegł do samego skraju, mocno się wybił i... wskoczył w obłoczek, pociągając za sobą chłopaczka i starca. Wilczarz aż przysiadł, wciągnął głowę w ramiona... Stał odrobinę poniżej Bramy. Był wewnętrznie przygotowany na to, że z obłoku spadnie teraz w dół ciało. I to nie jedno. Ale bogowie nie drzemali. Mgła przyjęła Eurycha, Warocha i Zujka, wchłonęła nie wiadomo gdzie. Konie, ciągnięte za naprężone wodze, bez namysłu też skoczyły w ślad za ludźmi, a zaraz za nimi, szczekając, skoczył pies. Bezgrzeszny zwierzak nie miał żadnych rozterek.

Wtedy Wilczarz zrozumiał, co powinien zrobić. Z rozpadliny już dobiegał tupot nóg i głośnie, sążniste przekleństwa. Ale Wen mimo wszystko wypuścił miecz z ręki, aby włożyć do ust palce i głośno zagwizdać. To był znak dobrze znany Siarkowi. Koń bojowy momentalnie nastawił uszy - pan kazał skoczyć za innymi końmi. Dorodny wierzchowiec zarżał i dwoma susami pokonał całą skalną półkę. Nie bez kozery jego rasa słynęła z nadzwyczajnej skoczności. Nogi Neelith mignęły w powietrzu; dziewczyna trzymała Siarka za uzdę i po prostu poderwała się razem z nim. Tilorn miał trochę mniej szczęścia. Jego koń chciał skoczyć za Siarkiem, na co w cichości ducha liczył Wilczarz. Uczony trzymał wodze okręcone wokół nadgarstka i kiedy koń poniósł, przewrócił się i przejechał plecami po kamieniach. Miejmy nadzieję, że w tamtym świecie rośnie trawa, powiedział Wen do siebie. Albo leży mięciutki śnieżek.

Odpędzał od siebie myśl, że po tamtej stronie czeka otchłań. Dobry świat powinien witać przybyszy dobrem.

Gacek z krzykiem przerażenia rzucił się w ślad za Tilornem, prędko wleciał w szarą mgłę. I też przepadł.

W tym momencie radość przepęłniła serce Wilczarza, zrobiło mu się tak lekko na duchu, jak już dawno nie bywało. Teraz już naprawdę wszystko się skończyło, i to skończyło dobrze. Wszystkie rachunki wyrównane. Pomszczone dusze Szarych Psów mogą teraz powrócić z Wyspy Życia, aby przyoblec się w nowe ciało na ziemi. Panienska knezinka gościła u Iczendarow, a twardzi górale nikogo nie dopuszczają do niej wbrew jej woli. Ci, dla których bogowie podarowali mu jeszcze pół roku życia, stali się niedosiężni dla zła tego świata. A w Górach Szmaragdowych dokonał wszystkiego, czego mógł dokonać jeden człowiek. Wskazał drogę.

Wilczarz roześmiał się w twarz wojowi, który pierwszy wychynął z rozpadliny, i powitał go strasznym ciosem miecza. Rozbił na drobne kawałki i jego klingę, i hełm, i rudowłosą głowę pod hełmem. To był ten woj, którego Tilorn najpierw zaczarował, a potem odczarował. Wilczarz nie odczuwał litości dla wrogów. I nie troszczył się o własne sumienie. Po co zaprzętać sobie niepotrzebnie głowę czymś, czego i tak nie ma? Następnym woj przeskoczył ponad ciałem, które potoczyło się pod jego nogi, i rzucił się na Wena. Wilczarz miękko odchylił się na bok, unikając ciosu. Koniuszkiem wzorzystego miecza dotknął nieprzyjacielskiej klingi i wprawił ją w ruch wirowy, kierując ku ziemi, a potem z pogardliwym gestem poderwał w górę, ku szyi. Krew chlusnęła

szerokim na palec strumieniem, opryskała kamienną ścianę i zmusiła pozostałych napastników do cofnięcia się o krok. Ale zamieszanie w ich szeregach nie panowało długo. Niektórzy z ludzi Promienia byli na tyle silni i sprytni, że zabrali ze sobą tarcze. Długie solweńskie tarcze, rozszerzone na dole, aby podstępny nieprzyjaciel nie dosięgnął mieczem nóg. Na tarczach namalowany był herb Promienia: zwierzę podobny do kota stojący na tylnych łapach. Czterech wojów schowało się za te tarcze i jak żywa ściana runęło na Wilczarza, zmuszając go do cofnięcia się. Gdyby nie był ranny, przeskoczyłby ponad tą ścianą. A może przy tym w locie ściąłby głowę któremuś z wojów, który miał najmniej szczęścia. Wiedział, co będzie dalej. Pojawi się Pliszka i powstrzyma głupców, którzy bez ładu pakują się na półkę skalną. Potem wypuści kilku ludzi z samostrzałami. A oni podziurawiają go jak rzeszoto.

Ludzie schowani za tarczami zamierzali we cztery przycisnąć go do skały i wspólnymi siłami zarażać. Wilczarz z łatwością odskoczył w bok, a wojownik stojący z brzegu wydał z siebie nieludzki krzyk i wypuścił tarczę.

W rozpadlinie pojawił się Pliszka i wrzasnął:

- Cofnąć się, durnie!

Wilczarz chciał go spytać: A ktoś ty taki? Jak to się stało, że witezie z drużyny okazali się twoimi i Kanaona podwładnymi?

Doskonale zdawał sobie sprawę, że odpowiedzi na to pytanie już się nie doczeka. I nie była to jedyna rzecz, której się już nie doczeka.

- Wezwijcie strzelców! - znowu wrzasnął Pliszka.

Na otwartej przestrzeni nie było się za czym schować, a po pieczarach niech kryją się szczury. Wilczarz wyprostował się i z drwiącym uśmiechem przyglądał się, jak w niego celują. I tak było mu wszystko jedno - przecież w jego domu mieszkają teraz obcy. Sześciu łuczników wystrzeliło niemal równocześnie. Skąd mieli wiedzieć, że przed nimi stał wojownik, z którym żaden nie mógł się równać. Ciężki jeszcze wystrzeliwały strzały, kiedy Wen momentalnie przysiadł, odwrócił się, a wzorzysty miecz błysnął, wymierzając błyskawiczny cios. Trzy strzały przeszły obok i roztrzaskały się o obojętny granit Zamglonej Skały. Trzy pozostałe poleciały w niewiadomym kierunku, odbite przez szeroką klingę. Zbici z pantałyku młodzieńcy w pośpiechu zaczęli znowu naciągać ciężki samostrzałów.

- Prędszej, gamonie! - poganiał wojowników Pliszka. Wreszcie wy kończy tego znieawidzonego ochroniarza, a potem poszuka, gdzie ukryli się pozostali.

Jeden ze strzelców nagle rzucił broń na ziemię.

- Wypchaj się! - ze złością rzucił w twarz najemnikowi. - Sam sobie strzelaj, jeśli nie masz odwagi stanąć do walki na miecze!

Ten młodzieniec także był z Promieniem na wyprawie. Pliszka chciał go odepchnąć, ale się rozmyślił. Po prostu podniósł samostrzał, sam zajął miejsce strzelca i podniósł broń.

- Jak nie umiesz strzelać - wymamrotał - to zostaw!

Tym razem Wilczarzowi było o wiele trudniej, jako że strzelali z bliska, a on i tak ledwie trzymał

się na nogach. Dwie strzały odbił mieczem, dwie następne rozcięły skórzaną kurtkę i odleciały w bok, prześliznąwszy się po kolczudze. Ostatnie dwie trafiły i wbiły się aż po same pióra. Jedna w biodro, a druga, przebiwszy przewiazaną rękę i kolczugę pod nią, w pierś. Podwójne uderzenie odrzuciło Wilczarza do tyłu, przewróciło go na wznak. Upadł i leżał bez ruchu.

Napastnicy wydali z siebie cichy pomruk i ruszyli w jego stronę.

- Cofnąć się! - krzyknął Pliszka.

On sam podejdzie jako pierwszy. Zabierze miecz i głowę Wena, dzięki czemu zyska sławę. Młodzieńcy z drużyny Promienia już przedtem popatrywali na niego z pogardą, więc teraz stać go na to, by nic sobie z tego nie robić.

Groźny Wen nadal się nie poruszał. Pliszka podszedł ostrożnie i kopnął go w ranne biodro. Przekonał się, że Wen albo nie żyje, albo jest bardzo bliski śmierci. Pokaleczone ciało nie zareagowało na mocny kopniak ani jękiem, ani dreszczem. Pliszka przestąpił przez ciało i nogą spróbował wytrącić miecz z bezwładnej ręki. Zaciśnięta na rękojeści dłoń nie dała się otworzyć, poza tym Pliszka zobaczył, że miecz jest przywiązany. Wyciągnął nóż, aby przeciąć rzemień.

Żelazne palce nagle ścisnęły jego nogę, miażdżąc kości i ciało nawet przez byczą skórę buta. Wen ożył i jednym ruchem obalił najemnika na ziemię. Pliszka wrzasnął z zaskoczenia. Wilczarz popchnął go w przepaść. Solwen zdążył się obrócić i pochwycić występ skalny. W tym momencie jednak z impetem uderzył ciałem o wystającą półkę, palce nie wytrzymały i poleciał w dół, koziołkując w powietrzu. Miał do pokonania długą drogę.

Wilczarz z wielkim trudem przykląkł na jedno kolano. Wcale nie trzeba go dobijać. Wystarczy tylko cierpliwie poczekać, a przewróci się i umrze sam. Mimo wszystko podniósł głowę, stał rękawem krew ściekającą po podbródku i wychrypiął, trzymając miecz gotowy do walki:

- No!?!...

Tylko w bajkach szlachetni wrogowie nisko kłaniają się umierającemu herosowi i wycofują się, pozostawiając go sam na sam z niebiosami. Winitar może tak by postąpił. Ale nie ludzie Promienia. Natarli... A wtedy za plecami Wilczarza w obłoku mgły coś się poruszyło.

Pierwszy rozdarł szarą, skłębioną mgłę szybkimi ruchami skrzydeł Gacek. Natychmiast rzucił się na jednego z Solwenów i przejechał mu po twarzy pazurami. W ślad za Gackiem na skalną półkę przed Bramą wyskoczyło troje ludzi. Tak rodzą się opowieści o niebiańskich wojownikach, wysłannikach bogów. Mężczyzna i młoda dziewczyna wzniesli ręce w groźnym geście. Postawy i spojrzenia nieśmiałej Neelith mogłaby pozazdrościć sama wojowniczką Ertana. Trzeci z wysłanników, złotowłosa Arrant, objął upadającego Wilczarza.

- Trzymaj się, przyjacielu barbarzyńco... Trzymaj się i nie umieraj! Jak śmiesz nazywać mnie barbarzyńcą? - chciał powiedzieć Wilczarz, ale nie starczyło mu sił. Z otwartych dłoni Tilorna i Neelith spłynęło coś - spostrzegawczemu widzowi mogło się to wydawać blado-liliowym płomykiem. Owo coś uderzyło w twarze wojów Promienia, którzy z krzykiem odskoczyli jak od ognia. Korzystając z chwili zamieszania, dziewczyna i dwóch mężczyzn złapało ciężkiego, nieruchomego Wilczarza i co sił w nogach pociągnęło go ku mgle. Skrzydlaty zwierzak, ostatni raz

splunawszy na napastników, pomknął w stronę obłoku. Wilczarz poczuł na twarzy słoną mgłę. Wydawało mu się, że niosą go strasznie długo, granitowy ustęp i jego życie już dawno powinny się skończyć. Tracąc przytomność, zdążył jeszcze pomyśleć: Po co oni się tak starają, przecież i tak wszystko jedno...

Ale Neelith, Tilornowi i Eurychowi najwidoczniej nie było wszystko jedno.

*7 listopada 1992-7 lutego 1995*

## ***Spis rzeczy***

1. Zamek Ludojada
2. Koralek z kryształu
3. Kupiec jedzie do miasta
4. Stary mistrz
5. Wygrać spór z kapłanem
6. Starzec i staruszka
7. Nikt
8. Przejazdźki
9. Szara sierść
10. Cudza narzeczona
11. "To nie ona!"
12. Pieśń Nadziei
13. Pieśń Śmierci
14. Śmiertelny wróg
15. Prawda Bogów
16. Ostatnia stronica